Józef Korzeniowski.

Tadeusz Bezimienny

Powieść w 3. tomach.

Tom I.

Gródek 1898.
Nakładem i drukiem J. Czaińskiego.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
BIBLIOTEKA
CZYTELNIA
225509

I.

Dnia 17. września 1814 roku, do miasteczka S*, jednego z najustronniejszych w Rowieńskim powiecie, którego wszakże wyraźnie wymieniać pewna nie pozwala nam okoliczność, biegła niezwykłym pędem bryczka pocztowa. Dzwonek rozlegał się szeroko po polach wołyńskich, a dzielna trójka, popędzana przez usłużnego żydka, który za pocztyliona służył, podnosiła tuman kurzawy, którą wiatr ostry i silny na bok odnosił. W bryczce siedział średniego wieku mężczyzna, w szaraczkowym płaszczu, z czarnym kołnierzem, w czapeczce ciemnozielonej, z czarną aksamitną obwódką, i czerwoną na niej wypustką. Z ubrania zdawał się być pułkowym lekarzem, a twarz jego i ruchy okazywały niepokój i niecierpliwość. Co moment trącał żyda ręką po ramieniu, jakby mówił: — prędzej, prędzej, poganiaj! — I za każdą razą żyd zacinał konie, i gdzie tylko droga była równa i gładka, puszczał się galopem, od którego bryczka podskakiwała i migała się tak, że ktoby z boku patrzył, ani twarzy jadącego, ani sprych w kołach nie byłby w stanie rozróżnić.

Nareszcie, na zakręcie drogi z za pagórka, wyjrzało miasteczko, i po przebyciu długiej i błotnistej

grobli, na której podróżny jeszcze wyraźniejsze znaki niecierpliwości objawiał, gdyż nie można było inaczej jechać, jak stępo, wbiegła zgrzana trójka na twardszą ulicę, potem puściła się dobrym kłusem, nie do poczty, ale na plac duży, gdzie było kilka zajezdnych domów, i przed jednym z nich najpokaźniejszym ze wszystkich stanęła.

Charakterystycznym jest odgłos pocztowego dzwonka, i rozmaitym swym dźwiękiem oznacza różny bieg koni, które ożywia i do szybkości pobudza. Flegmatyczne jego, leniwe i jakby kulawe uderzenia oznaczają, że konie idą stępo, że poczta wraca do stacji, i pocztarz, upiwszy się na pół drogi, w uprzywilejowanej na to karczemce wywrócił się do góry brzuchem na bryczce, i spi, jak zabity. Przerywane, prędkie, raz głośniejsze, raz ledwo dosłyszane dźwięki jego, dają znać, że leci kurjer, lub pędzi oficer remontjer, w skarbowym interesie, i przypominając co chwila kazionną podorożną, gifesem od szpady bije w kark woźnicę, co tenże nahajką oddaje z procentem koniom. Jest to jazda pijana i szalona, to też i pulsa dzwonka uderzają, jakby w gorączce, raz wolniej, znowu szybko, raz ciszej, znowu głośno, a zawsze nieregularnie i niewyraźnie. Kłus dopiero, który jest normalnym biegiem koni, daje dzwonkowi właściwe jego echo. Serce jego uderza wówczas z równą mocą w oba boki, wydaje dźwięk silny. regularny i rozchodzący się daleko, i jak puls w człowieku zdrowym, żadną nie miotanym namiętnością, oznacza naturalny i zwyczajny ruch jego życia, tak i dźwięk ten dzwonka

oznacza jazdę rozsądną, posuwającą się naprzód, ale nie pędzącą na złamanie karku i pogruchotanie w sztuki powozu. Mieszkańcy miasteczek, gdzie jest poczta, rozumieją dokładnie ten język, którym do nich bryczka pocztowa za pośrednictwem dzwonka przemawia. Wiedzą, kiedy poczta wraca na stację, i wtedy nikogo to nie interesuje, żaden chłopak nie wybiegnie przed dom, żeby się przypatrzeć, żaden żydziak przed domostwo, żeby przyjezdnego do siebie zaciągnąć. Nikt także nie ciekawy, kiedy dzwonek zaledwie się odzywa słabemi i przerywanemi jęki, bo każdy wie, że to kurjer, że to ktoś, co się spieszy, co pędzi prosto na pocztę, przeprzęże konie i ruszy dalej. Ale kiedy w ulicę miasteczka wchodzą konie kłusem, kiedy dzwonek brzmi regularnie, mocno, i ogłasza, że wiezie pana, co może przenocować, da co utargować, lub da się na czemkolwiek oszukać, wtedy we wszystkich oknach widne twarze ciekawe, pełno chłopaków pododrzwiami, a przed każdym domem zajezdnym jest już gospodarz i gospodyni; dalej na forpocztach stoją żydki posługacze, a z boków zbliżają się z pospiechem i faktorzy, z gotowością narajenia, to tego, to owego, i żydzi z cybuchami i fajkami i żydówki z pudełkami, w których są rozmaite drobiazgi, dające im lichy zarobek, a podtrzymujące nędzny i próżniacki ich żywot.

Takim odgłosem pocztowego dzwonka, i tym razem wywołane zostało miasteczko S*, a wszyscy jego mieszkańcy, którzy w przybyciu nowego gościa mogli mieć jaki interes, znajdowali się na stanowi-

sku. Gdy się bryczka zatrzymała, wysiadł z niej podróżny, odpędził gniewnie zgraję, która go oskoczyła, zapowiedział, że mu nic nie potrzeba, i wyjąwszy z bryczki niewielki skórzany tłómoczek, rzekł do pocztyliona:

— Oto masz pół rubla na wódkę. Ale pamiętaj, żebym jutro o godzinie piątej rano miał konie napowrót do waszej stacji. To moja podorożna, oddaj ją na poczcie.

Żyd woźnica ukłonił się, poskrobał się w głowę i poruszał plecami z radości, bo rzeczywiście był to tryngielt niepospolity; wsiadłszy zaś na bryczkę, dodał:

— Niech jasny pan będzie spokojny, już ja tam zakażę, wszystkiego będzie gotowe.

To powiedziawszy, zaciął konie i ruszył wykrzykując, gwiżdżąc i udając wszystkie ruchy zacięcia prawdziwego ruskiego zwoszczyka. Jest-to pretensja tak w swoim rodzaju naturalna i niewinna, jak każda inna, przez którą ludzie pragną wyjść ze swojej skóry i uchodzić za coś wyższego, niż są w istocie.

Podróżny tymczasem, trzymając tłómoczek swój w ręku, obejrzał się w około, jakby egzaminował zajezdne domy, które go otaczały. Zapraszania gospodarzy, zachęty gospodyń, wyliczania różnych dogodności, które mu robione były przez posługaczów, kłócących się z sobą i szkalujących nawzajem gospody swoich przeciwników, wszystko to zdawało mu się obojętne. Po chwili dopiero zwrócił się ku bramie tego domu, przed którym stanął i zapytał:

— Kto gospodarz tego domu?

— Ja — odpowiedział żyd poważny, z siwą brodą, w rozpiętym kaftanie i z fajką w ręku.

— Czy dużo masz dzieci? — zapytał znowu podróżny.

— Jakto, czy dużo dzieci, odpowiedział żyd z zadziwieniem. — Co to ma do tego, czy ich dużo, czy nie dużo? U mnie są osobne stancje.

— Nie o to idzie — fuknął przyjezdny, jakby się gniewał na siebie, że w roztargnieniu nie wiedzieć o co zapytał.

— A o cóż idzie? — rzekł żyd ruszając ramionami, i wyprostowawszy się, położył na tył cybuch, który obiema rękami trzymał.

— A jest tu u was apteka? — zapytał oglądając się przyjezdny.

— Apteka? — odpowiedział żyd mierząc od stóp do głów pytającego. — Dla czego ona nie ma być? U nas tu i horodniczy jest, nietylko apteka.

Zmarszczył się podróżny na te słowa, rzucił swój tłómoczek pod nogi, i odpiął haftkę od płaszcza. Gdy się poły jego odchyliły, postrzegli obecni zielony surdut z herbowemi guzikami, z czarnym aksamitnym kołnierzem, mającym czerwone wypustki, a przy dwóch pętlicach czerwone wstążeczki, jako znak dwóch znaczniejszych orderów. Widok ten naprowadził ich na drogę i wytłumaczył kwestję o aptece. „Jakiś rewizor przyjechał z nienacka“, pomyśleli sobie, i domysł ten, wymówiony po żydowsku, przebiegł jak raca oświecająca po całej ciekawej grupie, która podróżnego otaczała. Gospodarz domu, który był przychylny aptekarzowi, bo targował u

niego za wino, szepnął parę słów żonie, ta innej żydówce, ta żydkowi posługaczowi, i w mgnieniu oka pobiegł poseł do apteki ze zbawiennem ostrzeżeniem.

Tymczasem podróżny rzekł do gospodarza:

— Wiele tu masz pokoi?

— Gościnnych dwa, ale bardzo duże pokoje.

— A gdzie sam mieszkasz?

— Nu! tam ja sam mieszkam — odpowiedział żyd z powagą.

— Ale wieleż tam jest — fuknął podróżny.

— Jakto, wiele mnie potrzebno. — Ale widząc niecierpliwość podróżnego i chęć odejścia do drugiego domu, gdzie go zapraszano, wyliczano wszystkie izby i komórki, dodał: — U mnie jest trzy piękne pokoje i czwarta izba dla czeladzi.

— Czy chcesz całkiem wyprowadzić się z tego domu? — zapytał podróżny.

— Wyprowadzić? jakto się wyprowadzić? — rzekł żyd z coraz większem zadziwieniem, a żona dodała z wykrzyknikiem: — aj waj! co to jest? na co tu się wyprowadzić!

— To widać, że nie chcecie zarobić — mówił przyjezdny, i podejmując tłómoczek, gotował się iść dalej. — Ja zapłacę dobrze, ale za cały dom.

— Niech jasne pan wejdzie i zobaczy pierwej — mówiła żydówka, która, czy łakomsza od męża, czy zręczniejsza, zmiarkowała, że to coś na dobry zarobek zakrawa. — Może i te pokoje, co dla gości, będzie dla jasne pana dosyć. Oni bardzo duży i pięknі. Niech tylko jasne pan pofatyguje się, ja każe

zanieść tłómok jasne pana — i zaczęła łajać żydka służącego, że stoi jak malowany i jasne pan nie usługuje.

Wziął żydek tłómoczek, a gospodyni łając po żydowsku innych, którzy go ciągnęli do siebie i targ jej psuli, poprowadziła do domostwa i kazała czem prędzej bramę zamknąć.

W godzinę potem pootwierano w domu wszystkie okna, słudzy zamiatali, wietrzyli pokoje, żydówki biegały i sprowadzały zewsząd żydów i parobków do wynoszenia rzeczy, które tymczasem stawiano przed domem; gospodyni zaś nakrywszy głowę chustką, pobiegła na miasteczko szukać dla siebie i familii swej czasowego pomieszkania. Widać, że dom zdał się dogodnym podróżnemu, że umowa stanęła, i że nie żałowano pieniędzy.

Jeszcze tego samego wieczora, gospodarstwo wynieśli się z dziećmi i piernatami, ze wszystkiemi gospodarskiemi sprzętami, z całym przyborem kuchennym i z meblami, które podróżnemu wydały się niepotrzebne, były najbrudniejsze i najbardziej zdezelowane. Całą noc najęte kobiety oczyszczały wszystkie kąty i myły podłogi, okurzały ściany, a podróżny, który nie kładł się wcale, sam wszystkiego doglądał i dyrygował całym tym zakrętem. O godzinie piątej rano przyszła gospodyni, odebrała pieniądze i polecenia na zrobienie zapasów najpotrzebniejszych do spiżarni, na zakupienie drzewa, na najęcie porządnego stróża do noszenia wody i posługi. Podróżny oddał jej klucze, kazał, aby okna były otwarte dla wilgotnych jeszcze podłóg, aby z

największą troskliwością obejrzała jeszcze wszystkie kąty, aby wszędzie było czysto i porządnie, aby stróż był na miejscu, a nadewszystko, aby trzymała język za zębami, i nie paplała wszystkim, ile jej zapłacono, i co się w jej domu robi. Gdy wkrótce bryczka pocztowa zaszła, podróżny rzucił w nią swój tłómoczek, którego nawet nie rozpakowywał; potem usadowiwszy się na kupie siana, niepokrytej żadnym dywanikiem, nasunął czapkę na uszy i ruszył całym pędem koni świeżych i dobrze podkarmionych.

Jeszcze pewnie do stacji nie dojechał, gdy całe miasteczko rozbudzone ze snu, dowiedziało się o tym ważnym wypadku. Gospodyni domu, zapomniawszy o danem sobie poleceniu, już dziesiąty raz opowiadała przyjazd, pobyt, umowę, i odjazd podróżnego, suponując, że to jakiś wielki pan, może wicegubernator, albo guberski strapczy, gdyż tak mało gada, a tak wiele płaci; że mówił, iż może tydzień, może dwa tygodnie, a może trzy i więcej, dom ich będzie zajęty, a za każdą dobę daje po sześć rubli srebrnych, że najął dwa bardzo porządne łóżka od aptekarza, który tu był późno w nocy i bardzo nisko się kłaniał; że od pocztmajstra przynieśli kanapę i krzesła, który także był i także się bardzo nisko kłaniał; że kazał nakupić świeżego masła, drobnych krupek, świeżych jaj, kurcząt i kapłonów, a wszystkiego po pańsku, i na wszystko zostawił pieniądze. Wieść ta rozbiegła się po głuchem i ustronnem miasteczku i doszła z różnemi dodatkami do horodniczego, który wczoraj o niczem nie mógł się dowiedzieć, bo miał gości, i w skutek tego festynu

musiał wcześniej pójść spać, jako człowiek sfatygowany swą uprzejmością, i zachęcający zwykle wszystkich do wesołego spożywania darów bożych słowem, a nadewszystko, niezmordowanym przykładem. Gdy się wyspał i jaśniejszem okiem na ważność swoich obowiązków spojrzał, zastanowiły go mocno niekształtne opowiadania podwładnych; wyłajawszy więc porządnie całą swą kancelarję, że siedzi jak malowana; zgromiwszy dziesiętnika, że się dobrze nie dowiedział i jemu zaraz nie doniósł; posłał po gospodarza domu, najętego tak tajemniczym sposobem, a sam tymczasem, zasiadłszy w swoim bawialnym pokoju na czerwonej kanapie, przed którą stał stolik na jednej nodze, nałożył sobie fajkę wagsztafu i kazał podać mocnej herbaty, do której włożył trzy plasterki cytryny. Nadpiwszy więc większą połowę szklanki tak spreparowanego trunku, dopełnił ją arakiem, i tak posilając się, oczekiwał na żyda.

Przyszedł nareszcie Szloma Szumski i skłonił się z całą powagą żyda, który miał wino i arak, a zatem środki złagodzenia urzędowego impetu, jaki mógłby go spotkać, gdyby się nawet czuł w czemkolwiek winnym. Ale Szloma był w porządku; rozrządził swoją własnością, jak mu się zdało korzystnem, i nikogo się nie obawiając, stanął spokojnie i oczekiwał, co mu pan horodniczy powie.

Ten pan horodniczy był to w gruncie człowiek dobry, nie pragnący krzywdy biednych miasteczka tego mieszkańców. Pani horodniczyna nie tak była skrupulatną, i wszystko, czem trzeba było wesprzeć gospodarstwo, zwłaszcza gdy się zdarzył u nich jaki

festyn, jakie imieniny, lub chrzciny, szło przez jej ręce, tak, że horodniczy dziwiąc się nieraz, że wszystko jest i wszystkiego dosyć, a lubił przyjąć, wychwalał nieporównany talent swej Magdusi, i klękał przed nią, całował ją w kolana, wykrzykując głośno, że takiej drugiej gospodyni w całej Rossji nie ma. Ale oprócz tego, że lubił się czasem zabawić z buteleczką, miał jeszcze tę wadę, że powagę swoją chciał utrzymać i okazać, często aż do śmieszności.

Z tego powodu teraz, gdy przed nim stanął Szloma, zmarszczył się groźnie, sapnął, puścił z gęby długi słup dymu, którym się zaciągnął, i bez intencji pokazania żydowi, że butelka próżna, ale dla rezonu, porwał ją, wychylił z niej do szklanki ostatnią kroplę, i postawiwszy na stole tak, że się mało w kawałki nie rozleciała, rzekł:

— Co to u aspana, panie Szloma, robi się po nocy, że ja o niczem nie wiem?

Żyd, który go znał bardzo dobrze i wiedział, że ta chmura prędko przejdzie, byle tylko przeczekać, nie odpowiadając wcale na uczynione sobie zapytanie, ale dając strategiczny obrót rozmowie, rzekł z uśmiechem:

— Czemu to wielmożny pan tak z próżnej butelki chce nalewać! nu, tego i Salomon nie dokaże. A Szloma niedaleko; dla czego Szloma o tem nie wie, że u wielmożnego pana już sucho? Aj! czy to tak dobrze?

— Miałem gości wczoraj — odpowiedział horodniczy, jeszcze zachmurzony, ale już łagodniej — i jakoś wyekspensowało się. Ale mniejsza tam o to; u mnie, wiesz, jak nie ma, to i nie trzeba. Ale weź

sobie krzesło, Szloma, i siadaj. — Gdy żyd usiadł, mówił dalej: — Słyszałem, żeś dom cały najął i sam się wyniósł.

— Nu, czemuż wielmożny pan od razu mnie się tak nie zapytał — mówił żyd uśmiechając się — to ja byłbym zaraz powiedział, jak to było.

— Gadajże, gadaj, bo to coś ciekawego.

Tu żyd opowiedział wszystko: jak ten urzędnik przybył, jak zamówił cały ich dom, jak kazał myć i czyścić, jak najął stróża, dwa łóżka od aptekarza i meble od pocztmajstra.

— Któż to taki? — zapytał zakłopotany cokolwiek horodniczy, gdy się dowiedział o zielonym surducie z czarnym kołnierzem i czerwoną wypustką, a zwłaszcza, gdy mu żyd powiedział, że przy dwóch dziurkach od guzika była czerwona wstążeczka. — Jakiś orderowy, wysoki urzędnik! bodaj cię, żydzie, żeś się nie domyślił, żeby mi zaraz dać znać — dodał — i powstawszy z kanapy, zaczął chodzić dużemi krokami po pokoju. — Czy to on dla siebie najął twój dom?

— Alboż ja wiem, proszę łaski pańskiej — mówił żyd, gładząc brodę.

— Kiedyż on tu wróci?

— Nu, i tego ja nie wiem, bo nic nie mówił. Zapłacił za cały tydzień z góry.

— Djabli mi nadali wczoraj tych gości! — rzekł znowu horodniczy, chodząc po pokoju — przynajmniej, że teraz, jak tylko przyjedzie, to mi zaraz daj znać.

— A jakże, ja sam przyjdę zaraz.

— Więc powiadasz, że aptekarz widział się z nim,

i pocztmajster także był u niego? — dodał, przywołując odchodzącego.

— Jakże! byli obydwaj, i powiem wielmożnemu panu, że obydwaj jemu bardzo nisko się kłaniali.

— Coś to w tem jest? — zawołał horodniczy sam do siebie, gdy żyd wyszedł, i zaczął się przechadzać coraz prędzej. Chociaż bowiem mało co miał sobie do wyrzucenia w rzeczach głównych, ale że miał wielką pretensję do służbowości, i każdego, a zwłaszcza, kiedy tak tajemniczym sposobem się zjawiał, bał się niezmiernie, niepokój jego coraz wzrastał i domysły wyrobiły z nieznajomego przybysza, jakieś straszydło, które mogło zamącić czysty zdrój jego ustronnego życia. Postanowił więc jakkolwiek uspokoić się, i obaczyć się z aptekarzem i pocztmajstrem. Zrzuciwszy więc kwiecisty szlafrok, w który dotąd był odziany, kazał sobie podać buty z ostrogami, jako oficjalniejsze od prostego podszycia, które zwykle nosił; nadział zielone spodnie z czerwoną wypustką, zamiast zwykłych szaraczkowych, i zapiąwszy surdut pod szyję, wpuścił weń z lewej strony szpadę; odsunął na bok furażerkę z czerwoną obwódką, a na jej miejsce nakrywszy głowę stosowanym kapeluszem, wziął nakoniec w rękę białe, łosiowe rękawiczki. Tak dopełniwszy swej urzędowej toalety, stanął dla ostatecznego zweryfikowania przed zwierciadłem, między dwoma oknami wiszącem, na które zapuszczały się białe z czerwonemi frendzlami draperje, wychodzące ku oknom od wielkiego fontazia, który tkwił nad zwierciadłem, a był arcydziełem pani horodniczyny i przedmiotem niejednej roz-

mowy między nią, aptekarzową i innemi damami, które się na poobiednią kawę do tej matadory miasta S* schodziły.

Widząc horodniczy, że ubranie jego nie podlega żadnemu zarzutowi, że tak ustrojony mógłby stanąć nawet przed gubernatorem, jeżeliby ten niespodziewanie go zjechał, wyszedł na miasto i udał się najprzód do aptekarza. Że był niespokojny, a jako horodniczy, niepokoju swego nie chciał okazać, zaczął od wypicia kieliszka gorzkich kropel. Tym sposobem, umocniwszy się na wszelką wiadomość, jakaby go spotkać mogła, zapytał wreszcie farmaceutę o wczorajszego gościa. Aptekarz sam niewiele więcej wiedział; wnosił jednak z munduru i rozmowy, że to był lekarz wysokiej zapewne rangi i może dywizyjny albo korpuśny. Dla czego wszakże przybył, w jakim celu dom cały najął i żyda wyrugował, tego domyśleć się nie mógł. Prosta logika wskazywała horodniczemu, że jeżeli to był w rzeczy samej doktór wojskowy, to przybycie jego nie mogło mieć innego celu, jak rewizję apteki. Tę uwagę zrobiwszy i znacznie uspokojony, napił się znowu gorzkich kropel, które, jak doświadczenie nauczyło, i w niepokoju są dobre i szkodliwym skutkom nagłego zaspokojenia się w jakiejś ważnej trwodze zapobiedz są zdolne.

Zostawiwszy aptekarza cokolwiek zakłopotanego tą uwagą, że zdarza się czasem, iż rząd do rewizji aptek używa i lekarzy wojskowych, udał się horodniczy na pocztę, gdzie spodziewał się dokładniej dowiedzieć o godności i nazwisku osoby, która przy-

byciem swem i zagadkowem działaniem tyle w miasteczku wrzawy narobiła. Jakoż nie zawiódł się w swojem oczekiwaniu. Albowiem w księdze, w której się zapisują podorożne, wyczytał, że to był Radca Stanu i kawaler orderów, pan Jakób Grodnicki, naczelny lekarz 4-tej dywizji piechoty, udający się w skarbowym interesie do różnych miejsc gubernji Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej. Tą wiadomością jeszcze mocniej uspokoił się horodniczy, ale utwierdził się w tem przekonaniu, że przybycie jego do miasteczka i najęcie domu na cały tydzień, aptekarzowi tylko kłopotu narobi; a jeżeli ma jaki inny cel, to chyba założenie wojskowego szpitalu, którego w miejscu tem nie było. To ostatnie domniemanie, nie tylko że go nie nabawiło żadnego niepokoju, ale owszem, rozjaśniło jego czoło tą myślą, że i gorliwość jego w służbie będzie miała większe pole pokazania się, i powaga urzędowa, o którą był nadzwyczajnie troskliwy, przy tylu robotach i zbiegu przedsiębiorców nowego nabierze blasku. Tak marząc, opuścił horodniczy pocztę, poszedł przejść się po mieście i zajrzeć do tego domu, w którym miał ów Radca Stanu i kawaler mieszkać. Dom znalazł dostatecznie oczyszczonym i przygotowanym na przyjęcie tak wysokiego gościa. Z prawej strony w pierwszym pokoju, niby bawialnym, była kanapa i kilka krzeseł przyniesionych z poczty; w drugim były dwa porządne łóżka, które ustąpił aptekarz. Na drugiej stronie, zkąd się żyd wyniósł, pozostały niektóre co najpotrzebniejsze sprzęty, że zaś ich było za mało posłał horodniczy po kilka krzesełek

do siebie, zawołał także dziesiętników, i co było najporządniejszego u bogatszych żydów, kazał wziąść i przynieść.

W kilka godzin wszystko było to dokonane, dom na przyjęcie nowych gości był gotowy, spiżarnia jakkolwiek tymczasowo opatrzona, stróż najęty, a oprócz tego jeden z posługaczy policji postawionym został na straży, aby nad wszystkiem czuwał i na usługi był gotów.

Ze zaś horodniczy był pewnym, ze Jakób Grodnicki, skoro w ich miasteczku na kilka dni zostanie, odwiedzi go w jego własnym domu, i przyjmie przyzwoite ugoszczenie, dla rozrywki zaś po pracy w urządzeniu nowego szpitala jakąś zabawę, np. wista lub bostona, (gdyż czas preferansa jeszcze był nie nadszedł), zawołał najprzód Szlomę i zaczął go z daleka wypytywać, czy on ma dobre węgierskie wino. Szloma uśmiechnął się i odpowiedział:

— Ten pan, jak on przyjedzie, to on zapewne u wielmożnego pana będzie albo na obiedzie, albo na kolacji, albo na jakiej zabawie.

— Tak się spodziewam — rzekł horodniczy prostując się.

— Nu, widzisz wielmożny pan, po co teraz o tego myśleć, kiedy wielmożny pan masz tyle roboty. Już ja o tego wszystkiego pomyślę i imość to zrobi tak, że wszystkiego wyjdzie jak z płatka, i wielmożnego pana o nic głowa nie zaboli.

Horodniczy znalazł, że żyd ma racją i spuściwszy się na geniusz swojej żony co do interesów prywatnych, zajął się tylko służbowem przygotowaniem.

Obszedłszy więc jeszcze miasteczko, dla połajania za jaki nieporządek, zajrzawszy do miejskiego więzienia, które spodziewany gość, jako lekarz wojskowy, mógł mieć polecenie obejrzeć, kazał wewnątrz pozamiatać, przed progiem piasku usypać, i tak dopełniwszy wszystkiego, na co tylko ludzkie siły zdobyć się mogły, poszedł z zaspokojonem sumieniem do domu.

Tego samego dnia, koło godziny szóstej wieczorem, dało się słyszeć na trakcie pocztowym kilka dzwonków. Póki odgłos ten dochodził z za grobli, niewyraźnie, i tak, że nie można było zmiarkować, dokąd udadzą się jadący, mało to kogo interesowało. Gospodyni tylko najętego domu, która właśnie tam się znajdowała, porządkując jeszcze reszty brudów, usłyszawszy dzwonienie; jakby jakiemściś przeczuciem tknięta, wybiegła na plac, przysłuchała się lepiej i obecnego tam dziesiętnika do horodniczego posłała. Tymczasem dzwonki coraz wyraźniej słyszeć się dawały, nawet z dźwięku poznać można było, że już są na grobli i że konie idą powoli. Wkrótce, równe, szybkie i głośne uderzenia, oznajmiły zaintrygowanym mieszkańcom, że ktoś jest już w ulicy i prosto do placu się zbliża. Mnóstwo ludzi wybiegło przede drzwi domów, dla przypatrzenia się; przed bramą zaś najętego domostwa już był Szloma w nowym kaftanie, opiętym pasem, i w sobolowej czapce; była żona jego ustrojona w perły i materjalny, czerwony szlafrok, który na jeden rękaw wdziała; było dość innych żydów i żydówek: słowem, była cała ciekawa i ożywiona nadzieją przy-

szłych zysków zgraja. Nadszedł i horodniczy i właśnie wtedy zbliżał się ku domowi, gdy z ulicy na plac wyjeżdżały w pełnym kłusie ekwipaże. Tych było dwa; kareta ogromna, w której było osiem koni i bryka niezmiernie wielka i bardzo wyładowana, do której zaprzężono ich sześć, a mimo to były zgrzane i okryte pianą.

Z wielkiem podziwieniem wszyscy patrzyli na ten orszak i w głowę zachodzili, coby to być mogło. Horodniczy stał przy bramie domostwa i rzuciwszy okiem po obu powozach, spostrzegł, że w karecie były dwie damy: jedna stara, twarzy poważnej i imponującej, druga młoda, bardzo piękna, ale blada i jakby cierpiąca; na przodzie zaś mężczyzna w płaszczu szaraczkowym, z czarnym kołnierzem, w czapeczce ciemno-zielonej z aksamitną obwódką i czerwoną przy niej wypustką. Mężczyzna ów, jak wniósł horodniczy ze zrobionego sobie dziś rano opisu, był ten sam naczelny lekarz i kawaler, który wczoraj dom najmował. Na bryce przy zwoszczyku siedział tylko jeden dworski kozak. Zwierzchnia jego suknia z kapturem była ciemna, czapka barania czarna, a worek z niej jasno-zielony spadał na siwiejącą już głowę. Wąsy miał duże, siwe, a z twarzy widać było śmiałość i właściwą takim sługom roztropność. We środku w bryce była tylko jedna prosta kobieta, przystojna i dość młoda, która przy piersi trzymała maleńkie dziecko.

Skoro powozy naprzeciwko bramy wjazdowej stanęły, kozak zeskoczył z bryki i podbiegł do karety, czekając rozkazów. Spektatorowie, pomiędzy

któremi znalazły się i wyższe miasteczka osoby, jako to: aptekarz z żoną, kasjer i kasjerowa, pisarz i jego dwie siostry, zbliżali się coraz bardziej, zaglądali do karety i dziwili się, że państwo, którzy takiemi ekwipażami przybyli, oprócz jednego kozaka i jednej kobiety i to z dzieckiem, żadnych innych sług nie mają. Rzeczywiście, oprócz wyżej wymienionych osób, nikogo więcej nie było.

Że kareta według ówczasowej mody była wysoka i miała jeszcze na wierzchu waszę, kozak okazał wątpliwość czy wejdzie pod bramę. Otworzył więc drzwiczki i prosił, aby panie wysiadły. Lecz panie zostały w powozie, wysiadł tylko ów znany już naczelny lekarz. Co gdy się stało, kozak napowrót zarzucił stopnie, drzwiczki zamknął, a siedzące wewnątrz damy, widząc coraz bliżej podchodzących ciekawych widzów, podniosły szyby w oknach i zapuściły firanki. Wszystko to powiększyło podziwienie i dało powód do różnych domysłów. Po zmiarkowaniu wysokości bramy i karety, pokazało się, że się zmieści. Horodniczy jednak, jako człowiek przezorny i pragnący dać się poznać podróżnym, jako władza miejscowa, czuwająca nad bezpieczeństwem mieszkańców i przyjezdnych osób, przystąpił, zarekomendował się i radził, aby przednie konie wyprządz, żeby w skutek splątania się w ciasnym dość wjeździe nie było jakiego przypadku. Lekarz podziękował za dobrą radę, a gospodarz miasta krzyknąwszy na dziesiętników, których było już kilku pod ręką, kazał ją natychmiast uskutecznić. To samo zrobiono i z przedniemi końmi w bryce, wkrótce

oba powozy weszły szczęśliwie w domostwo, gdzie była stajnia obszerna i dosyć czysta. Gdy kareta weszła, rozmaici ze spektatorów, szczególniej pisarz i jego siostry, zaglądali ciekawie, jak będą wysiadać damy, które się tak przed ich okiem ukrywały. Ale powóz wszedł w głąb sieni i panie w nim zostały, póki nie weszła bryka, póki nie wyprzężono i nie wyprowadzono reszty koni. Wtedy kozak zamknął natychmiast bramę, potem pozamykał od placu okienice, i wszyscy zostali z niezaspokojoną ciekawością i nie wiedząc co o tem wszystkiem myśleć. Szczególniej przykro to było horodniczemu, że mimo jego grzeczności zamknięto mu drzwi przed nosem, i że w miejscu, gdzie wszystko powinno się dziać z jego wiedzą, zdarzył się tak ważny wypadek, z którego nie mógł sobie zdać sprawy.

Już więc horodniczy zaczynał się gniewać za uchybienie takie powadze, do której tak mocno był przywiązany, gdy furtka od bramy domostwa otwarła się i wyszedł z niej pan Grodnicki, bez płaszcza, w mundurowym surducie, z czapeczką na głowie i z twarzą poważną i spokojną. Najprzód zawołał do siebie zwoszczyków pocztowych, każdemu z nich dał po pół rublu tryngieltu i odprawił do domu. Potem przyzwał gospodynię domu, kazał jej wejść i kozakowi oddać spiżarnię i zrobione w niej zapasy, a stróżowi, którego mu gospodyni okazała, aby także wszedł, urąbał drzewa, rozłożył ogień na kuchni i przyniósł wody. Dalej zapytał gospodarza, czy nie można tu dostać kucharza lub kucharki, a także porządnej jakiej kobiety do usługi. Na co gdy

żyd wątpliwym sposobem odpowiedział, dał znać aptekarzowi, którego spostrzegł, aby się przybliżył i prosił go, jako obeznanego z miejscowością, czy nie mógłby im tym sposobem przysłużyć się.

— Najchętniej — odpowiedział aptekarz — ale u nas o ludzi trudno i ja tak prędko pańskiemu żądaniu zadosyć uczynić nie zdołam. Prędzej daleko potrafi tę trudność załatwić pan horodniczy, którego rozkazu każdy tu usłucha.

— Masz pan racją — odpowiedział lekarz i szedł ku horodniczemu, który przechadzał się obok i udawał obojętność. — Panie horodniczy! — dodał przyjezdny, uchylając z lekka czapeczkę. — Słyszałeś pan zapewno, o co rzecz idzie. Prosimy pomocy pańskiej w tej mierze, jeżeli nam ją dać możesz; zabawimy tu z parę tygodni, może i więcej i potrzebujemy usługi.

Horodniczy wyprostował się, spojrzał na mówiącego, prawą rękę podniósł niedbale do kapelusza i zaraz ją opuścił; lewą zaś oparłszy na szpadzie, rzekł:

— Pozwolisz mi pierwej pan zapytać się, w jakim celu tu przybyłeś i zostać zamyślasz, oraz kto są te panie, które z panem przybyły i zamieszkać tu przez niejaki czas mają?

Lekarz uśmiechnął się nieznacznie na te słowa, odpiął surdut, a horodniczy spostrzegłszy dwa krzyże na szyi jego wiszące, odstąpił krok w tył, wyprostował się i czekał, co powie. Wówczas Radca Stanu wyjął z kieszeni surduta kopertę z wielką pieczęcią, dobył z niej papier i dał mu go do przeczytania. Horodniczy rzucił okiem na podpis, cofnął się jeszcze

o krok, zdjął kapelusz i tak z odkrytą głową czytał. Gdy skończył, skłonił się bardzo nisko, oddał pismo napowrót z uszanowaniem i rzekł:

— Niech jaśnie wielmożny pan będzie spokojny. Wszystko będzie według rozkazu.

Lekarz kiwnął mu głową i odszedł, a horodniczy, nałożywszy kapelusz na głowę, rozesłał w różne strony trzech dziesiętników, czwartemu kazał, aby nie oddalał się od domu, był na posługach i nie pozwalał nikomu przybliżać się, zaglądać i wypytywać.

— Idźcie państwo do siebie i nie spodziewajcie się już, że się czego dowiecie — dodał do znaczniejszej publiczności; do zgromadzonego zaś żydowstwa, krzyknął: — A wy, łapserdaki! precz ztąd z niczem tu się nie cisnąć, nie zaglądać, nie szwargotać! Nic tu nie utargujecie. Słyszeliście! precz, mówię! a jak którego tu obaczę, to do turmy wsadzę na trzy dni, na chleb i wodę. Rozpędź ich!

Dziesiętnik podniósł laskę i tłum żydów rozbiegł się w różne strony, szwargocząc, śmiejąc się i drwiąc po żydowsku ze sługi policji, który słów nie rozumiał, ale za ubliżające mu śmiechy i szwargotanie kijem z daleka groził póty, póki się wszyscy nie rozeszli.

Takim sposobem rozwinęło się to ważne dla miasteczka S* zdarzenie. Niezaspokojona ciekawość trapiła jego mieszkańców. Szczególnie kobiety łamały sobie głowę, co to za damy? dla czego jedna stara, druga młoda? jedna imponująca, druga smutna? jedna brzydka, druga piękna? Czemu taki sekret? Co znaczy ten pan w orderach? Co to za papier

pokazał horodniczemu? i dla czego nawet sam horodniczy, czytając go, zdjął kapelusz? Oprócz tych, mnóstwo innych przedstawiało się trudności i zagadek, które się rozwiązać nie dawały. Horodniczy milczał jak zamurowany; zaraz nazajutrz wystarał się o kucharza i porządną bardzo sługę; zapowiedział im, że będą dobrze płatni, ale jak które słówko piśnie o tem, co tam obaczy, to będzie mieć z nim do czynienia. Dom ciągle był zamknięty, głuchy, nikt z niego nie wychodził. Horodniczy tylko co dzień rano przybywał, pukał w okno z lewej strony, wówczas otwierała się furtka, on tam wchodził, bawił kwadrans lub pół godziny i znowu wychodził nic nie mówiąc, po co tam był i z kim się widział.

Próżno aptekarzowa, kasjerowa, a szczególnie dwie siostry pisarza oblegały horodniczynę, aby ta, wszelkiemi małżeńskiemi środkami, starała się z męża sekret ten wydobyć. I horodniczynę ciekawość paliła, nie potrzebowała ona podniety, ale wszelkie jej zabiegi, pieszczoty, przymilenia, dąsy i odmowy, były daremne. Horodniczy milczał: gdy mu jednak żona bardzo już dokuczyła, fuknął z gniewem i rzekł:

— Moja kochana! raz ostatni ci zapowiadam, że jeżeli ci miły kawałek chleba, który masz, to trzymaj język za zębami i mnie o nic się nie pytaj.

Ta odpowiedź męża, doniesiona przez horodniczynę natrętnym przyjaciółkom, jeszcze bardziej je zaintrygowała. Ale gdy tydzień upłynął, a dom zawsze był zamknięty i głuchy, gdy nikt się do niego dostać nie mógł, gdy nikt z niego nie wychodził; gdy kucharz, idąc do miasta z koszykiem i wracając

natychmiast, miał zawsze przy boku dziesiętnika, który go z oka nie spuszczał i z niepotrzebnem słówkiem wyrwać się nie dał; gdy kozak, który czasem tylko wyszedł przed bramę, patrząc na miasteczko i fajeczkę paląc, skoro spostrzegł, że się kto do niego zbliżał, wchodził napowrót i furtkę zamykał — wszyscy najciekawsi dali za wygraną, i oswoiwszy się z rzeczą tak nadzwyczajną, dopytywać się i badać przestali.

Dopiero przy końcu drugiego tygodnia obudziły się na nowo języki, i jakieś niewyraźne światło padło na tę ciemną historję. W zamkniętym domu ktoś widać zachorował; ale kto? na jaką chorobę, tego nikt dowiedzieć się nie mógł. Sam lekarz chodził do apteki, tam pisał receptę, przy nim aptekarz preparował lekarstwo, i on sam, nie zostawiwszy w aptece recepty, bez etykiety, numeru i pieczątki, brał je z sobą. Trwało to przez kilka dni i potem znowu wszystko do dawnego wróciło milczenia. Wprawdzie aptekarzowa dąsała się i obarczała męża wymówkami, że ma przed nią sekreta, że ona nie wie doprawdy, czemu i dla czego nazywa się jego żoną, kiedy tak się z nią obchodzi. Ale aptekarz uśmiechał się tylko i nie chciał powiedzieć, jakiego to rodzaju choroba i kto może jej ulegać. Że zaś przy preparowaniu lekarstw miał tę ostrożność, że kazał pomocnikowi swemu zająć się czem innem w laboratorjum, nie mogła więc aptekarzowa nawet od tego ostatniego dojść, jakie to były lekarstwa i z jakich słoików brane ingredjencje, aby po tej nitce trafić do kłębka. Tym sposobem skończyło się tylko na domysłach,

które do żadnej wiadomości mniej więcej nie doprowadziły.

W połowie czwartego tygodnia od przybycia tajemniczych gości, około godziny 10-tej z rana, horodniczy wróciwszy z przechadzki po mieście, ubrał się w paradny swój mundur, wziął stosowany kapelusz, białe rękawiczki i upomadowawszy włosy pomadą żony, która go z przekąsem zapytywała, dokąd z taką paradą idzie, wyszedł do miasta. Niespokojna o pokój domowy horodniczyna, a raczej niezmordowaną ciekawością dręczona, zarzuciła na siebie salopę, okryła się chustką i poszła z daleka za mężem, ale tak ostrożnie, żeby jej nie dojrzał i nie mógł zmiarkować, iż go śledzi. Wkrótce spostrzegła, że poszedł prosto do owego zaklętego domu, którego furtka za nim się zamknęła. Postała jeszcze chwilę horodniczyna na rogu placu, i z wielkiem zadziwieniem obaczyła także proboszcza, który tuż za jej mężem sam, bez zakrystjana, mając coś pod płaszczem, zbliżył się do tegoż domu, którego furtka znowu otwarła się i po wejściu jego natychmiast się zamknęła.

Dziwne jakieś światło uderzyło ją. Ta blada i znękana młoda osoba, ten tak uparty sekret, ta tygodniowa choroba, a teraz ksiądz i mąż wystrojony i wypomadowany, wszystko to oznaczało raczej przyjście na świat, niż zejście ze świata. — To pewnie jakiś pański grzeszek — mówiła sobie w duchu — i w skutek tego chrzciny. Bo jeśliby to miał być pogrzeb, dla czegożby mąż mój pomadował się? — Padłszy na taki trop i wychodząc tryumfalnie z tego

labiryntu tak długich domysłów, gdzie jej pomada męża, jakby nić Arjadny, za przewodniczkę służyła, już chciała horodniczyna biedz prosto do aptekarzowej, aby to niespodziane światło i na nią rzucić, ale przypomniawszy sobie, co jej mąż zapowiedział, a ceniąc i jego spokojność i kawałek chleba, który utracić mogli, pokonała się tym razem i wspomniawszy na drobne dzieci, choć z bólem serca i nieznośnym świerzbem języka, powróciła do domu. I wyszło jej to na dobre.

W godzinę potem powrócił horodniczy z powagą człowieka, który stał się ważnego sekretu powiernikiem. Chodził on przez niejaki czas po pokoju, jak gdyby nie wiedział, od czego zacząć. A gdy żona udawała, że się niczego nie domyśla, i bardzo pilnie coś szyła, stanął przed nią, wziął ją pod brodę, i podniósł jej twarz ku sobie:

— Widzisz — rzekł potem — jak się to dobrze stało, żeś miała rozum i nie dokuczała mi pytaniami? Kto wie, jakie to dla nas sprowadzi skutki. Jeżeli mi jeszcze dasz słowo, że i dalej milczeć będziesz, to ci coś pokażę i podaruję.

— Alboż nie milczałam dotąd jak zaklęta? — rzekła horodniczyna, odsuwając rękę męża — choć i to i owo spostrzegłam, i miałabym co powiedzieć, gdyby mi się podobało.

— Tobyś źle bardzo zrobiła — mówił horodniczy, zacząwszy znowu przechadzać się — plotłabyś banialuki na pamięć, tak jak to wy wszystkie umiecie.

— O! nie wszystkie — rzekła małżonka z miną subtelną i wyrafinowaną. — Są takie, co i widzą i

wiedzą, dla czego mundur, pomada i ksiądz, a przecież nic nie mówią.

— Magdusiu! — rzekł horodniczy grożąc — jeżeli ci dzieci miłe, trzymaj język za zębami!

— Czyż to tak co strasznego? alboż to się jednej panience zdarza! — rzekła żona.

— Kobieto, milcz! — krzyknął horodniczy i tak serjo, że aż zbladła.

— No, no, już będę cicho, kiedy tak trzeba — odpowiedziała żona, zmiarkowawszy, że to nie przelewki.

— Tak trzeba, nakazuję ci — mówił dalej mąż, i żeby cię te baby piekły i szpilkami kłóły, nie piśnij ani słowa. Żebyś zaś wiedziała, ile nam na tem zależy, i z kim mamy do czynienia, to patrz. — Tu dobył z kieszeni pudełeczko ładne czerwone, safianowe. — Otóż to dla ciebie, Magdusiu, żebyś miała rozum i delikatność.

Horodniczyna drżącą od radości ręką otworzyła pudełko. Były tam kolczyki brylantowe, tak piękne i kosztowne, jakich jeszcze nigdy nie widziała. Przypatrzywszy się im z chciwością, położyła je na stole, powstała z krzesła, i spojrzawszy zdaleka na ich blask i śliczną formę, rzuciła się mężowi na szyję, zaczęła go całować i pieścić, a potem płacząc prawie z radości, zawołała:

— Bądź spokojnym, mój mężu, nie pisnę ani słówka. Nawet żebyś był bezpieczniejszym, weź to, schowaj u siebie. Nie ubiorę się w te śliczności póty, póki tu będziemy w tej dziurze.

Horodniczy ucałował wspaniałą połowicę swoją, wziął kolczyki, które półtora tysiąca mogły być warte,

i schował u siebie. Potem zjadłszy smaczno obiad, położył się spać, i marzył o dalszej swojej karjerze.

Bytność księdza i bytność wystrojonego w paradny mundur horodniczego, nie utaiły się przed aptekarzową. Wszakże napróżno i ona, i z jej natchnienia kasjerowa i siostry pisarza, dręczyły horodniczynę. Twarz jej przybrała wprawdzie tajemniczy charakter, który wyraźnie mówił, że coś wie, ale usta jej milczały. Od księdza także nikt nic nie mógł wybadać. Znowu więc skończyło się wszystko na domysłach. A gdy w kilka dni potem raniutko, brama i okna w karczmie zostały otwarte, Szloma znowu się wprowadzać zaczął, i miasteczko się dowiedziało, że wszyscy goście w nocy, bez dzwonków nawet wyjechali, gadanina się powiększyła, stała się głośna, ale wkrótce przez brak pożywnego materjału, jakim jest prawda, ustać musiała. Wróciło więc wszystko do dawnej ciszy i milczenia, każdy zajmował się tylko sąsiadem, a słuch nawet o tych tajemniczych osobach, które przez kilka tygodni były przedmiotem rozmów, śledzeń i domysłów, przepadł zupełnie. Nawet o wypadku tym, rzeczywiście dziwnym i trudnym do wytłómaczenia, byliby mieszkańcy miasteczka S* zupełnie i prędko zapomnieli, gdyby nie ta okoliczność, że w trzy miesiące potem, ni ztąd, ni z owąd, horodniczy tak ustronnej mieściny mianowany został Policmajstrem w Krzemieńcu. Miejsce to było w owym czasie bardzo korzystnem, i wszyscy dziwili się jakim sposobem i przez czyją rekomendacją takiego honoru dostąpił. Ale horodniczy i żona jego wiedzieli dobrze, czyja to

sprawa. Milczeli wszakże; tylko żegnając się z dawnemi przyjaciółmi i znajomemi, mówili: — Patrzcie państwo! jak pożytecznem jest człowiekowi, kiedy umie trzymać język za zębami. — To dało wszystkim do myślenia i przypomniało im owych zamkniętych gości, tym bardziej, że pani horodniczyna wymogła na mężu, iż jej na akt pożegnania i już jako policmajstrowej Krzemienieckiej, pozwolił ubrać się w tajone tak heroicznie kolczyki, i błysnąć kosztownemi brylantami przed zazdrośnem okiem aptekarzowej, kasjerowej i obu sióstr pana pisarza.

II.

W jednej z najobfitszych i najpiękniejszych okolic Hajsyńskiego powiatu, leży ogromna majętność, złożona z dziewięciu podolskich wiosek. Jej stolicą i rezydencją dziedzica była w owym czasie wieś Z*. Uprzedzamy czytelników naszych, że wprawdzie nazwisko tej wsi nie zaczyna się od Z; ale że litera ta, wespół z *iksem* i *ipsylonem*, służy w algiebrze do oznaczenia ilości nieznanej, a mamy powody żądać, aby nie wszyscy domyślili się, gdzie właściwie odbyły się wypadki w niniejszym rozdziale opisane, dla tegośmy litery tej do oznaczenia miejsca działania użyli. Osoby bliżej z wypadkami temi obeznane, i wiedzące dokładnie, o kim tu mowa, i jak dalece opis nasz jest prawdziwy i wierny, usprawiedliwią nas i delikatność naszą ocenią.

Dwór tej wsi Z*, zwany zwykle pałacem, stał na wzgórzu, panującem nad piękną doliną, w której

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

rozkłada się wśród ogrodów i sadów wieś, z trzystu blisko chat złożona i ogromną przestrzeń zajmująca. Dwór ten zamykał w sobie liczne zabudowania murowane, przez ówczesnego właściciela wzniesione, mianowicie oficyny gościnne, i dla oficjalistów, stajnie, wozownie, magazyny, lamusy i t. p., samo zaś mieszkanie pańskie, czyli tak nazwany pałac, było drewniane, gdyż daleko dawniejsze, niż wspomniane wyżej budynki. Był to wszakże dom niezmiernie wielki, bardzo wygodny, i choć drewniany i bez piętra, zamykał wewnątrz skarby ogromne w kosztownych meblach, w obrazach, wszelkiego rodzaju rzadkościach, które dzisiejszy właściciel lubił i zewsząd zgromadzał. Wprawdzie sąsiedzi dziwili się, dlaczego taki pan nie wymuruje sobie pałacu o piętrze, z gipsową sztukaterją, z salą idącą przez całą szerokość domu, i z gankiem o sześciu ogromnych kolumnach, jak to jest rzecz nieodzowna na Podolu, a zwłaszcza w powiatach bardziej ku Pobereżowi sięgających; lecz właściciel nie zważał na to podziwienie sąsiadów, na rady przyjaciół i żarciki niechętnych, i mieszkał ciągle w domu drewnianym, który zewnątrz wyglądał, jak wielki browar, ale wewnątrz miał apartamenta prawdziwie pańskie, a pod względem wygody, gustu i ozdób kosztownych i rzadkich, przechodzące wszystkie, choćby z pozoru najokazalsze rezydencje. Najrzadszym zaś klejnotem, i najpiękniejszą ozdobą tego domu była sama jego właścicielka. Rozalia hrabianka P*, w roku 1810 wydana została za pana Klemensa G*, właściciela owej majętności, o której mówimy. Miała ona wówczas lat

20, wychowała się w domu najarystokratyczniejszym z całego Wołynia, ale którego niezmierne niegdyś dostatki, w skutek nierządu, zbytków i łatwowierności ostatniego właściciela, przyszły do bardzo znacznej ruiny. Matka jej, pełna dumy rodowej, przez związki familijne połączona z najpierwszemi domami, z charakteru despotyczna i uparta, w majątku tylko i herbie widząca szczęście i honor, zabroniła córce swej wszelkiej skłonności, któraby nie odpowiadała jej widokom, i do naprawy upadających jej własnych interesów doprowadzić nie mogła. Chociaż w takim razie córki rzadko wchodzą w rachuby i plany rodziców, i najczęściej miłość zakazana wkrada się do ich serca, tu jednak stało się zadość woli hrabiny, i czy to wskutek posłuszeństwa matce, czy, że nikt nie potrafił myśli jej ku sobie skłonić, Rozalia została obojętną dla młodzieży, którą widywała, i bez radości i wstrętu oddała rękę swą panu Klemensowi G*, którego jej matka, jako przyszłego męża, bez przygotowania i bez ceremonii wskazała.

Jaki układ z matką utorował mu drogę do ręki najpiękniejszej wówczas na Wołyniu panny, tego nikt dociec nie mógł. Wszyscy jednak dziwili się niezmiernie; jedni, że człowiek, mający już blisko lat pięćdziesiąt, brzydki i bez zdrowia, które w czasie długiego pobytu swego we Włoszech stracił, potrafił zyskać przywiązanie, a przynajmniej przyzwolenie panny; drudzy, że bogacz bardzo znanego w kraju pochodzenia, o którego imieniu żadna kronika nie wiedziała, i żaden herbarz nie wspominał, miał za sobą matkę, kobietę hardą i pomiatającą

wszystkiem od siebie niższem, i która w rodzie swym wszystkich polskich, a wielu i zagranicznych hrabiów i książąt liczyła. Domysły, jakie ten osobliwy wypadek zrodził, jako do dalszego ciągu tej historji nie należące, opuszczamy. Dosyć, że pan Klemens G*, którego dziad był rządcą, czyli, jak ich wówczas nazywano, gubernatorem w tej samej majętności, którą dziś posiadał, przywiózł młodą i piękną swą żonę do tego samego drewnianego domu, który niegdyś wybudować kazał wojewoda ruski, jej pradziad po kądzieli, a którego ona dziś została panią, stawszy się żoną potomka rządcy, który robót nakazanych jej przez przodka pilnował. Tak to obracają się rzeczy ludzkie. Pan Klemens, chociaż brzydki i chorowity, miał jednak wiele zalet, które towarzystwo jego czyniły miłem, a nawet pożądanem. Dostawszy po ojcu wielką już fortunę, prawie do lat czterdziestu życia pracował bardzo gorliwie nad jej powiększeniem. Oszczędność w wydatkach, dobre gospodarowanie w ziemi najżyzniejszej i najobfitszej, przytem szczęśliwe spekulacje, potroiły prawie spadek ojcowski, i postawiły go w możności, po zyskownem sprzedaniu tego, co miał, kupienia majątku, którym niegdyś dziad jego zarządzał, a który potomkowie wojewody zmarnowali. Obaczywszy się tym sposobem w rzędzie nowych wielkich panów, poczuł w sobie ni z tąd ni z owąd, amatorstwo do sztuk pięknych i różnych osobliwości, których w kraju naszym tak mało, i których nabyciem postanowił nadać sobie pewną pozycję socjalną, i zyskać wyższość nad innymi bogaczami świeżej daty, któ-

rzy zdradzali swoje folwarczne pochodzenie przez zbyteczne zamiłowanie gorzelni i rogatego bydła.

Pojechał więc na kilka lat do Francji i do Włoch, gdzie oddawszy się nowej swej pasji, ciągle kupował najrozmaitsze rzeczy i przesyłając je do kraju, kazał w domu swym składać i ustawiać. Miał pan Klemens przeszło dwakroć sto tysięcy dochodu na rok i cały ten dochód nie nadwerężając fortuny swej, przez lat siedm na te osobliwości tracił. Z początku naturalnie oszukiwano go, i kupował liczmany zamiast dukatów. Wkrótce jednak nabył takiej wprawy, że po kilku latach doświadczenia i po stracie stu tysięcy przeszło w jego okupienie, stał się znakomitym znawcą malarstwa, rzeźb i wszystkich sztuk, które z pierwszemi mają związek; że umiał na pierwszy rzut oka rozróżnić roboty Benvenuta, od robót wszelkich naśladowcy tego genialnego rzeźbiarza; że znał doskonale historję Herkulanum i Pompei i wszystkich odgrzebanych tam zabytków, i wiedział, gdzie są najciekawsze i najosobliwsze zegary, kandelabry i wszystkie wyroby z bronzu i innych mieszanin metalowych; że co tylko było najrzadszego z chińskiej porcelany, z porcelany sewrskiej lub saskiej, to miał lub widział; słowem, że jeżdżąc, patrząc, nabywając i ucząc się razem historji i pochodzenia tego, co nabywał, przyszedł nietylko do posiadania zbiorów, które warte były przeszło miljon, ale nabył oraz ogromnego zapasu wszelkiego rodzaju wiadomości, które rozmowę jego i obcowanie z nim czyniły bardzo interesującem i miłem. Wszakże nietylko martwą piękność, pan Kle-

mens cenił i opłacał. Włoszki szczególniej, które były wzorami tak doskonałych utworów malarstwa i snycerstwa, pociągały go także brzmieniem kontraltowego głosu, wydatnością form i determinowaną mocą spojrzenia. I one kosztowały go niemało; ale nie wychodził nigdy z granic rocznego dochodu, który najsumienniej tracił, mniej skrupulatnym był w szafunku swego zdrowia, i tu, nadszarpawszy znacznie i samego kapitału, powrócił do kraju schorzały i prawie niedołężny.

Gdy odpoczął po siedmioletniej wędrówce, w czasie której trzy razy tylko spadał niespodziewanie do domu, aby jego rządca nie poszedł w ślady jego dziada i ojca; gdy urządził i ustawił wszystkie swe zbiory w licznych i obszernych salach domu: zajął się wówczas urządzeniem go i umeblowaniem tak, aby z tego starożytnego przodków mieszkania (gdyż i jego dziad w nim mieszkał), zrobić najciekawsze w całym kraju muzeum i najparadniejszą w całej okolicy rezydencją. To mu zajęło cały rok czasu i połknęło znowu całoroczną intratę. Ale odgłos o tych wszystkich cudach rozległ się szeroko, i pan Klemens, jako prawdziwy amator, używał, widząc zbiegających się zdaleka i z bliska ciekawych, znajdując czasem pomiędzy niemi i światłych znawców, z którymi lubił pomówić, i głupią gawiedź, która na wszystko otwierała gębę, a z której on drwił i dziwne prawił jej androny.

Lecz żądze człowieka są nieograniczone. Można je porównać do owego potworu z kilkoma paszczami, z których każda łaknie pokarmu. Gdy się je-

dna napcha i nakarmi, druga w ten moment otwiera się i o pożywienie woła. Pan Klemens, jako amator który już przestał nabywać i zbiór swój kompletować, prędko się nasycił i widokiem swoich skarbów, i admiracją, i gapieniem się tych, co je odwiedzali. Przywykły wreszcie przez lat siedm do ciągłej włóczęgi, do ciągłej rozmaitości przedmiotów, zaczął się nudzić w domu jakkolwiek pełnym najpiękniejszych rzeczy, ale które już nie nęciły go, gdyż były jego własne, i nie drażniły ani próżności, ani ciekawości, jako takie, które sto razy widział i wielekroć miał w ręku. Zachciało mu się więc głuche to i nieme już dla niego muzeum ożywić obecnością jakiej pięknej kapłanki, którejby mógł te wszystkie skarby pokazywać, i wtajemniczać ją w sekreta sztuki i w ciekawą historję jej płodów. Mówiąc po prostu, pan Klemens chciał się ożenić. Było to już trochę za późno, a sumiennie rzeczy biorąc, i znając siebie dobrze, nie powinien był odważać się na krok tak hazardowny. Ale nad mężczyznami, którzy w bezżeństwie doszli do opóźnionego wieku, czuwa jakaś Nemezys, i za wszystkie psoty młodości i nadużycia dojrzalszych lat wymierzając zasłużoną karę, podszeptuje im zgubne myśli i daje zabijające pokój ich i swobodę natchnienia. Taka Nemezys stanęła przy panu Klemensie, gdy chodził ziewając po wspaniałych komnatach swoich; gdy się przypatrywał bez interesu cudownym postaciom utkwionym na żyjących płótnach, wychylającym się z brył marmurowych, skaczącym przed nim na bronzowych lub porcelano-

wych naczyniach; gdy słuchał bicia zegarów, które mierzyły czas dla Franciszka I; gdy patrzył na świeczniki, przy których Henryk VIII podpisywał dekreta śmierci swych żon, a Filip II rozkaz wytępienia sto tysięcy heretyków. Wówczas mściwa bogini mówiła mu do ucha: „Jesteś sam jeden, i życie przechodzi ci w tęsknocie i znudzeniu. Potroiłeś ojcowski majątek, i zostawisz go hołyszom synowcom, którzy na rachunek twojego spadku robią już długi i hultajski prowadzą żywot; zebrałeś tyle skarbów sztuki, tyle zabytków upłynionej myśli a będziesz to musiał rozdać hreczkosiejom i jarmarkowiczom, którzy twoje obrazy przegrają w karty, twoje posągi wymienią za wyżły lub szkapy, a twoje bronzy i porcelany sprzedadzą żydom do Berdyczowa, i zmarnują za siodła i nahajki; masz takie pyszne apartamenta, takie rozkoszne sypialnie, takiemi zwierciadłami i kobiercami ubrane salony, a jesteś w nich sam, i cudny głosik nie woła cię do ustronnego gabinetu na słodką pogadankę, a śliczna twarz nie odbija się w zwierciadłach, i nie wabi cię ku sobie błękitnem okiem, abyś ją podwojoną w lśniącej szybie obaczył. Ożeń się, a ożywi się twój dom; ożeń się, a podwoi się twoja istność; ożeń się, a puścizna twoja i owoc twej pracy przejdzie do rąk twego syna, którego sam wychowasz, i to, coś ukochał i zbierał, cenić i szanować nauczysz“. — Tak mówiła Nemezys, i pan Klemens jej usłuchał. Że zaś pod względem dochodów, ukształcenia, gustów i tego wszystkiego, co dom jego miał, był rzeczywiście wielkim panem, chciał jeszcze, aby i na her-

bie jego jaśniała mitra lub korona z punktami, jeżeli nie na stronie miecza, to przynajmniej na stronie kądzieli, coby wyszło prawie na jedno, gdyż ta nieodzowna wszelkiej pańskości przyprawa mogła być tak nad obu herbami umieszczona, żeby na oba w równej mierze okraszającą zlewała omastę.

Było to w owym czasie, kiedy się Napoleon z Marją Ludwiką żenił. Tym przykładem największego w świecie dorobkowicza zachęcony pan Klemens, udał się z prośbą o rękę hrabianki Rozalii, i otrzymał ją, z wielką uciechą mściwej bogini, co mu ten desperacki krok podszepnęła, z wielkiem podziwieniem wszystkich, co znali i pochodzenie jego, i dumę hrabiny, z wielkiem zgorszeniem wszystkich hrabiów i książąt, nie tylko krajowych, ale nawet galicyjskich i dalszych.

Małżeństwo tak nierówne, tak źle dobrane pod względem wieku, sił i chęci ich użycia, nie mogło mieć przed sobą tej kwiecistej przyszłości, jakiej spodziewa się każda para wówczas, gdy serce dyktuje słowa przysięgi, a młodość i zdrowie prowadzą ją pod dach wspólny, aby się życie ich dopełniło i dwie połowy rodzaju ludzkiego w jedną zlały się całość. Rozalia, wychowana w niesłychanym rygorze przez matkę, kontenta była z początku, że się wydobyła z pod jarzma, które ją od dzieciństwa gniotło; że się wreszcie zerwała z tego paska, który każdy krok jej mierzył i powstrzymywał. Stary mąż, choć brzydki i chorowity, był nadzwyczaj grzecznym, uprzejmym, uprzedzającym wszystkie jej myśli i chęci. Otoczył ją zbytkiem i okazałością, wprowa-

dził w dom, po królewsku na jej przyjęcie przygotowany, i młoda kobieta, widząc się panią prześlicznych powozów, paradnych cugów, przybranych z gustem, przepychem i najwykwintniejszą wygodą apartamentów; przyglądając się wszystkim nagromadzonym tam skarbom; bawiąc się cackami, których przebrać nie mogła; mogąc stroić się jak chciała i jeździć gdzie i kiedy chciała, co wszystko u matki było jej wzbronionem, prawie wdzięczną była panu Klemensowi, że ją wziął; a słuchając z upodobaniem i ciekawością jego opowiadań, jego nauk, tyczących się nowego dla niej świata sztuki, prawie zapomniała, że ma obowiązek całować te brzydkie usta, które tak pięknie mówiły, że musi tulić do serca tę kościstą rękę, która ją w tym raju przepychu, swobody i sztuki umieściła. Chociaż więc pierwsze miesiące jej małżeńskiego pożycia przeszły jej raczej archeologicznie, niż we właściwym znaczeniu miodowo, była wesoła, spokojna, kontenta ze swego losu, i pisząc do matki, dziękowała jej za wybór, jaki zrobiła, i za szczęście, którego używa.

Pan Klemens był także z początku niewypowiedzianie szczęśliwym. Posiadał on najpiękniejszą w kraju kobietę, widział ją wesołą, kontentną z tego wszystkiego, co od niego odbierała; zdającą się nie rozumieć dolegliwości jego ciała, którym w skutek wieku i dawniejszego życia podlegał; mógł jej szczegółowo pokazywać wszystko to, na co tyle czasu i pieniędzy wyłożył, i patrząc przez jej oczy, nowe i nieoswojone, sam zdawał się po raz pierwszy skarby

swe oglądać; spostrzegł w nich nowe powaby, nową wartość i podzielając pięknej żony swej ciekawość, ocknął w sobie dawniejsze, zastygłe już amatorstwo i używał życia w całej jego pełności. Ta powolność i pojętność Rozalji, jako uczennicy a wyrozumiałość jej, jako żony, była powodem, że pan Klemens przywiązał się do niej całym ostatkiem sił swych moralnych i fizycznych, w niej dożywał reszty swego życia i bez niej, bez jej dobrego humoru, bez jej uśmiechu i jej łaskawego spojrzenia, nie pojmował już ani bytu na ziemi, ani żadnej radości, ani żadnego widoku na przyszłość.

Po roku takiego życia, oswoiła się młoda kobieta z tem wszystkiem, co w domu męża było dla niej nowem i ciekawem; przekonała się, że wizyty w sąsiedztwie, chociaż w najgustowniejszem ubraniu i w paradnej karecie robione, były czcze i niezaspakajające; że goście, których przyjmowała zawsze o jedno i toż samo zapytywali i na jej zapytania tymże samym odpowiadali sposobem; spostrzegła, że nawet bale i zgromadzenia, które zdarzały się w okolicy i na których naturalnie przez piękność, wychowanie i dostatki była prawie pierwszą osobą, nie wypełniały niczem jej serca i nie zostawiały nic w myśli, coby ją dłużej zająć i jakąkolwiek wyższą rozkosz sprawić jej mogło; nawet w pochlebnych szeptach młodych paniczów, któremi obdarzali ją w tańcu, lub na które ośmielali się w czasie jakiej ukradkowej rozmowy, nie znajdywała ani powabu, ani rozumu, ani prawdy, któreby jej dały do myślenia, że ten co mówi, czuje coś, że przez wzgląd

na to uczucie wart, aby słowa jego zapamiętać i zuchwałej treści ich przebaczyć. Zasępiło się więc jej czoło, twarz pobladła i posmutniała, a strach i boleść wstąpiły do serca pana Klemensa. Miarkował on dobrze, dla czego uśmiech znikł z pięknych ust jego żony i ta upokarzająca wiadomość, to uczucie pełne goryczy, że mimo całej swej miłości, mimo całego poświęcenia, nie jest w stanie dać jej takiego szczęścia, o jakie widać serce jej upominać się zaczyna i do jakiego ma tyle praw niezaprzeczonych, napełniło pierś jego zazdrością i dało mu przedsmak tych wszystkich męczarni do jakich był przeznaczony i jakie mu przygotowała mściwa ta bogini, której podszeptów usłuchał.

Do tych tajonych udręczeń, powiększających się jednak z dniem każdym, i rosnących coraz smutkiem i obojętnością żony, przyczyniło się i to, że synowcowie, dowiedziawszy się, że rok małżeństwa jego upłynął, a nie było ani nadziei mającego się narodzić dziedzica, zbiegli się z uszanowaniem do stryja, którego domniemanemi byli spadkobiercami. Widok tej gburowatej i nieokrzesanej młodzieży dał mu uczuć całą przykrość położenia bezdzietnego bogacza, który pracował dla innych i zbierał na to, aby skarby jego niewdzięczne ręce rozpraszały.

Przyjął ich pan Klemens tak, że się więcej nie pokazali; ale obraz ich trapić go nie przestawał. Chcąc więc pozbyć się na zawsze i ich widoku i ich wspomnienia, oraz spodziewając się, że ofiarą całego swego majątku ożywi zastygające dla siebie serce żony, wróci uśmiech na jej usta, wesołość na jej

czoło i obudziwszy w niej wdzięczność, zabezpieczy się od szponów tej furji, co go skrycie rozdzierała, zrobił akt głośny i formalny, którym całą swą fortunę ruchomą i nieruchomą żonie swej, bez najmniejszego warunku, przekazał.

Rozalia, nie domyślając się bynajmniej, jaki był istotny powód tej wspaniałości męża i sądząc, że dar ten winna tylko jego przywiązaniu, przyjęła go z wdzięcznością, trapiła się skrycie, że nie mogła, mimo najlepszej chęci, być weselszą i okazywać się szczęśliwszą; ile wszakże było w jej mocy, przezwyciężała wstręt, jaki jej widok pana Klemensa sprawiać zaczynał i zmuszała się do uśmiechu i uprzejmości, gdy z nią był i na nią patrzył. Skoro jednak obaczyła się samą, natychmiast opadała ją tęsknota za czemściś, czego sobie określić nie mogła i często łzy rzęsiste zlewały jej lice, na którem ta walka niewysłowiona wyraźnie się malowała. Widział to wszystko pan Klemens i chociaż był przekonanym, że dotąd jeszcze głowa jego żony wolną była od grzesznej myśli, a serce jej od jakiejkolwiek występnej chęci było dalekiem, ale jako znawca ludzkiej natury, czuł, że tylko iskry brakuje, aby gromadzące się w piersiach młodej kobiety palne materjały buchnęły pożarem, któryby mógł i ją strawić i całą budowę jego szczęścia obrócić w perzynę. Postanowił więc czuwać nad każdym jej krokiem i otoczył ją niewidzialną siecią, przez którą żadna pokusa aż do niej dostać się nie mogła.

Nie ma namiętności, któraby tak usilnie się taiła, jak zazdrość i nie masz żadnej, któraby się tak ła-

two i tak mimowolnie zdradzała. Pan Klemens wstydził się wszystkich tych męczarni, których doznawał, krył się z niemi, jak mógł, jednak wydawał się co moment, to niepokojem, gdy musiał się z domu oddalić, lub gdzie żonę puścić samę, to nagłym i niespodziewanym powrotem, to słówkiem zdradzającem jakieś podejrzenie, to wejrzeniem tak przenikającem, tak czasem okropnem, gdy w kompanji ktoś był milszym od innych, i ona dla niego grzeczniejszą, niż dla pospolitych swych znajomości, że Rozalia spostrzegła i zmiarkowała, iż spokojność, zdrowie, a nawet życie męża swego ma w ręku.

To odkrycie zmartwiło ją niezmiernie i rozgniewało. Ona czuła się nieszczęśliwą, ale czuła się oraz niewinną i obowiązkom swoim, jakkolwiek ciężkim i okropnym, oddaną. Serce jej pragnęło miłości; może nawet czasem i krew młoda odzywała się ze swemi prawami, ale żaden przedmiot wyraźny nie stanął jeszcze w jej myśli i tęsknota była tylko ogólną, rozproszoną, ale nie skupiła się jeszcze w jeden potok namiętności, któryby się zlał na jakąś wybraną osobę i był dość gwałtownym, aby przerwał wszelkie zapory, jakiemi ją surowe wychowanie i uczucie powinności ogrodziło. Rozdrażniona niesprawiedliwością męża, chciała ona go ukarać za podejrzenia, na niczem niegruntujące się i do których ani jej myśli, ani jej postępowanie, ani nawet żaden pozór nie mogły mu dać powodu. Zwróciła więc uwagę na jednego młodego sąsiada, który rzeczywiście więcej jej nadskakiwał, niż inni, a przez majątek, wychowanie i powierzchowność swą mógł

słabość jej, jeśliby ją miała, podobną do prawdy uczynić. Dla igraszki więc i rozdrażnienia zazdrości męża, zaczęła go niby szukać, niby kokietować, nie tając się nawet i nie strzegąc się wzroku pana Klemensa, którego coraz rosnące męczarnie widziała i grzeszną sobie z nich robiła zabawkę. Wprawdzie wszystkie te znaki jej grzeczności dla młodego człowieka były bardzo niewinne; kończyło się wszystko na uśmiechu przy pożegnaniu, na wyborze do mazurka kilka razy powtórzonym, jeżeli się zdarzyła jaka zabawa, na oprowadzaniu go po zbiorach męża i tłumaczeniu mu każdej rzeczy, jeżeli był u nich, na podaniu mu ręki do obiadu i wskazaniu miejsca przy sobie; ale tego wszystkiego było dosyć, dla obudzenia furji w sercu zwiędłem i zwątpiałem, ciągle czuwającem. Pan Klemens ukrywał się jak mógł, ale każde jego słowo, każde wejrzenie, każdy ruch, zwłaszcza gdy młodzi ludzie znajdywali się razem, zdradzał tę tajoną i okrutną walkę, której nie mógł stać się panem. Ten stan jego nieraz ją nawet serjo przestraszał i do zaprzestania zgubnej igraszki zniewolił. Zaczęła więc sąsiada swego unikać, zimnym witała go ukłonem, gdy się gdzie zjechali, nie wyszła kilka razy, gdy przybył ich odwiedzić; ale że ta zmiana była zbyt nagła i zanadto od poprzedniego postępowania jej odskakująca, że młody człowiek który może na serjo rozmarzył się i jakie powziął nadzieje, nie mógł ukryć swego zmartwienia i smutku, pan Klemens, dla którego panującej choroby wszystko było pokarmem, wziął to za ściślejsze już porozumienie się ich, za umówione udawanie obojętności,

dla tem zręczniejszego wyprowadzenia go w pole; nie przestał czuwać, śledzić i dręczyć się, a widokiem swojej męki trapić żonę, która spostrzegła, jak straszną dla niej byłaby prawdziwa wina, gdy tak lekki jej i nic nieznaczący pozór tyle jej przynosi zmartwienia.

Następująca okoliczność dała jej miarę, do czegoby dojść mogło, gdyby gorzkie swe i wszelkiej nadziei szczęścia pozbawione życie, chciała osłonić tajną jaką skłonnością, gdyby niewyraźne dotąd swe pragnienia i tęsknoty, osmieliła się wcielić w grzeszną jaką namiętność.

W jesieni 1812 roku, przed obiadem, wyszli raz do ogrodu i usiadłszy na kanapie, wśród ładnej jeszcze zieloności i dokwitających gdzie niegdzie kwiatów, rozmawiali o wielkich wypadkach, które zmienić miały zupełnie stan Europy i rzucić ją na odmienną i żadnym rozumem nie dającą się wyrachować drogę. W tej chwili dano znać, że obiad na stole, i że przyjechał pan Władysław H*, ów młody sąsiad, którego już z parę miesięcy nie widzieli i który tak niespodziewanie się zjawił. Pan Klemens zapomniał w tym momencie o wszystkiem, co się na świecie działo i rzucił przenikający wzrok na żonę, która, niewiedzieć dla czego, zmięszała się i mocno zaczerwieniła. Widząc to, pan Klemens zbladł niezmiernie, zadrżał w głębi duszy i dobywając ostatnich sił, które go widocznie opuszczały, kazał gościa prosić i poszedł ku domowi, nie oglądając się nawet na zalękłą i szczerze zmartwioną

Rozalię. Przy wejściu dopiero do sali, zatrzymał się, pokonał, i puściwszy ją przed sobą wszedł za nią.

Obiad naturalnie nie był wesoły. Młody człowiek silił się, jak mógł, by utrzymać rozmowę, ale ta rwała się co moment, mimo to, że tak dawno nie był i że tyle było materji do mówienia. Gdy wstali od stołu, pan Klemens, który dotąd prawie milczał, zaproponował przechadzkę. Żona, czy na złość mężowi, czy z innego jakiego powodu, udając sfatygowaną, wyjść nie chciała i wziąwszy jakąś robotę, usiadła milcząc. Wtenczas pan Klemens, zaciskając wargi, z widoczną chęcią takiego przyjęcia gościa, aby więcej nie wrócił, wziął w rękę gazetę, podał panu H* drugą i rzekł:

— Rozmowa nam nie idzie, spacer nie udał się, jak pan widzisz, a musimy przecież czemkolwiek się zająć. Może pan przejrzy ten numer; są tam rzeczy ciekawe. — To powiedziawszy, zarzucił noga na nogę i zaczął niby czytać.

Wtedy Rozalia spojrzawszy na biednego młodzieńca, który pobladł i sam nie wiedział co z sobą zrobić, czy chcąc naprawić niegrzeczność mężowską, czy jeszcze bardziej go rozjątrzyć, rzekła z uśmiechem pełnym wdzięku:

— Nie czytałam jeszcze tego numeru. Niech pan Władysław będzie łaskaw przysunie się tu do mnie i czyta głośno.

Z wdzięcznością przyjął propozycję tę pan H*, zwłaszcza że był nazwany po imieniu. Przysunął więc prędko krzesło i zaczął czytać. Pan Klemens tymczasem patrzył w swoją gazetę, przewracał karty,

ale ani jednej litery nie widział. Nie spuszczał on oka z twarzy żony, i każde jej poruszenie śledził. Gdy się czytanie skończyło, a gospodarz domu siedział na miejscu milcząc, pan H*, którego przyjęcie to do żywego ubodło, pożegnał się prędko i pojechał. Wówczas pan Klemens, któremu imię młodzieńca, przez żonę tak słodko wymówione, brzmiało ciągle w uszach, porwał się z miejsca, chodził po pokoju, stawał czasem przed żoną, jak gdyby chciał wywołać eksplikacją i wylać z serca wszystką gorycz, która je przepełniała; ale Rozalia robiła siatkę z największą pilnością, nie podnosiła nań oczu i dała sobie słowo, że się pierwsza nie odezwie. i burzy, jaka jej groziła, niczem nie wywoła. Trwała ta niema scena blisko pół godziny. Pan Klemens miał czas ochłonąć; jakoż rzeczywiście opanował cokolwiek swoje uczucia i stanąwszy przed nią, rzekł prawie łagodnie:

— Róziu!

— Cóż chcesz? — odpowiedziała, podnosząc głowę.

— Kto z nas dwojga nieszczęśliwszy? — zapytał pan Klemens.

— Sądzę, że ten, kto najmniej na to zasługuje — odpowiedziała żona.

— Więc ty go nie kochasz? — zapytał mąż.

Ruszyła ramionami biedna kobieta; dziwny jakiś uśmiech wzgardy i dumy przebiegł po jej ustach i spuściwszy głowę, zaczęła zostawioną na chwilę robotę.

— Musiałem się więc w twoich oczach wydać bardzo śmiesznym i teraz, i dawniej, i w wielu innych

razach! — rzekł pan Klemens zaciskając usta i łza gorzka wstydu i rozpaczy stanęła w jego oku.

Podniosła nań wzrok Rozalia, a wnosząc z wyrazu jego twarzy o męczarniach, jakich doznawał, rzekła serjo:

— Prawdziwa boleść, choć źródło jej urojone, nie wydaje mi się nigdy śmieszną. Żal mi cię szczerze, ale cóżem ja temu winna, że ty wiesz o tem, iż mam dopiero dwadzieścia dwa lat. Więcej teraz ich mieć nie mogę, choć dla twojej spokojności z duszy bym rada, aby tak było.

— Wiem o tem także — odpowiedział pan Klemens — żem od ciebie o dwadzieścia kilka lat starszy. Nie potrzebujesz mi tego przypominać. I to wiem — dodał z uczuciem goryczy — że nie możesz mnie tak kochać, jakbyś kochała młodszego, powabniejszego, niż ja mężczyznę; ale byłabyś niesprawiedliwą, gdybyś i tego nie czuła, że żaden na świecie mąż nie pragnąłby tak twego szczęścia, jak ja pragnę i nie gotówby był, jak ja gotów jestem, poświęcić ci resztę zdrowia i życia, abyś tylko była spokojną i wesołą.

— Czyż ja o tem nie wiem? — rzekła tknięta temi słowy Rozalia i chciała tkliwiej na niego spojrzeć; ale zobaczywszy twarz jego, tą walką sprzecznych uczuć wykrzywioną, odwróciła się i znowu wzięła się do roboty. Spostrzegł to pan Klemens, odgadł powód tego jej poruszenia i rozgniewany, pierwszy raz odkrywając się z całą furją swej zazdrości, wyrwał z rąk jej siatkę, potargał ją na drobne kawałki, rzucił na stronę i uderzając ręką o stolik, zawołał:

— Słuchaj! jesteś młoda i piękna, ja stary i brzydki; ale nie odwracaj się odemnie i nie zapominaj, że należysz do mnie, żem cię nabył, żem twój mąż, że stanowisz dla mnie skarb, którego sobie bezkarnie odebrać nie dam.

— I o tem wiedziałam — odpowiedziała z dumą Rozalia, obrażona jednem zwłaszcza wyrażeniem, które ją boleśnie dotknęło — ale jeżeli nie zmienisz tonu, który, nie wiem doprawdy, z jakiego powodu, nastroiłeś tak wysoko, to wybaczysz, że zamiast się przestraszyć, parsknę ze śmiechu. Tragiczna rola nie każdemu może się udać. Do tego wiele potrzeba.

To powiedziawszy, wyszła. Pan Klemens został upokorzony i zawstydzony. Czuł on, że napadł na kobietę, nie wiedzieć za co, że się zdradził bez potrzeby i nie w porę, że wybuch jego był równie niedorzecznym, jak niedelikatnym. Postanowił więc pracować nad sobą, zwyciężyć tę szaloną podejrzliwość, do której właściwie nie miał żadnego powodu, a delikatnością i zaufaniem dać zapomnieć ten bolesny moment, jakiego pewnie doznała, patrząc na jego uniesienie i znosząc tak niezasłużone wymówki.

Z drugiej strony Rozalia, której z razu postępek męża wydał się nieprzyzwoitym, grubiańskim i bezrozumnym, gdy się później zastanowiła, ile musiał cierpieć i jak być nieszczęśliwym, kiedy się aż tak daleko zapomniał, przestraszyła się niezmiernie, postanowiła wszelkiego unikać pozoru i pokonywując, ile sił, tęsknotę swą i smutek, okazywać się weselszą, spokojniejszą, aby uspić w nim tę szaloną zazdrość, której skutki mogłyby być dla nich obojga

okropne, gdyby wybuch jej był choć pozornie ugruntowanym.

Tak więc ta scena, którą przypadek sprowadził, wyszła na dobre obojgu; stała się powodem, że nad sobą czuwali, że się pokonywali wzajemnie, a ztąd urodziła się zobopólna grzeczność i chęć oszczędzania sobie wszelkiej przykrości; ztąd nawet wesołość wróciła na twarz żony, a więcej ufności i pokoju wlało się w piersi męża. Znośnem więc wydało się życie obojgu, tem bardziej, że to była owa wielka w dziejach zima, w której każdy myślący człowiek zapomniał o swoich dolegliwościach i uciechach i odrywając myśl od swej drobnej osobistości, łączył ją z losami tych mas, które na wielkiej scenie Europy niezmierny odgrywały dramat. Gdy więc na wiosnę 1813 roku, dla przykrego, kosztownego i zagrażającego mocno procesu, który mu jeden z dawniejszych dziedziców posiadanego dziś majątku wytoczył, musiał pan Klemens osobiście udać się do Petersburga i nie wiedział nawet, kiedy powróci, odjeżdżał z udaną przynajmniej spokojnością: żeby zaś dowiódł, jak dalece żonie ufał, zostawił jej nawet plenipotencję zarządzania majątkiem, jakby się jej podobało. Gdy miał siadać do powozu i ucałował jej rękę, rzekła mu:

— Miewałeś złe myśli, Klemensie! nieprawdaż?

— Daruj, Rozalio! — mówił pan Klemens — byłem szalony.

— Jedziesz że spokojnym? powiedz. Jeżeli to potrzebne do twego pokoju, pojadę z tobą; kosztów ci niewiele przyczynię, a na wszelkie niewygody i

niebezpieczeństwa narażę się chętnie, byle ci żadna zła myśl nie przyszła do głowy i gorzkiej nie dała godziny.

Pan Klemens przycisnął ją do siebie, pocałował ją w czoło, potem, ucałowawszy jej ręce i kolana, rzekł:

— Zostań, moja Róziu! będę spokojnym, nie obrażę cię żadną złą myślą.

— Dziękuję ci, Klemensie! ja zasłużyłam na to, abyś mnie szanował.

Tak się rozstali. Pan Klemens miał wielką ochotę korzystać z ofiary Rozalii i wziąść ją z sobą. Ale byłoby to okazać nieufność i niedowiarstwo. Pokonał się więc i pojechał. Rozalia zaś, piękna, młoda, pragnąca szczęścia Rozalia, żona starego, brzydkiego i zazdrosnego męża, którego nie kochała, została w domu sama jedna, panią swej woli, swego czasu i stu tysięcy dochodu, które jej mąż na utrzymanie domu przeznaczył. Nemezys klasnęła w ręce, a tymczasem pan Klemens jechał do Petersburga i słyszał tylko dzwonki pocztowe, których echo szeroko się rozlegało. Pan Klemens bawił w Petersburgu 18 miesięcy i przybył do domu w pierwszych dni listopada 1814 roku, to jest w półtrzecia tygodnia po powrocie żony, która 17. października powróciła od matki, gdzie blisko pół roku bawiła. Wygrał on proces, który go tyle czasu kosztował; nabył wiele jeszcze ciekawych i drogich rzeczy, któremi szacowne zbiory swe dopełnił; nie stracił nic na zdrowiu w klimacie tym zimnym i zmiennym; owszem, zahartował się jakoś, ukrzepił i odzyskał

dawniejszą ruchawość, a z nią i dawny humor. Przez cały czas pobytu swego w Petersburgu pełne zaspokojenia listy odbierał od rządcy swego z domu, od żony zaś pełne życzliwości, dobrego humoru, a nawet żartów niewinnych, któremi go drażniła i uspokajała razem. Między innemi donosiła mu, że się pan Władysław H* ożenił, i że ona jest w rozpaczy; że miała u siebie kwaterunek wojskowy, że wszystkie jego stajnie były pełne koni, a wszystkie oficyny pełne grzecznych, przystojnych i bardzo dobrze wychowanych oficerów; że w jego własnych pokojach ulokowała hrabiego C*, generała kawalerji i generała-adjutanta Cesarskiego, który jest krewnym jej matki, rannym był pod Borodynem, a teraz, w nagrodę swych zasług i jako ranny, komenderuje korpusem rezerwowym, mającym konsystować na Podolu i na Pobereżu; że mimo ran i wieku, gdyż ma już przeszło lat 40, jest to człowiek tak miły, tak pełen powabów i nieprzezwyciężonych czarów w rozmowie i obejściu, że się w nim najzupełniej zakochała, za co przeprasza męża i do czego się najnaiwniej przyznaje. List ten napisany był wesoło, tak zręcznie i dowcipnie, że pan Klemens, który tegoż dnia, gdy go odebrał, odebrał także od sekretarza Senatu wiadomość, że interes jego jest na zupełnie dobrej drodze, ucieszył się nim niezmiernie, parę razy go odczytał i uśmiał się serdecznie.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że pan Klemens przyjechał do domu zdrów, wesół, spokojny i dwa razy więcej jeszcze, jeżeli to być mogło, w żonie swej zakochany. Przyjęła go ona z tą natu-

ralną uprzejmością i przywiązaniem, w którem nie dostrzegł żadnego udania, żadnej przesady, coby zdradziła komedję i może dałaby mu do myślenia, że z nieobecności jego wcale inaczej korzystała, niż z listów jej mógł wnosić, i teraz odskok jaki matrymonialny zbytecznem wylaniem chce pokryć. Zastanowiło to trochę pana Klemensa, że ją zastał bladą, że płeć jej wydawała mu się jeszcze delikatniejszą i przeźroczystszą, że jakby trochę wychudła i spoważniała, że nie widział w niej tej dawniejszej sprężystości i mocy w chodzie i ruchach, jakby z jakiej długiej i ciężkiej wstała choroby, o której wszakże w ostatnich listach ani słowa mu nie pisała. Ale Rozalia uspokoiła go prędko, skarżąc mu się, że to jest skutek fatygi i trudów, jakich doznała przy matce, złożonej przez kilka miesięcy uporczywą chorobą; że właśnie dla tego tak długo nie była w domu; że przez cały ten czas ledwie kilka nocy spała spokojnie i znużyła się niezmiernie ustawicznem czuwaniem, doglądaniem chorej, która jeszcze wymyślniejsza w chorobie, niż gdy jest zdrową, od nikogo, prócz od niej, starań tych przyjmować nie chciała. Pan Klemens rad niezmiernie, że to nic innego, tylko fatyga, pochwalił żonę, że z narażeniem własnego zdrowia pilnowała matkę, uspokoił się i zajął się gospodarstwem, domem, urządzeniem i pokazywaniem żonie skarbów, które z sobą przywiózł, a które składały się po większej części z drogich i rzadkich wykopów w kościach i minerałach, jakiemi Syberja zbogaca naukę i na świat przedpotopowy tak ważne rzuca światło.

Wkrótce jednak przypadek nowym i niespodziewanym skarbem, mającym nas bliżej i wcale inaczej zająć, zbogacił ten dom, którym, jeżeli i teraz nie było tych uniesień, tego szczęścia, o jakiem marzą ludzie zabierający się do stanu małżeńskiego, była jednak spokojność, dostateczna doza ufności i ze strony męża coraz rosnąca miłość, ze strony żony uległość, przychylność i niezmyślony wcale szacunek. W kilka dni po przybyciu pana Klemensa do domu zasłociło się niezmiernie. Deszcz ze śniegiem zmięszany moczył ustawicznie ziemię, błoto dziedziniec pałacu, wszystkie drogi we wsi i ścieżki w ogrodzie; a wilgoć przenikająca nieznośnem zimnem, wciskała się nawet do pokojów, dobrze opatrzonych i ogrzanych. Stan ten niepogodny, tak naturalny w listopadzie, zdawał się dziwnym jakimściś sposobem wpływać na Rozalię. Przystępowała co chwila do okna, patrzyła na niebo płaczące i szaremi chmurami zakryte i odchodząc zasmucona, zdawała się być niespokojną i wzdychającą. Pan Klemens spostrzegł to; a że w ludziach podejrzliwych i zazdrosnych imaginacja ciągle pracuje i ze wszystkiego wyciąga wnioski, które zamienia w jakieś groźne straszydła, zapytał więc, dla czego słota i zimno w listopadzie zdają się ją zadziwiać i niepokoić. Odpowiedziała, że ją to tylko gniewa i niecierpliwi, że czuje się niezdrową, cierpi zawrót głowy, że chciałaby wyjść, odetchnąć świeżem powietrzem, a nie może. Pan Klemens znalazł tę odpowiedź bardzo prostą i zaspakajającą i więcej o nic nie pytał. W nocy, przez wszystkie te dni słoty i zimna, Rozalia spać nie mo-

gła. Pan Klemens słyszał, że wzdycha, że się przewraca na łożu niespokojna, że często podnosi głowę i ku oknu ją zwraca. Znowu więc zapytywał, wiele razy się przebudził, co jej jest? czemu nie spi i jakim trapi się niepokojem? Żona, kładąc dłoń swą na ustach męża, prosiła go, aby na to nie zważał, żeby spał, że ona tak przywykła przy łożu matki do bezsenności, iż jej to nie szkodzi; że prócz tego jeszcze brak ruchu i świeżego powietrza, zrobił głowę jej ciężką i sen jej odjął. Mąż ucałował śliczną dłoń, która go dotknęła, obrócił się na drugą stronę i znowu zasnął. Dnia 15 listopada deszcz ustał, niebo się wypogodziło, kilkustopniowy przymrozek ścisnął i osuszył ziemię, a słońce jasne i promienne, ogrzawszy powietrze, dało ten piękny dzień jesienny, który jak chwila radości w smutku, jak promień nadziei w zwątpieniu, miłym jest i pożądanym. Rozalia nie mogła utaić swej radości. Od rana chodziła po ogrodzie, wyjeżdżała powozem odkrytym, spacerowała po dziedzińcu, szła wsią aż ku karczmie, do której zajrzała, wdawszy się w rozmowę z żydówką, uszczęśliwioną grzecznością i łaską jasnej pani. Obiad jadła ze smakiem, po obiedzie wyciągnęła jeszcze męża do ogrodu, otuliła go sama ciepłą chustką, żeby się nie przeziębił; słowem, była cały dzień w ruchu i w jakimśćiś niezwykłym, jakby gorączkowym stanie, który z razu zastanowił pana Klemensa; ale gdy mu pokazała błękitne i jasne niebo, uwierzył, że ją tak raduje powrót niespodziany słońca i pogody. Uszczęśliwiony tem nagłem ozdrowieniem Rozalii, a ztąd tak słodkim jej humorem,

doznawszy nadto skutków tej zmiany temperatury, chociaż słońca już nie było i tylko gwiazdy iskrzyły się na niebie, miał ważne powody pan Klemens żądać, aby tak pogodnych dni było jak najwięcej i aby chwile takie, jakich w dniu tym kosztował, jak najczęściej się powtarzały. Rozmyślając więc o tem i w marzeniach szczęśliwych posuwając się tak daleko, iż mu się zdało, że byt jego i imię nie przepadnie na ziemi, wybił się zupełnie ze snu. Lampa alabastrowa słabem światłem oświecała piękną sypialnię i wspaniałe ich łoże. Zmęczony cokolwiek myślami, jakkolwiek były urocze, odrzucił z ramienia swego kołdrę, podniósł się cicho, oparłszy się na poduszce i nachyliwszy głowę, przypatrywał się Rozalii. Spała ona smacznie i spokojnie, oddech jej był równy i żadnem marzeniem nie przyspieszony; zdawało mu się nawet, że po dniu i wieczorze tak dobrze przebytym, rumieniec lekki wystąpił na jej piękne lice, że usta zrobiły się bardziej koralowe, że cień długi, który padał od czarnych rzęsów, osłaniających jej oczy błękitne i cudne, nie pokrywał już owych sinych znaków osłabienia, jakie pod niemi widział, ale leżał spokojnie na gładkich i wypełnionych jej licach. Ucieszył się niezmiernie pan Klemens tym spoczynkiem kobiety, którą tak kochał, i której zdrowia, pokoju i szczęścia tak mocno pragnął, a nie śmiejąc go przerwać nawet pocałowaniem, zatrzymał w sobie oddech i pogrążył się w słodkiem przypatrywaniu. W tem zdało mu się, że usłyszał za oknem sypialnego pokoju, które wychodziło na ogród, jakiś jęk i niby płacz niedołężnego

i małego stworzenia, a w tymże samym czasie zdało mu się także, że żona jego nieznacznie drgnęła.

Pan Klemens, niezmiernie zdziwiony i jednem i drugiem, nie spuszczając już oka z twarzy Rozalii, zaczął słuchać z natężeniem. Jęk się powtórzył i przeszedł w wyraźny płacz dziecka, ale poruszenie żony, które przy pierwszem ozwaniu się tego głosu postrzegł, było wyraźnie złudzeniem, gdyż Rozalia spała spokojnie i żadnym znakiem nie okazywała, że czuje, iż mąż na nią patrzy, i słyszy, że coś za oknem płacze. Uspokojony tem spostrzeżeniem, pan Klemens słuchał dalej i wkrótce przekonał się, że jakaś nieszczęśliwa istota jest rzeczywiście za ich oknem, że ją ostre powietrze listopadowej nocy dotyka, że zatem płaczem, żałosnym głosem, skarży się gwiaździstemu niebu na swoje opuszczenie, i pomocy ludzi wzywa. Nie pojmując wcale, co o tem myśleć, i odpierając całą mocą woli straszące obrazy, które się tłumnie do jego głowy cisnęły, wstał cicho, żeby żony nie zbudzić, i zarzuciwszy na siebie szlafrok, przystąpił do okna, odchylił firankę i patrzył, zkąd pochodził ten płacz, coraz głośniejszy i coraz wyraźniej do pokojów przedzierający się. Tuż przy oknie spostrzegł niewielki koszyk, a w nim zewsząd otulone dziecko, którego twarzy dojrzeć nie mógł, ale widział, że nad nią zrobiona była jakby budka osłaniająca i nie tamująca oddechu. Z razu sam nie wiedział, jak sobie poradzić. Już mu przychodziło na myśl, nie budząc żony, wyjść cicho, posłać kamerdynera, aby nieszczęśliwą tę istotę wyjął i odniósł zaraz na wieś do jakiej

matki, którąby zapewnił, że za wyżywienie i utrzymanie tej sieroty sowicie wynagrodzoną zostanie. Ale w tymże samym czasie biedne to stworzenie odezwało się tak żałośnie, tak jękiem swym wdzierało się do jego serca, że przypomniawszy sobie marzenia i myśli swe, które go przed tym wypadkiem tak słodką nadzieją kołysały, i sądząc, że Bóg może tem pewniej pocieszy go jej spełnieniem, jeżeli się nad sierotą ulituje, da jej w domu swym przytułek i wychowanie, zdecydował się wcale inaczej. Nie chcąc wszakże nic w tej mierze poczynać bez wiedzy i przyzwolenia żony, najpierw ją zbudzić i to, co im Bóg tymczasowo posełа, okazać postanowił. Przystąpił więc do łoża i zaczął wołać na żonę. Ale sen jej był tak twardy, że się na głos jego nie ocknęła. Dotknął jej z lekka ręką, ale i to nic nie pomogło. Zmieszany cokolwiek, nachylił się do jej twarzy. Oddech był równy i sen głęboki. Postrzegł wprawdzie pan Klemens, że pot wystąpił na jej czoło, które było jak lód zimne i chłodnemi kroplami zmoczone, ale że biedne dziecię mocniej jeszcze płakać zaczęło, nie miał czasu wyprowadzić ztąd żadnych wniosków, i podłożywszy prędko rękę pod poduszkę, podniósł ją delikatnie i żonę na łóżku posadził. Wtedy dopiero przebudziła się Rozalia i oczy przecierać zaczęła. Gdy spostrzegła męża stojącego przy sobie, przelękła się, zadziwiła i odgartując włosy z czoła, zawołała:

— Co to jest, Klemensie? Ach! Boże! jakżem ja spała. Dla czegoś wstał, czyś nie chory?

— Nie, moje życie — odpowiedział pan Klemens — ale mamy gościa.

— Kogo? — zawołała, przecierając jeszcze oczy — czy nie mama?

— Nie, nie, ale słuchaj — w tej chwili dzieciątko mocno płakać zaczęło.

— Co to jest? — krzyknęła wówczas Rozalia i równemi nogami porwała się z łóżka.

— Weź co na siebie, bo chłodno — rzekł mąż, i orzucił ją wielkim szalem, który mu się nawinął. Tak otulona i cała drżąca, przystąpiła do okna, i spojrzawszy na stojący koszyk i słysząc słabnący już płacz dziecka, załamała ręce i krzyknęła:

— O mój Boże! na takiem zimnie! biedne! biedne stworzenie!

W głosie jej była taka boleść, że pan Klemens aż się przeląkł. Prędko więc dodał:

— Obudziłem cię umyślnie, Róziu, żeby się z tobą naradzić, co z tem zrobimy...

— Ale to potem, Klemensie, potem! — zawołała prędko — a teraz każ je wziąść, ogrzać, nakarmić. To biedactwo tam zmarznie — czy słyszysz jak głos jego słabnie; o! nieszczęśliwe dziecko... bez matki!

— Ty nią będziesz, Róziu! — rzekł wzruszony i poczciwy pan Klemens.

— O! będę, będę... ale idź, każ je wziąć — i rzuciła się do dzwonka i szarpać zaczęła za sznurek. Służąca przestraszona wpadła w jednej koszuli. Rozalia porwała ją za rękę, przyprowadziła do okna i ukazując koszyk, zawołała:

— Patrz! ktoś nam podrzucił biedną jakąś dzie-

cinę. A tam tak zimno, już prawie płakać nie może. Zbudź Widalskę. Biegnijcie prędzej, przynieście je, ogrzejcie.

Służąca wybiegła. Pan Klemens, wdziawszy ciepłe, aksamitne buty, wyszedł wydać potrzebne rozporządzenia; wtedy Rozalia, obaczywszy się samą, westchnęła z głębi piersi, wyciągnęła ręce do kwilącej za oknem dzieciny, i zakrywszy potem twarz dłońmi, zsunęła się przy oknie na kolana i gorzko płakać zaczęła. Wkrótce jednak opamiętała się, obejrzała się ku drzwiom, którędy mąż wyszedł i wstrząsnąwszy się w całej swej istocie, zawołała: — Dzięki ci Boże! — I nic w tem dziwnego. Na dworze było zimno, a Rozalia była kobietą. Tak podziękowawszy Bogu, że się dobry uczynek nad sierotą spełni, powstała z miejsca, otarła prędko łzy, i zaczęła się odziewać. W tej chwili nadszedł mąż i oznajmił jej, że już kazał zaprządz konie do bryczki, i posłał na wieś po jaką kobietę, która niedawno urodziła, aby przyjechała z dzieckiem swem do dworu i karmiła tymczasem biednego podrzutka, nim dobrą mamkę wyszukają.

— Dziękuję ci, Klemensie! — rzekła już spokojnie Rozalia — że ci to pierwej na myśl przyszło, niż mnie, choć jestem kobietą i może sama będę matką — dodała, patrząc ze znaczącym uśmiechem na męża, którego oczy błysnęły radością — ale doprawdy, tak byłam przestraszona widokiem tej nieszczęśliwej ofiary, szczególniej tą myślą, że może tam zmarznąć bez ratunku, żem straciła głowę. Czy już je wzięli? — zapytała, ubierając się i nie idąc do okna — bo coś ucichło.

Pan Klemens przystąpił, spojrzał i uspokoił żonę, że już koszyka nie ma.

— Poczciwej Widalsi oddam je w opiekę — mówiła dalej Rozalia — ona taka dobra i sama była matką. I jeżeli to dziewczynka — dodała spuszczając oczy — to potem sama się nią zajmę.

— Jak ci się spodoba, moja Róziu! — rzekł pan Klemens.

— A cóż? żyje? — rzekła wówczas Rozalia do wchodzącej służącej.

— Żyje, proszę pani — odpowiedziała służąca — a takie śliczne dzieciątko, jak aniołek.

— A gdzież ono?

— Jest tu w garderobie, proszę pani.

— Klemensie! ja pójdę obaczyć — rzekła Rozalia dość obojętnie.

— Jak chcesz, odpowiedział mąż, ale możeby Widalska sama opatrzyła.

— Wszak położono je pod mojem oknem — rzekła Rozalia — widać, że biedna matka chciała, żebym i ja miała o niem staranie.

Poszła więc Rozalia do garderoby, przystąpiła prędko do koszyka, stojącego na łóżku Widalskiej, i nachylając się nad biedną dzieciną, która zmęczona widać płaczem, i poczuwszy ogrzane powietrze, usnęła, patrzyła długo w śliczną i pełną twarzyczkę, i widocznie mocowała się z sobą, aby nie okazać zbytecznego czy bolu, czy radości.

Gdy rozwinięto okrywające je ładne i ciepłe pierzynki i kołderki, pod niemi cieniutką bieliznę, w której dziecina była obwinięta, okazało się, że to

był chłopczyk zdrowy, tłusty i rumiany, że miał na szyjce wstążeczkę, a na niej jakby pugilares z cienkiej materji, który osłaniał jego piersi i z którego wyglądał papier.

— Chodź, Klemensie! chodź! obacz, co to za śliczny chłopczyk — rzekła Rozalia, obracając się do męża, który stał we drzwiach — szkoda, że nie dziewczynka — dodała — ale cóż robić? I tego biednego chłopczyka wychowamy, nieprawdaż? jak porządną ma wyprawę, jak starannie był otulony! O biedna matka, ile ona musiała łez wylać, okrywając dziecię swe po raz ostatni, i wyrzucając na mróz, na niepewne, czy je przyjmą, czy go nie podrzucą gdzie dalej, pod inne drzwi, pod inne okno! czy wiesz, że to okrutne? Krew się we mnie ścina, na samą myśl takiego położenia! — Pan Klemens potwierdził, że rzeczywiście jest to dla matki moment bardzo okropny.

— Ale tu, proszę pani, jakieś pismo — rzekła Widalska, wydobywając delikatnie papier zapisany.

— Pokaż, Widalsiu! — rzekła Rozalia biorąc — opatrzcież tu i otulcie dobrze tę biedną dziecinę, nim przywiozą jaką kobietę z piersią. A my tymczasem, mężu, przeczytajmy.

Wrócili więc do sypialnego pokoju, kazali sobie więcej dodać światła, a pan Klemens, wziąwszy z rąk żony list, na ładnym welinowym półarkuszu napisany, przypatrywał się charakterowi, śledził formę pojedyńczych liter, i, czy to z ciekawości, czy z podejrzenia, tak starannie go egzaminował, że rozciągnąwszy do światła, nawet o znakach wodnych

nie zapomniał, którym się troskliwie przypatrzył. Przez cały ten czas żona stała obok milcząc, i nie przerywała niecierpliwością tego zajęcia męża. Gdyby był pan Klemens wówczas nie na znaki wodne, ale na jej twarz spojrzał, może byłby więcej się dowiedział i prędzej wpadł na ślad, któryby go do rozwiązania tej zagadki doprowadził. Ale mężowie zwykle patrzą nie tam, gdzie trzeba.

List, pisany widocznie ręką dobrze wychowanej kobiety, zaadresowany do nich obojga, zawierał następujące słowa:

„Szanowni państwo! jesteście bezdzietni i bogaci, jesteście litościwi i darów Boga umiecie używać po chrześcijańsku. Okryta wstydem, opłakując gorzkiemi łzami błąd młodości i grzeszne uniesienie niedoświadczonego serca, padam na twarz przed wami i błagam was o miłosierdzie nad nieszczęśliwą istotą, której dałam życie, a do której jawnie przyznać się i nad którą czuwać nie mogę. Ty, piękna pani! uczujesz całą nieskończoną boleść, która rozrywa moją duszę, gdy słowa te kreślę. Bóg nie dał ci jeszcze być matką, ale w piersiach jest serce kobiety, które krzyk matki zrozumie i w którem znajdzie się głos, co za moją biedną, przezemnie odrzuconą sierotą przemówi!“

Rozalia, która list ten czytać zaczęła, rozpłakała się w tem miejscu i oddała pismo mężowi. Pan Klemens znalazł naturalnem to głębokie współczucie żony, gdyż słowa były rzeczywiście pełne tkliwości i prawdy, a i sam, zostając pod urokiem marzeń, które go w tej pamiętnej dla niego nocy ko-

łysały, wzruszył się, otarł nieznacznie łzę, która mimowolnie oko jego zwilżyła, i wziąwszy list z rąk płaczącej żony, czytał dalej:

„Na cóż wam wiedzieć, kto jestem, i co mnie zmusza do wyrzeczenia się najsłodszej powinności najświętszego dla każdej kobiety obowiązku? Muszę być bardzo nieszczęśliwa, wszystkie formy i przepisy społeczności muszą żelaznem ściskać mnie pętem, kiedym się odważyła na ten krok rozpaczy, kiedy od piersi swej oderwawszy drogie moje dziecię, zostawię je same pod waszym progiem wtedy, kiedy może zimno ściśnie ziemię, kiedy wiatr ostry zaszumi nad jego niewinną głową, kiedy nie będę pewną, czy płacz jego was dojdzie i wzruszy was do miłosierdzia i litości. O szanowni państwo! jeżeli czytacie te słowa, wiedzcie tylko to, że za waszą łaskę otrzymacie nagrodę; że łzy i modlitwy moje wyproszą wam u Boga słodką w życiu waszem pociechę; bo ja nie będę go błagać o przebaczenie dla siebie, ale tylko o błogosławieństwo dla was za to, że biednej dziecinie, której własna matka wyrzec się musiała, dacie przytułek i wychowanie. Bo nie myślcie, zacni państwo, abym inny cel miała, oddając wam mojego syna. Jeśli Bóg i wasza łaska zachowają go przy życiu, obejdzie się on bez udziału waszych bogactw, które wszystkie zachowajcie dla waszego potomka, jakim zapewne w nagrodę za dobry uczynek niebo was obdarzy. Ale dajcie mu zdrowie, dajcie mu wychowanie, o to was ze łzami i na kolanach proszę. Jesteście bogaci, nic was to kosztować nie będzie, i ten kawałek chleba, który

mu udzielicie, nie połączy się pewnie z żadną wymówką, jaka zwykle zaprawia gorzki pokarm sieroty. Dla tegom was wybrała, aby nie był ciężarem dobroczyńcom swoim, nim wyrośnie, nim się wzmocni, i nauczy się o własnych siłach przedzierać przez ciernie tego życia. Przyjdzie może czas, że przezwyciężę wstyd, który mi dziś najwyższą rozkosz na ziemi wydziera, że upadnę do nóg waszych i za dobrodziejstwo wasze wam podziękuję. Tymczasem wyciągam do ciebie ręce, zacna, dobra, piękna pani! spojrzyj czasem na moje biedne dziecię okiem matki, uśmiechnij się do niego tym uśmiechem, który aniołowie na ustach kobiety złożyli; obdarz go niekiedy tą pieszczotą, jakiej ja grzeszna i występna dać mu nie mogę, a obaczysz, że za tę dobroć nagrodzoną zostaniesz. Ściskając i pieszcząc twoje własne dziecię, poznasz, jak jestem nieszczęśliwą, jakiej rozkoszy odmówić sobie muszę, i jak wielkie, zastępując mnie, wyświadczysz mi dobrodziejstwo!"

Pan Klemens podniósł w tej chwili oczy na żonę, a widząc, że łzy dwoma strumieniami płyną po jej twarzy, nie zdziwił się bynajmniej, że ją ta słodka przepowiednia tak mocno wzrusza, ale sam do żywego dotknięty, i prawie pewny, że się spełni, wziął jej rękę i z uniesieniem ucałował. Rozalia pocałowała go także w czoło i prosiła aby czytał dalej. Czytał więc co następuje: „Kończę już, bo mi sił nie staje, a zbliża się chwila rozstania, która tyle odwagi, tyle mocy wymaga. Bóg mi dopomoże, i to przekonanie, że dziecko moje w najszlachetniejsze ręce oddaję, uspokaja mnie. Syn ten urodził

mi się dnia 28. września. Jest ochrzczony w wyznaniu rzymsko katolickiem. Na chrzcie świętym dano mu imię Tadeusz, które z sobą przyniósł. Nazwiska niestety! nie ma żadnego, bo matka jego była słabą, grzeszną, bo w chwili uniesienia i obłąkania namiętności zapomniała o tem, że może rzucić w świat biedną istotę, która nie przyniesie z sobą na ziemię żadnych praw, której nazwisko ojca nie utoruje drogi w życiu, i nie osłoni tarczą swą od pocisków szyderstwa i złości. O ty, drogi mój bezimienny aniołku! darujże to zapomnienie matce twej! Strzeż się, abyś w żadnej złej chwili nie obarczył jej za to wymówką, bo serce jej i tak zranione, od ciebie tylko balsamu i złagodzenia bólu swego oczekuje. Bądź zdrów mój synu! Żegnam cię, moja jedyna nadziejo! i błogosławię tę pierwszą drogę twą, w której niech Bóg nad tobą czuwa, niech matce twej przebaczy, i w sercu obcej ci kobiety choć cząstkę mojej dla ciebie miłości złoży!“

Gdy pan Klemens list ten skończył, Rozalia zawołała: — Biedna! biedna kobieta! — Mąż wcale się nie zdziwił tem współczuciem i nie przeczył, a dla uspokojenia żony, której głębokie wzruszenie widział, i którego złych skutków w spodziewanej dla siebie wielkiej radości obawiał się, przyrzekł, że jej pozwoli zająć się tym chłopczykiem, jak się jej podoba, i że sam z całego serca do dania mu edukacji i zapewnienia sposobu do życia przyczyni się. Rozalia wyciągnęła do niego rękę, i uśmiechnęła się tak słodko, iż zdawało się, że to był doprawdy ten uśmiech, jaki aniołowi na ustach kobiety zło-

żyli, i o którym owa biedna matka w liście swym napisała. Zapieczętowawszy te zgodne myśli i zgodne chęci względem podrzuconej sieroty wzajemnem rąk uściśnieniem, zaczęli zgadywać, wnioskować zkąd się pod ich oknem wziąść mogła. Wszakże trudno było bardzo wpaść od razu na drogę jakiegobądź odkrycia, tem bardziej panu Klemensowi, który niedawno wrócił z Petersburga i ośmnaście miesięcy w domu nie był. Tę ich bardzo naturalną, chociaż nieużyteczną rozmowę przerwał turkot kół na dziedzińcu pałacu. Domyślając się, że przywieźli kobietę ze wsi i posiłek zgłodniałemu dziecku, które płaczem już głośniejszym i śmielszym dopominało się o pokarm, poszli oboje do garderoby. Wkrótce weszła tam także młoda, przystojna podolska chłopka, z dziewczynką otuloną kożuchem. Rozalia przystąpiła do niej, pogłaskała ją po twarzy, a pokazując jej dziecko, opowiedziała w kilku słowach, co się stało, i prosiła, aby mu dała piersi. Chłopka pocałowała panią swą w rękę, przystąpiła do pana, i nachyliła się do jego kolan, potem, położywszy dziecię swe na łóżku garderobiany, rozebrała się, usiadła, i gdy jej podano w cienką i ładną poduszeczkę obwiniętego Tadeuszka, karmić go zaczęła. Chwycił nasz bohater energicznie za pierś białą i pełną tego mleka, której błogosławiona ziemia podolska płynie, a pan Klemens i Rozalia, zaspokoiwszy się w tak nowych dla siebie rodzicielskich troskach, kontenci, że im się udało od zimna i głodu ochronić niedołężną ludzką istotę, w tem słodkiem uczuciu, jakie daje dobry uczynek, i w słodszej jeszcze nadziei,

że nagrodzonym zostanie, poszli pokrzepić snem ciało, znużone wzruszeniami tej ważnej dla obojga nocy.

III.

Nazajutrz oboje mieli dość zajęcia. Pan Klemens, zastanawiając się z uwagą nad wszystkiemi okolicznościami, towarzyszącemi podrzuceniu dziecka, nie mógł się opędzić od złych i trapiących myśli. Jak mary niewyraźne snuły się przed jego oczami różne straszydła, którym wszakże żadnej formy jasnej dać nie umiał. Jakkolwiek postępowanie żony przez cały ciąg jego niebytności nie mogło mu natchnąć żadnego podejrzenia, a jej zadziwienie, przestrach, a nawet łzy, które wczoraj wylewała, były naturalnym skutkiem i osobliwości wypadku i politowania nad stanem opuszczonej dzieciny, nad położeniem nieszczęśliwej jego matki, przeklinał wszakże w duchu to tak długie oddalenie z domu, niemożność skontrolowania każdego jej kroku, każdej myśli, a przypuściwszy nagle, co w człowieku tak podejrzliwym było rzeczą naturalną, że może jest ofiarą bezprzykładnej chytrości, że sam własnym chlebem ma wykarmić owoc występnej jakiejś tajemnicy, której przeniknąć nie jest w stanie, a o której może okolica wie, że zatem będzie przedmiotem pośmiewiska całego kraju, do wściekłości prawie dochodził i dziwną jakąś nienawiść do niewinnego stworzenia, które wczoraj przygarnął, w sercu swem poczuwać zaczął. Wszakże stan ten przykry trwał tylko chwilkę i jak błyskawica rozdzierał chmury, które duszę jego za-

legały. Gdy się zastanowił nad niepodobieństwem, aby występek, który sobie uroił, mógł być prawdziwym; gdy przeszedł myślą wszystkie stosunki żony, wszystkie osoby, które w czasie nieobecności jego widziała, uspokajał się znowu, i powracał do tych słodkich nadziei, jakiemi się wczoraj kołysał.

Wśród takiej walki myśli, podejrzeń i nadziei, zastała go żona, która przyszła oddać mu dobry-dzień i z nim razem wypić śniadanie. Pan Klemens zapytał o dziecię i patrzył jej bystro w oczy, oczekując co powie. Twarz Rozalii nie zmieniła się bynajmniej. Odpowiedziała bardzo naturalnie, że biedne dzieciątko spi zapewne, że go nie widziała jeszcze, ale służąca upewniała ją, że nassawszy się dobrze, było resztę nocy spokojne.

Pan Klemens uspokoił się także tą odpowiedzią, i oddał jej list matki biednego podrzutka, który jeszcze raz odczytał i przy dniu wyegzaminował, aby go u siebie schowała. Rozalia, biorąc w rękę list, dodała z uśmiechem:

— Jednak to ciekawa rzecz, kto ta nieszczęśliwa kobieta i jakim sposobem zdołała tak tajemnie przedrzeć się w nocy do ogrodu i tam koszyk postawić. Mój Klemensie, każ wybadać ogrodnika, stróża, a także wypytać we wsi, czy wczoraj nie był kto, czy kto nie nocował? Może na jaki ślad padniemy.

Pan Klemens uspokoił się jeszcze bardziej tą propozycją żony i podziękował w duchu Panu Bogu, że urojenia jego są rzeczywiście płonne i niedorzeczne. Obiecał więc zadość uczynić jej ciekawości. Potem, pomyślawszy chwilę, dodał:

— Trzebaby jednak dziecko to gdzie ulokować z mamką, którą dziś zapewne znajdą. Ja myślę — dodał, patrząc na żonę i śledząc każdy ruch jej twarzy — żeby najlepiej w tym pokoju, co jest przy twojej garderobie. Będziesz bliżej twego wychowańca. Na sługi spuszczać się nie można. A jeżeli mamy być dobroczyńcami tej sieroty, to nie róbmyż nic w połowie.

— Jeżeli tak każesz — odpowiedziała Rozalia spokojnie — to niech tak będzie; ale mnie się zdaje, żeby to już było zanadto z naszej strony. Pokój ten przedzielony od naszego sypialnego tylko jedną garderobą. Dziecko może być niespokojne, może być niezdrowe i wtenczas płacz jego nie da nam spać i uprzykrzonym się stanie. A przytem w tym pokoju jest moja kąpiel, nie chciałabym się pozbawiać tej wygody i nawet nie miałabym się gdzie podziać z moją wanną. A być tam razem z mamką i dzieckiem nie życzyłabym sobie. Chyba gdyby to było... — dodała, patrząc z uśmiechem na pana Klemensa.

— Twoje własne! — przerwał mąż, najzupełniej uspokojony i uradowany, biorąc jej rękę i do ust przyciskając.

— O! wtenczas — odpowiedziała Rozalia — odór dziecka i mamki byłby mi miłym. Wtenczas wyprosiłabym cię bez ceremonii z mojego pokoju i umieściłabym nasz skarb tuż przy sobie.

Pan Klemens w uniesieniu radości nachylił się do jej kolan i uściskawszy je, podniósł się lekko z miejsca, jakby wielki jaki ciężar spadł z jego serca.

Potem przeszedłszy się parę razy po pokoju, wrócił do żony, która tymczasem piła herbatę, i rzekł:

— Jednak moja Róziu! trzebaby gdzieś obmyślić kącik dla tego biedactwa.

— Już ja nad tem myślałam — odpowiedziała Rozalia. — Chciałam zrazu zaproponować ci, żeby je oddać na wieś do jakiej dobrej kobiety, choćby do tej samej, co je teraz karmi, i którąby za dobrą nagrodę przyjęłaby je chętnie.

— Ależ moja Róziu! — rzekł pan Klemens trochę zadziwiony. — Cóżby to było za dobrodziejstwo z naszej strony?

— Otóż widzisz! — rzekła, nieznacznie odetchnąwszy i spuszczając oczy na filiżankę, w której już nic nie było — pewna byłam, że na to nie pozwolisz, tem bardziej, gdym sobie przypomniała niektóre słowa tego listu. — Tu znowu uśmiechnęła się do męża, który zrozumiawszy ten uśmiech, ucałował znowu jej rękę i zapytał:

— Jakżeś się zdecydowała?

— Tak zrobimy — odpowiedziała Rozalia powstając i wziąwszy pod rękę pana Klemensa, przechadzać się z nim zaczęła. — Wiesz, że Widalska, choć najpoczciwsza w świecie kobieta, jest mi już niedogodną. Jest za ciężka, nieruchawa, zanadto otyła, a szczególniej gada ustawicznie, tak, że mi to czasem przykrość robi. A przytem, nie może już moich sług dopatrzeć dobrze, które ciągle się z nią sprzeczają i na złość jej robią. Otóż chciałabym poczciwej Widalsi dać spokojniejszy kawałek chleba i sobie także oszczędzić przykrości. Każ mi w której

oficynie naznaczyć pokoik z osobnem wyjściem, tam ją ulokuję i oddam jej pod opiekę tę sierotkę, a pod komendę mamkę i jaką do usługi dziewczynę. Tym sposobem wszystkiemu się dogodzi, nieprawdaż?

Zgodził się mąż na tę propozycję żony i w parę dni potem mamka się znalazła zdrowa i młoda, dwa pokoiki w oficynie, z sioneczką i osobnem wyjściem na ogród, zostały urządzone i opatrzone w nieodbicie potrzebne sprzęty, a Widalska, która od razu przywiązała się do chłopczyny, z tą łatwością, z jaką serce kobiety dobrej, już niemłodej i która miała dużo dzieci, przylega do takiego niemowlątka, w którem widzi wszystkie przymioty, a nawet rysy przypominające jej pierwsze lub ostatnie dziecko, z ukontentowaniem podjęła się tej nowej funkcji, gdzie i swoje doświadczenie okazać mogła, gdzie była zupełnie niezależną, gdzie spodziewała się zbyć się wrzawy garderoby i dozoru nad kilkoma ładnemi dziewczętami, które czuły to dobrze, że młode i ładne.

— Chodź, moje złoto! chodź mój robaku! — mówiła, przenosząc się już na nowe mieszkanie i na drogę powijając bohatera naszego. — Nie będziesz miał u mnie krzywdy. Ja nie zaspię, jak zapłaczesz w nocy; dostaniesz zaraz mleczka dobrego, smacznego mleczka. No, no! nie płaczże tak — wołała do chłopca, który wyciągał ręce i nie dawał się krępować — trzeba cierpliwości, kochanku, bo to dla twojego dobra cię wiążą. A jak się krzywi i mocuje! żwawy chłopiec, nie uroku! zupełnie taki, jak mój nieboszczyk Jasio, biedny aniołek, co mi umarł

na frybrę, wtenczas jak panowała na Podolu, i kiedy to tyle bydła wyzdychało. Dajno mi poduszeczkę, Kseniu! wszak Ksenia ci imię? — dodała, odwracając się do nowej mamki i wyciągając do niej prawą rękę, tymczasem lewą przytrzymywała rączki Tadeusza, który wrzeszczał i główką kręcił, jakby czytał Emila Russa i wiedział, że go niepotrzebnie wiążą i do niewoli życia przyuczają.

Gdy mamka, niewprawiona jeszcze do nowych swych obowiązków, nie tę, której chciała, podawała jej poduszkę, Widalska odstąpiwszy od łóżka, poszła sama do miejsca, gdzie garderoba dziecka leżała i pokazawszy mamce, jaka pierzynka i kołderka do czego służy, wzięła żądaną poduszkę i szła napowrót, przewalając swoją ogromną korpulencją na prawo i na lewo i szorując wydeptanemi trzewikami, gdyż nogi jej pod ciężarem ciała sfatygowane, często jej puchły i innego obuwia nosić nie mogła.

Tymczasem bohater nasz, poczuwszy chwilę swobody, rzucił się dzielnie na pościeli i robiąc łokciami i kolanami, rozwinął pieluszki i rączki i nóżki na wierzch wydobywszy, machać niemi zaczął.

— Chryste Jezu! — krzyknęła Widalska wróciwszy i spostrzegłszy. że dzielny malec całą jej robotę w niwecz obrócił. — Patrzcie państwo! takie to małe, a takie już nieposłuszne! co to będzie dalej? Poczekajno, ty zuchu! nic ci to nie pomoże. Be! be! krzycz nie krzycz, a taki cię związę i nie będziesz wymachiwał kułakami. Miałam ja już takich, a dałam im radę. Nie lepszy był i mój Staś i Franek i Jacunio mój biedny, co mi umarł na ospę. No,

dawaj ręce, chłopcze! będzie jeszcze czasu dosyć do woli i swywoli.

Tak gadając i okręcając powijaczkami piękne i pulchne ciałko Tadeuszka, pokonała nareszcie jego opór, położyła ukośnie poduszkę i złożywszy na niej dziecię, usznurowane jak żyjąca mumia, otuliła je tą sporą pierzynką, przewiązała jeszcze z wierzchu i nakrywszy twarzyczkę chustką, oddała mamce. Potem, odziawszy się w salopę i zarzuciwszy na głowę chustkę, zawołała na służącą, aby wzięła koszyk, w którym cała garderoba dziecka była złożona i takim ceremoniałem idąc sama naprzód, we środku mając mamkę z dzieckiem, a w odwodzie dziewczynę z koszykiem, poszła do nowego mieszkania.

Mieszkanie to było szczupłe, ale suche i ciepłe. Składało się z sionki wychodzącej na ogród i z dwóch pokoików. W pierwszym była dla Widalsi kanapka, cycem pokryta, stolik, szafka na rzeczy, druga na rozmaite przysmaki, słoiki, flaszeczki z ulepkiem; było tam także kilka stołków, w drugim, którego okno wychodziło na dziedziniec, było jej łóżko, wysoko piernatami wysłane, kołdrą w wielkie kwiaty przykryte i czterema poduszkami, pod ścianą piętrzącemi się, opatrzone. Nad łóżkiem wisiał św. Józef z lilią w ręku, patron nieboszczyka jej męża, któremu, choć się czasem napijał, przez pamięć jednak trzynaściorga dzieci, niezłomną zachowywała wierność i wdzięczne zawsze wspomnienie. Z lewej strony świętego obrazu była gromnica, na różowej wstążeczce zawieszona; z prawej pęczek kwiatów zeschłych, od dnia uroczystości Najświętszej Panny

Zielnej za obraz zatknięty i mający się dopiero na drugą takąż uroczystość przemienić; także kropidełko z flaszeczką święconej wody, która jej pani z Poczajowa, ze stopki Matki Boskiej przywiozła, gdzie podobno przed przyjazdem pana, w czasie goszczenia swego u matki, była. Przy łóżku stał stolik, na którym leżał kalendarz Berdyczowski, Złoty Ołtarzyk w czarną skórę oprawny, kantyczki, krótkiego ale grubowatego formatu, w obdartych okładkach i z rogami ćwiartek w trąbki pozakręcanemi. Przy tej bibljotece Widalsi, leżała duża pończocha, z potężnej widać nogi, do pięty już dorobiona i grubym dość drutem przepięta. W szufladce zaś od stolika, cokolwiek otwartej, widać było sennik, który musiał być w częstem użyciu, jak z okładek można było zmiarkować i talią zatłuszczonych i starych kart, na których ciągnęła kabałę. Przy drugim końcu łóżka, obrócone grzbietem do piernatów, stało wielkie krzesło z poręczami, mebel dla Widalsi najkosztowniejszy, bo mieściła się w niem doskonale, mogła się oprzeć plecami i robiąc pończochę, miała na czem położyć łokcie, które ciągle prawie musiała nosić na powietrzu, gdyż tłuste niezmiernie boki rozpierały je i od korpusu odpychały.

Naprzeciwko łóżka, w próżnym i czystym zupełnie kącie, stała kolebka Tadeuszka, którą Widalska tymczasowo od ekonomowej pożyczyła, kołysząca się na prostym, krajowym, ale czystym dywaniku, aby bieguny jej nie stukały o podłogę. Od okna zasłaniał kolebkę jakiś stary parawanik, który sobie wyprosiła od koniuszego, aby światło nie ra-

ziło ócz jej wychowańca i wiatr od okna nie zawiewał. Tapczan dla mamki, zasłany dobrym siennikiem, opatrzony poduszką i kołdrą, które Widalska zdobyła w garderobie przebojem i prawie gwałtem wydarła jednej z najkapryśniejszych garderobianek, stał pod ścianą naprzeciw okna. Oprócz tych mebli, była jeszcze w tym pokoju komoda na pieluszki i inne rzeczy chłopczyka, niski stołek dla mamki, na którym siedzieć miała w czasie karmienia i drugi stołeczek pod nogi dla Widalskiej, rzecz dla niej nieodbita i którą równie ceniła jak sennik, karty od kabały i tabakierkę, która się jej w spuściźnie po nieboszczyku mężu dostała.

Do takiej siedziby, dnia 18 listopada 1814 roku bohater nasz przeniesionym i w przygotowanej na przyjęcie jego kołysce złożonym został. Do całego tego urządzenia, do tych przenosin, Rozalia nie mięszała się wcale i póty wychowańca swego odwiedzieć nie poszła, póki pan Klemens, zdziwiony cokolwiek tą obojętnością, sam jej tego spaceru nie zaproponował. Gdy przyszli, chłopiec spał, przykryty starym, zielonym woalem Widalskiej, który jej kiedyś Rozalia podarowała, a który ona przez wzrastające przywiązanie do powierzonego jej dziecka, odpięła od cynamonowego swego kapelusza, pozbawiając się tym sposobem ozdoby, której tylko w czasie uroczystych świąt do kościoła używała.

Uradowana przybyciem państwa najobszerniejsza ze wszystkich ochmistrzyń, jakie kiedy były, wyszła naprzeciwko nich do pierwszego pokoiku i kłaniając się z uśmiechem, prosiła, aby raczyli wejść i oba-

czyć chłopczyka, który jak jakie paniątko ulokowany i opatrzony.

— Żeby jasna pani wiedziała, co to za swywolnik, jaki duży i mocny, to do podziwienia! Nie ma jeszcze podobnoś i dwóch miesięcy, a wygląda jak dziecko na kwartał. Rychtyg, taki był mój Jacunio, to też mi się nie wychował i umarł na ospę. Ale ja to nie dla tego mówię, żeby i temu aniołkowi miało się stać co podobnego — dodała, zmiarkowawszy się i postrzegłszy, że twarz Rozalii drgnęła i cokolwiek się zmieniła, czego pan Klemens naturalnie nie uważał, bo wtedy oglądał się po pokoju i patrzał na jego umeblowanie. — Niech go Bóg uchowa — mówiła dalej — i zapewne jasna pani każe mu zaraz zaszczepić ospę, żeby jakiegoś przypadku nie było. Już ja o tem wspominałam ekonomowi, ale on mi odpowiedział, że teraz zła droga i nie można do miasta posełać. Co to za ludzie! żal się Boże im co mówić.

— Bądź spokojna, Widalsiu! — odezwał się pan Klemens, widząc, że żona jego milczy i jakby ją raziło powietrze tej izby, trzyma chusteczkę przy ustach i nosie. — Ja sam mu każę, to jutro będzie felczer z ospą.

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu — odpowiedziała stara kłaniając się. — To już będę spokojna, byle się z ospą dobrze skończyło. Potem przyjdzie chyba kur; ale kur, to już fraszka, byle dopilnować. Miałam razem sześcioro dzieci na kur chorych, a nic im się nie zrobiło. Walerka tylko trochę zazię-

biła się i było już koło niej źle, ale jakoś Pan Bóg dał, że się obeszło bez kropidła i kadzidła.

— Ale pokaż że nam drugi pokój! — rzekła wreszcie Rozalia widząc, że Widalska wpadła na materję, w której była niewyczerpaną.

— Przepraszam jasną panią. Zapomniałam, że jasnej pani pilniej obaczyć Tadeuszka, jak słuchać moich andronów. Ale nic nie szkodzi, że ja sobie pogadałam. Ot i mój nieboszczyk Jacunio na coś się przydał, choć po śmierci. Gdyby mi na myśl nie przyszedł, nie miałabym jutro felczera z ospą. Ale proszę jasnych państwa! — dodała i wtłoczyła się bokiem we drzwi, których połówka tylko otwierała się, dla tego, że z sieni i pierwszej izby wiało.

Gdy przybliżyli się do kolebki, Widalska podniosła zielony woal, i pokazała im chłopczyka. Bielizna jego była czysta, twarzyczka pełna i rumiana, spało dziecko tym snem błogim, którego trwanie i siła zmniejsza się coraz, w miarę rozbudzania się duszy, w miarę wstającej do czuwania myśli, której często żaden trud, żadna fatyga, ciała ukołysać nie może.

Rozalia spojrzała na dziecko, a pan Klemens na żonę. Ale nic dostrzedz nie mógł, bo młoda kobieta, nieprzywykła do tych wyziewów, które się unoszą w pokoju dziecinnym, gdzie kołyska i mamka, trzymała chustkę przy ustach i większe pół twarzy nią zasłoniła.

— Więc masz tu wszystko, Widalsiu? — rzekła po chwili Rozalia, oglądając się na mamkę, która w czystej koszuli i nowej chustce na głowie, stała pod

piecem w tej pokornej postawie, jaką mają poddanki w obliczu swych panów.

— Dziękuję jasnej pani — odpowiedziała. — Na niczem nam tu nie zbywa. Prosiłabym tylko aby jasna pani kazała tu przynieść drugą poduszkę dla mamki, bo i tę ledwie wydarłam od Jagusi, która mi jej dać nie chciała, a sama ma ich aż trzy. To bardzo rozpuszczone dziewczęta, proszę jasnej pani.

— Musisz być, Widalsiu, kontenta — dodała Rozalia z uśmiechem, i wychodząc już z pokoju, po którym jeszcze raz niedbale spojrzała — żeś się ich pozbyła.

— A, proszę jasnej pani! któżby nie był kontent? Miałam ja z niemi dość zmartwienia.

— A ten nowy obowiązek podoba się Widalskiej? — dodał pan Klemens.

— Jakże nie, jaśnie wielmożny panie? — odpowiedziała idąc za niemi. — Czy to ja nie przywykłam do dzieci? Chryste Jezu! miałam ich trzynaścioro. Jak mi się mój nieboszczyk Jasio urodził, co umarł na febrę, Panie świeć nad duszą jego, to myślałam, że w głowę zajdę i nie dam sobie rady. Ale przyszła potem Marysia, a potem Magdeczka, a dalej Wicuś, i na intencją nieboszczyka męża mego Józio, także biedaczek już nieboszczyk, a potem Staś, a później Franek...

— Aj! aj! toż miałaś czas nabrać doświadczenia i przyzwyczaić się — przerwał, śmiejąc się z tej litanii pan Klemens.

— A tak jest, jaśnie wielmożny panie! było koło czego robić — odpowiedziała, przechylając się i dre-

pcząc za odchodzącą z pokoju Rozalią, którą w rękę pocałować chciała.

— No, pilnujże, Widalsiu, pilnuj naszego wychowańca — dodał poczciwy pan Klemens — a jak ci czego będzie nie dostawało, to przyjdź prosto do pani i powiedz.

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu! nie zapomnę — mówiła Widalska, wyprowadziwszy ich do sieni i kłaniając się, gdy już byli w ogrodzie.

Po tej wizycie, Widalska ufatygowana i dreptaniem i gadaniem, usiadła w dużem swem krześle, sapiąc i ocierając pot z szerokiego czoła, na które z pod czystego czepka, prawie białe już spadały włosy. Kazała naprzód mamce przykryć woalem śpiącego jeszcze Tadeuszka, potem podsunąć sobie stołeczek, na którem nogi swe postawiła, potem założywszy pod czepek wielkie okulary, i wziąwszy w rękę pończochę, którą jej mamka z kolei podawała, oparła łokcie na poręczach krzesła, i wzięła się do założenia potężnej pięty, na której kiedyś korpus jej miał stanąć. Pan Klemens poszedł do swojego muzeum, i błądził myślą po tych wiekach i krajach, w których się urodziły przedmioty, na które patrzał; a Rozalia, która mu w tej wędrówce towarzyszyć nie chciała, poszła do swego sypialnego pokoju, i obaczywszy się samą, upadła prawie na krzesło, opuściła ręce, jakby po jakiem nadzwyczajnem wysileniu, siły ją opuszczały, i dusza z piersi jej uciekała. Tak siedziała długo bez ruchu, z bladą twarzą, z podniesionemi w sufit oczami. Dopiero, gdy usłyszała w przyległym pokoju chód męża, który,

uderzony widokiem posągu Wulkana, kołyszącego z uprzejmością dziecko swej żony, zadrżał nie wiedzieć dla czego i nagle powrócił, porwała się z miejsca, szepnęła z jękiem: — O! co za męczarnia! — i przywoławszy na twarz swą spokojność, a uśmiech na piękne swe usta, naprzeciw pana Klemensa poszła.

Stosując się do insynuacji żony, i ulegając podszeptom własnej swej podejrzliwości, która go na chwilę tylko opuszczała, opadając go ze wzmagającą się siłą za lada okazją, za lada wspomnieniem, lub jaką, choćby najdalszą, do położenia jego alluzją, pan Klemens, zaraz nazajutrz po podrzuceniu Tadeuszka, nakazał ścisłe poszukiwania nie tylko we wsi Z*, ale i w okolicznych dóbr swoich wioskach. Wszystkie te śledzenia były daremne i do żadnego nie doprowadziły odkrycia. Tego dnia i tego wieczora kiedy tak interesujący nasz gość do domu jego przybył, nikt obcy ani we wsi Z*, ani w żadnej z pobliskich wiosek nie był. Zdarzyło się nawet tak, że w żadnej z karczem pana Klemensa, chociaż oprócz innych ustronniejszych, miał ich trzy na wielkim trakcie, nie tylko nikt nie nocował, ale nawet nie popasał. Ekonomowie i inni niższego rzędu oficjaliści mieli polecenie zwiedzić wszystkie chaty w wioskach; zlustrować wszystkie pasieki, w ustronnych lasach samotnie stojące, i wypytywać chłopów, chłopki, a nawet dzieci, czy nie widzieli jakiego wałęsającego się dziada jakiej kobiety obcej i podejrzanej, którąby się tułała gdzie, czekając nocy i chowając jakie zawinięcie, jaki kosz, lub co podobnego. Ale wszyscy twierdzili, że nie widzieli nikogo. A jeżeli

było kilku dziadów i dwie baby żebraczki, to wszystko znajome włóczęgi, które prócz torby na plecach, a w niej kawałka chleba i flaszeczki na wódkę, nic z sobą nie mieli. To samo pokazało się i w innych wsiach, do pana Klemensa nie należących. Ponieważ zaś znalezienie to dziecka pod oknem państwa, nie było żadnym sekretem, owszem, stało się przedmiotem rozmów i domysłów, nie tylko we dworze między oficjalistami, ale między chłopami i dalej między okolicznem obywatelstwem, ztąd więc usłużni słudzy pana Klemensa, nadstawili wszędzie ucha i łowili słuchy, które mogłyby wprowadzić na jaki ślad, i rozwiązać intrygującą wszystkich zagadkę. Ale usiłowania ich były daremne; nikt nie mógł nic nawet z palca wyssać. Na tyle się tylko zdobyli, że przypominając wszystkie, nawet poprzednie okoliczności i osoby, jakie Rozalię odwiedzały, lub we dworze zatrzymywały się, donieśli tylko panu Klemensowi, że po powrocie pani od matki, i na kilka dni przed przyjazdem jego z Petersburga, jakiś kupiec rosyjski, już niemłody, przybył do wsi z towarami; że miał z sobą dwóch ludzi, jednego woźnicę, a drugiego chłopca, który za nim nosił we dworze towary; że był u żony rządcy dóbr, u pani ekonomowej, u koniuszyny, które od niego różne rzeczy pokupowały; że potem udał się do pałacu i chciał się widzieć z panią; pani nie przyjęła go tego wieczora, bo była niezdrowa, ale on widać spodziewał się, że dobrze utarguje, bo zanocował w karczmie, nazajutrz dostał się nareszcie do pani, a po długich bardzo targach, powracając kilka razy

na dzień, i uprzykrzając się pani, sprzedał wreszcie szal, których miał kilka, i które i rządczyni także pokazywał. Że bytność ta, ruskiego wędrującego kupca nie miała w sobie nic nadzwyczajnego, takich bowiem przemysłowców mających często bardzo kosztowne rzeczy, można nieraz widzieć jeżdżących od miasta do miasta, od dworu do dworu, okoliczność ta więc nie zastanowiła bynajmniej pana Klemensa i z podrzuceniem dziecka nie mogła mieć żadnego związku. Prócz tego wiedział już, że ten kupiec był, bo mu się żona chwaliła szalem niezmiernie pięknym i w proporcji do wartości tanio nabytym.

Gdy tym sposobem wszelkie poszukiwania do niczego nie doprowadziły, i zbierane zewsząd pogłoski na żaden ślad naprowadzić nie mogły, zaprzestali wszyscy we dworze dochodzić i gadać, i pobyt w nim znalezionego dziecka stał się rzeczą zwyczajną, z którą się już każdy oswoił. Pan Klemens, kontet i niekontent był z tej mgły, która urodzenie i znalezienie Tadeusza otaczała. Ile razy jaka okoliczność przypominała mu, że tak długo nie był w domu; ile razy słyszał kogo obcego, wypytującego się o to zdarzenie, tym tonem, który zazdrośni mężowie tak dobrze pojmują; ile razy widział dwie osoby szepczące z sobą i spoglądające nań, czy serjo, czy z uśmiechem, czy z politowaniem, co zawsze umiał wyczytać tam nawet, gdzie tego wszystkiego nie było, wściekał się i burzył tajemnym gniewem, że jest pastwą szyderstwa i obmowy, że jak ostatni mazgaj, sam pomaga do swej hańby, że znosi chytrość bezprzykładną i nie karze jej zasłu-

żoną wzgardą i głośną jaką zemstą. Ale z drugiej strony, bojąc się, żeby światło nie było gorsze od ciemności; żeby zamiast wzgardy i oburzenia, nie napełniło serca jego rozpaczą i nie uderzyło go śmiertelnym ciosem, rad był, że nic nie wie, że może się łudzić przywiązaniem i wiernością żony, którą tak kochał, gdyż nie ma żadnego nawet pozoru, któryby mógł zdjąć z oczu jego tę zasłonę, i odjąć te słodkie nadzieje, któremi się karmił.

Tymczasem bohater nasz, nic nie wiedząc, co się koło niego dzieje, znając tylko głos Widalsi, która przy powijaniu go i kąpieli opowiadała mu historję każdego ze swych synów i przyrównywała to do Jasia, to do Stasia, to do Franka, to do Jacunia; zaczynając tęsknić tylko za tą obfitą piersią podolskiej chłopki, z której płynął w usta jego zdrój życia i zdrowia, rósł prędko i szczęśliwie; ściskał mocno kułaki, jakby się do walki z przeciwnościami losu gotował; gdy chwycił czasem palec Widalsi, dusił go tak potężnie, jak niegdyś Herkules węża, który się do kolebki jego dostał; gdy się kąpał, wybijał nóżkami i obryzgiwał szerokie oblicze i łono poczciwej ochmistrzyni swej, tak żwawo i dziarsko, że różne stąd wyprowadzała prognostyki i przepowiadała mu, że od wszelkiej biedy ucieknie, i że go żadne nieszczęście nie dogoni. Zostawimy go w tym wzroście, otoczonego staraniami, których może nie miał prawa się spodziewać, i nie będziemy nudzić czytelników naszych opisaniem dziejów jego niemowlęctwa, złożonych z uciech i dolegliwości początkowych dni każdego żywota. Byłyby to w rze-

czy samej dzieje martwej i bezmyślnej bryłki, wcale nie interesujące, bo nas zajmuje tylko ten duch, który sam siebie zna, i wraz z ciałem, w którem uwięziony, używa lub cierpi. Poczekamy więc, aż w bohaterze naszym rozbudzi się ta boża iskra i błyśnie radością w jego błękitnych oczach, objawi się w uśmiechu szczęścia na jego ustach koralowych, lub, co podobniejsza do prawdy, zagore wstydem i gniewem na jego młodziutkich policzkach, albo spłynie we łzach skargi na tych, co mu dali życie i samotnego na ten szeroki świat wyrzucili. My wróćmy do pana Klemensa i jego pięknej żony.

Oboje oni mało zajmowali się swoim wychowańcem, a mniej jeszcze Rozalia, niż jej mąż, który mimo słoty i wielkiego zimna, wychodząc jednak codzień dla świeżego powietrza, lub do stajni, którą często odwiedzał, stukał zawsze w okno Widalskiej, i zapytywał się jak się ma malec, czy skończył ospę, czy odbył kur, wiele ma już zębów i t. p. Rozalia w ciągu tego czasu, o którym mówimy, ledwie kilka razy odwiedziła chłopczyka, spojrzała nań nawiasem, i więcej wypytywała się o potrzeby Widalskiej i mamki, które wszystkie, choćby były kaprysem, prędko się z jej rozkazu załatwiały, niż o dziecko, które zdawało się ją mało interesować. Czy to postępowanie jej było skutkiem rzeczywistej obojętności dla biednej sieroty, czy umyślnem wyrachowaniem, aby w sercu podejrzliwego męża nie budzić niepotrzebnej trwogi, to trudno zgadnąć. Zdaje się jednak, że ten ostatni powód przeważał. Spostrzegła bowiem Rozalia, że ile razy była mowa o Ta-

deuszku, pan Klemens nie spuszczał oka z jej twarzy i śledził najmniejsze jej poruszenia. Uważała także, że gdy pierwszy raz poszła sama odwiedzieć chłopczynę, pan Klemens w tejże chwili zjawił się za nią, jakby chciał ją złapać na uczynku i przekonać się z nienacka, jak się z nim obchodzi. Być więc może, że dlatego jak najrzadziej udawała się do oficyny, i za każdą razą, gdy tam iść miała, uprzedzała męża, proponując mu, czy z nią razem nie pójdzie. Pan Klemens zwykle prosił, żeby szła, że on wkrótce nadejdzie; ale zaledwie Rozalia stanęła za progiem drugiego pokoiku i miała czas rzucić okiem na kolebkę dziecka, już mąż był przy niej, i siwe oko jego przenikliwie na twarz jej patrzało.

Tak się rzeczy miały, gdy wkrótce nowe odkrycie dało zupełnie inny kierunek myślom pana Klemensa, staraniom Rozalii, i bohatera naszego w niekorzystny dlań cień zasunęło.

Jednego poranku, przy końcu lutego, rozeszła się wielka po całym dworze pogłoska, że pani w ciąży. Trudno sobie wyobrazić radość tego szczęśliwego męża, gdy już mógł sobie z pewnością powiedzieć, że owe marzenia, któremi się w pamiętnej nocy 15. listopada kołysał, zamienią się w duszę i ciało, że zatem zostanie ojcem, może jeszcze potomka płci męzkiej, któremu swoje imię i zebrane wszelkiego rodzaju skarby przekaże. Rzeczywiście był to wypadek, którego nie miał żadnego prawa spodziewać się i dar szczególny losu, który tylko w drodze łaski otrzymał. Już od dwóch miesięcy uważał pan Klemens, że żona jego czasem, ni ztąd, ni zowąd, mieni

się i blednie, że szczególne jakieś napadają ją zachcenia itd.; cieszył się więc, perswadował ze znaczącym uśmiechem, gdy się skarzyła; całował jej ręce, gdy się domyślała, dla czego się uśmiecha i czerwieniąc się zgadzała się, że być bardzo może, iż supozycje jego prawdziwe. Zawsze jednak był to stan wątpliwy, pełen nadziei, a razem trwogi. Wszystkie bowiem te nadzieje mogły się skończyć złudzeniem i gorzkim zawodem. W złych nawet chwilach, które człowieka z takim charakterem i taką przeszłością. mimo wszelkiego wysilenia, nie odstępywały, przychodziło mu na myśl, że może to grymasy żony i istna komedja, którą dla durzenia go odgrywa. Wpradzie nie widział wyraźnie, dla czegoby sobie tyle zadawała pracy; jednak dręczył się różnemi przypuszczeniami, które jak zmory, prześladować go nie przestawały. Dziś już był pewnym. Żona w nocy obudziła się, krzyknęła zadziwiona, potem poczuwszy w sobie powtórnie i wyraźnie podwójne życie, z radości i szczęścia płakać zaczęła. Pan Klemens rozbudzony, dowiedziawszy się o co idzie, zerwał się z łóżka, sam się rozpłakał, ręce i nogi jej z uniesieniem całował, a skoro wstali, sam po całym domu tryumf swój roztrąbił.

Ten szczęśliwy wypadek pochłonął wszystkie jego podejrzenie, wszystkie troski, zrobił go obojętnym na interesa i dał mu nawet zapomnieć o nagromadzonych przezeń skarbach i sztuki i przemysłu różnych wieków i ludów, pomiędzy któremi znajdował się i ów Wulkan, z rodzicielskim uśmiechem kołyszący chłopczyka, któremu skrzydełka tylko co wy-

rastać zaczynały. Pan Klemens oddał się całkiem staraniom około zdrowia Rozalji. Zamówił znakomitego, a w okolicy zamieszkałego lekarza, aby trzy razy na tydzień regularnie przyjeżdżał. Z nim się naradzał i wypytywał go, skądby sprowadzić wcześnie najbieglejszą w sztuce swej kobietę, aby była już w domu, nim moment krytyczny nadejdzie. W bezsennych nocach przemyśliwał nawet, jakąby mającemu się narodzić dziecku dać bonę, Francuskę czy Angielkę, Szwajcarkę czy Niemkę, Niderlandkę czy Szwedkę. A rozmówiwszy się z Widalską, która z rozmaitych znaków ciąży i kładzionej na intencją przyszłego dziecka kabały, wnosiła, że będzie syn, pan Klemens do tego stopnia zapobiegliwą swą troskliwość posunął, że już się troszczył, jakiegoby mu sprowadzić guwernera i czy znajdzie gdzie takiego Francuza, coby był lub sam jezuitą, lub przynajmniej w jezuickiem wychowywał się kollegium.

Rozalia, przyjmowała troskliwość męża z wdzięcznością, uśmiechem dziękowała mu za jego dobroć i pieczołowitość; a jednak, gdy się od niej odwrócił, gdy na nią nie patrzył, spoglądała nań jakby z politowaniem i w twarzy jej był jakiś dziwny wyraz, jakby się wstydziła, że mu daje tyle radości i tak go szczęśliwym czyni.

Wkrótce w całej okolicy gruchnęła wiadomość, że dom, który pan Klemens G* postawił w rzędzie pierwszych domów na Podolu, nie rozpadnie się między krewnych, ale przejdzie w zacnym potomku do następnego pokolenia, a od niego w bujnie zapewne rozrodzonych konarach przechodząc

dalej i dalej, pamiątkę założyciela swego uwieczni. Sypnęły się więc zewsząd powinszowania, nawet matka Rozalii, hrabina P*, która dotąd tylko w przypiskach do córki kazała mu się kłaniać, a od czasu niedbałego zajmowania się jej sprawą w Petersburgu wyraźną okazywała niechęć, dziś, odpowiadając na jego list, którym jej o swojem szczęściu donosił, osobnem i bardzo łaskawem zaszczyciła go pismem. Ale nie tylko listownie odbierali powinszowania; wiele osób nawet z daleka przybywało dzielić ich radość; miliony bowiem, oprócz wielu innych dobrych przymiotów, mają i tę własność, że wszelkie ukontentowanie tych, co je posiadają, czynią niezmiernie zaraźliwem. Niech się biedak raduje choćby najserdeczniej, choćby ronił łzy wdzięczności dla Stwórcy, który mu dał tę chwilę radości, nikt tego nie widzi i uciecha jego w żadnych się nie odbije piersiach; ale niech milionerowi przybędzie syn, lub jeszcze jeden milion, wnet błogość jakaś w powietrzu rozlewa się na okolicę, w miazmach atmosfery jest radość, którą wszyscy połykają; radość ta sparaliżowanym nawet podaje pióro do ręki, którem piszą powinszowania, pędzi nawet starych i chorych, po grudzie i błocie, do pałacu nowem opromienionego szczęściem; a gdy wszyscy się zbiorą, zwłaszcza gdy zasiędą przy ogromnym stole takiego solenizanta, któremu fortuna coraz nowe sprawia imieniny, wszyscy toną w radości, jak w ciepłej kąpieli. Już sam jego widok daje im wesołość, a gdy się zaśmieje, śmiech, jak morowa zaraza, przenika krew wszystkich gości, wy-

rywa się przez wdzięczące się usta i w generalnej wybucha salwie. Doznał tego powiat Hajsyński, Bracławski, a nawet i dalsze i mnóstwo osób, jakeśmy powiedzieli, zbiegło się na tę ucztę, którą Opatrzność panu Klemensowi sprawiła. Nie wszystkie wszakże te odwiedziny były mu równie miłe, bo taka jest kolej rzeczy ludzkich, że z tego samego źródła, z którego płynie uciecha, płynie także i przykrość, a często i śmiertelna boleść.

O cztery mile od rezydencji pana Klemensa była wieś Krzaczyńce, znana w całej gubernii, jako zbiegowisko mężczyzn, którzy lubili grę, dobry stół i swobodną rozmowę; jako szkoła kobiet, które wchodziły na drogę intrygi i miłostek; jako punkt główny komerażnic, które miały tam swoję juntę i znosiły do tego rezerwoaru wszelkie najtajemniejsze skandala okoliczne. Właścicielką tej wsi była kobieta już niemłoda, niegdyś ładna, po naszemu edukowana, a nadewszystko tak zręczna, tak umiejąca łódkę swą kierować, że wychodziła zawsze bez szwanku z każdego położenia; że dom jej miał pozór przyzwoitego obywatelskiego domu, chociaż wszyscy wiedzieli, że to jest miejsce gry, plotek i bardzo swobodnych obyczajów; że wszyscy u niej bywali, chociaż wybrani tylko znajdowali w tem przyjemność; że ją wszędzie przyjmowano, chociaż jej nikt nie szacował, jako osoby, która do utrzymania domu na pańskiej stopie pomagała sobie jakiemiś zagadkowemi sposobami, której żadne kłamstwo nic nie kosztowało, która wiedziała o wszystkiem, co się gdzie dzieje i nie żenowała się bynajmniej w rozgłaszaniu zebranych

i pomnożonych przez siebie wiadomości, choćby te zabijały spokój i honor jej krewnych, przyjaciół i nieprzyjaciół. Dama ta nazywała się Henrjeta Pokrzywicka. Zwano ją często simpliciter *Pokrzywą*, lub też *Beobachterem austryackim*, gdyż podobnie traktowała swych bliźnich, jak ta znana w owym czasie gazeta, Francuzów. Ponieważ zaś pani ta na los bohatera naszego stanowczo wpłynęła, dla tego musimy jeszcze dodać kilka słów, któreby ją bliżej czytelnikom naszym poznać dały.

Pani Pokrzywicka była daleką krewną pana Klemensa. Miała sama niewielki posag, ale po mężu otrzymała Krzaczyńce, wieś wielką, dobrze zagospodarowaną, w szczęśliwem bardzo położeniu znajdującą się. Pan Pokrzywicki, już niemłody i poczciwy szlachcic, kochał ją niezmiernie, dał się od razu opanować, nic nie widział, co się w koło niego działo, a działo się zaraz z początku i to i owo. Gdyby był dłużej pożył, byłby wyszedł na jednego z tych mężów, jakich w kraju naszym, gdzie charakter i wytrzymałość woli jest tylko w kobietach, mamy bardzo wielu, co to stopniami bawełnieją i zmieniają się w sprzęt domowy, miękki, wygodny, przenoszący się cicho z miejsca na miejsce, nie zawadzający nikomu i nikogo nie obchodzący. Ale pan Pokrzywicki po dwóch latach małżeńskiego pożycia przeniósł się jakoś do wieczności, zostawiwszy jednę córkę i żonę, utrzymującą, że jest przy nadziei. Młoda wdowa, pełna życia, wdzięków i kokieterji, zostawszy panią swej woli, mając czasu dostatek, bo już nie miała potrzeby tracić go na zamydlanie o-

czów mężowi, zaczęła ten zawód intryg, szulerji, plotek i łapania na wędkę zysku i miłostek ludzi bogatych, próżniaków mających jeszcze co do stracenia i utytułowanych panów, z którymi zawsze w ścisłych starała sie być stosunkach, aby stanowili niejako omastę jej domu i towarzystwa. Wśród tego życia pełnego ruchu i zajęcia, nie zapomniała także o wychowaniu stosownem, córek, starając się cudny ten materjał urobić według swych widoków i przygotować zawczasu jednę i drugą do zrobienia tak nazwanego losu, to jest do złapania kogoś z imieniem i majątkiem. Obie panny, jak doskonała, podolska ziemia, przyjmowały ten zasiew matki, a chociaż w urodzeniu ich były pewne niedokładności, gdyż starsza, przyszedłszy na świat w siódmym miesiącu po ślubie, zdawała się być niedonoszoną, a druga urodziwszy się w dziesiątym miesiącu po śmierci męża, stawała się być przenoszoną, nie widać jednak było żadnej nienormalności ani w ich budowie, ani w ich usposobieniu moralnem i umysłowem. Obie były równie zdrowe, równie dorodne, obie prześliczne, żywe i pełne zdolności. Obie też rosły prędko, jak zwykle rosną panny, i zaledwie doszły do pierwszych chwil dojrzałości, już ściągały roje ubiegających się o ich uśmiech mężczyzn, umiały dobrze trzymać ich na wodzy; ciągnąc i odpychając, a stosując się do woli, insynuacji i nauk matki; same zimne jak krzemień, wyrzucały iskry, od których płonęli różnego wieku i stanu wielbiciele, których matka według swych widoków eksploatować umiała. Pani Pokrzywicka, dla zadania córkom swoim wię-

kszego poloru, lepszej znajomości świata i ludzi, woziła je zagranicę, ile razy błysnęła chwila spokojna i ucichał na czas niejaki huk dział, który się w owych czasach ustawicznie po Europie rozlegał. Jeździła zwykle do wód, choć była zupełnie zdrowa, zaglądając to do Karlsbadu, to do Eger, to do Spaa i wybierając szczególnie te miejsca, gdzie zwykle uczęszczali Polacy; potem zabiegała z córeczkami swemi do Paryża, a ztamtąd wracając była każdą razą w Wiedniu, gdzie nowy kupowała ekwipaż. Ze wszystkich tych podróży przywoziła zawsze wielkie mnóstwo kontrabandy w materjach, koronkach, drogich kamieniach, rozmaitych kosztownych cackach, któremi napakowana była jej nowa wiedeńska kareta. Z jakich funduszów odbywała te podróże i nabywała te wszystkie rzeczy, które niekiedy wartość kilkudziesięciu tysięcy przenosiły, tego nikt nie wiedział. Ale że to były rzeczy bardzo gustowne, najświeższej mody, a do tego kontrabandy, wszyscy chętnie je rozkupywali, płacąc po dwa i po trzy razy tyle, ile rzecz jaka była warta. Tym sposobem, chociaż gospodarstwo szło nienajlepiej, zbierał się fundusz na rok, lub dwa pańskiego utrzymania domu. Fundusz ten pomnażały szczęśliwa gra i inne jeszcze wpływy, które zawsze zostawały zagadką.

Gdy pan Klemens kupił dobra, w których teraz mieszkał i został niejako jej sąsiadem, pani Pokrzywicka spostrzegłszy, że jest panem całą gębą i majątek swój znacznie jeszcze powiększyć może, że była wówczas jeszcze nie starą, przystojną i pełną tych sposobów, jakie daje kobiecie rozumnej i nie-

brzydkiej chęć podobania się, bądź co bądź i z postanowieniem dopięcia swego celu jakimkolwiek kosztem, umyśliła złapać go dla siebie i umoczyć piękną swą i białą rękę w tych skarbach, które on z taką pracą zebrał i do których zdawał się tak mocno przywiązanym. Ale wszystkie jej zabiegi spełzły na niczem. Pan Klemens nie dał się zranić ani słodkim uśmiechem, ani mową miękką i najcudniejszą francuzczyzną, jakby jakim nawozem spulchnioną, ani wabiącemi wejrzeniami, które były dziwnie strzeliste i wszystko obiecywały. Braha trzech gorzelni, które świeżo urządził, a w której się często kąpał, zdawała się mieć własność tej cudownej kąpieli, w której niegdyś Tetys, dla ochronienia ciała syna od pocisków, zanurzyła Achillesa. Przez dwa blizko lata pani Pokrzywicka szukała w panu Klemensie tej pięty, w którą pocisk jej mógłby ugodzić; ale, nie znalazłszy jej, dała wreszcie za wygraną i do zwykłego trybu życia powróciła.

Gdy pan Klemens przybył po siedmiu latach z zagranicy, podszarzana już kuzynka znowu się go uczepiła, ale już nie dla siebie. Młodsza jej córka była jeszcze panną, jaśniała pięknością, pociągała mową pełną żywości i dowcipu, śpiewem pełnym czarów, obejściem pełnem swobody, dającem nadzieję, ale trzymającem w przyzwoitych granicach wszelki śmielszy wyraz i poruszenie; słowem, w powabach i zręczności ich użycia przeszła matkę i siostrę. Dla tej to fenomenalnej piękności, chciała ta troskliwa matka ułowić pana Klemensa. Ale pan Klemens, który przez te kilka lat oddania się ba-

daniom wszelkiego rodzaju, znacznie w znajomości serca ludzkiego postąpił, odgadł od razu intencją pani Pokrzywickiej i zmiarkował w mgnieniu oka, jak dalekoby go zaprowadziły sztuka i wdzięki takiej panny; przyznawszy się więc po prostu matce, że już za stary, że mu raczej myśleć należy o trumnie, niż o łożu małżeńskiem, usunął się stanowczo od wszelkich ataków, perswazji i propozycji. Gdy zaś w rok potem, usłuchawszy podszeptów owej Nemezys, o której wyżej wspomnieliśmy, ożenił się z hrabianką Rozalią P*, pani Pokrzywicka, sądząc się haniebnie i po dwakroć wyprowadzoną w pole, skoczyła jak furja i poprzysięgła panu Klemensowi dozgonną nienawiść. A chociaż córka jej w tymże samym czasie złapała sobie innego bogacza, nie mającego wprawdzie tak czystej fortuny, ale za to z tytułem, z mniejszem jeszcze zdrowiem i większą liczbą lat, a zatem podającego nadzieję rychlejszej jeszcze śmierci; przecież los tak świetny córki nie rozbroił zawziętości matki, która przyrzekła sobie w duchu, że się zemści na panu Klemensie i jego młodej żonie i czy dziś, czy jutro, obojgu dobrze się przysłuży.

Taki był stosunek między dwoma domami w tej chwili, kiedy zewsząd toczyły się powozy do rezydencji pana Klemensa, z przyjaciółmi, winszującemi mu szczęścia, o jakiem i sam przed pół rokiem nie marzył. Pani Pokrzywicka nie była z ostatnich. Dowiedziała się naturalnie bardzo prędko i przyleciała natychmiast, pragnąc zweryfikować fakt tak rzadki, i żądając dowiedzieć się czegoś i o Tadeuszku, którego podrzucenie wydawało się jej zawsze podejrza-

nem, zagadkowem, i coś zakrawającem na figiel małżeński z jednej, lub z drugiej strony. Położyła ona sobie za zadanie wykryć tę tajemnicę, i choć dotąd nie miała jeszcze przewodniczącej nici, nie traciła jednak nadziei i wytrwałości. Jednego tedy dnia, gdy się jej najmniej spodziewano, przed samym objadem, zajechała przed pałac, piękną karetą, sześciu karemi końmi, w ruskiej uprzęży, którą od czasu wypędzenia Francuzów z kraju przyswoiła. Jako w uroczystości dla gospodarza domu tak ważnej, była cała w bieli, w szlafroczku materjalnym, pięknemi ozdobionym koronkami, w perłach spiętych kosztownym fermoarem, w toczku białym podniesionym, na którym były piórka białe, z białym, pierzastym wachlarzem w ręku, nawet w szalu białym, którego barwę podnosił szlak czerwony, ale nie jaskrawy, i całemu ubraniu wybitności dodawał. Chociaż na czole były włosy rzadkie i siwe, i takież loki spadały z pod toczka, twarz jednak była wybielona i wyróżowana, brwi poczernione, a oczy czarne i trochę zapadłe, nałogowym sposobem skłaniały się do tych rzutów umizgliwych, których już dziś nikt rozumieć nie chciał, i odwracał się od nich, jak od przeszłorocznej gazety.

Pan Klemens przyjął ją dość ozięble; Rozalia ze drżeniem i strachem unikała jej przenikliwego spojrzenia, spuszczała oczy, gdy do niej mówiła, a przemógłszy dopiero pierwsze, niemiłe wrażenie, uprzejmością starała się nagrodzić jej lodowate obejście męża, i ująć i zniewolić na swoją stronę. Całkiem też przylgnęła do niej pani Pokrzywicka, ko-

ląc tylko na wszystkie strony pana Klemensa, który nawzajem bronił się, jak mógł, i nie oszczędzał jej wcale. Być bardzo może, że z tych ciosów, które oni wzajemnie na siebie ciskali, niejeden wpadł prosto w serce Rozalii, chociaż ani jedno ani drugie nie wiedziało o tem, jak ją boleśnie rani.

Po obiedzie usiedli w paradnym salonie, i rozmawiali najprzód o rzeczach ogólnych, o wypadkach europejskich, potem zeszli do krajowych, i stopniami przechodząc do coraz ciaśniejszej sfery, przelustrowawszy gubernią i powiat, przyszli nareszcie na to pole, na które złośliwa kobieta sprowadzić ich chciała. Bawiąc się dla kontenansu wachlarzem, który nawet w zimie nie opuszczał jej ręki, gdy była w kompanii, rzekła:

— Przyznaj tedy, panie Klemensie, żeś się w czepku urodził.

— Dla czegoż to pani tak się wydaje? — zapytał pan Klemens.

— N'êtes vous pas ridicule de le demander? — odpowiedziała, patrząc na długi szereg wspaniałych pokoi — spojrzyj-że w koło siebie; co za dom! jak szczęśliwie położony, jak pełny wszelkiego gatunku bogactw! jakiemi otoczony dobrami.

— Wszakże ten dom, choć jeszcze nie był tak pełny jak dziś, i te dobra już i dawniej bardzo się pani podobały — rzekł pan Klemens z uśmiechem. — Nie widzę więc dla czego pani teraz dopiero robisz mi tę uwagę, którą już przed dziesięcią laty mogłaś była zrobić.

— Możem ją i zrobiła? jakże wiesz? — odpowie-

działa pani Pokrzywicka, przykąsiwszy usta. — Tylko wówczas nie dałam ci tego poznać.

— Czy miałem wówczas więcej zasługi, niż dziś? — zapytał pan Klemens.

— Miałeś trochę mniej lat — rzekła prędko i z miną graniczącą między szczerą prawdomównością i efronterją — bo żeś nie był piękniejszym ani na włos, to ci powiem śmiało, bo to prawda i tak oczywista, jak i to, że ona śliczna i dobra, jak anioł i żeś jej nie wart. A przecież masz ją, panie Klemensie, masz skarb większy od wszystkich twoich skarbów, masz go, nie wiedzieć za co i dla czego, i jeszcze nie przyznajesz, żeś się w czepku urodził?

— O! jeżeli pani taki obrót myśli swojej nadajesz — rzekł podnosząc się, i całując rękę żony — to przyznaję chętnie, że posiadam szczęście, któregom nie wart.

— Dodaj jeszcze do tego, że cię kocha; qu'elle est assez simple de vous donner des enfants légitimes, to doprawdy nie wiem, jak się nie wstydzisz tego wszystkiego, co ci los daje, monstre que vous êtes! — rzekła niby żartem i uderzając go wachlarzem po ręku.

Rozalia mocno się zmieszała, zapewne tym tokiem rozmowy, a pan Klemens, który to spostrzegł, zadrżał w głębi duszy, a chcąc tę chwilową przykrość złej babie odpłacić, odpowiedział:

— Otóż w tem pani się mylisz. Ja uznaję łaskę losu, który mi dał taką żonę. Gdyby mnie on był nie strzegł zaraz po powrocie moim z zagranicy,

byłbym pewnie wpadł inaczej, i nie miał tego szczęścia, za które mi pani wstydzić się każesz.

Zrozumiała pani Pokrzywicka te słowa i alluzją jaką zamykały, i mrużąc przenikliwie oczy, jakby chciała wcisnąć je szydłem w serce pana Klemensa, rzekła:

— A jednak dręczysz ją zazdrością. Prześladowałeś ją tym poczciwym panem Władysławem; vous lui avez fait une scène ridicule, pamiętasz z tą gazetą i zmusiłeś biednego chłopca, że się ożenił z kobietą, której nie kochał, żeby tylko zapewnić spokojność tej, którą wielbił.

— O jeżeli pani to ostatnie do mnie stosujes — odpowiedziała Rozalia, czerwieniąc się i z pewną energją, jaką jej dało oburzenie — to mogę panią upewnić, że pan Władysław nie wielbił mnie wcale.

— Bo ci tego nie śmiał powiedzieć, mój aniołku — odpowiedziała, spoglądając z ukosa na pana Klemensa. — Vous avez un tact parfait. Zrobiłaś sobie reputacją kobiety oddanej święcie swoim obowiązkom. Wszyscy wiedzą, że tego starego zazdrośnika kochasz, i to odstrasza nawet myśli twoich wielbicieli, nie dopieroż słowa A masz ich, masz moje życie, j'en sais quelque chose de bonne source — dodała z przyciskiem. — Niepotrzebnie bledniesz i trwożysz się tem, co mówię. Któraż kobieta piękna i rozumna nie ma takiego, coby za jej uśmiech oddał wszystkie skarby świata, zwłaszcza gdy ma takiego męża? To jego rzecz trwożyć się, jeżeli zazdrosny, jeżeli ci nie wierzy, jeżeli tak będzie postępował, że ci wreszcie oczy się otworzą i przekonasz się, que vous

aimez un monstre, qui ne le mérite pas. Ale bądźcie zdrowi — dodała powstając — dzień mały, a mam cztery dobre mile do siebie.

Pan Klemens, który ledwie się powstrzymywał, i miał już nawet niegrzeczne wyproszenie jej z domu na języku, kontent, że się sama tego domyśliła, powstał, i chciał jej co prędzej podać rękę, aby ją do przedpokoju wyprowadzić. Pani Pokrzywicka zatrzymała się, wyciągnęła rękę do Rozalii jeszcze bladej i zupełnie zmieszanej, i wyrzekła:

— Au revoir, mon ange! Życzę ci, żebyś urodziła szczęśliwie syna, byle tylko nie był do niego podobny. Zmiłuj się, nie zapatruj się na to czoło pomarszczone i na tę twarz, którą zazdrość wykrzywiła. Ty tego nie widzisz, ciebie miłość zaślepia, ale wierz mi, il est devenu extrêmement laid. Adieu! cher cousin — dodała, biorąc jego rękę. — Nie gniewasz się za to wszystko, com ci powiedziała, n'est ce pas? Wiesz, że ja prawdę przekładam nad wszystko i nie mogę wytrzymać, żebym jej nie wymówiła.

— Przyznam się pani, że o tem pierwszy raz słyszę — odpowiedział pan Klemens. — Ale jeżeli pani nie zechcesz u nas zanocować i dziś jeszcze pragniesz być w domu, to śpiesz się pani. Noc tuż, a w Mańkowcach grobla niebezpieczna. W nocy jadąc, mogłabyś się pani wywrócić w staw i utopić się.

— Dziękuję ci, panie Klemensie, za dobrą przestrogę — odpowiedziała, przygryzłszy usta. — Tout laid que vous êtes, vous avez un bon coeur, i żałowałbyś mnie pewnie, gdybym się utopiła. Ale to nie nastąpi teraz, bądź spokojny. Jeszcze mam jedno

zadanie na ziemi, które rozwiązać muszę, nim umrę. A propos — dodała, n by nagle sobie przypomniawszy — mówiono mi, że ten wasz podrzutek zupełnie do ciebie, panie Klemensie podobny. Pokażcie mi tego potworka, niech go obaczę i przekonam się, czy to prawda.

— Co też pani do głowy przychodzi? — zawołał pan Klemens, spoglądając na mieniącą się żonę.

— A cóż to niepodobnego — odpowiedziała, rzucając bystry wzrok na jedno i drugie. — N'aurez-vous pas un enfant légitime? Byłeś przecie tak długo w Petersburgu, a tam może znalazło się jakie niewiniątko, któreś w pole wyprowadził! Czy to wy się żenujecie, jeżeli na was nikt nie patrzy? A potem uważ, panie Klemensie, czyby kto śmiał ci położyć dziecko pod oknem twego sypialnego pokoju, gdyby to nie było za twoją wiedzą i rozkazem? C'est tout à fait invraisemblable.

— Przypominam pani po raz drugi — rzekł pan Klemens zniecierpliwiony — że grobla w Mańkowcach szkaradna.

— Czy uważasz, moje życie, jak się mnie chce pozbyć? — mówiła nieubłagana plotkarka, patrząc z uśmiechem na blednącą coraz Rozalię. — Ne soyez pas dupe, ma chére, i dochodź, bo to rzecz ciekawa. Zresztą, ja ci pomogę i bądź pewna, że odkryjemy ten sekret. Bon soir, mon ange! Adieu, méchant cousin! A co się tyczy podrzutka, co postanowiłam, to zrobię. Przyrzekam ci, kochanie, że dojdę, zkąd się on wziął, i spuść się w tej mierze na mnie. Au revoir!

To powiedziawszy, wyszła. Pan Klemens drżący od złości, postąpił za nią ku drzwiom przedpokoju. ale posłyszawszy lekki jęk, obrócił się, i z krzykiem żalu i rozpaczy, chwyciwszy się za włosy, stanął na miejscu. Rozalia przy samej kanapie, przy której znajdowała się przy pożegnaniu, leżała zemdlona, a w tymże samym czasie, turkot karety dał się słyszeć na dziedzińcu.

Jakkolwiek pan Klemens dla sąsiadki swej żadnego nie miał szacunku i do słów jej żadnej nie przywiązywał wagi, jednakowoż zapomnieć ich nie mógł. Przylgnęły one do jego myśli tak, jak te drobne bodiaczki przyczepiają się do sukni, kiedy człowiek o brzydkie ociera się chwasty. Gdy go więc pierwszy przestrach o stan Rozalii ominął, gdy się przekonał, że nie upadła, tylko się lekko koło kanapy zsunęła, gdy co prędzej posłał po doktora, i żonę spokojnie w łóżku położyć kazał, przechadzał się długo po przyległym pokoju, i przypomniał sobie każde poruszenie twarzy Rozalii, każde słowo tej zdradzieckiej komerażnicy, która jakby umyślnie, wyjść nie chciała z materji, której nie lubił i która zawsze dziwne w nim trwogi obudzała. Przestrach Rozalii na widok pani Pokrzywickiej, to później jej nadskakiwanie, jej potem widoczne mieszanie się, bladość a nareszcie omdlenie, wszystko to dowodziło mu, że w sumieniu żony jest jakaś tajemna obawa; że młoda kobieta, znająca bystry wzrok i nieostrożny język starej plotkarki, przelękła się, aby ta nie zajrzała głębiej w jej serce, i nie wyrwała się jakiem odkryciem; że nakoniec to, co sąsiadka mówiła, mu-

siało zbyt mocno Rozalią dotknąć i jakąś bojaźń na przyszłość podać, kiedy aż osłabła i zmysłów pozbawioną została. Te myśli, krążące bez ustanku po jego głowie, osiadające na jego duszy, jak mgła zgniła i z niezdrowych wyziewów złożona osiada czasem na rozległem polu i cały horyzont zasłania, zakryły przed nim przyszłe dni spokoju i spodziewanej radości, pogrążając napowrót w tym odmęcie podejrzeń i tajnego bólu, z którym niedawno tak ciężko walczył. W takim stanie był pan Klemens po wyjeździe swojej sąsiadki. A Rozalia? Nie chcemy wyprzedzać wypadków i rozplątując tajemne pasmo jej myśli, psuć ich naturalną kolej. Powiemy tylko, że udawszy, iż chce spać, i obaczywszy się samą, załamała ręce, potem zakrywszy twarz, mocno i długo płakała.

Gdy lekarz upewnił pana Klemensa, że nagłe zmiany jej twarzy, a nawet omdlenie, jest naturalnym skutkiem ciąży, że nie powinien na to zwracać uwagi, ani się tem trwożyć, ale chronić ją tylko od długiego siedzenia, od zbytniej fatygi, od częstego przyjmowania gości; pan Klemens znowu się cokolwiek uspokoił, i ucieszony zupełnym powrotem do zdrowia Rozalii, ujęty jej dobrym humorem, i naturalnem, jakby zupełnie nieudanem jej przymilaniem się, zapominał stopniami o swoich podejrzeniach, i odsunął od ust swoich ten gorzki napój, który sam sobie spreparował, a do którego wychylenia nic go tak gwałtownie nie zmuszało. Tym więc sposobem, i w tym pańskim domu wszystko do zwyczajnego wróciło porządku. Gospodarstwo szło

jak z płatka, dochody ogromne wpływały strumieniem, wiosna była cudna, stan Rozalii zupełnie normalny, nawet zapomniany od wszystkich Tadeuszek rósł zdrowo i szczęśliwie, pod okiem poczciwej Widalsi, która koło niego po macierzyńsku chodziła. Skończył on już trzy kwartały i doskonale się chował; miał dosyć zębów, które, podobnie jak Franek i Magdeczka, dostał bez żadnych cierpień; silny był i rumiany, jak nieboszczyk Jasio, który umarł na febrę; śmiał się głośno, jak nieboszczyk Jacunio; miał niebieskie oczki, jak Marysia, i piękne, kręcące się blond kudełki, jak Józio, tak nazwany na intencją nieboszczyka męża Widalsi i także już nieboszczyk.

Wprawdzie pan Klemens, po owej bytności w domu jego pani Pokrzywickiej, powziął był jakiś wstręt do naszego bohatera; nie zaziérał już wcale do jego pokoików; gdy przechodził koło okna, nie pukał w szyby i nie wypytywał się Widalskiej, jak się chłopczyk ma i czy szczęśliwie się chowa; tę jednak oddać mu należy sprawiedliwość, że nie wydał żadnego rozkazu, przez któryby Widalska, mamka, lub dziecko na wygodzie stracili. Owszem, wszystko dochodziło ich jak dawniej i wszelkie ich potrzeby najstaranniej były zaspokojone. Rozalia tem mniej jeszcze, niż poprzednio, biednym tym sierotką zdawała się zajmować. Jednakże raz, gdy mąż był w Kamieńcu, a Widalsia, jako w uroczyste święto, w kościele, poszła tam z robotą, usiadła przy kolebce Tadeuszka, spoglądała nań łzawem okiem, ile razy mamka odwróciła się lub do drugiego pokoju wyszła; kołysała go, gdy zaczął kwilić i przeglądała z naj-

większą troskliwością jego pieluszki, jego bieliznę i całą garderobę. Zdawała się niezmiernie zajętą, a przy tem zajęciu twarz jej tak wypiękniała jakiemśćiś dziwnem uszczęśliwieniem, pierś jej oddychała tak swobodnie, głos zrobił się tak słodkim i łagodnym, że ktoby ją tam widział, nie poznałby tej kobiety, zamkniętej w sobie, przymusem tylko uśmiechającej się i mającej pozór zimny, bliski hardości i pychy.

Nadszedł wreszcie stanowczy moment. Dnia 13 sierpnia pamiętnego 1815 roku, w dzień świętego Hipolita i Kasjana, urodził się panu Klemensowi syn, którego ojciec uszczęśliwiony w parę godzin po urodzeniu na ręku wyniósł i oficjalistom swoim i zebranym z każdej wsi starszym gromady, jako przyszłego pana i dziedzica pokazał. Dano mu imię Hipolit, jakie sobie przyniósł; z kilkunastu mamek, ze wszystkich dóbr zwiezionych, doktor i akuszerka wybrali najzdrowszą i najurodziwszą; pokój urządzono tuż przy sypialni; pan Klemens chciał Tadeuszkowi odjąć Widalsię i zrobić ją przełożoną nad mamką i całą służbą nowo-narodzonego, ale Rozalia sprzeciwiła się temu, twierdząc, że Widalska jest już za ciężka, zanadto gadatliwa, a nadewszystko, że ma za grubą wymowę, której nasłuchawszy się dziecko, mogłoby potem stracić instynkt do dobrej pronuncjacji. Czy to ze strony Rozalii był tylko pretekst, czy doprawdy była tak przekonaną, za to ręczyć nie możemy, dosyć, że z łaski przyszłej pronuncjacji dziedzica wielkich dóbr, który się urodził w pałacu i o którego tysiące ludzi się troszczyło, biedny nasz bohater, urodzony może pod sklepie-

niem niebios, nie mający nikogo, coby go kochał i pieścił, miał sobie zachowaną jedyną istotę, co się do niego duszą i ciałem przywiązała i zastępowała mu ojca i matkę, braci i siostry, których głosu i uścisku miał być na zawsze pozbawiony. Nie masz rzeczy, którąby w ekonomji świata na coś się nie przydała; — nawet ta najgłupsza ze wszystkich naszych próżności, owa mania dorównania Francuzom dobrą pronuncjacją, której tyle matek naszych poświęciło zasady, obyczaje i przyszłość swych córek, oddając je w ręce śmiecia zagranicznego, które Francja z izby swojej wymiotła, stała się tą razą użyteczną i dla niewinnego i bezsilnego stworzenia dobroczynną. Została więc poczciwa nasza Widalsia przy Tadeuszku, z wielkim swem ukontentowaniem, a maleńki panicz dostał wkrótce niańkę Angielkę, która według metody Albionu, gdzie dzieci są tak piękne i zdrowe, wychowywać go miała. Przeznaczono jej wielką pensję, miała codzień porter i befsztyk, a przytem zawarowała sobie w kontrakcie, że wszyscy otaczający dziecię, jako mający mniej rozumu od niej, a nawet matka, do jej maniery i sposobu wychowania stosować się będą.

Tym sposobem oba chłopczyki, tak różnej natury i tak odmiennego na świecie przeznaczenia, rośli obok siebie i rozwijali się, każdy w takim kierunku, jaki mu nadały starania, opieka i widoki tych, co dzieciństwo jego otaczali. Zostawimy ich w tym wzroście do dalszego czasu, a sami, przeskoczywszy rok cały, damy poznać czytelnikom naszym inne

osoby, które mają prawo nas zająć, jako tajemnemi nićmi z historją i losami bohatera naszego związane.

IV.

W Białobrzyńcach, Starokonstantynowskiego powiatu, w pięknem położeniu nad Słuczą rozłożonych, mieszkała w dawnem dziedzictwie swych przodków hrabina P*. Starożytny dom, który był pani tej rezydencją, nosił nazwisko zamku. Jakoż pozostały jeszcze ślady dawnych fortyfikacyj, dziś zamienione na-wał nieporządnie utrzymany, ozdobiony kilkunastu wielkiemi drzewami i mający w około ścieżkę, po której się czasem jej słudzy i oficjaliści przechadzali. Najważniejszym powodem do nazwiska zamku, którem się mieszkanie to pyszniło, była brama z ciosowego kamienia, ozdobiona wielką herbową tarczą mająca przed sobą most, który dawniej musiał zapewne być zwodzonym. Sam dom tej pięknej architektury, która pierwsze lata panowania Sasów okazywała, miał na frontonie taki sam herb, jaki był na bramie i zajmując znaczną, podłużną przestrzeń, podnosił się z piętrem swem i dachem dość wysoko, stanowiąc w ogóle poważną i imponującą masę. Wszakże. równie jak na wałach, tak i na samym domie widać było upadek i opuszczenie. Gzemsy były porujnowane, tynki poopadały, w ozdobach architektonicznych nad oknami i nade drzwiami widoczne były odłamki i kalectwo, a w ogromnych oknach na całem piętrze nie dostawało połowy szyb, reszta zaś, przepalona od słońca i popękana, okazywała wyraźnie, że tam nikt nie mieszkał.

Po obu bokach ogromnego i zarosłego trawą dziedzińca, były późniejsze daleko budynki, gdzie mieszkali oficjaliści, gdzie były kuchnie i stajnie. Wszystko to nie okazywało także porządku, zamożności i czystości.

Sama pani zajmowała całe dolne piętro głównego gmachu. Mieszkanie to składało się z wielu sal i pokoi, ozdobionych niegdyś okazale, dziś wypłowiałych, zapuszczonych i przejmujących smutkiem, jak wszystko, co się chyli do ruiny, przypominając razem dawną świetność. bliskiem zagraża rozsypaniem się. Chociaż hrabina P* miałaby jeszcze za co urządzić bardzo wygodnie i gustownie mniejsze dla siebie i otaczających ją osób pomieszczenie; ale w jej głowie tkwił dawny przepych, dawna okazałość. Wolała więc siedzieć w brudnych salach, patrzeć na podarte obicia i podziurawione peruki i ferezje portretów familijnych; wolała stołki wysiedziane, ale obite adamaszkiem i gobelinami, na których nie znać już było rysunku, kanapy, z których pozłaziła pozłota; wolała mieć marszałka, który po pół roku i więcej nie mógł się z pe"sją swoją zobaczyć, hajduków, którzy byli głodni, na stajni konie chude i pokaleczone, byle ich było wiele i byle były niezmiernie rosłe; słowem, wolała ruinę dawnego dworu, przypruszoną dawniejszą pozłotą, dziurawą, ale wygalonowaną, niż zejście do mniejszych wymiarów we wszystkiem, przymierzenie sukni do wzrostu, wydatków do funduszów i zapewnienie sobie wygody, tak niewiele kosztującej, jeżeli ją tylko gust i prostota ozdabia. Pycha. upór i pochłaniające dochody

pieniactwo, stały się na starość kardynalnemi wadami tej kobiety, niegdyś pięknej i na dworze Stanisława Augusta wychowanej. W młodości była ona zawsze zimną i hardą, ale za przykładem ówczesnych pań przywykła hołdować ciału, cenić tylko pozór i przyzwoitość, aby jak dobry gorset zneutralizowały wady kibici, przygniatając to, co nazbyt wystaje, dopełniając sztucznie tego, co zapada i do miary nie dochodzi. Miała więc dość wygodne i elastyczne pojęcia o cnocie kobiety, o obowiązkach żony i matki W jednym tylko punkcie była surową i nieubłaganą t. j. w tem uszanowaniu, jakie każda, która miała szczęście urodzić się w znakomitym domu, winna była dla swego rodu. Uszanowanie to gruntowała nie na rzeczywistej wyższości moralnej, na nieskażonej uczciwości, na rzetelności w stosunkach z drugiemi, ale głównie na tem, aby niższym od siebie nie okazać słabej swej strony, aby się okryć tak płaszczem pozoru i przyzwoitości, iżby nikt nie mógł dojrzeć, co się pod nim dzieje, jakie plamy czernieją na ciele, jakie tam ropieją wrzody. W takich zasadach wychowała i córkę swą Rozalię, piękniejszą od matki, z lepszem, bo namiętnem sercem, ale przywykłą od dzieciństwa wszystkie jego popędy ukrywać i wszystkie uczucia poświęcać zasadom od młodości w umysł jej wpojonym.

Pojęcie tego *decorum* rozciągnęła hrabina nie tylko do obyczajów, ale i do pozycji socjalnej i do stosunków majątkowych. Z tego to powodu więcej jeszcze, niż z dawnych pańskich nałogów, otaczała się temi arystokratycznemi formami, które każdemu

przenikliwszemu oku, każdemu złośliwemu językowi przystęp do niej tamowały. Jej zamek, chociaż w ruinie, imponował; jej dwór, chociaż podszarzany, odstraszał wszelką skargę i wymówkę. Wierzyciel przechodził przez rózgi nieskończonych ceremonji, nim się do niej dostał; a gdy wreszcie przed nią stanął, gapiał, owiany tym duchem dawnych czasów, co ją otaczał i jąkał się na widok tej postaci okazałej i dumnej, na której leżał jakiś majestat żelaznej woli utrzymania się na stanowisku, na jakiem ją urodzenie postawiło. Podobnym sposobem wychodzili z nią wszyscy, których przez nią, lub z jej powodu, dotknęła jaka krzywda. Jeżeli śmielszy jaki szlachcic, wyrzucony niesłusznie lub niemiłosiernie z wioski, którą dzierżawił, popuścił języka, jeżeli jaki odważniejszy urzędnik poparł jego pretensją, wnet wzywała na pomoc swoje stosunki z najpierwszemi w kraju osobami, używała wpływu krewnych, którzy wysokie piastowali godności i biedak skrzywdzony musiał umilknąć, a sprawnik powiatu, lub nawet członek rządu gubernialnego, który go popierał, wkrótce wylatywał z miejsca, nie wiedząc prawie zkąd i za co taki cios go dotykał.

Dobra, które hrabina posiadała, były jeszcze znaczne, ale niezmiernie zadłużone i najgorzej administrowane. W takim stanie zostawił je hrabia, który w 1800 roku umarł. Był to człowiek w gruncie dobry, ale w najwyższym stopniu nieporządny, próżniak, wielki pan, który nie wierzył, że worek ma dno i że w nim nic nie będzie, jak się z niego wszystko weźmie; który gardził wszelką arytmetyką, i tak da-

lece lubił otaczać się dworem i oficjalistami, przez których oczy widział i których rękami robił, że gdyby był mógł mieć osobnego służalca na to, aby się za niego żegnał i pacierz mówił, byłby go pewnie przyjął i sowicie opłacał. Nie dziw więc, że go we wszystkiem oszukiwano, że gospodarstwo szło najgorzej, że jeżeli były jakie dochody, te szły do innej kieszeni, a dla pana na jego wielkie i nierozumne ekspensa na utrzymanie ogromnego dworu, na opłatę nawet podatków i procentów pożyczano ustawicznie, nie żenując się wcale z ofiarowaniem zysków tym, co jeszcze pożyczać mieli ochotę i odwagę. Tym sposobem hrabina, która za życia męża do niczego się nie mięszała, która, mając wszystko, nie zapytała nigdy, zkąd ma, a zasklepiona swoją wielkością, nie myślała nawet przebijać tej pańskiej skorupy, aby się jej rzeczy nie wydały wcale inaczej, niż sobie wyobrażała, owładnąwszy majątek po śmierci męża, objęła, właściwie mówiąc, tylko długi, tylko procesa.

Tu trzeba jej oddać sprawiedliwość, jak wielu naszym paniom, które się w podobnem znalazły położeniu. Rozpatrzywszy się w interesach, nie zdesperowała wcale; zrobiła się jeszcze dumniejszą, otoczyła się jeszcze ciaśniejszym ceremoniałem; za pomocą licznych swych stosunków i protekcyj powstrzymywała wszystkie na siebie napady, poodcinała niesłuszne i nieprawne procenta, słowem energią i hardem stawieniem czoła wszystkim atakom i ludzi i prawa, przyszła do tego, że się ze stanowiska swego wyprzeć nie dała. Chociaż więc koło niej było ciasno, ale nikt tego dojrzeć nie mógł; owszem, tak

trzymała i ściągała końce, że zamek, chociaż z potłuczonemi szybami, został przecież zamkiem, przed który tylko pańskiej karecie i to sześcią końmi wolno było zajechać.

Jedna wszakże była rana, która ją najmocniej bolała i której żadne protekcje, żadne związki krwi zagoić nie mogły. Był to proces z dawniejszym plenipotentem i faworytem jej męża, który miał zupełną jego ufność, nadużywał jej co się wlazło i po jego śmierci przystąpił z ogromną, bo krocie wynoszącą pretensją za różne nakłady, forszusa i poręczenia, której rzetelność własnoręcznemi hrabiego kwitami, listami i rewersami stwierdził. Chociaż hrabina, póki żył mąż, nie mięszała się do interesów, nie była jednak tak ślepa, aby nie widziała, że ten człowiek nie zasługuje na wiarę, którą go mąż zaszczycał. Instynktowym nawet sposobem nie cierpiała go i ostrzegała hrabiego. Że jednak, jak się to najczęściej zdarza, milszy mu był faworyt, który mu pochlebiał i pieniędzy dostarczał, niż żona, która tylko ekspensowała i chciała mieć więcej od niego rozumu, nie usłuchał jej wcale i rzeczy szły swoim trybem.

Oburzona i rozgniewana hrabina takiem wystąpieniem nienawistnego człowieka, zamiast się z nim jakkolwiek ułożyć, oskarżała go o złą wiarę, o nadużycia, fałszerstwo kwitów i rewersów, słowem, o chęć ograbienia jej i prawie o kradzież. Plenipotent zawziął się, a że miał pieniądze, mocniej, niż wszelkie protekcje, pretensją swoją popierał. Oprócz tej głównej dźwigni wszelkiego prawowania się, miał on

jeszcze i prawność za sobą; hrabina zaś swoich oskarżeń, które na potwarz zakrawały, niczem poprzeć i udowodnić nie mogła. Ztąd poszło, że jakkolwiek ją wszędzie potężne głosy wspierały, tyle tylko dokazała, że sprawa ta, trwająca już lat kilkanaście, była istną huśtawką, którą sobie dzieci z tarcicy robią, gdzie raz jedno z nich jest w górze, drugi raz drugie. Przed pięciu laty pan Hipolit Złotówka, tak się ów plenipotent nazywał, był już bliskim zupełnej wygranej; ale na jego nieszczęście zdarzył się pan Klemens z prożbą o rękę Rozalji. Hrabina potrzebowała gwałtem zasobów, dla wyratowania się z ruiny i postawienia na swojem. Rozalia więc została żoną pana Klemensa, a pan Hipolit Złotówka poszedł znowu na dół. Że to jednak był człowiek zamożny i sam prawnik, znowu się wydobył na wierzch. Tym sposobem, nie mogąc zamatować kobiety upartej, przytomnej, niezmordowanej, rozległe mającej stosunki, trzymał ją przynajmniej ustawicznie w szachu, tak, że się stał zmorą, która ją dzień i noc prześladowała. Gdy pan Klemens był w Petersburgu, dla swojej własnej sprawy, miał sobie dane od matki polecenie i plenipotencję do działania. Nic jednak nie zrobił, czy, że nie tak pilnie chodził koło jej interesu, jak koło swego, czy że nie mógł zaradzić w sprawie, o której ci nawet zwątpili, co na instancje wysokich tamtejszych figur byli jej najprzychylniejsi. Jakkolwiekbądź, hrabina, która nigdy zięcia swego nie lubiła i nie szacowała, jako człowieka podejrzanego szlachectwa; która wydanie za niego córki, uważała za największą w życiu swem

klęskę, do której ją nóż przeciwnika zmusił, powzięła ku niemu jeszcze większą niechęć i pogardę. Obecnie sprawa pana Hipolita Złotówki była znowu na dobrej drodze i dumna matrona znajdowała się w trosce i niepokoju, jak wynaleźć środki, aby powodzenie wroga przynajmniej sparaliżować, jeżeli nie zupełnie zniweczyć. Taką i w takiem położeniu była owa pani, matka tak interesującej nas Rozalji, do której na niejaki czas czytelników naszych zaprowadzić musimy.

We wchodowej sieni zamku, ogromnej i podnoszącej się w górę przez oba piętra, było dwóch lokai w staroświeckiej, wytartej liberji; z tych jeden leżał na brudnym sienniku, który sobie z komórki pod schodami wyciągnął, a drugi siedział z wyciągniętemi nogami przy stole, na którym stała wyszczerbiona miska, leżały drewniane łyżki, okruszyny razowego chleba i ogryzione kości, tu i ówdzie porozrzucane. Widać że ci panowie byli po śniadaniu i pokrzepiali snem zmordowane służbą siły. Z tej sieni na prawo był pokój o jednem oknie, dość obszerny i dość brudny. Na szarych ścianach jego wisiały dawne i podziurawione portrety, w czarnych wązkich ramkach, wyobrażające rozmaitych wodzów, senatorów, z napisami z boku, kogo który portret wyobraża, i z ocenieniem łacińskiem w dwóch lub trzech wierszach jego zasług i dostojeństwa. Były to liche niezmiernie bazgraniny, bez rysunku i kolorytu, i dla tego zapewne jako wybiórki ze wszystkich artystycznych zasobów zamku, do przedpokoju wyrugowane. W tym pokoju siedział pod oknem kozak, w

ogromnych płóciennych szarawarach, w jasnozielonej kurtce, czarnym, szerokim pasem przewiązany. Włosy jego już były siwe, wąsy także siwe zdobiły twarz przystojną, a w oczach bystrych, które wodził po twarzach hetmanów, wojewodów i kasztelanów, naprzeciwko niego wiszących, widać było śmiałość i spoufalnie się z temi znakomitościami przeszłości i konneksjami domu, dla którego wierność i poświęcenie wyssał z mlekiem i pożywał z codziennym, czarnym chlebem, którego kawałki także leżały na stole, przy którym siedział. Za tym pokojem następowała wielka sala o czterech oknach, wyłożona drobną dębową posadzką prawie nie umeblowana, bo tylko gdzie niegdzie mająca wąziutkie a długie kanapy, wybite wypłowiałą i podartą materją, podobnejże formy kilkanaście krzeseł i wielki stół dębowy, który stał niedaleko od ściany, dwa średnie okna przedzielającej. Na rozległym suficie tej sali były w różnych punktach, mianowicie bliżej okien, jakby karty geograficzne, złożone z ciemnożółtawych plam, pochodzących od zacieków przez zepsuty dach, od deszczów i słoty, zapędzającej się z wiatrem przez pobite okna pierwszego piętra i formującej sadzawki na podłodze jego pokojów. Na ścianach tej sali były cztery wielkie, prawie do podłogi sięgające obrazy, nadpsute i w wielu miejscach podziurawione, ale już w złoconych ramach, choć wązkich i poczerniałych. Obrazy te, wcale niezłe, wyobrażały Faraona tonącego na morzu z całem swem wojskiem, Mojżesza dobywającego wodę ze skały, żydów zbierających mannę na puszczy, i wielkiego proroka, kru-

szącego cielce złote po powrocie swym z góry Synai. Przy stole, o którym wspomnieliśmy, siedziało dwóch młodych oficjalistów w starych i wyszarzanych surducikach i w nankinowych pluderkach. Byli to podręczni hrabiny pisarze. Przy każdym leżało dosyć papierów rozmaitej formy, białych i szarych; z herbami i bez stępla. Obaj z brudnych, wyszczerbionych talerzy, cynowemi łyżkami jedli śniadanie. Ale widać nie bardzo im smakowało, poglądali bowiem na siebie i przelewali z góry na talerz rzadziutką kaszkę, która, spadając w tej niezbyt omaszczonej kaskadzie, obryzgiwała pozwy i akta. Tymczasem chłopiec, nieuczesany, w szarej dziurawej kurtce, w brudnych płóciennych spodniach i w wykrzywionych butach, który im, widać, to śniadanie przyniósł i na talerze czekał, stał przed jednym z obrazów, i żydówce, nadstawiającej fartuch mannie spadającej z nieba, robił węglem ogromne wąsy. Za tą salą, tak nazwaną salą Mojżesza, był pokój czworograniasty o dwóch oknach, czystszy od poprzedzających i nie tak pusty jak tamte. Na staroświeckich meblach była żółta materja; w wyrzynaniach drzewa, biało pomalowanego, widać jeszcze było w wielu miejscach złocone prążki. Forma dwóch kanap i krzeseł, które już symetrycznie stały, okazywała, że to był niegdyś ładny i gustowny salon. Zdobiło go parę starych i dość kosztownych szaf; stoły przed kanapą i po kątach stojące, miały brązowe, złocone obwódki i galeryjki; na marmurowym kominie stał wielki zegar, a na ścianach, obitych żółtawą, ale nadpsutą materją, w wązkie złocone ramy ujętą, wisiały zwierciadła, oprawne w

świecące i różnemi załomami i wyrabianiami ozdobne, także złocone ramy. Kilka tylko było tam portretów, wyobrażających bliższych hrabiny krewnych, okazujących ze stroju i z pędzla, że należały do późniejszych czasów. Nadedrzwiami i nad oknami, w półokrągłych, wyrzynanych ramach, były obrazy olejne, maniery Watteau, wyobrażające pasterki pogorsowane i w krótkich spodniczkach, lub panie w robronach i ufryzowanych przy nich kawalerów. W tym pokoju, na krzesełku, przy drzwiach wchodowych stojącem, siedział stary już mężczyzna, wyrazistej, ale nie polskiej twarzy, z siwemi, na tył głowy zaczesnmi włosami, w czarnym wyszarzanym fraku, ze stojącym kołnierzem i okrągło ściętemi połami, w czarnych krótkich spodniach i w białych, choć niezupełnie całych pończochach. Na szyi chustkę miał wąziutką białą, a żaboty, przypruszone tabaką, wychodziły z pod białej długiej kamizelki. Był to Francuz, sługa hrabiny od lat młodych, wtajemniczony w różne, jeszcze warszawskie sekreta, obecnie marszałek jej dworu, pełniący razem funkcję magistra ceremonii i kamerdynera przy jej stole, gdzie tylko jej jednej usługiwał, równie przy obiedzie, jak przy śniadaniu i wieczornym posiłku. Zachowując ściśle formy dworu, zawsze się tak ubierał, jak go opisaliśmy, i kiedy pani była w swoim pokoju, siedział na tem krześle przy drzwiach sali, jak Sfinx pilnujący nieruchomie świątyni, w której znajdowało się bóstwo. Za tę wierność, czujność i umiejętność pokrywania i dawniejszych grzechów i obecnego niedostatku, miał naznaczoną dobrą pensję, którą raz w połowie, drugi raz w trzeciej,

czwartej części, lub wcale nie pobierał, która mu się jednak zawsze liczyła i w procentach rosła. Wtedy tylko domagał się koniecznie pieniędzy, kiedy mu się podziurawiły białe pończochy, palce wyłaziły z trzewików i łokcie z rękawów. Ta śmiałość i natręctwo nie gniewały hrabiny; owszem, liczyły mu się za zasługę, ponieważ dopuszczał się ich tylko dla honoru domu i zachowania koniecznej przyzwoitości.

Z tego dopiero pokoju, który nazywał się zegarowym, aby choć czemkolwiek przypominał się Wersal, wchodziło się do gabinetu hrabiny. Nie był on od poprzedniego nowszym, czystszym ani gustowniejszym. Ale, że ciągle prawie w nim siedziała, zamykał więcej mebli, miał już jasno-zielone, materjalne przy oknach firanki, takież obicia na ścianach, żyrandol z kryształków wiszący od sufitu, wielkie dwa zwierciadła w złoconych i wyrabianych ramach, i wielkie dwa portrety Bacciarellego, prześliczne co do rysunku i kolorytu. Z nich jeden wyobrażał hrabinę, w gustownej, niewielkiej fryzurze, w sukni białej, lekkiej, udrapowanej i ocienionej tak, jak to Bacciarelli umiał robić, trzymającej w jednej ręce wachlarz, a drugą wspierającej się na galerji żelaznej prowadzącej po kilku kamiennych schodkach na platformę, gdzie w głębi widać było masę zieloności. Całe tło i niebo ochmurzone trzymane było w tonie ciemnym, a z tego wychodziła, jak żywa, wysmukła postać wysokiej i okazałej kobiety, która w swoim czasie musiała być piękną, chociaż na twarzy jej widać było więcej charakteru i dumy, niż serca i namiętności. Drugi przedstawiał hrabiego, w owcze-

snym francuzkim stroju, z delikatną chustką na szyi, z koronkowemi żabotami i mankietami, których koloryt i mistrzowskie wyrobienie odbijały doskonale przy ciemno-niebieskim aksamitnym fraku i sztucznie obmyślonem tle, z którego cała postać wysuwała się jawnie i śmiało.

Na wielkiej kanapie, wybitej jak wszystkie meble w tym pokoju, delikatnemi ale wypłowiałemi gobelinami, oparta o wysoki jej grzbiet, staroświeckiemi wyrzynaniami ozdobiony, mając nogi wyciągnięte na aksamitnej poduszce, siedziała hrabina, z podniesioną głową, z oczami wlepionemi w sufit, i trzymając w prawej ręce dużą złotą tabakierkę z miniaturą Stanisława Augusta i z napisem: rok 1788; biła nią ciągle w dłoń lewej ręki, której łokieć wspierał się na wysokim wałku kanapy. Była to jej zwykła postawa i nałogowa zabawka, gdy ją troskliwe myśli opadały i chuda twarz pana Hipolita Złotówki stała przed imaginacją. Jej rysy nie okazywały jeszcze pięćdziesięciu siedmiu lat, które miała, i dobrze przypatrzywszy się, można było znaleźć niejakie podobieństwo z portretem, który ją wyobrażał młodą i piękną. Czoło tylko pogięło się od myśli, nos zgrubiał od tabaki, i spodnia warga odchyliła się naprzód, gdyż usta jej odwykły od dawna od wyrazu dobroci i od uśmiechu przymilenia, którymby się podobać chciała. W twarzy jej był wyraz ostry i twardy, jakiby łagodniejszej nawet niż ona kobiecie, nadały troski ustawicznej wojny z wierzycielami i kilkunastoletniego prawowania się z śmiertelnym wrogiem. Strój jeszcze wybitniejszym czynił ten cha-

rakter jej twarzy; głowę bowiem miała odkrytą, a siwe jej włosy, po męzku przystrzyżone, których nie miała czasu ani trefić, ani zaplatać, spadały w nieładzie na jej policzki i tył głowy. Na szyi miała zawiązaną chustkę białą, obszytą szeroką koronką, spadającą na suknię czarną, z tak zwanego wówczas ingierszalu, dostatnio zrobioną, zapiętą wysoko i przewiązaną w pasie jedwabnym sznurem, którego końce i kwasty spadały aż do ziemi.

Na stoliku okrągłym, ze złoconą obwódką i galeryjką, który stał z boku, leżały papiery, a przy nich koperta wielka z dużą pieczęcią. Była to widać korespondencja procesowa, świeżo odebrana z Petersburga i tylko co przeczytana. Oprócz hrabiny, znajdowała się jeszcze w tym pokoju druga osoba. Była to stara panna, chuda, wysoka, blada i chora na zęby. W czarnej sukience, starej i wytartej, podwiązana chusteczką białą, za którą tkwił materacyk z ziołami, z gołą głową, z której dwa loczki spadały na czoło smutne i bez przyszłości, biedna ta istota którą sieroctwo i stracona nadzieja pójścia za mąż do tej niewoli dworskiej oddały, i na pastwę despotyzmu hrabiny przeznaczyły, siedziała bliżej okna i trzymała w ręku list, którego jej widać doczytać nie pozwolono. Nie śmiała biedaczka kontynuować, widząc, że jej pani nie słucha; a bojąc się przerwać jej zamyślenie, patrzyła w nią jak w tęczę, z natężeniem i w milczeniu, oczekując, aż się ocknie i dalej jej czytać każe.

Taki był stan zamku Białobrzyńskiego w tej chwili, w której wprowadzamy do jego wnętrza czy-

telników naszych. Począwszy od bramy, gdzie siedział na złomie kamieni hajduk i milczał, idąc przez pusty dziedziniec, przez sienie i następne pokoje, aż do gabinetu pani, wszędzie panowała cichość, i wszystkie osoby, któreśmy widzieli siedzące w milczeniu, podobne raczej były do galerji figur woskowych w pewnej pozycji zastygłych, niż do ludzi żywych, niegłodnych, i w których żyłach krew uderzała, a w głowie grały myśli, snujące projekta na jutro, lub przerzucające wczorajsze wspomnienia.

Po niejakim czasie hrabina wyprostowała się, lewą ręką odgarnęła włosy z twarzy i ze skroni, i zdawała się przysłuchiwać.

— Co to jest? — zapytała po chwili.

— Ja nic nie słyszę — odpowiedziała panna.

— Acanna nigdy nic nie słyszysz! — rzekła ruszając ramionami hrabina — zawsze masz zapchane uszy bawełną.

— Kiedyż, proszę pani, zęby mnie bolą — odpowiedziała pokornie biedna sierota, ogartując z prawego ucha materacyk, co je zasłaniał i wyjmując z niego spory kłak bawełny, któryby wystarczył do nabicia karabina.

— Wiecznie pannę Konwenckę coś boli — dodała niemiłosierna kobieta. — Czy i teraz nic nie słyszysz?

— Zdaje mi się, że słyszę dzwonek — odpowiedziała panna Konwencka, nachylając się ku oknu.

— A widzisz acanna, ja go już dawno słyszałam — rzekła hrabina — choć byłam zajęta ciężkiemi myślami. Acannę o nic głowa nie zaboli, masz wszystko, a jednak siedzisz, jakbyś była głucha.

Westchnęła ciężko biedaczka i powstała, zwróciwszy się ku drzwiom. Wtedy hrabina dodała:

— Dokąd-że acanna chcesz iść?

— Chciałam pójść dowiedzieć się co znaczy to dzwonienie — odpowiedziała panna zatrzymując się.

— Któż to acannie kazał? — rzekła hrabina — nie ma potrzeby. Tam przecież są ludzie, których obowiązkiem jest dać mi znać, co się dzieje, i którzy nie mają w uszach bawełny. Usiądź acanna i czytaj dalej.

Usiadła więc biedna respektowa panna z ciężkiem jeszcze westchnieniem, i tylko co podniosła papier do oczu, które zasłaniały łzy mimowolne, a których nie można było pokazać, gdy odgłos dzwonka wyraźny i szybki rozległ się między murami dziedzińca, a wraz z nim turkot powozu, który przed drzwiami wchodowemi stanął. Gdy wszystko ucichło hrabina rzekła:

— Któż to ośmielił się najechać mój dom? bo nie sądzę, aby to była wizyta. Osoby odwidzające mnie tak hałaśliwie nie zwykły zajeżdżać, wiedząc do kogo przybywają.

Ponieważ odgłos dzwonka pocztowego był rzeczą niezwyczajną w zamku hrabiny, wszyscy więc jego mieszkańcy, których widzieliśmy, i inni z tak nazwanej kommisarji i z oficyn kuchennych, wybiegli na dziedziniec, lub patrzyli przez okna. Przed drzwiami zamku stała prosta bryczka pocztowa, zgrzaną trójką zaprzężona, a z bryczki wysiadł mężczyzna w szaraczkowym płaszczu, z czarnym kołnierzem, w zielonej czapeczce z czarną aksamitną obwódką i czer-

woną wypustką, i wszedłszy do sieni, zapytał gdzie pani i którędy ma się obrócić. Obaj lokaje, którzy tam byli, ziewając i przecierając oczy, zmierzyli od stóp do głowy przyjezdnego, i odpowiedzieli zwolna, że pani wprawdzie jest, ale trzeba zameldować.

— To niech-że który idzie — rzekł podróżny — bo ja nie mam czasu.

— Ba! i ja to nie bardzo mam czas — rzekł jeden, i obróciwszy się do kolegi, który siennik zaciągał do komórki, dodał — idź ty!

— Widzisz, że robię — odpowiedział tamten — idź sam.

Ta ceremonia byłaby długo jeszcze trwała, ale z prawej strony drzwi się otwarły, i wyszedł z nich kozak, któregośmy tam w pokoju siedzącego widzieli. Gdy obaczył podróżnego, widać że go poznał, uśmiechnął się z daleka, i przystępując śpiesznie, ukłonił mu się nizko.

— A jak się masz Maksymie — rzekł wówczas podróżny, klepiąc go po ramieniu. — Chciałbym się widzieć z panią i pilno mi.

— Niechaj wielmożny pan idzie — odpowiedział kozak, pokazując drzwi i wprowadzając go bez względu na podziwienie miejscowych lokajów. Widać, że kozak ten był starszą w domu potęgą. W ciągu drogi przez kilka pokoi, ta krótka rozmowa miała miejsce.

— Zdrowiście?

— Sława Bohu! — odpowiedział kozak.

— Ale tu coś u was smutno i cicho.

— Jak zwyczajnie. Pani sama jedna, stara i gości nie lubyt.

— A tamtaż pani nie była?

— Ni, niebyła. Maje syna — dodał kozak uśmiechając się.

— A tobież udało się?

— A czemu nie miało się udaty? wid czohoż Maksym maje hołowu! — odpowiedział kozak.

— I chłopiec zdrów.

— Podobnoś — rzekł kozak, a gdy przyszli do pokoju, gdzie siedział Francuz, dodał: — Niechaj pan powie pani, że ja mam coś powiedzieć.

— C'est bien — mruknął Francuz i poszedł. Gdy zostali sami, podróżny, dając spory woreczek kozakowi, rzekł:

— Generał dziękuje ci, Maksymie, i przysełа ci to dla twego chłopca. Jak wyrośnie, kupisz mu za to konia, aby był taki zuch, jak ty.

— Dziękuję — rzekł kozak, i chowając pieniądze, dodał: — Z jednej piersi z tamtym ssali, to może razom budut i wojowaty.

Francuz wkrótce wrócił i dał znak Maksymowi, aby wszedł. Ten, gdy stanął w pokoju hrabiny, i drzwi za sobą zamknął, rzekła:

— Kogożeś tam przyprowadził z sobą i któż to z tym dzwonkiem przyjechał?

Kozak giestem okazał, że przy pannie respektowej nie może powiedzieć. Wtedy hrabina zwracając się do biednej sieroty, która siedziała wyprostowana i trzymała przed sobą papier, aby na dany rozkaz zacząć czytanie, rzekła;

— Wyjdź acanna ztąd, panno Konwencka. Na cóż acanna zabierasz z sobą to, co nie do acanny pisano? Połóż ten list tu na stole. On ztąd nie ucieknie, znajdziesz go tu, jak powrócisz i jak ci każę dalej czytać.

Panna Konwencka zrobiła, co jej kazano, i ciężko westchnąwszy, weszła ze schyloną głową we drzwi na prawo, które do sypialnego pokoju hrabiny prowadziły.

— Cóż tedy? — zapytała wówczas hrabina.

— A to, proszę jaśnie wielmożnej pani, ten sam doktor, szo z nami tohdi buw — odpowiedział kozak ciszej i oglądając się.

— A! — zawołała hrabina i czoło jej zmarszczyło się. Potem, pomyślawszy chwilę i spojrzawszy na papiery, które na stoliku leżały, dodała jakby sama do siebie: — Może się też to na co przyda. Poproś go i postaw tu krzesło.

Kozak postawił krzesło przy kanapie, i otworzywszy drzwi, dał wejść znajomemu nam radcy stanu i kawalerowi orderów, który w tymże samym zielonym surducie, z dwoma krzyżami na szyi, w jakim go już widzieliśmy, wszedł, i bez wielkiej uniżoności, ale i bez dumy, skłonił się hrabinie, która mu poważnie kiwnęła głową i ukazała miejsce, aby usiadł.

— Dawnośmy się już nie widzieli, panie Grodzki, rzekła hrabina, przekręcając nazwisko doktora, zwykłym zwyczajem naszych panów, którzy dla pospolitych nazwisk żadnej pamięci nie mają, i wymawiając je, gwałt niejako swojemu gardłu czynią. Doktor uśmiechnął się i skłonił na znak potwierdzenia.

— Dokąd-że acan, panie Grodzki, teraz jedziesz? — zapytała hrabina, bawiąc się swą tabakierką.

— Na przedstwienie generała — odpowiedział Grodnicki — mianowany zostałem głównym lekarzem rezerwowego korpusu i objeżdżam teraz szpitale wojskowe wszędzie, gdzie korpus nasz stoi.

— Winszuję acanu tego awansu — rzekła hrabina, dając tabakierce swej zwykłe poruszenie ku dłoni lewej ręki. — Widać, że mój kuzyn pamiętał na przysługę, jaką od acana, panie Grodzki, otrzymał.

— Sądzę — odpowiedział doktor serjo — że generał ocenił raczej zasługę mojej służby publicznej i jawnej. Przysługa, o której pani wspominasz, zrobiona była nie jemu, chociaż przez wzgląd na jego dla mnie łaskę i przyjaźń.

— Ile sobie przypominam — odpowiedziała hrabina, uderzywszy mocniej tabakierką o dłoń lewej ręki — zdaje mi się, że i ci, których ta przysługa bliżej, jak acan mówisz, obchodziła, umieli ją ocenić.

— Byłem dostatecznie zapłaconym — odpowiedział lekarz skłoniwszy głowę i z uśmiechem, na który czoło hrabiny zmarszczyło się.

— Nie mówmy więc o tem — dodała. — Jak-że się ma mój kuzyn?

— Generał zdrów dosyć — odpowiedział doktor — jednak potrzebuje ciepłych kąpieli, do których wkrótce uda się za granicę. Właśnie z jego rozkazu jestem tu u pani hrabiny, aby jej oświadczyć, że generał w przejeździe złoży pani swoje uszanowanie i parę dni w domu jej odpocznie.

— Bardzom mu wdzięczna, ze jeszcze o mnie pa-

mięta — rzekła hrabina takim tonem, jak gdyby chciała dać poznać, że to jego obowiązek. Potem, spojrzawszy na papiery leżące na stoliku, podniosła głowę, odgarnęła włosy ze skroni, i tak z otwartą trochę gębą czas niejaki siedziała. Po chwili namysłu rzekła: — Kiedyż to mój kuzyn ma przejeżdżać? Czy acan nie możesz mi oznaczyć z pewnością czasu w którym się go mam spodziewać?

— I owszem — odpowiedział doktor — pan generał kazał mi oświadczyć pani, że w pierwszych dniach lipca niezawodnie służyć jej będzie.

— Cieszę się mocno, że o tem wiem — odpowiedziała. — Właśnie w tym czasie miałam zamiar wyjechać do mojej córki, aby wnuka mego pobłogosławić. Odłożę więc moją podróż na później. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby mię mój kuzyn nie zastał. Czy acan nie masz do mnie żadnego listu?

— Tyle tylko kazał mi generał powiedzieć pani hrabinie — rzekł doktor powstając, i dopełniwszy polecenia, pożegnał ją ukłonem.

Hrabina odsunęła nogą poduszkę, na której się wspierała, i powstawszy, skłoniła mu się nawzajem; ale w tym ukłonie było więcej ironii i dumy, niż życzliwości i pamięci na chwile bardzo przykre, a których same wspomnienie powinno było zjednać mu inne przyjęcie i dać wcale inny tok ich rozmowie. Ale na to potrzeba było serca, a tego nie było w starej egoistce, która wszędzie widziała tylko siebie, i uważała to za łaskę i honor, że raczyła przyjmować przysługi, jakie jej czyniono, nie przypuszczając nawet, aby one czynione były, jak to w obecnym ra-

zie miało miejsce, z innych wcale względów, a nie przez cześć i uszanowanie dla jej osoby, herbu i parenteli.

Gdy doktor wyszedł przeszła się kilka razy po pokoju, odgarnęła obiema rękami włosy na tył głowy, odkrywszy czoło szerokie, niegdyś piękne i gładkie, dziś na środku trochę zaklęśnięte i poznaczone w różnych kierunkach zmarszczkami, które na niej myśli kłopotliwe poryły. Wkrótce dał się słyszeć na dziedzińcu głos dzwonka pocztowego i oddalający się turkot kół. Za chwilę wszystko znowu ucichło i zamek wrócił do swego milczenia. Hrabina, postawszy spokojnie na środku pokoju, jakby dawała czas dojrzeć postanowieniu, które ją zajmowało, potarła palcami czoło, i z wyrazem twarzy, w którym wybiła się wzgarda i niechęć ku tej osobie, o której widać myślała, rzekła sama do siebie: — Bah! il s'en tirera, comme il pourra!

To powiedziawszy, przystąpiła do stolika i zadzwoniła. Na ten głos z jednej strony wszedł Francuz, a z drugiej panna Konwencka. Hrabina, obróciwszy się do tej ostatniej, rzekła ostro:

— Pocóżeś acanna przyszła, kiedy cię nie wołano?

— Myślałam, że pani będziesz mnie potrzebować — odpowiedziała pokornie panna, chcąc gotowością do usług i proszącym wzrokiem rozbroić twardą kobietę.

— Niepotrzebnie acanna okazujesz zbytek gorliwości — rzekła na to pani — każdy powinien znać swój obowiązek. Dzwonię nie na acannę. Jak cię będę potrzebować, to po ciebie przyślę.

Cofnęła się więc napowrót zastraszona biedaczka i drzwi za sobą zamknęła, a hrabina, obracając się do Francuza, rzekła:

— J'écrirai une lettre.

— C'est bien, madame la comtesse — odpowiedział i przystąpiwszy do biórka, które stało pod drugiem oknem, przyrządził jej papier, poprawił pióro, podłożył pod biórko poduszkę na nogi, i przysunąwszy krzesło, wziął w rękę lichtarzyk ze świecą woskową.

— Niech tu Maksym przyjdzie — dodała do odchodzącego: — Vous lui donnerez trois roubles. Il partira.

— C'est bien, madame la comtesse — odpowiedział Francuz i wyszedł.

Gdy po chwili wszedł Maksym, rzekła hrabina:

— Za godzinę pojedziesz z listem do mojej córki.

— Pojidu, pani — odpowiedział kozak i oddalił się. Jakoż w godzinę potem, traktem ku Podolowi szedł wielką stępą koń gniady i silny, choć trochę za chudy. Z tyłu za siodłem leżała sukmana z kapturem, przykrywająca niewielki mantelzaczek; z boku wisiał worek z żywnością; z przodu były olstra, z których wyglądały pistolety, a na siodle siedział kozak w płóciennych szarawarach, w kurtce jasnozielonej. Na piersiach miał skórzaną sumkę mocno przypiętą, a na głowie czapkę baranią, z której zwieszał się jasno-zielony worek. Twarz jego była spokojna; siwy wąs nie strzępił się żadnem poruszeniem, czasem tylko, gdy się obejrzał na zamek, którego wysoki dach widać jeszcze było z pomiędzy drzew wałowych, naciskał czapkę, i w oku jego błyskała jakby łza, którą widać żegnał żonę i dziecko.

List, który Maksym przywiózł, adresowany do Rozalji, był następującej treści:

„Kochana córko! Ponieważ dotąd nie domyśliliście się przywieźć mi waszego syna, abym go pobłogosławiła, mimo kłopotów, które mnie obarczają, zbierałam się sama odwiedzieć was, aby dziecię wasze obaczyć i ucałować! Ale wczoraj odebrałam list z Petersburga i tyle nowych przysmaków, że mię to z nóg zwaliło. Zmartwienia moje, z powodu niegodziwości tego łajdaka, którego ojciec twój wyciągnął z za pieca folwarku, gdzie powinienby zostać, są tak wielkie, że nie spodziewam się, aby mi czas i zdrowie pozwoliły wychylić się z domu i odbyć tak daleką podróż. Już i ten list piszę z łóżka, z którego nie wiem, kiedy powstanę. Proszę cię więc, moja córko, abyś do mnie przy końcu tego miesiąca na kilka dni z synem swoim przyjechała. Lato mamy piękne i podróż w tej porze dziecku nie zaszkodzi. Nie zabawisz się u mnie zapewne, bo dom mój głuchy i pusty. Nie mam głowy bawić gości, których zawsze nie lubiłam, choć twój ojciec tyle z nimi czasu i majątku stracił. Tem bardziej teraz ich nie lubię, gdy mię wiek chyli i kłopoty obarczają. Przyrzekam ci jednak, że choć chora i znękana, nie będę od ciebie wymagać tych starań, jakiemi wycieńczyłam zdrowie twoje, gdyś u mnie ostatnią razą przebywała. Zresztą, sądzę, że widok twojego syna doda mi sił i humoru. Jeżeli więc, moja córko, uważasz to za powinność, abym ja dziecko twoje przeżegnała, nim umrę, to przyjedź. Ostatnich dni tego miesiąca czekać cię będę. Jeżeli twój mąż

będzie miał czas i odwagę kilka dni ponudzić się z nami i przebyć w tym domu pustym i obnażonym dziś ze wszystkiego, co go dawniej zdobiło, kłaniaj mu się serdecznie odemnie i proś go, aby przyjechał także. Il sera le bien venu. Bądź zdrowa, moja córko, całuję cię po tysiąc razy i spodziewam się, żeś tem bardziej szczęśliwa w twojem życiu, gdy ci Bóg dał taką pociechę, jaką masz w twem dziecku".

W przypisku było: „List ten posełam przez mego kozaka, aby tem prędzej mieć twoję odpowiedź. Nie zatrzymuj go więc i odpisz zaraz".

Rozalia, przeczytawszy ten list, oddała go mężowi. Pan Klemens nie miał nic przeciwko podróży żony i syna, ale strwożony wzmianką o procesie i bojąc się równie wymówek matki, że w czasie bytności swojej w Petersburgu interesu tego nie skończył, a nadewszystko lękając się, aby nie przymówiła się do jego kieszeni, dał poznać żonie, że jeszcze nie wie, czy sam będzie mógł jej towarzyszyć, kazał tylko odpisać hrabinie, że Rozalia z synem niezawodnie na czas oznaczony przybędzie.

Nim odpowiedź wygotowaną została, Maksym siedział sobie na schodach ganku i czekał. Nie wdawał się on bardzo w rozmowę ze sługami miejscowemi, unikał galonowanych i w cienką liberją przybranych lokajów, nawet kozakom pana Klemensa, wypytującym go ciekawie: jak tam u was? i przypatrującym się litościwie wytartej jego i zszarzanej odzieży, odpowiadał lakonicznie i niechętnie. Zostawili go więc samotnym i zdecydowali, że to jakaś

bestja harda, co gadać nie chce. Gdy więc tak, pokręcając siwego wąsa, rozglądał się w około, spostrzegł, że pierwsze okno oficyny na lewo otwarło się i hoża jakaś i czysto ubrana kobieta postawiła w oknie sporego już chłopczyka i sama przy nim stanęła.

Był to Tadeuszek, już blisko dwuletni, w krótkiej czerwonej sukience, z gołą głową i bosemi nóżkami. Twarzyczka jego była czerstwa i rumiana, czoło szerokie i okryte ślicznemi blond włoskami, które się naturalnie kręciły i w gęstych puklach po całej głowie spadały. Patrzył on wesoło i śmiało, wystawiał nóżki na dwór i wyciągał rączki, przechylając się cały naprzód, jakby się szamotał z niańką, groził, że się wydrze z jej rąk i z okna wyskoczy.

Widząc to, Maksym uśmiechnął się, pokręcił wąsa z ukontentowaniem i nieznacznie powstawszy, przybliżył się do okna. Chłopczyk spojrzał nań niebieskiemi oczami, które ciemne rzęsy ocieniały i zaprzestawszy swywoli, przytulił się do niańki, która go w pół objęła.

— Zdorowa mołodycia! — rzekł po chwili Maksym. — A czyj to panicz?

— A Pan Bóg go wie czyj — odpowiedziała kobieta, uśmiechając się — to państwo tak z łaski wychowują.

— Sierota?

— Może i sierota — odpowiedziała niańka — a może i nie, kto to wie! Podrzucili go pod oknem pańskiem.

— Hm! hm! hm! — mruknął Maksym — ktoś widważnij! I nie dowiedzieli się, kto podrzucił?

— Szukali długo i dowiadywali się — odpowiedziała kobieta — ta nic nie znaleźli.

Kozak uśmiechnął się i wyciągnął do Tadeuszka ręce, jakby chciał go wziąść. Chłopiec objął niańkę za szyję, i zabezpieczywszy się już niejako tym sposobem, patrzył śmiało na kozaka i filuternie się do niego uśmiechał.

— Będzie zuch! — rzekł wówczas Maksym, i wziąwszy jego nóżkę, którą chłopiec wydzierał, pocałował ją. — Bądź zdrów, paniczu, chowaj się i rośnij prędko! A jak wyrostesz — dodał odchodząc i półgłosem — to ja tobi szczoś skażu.

Potem znowu usiadł na schodach, i na list czekając i poglądając na bohatera naszego, który swywolił w oknie, uśmiechał się i poświstywał. Wkrótce wyniesiono depeszę i podarunek na drogę. Maksym schował w swą sumkę jedno i drugie, podpiął rzemyk, który czapkę na głowie przytrzymywał, i uśmiechnąwszy się jeszcze raz do dziecka, które go ścigało wzrokiem, tego samego dnia, którego przybył, puścił się na powrót w drogę.

Tymczasem w Białobrzyńcach, na przyjęcie spodziewanych gości, wielkie robiły się przygotowania. Otworzono pokoje na lewej stronie, w których dawniej sam hrabia mieszkał. Były one niegdyś bogate i zamykały wszystko, co do wygody, a nawet zbytku dla mężczyzny potrzebne. Dziś wyglądały brudno i staro; jednak przy starannem okurzeniu i oczyszczeniu ścian, zwierciadeł i mebli, można w nich było po-

mieścić na parę dni choćby najwymyślniejszego gościa. Ten apartament przeznaczyła hrabina dla generała. Córkę, ponieważ miała przyjechać sama z dzieckiem tylko, postanowiła ulokować bliżej siebie. Za tym pokojem, w którym ją widzieliśmy, był jeszcze apartament, złożony z dwóch pokoi bawialnych, z sypialni i garderoby. Pokoje te miały komunikację z jej gabinetem i stanowiły niegdyś całość jej mieszkania. Kazała więc hrabina komunikację tę przywrócić, wszystko starannie uporządkować, oczyścić, i co tylko mogło być potrzebne dla kobiety i dziecka, przygotować.

Od dnia 30 czerwca wszystko już było przyrządzone, równie w zamku, jak i w oficynach, aby słudzy bogatego dorobkowicza wiedzieli, że są w pańskim domu, i nie żartowali sobie, że u nich i lepiej i wszystkiego więcej. Od tego dnia cały dwór przybrał paradne odzienie. Francuz miał czyste i całe pończochy i żaboty, lokaje staroświeckie, jasno zielone fraki ze złotemi galonami, Maksym czarne sukienne szarawary i nową kurtkę, którą za własne pieniądze sprawił; kucharzom rozdano białe szlafmyce i fartuchy, a nawet ów chłopiec, któregośmy w sali widzieli, dostał dobre cięgi za to, że się pokazał nieuczesany i brudny.

Gdy Rozalia przyjechała, zdziwiła się niezmiernie, że ją matka tak paradnie przyjmuje. Hrabina nic na to nie odpowiedziała, a córka, przywykła od dzieciństwa szanować jej wolę, nie śmiała się dopytywać i badać, zkąd taka dla niej ceremonia. Nie będziemy opisywać ani przywitania matki i córki, ani

sposobu, jakim stara magnatka przyjęła wnuka dorobkowicza, który miał i fortunę ojcowską i jej długi odziedziczyć. Dodamy tylko, że za nic w świecie nie chciała go nazywać Hipolitkiem, gdyż jej to imię pana Złotówkę, jego niegodziwość, jego upór i wszystkie zmartwienia, jakich proces z nim był przyczyną, przypominało. Miał chłopczyk drugie imię Kazimierza, na pamiątkę ojca Rozalii dane, i tem go zawsze hrabina nazywała, wymógłszy od córki, że póki u niej gościć będzie, nigdy go także inaczej nie nazwie. Nie pieściła się też z dzieckiem nigdy, bo wszelki kares i pieszczota były zupełnie obce jej charakterowi. A nawet gdyby i chciała była uściskać je i z niem się pobawić, to byłoby niepodobnem, gdyż dziecko to także nie lubiło pieszczot, a przytem, przestraszywszy się od pierwszego razu jej widoku, bało się już potem, wiele razy się zbliżyła i z krzykiem tuliło się na łonie piastunki lub mamki.

Chłopczyk ten, o którym jeszcze dotąd nic nie powiedzieliśmy, dziwnem jakiemściś zrządzeniem był bardzo do Tadeuszka podobnym; miał tylko ciemniejsze włoski, oczy piwne, złożenie nie tak silne, i cerę chorowitą. Wszystkie starania rodziców i metoda Angielki nie mogły mu dać wesołości i rumieńca. Kiedy Tadeuszek sierota, w siódmym i ósmym miesiącu życia, biały i rumiany, jak krew z mlekiem, patrzył wesoło błękitnemi oczami, śmiał się i chichotał do Widalsi, którą już znał i przed którą najpocieszniejsze figle rączkami i nóżkami wyrabiał; Hipolitek, panicz, chociaż zdrów i zęby szczęśliwie dostał, był zawsze blady, miał wejrzenie smutne.

nie lubił na nikogo patrzeć, nawet na matkę, i chociaż już miał jedenaście miesięcy, jeszcze się prawie nigdy nie zaśmiał. Martwiło to niezmiernie Rozalię. Pan Klemens, przypisując tak ponure usposobienie dziecka jego zdrowiu, radził się ciągle doktora, który utrzymywał, że to są skrofuły; Angielka utrzymywała, że będzie tak dopóty, póki nie zacznie pić porteru i jeść rostbifu, a Widalsia, której doświadczenia ojciec stroskany radzić się nie zaniedbał, przytoczywszy historję jednego ze swoich chłopców, w którym także coś podobnego upatrywała, i który też w trzynastym miesiącu umarł, zakonkludowała, że wszystkiemu temu winna Angielka, która go po niemiecku wychowuje. Zresztą wszyscy się już z tym stanem panicza oswoili, i Hipolitek rósł sobie w tem usposobieniu mrukliwem, nie śmiejąc się nigdy, nie patrząc na nikogo, nie przyjmując nawet matczynych pieszczot, krzycząc tylko, jeżeli mu nie zaraz dano, czego chciał, i drapiąc nieraz aż do krwi pierś mamki, jeśli jej nie dostał natychmiast, lub gdy mleko pyszczka jego od razu nie zalewało.

Już trzy dni pobytu Rozalii u matki upłynęły, a ceremonia nie ustawała; owszem, hrabina z każdym dniem robiła się coraz bardziej wymagającą od swego dworu, aby każdy był jak najczyściej ubranym i każdy znajdował się na swojem miejscu. Sama nawet była jakoby wystrojona. Zawinęła włosy, i na tę pół męzką, pół kobiecą fryzurę nałożyć kazała czepek koronkowy, trochę dawniejszej mody, ale przez wartość materjału kosztowny; odziewała się w materjalne suknie; chusteczkę zawiązującą jej szyję przypięła na piersiach

staroświecką, ale kosztowną broszą; na palcach nawet jej pięknej jeszcze ręki i w uszach błyskały brylanty. W takiem ubraniu zdawała się kogoś niespokojnie oczekiwać. Widziała to Rozalia, ale skarcona nieraz za młodu za zapytywanie matki, patrząc na jej poważną postać, gdy siedziała na kanapie i poglądała ku oknu, na jej imponujący wyraz, gdy się przechadzała w oczekiwaniu, lub jakie wydawała rozkazy, nie śmiała o nic zapytać. Francuza tylko przydybawszy raz tak, że nikt nie widział, wypytywała: — Kogo się spodziewają? — Mr. François, zastanowiwszy się głęboko na tak ważną okolicznością, która nawet dla niego była tajemnicą, odpowiedział: iż jest rzeczą aż nadto pewną, że pani hrabina oczekuje jakiegoś znakomitego gościa, gdyż apartamenta pana hrabiego są otwarte i na przyjęcie jego przygotowane; kto jednak ma przybyć, tego nie wie.

Czwartego dopiero dnia wszystko się wyjaśniło. Koło godziny drugiej po południu, gdy stół w zegarowym pokoju był nakryty na więcej osób, niż ich zwykle siadało; gdy hrabina, wystrojona jeszcze paradniej, niż w dni poprzedzające, siedziała na kanapie z podniesioną do góry głową, z otwartemi ustami, i pogrążywszy się w zamyśleniu, przerzucała tabakierkę Stanisława Augusta od jednej ręki do drugiej; gdy Rozalia, czy z rozkazu matki, czy instynktem ładnej kobiety wiedziona, w eleganckiem, pełnem gustu i skromności ubraniu, śliczna strojem, piękniejsza zamyśleniem i jakby przeczuciem jakiegoś szczęścia, siedziała przy matce, zajęta robotą; gdy panna Konwencka, w materjalnej sukience, i z wyraźnego po-

lecenia hrabiny odrzuciwszy chusteczkę i materacyk, chociaż ją zęby bolały, siedziała na zwykłem swem miejscu bliżej okna, z kanwą w ręku, dały się słyszeć dzwonki pocztowe, coraz prędzej i głośniej rozlegające się. Hrabina podniosła się i wyprostowała, Rozalia mimowolnie się wstrzęsła, a panna Konwencka, chcąc naprawić dawniejsze roztargnienie i pokazać swą czujność, odezwała się pierwsza:

— Dzwonki pocztowe!

— Czyż acanna myślisz, że ich nie słyszę? — rzekła hrabina. — Ja niemam bawełny w uszach. Niepotrzebnieś się acanna wyrwała, kiedy cię oto nie pytano.

Spuściła głowę biedna, pomyślała w duchu: — źle słyszeć, źle nie słyszeć, źle uprzedzać rozkaz, źle oczekiwać go i nie domyślać się woli pani. Biada sierocie! biada starej pannie! biada kobiecie nie mającej swego dachu, choćby to była strzecha słomiana!

Wkrótce dzwonki i turkot zajeżdżającego powozu obiły się o ściany gmachów na dziedzińcu stojących, i ucichły.

— Któż to przyjechał, mamo? — zapytała wreszcie Rozalia niespokojna i nie wiedząca, jak sobie wytłumaczyć uczucia, których doznawała.

— Czy masz ochotę pobiedz do okna, jak pensjonarka? Obaczysz! — odpowiedziała hrabina, nie ruszając się z miejsca i przybrawszy wyraz spokojny i poważny. Potem, spojrzawszy na Rozalię mieniącą się wyraźnie, chociaż nie wiedziała, dla jakiej przyczyny, dodała: — Gość nasz zaraz wejdzie i zdziwi się, gdy cię obaczy tak drżącą i nie wiedzieć dlaczego zmię-

szaną. Nie umiesz panować nad sobą, moja córko! to źle! Kobieta, tak jak ty urodzona, powinna pamiętać o tem, że na nią wszyscy patrzą i sądzą, nie z tego co jest, ale z tego co widzą.

Ta przestroga matki, która przypominała Rozalji dawniejsze jej nauki, przyprowadziła ją do opamiętania i opanowania niepokoju, który ją przejmował. I był czas ułożyć się i cały kodeks przyzwoitości światowej przywołać na pomoc. Ledwie bowiem hrabina powyższe upomnienie wymówiła, gdy obie posłyszały drzwi pokojów roztwierające się na rozcież i na posadzce sal rozlegający się brzęk ostróg i chód mężczyzn szybki i silny.

W tejże chwili otwarły się drzwi gabinetu i wszedł hrabia C* w mundurze, trzema gwiazdami ozdobiony, a z nim jego adjutant, który mu w tej podróży towarzyszył.

Rozalia postrzegłszy hrabiego, mimowolnie krzyknęła i zbladła, ale groźne wejrzenie matki i słowo: sottise! wzgardliwie jej rzucone, oddały jej prędko całą przytomność umysłu. Generał także stanął zadziwiony, widać obaczywszy Rozalią; ogorzała cokolwiek twarz jego zapłoniła się i oczy zaiskrzyły się radością; wszakże to poruszenie trwało tylko chwilę, potrafił niem owładnąć, i z tą łatwością i naturalnością, jaka cechowała jego znalezienie się w każdem towarzystwie, przystąpił do hrabiny i powitał ją z uszanowaniem; potem, zwracając się do Rozalii, ukłonił się jej z największą grzecznością i dodał:

— Voilà madame, une charmante surprise! Do-

prawdy, nie darmo dziś tak rano wstałem. Pan Bóg w nagrodę daje mi wielką i niespodziewaną przyjemność, że panią tu widzę. Jak zaś jest wielką, niech pani ztąd wniesie, że jej nawet dobrze wyrazić nie umiem.

— Dawno też nie widzieliśmy się, panie generale — rzekła Rozalia, trzymając się mocno poręczy krzesła jedną ręką i wyciągając do niego drugą, którą on zlekka wziął i z uszanowaniem pocałował. Potem, zwróciwszy się znowu do hrabiny i ukazując na towarzysza swego, rzekł rekomendując:

— Pozwoli pani hrabina polecić sobie księcia Castiani, mojego adjutanta i towarzysza podróży. — Hrabina skłoniła się i ukazała obydwom krzesła. Gdy wszyscy zajęli swe miejsca, a biedna panna respektowa, nie wiedząc co z sobą zrobić, czy wyjść, czy zostać, aby jedno i drugie nie było złem, stała pokornie, trzymając się firanki, rzekła do niej hrabina:

— Możesz acanna teraz wyjść, panno Konwencka. Jesteś mi teraz niepotrzebna.

Hrabia Juliusz C* był jednym z tych szczęśliwych ludzi, których fortuna niańczy, karesuje i całe życie za rękę prowadzi. Jeszcze nie miał spełna dwudziestu pięciu lat, a już był pułkownikiem. Z wstąpieniem na tron Cesarza Aleksandra, rósł szybko w zaszczyty, ozdabiany był coraz nowemi względami, a co ważniejsza, zasługiwał na nie. Pilny w służbie, śmiały i determinowany w boju, miał sposobność pokazania swojego męztwa i talentów wśród tylu bitew, które się wówczas na różnych punktach Europy staczały, i jeśli kogo nie sprzątnęły, to go pewnie podniosły,

dając ustawiczne pole popisu. Ranny pod Borodynem, doświadczał i tu szczególnej łaski Monarchy, który się ciągle o jego zdrowie dowiadywał, a nawet swego własnego lekarza, dla przekonania się o jego stanie, z Petersburga przysłał. Jeżeli komu gwiazda jego dobrze świeci, to mu świeci i w nocy i w dzień, i tkwi ciągle nad głową jego jasna i świetna jak brylant. Pod taką gwiazdą urodził się i hrabia. Silnie zbudowany, choć niezbyt słusznego wzrostu, dziwnie kształtny w całej swej postawie, życiem czynnem, wojskowemi egzercycjami, zamiłowaniem konia i broni, nałogiem komendy, przyczem przebywaniem ustawicznem w najświetniejszem i najlepszem towarzystwie, przyszedł do takiego ułożenia, że trudno było znaleźć mężczyznę, któryby w równym stopniu łączył powagę i niby rubaszność militarną z udatnością salonową i najprzyzwoitszą swobodą. Tem kształtnem i doskonale wyrobionem ciałem kierowała głowa, i wewnątrz dobra i jasna, i zewnątrz prawdziwie piękna. Na czole jego gładkiem widoczny był rozum i spokojność, a jego białość odbijała cudnie przy włosach niezbyt ciemnych i z natury fryzujących się, i przy twarzy trochę ogorzałej, ale czerstwej. Oko błękitne, czarnemi ocienione rzęsami, umiało grozić i pociągać, zawsze wymownie wyrażając, co się działo w jego duszy, w gruncie pełnej dobroci i szlachetności. Usta miał nadzwyczaj piękne, zęby zdrowe, a wąs, choć trochę rudawy, który zdobił twarz jego, dokończał tej prawdziwej męzkiej piękności, która w mężczyznach rodzi ufność i przyjaźń, a w kobietach ufność i miłość. Jakoż i

pod tym ostatnim względem mało kto mógł się nazwać szczęśliwszym. Jeżeli byt człowieka, przez analogię do jego życia fizycznego i do życia całej natury, podzielimy na dwie sfery: na widną i ciemną, to nie wiem, w której z tych dwóch sfer hrabia więcej odniósł zwycięztw i szczęśliwszych doznał tryumfów. Takim był człowiek, o którym niegdyś Rozalia napisała do męża ów list naiwny i żartobliwy, którym się pan Klemens tak serdecznie ubawił.

Towarzysz jego, książe Castiani, pół Grek, a pół Włoch, ale urodzony w Rossji i wychowany w Petersburgu, należał do najpiękniejszych i najlepiej ułożonych oficerów całej armji. Nie miał on tego prawdziwie słowiańskiego typu, jakim jaśniała postać generała; owszem, widać było oczywiście jego cudzoziemskie pochodzenie w śniadej twarzy, w orlim nosie, w oczach czarnych jak węgiel i głęboko osadzonych, w kruczych i gęstych włosach, które głowę jego okrywały; ale w wysokiej jego postaci, we wszystkich rysach, była zadziwiająca foremność i piękny wyraz energji i rozumu.

Nie będziemy nudzić czytelników naszych opisywaniem szczegółów tej wizyty, sposobu jakim hrabina gości swoich przyjmowała, jak im była rada, do jakich uciekła się środków, gdy tej lub owej rzeczy do pańskiego przyjęcia ich nie dostawało: jak się ci goście bawili i czy nawzajem z siebie wszyscy byli kontenci. Powiemy tylko: *najprzód*, że generał był niezmiernie wesół, dla wszystkich uprzejmy, że znalazł powietrze tej okolicy bardzo zdrowem, położenie zamku ujmującem, tak dalece, iż zamiast zabawić

parę dni, jak pierwiastkowo przez posła swego hrabinie objawił, bawił dni sześć i dopiero siódmego dnia wyjechał. *Powtóre*: że mu się chłopczyk pana Klemensa, chociaż blady i mrukliwy, bardzo podobał. Potrafił nawet ująć i oswoić z sobą to dziecko od wszystkich stroniące, tak dalece, że już trzeciego dnia, gdy wieczorem spacerował z Rozalią, a Hipolitek, obwinięty tym szalem tureckim, który niegdyś Rozalia od kupca rossyjskiego kupiła, także tam był na ręku niańki i w towarzystwie Angielki, to mrukliwy chłopczyk obrócił się ku niemu prawie z uśmiechem, pozwolił się pocałować, a nawet wziąść na ręce; a gdy go generał trzymał, przypatrywał mu się i pieścił, chłopczyk bawił się jego szlifą i nie płakał wcale. Cieszyło to niezmiernie Angielkę, która to bohaterskie usposobienie swego wychowańca przypisywała swojej metodzie i dwom łyżeczkom porteru, które mu co dzień rano i wieczór daje, i wniosła, że niewątpliwie będzie wojskowym, a może dojdzie sławy Nelsona, kiedy tak prędko przystał do obcego sobie człowieka i bawi się znakami jego rycerskiej dostojności.

Potrzecie: że młody książę Castiani niezmiernie się w zamku nudził i radby był jak najprędzej tę starożytność opuścić i w dalszą ruszyć drogę. A chociaż hrabina starała się ile możności bawić go, zatrzymywała go często w swoim gabinecie, rozmawiała z nim uprzejmie, to wypytując o szczegóły wypadków wojennych, których był świadkiem, to opowiadając dzieje dworu Stanisława Augusta, w których miała udział; chociaż i Rozalia uprzejmością i peł-

nym słodyczy uśmiechem starała mu się wynagrodzić nudy i samotność; grzeczności te matki i córki niewiele go rozrywały. Jakoś tak zdarzało się, że najczęściej był sam, błąkał się z kąta w kąt, ziewał i do tej przyszedł ostateczności, że zwrócił oczy na pannę Konwencką i z desperacji kilka słodkich słów jej powiedział. To mu dało jakąkolwiek rozrywkę, spostrzegł bowiem, że ta biedna ofiara dworskiego respektu, która sądziła, że już na nią żadne ziarnko tej manny nie spadnie, od tego czasu ożywiła się cokolwiek, ubierała się staranniej, poglądała ukradkiem i często na pięknego oficera, i nie tylko w salonie, gdzie jej to było wzbronionem, ale nawet na dworze, nie podwiązywała się chusteczką i nie kładła materacyka, chociaż ją zęby okropnie bolały.

Po czwarte, że pan Klemens w tydzień po wyjeździe żony i syna, czy z tęsknoty za niemi, czy sądząc, iż nic do rzeczy i niedelikatnie postąpił, że na wyraźne wezwanie hrabiny sam nie pojechał, jak skoro mu ten skrupuł przyszedł i jakaś, nie wiedzieć jaka, trwoga go ogarnęła, nie namyślał się długo, kazał sobie zaprządz dzielną czwórkę do lekkiego koczyka i piątego dnia od pobytu generała u hrabiny, od nikogo nie spodziewany, a z wielką zapewne satysfakcją wszystkich, do zamku w Białobrzyńcach przyjechał.

Te są główne kategorje, na których, jak na słupach fundamentalnych, mogą czytelnicy położyć zrąb swoich wniosków i osnować z nich budowę uczuć, rozmów i scen, jakie w całym tym epizodzie naszej historji mogły mieć miejsce. Dla ułatwienia mniej

domyślnym tej pracy ich imagnacji i dla doprowadzenia ich na właściwą drogę, dodamy jeszcze, że hrabina, znajdując generała w najlepszem dla siebie usposobieniu, otrzymała od niego sześć listów do najważniejszych osób w Petersburgu, które sprawie tej stanowczy i pomyślniejszy daleko miały nadać kierunek; że pan Klemens, chociaż zatrwożył się w głębi duszy, widząc zmieszanie żony, gdy go z nienacka obaczyła i zastawszy ją, gdy wjeżdżał na dziedziniec zamku, w samotnej przechadzce z młodym oficerem, któremu widać chwilę nudoty rozmową swą uprzyjemnić chciała, i na którego on krzywo bardzo spoglądać zaczął; uspokoił się jednak zupełnie, raz, że go hrabina nadzwyczaj uprzejmie i po macierzyńsku przyjęła, czego się wcale nie spodziewał; powtóre, że się poznał z tak znakomitym człowiekiem, jakim był hrabia, i spostrzegł w nim wyraźny szacunek dla siebie i życzliwość dla swego dziecka, które jakoby ożywione tą podróżą, przychylnością babki i jej krewnego, okazywać zaczęło więcej humoru, a nawet więcej zdrowia. Te okoliczności tak uszczęśliwiły pana Klemensa, że i matce na poparcie jej sprawy dał weksel na pięćdziesiąt tysięcy, i najusilniej prosił generała, aby w powrocie swoim z zagranicy, dom jego obecnością swoją zaszczycił, co mu też generał najsolenniej przyrzekł. Tym sposobem wizyta ta skończyła się z ukontentowaniem wszystkich. Hrabia, siódmego dnia od przybycia swego, z adjutantem swym wyjechał, a nazajutrz po jego wyjeździe pan Klemens, zabrawszy żonę i syna, do domu powrócił.

Zamek w Białobrzyńcach został znowu pustym i głuchym, wróciwszy we wszystkich szczegółach do dawnego stanu. Dwaj lokaje siedzieli znowu w sieni, lub wyciągali się na siennikach; Maksym drzemał w pokoju hetmanów, pisarze gryźli pióra w sali Mojżesza. Chłopiec robił wąsy i faworyty żydówkom; François przypatrywał się dziurom swoich pończoch i strzepywał tabakę z żabot swych w pokoju zegarowym; hrabina, siedząc bez czepka na kanapie i przerzucając tabakierkę z jednej ręki w drugą, spoglądała na papiery, leżące na stoliku, a nawet niekiedy uśmiechała się, czy to myśląc o minionej u siebie wizycie, czy wyobrażając sobie, jak się pomści na panu Hipolicie Złotówce; panna Konwencka wyszywała znowu na kanwie, a gdy jej przyszedł na myśl piękny oficer i słówko przez niego powiedziane zabrzmiało w jej uszach, spoglądała czule na to miejsce gdzie siadywał, i poprawiała chusteczkę i materacyk, bo ją zawsze w tej chwili, w skutek wzruszenia nerwowego, ząb daleko mocniej zabolał.

V.

Korzystając z tego przywileju, jaki ma każdy pisarz powieści, że może bezkarnie i bez obrażenia najskrupulatniejszej krytyki, przekraczać z miejsca na miejsce i zabrawszy z sobą wszystkich swych czytelników, przenosić się z niemi o kilka i kilkanaście lat naprzód, przeskoczymy i my cały ośmioletni perjod, począwszy od ostatnich wypadków,

któreśmy opisać starali się i zatrzymamy się na roku 1824, to jest na ważnej epoce, w której bohater nasz miał już dziesiąty rok, zaczął zaglądać do świata, jakby przez jaką szparkę i zaczął biedak spostrzegać, że nie wszędzie mu będzie tak dobrze, jak w tym pokoiku, gdzie go poczciwa Widalsia wychowała, od wszelkiej krzywdy z miłością i siłą lwicy broniła, a nauczywszy pacierza i czytania na kantyczkach i Złotym Ołtarzyku, wpoiła w pamięć jego historją wszystkich swoich dzieci płci męzkiej i żeńskiej, żyjących jeszcze lub spoczywających w Bogu.

Nim jednak zajmiemy się nim wyłącznie, jak on na to zasługuje i ze swojego ekscepcjonalnego położenia i z przymiotów, któremi go Opatrzność w braku praw społecznych obdarzyła, musimy wprzód zrobić wzmiankę o niektórych okolicznościach, tyczących się znajomych nam już osób, gdyż te do dalszej osnowy tej powieści będą nam potrzebne a na przyszłość i charakter bohatera naszego niejakie rzucą światło.

Przez cały ten czas w domu pana Klemensa G* wszystko szło zwykłym porządkiem. Żadne zdarzenie nie zakłóciło jego spokoju i przykładnego życia małżonków, co, choć nierówni wiekiem, przez czas i przyzwyczajenie przyszli do tej harmonji i zrównania w siłach, w myślach i sposobie zapatrywania się na rzeczy ludzkie, że się ztąd zrodził wzajemny szacunek, a nawet pewien rodzaj przychylności, której nawet Rozalia, chociaż daleko młodsza, dla starego męża swego doznawała. O panu Klemensie nie ma co i mówić. On zawsze i coraz mocniej ko-

chał piękną swą żonę, a kochał tem gruntowniej. że miłość jego, po burzach zazdrości i podejrzeń odpoczęła niejako i usadowiła się na nieskażonej konduicie młodej kobiety, która z wielką jego pociechą, a z wielkiem podziwieniem całej okolicy tak postępowała. że nikt nie mógł nic o niej powiedzieć, ani nawet pani Pokrzywicka na jej szacie małżeńskiej żadnej plamki dopatrzeć nie zdołała. Rozalia miała wówczas lat trzydzieści cztery i nie była już ową wysmukłą i giętką kobietką z przezroczystą płcią, z pięknem błękitnem okiem, w którem jaśniała i duma rodu i namiętność gorącego serca; z temi ustami pełnemi wdzięku, ale z których nie wychodził nigdy śmiech ani trzpiotanie się, tak niezgodnego z jej przymusowem położeniem. Rozalia odmieniła się, jeszcze więcej spoważniała, znacznie utyła, talja jej straciła dawną gibkość, płeć tę przezroczystą delikatność listka rozwijającej się róży; wszakże w takim stanie, w jakim się obecnie znajdowała, należała ona do bardzo pięknych, świetnych i imponujących kobiet, na których w najdobrańszem gronie piękności, każde oko chętnie się zatrzymuje, których głos poważny i uśmiech pełen wdzięku przyciąga ku sobie wszystkich najdystyngowańszych mężczyzn, ale których czoło jasne i pogodne odtrąca wszelką myśl płochości i każdy zamach na ich reputacją niweczy, i odbiera najzuchwalszym wszelką chęć podkopania ich zasad i wiary w świętość małżeńskich obowiązków. Taką okazywała się wszędzie Rozalia i takiem okiem wszyscy na nią patrzyli.

Pan Klemens, chociaż już liczył rok sześćdzie-

siaty trzeci, ukrzepił się, ozdrowiał i silniejszym był i czerstwiej wyglądał teraz, niż wówczas, gdy mu owa Nemezys, o której wzmiankę mitologiczną zrobiliśmy wyżej, chęć pojęcia młodej i pięknej żony podszepnęła. Dostatek, przybywanie fortuny i różnych osobliwości do ulubionego zawsze zbioru, życie regularne i umiarkowane, a nadewszystko widok wzrastającego syna i uspokojenie się w zapędach zazdrości, były zapewne przyczyną, że pan Klemens nie starzał się, ale owszem przy młodej swej żonie nabywał sił i coraz młodszym się poczuwał. Wprawdzie powracały mu czasem paroksyzmy podejrzliwości i zmory siadały niekiedy na jego piersiach, drapiąc je swemi szponami, ale to zdarzało się bardzo rzadko, a zdarzało się tylko wtedy, gdy hrabia C*, z którym się prawie zaprzyjaźnił, dwa lub trzy razy co roku dom jego odwiedzał. Hrabia bowiem przyjeżdżał zawsze ze swoim adjutantem, księciem Castiani, który chociaż już podpułkownikiem został, generała swego odstąpić nie chciał. Panu Klemensowi zdawało się, że pierwszy widok tych panów zawsze Rozalię mieszał, że bladła, gdy się z nią witali i wówczas złe myśli go opadały i dawne rodziły się podejrzenia. Ale Rozalia prędko przychodziła do zwykłego stanu powagi i grzeczności, i pan Klemens rad, że miał w domu tak znakomitego gościa, nie okazywał wcale wewnętrznego swego niepokoju i z postępowaniem żony naturalnem i poważnem uspokajał się zupełnie. Żeby jednak nie mieć sobie nic do wyrzucenia i pamiętny na nasze przysłowie: że strzeżonego Pan Bóg strzeże, nie spuszczał oka z młodego oficera,

ciągle się nim zajmował, oprowadzał go po swojem gospodarstwie, pokazywał swoje muzeum, jeździł z nim na najlepszych swych koniach, uśmiechając się nieraz w duchu, gdy młody człowiek okazywał znudzenie jego grzecznością i oglądał się na dom, gdzie go widać coś ciągnęło i gdzieby wolał może być w kompanji samej gospodyni, niż w towarzystwie tak uprzejmego gospodarza. Ta filuterja dawała panu Klemensowi najlepszy humor i gdy wracali z jakiej dwu lub trzygodzinnej wycieczki, przepraszał generała, że go zostawiał samego i wymówki z tego względu przez Rozalię sobie czynione zbywał czasem jakim zręcznym przycinkiem, czasem żartobliwem zwalaniem uchybienia na niezmordowaną ciekawość młodego oficera.

Oprócz tych chwilowych zapędów niepokoju, z których jednak tak tryumfalnie wychodził i które tak zręcznie odwracał, doznał jeszcze pan Klemens i rzeczywistego zmartwienia. W tym przeciągu czasu dał Pan Bóg jeszcze troje dzieci; ale te, mimo starań rodziców, mimo metody Angielki i przyjętych do jej pomocy dwóch nianiek, jednej naturalnie Szwajcarki, a drugiej Niderlandki, nie chowały się i prędko umierały, jak to zawsze przepowiadała Widalska, która obejrzawszy każde z nich i porównawszy z niektóremi ze swych nieboszczyków, żadnemu długiego nie rokowała życia. Ale został mu syn najstarszy, który chociaż zawsze blady, mrukliwy i zły, rósł jednak szczęśliwie i znakomite okazywał zdolności, gdyż doskonale już mówił po angielsku i po francuzku, co serdeczną radością napełniało

rodziców, a dla okolicznych matek stało się powodem jawnych powinszowań i tajemnej zazdrości i niechęci. To rozwijanie się w siły i umiejętność jedynaka, dziedzica imienia, dóbr i zbiorów, pocieszało rodziców po tych tak boleśnie powtarzających się stratach i zwróciło całą ich uwagę na jego wychowanie, odpowiednie urodzeniu i przyszłemu stanowisku, jakie na świecie miał zająć. Żeby tak świętnemu obowiązkowi zadosyć uczynić, pan Klemens, straciwszy wiele czasu na wyszukaniu uczonego i moralnego guwernera Francuza, z tych, którzy po kampanji 12go roku w kraju pozostali i nie mogąc znaleźć takiego, któryby wszystkim żądanym warunkom odpowiedział, gdy ten umiał tylko doskonale fechtować się, tamten bić w bęben, ów dąć na fujarce — rozpisał listy do swoich znajomych we Francji, aby mu tam wynaleźli człowieka, któryby łącząc naukę ze znajomością świata, mógł najstosowniej młodego Polaka wychować. Bacząc jednak na słabowitość i delikatne złożenie swego syna i sparzywszy się na resztkach wielkiej armji, z których nic wybrać nie zdołał, położył za warunek, aby to nie był żaden ex wojskowy, ale raczej jaki z tych Labusiów, którzy za Karola X., jak owady z za kory drzew, z nadchodzącą wiosną wyłazili i znowu do dyrekcji sumienia młodych kobiet i edukacji spobożniałych nagle magnatów brać się zaczęli. W odebranych niedawno listach obiecano mu jednego z takich fenomenalnych guwernerów, i pan Klemens, posławszy weksel na wielką sumę, aby przyszły mentor mło-

dego Telemaka miał za co przyjechać, spodziewał się jego przybycia.

Rozalia serdecznie bolała nad stratą szczególniej dwóch córeczek, które obie, nie doszedłszy roku pomarły. Postanowiła ona sobie wychować je inaczej, niż była sama wychowaną i wydać za mąż zupełnie nie tak, jak sama poszła, aby im oszczędzić walk codziennych i bolesnych z obowiązkiem, już przez się trudnym, a cóż dopiero, gdy go wspólne przywiązanie lżejszem nie czyni. Ale widać, że inaczej było postanowiono. Napłakawszy się więc do woli, wzięła się sama do wychowania i nauki syna, który jej pozostał, co tem bardziej znajdowała potrzebnem, bo spostrzegła w chłopcu rozwijające się złe skłonności, które ją tajemnym strachem przejmowały.

Hipolitek, mimo metody Angielki i kieliszka porteru, którym go skrycie poiła — w tem przekonaniu, że nie ma nic zbawienniejszego dla zdrowia człowieka i prędkiego uformowania jego charakteru, był zawsze bladym, milczącym i nigdy się prawie nie śmiał i nie swywolił. Ale za to gniewać się umiał silnie, i żadnej, by najmniejszej przykrości i sprzeciwienia się nie zapominał; uważał bacznie, gdy który sługa w czemkolwiek wykroczył, nie strzegąc się dziecka, gdy mruknął lub ruszył ramionami odebrawszy jaki rozkaz, i w ten moment, nie szczędząc nikogo, nawet swojej Angielki, której także nie kochał, mówił to ojcu lub matce. Jeżeli zaś niańka, lub później przeznaczony do usług jego stary lokaj, w czem mu się sprzeciwili, to ich bił, lub kłuł szpilkami, jeśli mógł zaraz uderzyć lub ukłóć,

a jeśli nie mógł, to później w kilka godzin, lub nawet w parę dni, upatrzywszy sposobną chwilę i przypominając im ostatnią krzywdę, a także wzmiankując o dawniejszych, której żadnej nie zapomniał. Najmilszą jego zabawką było dręczyć zwierzęta. Chrząszcze obdzierał z wąsów, ze skrzydeł, z nóg i tak rzucał; biedną i niewinną krówkę z centkami, znalazłszy gdzie na listku, kłół szpilką i tak podziurawionej przypatrywał się, czy poleci; napierał się czasem żywego ptaszka w klatce, a gdy mu dano czyżyka lub makolągwę, wydzierał im codzień po kilka piórek, aż póki nie zostały nagie, lub z bolu nie zdechły. Mając już lat pięć i sześć, zawsze miał batożek, ale nie trzaskał nim, nie bawił się w konie, nie udawał furmana, lecz batożkiem tym zacinał po nogach niańkę, krzycząc i wrzeszcząc, gdy mu go odebrała; lub wyszedłszy na spacer, gdzie spotkał pieska, to go ćwiczył, gdzie spostrzegł kury grzebiące na śmieciu, to się z nienacka podkradał, aby którą biczykiem zaciąć. Gęsi bał się, i tych w przechadzkach swoich unikał; ale za to biedne kaczki, które na szerokich łapach swych uciec przed nim nie mogły, gonił i zacinał po głowach i skrzydłach, póki się nie zmordował, lub póki go stary sługa gwałtem nie przytrzymał, wołąc aby jemu się dostało, niż niewinnej i lękliwej trzodzie, nad którą się pastwił.

Angielka, czy w skutek swojej metody, czy z innych jakich powodów milczała; niańka i stary lokaj nie śmieli gęby otworzyć, tak więc te oczywiste oznaki złego serca nie prędko odkryły się o-

czom Rozalji, która cośkolwiek z nich spostrzegać zaczynała, a chociaż miłość macierzyńska łagodziła i kolorowała złe skłonności, które jej udało się dopatrzeć, zaczęła się wszelako mocno trwożyć i bliżej nad dzieckiem swem czuwać. Mówiła nawet o tem z mężem, ale pan Klemens, zaślepiony przymiotami swego jedynaka, nie widział nic na własne oczy, lub jeżeli co i dojrzał, zwłaszcza oskarżanie sług, lub uwagi, że ten i ten tak robi, tak się krzywi, tak rusza ramionami, przypisywał to raczej przedwczesnemu rozsądkowi i darowi spostrzegania, niż złemu sercu dziecka, które nad wszystko kochał. Gdy chłopiec spostrzegł, że matka nad nim bliżej czuwa, a ojciec mu pobłaża i jej nie wierzy, zaczął nawet na nią dąsać się po dwa i po trzy dni, a przy ojcu był zawsze cichym i potulnym. Do właściwej więc złości przyłączyła się jeszcze i chytrość rozwijająca się z wiekiem. Takim był w dziewiątym roku życia Hipolitek moralnie. Umysłowo był rzeczywiście dużo rozwinięty i nadzwyczaj zdolny. Te właśnie zdolności, które pan Klemens w synu swym najwyżej cenił i nad któremi się unosił, utrzymywały go w tym stanie zaślepienia na jego rzeczywiste i straszne wady i uczyniły go w tym względzie zupełnie nieuleczonym. Hipolitek jeszcze nie miał skończonych lat ośmiu, a już czytał dobrze po francuzku i po angielsku. Pierwszego nauczyła go matka, drugiego Angielka, dając mu za każdą dobrą lekcję, oprócz zwyczajnej porcji dla zdrowia, pół kieliszeczka porteru. Po polsku, chociaż nieźle mówił, ale jeszcze nie dobrze czytał nawet w dzie-

wiątym roku. Sądzili bowiem rodzice, że na to zawsze będzie jeszcze czas, gdy się znajdzie jaki polski nauczyciel, o którym także czasem nawiasowo myśleli. Pacierz Hipolitek mówił z matką i naturalnie po francuzku. W tymże języku brał pierwsze zasady katechizmu, aby na dalsze życie lepiej w religji był ugruntowanym. Innych wiadomości miał także wiele, rozmawiając często to z matką, to z ojcem. Od Angielki dowiedział się już, kto był Nelson i jak wielkie były w Londynie browary i beczki, w których się robił i wystawał porter. A gdy z ojcem poszedł do jego zbioru, już umiał niejedną osobliwość nazwać, rozróżniał porcelanę chińską od japońskiej i saskiej, wiedział, co bronz, a co marmur, co posąg a co płaskorzeźba, co dzbanki etruskie, a co mumie egipskie, a ztąd umiał wiele powiedzieć o Herkulanum i Pompei, o Wezuwiuszu i o Piramidach. Tak wychowując się, praktycznie doszedł nawet do niektórych wiadomości z historji naturalnej i na obrazkach, których miał wiele, rozpoznawał zwierzęta i ptaki, wyskubując w myśli pióra z ogona strusia i wykalając oczy kolibrom. Ciekawy chłopczyk o wszystko się wypytywał i obejmował wszystkie objaśnienia, które mu ojciec umiejętnie i z zastosowaniem się do jego wieku i pojęcia robił. Wiedział więc, co jest termometr, co barometr, zkąd się bierze deszcz, skąd grad, zkąd tęcza; lubił kręcić korbką w systemacie Kopernika, znajdującem się w muzeum ojcowskiem i przypatrywał się uważnie obrotowi planet około słońca, z których każdą umiał dokładnie nazwać; zajmowała go najmocniej machina pneuma-

tyczna, i najwięcej rad był wtedy, kiedy ptaszek dla braku powietrza zdychał; na machinie elektrycznej widział iskry, a ztąd dowiedziawszy się, co błyskawica i co grzmoty, żartował ze starego swego lokaja, gdy ten widząc te wspaniałe światła i słysząc ten potężny wyraz mocy bożej, żegnał się i cichą odmawiał modlitwę. Na takiej drodze był przyszły dziedzic pana Klemensa intellektualnie.

Sierota Tadeuszek wcale był innym i inaczej się też wychowywał. Opiekunką, guwernantką i pierwszą jego nauczycielką była poczciwa Widalska, jak wiemy stara, ciężka i ograniczona, która ani go dobrze dopilnować, ani za nim zdążyć, ani umysłu jego dostatecznie rozwinąć nie mogła. Skoro więc poczuł się na siłach i mógł już nie dbać o jej rękę i oko, czuwające nad jego krokami, pokazało się zaraz, że to będzie największy z całego Podola swywolnik i figlarz, który niedarmo miał piękne, ciągle śmiejące się oczy i jasne, kręcące się włosy, co głowę jego naturalnemi lokami okrywały. Już w siódmym i ósmym roku życia wymykał się ze stancyjki, tak, że go nikt upilnować nie mógł i na kilka godzin przepadał. Zdarzało się nieraz, że biedna Widalsia, szukając go, cały ogród zdeptała i ciężko zasapana, okryta potem, wracała na próżno, siadała w swem krześle i ze zmartwienia ani pończochy robić, ani kabały kłaść nie mogła. Czasem znajdowała go lub gdzie na najwyższem drzewie, zkąd do niej kukał, albo niedogryzkami niedojrzałych jabłek rzucał, lub na folwarku na jakim dachu słomianym, gdzie jak kot łaził i gniazd ptasich szukał, lub na wielkiej

sadzawce zdobiącej ogród, gdzie sobie bacikiem pływał, jeżeli przypadkiem zapomniano zamknąć kłódkę, co go do brzegu przymocowywała. Łatwo sobie wówczas wyobrazić rozpacz biednej kobiety i figlarne miny chłopca, gdy ulitowawszy się wreszcie nad nią, złaził z drzewa lub dachu i kręcąc rudlem, lub sam dostawał się do brzegu, lub z pomocą ogrodnika, którego Widalska przyprowadzić musiała aby go z tak krytycznego położenia wyzwolił. Często także wymykał się na wieś, gdzie chłopcy wiejscy mieli swoje zbiegowiska. Tam pomiędzy niemi rej wodził w różnych grach, jakie sobie wymyślali, biegał z niemi, skakał, huśtał się na tarcicach lub na szlei, wykradzionej przez którego z nich, i do banty jakiego pustego budynku przywiązanej. Z tych i tym podobnych wycieczek wracał najczęściej zabrudzony, z poplamioną lub podartą sukienką, z podrapanemi rękami lub twarzą w bójkach z chłopcami, do których stawał śmiało, zwłaszcza, gdy słabszego potrzeba było obronić, lub oprzeć się mocniejszemu.

Za te wszystkie ekscesa i swywole często dostawał rózgą, czasem skarcony był tylko szturchańcem lub należycie wygderany. Ale każda z tych kar kończyła się na pieszczotach, na uściskach i na łzach Widalsi, gdyż Tadeuszek, czując się winnym, poddawał się jej z pokorą, kładł się na stołek milcząc, nie płakał, gdy go ćwiczyła, nie skrzywił się, gdy go szturchnęła, nie zaśmiał się, ani żadnym nie obraził jej grymasem, gdy go upominała, złajała, i porównywając z którymi ze swoich najswywolniej-

szych chłopców, przepowiadała, że tak jak on skończy. Owszem, gdy uważał, że opiekunka jego, którą serdecznie kochał, uspokoiła się cokolwiek i ochłonęła, wtenczas przysuwał się do niej nieznacznie, i póty ją przepraszał, ręce jej i nogi całował, póki rozrzewniona tak dobrem sercem staruszka nie podniosła go, nie utuliła na swych piersiach, i oblewając łzami, wielkiemi jak groch cukrowy, ściskać i błogosławić nie zaczęła. Wtedy znowu następowała zgoda, śmiech pusty wracał na usta chłopca, a z oczu jego tryskała radość, że i swojego dokazał i opiekunkę swą do okazania mu miłości i przebaczenia przyprowadził. Wtedy nie było posłuszniejszego dziecka, jak Tadeuszek, pojętniejszego i pilniejszego ucznia. Chociaż czytanie, zwłaszcza tak nieumiejętnym sposobem uczone, jak go Widalsia uczyła, nudzić go musiało okropnie, jednak znudzenia tego nie okazywał, powodowany instynktem poczciwego i szlachetnego serca, które mu mówiło: — zawiniłeś, zmartwiłeś jedyną na świecie kobietę, która cię kocha, teraz nagródź jej to pilnością i posłuszeństwem.

Ta powolność i poprawa chłopca, a ztąd radość i pokój Widalsi trwały póty, póki go znowu nie napadła furja wyszalenia się i wybiegania tak, żeby na niego nikt nie patrzył, nikt go nie pilnował, nikt krokami jego nie dyrygował, żeby zatem użył swej zupełnej woli i napasł się niejako uczuciem niepodległości i swobody. Ten był główny rys jego usposobienia moralnego. Zresztą było to dziecko najlepsze, które cały dwór znał i prawie cały dwór kochał, gdyż nie

dopuścił się nigdy żadnego postępku, któryby zdradzał lub złość, lub chęć szkodzenia komu, lub nałóg obwiniania drugich i zwalania winy na innych. Figle płatał często różnym osobom, ale to były owe niewinne, nieszkodliwe psoty, z których żadna nie wynikała szkoda, a lekki tylko rodził się kłopot dla tych, którym wyrządzone były. Widalsi np. schował czasem druty, albo sennik zarzucił, albo z kart wszystkie figury powyjmował i oddawał wtedy, gdy się ich dobrze naszukała; służącej, która do usług jego i staruszki przeznaczoną była, nasypał pod prześcieradło sieczki; którą w czapeczce z masztarni, gdzie miał znajomych i przyjaciół, przyniósł, albo gdy mydliła bieliznę i odwinęła się gdzie, w tejże samej chwili sprzątnął mydło, iż musiała się dobrze naszukać i nakoniec naprosić go, nim pokazał kryjówkę, gdzie je chował; latem w ogrodzie, gdy ogrodnik, który był łysy i zamyślać się lubił, usiadł na jakiej kanapce i odpoczywał, zakradłszy się cicho, wodził z lekka słomką lub gałązką po jego łysinie, tak, że ten myślał, że to muchy i co moment bił się ręką po głowie. Takich i tym podobnych psot wielu od niego doświadczało; nikt się jednak nie gniewał, bo gdy go kto na uczynku złapał, a nie miał ochoty śmiać się z figla, Tadeuszek w ten moment rzucał mu się na szyję i przepraszał póty, póki nie nastąpiła zgoda i dobry humor pokrzywdzonemu nie wrócił. Największym jego przyjacielem był koniuszy, stary, Kościuszkowski kawalerzysta. To też bohater nasz najczęściej przesiadywał w stajni, lazł śmiało do koni, spokojniejsze do wody prowadził, pomagał za-

przegać, czasem wdrapywał się na siodło, gdzie go eks-wojak przed sobą trzymał, a gdy miał już dziesiąty rok, to i sam spokojniejsze woziwody dosiadał, lub ośmieliwszy się i wprawiwszy, na miejscu forysia popędzał czwórką fornalską, lub niekiedy i w koczu, gdy państwo mieli jechać na spacer, przed ganek pałacu forytował.

Instrukcja jego nie szła sporo, bo też nikt się tem formalnie nie zajmował. Widalska go tylko uczyła, oraz przyjaciel jej i Tadeuszka, pan Gracjan Owsikowski, ów koniuszy dworu pana Klemensa. Od opiekunki swej nauczył się, jak to już powiedzieliśmy, czytać po polsku, pacierza i katechizmu, a od koniuszego, który do nich często na gawędkę przychodził, nauczył się pisać litery i liczby i rachunku na pamięć, tak, że mógł wielkie nawet sumy dodawać, a tabliczkę Pitagorasa umiał na palcach. Oprócz tego, znał historję wszystkich dzieci pani Widalskiej tak ekspedite, że gdy o którem co zaczęła opowiadać, lub jemu, lub pani Owsikowskiej, lub jej mężowi, to mały figlarz, stojąc przy niej, kończył jej opowiadanie, lub czasem, gdy się rozswywolił, od początku historji Jacunia, lub Józia, podszeptywał jej i dotaczał koniec z dziejów Franka lub Magdeczki. Widalsia rozgadawszy się, często nie zaraz to spostrzegła; ztąd powstawało *qui pro quo*, z którego się słuchacze uśmieli. A choć mały zdrajca od opiekunki swej nieraz za to oberwał po uchu, kończyło się zawsze na tem, że się i Widalska sama z siebie śmiała, gdy Tadeuszek zaczął się przymilać i całował z serdeczną miłością tę dłoń, która

go biła. Oprócz tych wiadomości nasłuchał się jeszcze od pana Owsikowskiego o ostatnich wypadkach kraju i bitwach, w których on, jako oficer kawalerji miał udział. Od tegoż pana Owsikowskiego dostał na imieniny, gdy rok dziesiąty zaczynał, dwa portreciki dwóch najznakomitszych w dziejach naszych Tadeuszów, które stary wiarus nad łóżeczkiem chłopca własną ręką przybił, aby kładąc się i wstając, zapatrywał się na wielkich imienników swoich i starał się wyrównać jednemu męztwem, drugiemu rozumem.

Z geografii niewiele wiedział; znał tylko niektóre nazwiska miejsc, które w ostatnich czasach pamiętnemi się stały, a które z opowiadań pana Owsikowskiego, jako oficera kawalerji, zapamiętał. Wiedział także, gdzie leży Berdyczów, Kulczyny i Felsztyn, o których to miastach, sławnych jarmarkami na konie, pan Owsikowski znowu jako koniuszy, częste robił wzmianki. Od niego także dowiedział się o Krzemieńcu, gdyż właśnie imiennik jego Tadeusz Czacki, którego portret miał nad łóżkiem, miejsce to sławnem i użytecznem zrobił. Od Widalskiej dowiedział się o Poczajowie, gdzie był obraz cudownej Matki Boskiej i stopka jej w kamieniu wydeptana, a zawsze pełna wody święconej, którą we flaszeczce nad jej łóżkiem zawieszoną widział. Od niej także nauczył się nazwisk kilku miejsc na Podolu, gdzie były wielkie odpusty i tego miasteczka, gdzie był pamiętny dla niej kościół, w którym ślub brała przed bocznym ołtarzem, gdzie był obraz św. Józefa, do którego zawsze szczególne miała nabożeństwo.

Wiadomości jego z historji naturalnej ograniczały

się tylko znajomością domowych zwierząt, które lubił i z któremi jak mógł pieścił się i bratał. Konie w stajni pana Klemensa znały głos jego; faworytalne krówki na folwarku biegły do jego ręki; ze wszystkiemi psami na dziedzińcu był w najlepszych stosunkach: przewracał się z niemi, borykał, siadał na nich i za uszy, jak za lejce trzymał, a gdy czasem upadł na wznak i nieżywego udawał, poczciwe wyżły obstępywały go, trącały mordami, aby go ocucić i śliczną jego twarzyczkę lizały, aby oczy otworzył i do swywoli z niemi powstał. Nawet na wsi miał znajomych pomiędzy pieskami chłopskiemi i wiedział, jak się który nazywa. To też, skoro się pokazał, obskakiwały go kruczki i wilczki, i radowały się jego widokiem, jak widokiem przyjaciela; czuły bowiem instynktownie, że to dziecko dobre, co nie kopnie nogą, nie uderzy pręcikiem, kamieniem nie rzuci, ale owszem, pogłaszcze biednego stróża wiejskich chatek i chlebem pańskim poczęstuje.

Tak więc bohater nasz, jak czytelnicy widzą, był moralnie daleko wyższym od syna pana Klemensa; a chociaż instrukcję jego zaniedbano, rozwinęło się znacznie przez to życie swobodne, które sobie kosztem rózeg i szturchańców zdobył, przez narażenia się na niebezpieczeństwa, których się nie bał; przez konieczność radzenia sobie w trudnych położeniach, w które się sam stawił. Tym sposobem także rozwinęły się i jego siły fizyczne, ciało jego nabrało tej giętkości i mocy, które go uczyniły najzgrabniejszem i najładniejszem dzieckiem, jakie kiedy widziano. Dorodnym był nad wiek, zdrowym i ru-

mianym; na ustach jego był zawsze uśmiech uprzejmości dla wszystkich, a w oczach błękitnych jaśniała śmiałość nieulęknionego i dobrego serca, gotowego upokorzyć się tym, których kochał, ale rzucającego się bez wyrachowania sił na tych, co się do niego niesprawiedliwie czepiali, lub słabszą jaką istotę, czy to człowieka, czy zwierzę, skrzywdzić chcieli.

Zastanowi to może niejednego z czytelników naszych, że ci państwo, którzy sierotę do domu swego przyjęli i o wszystkich potrzebach jego z przykładną niemal starannością myśleli, którzy dali mu pomieszkanie, zapewnili opiekę dobrej i kochającej go kobiety, opatrywali go, gdy podrastał, w ładne i przystojne sukienki, w porządną bieliznę, a równie jemu, jak i pilnującej go Widalskiej, dawali stół dobry i obfity, zapomnieli niejako o tem, o co ich nieszczęśliwa matka w liście swym tak gorąco prosiła, to jest: o jego wychowaniu. Okoliczność ta wymaga objaśnienia. Pan Klemens, który polubił był ślicznego chłopczyka za to, że, nauczony widać przez Widalską, okazywał mu zawsze uszanowanie, zdawał się pojmować i czuć dobrodziejstwo, jakie odbiera, w rozmowie zaś z nim objawiał zawsze rezolutność, śmiałość i niepospolite zdolności, chciał, aby Tadeuszek był towarzyszem jego syna, a gdy przyjdzie pora, aby się z nim razem uczył. Kompanja wesołego i zawsze śmiejącego się chłopczyny miała służyć do rozerwania ponurego panicza, a widoczna jego zdolność i pojętność, jako bodziec do obudzenia w Hipolitku ochoty i chęci przodowania.

Tę swoję myśl pan Klemens objawił żonie. Rozalia zawsze wydawała się dla małego podrzutka bardzo obojętną, chociaż pamiętała o jego potrzebach, a nawet okazywała mu czasem niejaką przychylność, zwłaszcza, gdy go spotkała samego w ogrodzie. Wtenczas zdarzało się, że obejrzawszy się w około, przywołała go do siebie, odgartywała włoski z jego czoła, przypatrywała mu się i własną swą batystową chusteczką, obcierała pot i brud z jego twarzyczki. Mimo to, gdy jej mąż powyższą propozycję zrobił, skrzywiła się z początku, to i owo miała do zarzucenia, ale wreszcie, zgodziwszy się na zrobienie próby, zostawiła sobie prawo odmienienia tej decyzji, gdyby w niej jakąkolwiek upatrzyła nieprzyzwoitość. Na tem więc stanęło.

Tadeusz kończył wtedy rok ósmy, a Hipolitek siódmy. W skutek danego przez pana Klemensa rozkazu, codzień koło godziny dziesiątej z rana przychodził lokaj z pałacu i wyczesanego ładnie, umytego i wystrojonego sierotkę prowadził z sobą, aby bawił panicza. Tam zostawał on i na obiedzie, a wieczorem dopiero uwolniony i szczęśliwy, jak więzień, kiedy z niego zdejmą kajdany, leciał do oficyn i rzucał się w objęcia stęsknionej za nim i często zapłakanej Widalsi.

Wszakże ta niewola jego i zmartwienie kochającej go opiekunki niedługo trwały. Chłopcy w żaden sposób zgodzić się nie mogli. Hipolitek chciał bezwarunkowego posłuszeństwa od biednego sieroty. Nauczywszy się od Angielki, że dany mu towarzysz nie ma rodziców, że znaleziony był pod płotem i

wychowuje się z łaski, że on nie powinien się z nim bardzo poufalić i jako z równym sobie obchodzić się, zaczął go traktować jako pieska, którego mu dano do zabawki. Męczył go więc, szczypał, ciągnął za uszy i kręcące się kudełki, czasem go dobrze ukłół, a najczęściej, kazawszy stać przed sobą, smagał go batożkiem po nogach. Tadeuszek, czując swoje podrzędne położenie, z początku poddawał się złośliwym zachceniom pańskiego dziecka, ale wkrótce mu się to sprzykrzyło. Jednego razu wydarł mu batożek i połamawszy w kawałki, wyrzucił za okno. Mrukliwy i zły malec przypadł wówczas do niego z pięściami, odgrażając się, że go każe wybić i wyrzucić za ten sam płot, gdzie go znaleziono. Krew zawrzała w żyłach Tadeuszka, odtrącił więc od siebie złego chłopca, ale tak, że ten upadł i głowę sobie rozbił.

Angielka, przy której się to wszystko działo, ogromnego narobiła krzyku, poleciała do pani, donosząc jej o zuchwalstwie podrzutka; a gdy Rozalia dość obojętnie doniesienie to przyjęła, dodała zaperzona ochmistrzyni, że jeżeli taki swywolnik i zbójca będzie w kompanji jej wychowańca, to nawet jej metoda nie pomoże i ona za nic nie ręczy. Kazała więc Rozalia zawołać obu malców do siebie, aby wybadać, jak się rzecz miała i wymierzyć winnemu karę. Gdy przyszli obydwaj, matka przekonawszy się najprzód, że uderzenie było nieszkodliwe, potem dowiedziawszy się dokładniej o co im poszło, chociaż mocno się zmartwiła i złem sercem swego syna, które się przed jej oczami coraz bardziej odkrywało

i prędkością Tadeuszka, na którego poważnie, ale bez gniewu poglądała. zagodziła tę sprawę połajaniem obudwóch i upomnieniem bony, że na nich nie patrzy i zabawami ich nie kieruje. Gdy jednak sprawy podobne za często powtarzać się zaczęły, do czego posłużyły i poduszczania Angielki, która według metody swej kierując Hipolitka na lorda, karmiła w nim pogardę i pomiatanie biednym sierotą, do którego jakąś powzięła niechęć, Rozalia, bojąc się widać, aby te dziecinne przekory, pokrzywdzenia z jednej strony, a odwety z drugiej, nie wyrodziły się w serdeczną nienawiść między chłopcami, którzy może nie powinni się byli nienawidzieć, postanowiła ich rozdzielić i z mężem o tem pomówić chciała. Jedna drobna na pozór okoliczność, ale która stała się dla niej powodem i głębokiego smutku i trwogi trudnej do wytłumaczenia, przyspieszyła wykonanie tego jej zamiaru. Po jednej z podobnych kłótni między chłopcami i skardze zaniesionej przez Angielkę, Rozalia, zawoławszy Tadeuszka i wymówiwszy mu, że jej przykrość robi, napisała parę słów do Widalskiej i kazała mu oddać jej karteczkę, w której była oznaczona kara. Chłopiec, wziąwszy z jej rąk fatalny wyrok z tem wejrzeniem niewinności i dobroci, którem rozbrajał zawsze Widalsię i idąc poddać się karze, jaką mu pani naznaczyła i objawiła, upadł jej do nóg i całować je zaczął. Rozalia wzruszona podniosła go, spojrzała w te błękitne oczy, tak zawsze wymowne, a teraz jeszcze upięknione łzami, wyrwała z rąk jego karteczkę, a chłopca przyciągnąwszy do siebie i ucałowawszy z jakiemściś

nadzwyczajnem uczuciem, zadziwionego i uszczęśliwionego takiem jej obejściem się, odprawiła do domu.

Tę scenę wypatrzył Hipolitek, który właśnie w tej chwili nadszedł, gdy matka nieprzyjaciela jego trzymała w objęciu. Nic matce na to nie powiedział; ale w parę godzin potem, gdy szedł z Angielką przez ogród, a Rozalia przypadkiem znalazła się za niemi, tak, że jej nie widzieli, z głębokiem zmartwieniem usłyszała te słowa, które synek jej mówił: — Widziałem ja dobrze, jak mama całowała tego włóczęgę, za to, że mnie uderzył. Papa kazałby go pewnie rózgami wyćwiczyć. Jak mi jeszcze co zrobi, to ja już pójdę do papy, nie do mamy.

— Dobrze zrobisz, moje dziecko — odpowiedziała bona — bo tego już nadto; to niegodziwy chłopiec!

Rozalia udawszy, że tej rozmowy nie słyszy, cofnęła się i gdy wróciła do swego pokoju, upadła prawie na krzesło i załamawszy ręce, siedziała tak z godzinę w gorzkich pogrążona myślach. Potem zebrawszy siły, otarła łzę bolesną, która do ócz jej zabiegła i chcąc zapewne uprzedzić złe, jakieby wynikło, gdyby syn jej rzeczywiście skarżył się ojcu, przybrała wyraz zimny i spokojny, i poszła do męża. Tam zacząwszy od tego, iż przewidziała, co się stanie, zaczęła mu przekładać, że niepodobna chłopców tych wychować razem; że Tadeuszek za swywolny, za żywy, zanadto źle wychowany; że obaj są różnego temperamentu, nie godzą się z sobą, a ztąd wynikają między niemi spory, które na charakter ich syna, który i tak już ją niepokoi i wymaga pilnego starania, mogą mieć wpływ szkodliwy; że

wreszcie sierota ten zbyt poufali się z ich dzieckiem, czego ona sobie wcale nie życzy. Mąż, chociaż niechętnie, przystał na zadośćuczynienie woli żony, a zrobiwszy jej nawet wymówkę, że nie wiedzieć dla czego, jest tak obojętną dla biednego dziecka, które mu się zdawało i miłem i dobrem. wydał jednak rozkaz, aby Tadeuszek więcej w pałacu nie pokazywał się i z synem jego nie wdawał się wcale.

Odtąd więc bohater nasz używał zupełnej swobody, wrócił do swojej kochanej Widalsi, zaprzyjaźnił się z panem Gracjanem Owsikowskim i uczył się i bujał tak, jak to wyżej opisaliśmy. Rozalia rzadko go widywała, chyba gdzie swywołącego na dziedzińcu, lub przypadkiem w ogrodzie, gdzie niekiedy nawet zdawała się na niego umyślnie czatować, pan Klemens także mniej na niego zważał, zająwszy się wyłącznie swoim jedynakiem, a oba chłopczyki, jeśli się gdzie spotkali, zawsze groźba i wzgarda była na bladej twarzyczce Hipolita, a uśmiech lekceważenia i jakiejś moralnej wyższości na rumianem licu Tadeuszka.

W takim stanie były rzeczy w domu pana Klemensa, gdy w połowie czerwca tego roku, od którego znowu opowiadanie nasze zaczynamy, przybył posłaniec pani Pokrzywickiej z listem od swej pani, adresowanym do pana Klemensa, a na którego kopercie napisane było i dwa razy podkreślone: confidentielle. Lokaj przyniósł mu ten list do muzeum, gdzie wówczas pan Klemens znajdował się. Czy to owa Nemezys zrządziła, czy przypadek zdarzył, trudno zadecydować, ale to pewna, że stał właśnie w tem

miejscu, gdzie był posąg Wulkana, kołyszącego z uprzejmością dziecko swej żony. Poznał pan Klemens charakter i zastanowił się nad wyrazem francuzkim dwa razy podkreślonym; a gdy podniósł głowę, myśląc, coby to być mogło, wpadł mu w oczy poczciwy bożek ognia tak zręczny, tak biegły w sztuce, a dający się tak dobrodusznie oszukiwać. Zgrzytnął więc pan Klemens zębami, które miał jeszcze zdrowe, na samą myśl zbliżenia i podobieństwa, co mu się od pierwszego dnia znalezienia Tadeuszka zawsze nasuwało, i ile razy na tę fatalną grupę spojrzał i drżąc od trwogi i gniewu, list starej komerażnicy rozerwał. Były tam następujące słowa: „Cher Cousin! zaczynam od tego, że cię bardzo proszę, abyś list ten po przeczytaniu spalił i nikomu go nie pokazywał. Gdyby cię przypadkiem zapytano, co mój posłaniec przywiózł, masz tu drugi bilecik, który bądź łaskaw oddaj według adresu, jeżeli notabene znajdziesz tego potrzebę. A teraz słuchaj, panie Klemensie, obiema uszami. Zapowiedziałam ci, pamiętasz, że nie spocznę póty, póki nie dojdę, zkąd się ten wasz podrzutek wziął. Otóż przypadek osobliwszy usłużył moim chęciom. Jestem na drodze ważnych dla ciebie odkryć. Nie wiem jeszcze wprawdzie wszystkiego, ale wiem wiele. Jeżeli więc chcesz dowiedzieć się o tem, co mi wiadomo, przyjeżdżaj do mnie, gdyż długo pisać nie mam czasu i ochoty. Czego do zupełnego odkrycia prawdy nie dostaje, to znajdziemy, bądź pewny, gdyż mam i na to wyborne skazówki. Posądzałam cię, żeś to ty sam figla tego wypłatał żonie, której, bądź co bądź, nie wart

jesteś i rzemyka u trzewików rozwiązać. Śmieję się teraz sama z siebie. Gdzież ja miałam głowę suponować, żebyś ty miał tak delikatny rozum, abyś rzecz tę tak dobrze ukartował. Żaden mężczyzna na nicby się podobnego nie zdobył: wyście dopiero z pierwszej trzaski okrzesani. To jest sprawka kobiety, bądź pewny — ale jakiej, w tem sztuka. I to się pokaże. — Do widzenia więc, cher Cousin. Widzisz z tego wszystkiego, że się tobą zajmuję i myślę o tobie, tout monstre que vous êtes. — Twoja przywiązana".

Pan Klemens, przeczytawszy to, upadł na to samo krzesło, przy którem stał. W głowie jego powstał jakiś szum, jakaś wrzawa i stukanie, jak gdyby te wszystkie zmory i straszydła, które go stopniami i po kolei dręczyły, zbiegły się razem i okropną tam wyprawiać zaczęły hecę. Po kwadransie, spostrzegłszy, że lokaj stoi i na rozkaz jego czeka, upamiętał się cokolwiek, przeszedł się parę razy po sali i nakoniec kazał, aby posłaniec sobie jechał i oświadczył swojej pani, że przyjedzie. Wtedy, uwolniony od świadka swojego bólu i zmącenia wszystkich wyobrażeń, jakie miał o uczciwości i cnocie, wszystkich uciech spokoju i wiary, jakie w sobie wyrobił i jakich dziś kosztował, usiadł znowu na tem samem miejscu, i tak z parę godzin siedział, przechodząc myślą wszystkie okoliczności, które mu dawniej by najlekse podejrzenie nasuwały, przerzucając dzień za dniem, godzina za godziną, grzebiąc w tej przeszłości i wyszukując powodów każdego słowa, każdego poruszenia, któreby go mogło naprowadzić na ślad i dać przekonanie, że to jest dziecko jego żony,

a on przez lat dziesięć, jak dobroduszny Wulkan, kołysał je, karmił i odziewał. Wyroiwszy sobie tym sposobem, że to rzecz bardzo podobna do prawdy, porwał się z miejsca, jak lew skaleczony, chwycił się za głowę, jakby chciał z siwych włosów swych zedrzeć hańbę, i pośmiewisko ludzkie, któremi zdawały mu się okryte i puścił się ku apartamentom żony, aby z całą furją swą wybuchnąć i znagliwszy ją swą wściekłością i strachem do wyznania prawdy, wychylić od razu tę czarę nieszczęścia i bolu, którą już przy ustach swych trzymał i której gorycz czuł i smakował.

Ale człowiek, widzący nawet przed sobą oczywistą zgubę, dopóki tylko rozum jego czuwa i działa, perswaduje sobie, stara się przekonać siebie samego, że ten topór, który nad nim błyska, nie dla niego wyostrzony, że ta przepaść, która przed nim otwarta, zamknie się jeszcze, nim się do niej przybliży. Wstręt do śmierci, czy fizycznej, czy moralnej, tak dalece wrodzonym jest każdemu, że nawet we dnie dusza nie traci tej mocy perswazji i tej niewiary w klęskę, która mu grozi. Komuż z nas nie zdarzyło się tego doświadczyć? Ile razy kogo ciężkie napadają marzenia, czy nie perswaduje sobie zaraz, że to musi być sen, że to zmora? czy nie natęża w tejże samej chwili wszelkich sił duszy, i we śnie nawet czuwającej i nie budzi się natychmiast. W takiem położeniu znajdował się i pan Klemens, i podobnego środka ratowania się użył. Zatrzymawszy się w impecie swym przy drzwiach, usiadł znowu i wywołał wszystkie władze swego rozumu, aby go przekonały, że to jest złudzenie, że to być nie może; aby, stając

w obronie kobiety, którą kochał, stanęły razem w obronie jego własnego szczęścia i spokoju. Znowu więc, przechodząc myślą wszystko, coby mu mogło ten okropny medal z drugiej strony pokazać, przeczytał drugi list pani Pokrzywickiej i wówczas spostrzegł, że tam więcej chęci zmartwienia go, niż dania przychylnej przestrogi; że tam tylko złośliwe domysły, a żadnej pewności i prawdy. Przypomniawszy sobie dawniejszy plan i zamiary tej podejrzanej kobiety, które zniweczył, jej niemoralne życie, jej zagadkową karjerę, przyszedł do tego przekonania, że mogła coś, ni to ni owo złapać, a może wykomponowała jedynie w tym celu, aby go udręczyć za dawniejszą wzgardę, jaką jej samej i jej córce okazał; aby się zemścić nad Rozalią, że postępowaniem swem nieskażonem i pełnym godności nie dała dotąd pola jej językowi, a zimnem z nią obchodzeniem się, traktowaniem jej tak, jak na to zasługiwała, i prawie zerwaniem wszelkich stosunków, obraziła jej miłość własną i dumę. Dalej postępując na tej drodze, gdy rozważył całe postępowanie swej żony, jej reputacją, do której nikt żadnej plamki przyczepić nie śmiał; jej każde pokazanie się na świecie, tak śmiałe, tak godne, tak pełne naturalności i powagi, tak jaśniejące spokojem duszy i wdziękiem czystego sumienia; nadewszystko, gdy zaczął zastanawiać się nad jej obchodzeniem się z Tadeuszkiem, nad jej obojętnością dla biednego sieroty, na którą nawet nie zasługiwał, nad niechęcią aby z jej synem wychowywał się i nad usunięciem go zupełnem, po krótkiej próbie, i z pod swego oka i od kompanji

własnego dziecka, nie mógł nie przyjść do tego rezultatu, że podejrzenia jego są widziałem, które odpędzić od siebie i z tego snu okropnego rozbudzić się powinien.

Po całej godzinie tej zbawiennej medytacji, uspokoiwszy się znacznie i pozwoliwszy rozumowi swemu położyć ten gojący plaster na ranę serca przez poselstwo złośliwej baby zadaną, powstał pan Klemens jak z odurzenia i poszedł do żony, niepewny jeszcze, jak postąpi i czy jej list jeden i drugi pokaże. Rozalia, pełniąca gorliwie obowiązki matki, zwłaszcza, gdy z coraz większą boleścią przekonywała się, że niedobry charakter jej dziecka potrzebuje troskliwego kierunku i głosu, umiejącego przemówić do śpiącego jeszcze, czy może zupełnie stwardniałego serca, była właśnie w salonie ze swym synem. Nauczała ona nasępionego i z unudzeniem słuchającego jej morałów Hipolita: że wszystkich ludzi kochać należy, nikim nie pogardzać i tem więcej miłości braterskiej okazywać temu, kogo los zrobił sierotą, komu nie dał rodziców i tylko miłosierdziu ludzkiemu zostawił. Pan Klemens wszedł właśnie wtedy, gdy te słowa z uczuciem i jakby z boleścią wymawiała. Chociaż to była nauka w rzeczy samej święta i ewangeliczna, zadrżał jednak, słysząc ją, gdyż mu się zdało, że się wyraźnie stosuje do tego sieroty, którego miał w domu; że matka uczy syna, aby tamtego kochał jak brata, nie przez obowiązek chrześcijański, ale jedynie z tego powodu, że tamten rzeczywiście musi być jego bratem rodzonym. Tak wykrętną, tak niesprawiedliwą, tak niegodziwie rozumiejącą jest na-

miętność! Doszła ona w tej chwili do takiej potęgi, że pan Klemens musiał użyć całej nad sobą mocy, przypomnieć sobie całą poprzednią walkę i wszystkie usprawiedliwienia, jakiemi się uspokajał, aby przy dziecku nie skrzywdzić matki, lub rzuceniem plamy pochodzenia i na to dziecko, które tak kochał, nie zranić śmiertelnie kobiety, której ani on, ani nikt nic zarzucić nie mógł. Pokonał się więc, usiadł, i słuchał nauk, które Rozalia synowi dawała. Twarz jej piękna i wzruszona tem co mówiła, głos poważny i przenikniony, bo w nim było serce matki, strwożone o kierunek jakie uczucia dziecka jej wezmą, tak dalece przejęły i zawstydziły znękanego starca, że bojąc się wydać, ze łzami wstydu i bólu, które się do jego ócz cisnęły, powstał cicho i wyszedł do swego pokoju, gdzie się na klucz zamknął.

Po znacznej dopiero, może dwugodzinnej przerwie, opanowawszy pierwsze wzruszenie i namyśliwszy się dobrze, jak postąpić, wrócił do salonu. Zastał Rozalię samą, zajętą robotą. Przystąpił do niej dość spokojnie i rzekł:

— Nie chciałem ci przerywać lekcji, boś była w dobrem usposobieniu i mówiłaś ze szczególnem przeniknieniem. A mam wiadomość, w której pragnę zasięgnąć twojej rady.

— Musi być zła — odpowiedziała Rozalia, kładąc na kolanach robotę i patrząc w oczy mężowi — bo uważałam, żeś był bledszy, niż zwykle, i mocno zmieniony.

— Musiało ci się tak wydać — rzekł pan Klemens, spuszczając oczy — nic to tak szczególnego.

Ale nim ci powiem, przeczytaj pierwej ten bilecik, który także odebrałem.

Rozalia wzięła list, rozpieczętowała, i rzuciwszy okiem na podpis i na początek, gdzie było: — Excellente amie! — uśmiechnęła się ironicznie i ruszyła ramionami.

— Zapewne coś zabawnego — rzekł pan Klemens, nie spuszczając oka z jej twarzy.

— Coś bardzo głupiego — odpowiedziała Rozalia ze wzgardą — nazywa mnie: son excellente amie, do czego ja się wcale nie poczuwam i czem bynajmniej nie jestem.

Dalej bilecik zamykał następujące słowa: „Dowiedziałam się, że jedynak twój był chory i dzięki Bogu wyzdrowiał. Chwila to dla twego serca droga. Nie będę mogła przybyć sama, aby ci złożyć serdeczne moje życzenia, żeby się taki smutek, jakiegoś doznała, więcej nie powtarzał i powinszować tyle darów, które się stały twoim udziałem. Czeka mnie podróż dosyć daleka, do której mnie zmuszają przykre moje okoliczności. Dla tego pośpieszam temi kilku słowy wynurzyć ci wszystko, co dla ciebie czuję, a wierzysz, że czuję szczerze, bo czyż można być inaczej dla takiej jak ty istoty, którą wszyscy szanują i wielbią. Możebym to, co tu piszę, powiedziała lepiej ustnie, bo mi łatwiej wygadać się, jak wypisać; a potem patrząc na twoje piękne oczy i na pogodne i jasne czoło, czułabym się inspirowaną. Ale cóż! kiedy nie mogę. Przebacz więc niezgrabności wyrażenia, a przyjm intencją. Au revoir, chère! jak tylko wrócę z podróży, zaraz do ciebie

przybiegnę i powiem ci, ile cię kocham i jak podzielam odgłos powszechny, który cię stawia za wzór wszystkim młodym mężatkom, który cię nazywa najszczęśliwszą, a co ważniejsza, najgodniejszą szczęścia kobietą. Ja do tego głosu publicznego dodaję jeszcze to, żeś godna nietylko zupełnego szczęścia, ale i największego podziwienia, że możesz tak kochać votre monstre de mari, który z całą kolekcją swoich rzadkości nie wart i jednego włoska z twojej pięknej i rozumnej główki — Votre affectionnée".

— Reszta warta początku — rzekła Rozalia skończywszy; potem, podając list mężowi, dodała: — czy chcesz przeczytać te bezczelne kłamstwa, których celu domyśleć się nie mogę?

— Jeżeli pozwolisz — rzekł pan Klemens, i wziąwszy bilet z rąk żony, zaczął go czytać, a Rozalia wróciła spokojnie do zostawionej na chwilę roboty. Pan Klemens przeczytawszy, zmiął list z oburzenia na taką chytrość i popatrzył na żonę z dziwnem pomieszaniem podejrzliwości, czci i przywiązania.

— Dla czegóż cię tak gniewają — rzekła wówczas Rozalia — wynurzenia de cette excellente amie? Możnaż od takiej kobiety spodziewać się czego innego, jak fałszu i chytrości? Jeżeli i ta wiadomość, o której wspomniałeś, z tego samego źródła, to nie wiem doprawdy, dla czego cię tak dotknęła, bo wierz mi, byłeś nadzwyczaj blady i zmieniony.

— Mówię ci, że ci się musiało wydać — odpowiedział pan Klemens, mocując się z sobą. — I żebyś osądziła, czy miałem powód tak bardzo się mienić i blednąć, to ci powiem, o co idzie.

— Słucham — rzekła Rozalia, opierając łokieć na poręczy fotelu, a piękną i spokojną twarz swą na dłoni.

Pan Klemens miał zrazu myśl pokazać żonie list pani Pokrzywickiej i w czasie jego czytania śledzić każde poruszenie jej twarzy, i komentować czy bladość jej, czy rumieniec, którymby się okryła. Ale się zmiarkował. Wzmianka w tym liście o owym bileciku, tak pełnym komplementów, wyrażająca chytrość zbyt widoczną i posądzenie Rozalii zbyt jawne, wstrzymała go. Wolał więc powoli rzeczy dochodzić, niż przystąpić od razu do stanowczej eksplikacji, z której mogłoby wyniknąć albo zupełne zaparcie się, którego nie miałby czem zbić, albo przyznanie się do winy, jeśli jest, a ztąd rozpacz i całkowita ruina szczęścia i spokoju na resztę życia. Przybrawszy więc minę, ile mógł spokojną, i traktując rzecz lekko i z niedowierzaniem w prawdziwość doniesienia, rzekł:

— Czy wiesz, moja Róziu, że ta baba pisze mi, że wynalazła jakiś ślad o pochodzeniu Tadeuszka?

— Jakiż to — odpowiedziała Rozalia ciszej, zwolna i nieznacznie opuszczając głowę i rękę, na której twarz jej była wsparta, i podnosząc robotę, by igiełką liczyć oczka na kanwie, na której wyszywała. Panu Klemensowi wydało się, że zbladła i że głos jej zadrżał. Nie derutując się więc tem jej niby obojętnem przyjęciem tak ważnej wiadomości, i zajęcie się robotą uważając za wybieg, dla ukrycia wrażenia, jakiego doznała, mówił dalej:

— Pisze, że wie wiele, i że ma mieć jakieś skazówki do odkrycia zupełnej prawdy.

— Być może — odpowiedziała Rozalia, licząc oczka i szyjąc. — Ta kobieta wie zawsze za wiele o innych, a zbyt mało o sobie.

Panu Klemensowi jednak wydało się, że mimo tej pozornej obojętności, jakby odetchnęła, gdy dodał, że nie ma jeszcze zupełnej prawdy. To go cokolwiek wzburzyło i rzekł żywiej:

— Dziwna rzecz, jak mało ciebie to dziecko obchodzi.

— Owszem — odpowiedziała Rozalia — obchodzi mnie tyle, ile podrzutek obchodzić mnie może. Ma wszystko, czego taki chłopak potrzebuje, jest odziany, nakarmiony, dopilnowany. Czegóż chcesz więcej? Jak przyjdzie czas wyprawić go do szkół, a zechcesz na to łożyć, to się temu nie sprzeciwię wcale.

— Ale ta wiadomość o jego pochodzeniu — mówił pan Klemens, cokolwiek zadziwiony tak prostą i naturalną odpowiedzią — zdaje się nie interesować cię bynajmniej.

— Dla czegóż ma mnie tak bardzo interesować? — odpowiedziała — czy sądzisz, że biednemu dziecku temu będzie lepiej, jak się dowiemy, zkąd się wzięło? Miałżebyś zamiar, dowiedziawszy się o jego ojcu, czy nieszczęśliwej matce, oddać go im i pożałować mu tego kawałka chleba który mu dajesz?

— Tego zamiaru nie mam — rzekł pan Klemens, któremu się zdało, że gdy wspomniała o matce, nachyliła się mocniej nad swoją robotą, aby twarzy jej nie widział. Zatrzymał się więc chwilę, zmiął mocniej list, który w ręku trzymał, a potem dodał: — Ekspensy na tego biedaka nie żałuję wcale; wszakże

chciałbym się przekonać, czy wiadomość ta nie doprowadzi do jakiego ważnego odkrycia. Możeby się los jego poprawił, możeby go ojciec przyznał, dał imię, lub co podobnego. Pani Pokrzywicka prosi mnie, abym do niej przyjechał. Chociaż to jest kobieta zła, plotkarka i najczęściej łże, ale któż wie, może wpadła na jaki ślad rzeczywisty, po którym będziemy mogli dojść do prawdy. Bo prawda — dodał mocniej i z przyciskiem — czy prędzej, czy później musi wyjść na wierzch.

— To jedź — odpowiedziała Rozalia, przypatrując się swojej robocie i odchylając się, dla lepszego widzenia, tak, że twarzy jej widzieć nie mógł.

— Nie pojedziesz ze mną? — zapytał pan Klemens.

— Ja? — odpowiedziała, podnosząc się z godnością i dumą. — Doprawdy, Klemensie, że nie masz dla mnie żadnego względu. Nie pojmuję, jak może mąż, szanujący choć cokolwiek swą żonę, żądać od niej, aby się wdawała z taką kobietą, i robiła jej jakieś awanse. Nie byłam u niej lat kilka i nie będę nigdy.

To powiedziawszy, jakby z obrazą, i ruszywszy wzgardliwie ramionami, wyszła z pokoju.

Pan Klemena sam nie wiedział, co o tem myśleć. Zostawszy sam jeden, chodził długo po pustej sali i ważył wszystko *pro* i *contra*. Widać jednak, że *contra* przemogło, bo tego dnia już się z żoną nie widział, a raniutko nazajutrz, wybrawszy się jakby na dalszą podróż, wyjechał.

Rozalia, dowiedziawszy się o wyjeździe męża, długo leżała w łóżku, jakby noc bezsenną przepędziła. Gdy wstała i spojrzała w zwierciadło, przelękła

się sama siebie, tak była blada i zmieniona. Nie wychodząc więc z pokoju i nie wołając do siebie nikogo, przepędziła kilka godzin, to siedząc w zamyśleniu, to przechadzając się szybkiemi krokami, zdradzającemi jej niepokój. Wreszcie, zmęczona tym stanem, wdziała kapelusz, zasłoniła twarz woalem i poszła do ogrodu. Tu chodziła długo po głównej alei, wreszcie udała się w boczną i cienistą ulicę, prowadzącą do najodleglejszego gaiku, gdzie był mały kiosk, a z niego piękny i otwarty widok na pola, gaje i okoliczne wioski. Tam usiadła odpocząć. Po chwili zdawało się jej, że na przyległem, wielkiem drzewie coś szeleści. Podniosła więc głowę i jakież było jej zadziwienie, gdy wysoko między liśćmi spostrzegła Tadeuszka, który tulił się do gałęzi i widać chował się, żeby go nie obaczyła. Załamała ręce na ten widok, jakby sobie wyrzucała, że to dziecko tak bez dozoru puszczone, tak niedbale chowane. Z początku chciała udać że go nie widzi i odejść, bojąc się, aby chłopczyk, złażąc przy niej, gdyby mu to kazała, ze strachu nie potknął się i nie zleciał. Ale widać, że inne jakieś przeczucie przemogło. Zbliżywszy się więc do drzewa, rzekła łagodnie:

— Tadeuszku! zleź, moje dziecko, tylko ostrożnie, żebyś nie upadł.

— O! niech się pani nie boi — zawołał chłopiec, ośmielony widać jej łagodnym głosem i jej niezagniewaną twarzą; a puściwszy się na dół jak wiewiórka, i czepiając się zręcznie to pnia, to gałęzi, w mgnieniu oka spuścił się i na ziemi stanął. Nie śmiejąc zaś do niej przystąpić i czekając z pokorą,

co każe, podnosił tylko kudłatą swą główkę i spoglądał na nią, jakby proszącym o przebaczenie wzrokiem. Rozalia przywołała go do siebie i usiadłszy na dawnem miejscu, obtarłszy jego twarzyczkę i ręce jego wziąwszy w swoje dłonie, zaczęła mu mówić, że niedobrze robi, iż tak swywoli, tak lata i łazi po drzewach, zkąd można upaść, złamać sobie rękę lub nogę, a może nawet i zabić się. Te ostatnie słowa wymówiła tak przenikliwie i takim głosem, że łzy w oczach chłopca stanęły.

— Jeżeli mnie kochasz Tadeuszku, to tego nigdy nie zrobisz, nieprawdaż?

— O nigdy, przenigdy nie zrobię, jeżeli pani tak mówi! — odpowiedział chłopczyna, i zaczął płakać i ręce jej całować.

Wtedy Rozalia przyciągnęła go do siebie, utuliła w swojem objęciu i rzewnie płacząc ściskała go i całowała. Tadeuszek, porwany jej uczuciem, sam nie wiedząc co się z nim dzieje, objął także jej szyję i u jej ust zawisł. Była to chwila dla obojga rozkoszna, i trwała długo, jak gdyby miała być ostatniem ich pożegnaniem.

Koniec tomu pierwszego.

Józef Korzeniowski.

Tadeusz Bezimienny

Powieść w 3. tomach.

Tom II.

Gródek 1898.
Nakładem i drukiem J. Czaińskiego.

I.

Dom w Krzaczyńcach, w którym pani Pokrzywicka mieszkała, główna kwatera tej znakomitej w swoim rodzaju intrygantki i punkt zborny wszystkich, którym smakowały łatwe zyski i wszelkie kontrabandy moralne, obyczajowe i rzeczywiste materjalne, które z zagranicy zwoziła, nie miał w sobie nic takiego, coby szczególną uwagę zwrócić mogło i na opisanie zasługiwało. Nie był on ani zbyt wielki, ani zbyt mały, ani zbyt czysty, ani zbyt brudny, słowem, nie okazywał wcale, aby gospodyni miała czas i wolę zajmować się szczególnie swojem pomieszkaniem, aby lubiła zdobić i porządkować swe siedlisko, dla zrobienia go tem milszem i dla przywiązania się do miejsca, w którem dni jej upływały.

Wszakże nie zbywało tam na wygodzie, a umeblowanie, jeżeli nie jaśniało gustem i elegancją, nie raziło zupełnem opuszczeniem i niestosownością. Sama gospodyni miała przedpokój i z niego na prawo duży pokój jadalny; dalej wielkie dwa salony, z których jeden przeznaczony był na grę, a drugi na rozmowy głośne i ciche; potem gabinet, a z niego

wielki pokój, w którym złożone były rozmaite rzeczy na sprzedaż; za gabinetem pokój sypialny, a dalej garderobę i mieszkanie dla służących płci żeńskiej. Z przeciwnej strony był korytarz i tam, jak numera w oberżach, znajdowały się pokoje gościnne, dość przyzwoicie opatrzone w najpotrzebniejsze meble. Wszakże goście odwiedzający ją, a mianowicie tacy, którzy przybywali do niej na dni kilka, nie dla tego, aby ją odwiedzać, ale żeby się z sobą z wszelką swobodą widzieć, najchętniej przyjeżdżali do niej w lecie. Miała bowiem ogród obszerny, zagęszczony kłąbami, pełen krętych i cienistych uliczek, a do tego mający kilka domków gościnnych w rożnych punktach, tak ulokowanych, że jeden drugiego nie widział i jeden drugiemu wcale nie zawadzał. Były to maleńkie altanki z oknami, z drzwiami, a nawet z kominkiem, złożone z jednego, dwóch, a najwięcej trzech pokoików, opatrzonych w skromne, ale dostateczne do wygody meble. Przebiegła gospodyni, która zmiarkowała zaraz cel wizyty, lokowała gości swoich tak, aby im było najdogodniej, aby tylko słowiki widziały, co się dzieje i nikomu tego wyśpiewać nie mogły. Przy wyjeździe takich gości, którzy nie mogli się odchwalić, jak jej dom dobrze urządzony, pokazywała im zwykle różne kosztowne rzeczy, które miała do zbycia, a oni znajdując, że rzeczy te są i bardzo piękne i nadzwyczaj im potrzebne, kupowali zamróżywszy oczy, i nie zrażając się bynajmniej potrojonemi cenami. Oprócz głównego pomieszkania i tych ustronnych świątyniek Cytery, jak je sama śmiejąc się i w poufalszym gronie roz-

pustników i bezzębnych zalotnic, które do zbierającej się u niej junty należały, nazywała, były przed domem oficyny kuchenne i z drugiej strony wielkiego i zapuszczonego dziedzińca wozownie i stajnie, ale tylko dla niej samej. Pani Pokrzywicka, która wszelkiemi sposobami gości swych eksploatowała, miała naprzeciwko bramy swego dziedzińca ogromną karczmę, gdzie przyjeżdżający odsyłać musieli swoje ekwipaże z końmi i ludźmi. Tam siedział żyd, któremu wszystko ze dworu się dostarczało; wódka, owies, słoma i różne wiktuały; na wszystko były oznaczone ogromne ceny, a żyd za swój trud miał tylko pewny procent i wolność szachrowania różnemi przydatkowemi rzeczami, których wymagali przyjezdni, a które do powyżej wyliczonych nie należały. Tak więc wprzód jeszcze, nim wielcy panowie nasi zaprowadzili u siebie tę ameljoracją w starożytnej gościnności przodków naszych, już pani Pokrzywicka w domu swoim ją miała.

Pan Klemens przyjechał do Krzaczyniec o godzinie jedenastej rano. Gdy wszedł do salonu, zastał tam gospodynią w rannem ubraniu, ale już trochę podróżowaną. Siedziała już przy kartach z trzema osobami, a dwie przechadzały się w przyległym pokoju, w interesującej widać rozmowie, gdyż nie zważały nawet, że ktoś jeszcze przybył. Przy stole, oprócz gospodyni domu, było dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Pani ta, niegdyś żona prezesa, już niemłoda, chuda, z niewielkim zadartym noskiem, z zapadłemi oczami, miała na twarzy wszystkie ślady źle przepędzonego życia i resztki piękności, które wcale przed

okiem ludzkiem nie ukrywała. Jeden z mężczyzn, hrabia Kalasanty, był to starzec przygarbiony, mały, z siwemi włosami, z kościstą i chudą twarzą, bez zębów, i któremu z dawnych sił i dawniejszych do szafowania życiem energji, pozostały tylko bystre siwe oczki, któremi obecnie rzucał tylko w karty i na przeciwników, jakby z ich fizjognomji pragnął wyczytać, który jaką szansę miał za sobą. Drugi mężczyzna, był to sławny na całem Podolu próżniak, pasibrzuch, niedawny deputat sądu głównego. Niewielkiego był wzrostu, nadzwyczaj otyły, z głową jak kocioł i z czołem takiem, jak materjał, z którego się kotły robią; w średnim był wieku, twarz miał pyzatą, czerwoną, nosek mały i okrągły, ale za to gębę wielką i uzbrojoną w białe i zdrowe zęby; śmiech głośny i bezwstydny, głos potężny i przenikający.

Całą tę kompanją znał dobrze pan Klemens, i gdy wszedł, wszyscy ruszyli się dla powitania zacnego gościa, kłaniali mu się i wyciągali ręce. Mąż Rozalii, na widok osób, z któremi się witał, przypomniał sobie i usprawiedliwił ten wstręt, jaki do tego domu i znajdującej się tam zwykle kompanji miała. Ledwie że nie żałował, że się dał uwieść zgubnej namiętności, co go tu przypędziła. To uczucie gniewu na samego siebie i pogardy dla tych, co go otaczali, wybiło się na jego twarzy, już i tak złą troską zmienionej, i spędziło z ust jego wszelki uśmiech, jakim się zwykle wita tych, do których się przybywa. Spostrzegła to natychmiast pani Pokrzywicka i rada z

efektu, jaki poselstwo jej sprawiło, zawołała śmiejąc się:

— Ah! vous voilà, méchant Cousin! Patrzcie państwo, potrzeba było aż zazdrość jego obudzić, żeby go tu ściągnąć, żeby przyjechał dowiedzieć się, czy też krewna, co go tak czule kocha, żyje jeszcze i...

— I czy od rana gra i ogrywa — przerwał pan Klemens, który postanowił jej nie oszczędzać za tak bezczelne zaafiszowanie jego wstydu i tego uczucia, któreby chciał był przed wszystkiemi i przed sobą samym utaić.

Tłusty deputat zaczął się głośno śmiać, usłyszawszy takie odcięcie się pana Klemensa; chuda prezesowa uśmiechnęła się tak, jakby wiedziała o co idzie, a stary hrabia, siadając najpierwej i biorąc karty, rzekł:

— Czy doprawdy, panie Klemensie, jesteś zazdrośny? Fi donc! czy to warto?

— Podobało się pani Pokrzywickiej znaleźć we mnie tę plamę — odpowiedział pan Klemens, biorąc krzesło. — Państwo znacie jej biegłość w tej mierze.

— A tak, tak — zawołał deputat, kładąc na stole ogromne swe łapy. — Nasza gosposia to znakomita astronomka. Do dojrzenia w nas skaz i cętek nie potrzebuje teleskopu.

— Proszę! — odpowiedziała pani Pokrzywicka, śmiejąc się — mają się za słońca, na które trzeba aż przez szkło okopcone patrzeć, żeby na nich co dojrzeć! Wasze plamiska są tak wielkie, jak kopeć na kotle osmolonym i widać je dobrze gołem okiem.

— A na garnku? — rzekł hrabia, zerkając złośliwie.

— Ale, a garnek ten, czy nie zasmolony, żeby

kotłom przyganił — rzekł deputat, śmiejąc się znowu głośno, że aż mu się brzuch zatrząsł i dziękując wzrokiem hrabiemu, że go wsparł przypomnieniem przysłowia.

— Pobiłeś mnie, deputaczku — odpowiedziała gospodyni, robiąc wstydliwą minkę — je ne suis pas prude, i przyznaję się do niektórych plamek.

— Tchnienie szczerości rozwiewa drobne grzeszki, jeżeli jakie były, jak ziarnka piasku — rzekła chuda prezesowa, rozdając karty, bo lubiła cokolwiek poetycznie się tłumaczyć.

— Ale czasem tych ziarnek tyle, że się z nich robią góry, pani dobrodziejko! które trudno zdmuchnąć — odpowiedział hrabia, poglądając na nią ze znaczeniem.

— Ingrat! czy masz prawo do mnie robić takie zastosowanie? — rzekła prezesowa, spojrzawszy na starca takiem okiem, jak gdyby się z nim chciała o dwadzieścia lat cofnąć.

— Nie grzebcie państwo w zimnych już popiołach — rzekła gospodyni domu — kiedy mamy świeże, żarzące się węgle, przy których możemy się ogrzać. Bo powiadam wam, żeśmy dawno już nie mieli un scandal si intéressant, coś tak dobrze osnutego i coby warte było zastanowić naszą uwagę. N'est-ce pas? — dodała, obracając się do prezesowej.

— C'est charmant! N'est-ce pas, comte? — rzekła stara uśmiechając się.

— Zadawaj pani, zadawaj! — odpowiedział hrabia, stukając o stół zsunionemi kartami i poglądając na pana Klemensa.

— Cóż to jest? ja o niczem nie wiem — zawołał deputat, chrząknąwszy mocno, a echo tego chrząknienia rozeszło się po rozległych przepaściach jego wnętrzności.

— Któż ci winien — zawołała pani Pokrzywicka — żeś jeszcze nie zasłużył, abyśmy cię na członka naszego koncyliabulu pasowali? Od kiedy u mnie bywasz, nie przywiozłeś jeszcze żadnej dobrej nowiny, żadnej nawet ploteczki, którąby warto było do regestrów naszych zaciągnąć.

— Ale wiele ich ztąd wywiózł? — rzekł pan Klemens, w którym wszystka krew się wzburzyła i który chciałby być daleko od tej jamy bezwstydu i efronterji.

— I teraz wywiezie doskonałą i bardzo pocieszną, bądź pewny, panie Klemensie! — rzekła na to pani Pokrzywicka, uśmiechając się z radości, że na takich szpilkach krewnego swego posadziła. — Słuchaj tedy, deputaczku!

— Protestuję się przeciwko temu — zawołał hrabia, który widać nie chciał jednej rzeczy dwa razy słyszeć i spostrzegł, że pan Klemens wziął za kapelusz i do opuszczenia kompanji, i może i domu gotował się.

— Dla czego? dla czego? — krzyknęła pani Pokrzywicka.

— Dla tego — odpowiedział stary. przesuwając kościstemi palcami lewę jeszcze nie zebraną — żeś pani swoję damę zabiła, patrz pani! ja nie mam ochoty i przegrać robra i jednej rzeczy dwa razy słyszeć. Jak skończymy partję i pójdziemy na śnia-

danie, opowiesz pani rzecz tę panu Klemensowi, jeżeli będzie miał cierpliwość słuchać.

— A, będzie miał, będzie miał, obaczycie — zawołała, uśmiechając się złośliwie. — Bo choć wypiera się, że zazdrosny, ale ja wiem dobrze, że go i ciekawość pali i nieufność dręczy; inaczejby tu do mnie nie przyjechał.

— Nie wiedziałem, że pani, co tak surowo sądzisz drugich, z równą surowością oceniasz i siebie — rzekł pan Klemens, który chciał jej równą miarką odmierzyć.

— Tenez! — zawołała wówczas śmiejąc się bezczelna kobieta — zamiast mi być wdzięcznym, że rzucę światło na ciemną historję, co go tajemnie dręczy, ile me dit des impertinences! Nie mam-że racji utrzymywać, że to zazdrośnik, który się zdradza i tem samem krzywdzi tę anielską kobietę, którą wszyscy szanują i wielbią? que c'est un monstre de cousin, który niewart i mojego przywiązania i i takiej żony, qui a la simplicité de l'aimer et de lui donner de enfants légitimes!

— Ależ na miłość boską! pani wpadasz w zapał i znowu zabiłaś moją najstarszą! — krzyknął hrabia, i rzucając karty na stół dodał: — straciliśmy trzy lewy.

Wszyscy zaśmiali się głośno, oprócz hrabiego i pana Klemensa, a gospodyni domu, zwracając się do tego ostatniego, rzekła tonem żartobliwo przychylnym:

— Ne vous fâchez pas, cher Cousin! i nie miej takiej zachmurzonej miny, qui me désolera, bo wiesz

że cię kocham. Po śniadaniu powiem ci wszystko, czegom się dowiedziała, a obaczysz, że to nie jest rzecz tak bardzo straszna, jak może sobie wyobrażasz. Trzeba być wyrozumiałym na słabości biednych kobiet, zwłaszcza, kiedy je nagradzają szanowaniem swej reputacji i oszczędzaniem mężowskiego honoru. Cela coûte immensément. — Tym sposobem wbiwszy jeszcze ostrzejszy sztylet w piersi pana Klemensa, obróciła się do hrabiego i dodała: — Maintenant je suis à vous, cher comte, i już będę grać uważnie. — W porę! — odpowiedział tenże krzywiąc się — kiedyśmy trzy lewy stracili.

Tak przerwała się ta rozmowa, którąśmy niechętnie przytoczyli, ale która nam potrzebna była, jako malująca charakter i sposób myślenia osób, które do niej należały. Mamy nadzieję, że teraz, jeżeli gdzie czytelnikom naszym w ciągu tej powieści spotkać się z niemi zdarzy, poznają pewnie każdą z nich i wiedzieć już będą, czego się od którego spodziewać można.

Po śniadaniu, do którego się wszyscy goście i parę jeszcze osób domowych zeszło, a przy którem pan Klemens nic w usta nie wziął, pani Pokrzywicka, zabrawszy go do swego gabinetu, posadziła przed sobą i wykalając piórkiem kilka zębów co jej pozostały, z miną, w której malowała się tajemna radość, że do serca jego wrzuci podejrzenia, jakich mu już nikt nie wyjmie, rzekła:

— Wyobraź sobie, cher cousin, że miesiąc temu, przejeżdżając przez powiat Rowieński, popasałam w miasteczku S* u żyda, nazwiskiem Szloma Szumski.

Notez bien ce nom-là. Ponieważ w karecie mojej coś się zepsuło i popas trwał dłużej, jak zwykle, wdałam się w rozmowę z żydówką, lubiącą gadać i pamiętającą dobrze wszystkich, którzy się u niej cokolwiek dłużej zatrzymywali. Zmiarkowałam zaraz z różnych opisów, które mi robiła, że tam w jej domu działo się kiedyś coś daleko ważniejszego; po każdem bowiem zdarzeniu, które mi opisała, dodawała: — Ale co to o tem gadać! to wszystko funta kłaków nie warte w porównaniu z tem, co u mnie stało się dawno już, zaraz po wojnie z Francuzami. — Widziałam dobrze, że żydówka ma wielką ochotę to ważne zdarzenie opowiedzieć, że ciągle do niego wraca i rozmowę tak naciąga, aby o niem wzmiankę uczynić. Je suis curieuse, vous le savez, osobliwie gdy idzie o takie wypadki, w których serce ma udział. Jakimściś instynktem tknięta, że zdarzenie to będzie mogło komu być użytecznem, jeżeli się dostanie do mojej wiadomości, gdy tymczasem teraz przepadało bezpłodnie na ustach i w głowie głupiej żydowicy, która z niego profitować nie mogła. Ale to cię nudzi, cher cousin.

Rzeczywiście pan Klemens kręcił się, jak na szpilkach, tak go ten wstęp niecierpliwił, takby chciał był dojść już do rzeczy z którejby może nabył uspokojenia i przekonał się, że się napróżno tak okropnie strwożył. Odpowiedział więc:

— Nie będzie mnie to nudzić, jeżeli pani nie będziesz mówić o sobie i o swoich instynktach, które ja bardzo dobrze znam, ale o rzeczy.

— Oh! que tu es impatient de savoir, n'est-ce

pas? — mówiła zaśmiawszy się. — To bardzo naturalnie; idzie o twój spokój. Ale poczekaj, zaraz się dowiesz.

— Tylko bez żadnych dodatków, bardzo, panią proszę.

— Non, non, ce sera de l'histoire tout pure, bądź spokojny — rzekła i tak mówiła dalej:

— Otóż wyobraź sobie, skorom dała poznać, że chciałabym się dowiedzieć o tem ważnem zdarzeniu, co to się stało zaraz po wojnie z Francuzami, żydówka nie dała się długo prosić i uczyniła zadość mojemu żądaniu. C'est fort intéressant, obaczysz!

Tu pani Pokrzywicka opowiedziała panu Klemensowi wszystko to, co już wiemy: o przybyciu wojskowego doktora z orderami, o wynajęciu całego domu, o przyjeździe dwóch pań z kozakiem i z mamką już gotową, o pokazaniu horodniczemu jakiegoś papieru, który on czytał z takiem uszanowaniem, o lekarstwach branych z apteki, o takim sekrecie, że nikt o niczem nie mógł się dowiedzieć, o nadskakiwaniu tam horodniczego, o bytności księdza i nareszcie o nagłym i tajemnym wyjeździe.

— Wszystko to jasne, jak dzień — dodała, skończywszy opowiadanie i patrząc bystro w oczy panu Klemensowi, który zmarszczył się i zamyślił.

— N'est-ce pas, cher cousin? tajemnica oczywista i przyjście na świat przyszłego podrzutka jawne.

— Że wszystkie te przybory i ta tajemnica, mogły służyć do pokrycia błędu jakiej nieszczęśliwej kobiety, to rzecz zdaje się prosta — odpowiedział pan Klemens, mocując się z sobą. — Ale, żeby to miało mieć jaki związek z podrzuconym mi chłopczykiem,

tego nie widzę. Z miasteczka S* do Hajsyna, jest przeszło trzydzieści mil.

— Comme tu es peu pénétrant, cher cousin! — zawołała pani Pokrzywicka uśmiechając się. — Właśnie, że to jest mieścina ustronna i daleka, wybrano ją dla większego sekretu. A potem uważaj na daty. W połowie września 1814 r. oni tam przyjechali, a w połowie listopada podrzucono wam waszego chłopczyka, który jak słyszałam, nie mógł mieć więcej, jak dwa miesiące. Czy miał więcej?

— I owszem, mniej — odpowiedział pan Klemens i potarł ręką czoło.

— Tem lepiej, tem lepiej — zawołała, klaszcząc w dłonie z radości, że tak daty zgadzały się. — Teraz-że uważaj: dwie kobiety, jedna stara, druga młoda; obie, tak mi mówiła żydówka, zdawały się wysokiego wzrostu, tylko, że jedna miała większy nos, twarz jakby złą i dumną, a druga była delikatna, blada i smutna.

— Czegóż to dowodzi? — rzekł pan Klemens — wszystkie nasze panie mają wyraz dumny, kiedy im gawiedź zagląda w oczy; bladość zaś młodej kobiety w takiem położeniu jest bardzo naturalną.

— Dajmy, że tak jest, że z tego nic się nie da wyciągnąć — rzekła zła komerażnica z ironiczną miną. — Ale ten kozak z siwą głową i siwym wąsem i w zielonej liberji? Któż tu u nas ma kozaków w takiej liberji?

— To pani musisz lepiej wiedzieć — odpowiedział wzgardliwie pan Klemens, przypominając jednak w myśli, kto miał takich kozaków.

— Naturalnie, że wiem — odpowiedziała tryumfując — bom się dowiadywała, bo mnie to kosztowało dosyć poszukiwań i pisania, a to wszystko w twoim interesie, méchant cousin que vous êtes! Takich kozaków w zielonej liberji ma pani Krycka; ale to trusia, qui ne serait pas capable d'être infidèle. Takich ma stara księżna W*, ale ta mała i garbata; takiego kozaka ma podobno matka twojej żony panie Klemensie — dodała wolniej i zatrzymała się.

— Jej matka! — zawołał biedny starzec, zdradzając swoję trwogę i usprawiedliwiając jej domysły — potem powstawszy i przeszedłszy się pary razy; zapytał: — Jakże się ten kozak nazywał?

— Jak się nazywał, tego nie wiem — mówiła wykalając zęby i śledząc go jadowitym wzrokiem — bo oni tam wszystko robili w takim sekrecie, że nikt głosu ich nie słyszał i o nazwisku żadnem dowiedzieć się nie mógł. Tyle tylko mówiła mi żydówka, że kozak był wysokiego wzrostu i już siwy. A w jakim wieku faworyt hrabiny panie Klemensie? bo i to wiem, że to jej najwierniejszy sługa i faworyt.

Pan Klemens chciał porwać za kapelusz i uciec, taką boleść uczuł w piersiach na to zapytanie, tak niby proste i naturalne. Ale spojrzawszy nagle na twarz pani Pokrzywickiej, wyczytał w jej oczach tyle złośliwej radości, że pojąwszy od razu, iż jego ucieczka z placu będzie oczywistem przyznaniem, iż domysł jej ugruntowany, że zapewni jej wygraną i że jej da prawo ten swój tryumf z przydatkami jeszcze roztrąbić i okryć go śmiesznością w oczach całej

okolicy, pokonał się, zadał największy gwałt swemu sercu i usiadłszy spokojnie, rzekł:

— I więcej pani nic nie wiesz? bo to, co dotąd słyszałem, tylko śmiechu warte.

Ta pozorna zimna krew zmięszała ją cokolwiek. Odpowiedziała jednak prędko:

— Czyż potrzeba więcej?

— Ja myślę — dodał pan Klemens serjo — że potrzeba daleko więcej, aby rzucić taką plamę na kobietę uczciwą, która przez dwanaście lat pożycia z mężem starym i może przykrym, jakim ja jestem, nie dopuściła się niczego, coby honorowi jej ujmę czynić mogło. Wiedziałem, żeś pani złośliwa, że nie oszczędzasz nikogo i że mnie nie lubisz, a może masz racją nie lubić; ale nie sądziłem, żebyś tak dalece była prędką i nieuważną, iżbyś na tak błahych pozorach i prawie na niczem, bo na kolorze liberji, ugruntowała potwarz, której nikt nie uwierzy.

— Vous croyez? — zapytała obrażona.

— Jestem tego pewny i upoważniam panią do ogłoszenia tego wielkiego odkrycia nie tu, w tej kompanji — dodał, powstając i ukazując na salon — ale w gronie ludzi uczciwych, którzy wiedzą, co to honor i umieją szanować i swoje własne imię i cudze. Niechęć ku mnie zaślepiła cię, moja zacna kuzynko — dodał szydersko — chciałaś się nademną pomścić, zem się nie dał złapać. Nieprawdaż? Szkoda tylko, żeś na to innej nie obrała drogi. Możeby ci się było udało. A tak przegrałaś. Widać, że się starzejesz i twój geniusz już ci nie dopisuje.

Zaśmiała się głośno efrontka, choć ją ta zwy-

ciężka postawa pana Klemensa ubodła; wiedząc jednak, że zrobiła swoje, że nasienie rzucone zejdzie niezawodnie, nie dbała już o sposób, jakim ją traktowano. Żeby jednak nie okazać się pobitą, rzekła, powstawszy i idąc za wychodzącym:

— O! que vous êtes ingrat, méchant cousin! jak można sobie wyobrażać, że ja to robię dla jakiejściś zemsty, a nie ze szczerego przywiązania Ale masz rację tak surowo i z niedowierzaniem rozbierać te wszystkie okoliczności; gdyż w rzeczy samej twoja żona to anioł, to wzór kobiet i ty nie wart jesteś rzemyka ..

— U jej trzewików rozwiązać — przerwał pan Klemens — jużem to słyszał.

— Masz dobrą pamięć — dodała ze złośliwym uśmiechem. — Dajmy więc temu wszystkiemu pokój. A propos! mam prześliczny wazon porcelanowy, mało co mniejszy od tych, które Napoleon królowi saskiemu darował. Może obaczysz.

Pan Klemens spojrzał wzgardliwie na starą szachrajkę, ruszył ramionami i poszedł. Dopędziła go pani Pokrzywicka, wzięła się jego ramienia i tak weszli razem do salonu, gdzie na nich cała kompanja ciekawie poglądała. Gdy się pan Klemens żegnał, podając mu rękę, rzekła:

— Au revoir donc, cher cousin! Nie żałujesz pewnie tego, żeś przyjechał. Byłaby cię może jaka pogłoska doszła z boku, i naturalnie potwornie przekręcona, jak to u nas bywa. A tak przekonałeś się, jakem ci to już pierwej mówiła, że choć to ciekawe i niezwyczajne, ale dla ciebie nie straszne.

Taki obrót wszystkiemu nadała, chcąc przed obecnemi usprawiedliwić dobrą minę pana Klemensa, i jego twarz na pozór spokojną i niezalterowaną. Ale skoro był za drzwiami, zaśmiała się i rzekła:

— Nie spodziewałam się, aby ten potwór miał taką siłę charakteru i tak umiał panować nad sobą. Il est vraiment d'une force étonnante.

— Ma rozum, jeżeli sobie z tego nic nie robi. Ja widziałem lepsze rzeczy, a jednak mężowie znosili to z zimną krwią — rzekł hrabia, spoglądając na prezesową.

— Et qu'est-ce qu'il en dit? — zapytała ta ostatnia, pogroziwszy hrabiemu.

— Mówi, że to śmiechu warte.

— Oh! rira bien, qui rira le dernier — odpowiedziała stara zalotnica.

— A ja o niczem, jak nie wiem, tak nie wiem! — zawołał głośno deputat.

Wszyscy zaśmieli się i siedli do stolika.

Pan Klemens przybywszy do Krzaczyniec, kazał tylko popaść konie i zaraz zaprzęgać, gdyż nie miał zamiaru długo tam bawić. Zastał więc powóz swój przed gankiem, wsiadł i ruszył, nie oszczędzając koni. Gdy się obaczył na czystem polu, gdy go otoczyły zewsząd nieprzejrzane łany zielonego zboża, wciągnął w siebie całą piersią to powietrze, pod którem chwiały się nieprzeliczone młodziutkie kłosy, jakby dla ozdrowienia płuc, uszkodzonych duszącą atmosferą zepsucia i degradacji moralnej, którą przez kilka godzin oddychał. To mu znaczną przyniosło ulgę; w pierwszej chwili postanowił wyrzucić z myśli

i z serca te podejrzenia, które je szarpały, i nie czynić już więcej żadnej wzmianki o tem wszystkiem, czego się dowiedział, a co na nieszczęście tak podobnem do prawdy znajdywał.

Ale tak rozumne postanowienia w ludziach, w których sercu zazdrość grasuje, nie trwają długo. Gdy pan Klemens przyjechał do domu, zastał Rozalię niezmiernie bladą i zmienioną. Widok ten ocknął w nim znowu wszystkie złe myśli i naprowadził go na najzgubniejsze rozumowania. Jeżeli jeden tylko dzień obawy, aby się wszystko nie wykryło, tak widoczne na twarzy jej zostawił ślady, niepodobna, myślał sobie, aby sumienie jej było czystem i wolnem od tej śmiertelnej trwogi, jakiej doznaje każdy, który widzi, że jego grzech i wstyd są blizkiemi odkrycia. W tym wniosku utwierdził się jeszcze przez to, że Rozalia, czy to przez dumę, czy z innego powodu, nie spytała go wcale, gdzie był, czy się widział z panią Pokrzywicką, i czy co odkrył. Pan Klemens trzy dni czekał tego z jej strony zapytania i doczekać się nie mógł. Rozalia, jak pierwszego dnia jego przybycia, tak i następnych była jednakowa. Nie okazywała mu wprawdzie dawniejszej życzliwości, ale zdawała się spokojną, poważną, robiła swoje jak dawniej: uczyła syna, zajmowała się czytaniem i robotą ręczną, z którą zwykle do salonu wychodziła. Pan Klemens wniósł, że dla tego milczy i nie zapytuje o skutek podróży, iż pewna, że się o wszystkiem dowiedział, i lęka się jego wyrzutów i kary za tak długie oszukiwanie go i tak bezprzykładną hipokryzję.

Tym sposobem utwierdziwszy się w swych podejrzeniach, i nie mogąc wytrzymać tego stanu niepewności, postanowił wyjść z niego koniecznie, choćby miał całkowite odkrycie prawdy zdrowiem i spokojem przypłacić. Czwartego więc dnia wymyślił sobie interes na Wołyń, i przyszedł pożegnać żonę i syna. Rozalia bez najmniejszego zmięszania i ciekawości, że wyjeżdża, pożegnała go tylko obojętniej, niż dawniej, i nie zapytała nawet, kiedy się go ma spodziewać. Pan Klemens nie mógł zrozumieć tego jej milczenia, i skombinować, czy to jest upór, czy duma, czy zupełny brak winy; ale miał przeczucie swojego nieszczęścia i czuł gwałtowną jego potrzebę, jak człowiek stojący nad przepaścią czuje, że go ona silnie na dno swoje pociąga. W takiem usposobieniu wyjechał z domu; z Hajsyna odesłał swoje konie, a tam wziąwszy pocztę ruszył na Wołyń. Przybywszy do miasteczka S*, łatwo znalazł dom znanego nam Szlomy i u niego stanął.

Wkrótce przekonał się pan Klemens, że pani Pokrzywicka mówiła prawdę. Żona spoważniałego przez wiek żyda, zrobiła się starszą, ale jeszcze gadatliwszą. Nie dała się ona długo ciągnąć za język, i z tą wprawą i szybkością, z jaką w fabrykach szpilek rzemieślnik do tego przeznaczony nakłada na nie główki, opowiedziała mu całe zdarzenie, które już może kilkaset razy powtórzyła, a które, jako najważniejsza epoka w jej życiu, zawsze ją mocno interesowało. Wszakże z całego tego opowiadania pan Klemens dowiedział się tylko tyle, ile mu już było wiadomem. Zaczął więc dalsze poszukiwania.

Najprzód, obiecał znaczną nagrodę żydówce, jeżeli mu wyszuka kucharza i tę kobietę, którzy przez cały czas tym paniom usługiwali. Sądził bowiem, iż jest rzeczą niepodobną, aby ci ludzie, zamknięci przez kilka tygodni razem z przybyłemi osobami, od kozaka lub mamki nie dowiedzieli się ich nazwiska, a przynajmniej imienia samego kozaka, którego przecież wołać i nazywać musiano. O tych ludziach słuch zaginął i nikt nie wiedział, kiedy i gdzie się podzieli. Aptekarz, od którego pan Klemens spodziewał się jakiego objaśnienia, już nie żył; a pani aptekarzowa, mszcząc się zapewne na nieboszczyku mężu swym, za jego uporne milczenie, a nadewszystko za to, że w czasie preparowania lekarstw dla owego domu, zawsze pomocnika swego do laboratorjum wyprawiał, za tegoż samego pomocnika poszła. Tyle wszakże mogła mu powiedzieć, że tam niezawodnie musiało się coś urodzić; że najlepiej dowie się, co się urodziło, w księgach metrycznych, gdyż ówczesny proboszcz dziecko to chrzcił; z kogo się zaś urodziło, w tem objaśni go ówczesny horodniczy, który tam codzień bywał, czytał jakiś rozkaz, który go skłonił do milczenia i przysługiwania się temu państwu; za te wszystkie przysługi został policmajstrem w Krzemieńcu, i podobno to dziecko do chrztu trzymał.

Na poczcie nie znalazł pan Klemens żadnego śladu, gdyż pocztmajster był zupełnie inny, o ówczasowym nie wiedziano, gdzie się znajduje, a księgi pocztowe z lat dawniejszych odesłane zostały na re-

wizją do głównego gubernskiego pocztamtu, zkąd dotąd nie powróciły.

Księgi metryczne były ostatnim resursem zmartwionego tem niepowodzeniem i otoczonego tak jadowitemi chmurami starca. Jakoż znalazł w nich dosyć trucizny, której z takim nierozumem i takiem łaknieniem szukał. Chociaż bowiem nie dały mu zupełnego światła i całkowitego przekonania, ale niejakiem zbliżaniem i podobieństwem do prawdy, dały dosyć pokarmu jego podejrzliwemu sercu, aby ta furja, która w niem siedlisko sobie założyła, miała czem żyć i do ustawicznego budzić się czuwania.

Nowy proboszcz, na żądanie pana Klemensa, kazał przynieść księgi metryczne z 1814 r., które przewertowawszy, znaleźli: „że około dnia 28. września 1814 roku, urodziło się dziecię płci męzkiej z niewiadomych rodziców, którzy w wyznaniu rzymskokatolickiem dnia 9. października tegoż roku w parafii miasta S* przez proboszcza tejże parafii, X. Wawrzyńca Gumowskiego, ochrzczone zostało. Na chrzcie świętym dano mu imię Tadeusz. Rodzicami chrzestnemi byli: wielmożny Bazyli Smirnicki, horodniczy miasta S* i Anna Baftałowska, wdowa po Grzegorzu Baftałowskim, oboje wyznania greckounickiego".

Pan Klemens, przeczytawszy to, jakby światłem błyskawicy oblany, rzucił się na krzesło i zakrywszy twarz, siedział tak pogrążony w myślach, które nakoniec do ócz jego łzy wściekłości sprowadziły. Po niejakim dopiero czasie, wstydząc się swojego bólu, którego przecież sam tak gorąco szukał, powstał,

przeszedł się kilka razy po pokoju, i proboszcza, zdziwionego tym jego stanem, poprosił, aby mu metrykę tę kazał wypisać i wypis ten pieczęcią parafii stwierdził. Proboszcz, sowicie za swoją grzeczność nagrodzony, obiecał mu natychmiast żądany akt do karczmy przysłać, a pan Klemens, blady jak trup, chwiejący się na nogach i medytujący nad sposobami jeszcze lepszego przekonania się i pomszczenia swej krzywdy, którą prawie za pewną uważał, wrócił na stancją i po konie pocztowe posłał. Szlomowa, patrząc na tak nagle zmienionego pana, kiwała głową, szwargotała z poważnym Szlomą, który także kiwał głową i cmokał na jej uwagi; ale w duszy równie była kontenta, że ten nowy rozdział do jej opowiadania przybył, jakby kontent był który z dzisiejszych powieściopisarzy, gdyby mu nagle przyszło rozwiązanie jego powieści, której żadnym sposobem do końca dociągnąć nie mógł.

W godzinę potem pan Klemens już był w koczu i pędził traktem do Krzemieńca, pragnąc zobaczyć się i rozmówić z horodniczym. Chociaż bowiem pan Bazyli Smirnicki w owym czasie umiał dochować sekretu, i nie tylko sam i słówka nie pisnął, ale jak najmocniej pilnował, aby się żadne z owych sług których zarekomendował, z niczem nie wygadało, sądził jednak pan Klemens, że czas zwolnił te skrupuły, jakie mógł mieć wtedy, i że język jego, ostatkiem ich skrępowany, znacznym datkiem rozwiązać potrafi.

Ale zawiódł się w tej mierze zazdrosny i zgubnego światła szukający starzec. Poczciwego naszego

horodniczego nie było już w Krzemieńcu. Żona jego, która coraz większą brała nad nim górę, a jako policmajstrowa, mająca brylantowe kolczyki, coraz więcej potrzebowała, zaczęła oprócz innych industryj, o których mąż nie wiedział, przechowywać przed nimże samym kontrabandy żydom, od których znaczne ciągnęła zyski, tak w towarach, jak i w gotowiźnie. Manewra te genialnej Magdusi, po dwóch czy trzech latach odkryły się i wprowadziły biednego pana Bazylego w takie kłopoty, że tylko co ze służby wypędzonym nie był. Skończyło się przecież na tem, że z Krzemienieckiego policmajstra znowu na horodniczego do jakiegoś miasteczka Mohilewskiej gubernji przeniesionym i degradowanym został. Chociaż te okoliczności, horodniczego dotyczące się, tyle tylko do rzeczy naszej należą, że pan Klemens z ich powodu spodziewanego i stanowczego objaśnienia otrzymać nie mógł, wspomnieliśmy jednak o nich szczegółowiej, dla przestrogi tych mężów, którzy zbyt polegają na genjuszu przemysłowym żon swoich. Wszelki bowiem przybytek, którym one bez ich wiedzy i przyczynienia się dom pomnażają, rzadko kiedy może im wyjść na dobre.

Tak więc z tej podróży pan Klemens wrócił tylko przez pół oświecony, przez pół przekonany, ale ze zranioną śmiertelnie duszą, z szarpiącą łono jego zgubną namiętnością, która serce jego zamknęła na wszelki głos perswazji, pobłażania i przebaczenia, która mu dała moc i postanowienie dochodzenia prawdy innemi środkami, która mu podszepnęła wyrafinowanem dręczeniem zmusić żonę do wyznania

występku i do zrzucenia tej maski cnoty, którą dotąd i jego i cały świat oszukiwała.

Rozalia przyjęła go tym razem jak zwykle, bez niepotrzebnego dąsania się, bez trwogi, ale też i bez zapytania, gdzie był i po co jeździł. Uważał tylko pan Klemens, że ją zastanowiła cokolwiek przy pierwszem powitaniu twarz jego zmieniona, jeszcze bardziej wychudła i jakby schorowana. Sama Rozalia była jeszcze bladą; zdało mu się nawet, że cokolwiek schudła, ale takiego znękania, jakie widział na jej twarzy po powrocie z Krzaczyniec, nie było. Spostrzegł tylko pan Klemens więcej dumy na jej czole, więcej jakiejś przybranej godności w obejściu, co ją w oczch jego zrobiło podobniejszą do matki. To ostatnie spostrzeżenie rozgniewało go i wlało w serce jego jeszcze większą złość i zawziętość; nie lubił bowiem hrabiny, bał się jej, a od ostatnich wiadomości, z których mógł mieć prawie pewność, że podała rękę córce w jej wykroczeniu i sprzymierzyła się z nią na to, aby go lepiej oszukać i na pośmiewisko ludzkie wydać, przejął się dla niej taką nienawiścią i pogardą, że obraz jej i wspomnienie drzeniem go napełniały. W takim stanie moralnym i umysłowym byli ci małżonkowie, których połączyły z jednej strony próżność i głupstwo, a z drugiej strony egoizm. Żyli więc tem życiem przymusowem, jakiego tyle mamy przykładów, i które powtarzać się będzie zawsze, ile razy ludzie do rzeczy świętych, do ustanowień bożych, przystępować będą z czysto ziemskiemi widokami, ile razy

Sakrament zamienia na kontrakt, a biuro notarjusza postawią na mejsce kościoła i ołtarza.

Jakkolwiek przykrym był ten stan, w jakim się znajdowali oboje, a szczególnie ów starzec, trawiony bolącemi myślami i zamiarami zemsty, nie przystępywał on jednak do żadnej z żoną swą eksplikacji. Nieraz już miał na języku słowa gniewu i wyrzutu, nieraz nawet chciał jej rzucić w oczy metrykę Tadeuszka, którą często przy sobie nosił i odczytywał, ale w powadze i szlachetnym wyrazie tej szczególnej kobiety było coś takiego, co go zawsze wstrzymało, co mu mówiło, że ona jest ofiarą, że z innym mężem byłaby może wzorem żon i matek, że jej reputacja, jej życie i postępowanie, choćby tylko były sztuką i wysileniem, wymagają nie pozorów, ale gruntowniejszego przekonania i oczywistych dowodów. Postanowił więc, bądź co bądź, te dowody otrzymać, a jej milczenie i dumę złamać. Biedny Tadeuszek, który o niczem nie wiedział, który używał jeszcze życia z całą swobodą i uciechą dziecka, mającego zdrowe ciało, zdrową duszę i czyste oko, radujące się pięknością tego świata, który się przed niem rozwijał, miał posłużyć za narzędzie tych prób niemiłosiernych, na które pan Klemens umyślił żonę swą wystawić.

We dwa tygodnie po powrocie swym z Wołynia, po obiedzie, siedzieli oboje na wystawie ze strony ogrodu, do której prowadziły drzwi z salonu i która ubrana była w wazony z drzewami pomarańczowemi i kwiatami wyniesionemi z oranżerji. Dzień był nadzwyczaj ciepły, słońca już tam nie było, i w miejscu

tem można było rozkosznie parę godzin przesiedzieć i wonnem oddychać powietrzem. Pan Klemens palił tam zwykle poobiednią fajkę, a Rozalia siedziała z robotą i spoglądała na syna, który z daleka bawił się po swojemu, lub skubiąc i psując jaki kwiatek, lub dręcząc jaki owad, lub przerzucając jaką książkę z obrazkami. Wtedy wszedł lokaj i doniósł, że ekonom jednej z odleglejszych jego wsi przyjechał z prośbą do jaśnie wielmożnego pana. Pan Klemens nie odpowiedział od razu, zamyślił się, potem spojrzał na żonę i po chwili ponurego milczenia, kazał ekonomowi przyjść tu do siebie. Po niejakiem dopiero czasie ekonom, który przez salony pańskie wejść nie śmiał i około oficyn, po przed okna Tadeuszka cały dom obchodząc, wszedł do ogrodu, stanął przed panem i do kolan się jego skłonił.

Był to szlachcic barczysty, z ogromnemi wąsami, groźnego i okrutnego wejrzenia. Ułożył się on przed państwem jak mógł, ale w jego twarzy i ruchach widoczne było piętno jego rzemiosła i srogości, z jaką się obchodził z podwładnemi. Pan Klemens znał go dobrze, a chociaż nie aprobował batogów, któremi ekonom hojnie szafować lubił, owszem, upominał go często, aby chłosty nie nadużywał, a nawet przepisał maksimum kary, za które żaden z jego ekonomów przejść nie miał prawa, cenił go jednak, jako dobrego i znającego się gospodarza, jako wypełniającego nadzwyczaj akuratnie wszystkie jego rozkazy i oddającego dosyć sumiennie dochody, które z tej ogromnej wsi wpływały.

— Jak się masz, panie Radłowski — rzekł do kłaniającego mu się ekonoma — jak tam u acana idzie?

— Idzie wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział szlachcic mocno odchrząknąwszy — a od czego rygor, jaśnie wielmożny panie?

Rozalia w tej chwili nań spojrzała, i sposób, jakim ostatnie słowa swe wymawiał, zdradzający twarde i niemiłosierne serce. przejął ją wstrętem i odrazą. Odwróciła się więc bardziej i tem pilniej zajęła się swą robotą. Pan Klemens uważał to jej poruszenie, i z wyrazu twarzy odgadł uczucie, jakie ją przejęło. Po kilku więc jeszcze zapytaniach, tyczących się szczegółów gospodarstwa, na które Radłowski odpowiedział z precyzją człowieka, który żadnej drobnostki obowiązku swego lekce nie waży, zapytał go pan Klemens:

— Wieleż masz dzieci, panie Radłowski?

— Właśnie to te dzieciska są przedmiotem mojej najpokorniejszej do jaśnie wielmożnago pana prośby — odpowiedział ekonom, skłaniając się czapką do stóp pana Klemensa — mam tego licha siedmioro: pięć dziewcząt i dwóch chłopców. Dziewczęta jeszcze małe i żona jako tako da sobie z niemi radę. Ale chłopczyska podrosły, jednemu czternasty rok, a drugiemu dwunasty. Chciałbym oto po wakacjach zaraz odesłać ich do szkół, do Krzemieńca, lub do Winnicy, żeby się to nie wyrosło na wiejskich drągali do niczego, ale żeby umieli potem na kawałek chleba zarobić.

— A cóż przeszkadza? — rzekł pan Klemens —

dobrą acan masz intencję, panie Radłowski, to ją wykonaj.

— Jaśnie wielmożny panie! radaby duszą do raju, ale jej grzechy nie puszczają — odpowiedział Radłowski, kłaniając się. — Nasz grzech najgorszy, jaśnie wielmożny panie, to święta golizna, z której człek wyjść nie może. Choć z łaski jaśnie wielmożnego pana jest co jeść, ale pensja wystarcza tylko na pokrycie grzbietu nam i dzieciom. Ulokowanie zaś gdziekolwiek w szkołach potrzebuje gotowizny, której brak, oj, brak, jaśnie wielmożny panie! — dodał, kłaniając się znowu i po każdym ukłonie odchrząknawszy mocno.

— Więc acan chcesz, żebym ci w tem pomógł, panie Radłowski? — rzekł pan Klemens.

— Dozgonną wdzięczność miałbym dla jaśnie wielmożnego pana — odpowiedział ekonom, obejmując obiema rękami nogi pana Klemensa.

— Pomyślę ja o tem i co będę mógł, zrobię — rzekł pan Klemens, a gdy ekonom uradowany znowu kłaniał się, dodał: — Mógłbym nawet synom acana dać chłopca do usług i na utrzymanie jego przeznaczyć pewne quantum, byle usługując acana dzieciom mógł razem i uczyć się i chodzić także do szkoły.

Tu Rozalia podniosłszy głowę, ale spostrzegłszy że siwe oczy pana Klemensa patrzą na nią tak, jakby każdy załomek w jej piersiach przeniknąć chciały, nachyliła się znowu nad swoją robotą. Pan Klemens, nie spuszczając z niej wzroku, mówił dalej:

— Musiałeś acan słyszeć o naszym podrzutku, który się tu u nas wychowuje, a możeś go i widział?

— Widziałem go właśnie na dziedzińcu, jak tam burykał się z legawcami — odpowiedział Radłowski.

— Otóż to właśnie tego — mówił pan Klemens zwolna i cedząc słowo za słowem — chciałbym oddać na chłopca do synów acana.

— Wiadomo jaśnie wielmożnemu panu — odpowiedział ekonom chrząkając — że ja gotów jestem każdy rozkaz jaśnie wielmożnego pana jak najakuratniej wypełnić. Ale jeżeli jaśnie wielmożny pan pozwolisz mi powiedzieć, to śmiem... to jest, śmiałbym wytłumaczyć się, że ten chłopczyk wychowany jak paniątko, i nie wiem, czy potrafi sprzątnąć w stancji i wyczyścić suknie i buty.

— Ha! nauczy się — rzekł pan Klemens, patrząc ciągle na żonę — wreszcie gdyby mu się nie chciało, to od czegoż rózgi, która popędza rozumu do głowy?

— Co w tem, to święte słowa jaśnie wielmożnego pana. Nie ma jak rygor, ze starymi i z młodymi — odpowiedział ekonom, mocno odchrząknąwszy.

— Miałem względem tego chłopca — mówił dalej pan Klemens — inne zamiary. Ale widzę, że to nie warto. Jest swywolnik, psotnik, lubi tylko ogony koniom zawiązywać, z psami się przewracać i bić się i zadzierać z chłopcami na wsi. Te instynkta zdradzają jego pochodzenie. Może też to dziecko jakiego lokaja lub furmana, kto to może wiedzieć? Dla czegoż go wyciągać z tej sfery, do której się urodził? Niech chodzi do szkoły na początkowe nauki, aby się nauczył czytać i pisać; ale przytem

dzieci acana niech mają z niego usługę, aby się przyzwyczaił do szczotki i miotełki, do czego pewnie więcej wrodzonego okaże talentu, niż do nauki, która zdaje się nie dla niego. Od swywoli zaś i psot acan potrafisz go oduczyć.

— O! niech się tylko w moje ręce dostanie, to jaśnie wielmożny pan będziesz kontent — odpowiedział ekonom, wyprostowawszy się i sądząc, że coś bardzo miłego jaśnie wielmożnemu państwu powiedział.

— Dla tego też, że acan nie żartujesz, przyszło mi na myśl, żeby go acanu oddać — mówił pan Klemens.

— Jak tylko jaśnie wielmożny pan każe — rzekł kłaniając się Radłowski.

— Pomoc na edukacją swoich synów i na utrzymanie tego chłopca będziesz acan miał. Wkrótce odeślę go acanu, żebyś go trochę po swojemu wytresował i do usług przyuczył; a jak będziesz miał dzieci odwozić, to przyjedź, dostaniesz asygnacją do kasy.

Ekonom pocałował w kolano pana Klemensa i odszedł, a małżonkowie zostali na miejscu milcząc. Gdyby tę rozmowę słyszała była Widalska, byłaby się pewnie jak lwica rzuciła w oczy panu Klemensowi. Rozalia siedziała bez ruchu, z nachyloną głową, z odwróconą twarzą tak, że jej poruszeń i zmian, jeżeli jakie były, dojrzeć nie mógł. Uważał tylko pan Klemens, który z niej oka nie spuścił, że igiełka jej błąkała się i nie mogła trafić do oczka, gdzie ją przeprowadzić należało. Podziwienie jego i złość dochodziły do najwyższego stopnia. Już trzymał w

w ręku metrykę Tadeuszka i chciał ją przed oczy jej podstawić, gdy Rozalia powstała, zeszła ze schodków, wzięła syna za rękę i poszła z nim aleą. Pan Klemens został na miejscu, patrzał na nią osłupiały i nie śmiał sobie zdać sprawy z tego co widział.

II.

Nazajutrz, jeszcze Rozalia leżała w łóżku, a już Tadeuszka we dworze nie było. Rzecz tak się miała. Pan Klemens, który pragnął umocnić ciało swego syna i zrobić go ruchawszym i śmielszym, kazał mu kupić ładnego kucyka, aby na nim codzień rano pół godziny lub więcej jeździł pod dyrekcją pana Owsikowskiego, w tem kole, gdzie konie na lince przepędzano. Miejsce to było na dużym dziedzińcu stajennym, oddzielonem od głównego podwórza innemi budynkami. Tam Tadeuszek najczęściej przesiadywał, bo równie konie, jak i wszystko co się tyczyło stajni, najmocniej go interesowało. Tej zaś lekcji nigdy nie opuścił, przypatrując się z daleka, jak jego nieprzyjaciel jeździ i śmiejąc się w duchu z jego tchórzostwa i niezgrabności. Tego dnia biedny chłopiec, nie wiedząc, jaka burza nad nim wisi i co względem niego zamyślano, szczęśliwy i swobodny jak zawsze, przybiegł do stajni wcześnie, obiegł wszystkie kąty, oddał dobry-dzień przyjacielowi swemu i wszystkim stajennym, pogłaskał to tego, to owego konika, i wziąwszy bicz w rękę, zaczął sobie trzaskać i sił swych próbować. Wtedy przyszedł Hipolitek ze starym sługą, w eleganckim kaszkieciku, w niebieskiej

kurteczce ze złoconemi guziczkami, w zgrabnych bucikach z tępemi ostrożkami, w rękawiczkach i z stosowną do wieku szpicrózgą w ręku. Chociaż delikatnego złożenia, blady i posępny, był to jednak chłopczyk ładny i foremny. Gdy wyprowadzono kucyka, zaczęła się ceremonja wsiadania, która nieoswojonego jeszcze z koniem panicza najwięcej kosztowała. Tadeuszek, oparty o barjerę, stał z biczem w ręku i uśmiechał się, że tak mała rzecz tak trudno idzie. Spostrzegł to Hipolitek i rozgniewany rzekł do koniuszego:

— Wsadź mnie sam.

— Papa nie kazał panicza wsadzać, żebyś się koniecznie nauczył śmiało brać do konia — odpowiedział Owsikowski — i czy to tak wielka rzecz? obaczysz panicz. — I zawoławszy Tadeuszka, kazał mu wsiąść na konia.

Chłopiec przeskoczył jak koza przez barjerę, położył swój batog na ziemi, przystąpił do konia, uderzył go dłonią po grzbiecie, wziął cugle w rękę według wszystkich reguł i ledwie dotknął się nogą strzemienia, już był na siodle, prosty jak trzcina i trzymający się na koniu, jak gdyby go do niego przyklejono.

— Otóż to tak trzeba, piękny paniczu — zawołał uradowany stary kawalerzysta, gładząc wąsy. Potem, spojrzawszy z ukontentowaniem na swego faworyta — krzyknął: z konia! — Tadeuszek przechylił się, oparł się mocno lewą nogą na strzemieniu i przełożywszy zgrabnie prawą przez wierzch konia, ude-

rzył się lekko piętami, postał tak chwilę na strzemieniu i zstąpił spokojnie na ziemię.

— Dobrze, chłopcze! — rzekł wówczas Owsikowski, i pogładziwszy dłonią jego jasną główkę, pocałował go w czoło. — No, niech teraz panicz siada i tak robi, jak on.

Hipolitek nasępiony, przystąpił do konia, niezręcznie wziął lice, a gdy się już podnosił, koń się poruszył i nóżka jego wyśliznęła się ze strzemienia tak, że znowu stanął na ziemi i tylko co nie upadł. Wtedy niebaczny sierota parsknął głośnym śmiechem. To widoczne szyderstwo tak rozgniewało upokorzonego już panicza, że wyrwawszy się z rąk koniuszego, przyskoczył do Tadeuszka i uderzył go szpicrózgą po twarzy, wołając: — Precz ztąd, łajdaku!

Niech nikt nie wini bohatera naszego, że się w tej chwili zapomniał. Krew uderzyła do głowy jego i wszystkie względy, jakie się należały synowi tych, co mu dali przytułek i pożywienie, znikły z jego myśli. Wprzódy więc, nim Owsikowski i stary sługa powstrzymać go zdołali, rzucił się zaperzony na złośliwego chłopczyka; puścił się za uciekającym przed sobą i rozwinąwszy batog, zaczął go nim prażyć po niebieskich pluderkach. Na nieszczęście jego, w tej chwili wszedł na dziedziniec pan Klemens z rządcą, usłyszał krzyk swego syna i obaczył gonitwę dwóch chłopców, batog w ręku Tadeuszka i upędzanie się za nim Owsikowskiego i starego sługi. Pan Klemens zadrżał z gniewu i kazał najprzód bohatera naszego rozciągnąć i tym samym batogiem wykropić.

Zniósł Tadeuszek w milczeniu okrutne cięgi, a

gdy wstał, tylko łzy kropliste, ale gorące płynęły po jego twarzy. Wtenczas pan Klemens rzekł do rządcy:

— Weź go acan do siebie. Dać furmankę i natychmiast, tak jak stoi, odwieźć go do Radłowskiego pod dozorem pewnego człowieka, żeby go z oka nie spuszczał i zdał do rąk. Radłowskiemu napisz acan odemnie rozkaz, żeby go oddał do cieląt i stosownie ubrać kazał.

Gdy wszyscy zasmuceni stali, gdy Owsikowski targał siwe wąsy i łzy w oczach się jego kręciły, pan Klemens, któremu stanęła w myśli cała jego hańba i wszystkie męczarnie, jakie przebył, a w tejże chwili Wulkan kołyszący dziecko przed oczami mignął, spojrzał groźnie na litujących się nad biednym sierotą i losem jego skonsternowanych i wrzasnął z uniesieniem:

— Cóż to, u milion set diabłów! stoicie jak malowani! żeby go tu za pół godziny nie było! a kto tego smarkacza protegować zechce, lub mi słówko o nim piśnie, won ze służby, nie ma u mnie miejsca!

Wszyscy struchleli i pojąć nie mogli, co się zrobiło ich panu, który się nigdy tak szalonym gniewem nie unosił. Ale że dobry kawałek chleba każdemu miły, rządca wziął natychmiast Tadeuszka za rękę i poprowadził na folwark. I nie wyszło pół godziny, a biedny chłopczyna bez czapeczki, w jednej kurteczce, w letnich spodenkach, siedział na wózku obok silnego i ponurego chłopa i myśląc o swojej Widalsi, z którą się pożegnać nie mógł, serdecznie i gorzko płakał.

Koło godziny siódmej wieczorem przybyli do Mleczkowic, wsi wielkiej, w pięknem bardzo położeniu leżącej i dobrze zagospodarowanej. Na ogromnym dziedzińcu, czystą murawą zarosłym, było dosyć zabudowań, gdyż wieś ta oddzielną kiedyś stanowiła majętność. Między innemi budynkami był tam i dom pański, obszerny, z wysokim dachem, obsadzony topolami i mający z tyłu ogród. Lecz wszystkie drzwi i okiennice u okien tego domu były pozamykane, gdyż państwo czasem tylko tam przyjeżdżali na jaki tydzień w lecie, zwłaszcza przy końcu żniw, dla sprawienia ludziom dożynek. Tadeuszek, który już dawno płakać przestał, chociaż ani Widalsi, ani innych przyjaciół swych nie zapomniał, oglądał się ciekawie w około i widział, że wózek zwrócił się na lewo i przy rogu porządnego i dużego dworku, naprzeciw pańskiego domu leżącego, nie śmiejąc widać zajechać przed ganek, stanął.

Chłop wysiadł z wózka, sznurki reprezentujące lice przywiązał do płotu, kazał Tadeuszkowi zleść, i wziąwszy go za rękę, poprowadził przed ganek. Na ganku siedział pan Radłowski w chałacie, bez chustki i kamizelki; siedziała pani Radłowska, duża, otyła, z obnażonym i opalonym gorsem kobieta, twarzy brzydkiej i której wyraz i charakter ułożył się, przez długość małżeńskiego pożycia, do harmonii i podobieństwa z obliczem jej małżonka. Oprócz tej zacnej pary była tam jeszcze cała jej progenitura: pięć córek, począwszy od lat 3 do 11, i dwóch synów, o których pan Radłowski panu swojemu wspomniał.

Biedny Tadeuszek, obaczywszy się w obcem zupełnie miejscu, wśród twarzy nieznajomych, które na niego dziwnie i bez żadnego znaku dobroci patrzyły, zaczął drżeć jak listek, a sądząc, że od swojej Widalsi ze sto mil odjechał, spuścił głowę i pozwolił płynąć łzom, które na tę ziemię, pewnie już nieraz łzami zlaną, cicho spadały.

— Więc to tego panicza — rzekła ekonomowa silnym i grubym głosem — przeznaczył pan do usług naszych dzieci w szkołach! Ot to, to! jakieś licho ponure, patrzy w ziemię; jeszcze ich okradnie.

— Gadasz, moja kochana, nie wiedzieć co? — odpowiedział pan Radłowski, chrząknąwszy tak, że się echo po całym dziedzińcu rozeszło i o pusty dwór odbiło. — Co ma im kraść? albo to nie będą mieli zamków przy kuferkach, czy co? A że w ziemię patrzy, to nic nie szkodzi. Jak go parę razy wybatożę, to go nauczę trzymać głowę do góry.

Słysząc to, Tadeuszek westchnął głęboko i podniósł na obecnych te piękne, błękitne oczy, któremi tyle razy gniew Widalsi swojej rozbrajał. Wszakże talizman ten nie skutkował. Fizjognomie, które go otaczały, nie zmieniły się, i w żadnej twarzy nie błysnął ten promień współczucia, który tak wyraźnie wybija się na licu prawdziwie ludzkiem, że go nawet zwierzęta rozumieją.

— No, chłopcze! — rzekł pan Radłowski twardo i surowo. — Nie ma tu co beczeć i krzywić się. Jak będziesz dobrym, to ci nikt głowy z karku nie zdejmie.

— Gdzie on tam będzie dobrym — zawołała imość.

— Jemu źle z oczu patrzy: już ja się znam na tem. Musiał tam dobrze państwu dokuczyć, kiedy go do nas przysłali. Także ktoś poradził panu! my mamy reparować, co oni tam zepsuli i łotra jakiegoś trzymać przy naszych dzieciach! Ot, to, to!

— Et, trzymałabyś język za zębami, kiedy taka wola pańska! — fuknął mąż, ukazując jej nieznacznym giestem stojącego tuż chłopa, który mógłby plotkę zrobić. Potem obracając się do Tadeuszka dodał: — No, cóż, odezwij się przecie smarkaczu! Czy będziesz dobrze tym oto paniczom buty i suknie czyścić i ochotnie im służyć, we wszystkiem co każą?

Tadeuszek spojrzał na dwóch gburowatych wyrostków, z których jeden patrzał na niego zyzem i w nosie dłubał, a drugi, rudy i niezmiernie piegowaty, bijąc obcasami w podłogę, śmiał się szydersko i głupowato. Oburzyła się na to szlachetna natura inaczej wychowanego dziecka. Podniósł więc śmiało głowę, otarł łzy i zawołał z postanowieniem:

— Nie, nie, nie będę!

— A widzisz, a nie mówiłam? — krzyknęła tryumfując ekonomowa. — Już jak ja co powiem, to święta rzecz. Ja tylko w oczy spojrzę, to zaraz wiem, jaki to ptaszek. Oj! ślicznąż mam lalę z dziećmi do szkół posyłać! Ot, to, to, on ich tam jeszcze pozabija.

— A to od czego? — rzekł wówczas ekonom, biorąc w rękę harapnik, który zawsze przy nim leżał, równie w chwilach pracy, jak i w godzinach odpoczynku, jako dynstynktorjum jego władzy i powagi. Trzęsąc więc wprawną ręką szacownem tem narzędziem przed oczami naszego bohatera, dodał:

— Czy wiesz co to jest? Ho! ho! kochanku! Jak tego pasternaczka skosztujesz, to ci odpadnie ochota do państwa i tak gracko będziesz buty czyścił, jak i twój ojciec.

— Mój ojciec butów nie czyścił — zawołał zaperzony malec, tupnąwszy nogą.

— Czy słyszysz, moje serce? — mówiła ekonomowa — a nie mówiłam? a to dalipan niesłychana rzecz!

— A któż twój ojciec, smarkaczu, czy jaki graf? hę! — fuknął ekonom.

— Ja nie wiem, kto mój ojciec — odpowiedział z bolem Tadeuszek — ale pewnie butów nie czyścił, nie, nie, to nie prawda! — Te ostatnie słowa domawiał, zanosząc się od płaczu, i wsadziwszy kułaki w oczy, jakby je chciał wydusić, wołał: — O Boże mój! Boże! jaki ja biedny!

Ta rozpacz biednego sieroty, nad którym się tak nieludzko pastwiono, nie zmiękczyła bynajmniej ludzi twardych i do płaczu i do jęku przywykłych. Pan Radłowski, pozwoliwszy Tadeuszkowi płakać, zwrócił się do chłopa, który go przywiózł, i zapytał, kto mu go oddał.

— A to pan rządca, wielmożny pane, kazał go tu przywieźć, w drodze pylnowaty i wielmożnemu panu do ruk widdaty — odpowiedział chłop, kłaniając się.

— I więcej nic? — zapytał pan Radłowski.

— Ta podobnoś i kartu dały — rzekł chłop, szukając za pazuchą i wydobywszy chuścinę, zaczął ją zwolna rozwijać i wydobywać karteczkę pana rządcy.

— Czemużeś, durniu, od razu nie oddał? — fuknął ekonom.

— Ta i zabúw, jak wielmożny pan na serotú nakryczały — odpowiedział dobrodusznie chłop, który całą drogę prawie milczał, ale żadnej przykrości Tadeuszkowi nie zrobił, a teraz, widząc tak nieludzkie obejście się z biednem dzieckiem, stał nasępiony i tylko głową kiwał.

Pan Radłowski udał, że przymówki, może bez intencji zrobionej, nie zrozumiał, i wziął się do czytania listu pana rządcy. Były tam słowa następujące: „Z rozkazu jaśnie wielmożnego pana, odsyłam panu Radłowskiemu chłopczyka, niegdyś jaśnie wielmożnym państwu podrzuconego. Że malec ten, nazwiskiem Tadeuszek, na łaskę jaśnie wielmożnych państwa i na wychowanie, jakie w domu ich pobierał, nie zasługuje, wolą jest wyraźną jaśnie wielmożnego pana, aby go pan Radłowski do paszenia dworskich cieląt użył, i stosownie do tej funkcji przyodziać kazał".

— E, bratku! — zawołał wówczas ekonom do Tadeuszka, który oparł głowę o ganek i płakał. — To insza materja! tak to rozumiem. Nie płacz, nie płacz paniczyku! już teraz nie będziesz butów czyścić, ale będziesz pasł cielęta, cielęta dworskie, kochanku! Taka jest wyraźna wola pańska — dodał śmiejąc się i bijąc palcami po papierze.

— To dobrze! — odpowiedział Tadeuszek łkając — to będę pasł cielęta, i wolę paść cielęta, jak buty czyścić. Bo ja nie do butów, nie!

— A jakie to zuchwałe! — rzekła ekonomowa. Oj! trzeba dobrych rózeg! ot, to, to!

— Nie bój się moje serce! przytrę ja mu prędko rogów — zakonkludował pan Radłowski; kazał chłopu odprowadzić konia do stajni, popaść, i po otrzymaniu odpowiedzi, jechać do domu; Tadeuszka kazał odprowadzić do piekarni, aby tam z parobkami, dziewkami i inną czeladzią siedział, i dalszych czekał jego rozkazów. Weszło biedne dziecko do izby dużej, zakopconej, pełnej zaduchu, gdzie był piec piekarniany, a przy nim brudna baba, która czeladzi dworskiej jeść gotowała; gdzie było kilka dziewek szykujących skopki, z któremi miały iść do krów; gdzie leżały worki z różną żywnością, których jeszcze do śpiżarni nie sprzątnięto, a tamże kupy buraków, kartofli i rozmaite obrzynki jarzyn, gdzie kury pani ekonomowej grzebały krupy, jakiś prosiak, jej faworyt, wszystko przewracał; gdzie głodny pies chodził i zaglądał do próżnych garnków; gdzie była beczka z wodą, kilka cebrzyków z pomyjami, duży stół brudny na krzyżowych nogach, przy którym czeladź siadała do jedzenia, i parę ław koszlawych pod ścianami, na których leżały rupiecie i zgrzebne sienniki, służące tej służbie żeńskiej za pościel.

Serce się ścisnęło biednemu chłopcu, gdy go tam wepchnięto, gdy spojrzał na ten nieład i brudy ekonomskiej piekarni, gdy się przypatrzył tym twarzom obcym i bladym i bez uśmiechu, i gdy przypomniał sobie czyste swoje pokoiki, łóżeczko, które mu zawsze Widalsia słała, i jej kochające oblicze,

na którem widział tylko dobroć, dobry humor i przywiązanie bez granic. Przybity temi myślami, usiadł sobie w kąciku na ławie i cicho zapłakał, a gdy się zmęczył tęsknotą i płaczem zmordował, oparłszy głowę na stole, przymrużył zapuchłe i bolące powieki i marząc o tym raju swego dzieciństwa, z którego go tak nielitościwie wypędzono, zasnął.

Zostawmy go tak pogrążonego w tem zapomnieniu obecnej niedoli, a powróćmy do dworu pana Klemensa na czas niejaki, aby się dowiedzieć o wrażeniu, jakie wypadek ten na interesujących nas osobach sprawił.

Wszyscy, którzy byli obecni wykonaniu okrutnego rozkazu pana Klemensa, tak się postraszyli jego gniewem i groźbą, że każdy, wziąwszy się z podwójną gorliwością do swego obowiązku, zamknął gębę i starał się z serca i z pamięci wyrzucić obraz biednego dziecka i smutek, jaki mu los jego sprawił. Nikt więc nie pisnął ani słowa; nawet Owsikowski nie śmiał jawnie pójść do Widalskiej i uwiadomić ją co się stało. Poczciwa staruszka, nie widząc chłopca do godziny jedenastej, zaczęła się już niepokoić i gniewać na swywolnika, który jej tyle kłopotu dawał. Posłała więc najprzód sługę do stajni i na folwark, ale tam każdy jej unikał i odbąknął tylko, że chłopca nie ma. Wprawdzie w odpowiedzi tej, zwłaszcza ludzi stajennych, było coś tajemniczego i smutnego, ale prosta kobieta nie rozumiała wyrazu, jaki się na twarzy i w głosie odpowiadających na te zapytania ukazywał, a słyszała tylko słowo: *nie ma*, które Widalskiej odniosła. Wtedy

ta ostatnia, jeszcze mocniej zmartwiona, nakrywszy głowę lekką chustką, poszła do ogrodu i udała się najprzód do sadzawki, rojąc już katastrofę, na której samą myśl kochające jej serce zastygało. Ale i bacik był na kłódkę zamknięty i czółno także na łańcuszku przymocowane do brzegu. Uspokoiwszy się w tym głównym punkcie, poszła dalej, a choć jej spuchłe nogi pod ciężarem ogromnego ciała upadały, odpoczywając często, sapiąc i obcierając pot z zafrasowanego czoła, obeszła prawie cały ogród, wdzierała się do wszystkich kląbów, w których go kiedy znajdywała, poglądając przytem na każde drzewo, na które dawniej właził. Ale nikt do niej nie zakukał, nikt na stroskaną kobietę ani żołędzią, ani niedojrzałem jabłuszkiem nie rzucił. Dobywając więc ostatnich sił i otarłszy łzę, która oko jej zrosiła, poszła jeszcze tą cienistą i krętą uliczką, prowadzącą do kiosku, który był najodleglejszym punktem ogrodu. Tam spostrzegła Rozalię, siedzącą samotnie, z twarzą opartą na dłoni i patrzącą na blizkie kiosku wysokie drzewo, jakby wspomnienie tej jasnej główki, która się tam niedawno kryła i wspomnienie trwogi, jakiej ztąd doznała, miłem jej było.

— Czego to szukasz, Widalsiu — rzekła z melancholicznym uśmiechem Rozalia — po takim upale i tak daleko?

— At, proszę jaśnie wielmożnej pani! — odpowiedziała stara sapiąc i chwytając się za poręcz kiosku — już nóg nie czuję i ledwo żyję z fatygi i ze zmartwienia.

— Siądź, Widalsiu, proszę cię — rzekła z dobro-

cią pani, i uśmiech ten przymuszony zgasł nagle z jej twarzy. — Czy nie chłopca swego szukasz?

— A proszę jaśnie wielmożnej pani! — odpowiedziała Widalska, siadając przez uszanowanie na samym brzegu ławeczki. — Czy nie bieda to mnie z tym swywolnikiem! Tylko co pacierz zmówił i zjadł śniadanie, jak pobiegł, tak do tej pory go nie ma. Wybiegł bez czapeczki; jeszcze głowę przepali i zachoruje, jak mój nieboszczyk Wicunio, com go nigdy od tego oduczyć nie mogła.

— Posyłałażeś do stajni, Widalsiu? — rzekła Rozalia, której twarz jeszcze gorzej pobladła. — Słyszałam, że on tam najczęściej przebywa.

— Et, proszę jaśnie wielmożnej pani — odpowiedziała stara niby z niechęcią, a łzy nabiegły do jej oczów. — Posyłałam i do stajni i na folwark i nigdzie go nie ma; jak kamień w wodę, tak się gdzieś schował.

— Uspokój się, moja poczciwa Widalsiu! — rzekła Rozalia powstając i głos widocznie niknął na jej ustach, jak chusta pobladłych, przybiegnie on i nic mu się nie zrobi. Tylko odpocznij sobie tu, i idź powoli do stancji, bo upał wielki, a tobie ciężko.

— Oj ciężko! bardzo ciężko, proszę jaśnie wielmożnej pani — odpowiedziała stara, ocierając oczy — a zwłaszcza, kiedy w sercu taki kłopot i w głowie jakby kto ołowiu nakładł. Kiedyż bo to takie przytem poczciwe, takie miłe dziecko! ja żadnego swego tak nie kochałam...

Rozalia odwróciła się od płaczącej Widalskiej i poszła prędko ulicą, a nieoceniona ochmistrzyni Ta-

deuszka usiadła sobie dopiero wygodnie, wypłakała się należycie i dawszy dobre wytchnienie swym spuchłym i sfatygowanym nogom, sapiąc, wzdychając, oglądając się jeszcze na wszystkie strony i mówiąc modlitwę do św. Antoniego Padewskiego, aby się jej zguba znalazła, poszła powoli do domu

Pan Klemens cały ranek był w pokoju swoim zamknięty. Do wszystkich męczarni, które serce jego szarpały, przybył zapewne i wstyd tak nieludzkiego postępku i tak niezwykłego mu uniesienia. Gdy się zebrali na śniadanie, spostrzegła Rozalia chmurę na czole męża i jad w jego oczach, ale czy to przez dumę, czy przez postanowienie zniweczenia jego zamiarów i środków wykrycia prawdy, które może przenikała, udała, że nic nie widzi i nadzwyczajnego stanu męża nie miarkuje. Przeszło więc śniadanie w milczeniu, po którem Rozalia usiadła do zwykłej roboty, a pan Klemens chodził długo po pokoju, oczekując, czy go nie zaczepi, burząc się jej obojętnością i tym pozornym spokojem, który, jak się czytelnicy domyślają, kosztował ją może kilka lat życia, i mocując się z sobą, aby nie wybuchnąć od razu, i tą nierozważną eksplozją całej machiny swojej nie zepsuć. Po niejakim jednak czasie, przystępując do okna, a spoglądając nieznacznie na twarz żony, rzekł:

— Aż ciszej i spokojniej na dziedzińcu, że tego smarkacza nie ma. Miałaś rację, żeś nie pozwoliła na to, aby się z synem naszym wychowywał. Zuchwalec tak się dobrocią naszą rozpuścił i ośmielił,

że batog, do którego widać urodzony, podniósł dziś na Hipolitka i w moich oczach uderzył go.

— Należało go kazać ukarać — odpowiedziała Rozalia, nie podnosząc głowy — ale i Hipolitkowi nie przebaczyć, kiedy musiał mu dać powód.

— Tak myślisz? — rzekł pan Klemens i oczy się jego zaiskrzyły, bo mu się zdawało, że już blizkim jest celu.

— Tak sądzę — odpowiedziała obojętnie i strzepując kanwę, którą potem wyciągała na kolanach — że dla dobra własnego dziecka, którego niepokojące usposobienie znasz, a przynajmniej znać powinieneś, należało rzecz tę z zimną krwią wyegzaminować!

— Jakże wiesz, żem tego nie zrobił? — zapytał przybliżając się.

— Wiem, bo mi Hipolitek z radością, którą mu zganiłam, opowiadał, jak kazałeś tamtego oćwiczyć i z domu wyprawić — odpowiedziała Rozalia, a panu Klemensowi zdawało się, że głos jej gasł i usta konwulsyjnie ściągnęły się.

— Wszak wczoraj słyszałaś, jaki miałem względem niego zamiar — rzekł pan Klemens. — Byłbym go może nie wykonał, gdyby nie dzisiejsza jego zuchwałość, która mnie w najwyższym stopniu rozgniewała. Sam więc winien, że się tak stało.

— I bardzo źle się stało — odpowiedziała obojętnie.

— Dla czegoż ten... — tu zatrzymał się, żeby nie wymówić wyrazu, który miał na języku i potem dodał: — Nie pojmuję, zkąd w tobie takie interesowanie się za tym chłopcem, któregoś dotąd nie lubiła może.

— Anim go lubiła, ani nie lubiła — odpowiedziała Rozalia. — Postępek zaś twój znajduję złym i nagannym, bardziej przez wzgląd na ciebie samego, niż przez wzgląd na to biedne dziecko, któremu mogłeś wcale inny dać kierunek. Co ludzie o tobie powiedzą, że zamiast dać wychowanie sierocie, którego nam Bóg zesłał dla tego, żeśmy bogaci i mamy więcej niż nam potrzeba, wyprawiasz go z domu, aby się wysługiwał dzieciom twego oficjalisty, i tak zarabiał na wyżywienie się i jakiekolwiek ukształcenie? Nazwą cię skąpcem nieludzkim, nagradzającym swoich służalców przez poniżenie dziecka, które już i tak nieszczęśliwe.

— A! tobie o to idzie, żeby ludzie ze mnie nie szydzili? — odpowiedział pan Klemens z przyciskiem i przenikając ją wzrokiem tak, jakby chciał przeszyć jej piersi.

— Sądzę, że przez lat dwanaście dałam ci tego dosyć dowodów — rzekła Rozalia, ale z taką godnością i z takiem przekonaniem, że pan Klemens zmięszał się prawie i zderutował. Po chwili jednak rzekł:

— Niech tylko to o mnie ludzie mówią, a nie co innego, to mniejsza; żartuję sobie z ich gadania i wiem, co robię. A chociaż perswazje twoje znajduję bardzo naturalnemi — dodał ironicznie — i spostrzegam, że cię los tego chłopca nagle interesować zaczął, ja postanowienia mego nie zmienię i będzie jak kazałem.

— Jak chcesz — odpowiedziała Rozalia zimno i z dumą — powiedziałam, co do mnie należało i jak

jestem przekonaną. Gdybyś był tej rozmowy sam nie zaczynał, milczałabym pewnie.

Na tem się skończyło między małżonkami. Oboje zdawali się siebie przenikać, ale oboje spostrzegli to dobrze, że są od siebie o sto mil dalej, niż byli dotąd.

Późno już wieczorem, stary kawalerzysta Owsikowski przemknął się nieznacznie po pod okno Widalskiej, w którem się jeszcze świeciło i obejrzawszy się w około, czy kto nie patrzy, zajrzał tam, co staruszka robi. Przekonawszy się, że jeszcze nie spi, ale modli się i co moment zdejmuje okulary i łzy ociera, zastukał delikatnie w szybę, jak kochanek wyzywający ulubioną na słodką schadzkę, do której pora już nadeszła. Przestraszona z razu Widalska przeżegnała się, ale gdy stukanie się powtórzyło, powstała i przechylając się na obie strony i szorując wydeptanemi trzewikami, zbliżyła się do okna. Sądziła ona z razu, że to Tadeuszek wyrwał się z pod straży, pod którą go wzięto, a o której już cokolwiek wiedziała i przybiegł cichaczem pod skrzydło tej, co nad nim od dzieciństwa czuwała. Ale wkrótce spostrzegła przyłożoną do szyby twarz długą, kościstą i siwe wąsy, które ruszały się pod cichym i niezrozumiałym szeptem. Z początku cofnęła się przestraszona, ale wkrótce, poznawszy przyjaciela i swojego i dziecka, którego stratę opłakiwała, otworzyła okno.

— Czy można jeszcze z imością pomówić? — zapytał z cicha Owsikowski — ale pod wielkim sekretem.

— Czy co wiesz, panie Gracjanie? — odpowiedziała Widalska z ciężkiem westchnieniem.

— Ale wiem, tylko cicho! — dodał oglądając się.

— To chodź jegomość do mnie. Służąca już śpi, a biednego dziecka mego nie ma — rzekła ocierając oczy i zamknęła okno.

Owsikowski otworzył cicho furtkę ogrodową i tylnemi drzwiami, przez sionkę od ogrodu, wszedł ze spuszczoną głową i zafrasowaną twarzą do tego mieszkania, do którego niegdyś wchodził wesoło, dla wytchnienia, na miłe mu uczenie pojętnego chłopczyka i przypatrywanie się jego figlarnym minkom i rozkosznej swywoli.

Gdy oboje usiedli, pan Owsikowski rzekł:

— Nie byłem u imości dotąd, bo to nie żarty; trzeba być ostrożnym.

— Co się to stało, mój Boże? — zawołała Widalska, łamiąc ręce. — Przez co biedne dziecko mogło na taki gniew zasłużyć?

— E, powiem imości — odpowiedział Owsikowski, szarpiąc z gniewu wąsy — żem to ja, Panie odpuść! tego wszystkiego narobił.

— Człowieku! miałżeś ty sumienie! — zawołała Widalska, patrząc na starego z serdecznym żalem.

— Oh! ale poczekaj bo no imość, bo to trzeba wszystko wiedzieć, jak to było. — Tu poczciwy koniuszy opowiedział jej szczegóły wypadku, które już znamy, nie szczędząc pochwał dla zgrabności Tadeuszka, jego cierpliwości, z jaką zniósł chłostę, jego minę, z jaką stał przed panem, tak okrutnie zagniewanym.

— Niech się sobie gniewa, jak chce — mówiła Widalska, rzewnie płacząc — ja zaraz jutro prosto do niego pójdę i w niebogłosy wołać będę, że to niesprawiedliwość i okrucieństwo, tak męczyć niewinne dziecko. Mój biedny Tadeuszek ma paść cielęta! Tego nie będzie, ni, chyba po mojej śmierci! Miły Boże! czy to tak z dzieckiem postępować, a jeszcze z sierotą, na którym Bóg widocznie rękę swoją położył, takie mu dał serce i takie oczy, że jak spojrzy, toby się kamień zmiłował! A sam ojcem jest i nie boi się, żeby go za to Pan Bóg ciężko nie ukarał. Ale tam nie ma ojcowskiego serca i za trzy grosze w tym człowieku. Wiele to razy mój nieboszczyk, jak się rozgniewał na Jasia, co mi umarł na febrę, albo na Franka, albo na którebądź dziecko, a było ich chwała Bogu trzynaścioro, mówił: — ej chłopcze! pójdziesz gęsi paść! — A czy to zrobił? Nie, nie zrobił tego nigdy. Pogniewał się, ukarał i dał się przeprosić. Bo miał ojcowskie serce, bo to był człowiek, jakich mało. Panie świeć nad duszą jego, choć się trochę napijał.

W czasie całej tej perory, pan Gracjan siedział pochylony, jedną ręką trąc kolano, a drugą szarpiąc siwe swe wąsy, na które łzy kropliste spadały. Gdy przestała mówić, rzekł:

— Słuchaj-no imość! i mnie tego chłopca niemniej żal, jak i imości samej, coś go wychuchała jak rodzona matka. Patrzaj imość, ja stary wąsacz i dawny rębacz, a płaczę jak dziecko, tak mi się serce ściska i tak tu coś wije się i boli. A jednakowo muszę sobie przykąsić języka i obejrzeć się na siebie, na

żonę i na własne dzieci, które codzień wołają chleba i nie dadzą sobie wyperswadować, jak go nie będzie. Mówię imości, że pan wyraźnie zapowiedział: jeżeli mi kto o tym smarkaczu słówko piśnie, lub go protegować będzie, won ze służby, nie ma u mnie miejsca. A gdzie ja teraz na starość znalazłbym takie miejsce, jakie mam, gdybym chciał pokazać, że sierotę skrzywdzili, i że ja go więcej kocham, jak siebie i swoje własne dzieci? Trzeba dwa razy pomyśleć i dobrze rozkalkulować, nim w takich okolicznościach człowiek co powie, albo zrobi. To też i imość zamilknij na czas niejaki, nim się to wyklaruje. I imość także jużeś stara, ciężka, ani chodzić nie możesz, a tem bardziej robić; a przywykłaś do wygody, do gotowego, i pewnie nie wiesz, gdziebyś poszła i gdzie znalazła przytułek i kawałek chleba, gdyby ci raptem powiedzieli: fora ze dwora! To tak zostać nie może. Pan nie taki zły, jak się wydaje, i djabli go wiedzą zkąd mu się taka furja wzięła, w jakiej go nigdy nie widziałem. To jakieś licho na niego naszło, wierz mi imość i przejdzie, bo to nie jego natura. Ot synek, jeżeli wyrośnie taki, jak teraz jest, to co innego. To już z gruntu złe i zawzięte. Od tego już nikt ani się wymodli, ani wyprosi. Ale ojciec nie taki. Znam go, dzięki Bogu, nie od wczoraj. Uspokój się więc imość i przycupnij tak, żeby ani duchu twojego nie było słychać, ani łez widać, A my to jakoś z panem rządcą nakierujemy tak, że się to wszystko zmieni i Tadeuszek prędko powróci.

— A tymczasem będzie cielęta pasł! biedny, biedny mój chłopczyna! — wołała Widalska, załamując ręce.

— Nu, wielka rzecz! — rzekł powstając Owsikowski — pobiega jaki tydzień za cielętami latem, na świeżem powietrzu. To mu jeszcze wyjdzie na zdrowie.

— Ale się opali, jak jakie chłopiątko! — rzekła Widalska.

— Et! żeby tylko tyle biedy było! — zawołał pan Gracjan i zabierając się do wyjścia, dodał: — Dobranoc imości, pomódl się jeszcze i idź spać. Cały dzień dziś schodziłaś się i spłakałaś.

— Oh, ledwom żywa! — zawołała z ciężkiem westchnieniem.

— Da Pan Bóg, że wkrótce przyjdę do imości z inszą wiadomością — dodał pan Owsikowski i ścisnąwszy szeroką dłoń staruszki, poszedł. Gdy się przemykał pod jej oknem i jeszcze raz tam zajrzał, widział, że stara klęczała i do świętego Józefa, patrona swego, błagające wyciągała ręce.

W takim stanie były umysły we dworze pana Klemensa. Tymczasem Tadeuszek, wyspawszy się w kąciku na ławie, gdzie mu jedna z kobiet piekarnianych, która się nad biednem dzieckiem zlitowała, własną siermięgę podesłała pod głowę, obudzony został równo ze dniem przez pana Radłowskiego, który go rączką od harapnika parę razy w bok dobrze trącił. Zerwał się chłopczyk równemi nogami, przetarł oczy, jakby sobie przypominając, co się z nim stało, i gdy rzucił okiem w około siebie, gdy spojrzał na barczystą postać swojego prześladowcy, który w kurtce dymkowej szarej, w takichże sza-

rawarach, w słomianym kapeluszu i z harapem w ręku stał przed nim, gotów już do wyjechania w pole, zaczął znowu drzeć i łzawem okiem szukać po za plecami ekonoma jakiej ludzkiej i miłosiernej twarzy, coby się nad nim zlitowała. Ale za panem Radłowskim stał tylko duży, zarosły i brudny pastuch, a dalej baba rozpalająca ogień, a po różnych kątach dziewki rozczochrane, które tylko co zerwały się ze snu i zawiązując co prędzej głowy podartemi chuścinami, gotowały się każda do swojej roboty. Na ten widok ścisnęło się serce biednemu chłopcu, spuścił więc głowę i choć łzy z ócz jego kapały, w duszy jego obudziła się rezygnacja, z jaką losu swego oczekiwał.

— Rozbierz się, smarkaczu! — rzekł grubym głosem pan Radłowski. — Te pańskie sukienki zdadzą się na kogo innego.

Tadeuszek, widząc ciężką konieczność, rozebrał się, wdział grubą koszulę, którą mu ekonom rzucił, potem zdjąwszy lekkie swe spodenki, nowe jeszcze buciki i czyste pończoszki, które mu wczoraj właśnie sama Widalsia przyrządziła, wdział płócienne szarawarki, ściągające się na sznurku, opuścił na wierzch koszulę, którą mu rzemykiem w pasie przywiązywać kazano, i tak ustrojony i bosy, do nowego przygotował się zawodu. Ale i w tem nawet chłopskiem odzieniu nie stracił on piętna wychowania i szlachetnej swej i rozwiniętej natury. Dziewki spoglądały z politowaniem i współczuciem na ślicznego chłopczyka, a baba stojąca przy piecu, z twarzą opartą na dłoni, kiwała głową, że takiego ładnego

panicza zamieniają na chłopa i wcielają go do ich nędzy i poniżenia, które oni tak dobrze czują. Gdy tym sposobem toaleta nowego pastuszka była skończoną, pan Radłowski kazał mu przewiesić przez ramię niewielką torebkę, w której był chleb i kawałek sera, a dawszy w rękę weretkę do okrycia na przypadek deszczu, słomiany kapelusik i batożek, poprowadził za sobą.

Na dziedzińcu zbierała się trzoda dworska, mająca wychodzić w pole. Z niej kazał pan Radłowski oddzielić dwadzieścioro najpiękniejszych cieląt, i te Tadeuszkowi powierzył.

— A pamiętaj, smarkaczu — krzyknął potem tak, że krew w biednym chłopcu zastygła — żebyś mi pastucha słuchał, tam szedł gdzie on ci każe, nie swywolił z chłopcami, za cielętami się nie gonił, nie ćwiczył ich batogiem, ale tylko postraszył, rozumiesz? A jak które zginie, albo pójdzie w szkodę, to tak oberwiesz, że onegdajszy piątek obaczysz. — Tu rozwinąwszy harap i zaciąwszy nim Tadeuszka dla próby, jak to on umie, kazał rogatej gromadzie pod przewodnictwem właściwych dowódzców wyruszyć.

Całą drogę bohater nasz, pędząc swoję trzódkę i trzymając ją w kupie, rzewnie płakał. Nie było dla niego to rzemiosło tak bardzo nowem. Nieraz on z chłopcami był w polu, gdzie paśli konie i bydło, i sam po wielekroć uganiał się za cielętami, zgromadzał je do kupy i wypędzał ze szkody, zwłaszcza gdy one poruczone były jakiemu słabszemu od niego dziecku, które sobie rady dać nie mogło i płakało, bojąc się chłosty, gdyby ojciec lub polowy zobaczyli,

że zboże wypasione i wytłuczone. Ale tam było co innego. Tam robił to z ochoty, często przez swywolę, a częściej dla przyniesienia ulgi i z popędu dobrego serca. Tu był przymus, połączony z chęcią poniżenia go i ukarania tak niesprawiedliwie i okrutnie, za to, że sobie nie dał krzywdy zrobić i odebraną odwetował. To go ciężko bolało i dla tego tak płakał, tak mu się przykrą wydawała ta nowa funkcja, a szczególniej to oddzielenie od tych wszystkich, których kochał i przed któremi mógłby się poskarżyć. Widział pastuch łzy rozżalonego dziecka, i idąc obok niego zasępiony, żadnego przykrego słowa mu nie powiedział. Owszem, gdy które cielę miało ochotę, ni ztąd, ni z owąd, bryknąć i na bok odskoczyć, sam biegł, z bicza trzasnął i do kupy je spędził. Gdy przyszli na to miejsce, gdzie Tadeuszek z trzódką swoją miał zostać, rzekł mu, jak mógł najłagodniej:

— Nie płacz, paniczu, nie płacz! Nie taka to wielka bieda, jak się tobie zdaje. Ot, ja od młodych lat pasę bydlc, a zdrów jestem i wesoły, chyba że widzę, że kto płacze, albo że kogo biją. Gorzej cepem wywijać, albo sierpem i kosą machać cały dzień, że potem człowiek kości nie czuje i nie ma sił ukąsić kawałek chleba. Krowy, to dobre, boże stworzenie, znają człowieka co koło nich chodzi, i tak patrzą w oczy, jakby dziękowały, że ich na dobrą paszę popędzisz i do czystej wody przygonisz. Oto, ze świniami to już bieda. Świnia wszędzie świnia. Jakby ci kazali paść prosięta, tobyś miał czego płakać, bo to bestja uparta. Ty jego ze szkody, a on w szkodę,

a tu jak raz nadjeżdża ekonom z harapnikiem, albo polowy z kijem i krzyczy i bije, że nie pilnujesz, a tego nie wie, że człowiek rady sobie dać nie może, i nóg już nie czuje. Z cielakami, biedny paniczu, nie zaznasz wielkiego kłopotu. Ot, tu ich na tę zieloną łąkę, co ją niedawno skosili, zapędź, jak słonko się podniesie — to ich ot tam, do rzeczki zagoń, żeby się napiły, a potem pod ten las zaprowadź, to będą sobie w chłódku spokojnie chodzić i trawkę szczypać i listki z krzaków ogryzać. A ty sobie, paniczu, pacierz zmów, kawałek chleba zjedz, ta i siądź i śpiewaj i często z batożka trzaskaj, żeby wiedziały, że jesteś i pilnujesz, bo choć to głupie, jednakowo mają ten rozum, że wiedzą co batog. Tylko nie kładnij się i nie spij, paniczu, aj! tego nie rób, bo choć tu blisko nie ma szkody, tylko za rzeczką, przez którą nie przejdą, ale tam las, gdzieby mogło które przepaść. A jakby ten suczy syn nadjechał — dodał pastuch, oglądając się jednak, czy go kto nie słyszy — zobaczył cię śpiącego, toby cię tak harapnikiem wykropił, żeby ci siniaków i rodzona matka nie zagoiła.

Ta długa przemowa łamanym językiem, przez pół polskim, a przez pół ruskim wymówiona, była prawdziwym dla Tadeuszka balsamem. Poznał on że nie wszyscy na niego tak dziko patrzą, jak ekonom, ekonomowa i ich synkowie; że pod brudną i grubą koszulą, w piersiach tego prostego człowieka, któremu go pod najbliższy dozór oddano, jest cokolwiek serca, które się nad jego losem i opuszczeniem zlitowało. Podziękował więc dobremu człowie-

kowi za jego radę, otarł łzy, które mu zalały oczy na obraz Widalsi, wspomnieniem rodzonej matki wywołany, i rozwinąwszy batog, trzasnął nim kilka razy tak dzielnie, że się aż echo po pagórkach rozeszło i cielęta jego, widać do tego hałasu przyuczone, do kupki się zbiegły.

— Ej! dobrze, dobrze, paniczu! — rzekł chłop uśmiechając się — będzie z ciebie kiedyś tęgi pastuch! No, idźże z niemi, idź tam i rób tak, jak mówiłem; a ja będę z trzodą tu niedaleko za górą, na wielkim wygonie.

Takim sposobem Tadeuszek, w nowym swym obowiązku instalowany, rozpoczął go z sercem, kilku dobremi słowami umocnionem.

Miejsce to było nadzwyczaj pięknem i uśmiechającem się. Zielona łąka, niedawno skoszona i przeznaczona umyślnie na pastwisko dla pańskich cieląt, rozciągała się szerokim pasem ode drogi aż pod pagórek, ciągnący się daleko na lewo, na prawo zakrzywiony i idący wzdłuż nad rzeczką, ale wszędzie obrosły jednym z tych prześlicznych lasów, jakie tylko na Podolu widzieć można. Łąka z jednej strony przypierała do pola, które na przyszłą oziminę już było przygotowane, z drugiej ograniczała ją wspomniana rzeczka, niegłęboka, płynąca kręto po gruncie piaszczystym i obrosła od strony łąki krzakami łoziny, czeremchy i innych krzewów, które nad brzegiem jej w naturalne zbiegały się kłąby. Rzeczka ta przechodziła przez trakt, pod ładnym na niej mostem, i z tamtej jego strony zakrzywiając się, biegła ku wsi, gdzie formowała spory staw, do któ-

rego ogród dworski przytykał. Szczególnie widok był piękny od strony lasu, jako z miejsca cokolwiek wzniesionego. Ztamtąd u dołu widać było wspomnioną wyżej łąkę, z kłębami nad rzeczką, i rzeczkę, która wiła się krętą i błyskającą wstążką, a za nią, na lewo, obszerne pola, na których chwiały się wykłoszone już zboża, naprzeciw dobrze ubitą drogą z ładnym mostem, za drogą nieprzejrzane łany, które się kończyły siniejącemi wzgórzami, a z boku wieś bielejącą wśród drzew, i dwór pański, wznoszący się ze swemi dachami i kominami nad zieloną ogrodu gęstwiną. W tem to miejscu na cały dzień został bohater nasz z cielętami, które ochoczo paść się zaczęły. Usłuchawszy rady dobrego pastucha, najprzód ukląkł, rączki złożył, jak go zawsze Widalsia uczyła, i mówiąc pacierz, serdecznie się wypłakał. Utuliwszy się cokolwiek i trzasnąwszy kilka razy batogiem, aby dać znać trzodzie swojej, że jest i nad nią czuwa, usiadł sobie na ziemi i dobywszy z torby chleb i ser, zjadł ze smakiem część swego całodziennego zapasu i po wczorajszem wygłodzeniu się zwątlone siły pokrzepił. Gdy słońce się podniosło, zapędził trzódkę swą do rzeczki, napoił ją i sam się napił. Potem, zagnawszy cielęta pod las i pozwalając im paść się przy jego brzegu i korzystać z chłodu, usiadł sobie pod dębem tak, aby wszystkie mógł widzieć, i nad położeniem swem medytować zaczął.

Stan jego, w porównaniu z dawniejszem życiem, był bardzo przykry i bolesny. Tam go wszyscy kochali, tu jeden dopiero człowiek jakkolwiek litościwie do niego przemówił; tam był swobodny, mógł

biegać gdzie chciał, bawić się czem chciał, tu musi siedzieć na miejscu i pilnować powierzonych sobie cieląt; tam miał ładne sukienki, chodził w czystych bucikach lub trzewiczkach, co trzeci dzień brał świeżą bieliznę, spał w łóżeczku, które sama Widalsia uścielała; tu ubrano go w grubą koszulę, zdjęto z niego obuwie, tu odpoczywał na twardej ławie, a dalej może spać będzie w oborze, na garści zmiętej i mokrej słomy. Ale i z drugiej strony, gdy spojrzał na ten piękny widok co go otaczał, gdy pomyślał, że i tu są takie piękne drzewa, tak rozkoszny las, taka zielona łąka, tak ładna i świeża rzeczka, takie same pola, które i tam tak lubił; gdy błękitne oczy swe w których kropliste łzy stały, podniósł na jasne i równie błękitne niebo i poczuł przenikające ciepło tego samego słońca, z którem się tak dobrze znał; gdy pomyślał, że zatrudnienie to daje mu swobodę i usuwa od ócz nieludzkiego człowieka, który go tak przestraszył, nie wiedzieć za co sfukał i dziś nie wiedzieć za co harapnikiem ściągnął, pogodził się cokolwiek ze swoim losem, spokojniej na przyszłość spoglądać zaczął, a przyszedłszy do dziwnej i nad wiek swój rezygnacji, w ostatecznym rezultacie znalazł, że życie pasterskie nie jest jeszcze tak bardzo przeciwne naturze ludzkiej, jak czyszczenie butów i nie ma w sobie nic takiego, od czegoby zdesperować trzeba. Zaczął więc z większem zajęciem przypatrywać się powierzonym sobie cielętom, wyszukiwać sam dla nich miejsca na łące, gdzie była najlepsza trawa, poznajomił się z najładniejszemi i o-

kruszynkami swojego chleba częstując, do ręki je swojej przyciągał.

Gdy wieczorem pastuch całą trzodę przygnał, aby i tę cząstkę z sobą zabrać, zastał Tadeuszka tym sposobem zajętego i mającego suche oczy i spokojną i rumianą twarzyczkę. Ucieszył się dobry człowieczysko tym widokiem, pochwalił rozumnego panicza, jak go nazwał i poszedł z nim razem do domu. Jeszcze jedna uciecha dziś go czekała; bo dla dziecka przyzwyczajonego do miłości ludzkiej, każda, by najmniejsza jej oznaka, zwłaszcza w takiem opuszczeniu, jest skarbem nieocenionym. Gdy przyszedł do piekarni, baba, która jeść przyrządzała, zawoławszy go w kącik, dała mu na czystem talerzu dobrego barszczu i kawał pytlowego chleba, który dziewczynie usługującej przy stole ekonoma, sprzątnąć cichaczem kazała. Podziękował chłopczyna dobrej kobiecie za taki bankiet, a ona pogłaskawszy go po głowie, rzekła:

— Ne żuryś, panyczu! tak będziesz miał co dzień, tylko nie płacz.

Tak schodziły bohaterowi naszemu dni jego pasterskiego życia, i tak przeminął tydzień, a w jego przeciągu nic się takiego nie stało, coby na wzmiankę zasłużyć mogło. Codziennie wieczór pastuch prowadził go do komórki przy cielętniku, tam mu nasłał świeżego siana, sam chłopca ułożył i okrył, a raniutko, równo ze świtem, przychodził go budzić. W piekarni dziewka umyła go, wyczesała, zawiązała jego koszulę pod szyją swoją własną czerwoną wstążeczką; baba napełniała jego torebkę razowym chle-

bem i kawałkiem sera, jeżeli przypadkiem zaszedł wtedy ekonom; jeżeli go nie było, to chlebem pytlowym, odrobiną masła zawiniętą w listek i czystą szmatkę, a czasem i innym jakim specjalikiem, jaki się im sprzątnąć i schować udało. Cały dzień bawił Tadeuszek na łące, lub przypatrywał się przejeżdżającym drogą ludziom, a wieczorem znowu dostawał barszcz lub kaszę z mlekiem, a raz i kurczaka, któremu baba cichaczem łeb ukręciła i dla niego upiekła. Wypogodziło się więc zupełnie czoło wesołego chłopca, uśmiech wrócił na jego usta, i już zaczął przemyśliwać, jakiegoby figla ekonomowej spłatać, gdyż gorzej jej nie lubił, jak jej męża, którego wszakże się bał jak ognia i ile możności unikał.

Na drugi tydzień, gdy raz wieczorem przygnali trzodę na dziedziniec, spostrzegł Tadeuszek we dworze wielki zakręt. W domu pańskim pootwierane były okiennice i okna, w pokojach zamiatali, wynosili meble na dziedziniec, obcierali je i wytrzepywali. Ciekawy chłopczyna podbiegł bliżej, żeby zapytać ludzi krzątających się, co się to stało. Ale tylko co się tam zbliżył, wyszedł z domu ekonom, zakłopotany i niezmiernie zły. Spostrzegłszy Tadeuszka, krzyknął na niego:

— A po co tu, smarkaczu? to tak pilnujesz, co do ciebie należy?

Przestraszony Tadeuszek uciekł przed świstem harapnika, który go nie dosięgnął i schował się do najciemniejszego kąta w cielętniku. Dopiero w półtory godziny z tamtąd wyjrzał i widząc, że ani pana Radłowskiego, ani jego małżonki nigdzie nie ma,

pobiegł do piekarni, zjadł, co mu baba przyrządziła, i nie śmiejąc już o nic zapytać, poszedł spać do swojej komórki. Raniutko, jak zwykle, poszli w pole.

Gdy się słońce zniżyło, Tadeuszek wypędził trzódkę swoją z lasku, zgromadził ją blizko drogi i tam usiadłszy, przypatrywał się przechodzącym i przejeżdżającym drogą, co się dość często zdarzało, bo to był trakt dość duży i prowadzący do miasteczka, które o milę leżało. Wtedy usłyszał z daleka ode wsi trzaskanie z bicza i turkot powozu. Powstał więc, oparł się na biczysku od swego pastuszego batoga, kapelusik położył na ziemi, żeby mu nie przeszkadzał widzieć, i z minką ciekawą i spokojną patrzył na zbliżający się czterokonny i otwarty kocz i na jadącą za nim bryczkę. W koczu była jakaś pani, jakiś stary pan i niewielki chłopczyk, który stał między niemi i w około się oglądał. W bryczce siedział jakiś z wielkiemi wąsami jegomość. Jeszcze się jadący nie zrównali z Tadeuszkiem, gdy poznał wszystkich. Był to pan Klemens, Rozalia i Hipolitek, a w bryczce Radłowski. Im bardziej zbliżały się powozy do stojącego blizko drogi chłopczyka, tem wolniej szły konie; a nareszcie usłyszał Tadeuszek wyraźnie, jak pan Klemens kazał jechać stępo, potem stanąć. Dziwnie jakoś zrobiło się biednemu dziecku, gdy patrzał na tego człowieka, co go tak niesprawiedliwie ukarał, na tę kobietę, co czasem była tak dobrą, a jednak przyzwoliła na jego krzywdę; na tego złego chłopca, co się stał tej krzywdy przyczyną. Ale w energicznem sercu jego zbudziło się nie zalęknienie, ale jakaś śmiałość i chęć pokazania,

że o nich nie dba. Nie pobladł więc, nie uciekł, nie miał łez w oczach, ale oparty na swoim batożku stał spokojnie i patrzył z uśmiechem. Jak tylko powóz się zatrzymał, spostrzegł Tadeuszek, że pani odwróciła się w stronę przeciwną, a pan nie na niego, ale na nią patrzył. Hipolitek tylko wytrzeszczył na niego oczy, poznał go i nie mogąc mu widać darować, że go śmiał wybatożyć, zmarszczył się i znowu kułakiem pogroził. Wtedy nierozważna myśl przyszła do głowy bohaterowi naszemu. Uśmiechnął się do wroga swego szydersko, i rozwinąwszy batóg, pokazał mu, jak go nim chłostał. Krzyknął ze złości obrażony panicz; ojciec obejrzał się, a Hipolitek zawołał:

— Papo! każ wybić tego łajdaka. On mi znowu grozi batogiem.

— Radłowski! — zawołał z gniewem pan Klemens — weź-no go po swojemu, a nie żałuj!

Radłowski już był wprzód zeskoczył z bryczki i puścił się za Tadeuszkiem, który, usłyszawszy rozkaz pana Klemensa, naturalnie nie czekał. Zmykał więc przez łąkę, jak młody zajączek i chciał się dostać do lasu. Ale gdy się obejrzał, spostrzegł, że ekonom choć już niemłody, ale silny i nóg nie żałuje. Strach śmiertelny przejął biednego chłopca na samą myśl, coby się z nim stało, gdyby się w ręce prześladowców swoich dostał. A że strach najsłabszemu nawet stworzeniu dodaje energji i przytomności umysłu, podał Tadeuszkowi tę myśl, aby już nie do lasu dążyć, ale do roli, do której było blizko i po której ekonom nie mógłby może za nim

zdążyć. Rzucił się więc nagle na lewo i nim rozpędzony ekonom zdołał zmienić kierunek i za nim się zwrócić, dość daleko się odsadził i wkrótce na dobrze uprawnej, pulchnej, a z wierzchu w suchy piasek zmienionej ziemi stanął. Ale warunki gruntu dla nich obydwóch były równe, a nawet dla biednego chłopczyny gorsze, gdyż maleńkiemi nóżkami głębiej zapadał. Ubiegłszy więc spory kawał, uczuł, że mu tchu nie staje, że nogi pod nim drżą, że sił nadużył i upadnie, jeżeli się nie zatrzyma i nie odetchnie. Stanął więc, a widząc, że Radłowski zaperzony, z otwartą gębą, z wytrzeszczonemi oczami nadbiega, nie czując dość mocy, aby mógł uciec i szukając rozpacznego środka ratunku, schylił się nieznacznie, nabrał obie garści zsuszonej ziemi, i gdy ekonom już, już ręce po niego wyciągał, rzucił mu tym piaskiem w twarz i zupełnie oczy i gębę zasypał. Musiał się zatrzymać oślepiony prawie Radłowski, zaczął ziemię wypluwać i obcierać oczy, których otworzyć nie mógł, tak pocisk był trafnym i skutecznym. Ryknął, jak lew raniony, rozjadły prześladowca bohatera naszego, który jak Dawid, wystąpiwszy do nierównej walki, z takim samym, choć nie tak krwawym wyszedł z niej tryumfem. Gdy bowiem Radłowski jedno oko, pełne piasku i łez, na siłę cokolwiek otworzył, spostrzegł, że Tadeuszek był już daleko. Straciwszy więc nadzieję i możność dopędzenia go, wrócił powoli do powozów, a uwolniony z tak okropnego niebezpieczeństwa chłopczyk, stanąwszy na wzgórku, patrzył póty, póki powozy do wsi napowrót zawróciwszy, z miejsca nie

ruszyły. A gdy już zupełnie z ócz jego znikły i tylko tuman kurzawy z daleka się unosił, wtedy ukląkł, zmówił: *Pod Twoją Obronę* i *Kto się w Opiekę*, które obie modlitwy doskonale umiał, pożegnał myślą swoją kochaną Widalsię i poczciwego Owsikowskiego, i wszystkich dobrych ludzi, których tam kochał, a spojrzawszy na świat, jak szeroki i długi, wyciągnął do niego ręce i prosząc ze łzami, by przyjął sierotę, prosto ku lasowi się puścił.

III.

Na trzy dni przedtem, pan Klemens wszedł raz do pokoju żony wtedy, kiedy się go najmniej spodziewała, i zastał ją siedzącą w krześle i zamyśloną. Chociaż otrzęsła się prędko ze swego smutku i powstawszy oddała mu dobry-dzień z twarzą spokojną i ułożoną, widział dobrze jej stan i rzekł jej głosem, który drżał i zdradzał złe intencje, choć słowa ich nie wyrażały:

— Róziu! uważam, że ci coś jest. Zamyślasz się i mizerniejesz. Przejedźmy się gdzie, pora piękna; świeże powietrze orzeźwi cię i może ci to sprawi rozrywkę.

— Nie bardzo ja rozrywki potrzebuję — odpowiedziała Rozalia spokojnie. — Ale jeżeli ci to będzie przyjemnem, to dobrze, byle nie z żadną wizytą. Wiesz, że ich nie lubię.

— Broń Boże! — rzekł pan Klemens — i ja do wizyt nie jestem także usposobionym. Chciałbym przed żniwami objechać majątek i obaczyć gdzie

co jest, a co nie dopisało, żeby mi potem nie łgali. Przytem — dodał patrząc przenikliwiej w jej twarz — już więcej jak dwa lata nie byłem w Mleczkowcach. Chociaż to Radłowski gospodarz dobry i energiczny, ale wiem z doświadczenia, że tylko pańskie oko konia tuczy. Więc pojedziesz?

— Pojadę — odpowiedziała Rozalia cichszym głosem.

— Żebyś się nie nudziła na folwarkach, gdy ja zajęty będę gospodarstwem — mówił dalej — weź z sobą Hipolitka. Będziesz go miała pod okiem, bo coraz więcej widzę, że on tego potrzebuje.

— Ach! to prawda — odpowiedziała z westchnieniem i zgodziła się na propozycję męża.

Pan Klemens wyszedł, kazał co prędzej robić przygotowania do tej podróży, ale tylko do Radłowskiego wysłał bojara, *) z uwiadomieniem, że przyjadą i z dyspozycją, jakie zrobić przygotowania.

Gdy nazajutrz wyjechali, krótko bardzo zatrzymywali się po folwarkach leżących po drodze, dążyli prosto do Mleczkowiec i przybyli tam już późno wieczorem, tego samego dnia, w którym Tadeuszek widział ów zakręt we dworze i tylko co za ciekawość swoją nie oberwał.

Na drugi dzień, po wczesnym dość obiedzie, który się przed godziną czwartą skończył, zaszedł kocz otwarty przed ganek pańskiego domu, a przed mieszkanie ekonoma zaszła owa bryczka, którąśmy

*) Bojarami nazywają się na Podolu i na Ukrainie poddani, których obowiązkiem jest służyć we dworze do posyłek konnych.

już widzieli. Rozalia przyjęła zaproponowany spacer dość obojętnie, a choć może nie bardzo była ciekawa obaczyć ładne wsi tej położenie, które jej mąż niezmiernie zachwalał i piękną trzodę, którą jej pokazać obiecał, wzięła za rękę Hipolitka i pojechała.

Gdy minęli mostek, rzekł jej pan Klemens:

— Patrz, Róziu, jaka piękna i zielona dolina i jakim zakończona lasem! A! to tu właśnie pasą się wybrane z całej trzody cielaczki! Wdzięczny jestem Radłowskiemu, że im tak obfite pastwisko naznaczył. Jest-to gatunek ulepszony, i będą z nich krowy dorodne. Przypatrz się, proszę cię, bo to warto widzenia — i kazał jechać stępo, a potem stanąć.

Rozalia rzuciła okiem na przedmiot, który jej ukazywał, poznała pastuszka, który na nich spokojnie i z uśmiechem patrzał i choć widziała, że mąż wlepił w nią wzrok, wdzierający się do głębi jej łona, nic nie powiedziawszy, odwróciła się i okolicy z przeciwnej strony leżącej przypatrywać się zaczęła. Wtedy to miała miejsce owa scena, którą wyżej opisaliśmy, a która na los i przyszłość naszego bohatera tak stanowczy wpływ wywarła.

W czasie tej gonitwy i katastrofy pana Radłowskiego, który dla tej prostej przyczyny nie dokazał swego, że nie miał w ręku harapnika, którego przez uszanowanie dla państwa nie wziął z sobą, Rozalia, patrząca już z interesem za uchodzącym i ratującym się tak rozpaczliwie chłopczyną, rzekła pierwsza:

— Więc to dla zrobienia mi tej siurpryzy przywiozłeś mnie aż tu Klemensie? i dla tego, abym obaczyła to biedne dziecię przy cielętach i w chłop-

skiej koszulce, zadałeś sobie tyle pracy w przygotowaniu całej tej mizernej komedji? przyznam ci się — dodała z wyrazem dumy i pogardy — że ona nie dowodzi ani wielkiego daru wynalezienia, ani dobrego i szlachetnego serca.

— A dla czegóż to ciebie tak mocno dotyka? — zapytał pan Klemens z zaiskrzonemi oczami.

— Jakto? — zawołała ze łzą w oku, której nie kryła już wcale — nie ma mię to dotykać, że się pastwisz nad niewinnem dzieckiem, którego słabość i sieroctwo powinnoby cię rozbroić; że się dopuszczasz względem niego nadużycia, które czyni ujmę twemu charakterowi? że się uciekasz do takich środków podstępnych i tak z daleka przygotowanych, aby odkryć to, coś sobie uroił?

— Com sobie uroił? Więc suponujesz, żem miał powód coś sobie uroić? — zapytał pan Klemens, kontent, że na to pole wchodzi.

— O! nie jestem ja tak ograniczoną — odpowiedziała prędko i z coraz większą żywością i mocą — abym nie widziała, co się w tobie dzieje i jakie krzywdzące podejrzenia męczą cię i katują. Przez dwanaście lat pożycia z tobą miałam czas przekonać się, jak dalece umiesz w tej mierze panować nad sobą, i ile gorzkich chwil szaleństwo to przygotowało mnie i tobie. Czy sądzisz, że się nie domyślam, jakie supozycje podały ci doniesienia tej nikczemnej intrygantki? Czy myślisz, żem nie przekonana, żeś im uwierzył, żeś dla sprawdzenia ich jeździł, żeś naturalnie nic nie odkrył; że potem, chcąc koniecznie dojść do czegoś, coby ci dało po-

wód zniweczyć swoje życie i moje, postanowiłeś dręczyć i poniżać to biedne dziecko, aby jego płacz i nędza wywołały prawdę, której nie mogłeś innym sposobem odkryć? O! wstydź się, doprawdy! zapomniałeś o tem, że masz sześćdziesiąt kilka lat, i że powinienbyś się starać w innych uczuciach, w innem ze mną postępowaniu dociągnąć je do końca.

Pan Klemens zgłupiał, w oczach się jego zaćmiło, i nie widział nawet, jak Tadeuszek wyratował się od prześladującego go ekonoma. Siedział więc w milczeniu z pochyloną głową, tarł ręką czoło i dopiero gdy Radłowski nadszedł, zapłakany i z błotem na twarzy, które się z ziemi podolskiej i z łez ekonomskich uformowało, wydał polecenie złagodzonym i złamanym głosem, aby dla wyszukania chłopca rozesłał ludzi, i kazawszy powóz zawrócić, pojechał do domu. Gdy przed dwór przybyli, rozeszli się milcząc i każde w swoim zamknęło się pokoju. Rozalia, załamawszy ręce, upadła na krzesło i głośno płakać zaczęła, a pan Klemens chodził ze trzy godziny po swoim apartamencie i nareszcie, stanąwszy przy oknie, wydobył z kieszeni metrykę Tadeuszka, jeszcze raz ją odczytał i w drobne kawałki podarł.

Tymczasem bohater nasz, w jednej koszulce, z obnażoną głową i bosy, dostawszy się do lasu, szedł nim ciągle i długo, nie wiedząc dokąd idzie, czem głód i pragnienie zaspokoi, gdzie odpocznie, gdy noc nadejdzie. Póki jeszcze było widno, podróż ta szła mu dość sporo, bo i strach pogoni dodawał siły, i nogi jeszcze nie były tak sfatygowane i podrapane. Ale gdy się ściemniło, uczuł dopiero biedny

chłopczyna i upadek sił i upadek ducha, który go dotąd utrzymywał. Usiadł więc w miejscu ustronnem i gęstem, dla odpoczynku i pomyślenia, co tu zrobić i gdzie się dalej obrócić. Tak siedział długo, skuliwszy się i marząc i przysłuchując się, czy kto nie idzie, czy go kto nie widzi i nie dosięga. Był on odważny, przywykły do różnych przygód, a przecież, gdy się zupełnie ściemniło, gdy nic już w około siebie dojrzeć nie mógł, gdy dęby wysoko nad głową jego szumieć zaczęły, gdy ptak zmieniający swoje legowisko nocne, lub czemkolwiek spłoszony, poruszył liśćmi, lub skrzydłami zaszeleścił, gdy się jaka odłamała gałąź, lub trzask jaki rozległ się wśród powszechnej ciszy i milczenia całej natury, wtedy straszno się robiło nieszczęśliwemu chłopcu, tak, że zaczynał się gorąco modlić i rzewnie płakać. Mimo tak przykre położenie nie żałował jednak, że się wyrwał z tej niewoli, na którą go skazano, i gdzie mógł co chwila być sponiewierany słowem i oćwiczony harapem. Powracać więc do Mleczkowiec za nic nie myślał, postanowiwszy nazajutrz wypytać się dobrze pierwszego człowieka, któregoby spotkał, aby się jak najpewniej i najprędzej od miejsca tego oddalić. Ale gdzie pójść? do jakich drzwi zapukać? kto jutro da jeść i pić? kto pożałuje? kto pokocha? Na tę myśl znowu łzami zaszły jego oczy, od których sen odbiegł i obraz Widalsi i dobrego koniuszego przedstawił się tak żywo, że się biednemu chłopcu serce z bolu ścisnęło. Przyszło mu więc do głowy, czy nie możnaby jak zapytać się, którędy droga do wsi Z*, i tam przyjść cichaczem,

zapukać w okienko Widalsi, wpaść potem do jej pokoiku i rzucić się w jej objęcie, a potem z nią razem udać się do Owsikowskiego, ucałować jego poczciwą rękę i prosić, aby go gdzie wywiózł i schował. Ten projekt uśmiechnął mu się zrazu i znacznie go uspokoił. Ale gdy sobie przypomniał słowa pana Klemensa, wyrzeczone z takim gniewem wtedy, kiedy go do Radłowskiego odwieźć kazał — gdy sobie wyobraził, że mógłby się pan o tem dowiedzieć i kazałby wygnać starą opiekunkę jego z jej pokoików, a przyjacielowi jego dzieciństwa odebrałby miejsce i zostawił bez chleba, zadrżał dobry i przez własną biedę uzacniony chłopczyna; słowa pańskie: — won ze służby! — zabrzmiały w jego uszach i wolał pójść w świat, niż stać się przyczyną nieszczęścia tych, których tak kochał. Na takich rozwagach, wśród ciemności i szumu lasów, z któremi się wreszcie oswoił, przeszła mu połowa nocy. Nareszcie ciało przemogło i zmęczony moralnie i fizycznie, ułożywszy się na miękkiej trawie, sam nie wiedział kiedy zasnął.

Obudził się Tadeuszek dopiero wtedy, kiedy słońce już było dość wysoko, rosa błyskała na liściach i ptaszki cudnie i wesoło śpiewały. Porwał się więc na nogi, przypomniał sobie, gdzie jest i co się z nim wczoraj stało, podziękował jeszcze raz Panu Bogu, że go wyzwolił i choć głodny i opuszczony ale orzeźwiony snem, owiany świeżem rankiem powietrzem, oddechem lasu wyleczony z ran serca, i umocniony wesołością tych jego śpiewaków, co choć mniejsi i słabsi od niego, a jednak tak swobodnie po gałązkach igrają, zmówił pacierz, potem jeszcze raz *Pod*

Twoję obronę, i poszedł dalej żwawo i z nadzieją, że gdzieś przecie zajdzie i do czegoś trafi.

Las prędko się skończył; rozległo się przed nim szerokie pole, uginające się jak woda głęboka pod lekkim wiatrem, ile oko na prawo, na lewo i wprost zasięgnąć mogło. Z daleka, z prawej strony widać było jakąś wieś i drożyna pod lasem do niej prowadzić zdawała się. Ale Tadeuszek bał się iść do wsi. Zdawało mu się bowiem, że to jeszcze za blisko, że pan roześle zapewne ludzi szukać go, i ci niezawodnie w karczmie pytać się będą. Wprawdzie jeść mu się już chciało, ale wolał głód przecierpieć, niż narazić się na tak wielkie niebezpieczeństwo. Wybrał więc miedzę między dwoma niezmiernemi łanami, zasianemi wykłoszoną już dobrze pszenicą i skubiąc mleczne ziarnka bogatych jej kłosów, durzył tym sposobem żołądek, którego nie było czem nakarmić, i szedł, gdzie go oczy niosły. W pół godziny potem spostrzegł z daleka krzyż pochylony z pomiędzy falistego zboża wystający. Pewny, że tam musi być droga, puścił się prosto do tej świętej skazówki, która nam dana na to, abyśmy w błędach tego życia kroki swe ku niej skierowywali. Nie omylił się Tadeuszek. Rzeczywiście był to gościniec duży, zawracający się na lewo i prowadzący w inną zupełnie stronę, niż ta wieś, której uniknąć pragnął. Puścił się więc nim w tem przekonaniu, że się od Mleczkowiec oddala. I wkrótce zupełnej w tej mierze nabył pewności. O kilka set kroków za krzyżem, przed którym pobożnie się przeżegnał, spotkał idącego ku sobie starego chłopa, który spojrzawszy z

podziwieniem, że tak małe dziecko tak samo idzie, zapytał po rusku:

— A gdzie ty idziesz, chłopcze?

— Szedłem do Mleczkowiec — odpowiedział Tadeuszek w tymże języku, nie chcąc się zdradzić i kłamiąc z bojaźni wydania się — ale podobno zbłądziłem.

— Oho! i dobrze zbłądziłeś — odpowiedział chłop uśmiechając się.

— A którędyż to było trzeba? — zapytał chłopiec.

— A to tędy het! — odpowiedział chłop, ukazując w tę stronę, którą bohater nasz przyszedł. Trzeba było iść na tę on wieś, a potem koło karczmy wziąść się na prawo, tobyś był prosto wyszedł do Mleczkowiec.

— Dalekoż to ztąd?

— Będzie dobre półtory mili tak na prost, ale jak zechcesz na Hryszczyńce okrążyć, to i z pół trzeciej się znajdzie.

— A ta droga do Hryszczyniec?

— Et! dureń ty mały — odpowiedział stary — albo nie widzisz że gościniec idzie na lewo, a Hryszczyńce ot tam! Tędy prosto zaszedłbyś do Borodejówki, a ztamtąd aż do Winnicy i Lityna. Ale kiedy chcesz koniecznie Hryszczyniec, to podbiegnij jeszcze kawał drogi, tam będzie dolinka i maleńka rzeczka. Przejdź mostek i z tamtej strony rzeczki drożynką idź prosto, a dojdziesz aż do wsi.

— Dziękuję wam, ojcze — rzekł Tadeuszek — już ja teraz trafię. I pobiegł żwawiej, uspokoiwszy się, że się tak oddalił od miejsca, którego się bał, że

instynktem jakimściś nie poszedł do tej wsi, gdzieby go schwytać mogli. A choć nic przed sobą nie widział, tylko świat szeroki i długi, szedł przecież z uśmiechem na ustach i tą nadzieją w sercu, że znajdzie jakiś dach co go przygarnie i jakąś poczciwą pierś, co go do siebie przytuli.

Gdy przyszedł do mostku i spojrzał wzdłuż rzeczki, biegnącej doliną, zdawało mu się, że to ta sama, z której nieraz pił wodę, gdy pasł cielęta. Słońce już dobrze przygrzewało, uszedł już blizko z milę drogi, głód dopiekał; w niedostatku więc chleba chciał przynajmniej napić się tej samej wody, która mu już nieraz ugasiła pragnienie, umyć twarz i nogi sfatygowane i choć tym sposobem orzeźwić się i do dalszej umocnić drogi. Zszedł więc do rzeczki i wykonawszy, co zamierzył, położył się w cieniu i na trawie, żeby dobrze odpocząć.

Po niejakim czasie usłyszał śpiewanie. Silny i donośny głos, chociaż w pewnych przerwach, rozchodził się daleko po polu, a nuta i pieśń sama była mu doskonale znajoma. Była to litanja do Wszystkich Świętych, którą Tadeuszek tyle razy z Widalsią śpiewał, odpowiadając jej po każdem imieniu: *Módl się za nami!* Przypomniał sobie, że nieraz, będąc jeszcze mniejszym, oberwał nawet przy tej modlitwie, gdy albo kręcił się klęcząc, albo rękami coś majstrował, albo figlem bałamucił pobożną kobietę, odpowiadając zamiast: *Módl się, módlcie się!* co się tylko do śś. Kozmy i Damiana, Gerwazego i Protazego stosowało; albo wyprzedzał ją, i sam imiona świętych komponował, za co się bardzo gnie-

wała. Pamiętał nawet, że raz dobrze dostał rózgą za to, że gdy przyszła kolej na świętego Jacka, on rozswywoliwszy się, dodał prędko: święty Jacku z pierogami. Wszystkie te wspomnienia rozrzewniły dobrego Tadeuszka i obudziły w nim sympatję dla podróżnego, który myśl jego przeniósł do tego raju, z którego tak go nielitościwie wygnano. Podniósł się więc prędko i szukał chciwem okiem, zkąd głos ten dochodził. Drogą ku mostkowi szedł zwolna zakonnik, już niemłody, z odkrytą i siwiejącą już głową. Habit miał gruby i tabaczkowy z dużym kapturem, podwiązany białym paskiem, przy którym wisiały białe paciorki i krzyż; przez ramię miał zawieszony spory, ciemny worek, w ręku zaś trzymał kawał chleba z masłem, który nożykiem krajał, a nim kawałek jaki włożył do ust, wprzódy głośnym spiewem kilku świętych wezwał i prosił ich, aby się modlili za nami. Widok ten rozweselił bohatera naszego, który przez szczęśliwą organizację i swobodne wychowanie, mimo biedy, nie stracił humoru i energji. Znał się on dobrze z takiego rodzaju wędrownemi mnichami, którzy często po jałmużnę do dworu pana Klemensa zachodzili i wstępywali zawsze do Widalsi, która ich chętnie przyjmowała i częstowała. Nieraz nawet Tadeuszek przeprowadzał ich przez dziedziniec, aby ich psy nie opadły i niejeden za to dostał obrazek. Wiedział więc, że to są ludzie dobrzy, lubią dzieci, i choć ubodzy, są najczęściej wesołego humoru. Z tych powodów i pragnąc mieć towarzysza i opiekuna w drodze, postanowił z nadchodzącym braciszkiem dobrze się zapoznać. A że sądził, że do tego

najlepszym środkiem będzie jaki niewinny figiel, schował się pod mostek i czekał, aż się przybliży. Nadszedł mnich, spiewając przerywanie: święty Bartłomieju! święty Mateuszu! święty Szymonie! po każdem imieniu Tadeuszek odpowiadał głośno i w oktawę tonu: *Módl się za nami.* Zastanowił się mnich na moście i słuchał. A gdy jeszcze raz, jakby dla próby, czy się nie łudzi, wezwał z kolei następującego świętego Tadeusza, a chłopczyk tem głośniej i energiczniej odpowiedział: Módl się za nami! zakonnik zdziwiony zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali?

— I ja chwalę! — odpowiedział malec pod mostem.

— Czego chcesz, duszo pobożna? — zapytał mnich, miarkując już, zkąd głos wychodzi.

— Chleba z masłem — odpowiedział figlarz śmiejąc się skrycie, i czując, że mu ślinka do ust przyszła.

— A wyjdź-że, wyjdź głodna duszyczko i pokaż się, to się z tobą podzielę — zawołał uśmiechając się także braciszek, dodawszy po łacinie: anima esuriens. Wtedy Tadeuszek wyskoczył z pod mostu, przybiegł śmiało do kiwającego głową starego i pocałował go w rękę. — A to ty, figlarzu! O! widzisz go, jaki swywolnik! tak mnie przestraszył. — Chłopiec patrzył mu w oczy, czy się doprawdy gniewa; a gdy spostrzegł, że na miłej jego, rumianej i jowialnej twarzy był tylko dobroduszny uśmiech, zerknął pożądliwie na ten chleb, który zakonnik miał w ręku. Wtedy stary rzekł: — Na, na, kiedyś taki głodny, i kiedy umiesz Pana Boga prosić o chleb,

a do tego z masłem, choć pewnie ani na suchy kawałek chleba nie umiesz jeszcze zarobić.

Chłopczyk podziękował, wziął chleb i zaczął go z takim apetytem zajadać i smakować, że mnich, kiwając głową i uśmiechając się, dodał:

— Biedny chłopiec! pewnie ze dwa dni nic nie jadł.

— Dwa dni, jak dwa dni — odpowiedział Tadeuszek — ale od wczoraj od południa nic w gębie nie miałem.

— Dla czegoż to? pewnie ci za karę nie dali nic jeść.

— Ej! gdzie tam — odpowiedział Tadeuszek — to zupełnie co innego. Ale to wiele o tem mówić.

— Jakże się nazywasz?

— Nazywam się Tadeuszek.

— Aha! to dla tego tak głośno wrzasnąłeś *Módl się za nami*, jakem ja świętego Tadeusza wspomniał.

— A tak! — odpowiedział mały — to mój patron, a ja jestem teraz w wielkiej biedzie. To też krzyknąłem tak głośno, żeby usłyszał. — Uśmiechnął się braciszek i pogładził ślicznego i przytomnego chłopca po głowie. Potem mówił dalej:

— Ty nie musisz być chłopskie dziecko, co już i twoje imię wskazuje.

— Naturalnie, że nie — odpowiedział Tadeuszek.

— A czyj-że ty jesteś syn?

— Otóż to cała bieda w tem, że ja tego nie wiem — rzekł chłopczyna, spuszczając zasmucone oczy.

— A jakże się nazywasz?

— Nazywam się Tadeuszek.

— To twoje imię, chłopcze, na chrzcie świętym dane. Ale twoje nazwisko? Bo przecież musisz wie-

dzieć, że każdy człowiek ma imię i nazwisko. Imię daje mu Kościół święty, a nazwisko bierze z ojca.

— Tak — odpowiedział chłopczyk — a jak kto nie wie, kto jego ojciec, to skąd-że to nazwisko weźmie?

— I to prawda — rzekł mnich z uśmiechem. — Więc jesteś bezimienny.

— Może i bezimienny, czy ja wiem?

— Nazywaj-że się odtąd Tadeusz Bezimienny — mówił dalej mnich z komiczną powagą — i pamiętaj, abyś nie dał w kaszę napluć temu nazwisku, które ci tu na moście daję. Z odpowiedzi twoich widać, że masz na to głowę, a twoje ślepki — dodał, podnosząc twarzyczkę chłopca i patrząc mu w piękne i filuterne oczy — pokazują, że masz dobre i odważne serce. A teraz powiedz-że mi, co ty tu robisz tak sam jeden?

— A cóż? idę w świat — odpowiedział Tadeuszek z rezygnacją.

— Wiesz-że ty, malcze, co to jest iść w świat? — zapytał zakonnik kiwając głową.

— Ot tak, wziąść ta i iść przeżegnawszy się, gdzie oczy poniosą — odpowiedział Tadeuszek.

— Więc ty myślisz — mówił mnich coraz mocniej kiwając głową — że na każdym mostku dostaniesz chleba z masłem?

— A! jak zmówię szczerze pacierz, potem *Pod Twoję obronę* i *Kto się w opiekę!* — rzekł chłopiec, i w oczach jego błysnęła łza wiary i ufności.

— Prawda, prawda, moje dziecię. Deus charitas est — mówił zakonnik, kładąc dłoń na jego główce. — Ptaki nie sieją i nie orzą, a mają codzień poży-

wienie. Lilia nie stara się, a ma śliczną sukienkę. Ale człowiek zgrzeszył, mój chłopcze, i dla tego musi pracować. Dobrze jednak, że tak vierzysz. Wiara to grunt; przy niej znajdzie się reszta. Ale jeszcze powiedz mi, dla czego jesteś w chłopskiej koszulce, bez czapki i bosy, kiedyś nie chłopskie dziecko, quod evidentissime patet?

— Bo mi sukienki moje wzięli — odpowiedział spokojnie Tadeuszek — ale to dużo o tem mówić.

— Poczekaj-że — dodał zakonnik, gładząc głowę Tadeuszka — pójdźmy ot tam nad rzeczkę, tam sobie usiądziemy, ja napiję się wody i opowiesz mnie to wszystko. A potem może się znajdzie dla ciebie jeszcze jaki posiłek i dobra rada, co dalej począć.

Minęli więc mostek, zeszli ku rzeczce, tam mnich usiadł na kłodzie wierzby złamanej, postawił worek między kolanami i dobywszy z niego blaszany kubek, kazał chłopcu naczerpnąć sobie wody. Gdy się napił, Tadeuszek pobiegł jeszcze raz do wody, naczerpnął dla siebie i wypiwszy oddał mu kubek. Mnich schował go napowrót i posadziwszy chłopczynę koło siebie, kazał mu wszystko sobie powiedzieć.

Tadeuszek, ile mógł zapamiętać i złożyć w jakąś całość opowiadanie wypadków swego dziesięcioletniego życia, tak je opowiedział, nie zapomniawszy naturalnie o Widalsi, o Owsikowskim, o Hipolitku, o koniku, o batogu, o cielętach, a nadewszystko o Radłowskim i jego żonie. Gdy skończył, rzekł mnich:

— Więc już wiesz, co dobre i złe na świecie! byłeś na wozie i pod wozem, byłeś w raju i za jego

płotem. Jam vixit, et, puer, expertus est terram! — dodał sentencjonalnie. Cóż teraz myślisz robić?

— Ja nie wiem — odpowiedział Tadeuszek, patrząc mu w oczy.

— Chcesz-że iść ze mną?

— O dobrze, dobrze! — zawołał chłopczyna, całując jego rękę — pójdę wszędzie!

— W naszym klasztorze znajdziesz przytułek. Będziesz tam usługiwał, a za to dadzą ci chleb i naukę.

— Bylem butów nie czyścił — odpowiedział Tadeuszek, który miał jakiś szczególny wstręt do tego zajęcia.

— A gdzie rozum, chłopcze? — rzekł mnich uśmiechając się i stukając palcem w szerokie i jasne czoło naszego bohatera. — Czy takie buty potrzebują glansu? — i wyciągnął z pod habitu nogę.

Tadeuszek zaśmiał się i spojrzał na jego gołą stopę, pod którą była podeszwa z kapturkiem na palce, przysznurowana rzemykiem.

— Będziesz więcej służył Panu Bogu, niż ludziom — mówił dalej stary — ale umiesz-że ty czytać i pisać?

— Czytać umiem dobrze i piszę litery i liczby.

— A *Introibo* umiesz?

— Co to jest? — zapytał chłopczyna.

— Służyłeś kiedy do Mszy?

— O! do Mszy służyłem, jak się w kaplicy państwa czasem odprawiała — odpowiedział chłopczyk — ale tylko do dzwonka i do flaszeczek.

— O! widzisz go! a każdy z was tylko do dzwonka

i do flaszeczek! — rzekł mnich uśmiechając się i biorąc z lekka Tadeuszka za ucho.

— Bo ja dzwonić umiem doskonale! — mówił malec z pretensją.

— Wielka sztuka! to lada kiep potrafi. Ale czy umiesz co z Ministrantury, to jest z tego, co trzeba odpowiadać?

— Umiem *Et cum spiritu tuo* i *Amen*.

— No, toż nie wiele; ale to nic nie szkodzi, nauczysz się. Jednakże czas nam już w drogę — rzekł mnich, spoglądając na słońce. — Do noclegu jeszcze daleko; a chciałbym dociągnąć na noc do klasztoru księży Bernardynów, na parę mil w bok Winnicy. Tylko możebyś jeszcze trochę podpasł konika, co? Chleb z masłem stanął ci prawda w przygodzie, ale to tego mało na dwa dni. A i mnie odebrałeś śniadanie, tak że się czuję głodnym.

Tadeuszek spojrzał rozweselonemi oczami, i klasnął w rączki z radości. Reformat rozwiązał swój worek i zaczął zapasy pomaleńku i pojedyńczo wydobywać. Najprzód dobył małą lampeczkę, obwiniętą starannie w papier; rozwinął ją i dał Tadeuszkowi trzymać. Potem dobył małą buteleczkę oplecioną, powąchał korek, kiwnął głową i nazad schował. Wydobywszy drugą taką samą i także powąchawszy, uśmiechnął się dopiero, odkorkował i wziąwszy z rąk chłopca szklaneczkę, nalał w nią płynu, czystego jak łza Potem postawiwszy buteleczkę na ziemi, wziął lampkę blizko dna wszystkiemi palcami, podniósł na równi z okiem i przypatrując się przeźroczystemu likworowi z uśmiechem rzekł: Dignum est et salutare!

Tak zadecydowawszy wartość napoju, przeżegnał go trzy razy dwoma palcami prawej ręki i duszkiem wychylił. Co gdy się stało, szklaneczkę obok plecionki postawił. Potem wydobył chleb dobry pytlowany, którego kawałeczek mały ukroiwszy, obok lampeczki położył. Tadeuszek sądził, że i jemu się coś z tego ładnego chleba dostanie, ale widząc, że bułka staje w szeregu obok plecionki i szklaneczki, spuścił nos na kwintę. Spostrzegł to Reformat, uśmiechnął się i wydobywszy garnuszek z masłem, czystą szmatką zawiązany, dał go chłopcu, aby nitkę rozwiązał. Tadeuszek usiadł na ziemi, aby lepiej dopełnić tego ważnego polecenia i gdy podniósł oczy, spostrzegł w ręku mnicha bułeczkę pszenną, z wierzchu rumianą, ze spodu białą i mączną, słowem taką, jakie po dworach na Podolu i na Wołyniu dla państwa pieką.

— A widzisz, figlarzu? — rzekł do Tadeuszka, który ośmielony jego wejrzeniem już do bułeczki rękę wyciągał. — Na, to dla ciebie. Nasmaruj sobie masłem i pożywaj ten dar dobrych ludzi.

Tadeuszek wziął i zaczął zajadać, krając bułkę i delikatnie smarując ją masłem, a Reformat, wsadziwszy znowu rękę do worka, wydobył z niej coś obwiniętego w papier, co strasznie do kury pieczonej było podobnem. Powąchawszy, rzekł sam do siebie: — Oho! reverendissime! nie wszystko razem, to przyda się na obiad, jeżeli go gdzie nie dadzą — i włożywszy nazad do worka, wydobył z niego inne zawiniątko. które z podługowatej swej formy, liczbę 8 przypominającej, miało minę kiełbasy tak złożo-

nej, papierem owiniętej i sznurkiem ciasno okręconej. — Vade retro! — rzekł znowu i powąchawszy, schował. — To będzie do poduszki, jeżeli gdzie wieczerzy nie dadzą. — Nareszcie wyszedł na jaw spory kawał szynki, którego właściwie szukał. Rozwinął go brat Leon, bo tak się ów braciszek nazywał, ukroił sobie dobrą porcją, dał spory kawałek Tadeuszkowi, smarował chleb masłem, i przykładając go plasterkami szynki, tak spożywał. Gdy się dobrze posilili, znowu wszystko systematycznie poobwiązywał i poukładał w tej przenośnej spiżarni, w której było wiele rozmaitych zapasów, a na samem dnie pasek biały od wielkiego święta, a pod nim dopiero brewiarz.

Tak poznawszy się dobrze i pokrzepiwszy utrudzone siły, ruszyli w Imię Boże w dalszą drogę. Brat Leon wracał z nad Dniestru, gdzie miał do spełnienia klasztorne jakieś polecenie. Po drodze zachodził to do dworu, to do klasztoru, to na probostwo, i wszędzie mu coś do worka przybywało. Była to wprawdzie jego wada, jako zakonnika, że lubił przysmaki i delektował się czem dobrem — że także nielada jaki kieliszek do ust przytknął, ale owszem był w tej mierze tak wymagającym, że likwor, którym się posilał, powinien był być czystym i bez woni, jak woda, która wytryska ze skały, a silnym jak duch, który nie trąci ziemią i nie mięsza się z jej żywiołami. Zresztą, był to człowiek uczciwy, wesoły, usłużny dla bliźnich, z dobrą głową, jakiej zwykle nie mają braciszkowie klasztorni i z

sercem szlachetnem, jakie nie zawsze się i między mszalnemi zdarza.

Oddawszy tym sposobem bohatera naszego w opiekę takiego człowieka i zaspokoiwszy troskliwość czytelników naszych o dalszą jego po świecie wędrówkę, możemy teraz na chwilę wrócić tam, gdzie mu przeszły dziecinne jego lata, i gdzie tak krótko był szczęśliwym.

Tam już nie było spokoju, nie było wesołości, ani w pałacu, ani w oficynach. Pan Klemens, zawiedziony w swoich oczekiwaniach, nie przyszedłszy do żadnego odkrycia, któreby mu dało przynajmniej rozkosz zemsty i upokorzenia tej, którą o zdradę posądzał, został przy swem podejrzeniu, co go jak zły duch nieustannie trapiło. Rozalia smutna, znękana, nie mająca nawet pociechy w swym synu, którego złe skłonności coraz się rozwijały i z nim razem rosły, okazywała się zimną dla męża, przymuszała się tylko, żeby mu nie okazać jawnej wzgardy za jego posądzenia, za okrutne z niewinnem dzieckiem postąpienie, i czuła to dobrze, że straciła dla niego szacunek i tę odrobinę życzliwości, jaką w niej czas, wspólne pożycie i okazywane jej dawniej ufność i przywiązanie wyrobiły.

Następująca okoliczność pogorszyła jeszcze jej humor, i kto wie, może odebrała na zawsze spokój jej sercu. Bo chociaż zewnętrznie tego nie okazała, i w stosunkach towarzyskich i światowych była równie spokojną, równie poważną, a gdy było trzeba, równie świetną i piękną jak dawniej, z gorzkich łez, które często skrycie wylewała, wnieść można, że to

było tylko wysilenie jej energicznej woli i gwałt niesłychany, który sercu swemu zadawała.

Gdy w parę dni po przybyciu ich z Mleczkowiec, Radłowski doniósł, że się Tadeuszek nie znajazł, Rozalia, dowiedziawszy się o tem od męża i zrobiwszy mu znowu wymówkę w guście tej, jaką od niej w koczu odebrał, poszła wieczorem do Widalskiej, żeby ją w jej smutku pocieszyć, Tam zastała Owsikowskiego, który z zapłakaną staruszką o wspólnem ich zmartwieniu rozmawiał. Rozalia, po krótkich odwiedzinach i upewnieniu Widalskiej, że się Tadeuszek znajdzie, i że ona sama przebłaga męża i wyprosi powrót dla biednego chłopczyny, zawołała z sobą Owsikowskiego do ogrodu i rzekła:

— Mój Owsikowski, słyszałam, żeś ty tego chłopca bardzo lubił.

— Proszę jasnej pani — rzekł stary, idąc koło niej bokiem — więcej może, Panie odpuść! kochałem go, jak moje własne dzieci.

— Pocieszałam ja Widalskę — mówiła dalej Rozalia — że pan da się przeprosić. Ale wątpię bardzo, bo się dziwnie jakoś na dziecko to zawziął. Wprawdzie skrzywdził on naszego syna i zrobił się zuchwałym. I mnie to przykro, i ja powinnabym się gniewać; ale mi żal biednej sierotki, jeśliby się to sponiewierało. Także, jeżeli się znajdzie, w rękach Radłowskiego nie chciałabym go zostawić.

— To człowiek zły — odpowiedział Owsikowski — a jego żona gorsza jeszcze od niego. Djabeł trzy pary butów schodził, nim ich dobrał.

— Chciałabym — mówiła, patrząc w ziemię — żeby można jak tego chłopczynę ztamtąd wydobyć.

— Żeby tylko się znalazł — odpowiedział uradowany Owsikowski — to jużbym ja na to znalazł sposób.

— Nie masz ty, Owsikowski — zapytała znowu — krewnych koło Winnicy?

— Nie mam żywej duszy — odpowiedział.

— To szkoda, a miałbyś pretekst wyprosić się u pana na parę tygodni, pokręciłbyś się cichaczem koło Mleczkowiec, tak żeby cię Radłowski i nikt we dworze nie widział; uprowadziłbyś z sobą Tadeuszka, któryby z tobą pewnie i na koniec świata poszedł, i ulokowałbyś go, jako swego krewnego w szkołach w Winnicy, lub gdzie i dalej, tak, żebyśmy tylko we dwoje wiedzieli, gdzie się malec znajduje. Na drogę i jego ulokowanie i oporządzenie dałabym pieniądze.

Tej insynuacji, wymówionej niby obojętnie, słuchał Owsikowski z iskrzącemi się oczyma, pociągał wąsy i uśmiechał się. Gdy skończyła, zawołał:

— Pan Bóg jasnej pani zapłaci na jej własnem dziecku! A ja dla takiego interesu znajdę i rodzonego brata koło Winnicy i nocy nie dośpię, żeby mi tylko mojego drogiego malca wyszukać i ulokować tak, żeby wyszedł na człowieka co się zowie.

Rozalia spostrzegła łzę w oku starego, odwróciła się i zaczęła iść prędzej. Potem zatrzymawszy się, dała znak Owsikowskiemu, aby się do niej przybliżył. Gdy byli w uliczce między dwoma kłębami tak,

że ich nikt widzieć nie mógł, wydobyła z za szlafroczka paczkę asygnat i rzekła z uśmiechem:

— Ponieważ się tej wyprawy podejmujesz, masz tu na drogę, na oporządzenie i ulokowanie Tadeuszka, którego mi doprawdy bardzo żal. Chociaż powinnabym się na niego gniewać. Ale to jeszcze dziecko, może się poprawi. Tylko proszę cię, nic o tem cośmy mówili, nie mów Widalskiej.

— Broń Boże! — odpowiedział Owsikowski — stara z radości wygadałaby się, choćby przed moją żoną, a za babski język nie można ręczyć.

Uwaga choć prawdziwa, ale nie była na swojem miejscu. Rozalia udała że jej nie uważa i mówiła dalej:

— Także przed panem bądź ostrożnym, żeby się nie domyślił. Gdyż powiadam ci, że pan na biednego chłopca bardzo się zawziął i nie może mu darować krzywdy Hipolitka. Mógłby się i na mnie rozgniewać i zabronić mi dalszego wspierania go. Wtenczas musiałabym naturalnie usłuchać i zostawić Tadeuszka jego losowi.

— Niech jasna pani będzie spokojna — odpowiedział — żywa dusza nie domyśli się niczego.

— Bądź zdrów Owsikowski, a jak przyjedziesz, daj mi jak o tem znać.

Rozalia poszła, a Owsikowski obaczywszy że w paczce jest trzysta rubli srebrnych, zawołał:

— Szlachetna, zacna pani! nie darmo coś świętego jest na jej twarzy, tak, że jak człowiek na nią patrzy, to chcąc nie chcąc myśli sobie, że nie z takiej gliny ulepiona, jak insze kobiety.

Nazajutrz Owsikowski, otrzymawszy od pana Klemensa urlop na tydzień, z pozwoleniem zabawienia i dłużej, jeżeliby tego była potrzeba, dostawszy od niego forszusu na drogę, tak dyplomatycznie interes wyłożył, który całą noc układał i przerabiał, wyjechał i w owem miasteczku, o którem wspomnieliśmy, a które do pana Klemensa nie należało, kwaterę sobie założył. Łatwo się czytelnicy domyślą, że poszukiwania, śledzenia, jeżdżenia w koło Mleczkowiec, rozpytywanie się ludzi, wysełanie do dworu szpiegów, podkradanie się w nocy pod same prawie okna ekonoma, wszystko to nic nie pomogło i na żaden ślad nie naprowadziło. Niezmordowany koniuszy, mając czas i pieniądze, dotarł aż do Winnicy; ale nie przewidując, aby bohater nasz w klasztorze księży Bernardynów o parę mil od tego miasta nocował, pytał się tylko po wszystkich karczmach, równie w samem mieście, jak i po drodze. Nikt nie mógł mu dać żadnej wiadomości i poczciwy Owsikowski, wycieńczony pracą, bezsennością, niepokojem, zmartwiony zatraceniem bez śladu biednego dziecka, które tak kochał i którego los i przyszłość miał w ręku, wymizerniały i blady jak trup szóstego dnia do domu powrócił.

Gdy przyszedł uwiadomić pana o swym powrocie, właśnie pan Klemens siedział po obiedzie na tejże wystawie, gdzie wprzód rozmawiał z Radłowskim; Rozalia jak dawniej siedziała na swojem krześle z robotą, a Hipolitek przechadzał się po alei z nowym swym guwernerem Francuzem, który przed dwoma dniami przybył z Paryża i z uczniem swym

zabierał znajomość. Był to człowiek jeszcze dość młody, ale blady, nizki, z dużym orlim nosem, z małemi zaciśniętemi wargami, ze spuszczonemi oczami w ziemię i przeczesanemi na czoło włosami. Miał dosyć wiadomości, umiał dobrze po łacinie i po grecku, ale mówił cicho i słodko, nosił zawsze długi surdut, nizko się kłaniał i gdy szedł, brał zawsze ukośną dyrekcję, robiąc prawą nogą krok większy niż lewą.

Pan Klemens, rzuciwszy okiem na Owsikowskiego, rzekł:

— Oj! mój Owsikosiu! coś djabelnie zmizerniałeś.

Owsikowski spojrzał na panią, która na niego nie patrzała, ale zajęta była robotą, i rzekł:

— At, tak to zawsze jaśnie wielmożny panie z krewnymi. Nagryźli mnie, namartwili, nazłościli, co mi się należy nie oddali, że zamiast zysku straciłem tylko tyle pieniędzy, którem z łaski jaśnie wielmożnego pana naprzód otrzymał, i nadszarpałem zdrowia, że przyjdzie może kilka dni poleżeć.

— No, idź, idź wypocznij, Owsikosiu! — rzekł pan Klemens — każ się wytrzeć dobrze wódką z mydłem, albo wykąp się w brazie i wyleż się po drodze, to będziesz zdrów i o krewnych zapomnisz. Najlepsi krewni człowieka, mój kochamy Owsikowski, to są jego dwie ręce.

— O! co to, to prawda jaśnie wielmożny panie — odpowiedział koniuszy.

— O forszusie, który wziąłeś na tę niefortunną drogę, nie myśl, każę go wykasować.

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu — odpowie-

dział wdzięczny sługa i skłoniwszy się do kolan pana, poszedł. Rozalia wprzód jeszcze powstała i przystąpiwszy do syna i guwernera, zaczęła z nim rozmowę. O szarej dopiero godzinie wyszła znowu do ogrodu, i spostrzegłszy Owsikowskiego niedaleko od wejścia do pokoików Widalskiej, gdzie na nią czatował, dała mu znak, aby się przybliżył. Spostrzegł biedny koniuszy, że była niezmiernie blada, gdy do niej smutny i z miną zdesperowaną przystąpił. Wtedy mu rzekła:

— Widzę, mój Owsikowski, żeś napróżno jeździł.

— Nie szczęśliwe dziecko! — zawołał oglądając się koniuszy — przepadło, przepadło!

Rozalia odwróciła się znowu i poszła prędko. Owsikowski szedł za nią o kilkanaście kroków, a gdy stanęła, czekając go między temi samemi klombami, przybliżył się i opowiedział jej, jakie robił poszukiwania i jak były daremne.

— Szkoda! — rzekła wówczas — biedny chłopczyna może się zmarnować, jeżeli się w złe ręce dostanie. A zdolności były i serce dobre.

— Anioł, nie dziecko! — rzekł płacząc Owsikowski.

— Idź, idź Owsikosiu! — odpocznij — rzekła ciszej i odwracając się od tych poczciwych łez, jakby jej były przykre.

— Tu są pieniądze, jaśnie wielmożna pani — mówił dalej stary oddając paczkę — nie miałem ich na co użyć.

— Schowaj je Owsikosiu, dla swego syna — rzekła jakby łamiącym się głosem — tylko nie mów nikomu, nawet żonie.

I poszła prędko ku pałacowi. Owsikowski został znowu przez chwilę na miejscu, patrzał za nią, i składając ręce zawołał:

— Święta kobieta!

Tymczasem Rozalia szła coraz wolniej, nogi się pod nią chwiały, oczy jej zachodziły mgłą, chwytała ręką powietrze, jakby szukając jakiej podpory, i gdy się zbliżała już do wystawy, ciemno się jej zrobiło zupełnie, siły ją opuściły i upadła zemdlona na twarz, uderzywszy się czołem o schód marmurowy, którego ostra krawędź zupełnie je przecięła. Pan Klemens był w salonie i usłyszał jęk i upadek. Wybiegł przestraszony i spostrzegłszy żonę leżącą, podnosić ją zaczął. Łatwo sobie wyobrazić jego przestrach, gdy ją obaczył całą krwią oblaną. Krzyknął przeraźliwie, zwołał ludzi, kazał ją wziąść i na łóżko zanieść, a najlepsze konie swe w różne miejsca po doktorów rozesłał.

Rozalia w kwadrans dopiero otworzyła oczy. Obmyto ranę. Pokazało się, że skóra na czole aż do kości przecięta. Zatamowali jak mogli krew, obwiązali jej głowę; a Rozalia ledwie po godzinie przyszedłszy do zupełnej przytomności, uspokajała męża z bolesnym uśmiechem, że to nic, że zaraz po obiedzie czuła się niezdrową, że się jej ciągle słabo robiło, że szukała świeżego powietrza w ogrodzie i do pokoju dojść nie mogła.

Pan Klemens chodził koło niej z największą troskliwością. Zbiegli się doktorowie, ratunek był dobry i w kilka tygodni rana zgoiła się. Ale na tem czole jasnem i pogodnem została blizna szeroka,

na którą codzień patrzyła ubierając się, z której ustawicznie, czy to w kompanii, czy na balu, gdzie była wystrojona, poważna i piękna, zapytującym ją tym wszystkim, co ją zawsze szanowali i czcili, zdawać musiała rachunek.

Gorszą, bo niezgojoną ranę miała w sercu Widalska. Wszystkie modlitwy już wyczerpnęła, łez już nie stawało, zdarł się sennik, którego się codzień radziła i zużyły się karty, któremi ciągnęła kabałę, wyglądając ze drżeniem, czy walet kierowy, który serdecznego jej chłopca wyobrażał, nie stanie przy damie kierowej i do boku się jej nie przyciśnie. Wprawdzie dochodziło ją wszystko, jak i dawniej, w życiu jej zewnętrznem żadnej nie było zmiany, nie rugowano jej z pokoików; nawet nie zabierano od niej rzeczy Tadeuszka, które były jedyną jej pociechą, które ciągle przeglądała, liczyła, coraz dogodniej układała, przyrządziwszy i odłożywszy na stronę czyste pończoszki, najlepsze sukienki, najlepiej wypraną i wyprasowaną koszulkę, aby go zaraz przebrać i wyświeżyć, skoro się zjawi. Ale wszystkie te przygotowania były daremne. Tadeuszek nie wracał, i serce dobrej kobiety usychało w smutku ciężkim, głębokim, który tylko jedna modlitwa cokolwiek łagodziła, a z którego dopiero śmierć miała ją zupełnie wyleczyć.

Taki był stan pałacu i oficyn. A Tadeuszek? zwyczajnie, jak dziecko zdrowe, z sercem wesołem i kochającem, choć nie zapomniał o Widalsi i o Owsikowskim, ale cieszył się światem bożym, po którym wędrował, i przywiązał się do swego nowego

opiekuna, którego mu przypadek, a pewniej Opatrzność, do której doszła jego ranna modlitwa, zdarzyła. Trzymając się za rękę brata Leona, który często spiżarnię swoją rozwiązywał, przeszedł zwolna całe Podole, wyminął Winnicę i Lityn, ale widział Latyczów, Proskurów, Międzyhorz; wstępował do kilku klasztorów, był nie w jednem probostwie, nocował w kilku dworach, a wszędzie worek jowialnego zakonnika napełniał się różnemi przysmakami, a nawet i takiemi, któreby dla dziecka zdrowsze i ponętniejsze były, jak kiełbasa i szynka. W jednym nawet z nich, niepokaźnym, nieogipsowanym nowomodnie, ale kryjącym złote serca pod dachem starym i słomianym, odziano bohatera naszego w sukienki, które pozostały po synku tych państwa, wyprawionym do szkół i mającym już mundurek. Ucieszył się brat Leon, jak gdyby skarb jaki wynalazł, gdy rano, kiedy Tadeuszek jeszcze spał, przyniosła służąca od pani parę cieńszych, choć już trochę starych koszulek, całą jeszcze kurteczkę, trochę wykoszlawione, ale jeszcze niezłe trzewiczki, pończoszki, nankinowe pluderki i kaszkiecik żółty z kwaścikiem.

— Surge puer! — wołał z rumianą i śmiejącą się twarzą Reformat, trzymając w ręku te *Spolia Opima*, któremi miał towarzysza swego ustroić. Wprawdzie kurteczka była trochę za ciasna, pluderki za krótkie, gdyż Tadeuszek był dorodny i silniej, jak pierwszy właściciel tych rzeczy, zbudowany, jednakowoż mógł je wdziać i wcale inaczej w ubraniu tem wyglądał.

Tym sposobem, bez żadnego wypadku, idąc zwolna i bez utrudzenia, przyszli dziesiątego dnia do Kali-

nowa, wielkiej wsi nad Słuczą, w Starokonstantynowskim powiecie, gdzie był klasztor XX. Reformatów, w którym brat Leon, chociaż braciszek, był figurą znaczną, bo generalnym konwentu plenipotentem i karmicielem szczupłej i ubogiej gromadki, która żyła z jałmużny i tylko na Niepokalane Poczęcie N. Panny, na św. Antoniego, na Porcjunkulę i na festyn św. Franciszka, założyciela zakonu, miała cztery większe odpusta, które biedną jej kasę zasilały.

Klasztor ten, fundacji Sapiehów, niezbyt wielki i wybudowany według zwykłej formy i planu Reformackich klasztorów, stał na samym brzegu tej wsi, mającej dziś kilku właścicieli, opasany był cały murem, i miał duży ogród fruktowy, który aż do Słuczy dosięgał. Znajdowało się w nim czterech księży mszalnych i dwóch braciszków. Zostawał on pod rządem gwardjana, łagodnego, ale chorowitego staruszka, którego prawą ręką i zupełnym we wszystkiem powiernikiem był brat Leon. Ten ostatni mieszkał już tu przeszło lat piętnaście; przez naturalny rozum, dobry humor i jaką taką znajomość łaciny, zjednał sobie prędko szacunek kolegów, a skoro użyty był na kwestarza, i po niejakim czasie wrócił z bryką tak pełną, że ledwie konie stępo iść mogły, przyjęty został z wiwatami i uniesieniami, posadzony na pierwszem miejscu przy gwardjanie, za tym stołem, który tak obficie opatrzył, i odtąd nie stracił tego miejsca w refektarzu; miał sobie powierzoną całą spiżarnię, całą kasę klasztoru i wszystkie jego interesa: Wśród takiego życia i zajęcia, nabrał tej

znajomości ludzi i umiejętności obchodzenia się z niemi, że wszędzie, gdzie się w okolicy pokazał, był gościem pożądanym, że nikt dla niego i jego braci nie żałował, i że przez cały ten przeciąg czasu nie tylko nie stracił przychylności okolicznych obywateli i zaufania swoich kolegów, ale owszem, urósł w jednem i drugiem i on właściwie klasztorem Kalinowskim zarządzał, choć nigdy tego po sobie nie pokazywał, i dumą lub próżnością żadnemu z przełożonych swych nie narażał się.

Tadeuszek, wsparty rekomendacją i przywiązaniem tak ważnej w klasztorze osoby, został przez wszystkich dobrze przyjętym. Nawet historja jego, przez brata Leona opowiedziana, zainteresowała zakonników tak, że postanowili nie używać go do żadnych posług cięższych i przykrzejszych, ale owszem, jako dziecię klasztorne, które im Bóg zesłał, aby mu w jego sieroctwie i opuszczeniu podali rękę, uczyć i wychowywać. Poznawszy, że choć żywy, ale najlepszego jest serca; że zdolności ma wielkie i pamięć ogromną, bo w przeciągu tygodnia nauczył się do Mszy służyć i nawet odpowiedzi na *Orate Fratres*, długiej i stanowiącej zawsze szkopuł dla niepojętych chłopców, nauczył się doskonale i zakończające ją: *Suae Sanctae* wymawiał tak głośno i energicznie, że się echo po całym kościele rozchodziło, postanowili rozdzielić pomiędzy siebie lekcje, i co który z nich najlepiej umiał, tego go uczyć. I tak, kaznodzieja uczył go gramatyki polskiej i katechizmu; ksiądz Paweł, który niedawno studja swe skończył i jeszcze nie wszystko zapomniał, uczył go

arytmetyki i geografji, inny, który ładnie pisał, dawał mu lekcje kaligrafji, łacinę zaś zostawił brat Leon sobie, a w jego nieobecności, która przy licznych klasztornych potrzebach często miewała miejsce, podjął się tego sam ksiądz gwardjan, który go tak polubił, że w swoich własnych pokoikach, których miał dwa, wybrawszy dobry kącik, tam kazał Tadeuszkowi postawić małe, skromne, ale nawet wygodniejsze łóżeczko, niż było to, na którem sam staruszek sypiał.

Odzieniem jego zajmował się brat Leon i z każdej wędrówki swojej w okolice, przyniósł to gotowych parę koszulek, to cienkiego płótna, to jaki surducik, to buciki lub trzewiczki. Słowem, że Tadeuszkowi na niczem nie zbywało, i garderoba jego, choć nie z jednej wsi pochodząca, choć nie wszystko dobrze przystawało i jedno było za buchaste, drugie za ciasne, była jednak liczna i prawie więcej miał, niż potrzebował.

Wśród pracy i zajęcia nie brakło czasu na bieganie i na swywole. Po kilku tygodniach już znał wszystkie kąty i kąciki klasztoru i ogrodu, zaznajomił się z konikami księdza gwardjana, był na strychu kościelnym, na wieży, znał imiona wszystkich Sapiehów, których portrety wisiały na kurytarzach klasztornych, wiedział, jaki święty jest w którym ołtarzu i kiedy przed którym z nich Msza się odprawia, organy zbadał dokładnie i bawił się niezmiernie temi dudami, które się tak głośno i przeciągle odzywały. Lekcji każdej uczył się niezmiernie pilnie, a różne miał do tego pobudki: raz, że go

to niewiele kosztowało — powtóre, że chciał co prędzej być swobodnym i robić to, coby mu się podobało — dalej, że brat Leon po przejrzeniu dzienniczka i obaczywszy, że wszędzie *optime*, prowadził go z sobą do apteczki, gdzie były jabłka, gruszki suszone, wiśnie smażone w miodzie, śliwki na rożenkach i z kminkiem, sucharki z cukrem i cynamonem, słowem, różne specjaliki, które teraz zewsząd zbierał, o które się nawet przymawiał, aby miał czem faworyta swego uraczyć i do pilności zachęcić. Wszakże oprócz tych wszystkich pobudek do pracy, była jeszcze jedna, daleko ważniejsza, o której następnie powiemy.

Przy takiem życiu, przy takiej bożej i miłości ludzkiej, wszystkie dawniejsze figle Tadeuszkowi wróciły. I tak, zdarzało się, że braciszkowi drugiemu schował szczotkę, którą zamiatał kościół, potem pomagał mu ją szukać, naturalnie znajdował i odbierał podziękowanie. Gdy tenże poszedł po wodę dla pokropienia kurytarza, on tymczasem, mając już przygotowaną koneweczkę, zawinął się i pokropił cały, a schowawszy się we framugę śmiał się z braciszka, który się żegnał i dziwił, że robota zrobiła się sama, czasem wykradł zakrystjanowi klucze od chóru i zaczynał grać na organach wtedy, kiedy wszyscy księża po obiedzie drzemali, i każdy zrywał się, dziwiąc się, że tak prędko czas schodzi i że już pora na nieszpory, gdy służył do Mszy i spostrzegł, że ksiądz Augustyn nie lubił wiele wody do wina, wylewał mu niby niechcący całą flaszeczkę wprzód, nim zdołał podnieść kielich i tę zbyteczną libacją

odbić; nawet opiekuna swego, którego tak jak Widalsię kochał, wprowadzał czasem w ambaras, za który go potem pieścił i przepraszał. Mimo to wszyscy go kochali, wszyscy gorliwie uczyli, wszyscy cieszyli się i jego wzrostem i postępem, i postanowili, przygotowawszy go dobrze, ugruntowawszy w pierwszych początkach o tyle ile mogli, zebrać mały fundusik, to od dobrych ludzi, to z odjęcia z własnych potrzeb, to z oddzielenia części z odpustowych skrzynek, oporządzić sierotę i kosztem żebrackiego klasztoru oddać do szkół do Krzemieńca.

Bóg błogosławił chęciom i zamiarom poczciwych zakonników, bo Tadeuszek uczył się, przejmował, rozwijał się, a i puszka blaszanna z napisem: *Dla sieroty*, rosła także, mnożyła się datkiem ludzkim każdego święta i niedzieli, a z każdej wycieczki brata Leona wracała ciężka i prawie pełna.

Ale najważniejszem w tym czasie zdarzeniem jest to nowa znajomość, którą bohater nasz wkrótce po przybyciu swem do Kalinowa zrobił, a która miała wielkiem szczęściem i większym jeszcze bólem młode serce jego napełnić i stanowczo na jego los i życie wpłynąć.

IV.

W Kalinowie, jak powiedzieliśmy, było kilku właścicieli. Nie będziemy opisywać ich życia i obyczajów, bobyśmy musieli powtórzyć obrazy skreślone w książce pod tytułem: Kollokacja. Ciekawych poznać, jakiemi byli i jak żyli ci drobni dziedzice,

których w wielu wsiach, zwłaszcza na Wołyniu, można było spotykać, odsełamy do wyżej wspomnionego dziełka. Ale, że wszędzie są ekscepcje, a natura ma niezaprzeczone prawo, jak każda inna władza, dawać pewne przywileje jednym, a odejmować je drugim, tak i w Kalinowie znalazł się jeden taki uprzywilejowany i stanowiący wyjątek dom, do którego czytelników naszych zaprowadzić musimy.

Najbliższą klasztoru była mała cząstka wsi, z dziesięciu tylko poddanych złożona, należąca do dwojga ludzi młodych, przystojnych, ukształconych i umiejących tak potrzebami swemi kierować, że szczupły dochód, jaki z tak maleńkiej własności mieli, i niewielki posagowy kapitał, wystarczał dla nich, dla dwojga dzieci, i dla starego ojca, który przy kalectwie swem ustąpił synowi wszystkich swych praw za życia, a sam pilnował tylko kościoła, i jeżeli miał z kim, grywał w warcaby.

Otóż ten syn i dziedzic owej spuścizny pobożnego i zupełnie głuchego staruszka, Franciszek Salezy Karpiński — szczególnym zbiegiem i z imienia i z nazwiska zbliżony do jednego z dawniejszych poetów naszych, który nietylko głową, ale i sercem pisał, miał w tym czasie trzydziesty czwarty rok życia i był w sile wieku i w samym kwiecie swojego domowego szczęścia. Używał on czerstwego zdrowia, które umiarkowane życie, ranne wstawanie, trud i praca koło roli utrzymywały. Był wysokiego wzrostu, rysy miał foremne, oko ciemne, pełne wyrazu dobroci i rozumu, włosy gęste, a we wszystkich ruchach to ułożenie zgrabne i miłe, które pod

prostą dymkową czamarką, jaką całe lato, nie dla oryginalności i imitacji pana Podstolego, ale z musu nosił, okazywało człowieka, coby się na najgładszej posadzce nie poślizgnął i umiałby usiąść bez przymusu i zmieszania na aksamitnym fotelu. Kochał on żonę swą nad życie i miał co kochać. Dosyć było spojrzeć na tę kobietę, aby przejąć się tą czcią, jaką wraża piękność, kiedy na czole jej jasnem leży spokój duszy, oddanej swym obowiązkom i czującej ich świętość; kiedy w oku błękitnem i łzawem błyska miłość dla męża i dzieci, kiedy na jej ustach koralowych i foremnych gnieździ się ten uśmiech dobroci, który rządzi całym domem, każdą pracę ułatwia, każdą przykrość osładza i złoci. Taką była w rzeczy samej Anna Karpińska, z domu Linkowska. Anna była słuszna, talię miała prześliczną, chód lekki i zgrabny, w każdym ruchu jej była gracja, którą daje natura, bo się w niej wyraża dusza, ale której zewnętrzny wyraz i formę wychowanie kształci i urabia. Głowę nosiła najczęściej odkrytą. ozdobioną tylko w jasne, gładko na czole przyczesane i w duży warkocz splecione włosy. Całe lato odziewał ją perkalikowy szlafroczek; ale wyglądała w nim tak, jak inna nie wygląda w atłasie, chociaż sama go podobno szyła i sama codzień własną ręką prasowała. Wtenczas tylko osłaniała delikatną i różowym rumieńcem ozdobioną twarz swą słomkowym kapeluszem, a rękę białą i wąziutką okrywała duńską rękawiczką, gdy wychodziła do gospodarstwa, gdy pilnowała roboty w ogrodzie i sama pomagała, gdy czasem musiała wyjść na łąkę lub w pole, dopatrzyć

i zachęcić kilku kosarzy, których mieli swoich, i kilkunastu żeńców, których się im zgodzić udało. Poświęcenie się jej obowiązkom tak było bezwarunkowe, że byłaby pewnie i tej ostrożności dla oszczędzenia płci swej nie przedsiębrała, gdyby nie prośba męża, który ją o to na kolanach błagał.

Ci szczęśliwi w mierności swej, a co ważniejsza, zasługujący na to szczęście ludzie, mieli dwoje dzieci. Synek Józio był w wieku Tadeuszka, a córeczka Sabinka o rok młodsza. Dwoje młodszych dzieci im umarło, więcej Pan Bóg im nie dawał, choć byli młodzi i zdrowi; zgodzili się więc z wolą Opatrzności i pielęgnowali tę maleńką parę, która stanowiła najsłodszy ich węzeł, a chowając się zdrowo i wesoło, dopełniało miary ich ziemskiego szczęścia.

Domek ich był mały, pokryty słomą; miał ganek drewniany przy którym rosły dwie lipy, dziedziniec zarosły trawą i z jednej strony przypierający do muru księży Reformatów, a z drugiej mający potrzebne zabudowania gospodarskie; z tyłu zaś ogród, który się ciągnął wzdłuż klasztornego ogrodu, oddzielony był od niego murem i także aż do Słuczy przypierał. Sam dom, był to ów dawny dworek szlachecki z sienią i spiżarnią we środku i z pięciu w około idącemi pokoikami. Trzy z lewej strony zajmowała Anna z dziećmi, w jednym z prawej strony mieścił się pan Franciszek ze swoją kancelarją gospodarską i z książkami, a w ostatnim, najustronniejszym i najcieplejszym, ulokowany był staruszek ojciec, ze wszystkiemi książkami do nabożeństwa i z kilkoma szachownicami, które sobie sam to na

stoliku, to na deszczułkach rozmierzał i malował, przemieniając to tę, to ową, jeżeli mu gra nie szła i na jednej przegrywał.

Jakkolwiek domek ten z pozoru miał minę ubogą i jaśniał tylko czystością ścian i okien, wewnątrz jednak, w pokoikach Anny widać było, że to mieszkanie kobiety ukształconej, której umysł potrzebuje zajęcia. Meble wprawdzie były proste i tylko perkalikiem okryte, ale na stoliku jesionowym przed kanapą leżały książki polskie, kilka francuzkich, które w owym czasie miały wziętość, a nawet tomik mniejszych poematów Byrona po angielsku. Prócz tych śladów ukształcenia i nauki w obojgu, widzieć jeszcze można było, że i sztuka, przynajmniej jednemu z nich, nie jest obca. Pod małemi bowiem okienkami tego pokoju stał wielki wiedeński fortepian, na którym mnóstwo leżało nut, a na ścianach, w prostych czarnych ramkach, były bardzo ładne rysunki sepią i akwarelą, z których jeden, jeszcze nieskończony, leżał na stoliku wraz ze wszystkiemi do tej roboty przyborami. W sypialnym pokoju było tylko jej łóżko, dwa duże portrety jej rodziców, i łóżeczka dwojga dzieci, a na środku stół okrągły, przy którym się dziatki te uczyły. Choć wszystko to było skromne i proste, ale wszędzie widoczna była taka staranność i czystość, że łatwo było wnieść, iż oko tej kobiety przywykło do ozdoby i elegancji, i że umiała każdą rzecz podnieść nie przez materję, bo na to ją nie stawało, ale przez szyk i formę.

To samo widać było i w ubraniu dzieci. Włoski ich były tak ładnie zaczesane, twarzyczki i rączki

tak czysto pomyte, sukienki tak przykrojone i przystające, że chociaż kurteczka chłopczyka była tylko z niegrubego szarego płótna, czarnemi sznurkami ozdobiona, a sukienka dziewczynki z bardzo prostego perkaliku, jednak oboje wyglądali na pańskie dzieci, około których chodzi wiele osób, i na których utrzymanie łoży się wiele pieniędzy.

Zkądże w tym zaścianku, pod bokiem ubogiego Reformackiego klasztoru, wzięła się tak dobrana, tak kontenta ze swej mierności para? Rzecz ta może zajmie tych, którzy z jakimkolwiek interesem przerzucili karty poprzedzające i spostrzegli, że w pałacu pana Klemensa, wśród nagromadzonych skarbów sztuki, wśród apartamentów jaśniejących kryształami, bronzami, złotem i marmurem, przy tak czarującej naturze, co go otaczała, przy krociowych dochodach, które się lały bez mozołu i zawodu, nie było jednak spokoju, nie było tej radości, co przenika sobą wszystkie chwile życia, równie jak światło dzienne do każdego przedziera się kącika i wszędzie cząstkę promienia swego zostawia. Postaramy się objaśnić ten fenomen, ponieważ ma związek z dalszym losem bohatera naszego; i mamy nadzieję, że czytelnicy nie posądzą nas o komponowanie jakichciś ideałów, nie mogących egzystować w danych społeczności naszej warunkach. Z niektórych szczegółów, które im tu podamy, przekonają się bez wątpienia, że tak wszystko być mogło; bo i było rzeczywiście, bośmy na to własnem okiem patrzyli i dotąd jeszcze, po tylu upłynionych latach, zachowaliśmy słodkie wspo-

mnienie kilku dni, pod tym szczęśliwym dachem przepędzonych.

W r. 1813, przy końcu czerwca, zjechało się do Krzemieńca wielkie mnóstwo obywateli z różnych okolic Wołynia i Podola na publiczny egzamin i na zamknięcie rocznego biegu nauk. Był to czas smutny dla tej szkoły, bo właśnie tegoż roku dnia 8 lutego umarł jej założyciel, Tadeusz Czacki. Wszyscy byli ciekawi obaczyć, jak też po jego śmierci szło jego dzieło, czy młodzież czuje stratę, jaką poniosła i czy pilnością i postępowaniem swem stara się dowieść mu po zgonie tej czci i przywiązania, jakie mu okazywała za życia. Między innemi znaczniejszemi osobami, przybyła i pani Poźnińska, niegdyś starościna Lipnicka, z domu Linkowska, z siostrzenicą swą Anną, panienką wówczas ośmnastoletnią i młodszym od niej o lat trzy bratem, który nie był w szkołach w Krzemieńcu, ale wychowywał się w domu jako jej faworyt i był pod okiem guwernera Francuza, który także miał u pani starościny łaskę i zupełną jej ufność.

Od pierwszego roku śmierci Czackiego zaprowadził się był w Krzemieńcu zwyczaj, który trwał aż do przeniesienia tej szkoły do Kijowa i przemienienia jej na uniwersytet, że po skończeniu publicznych egzaminów, które ciągnęły się przez dni pięć, dzień ostatni przed uroczystem zamknięciem szkoły i oddaniem nagród uczniom, poświęcony był obchodowi żałobnemu za duszę założyciela. Wtedy ogromny pojezuicki kościół przybierano w żałobne światła; na środku pod wysoką kopułą wznoszono wspaniały

katafalk, cała świątynia napełniała się młodzieżą okrytą krepą, zbierali się rodzice, krewni i mieszkańcy miasta w czarnych i poważnych sukniach; a gdy się Msza rozpoczęła, wszyscy profesorowie w mundurach, przewiązanych żałobą, stawali ze świecami po obu stronach katafalku, a obok nich we dwa rzędy klękali uczniowie, począwszy od najmniejszych do najstarszych, wybrani po czterech z każdej klasy i każdego kursu, z pomiędzy najpilniejszych, a zatem najgodniejszych reprezentować żal kolegów i modlić się najbliżej grobowca wspólnego ich dobroczyńcy. Gdy się Msza skończyła, wstępował na ambonę znakomity szkoły tej kaznodzieja, ksiądz Prokop i tym głosem przenikającym i rzewnym, który się wciska do każdej piersi, uczył młodzież obowiązków wdzięczności i wrażał w serca jej pamięć człowieka, który żył tylko dla niej. Był to obchód dla wszystkich uczniów szkoły krzemienieckiej niezmiernie uroczysty i ważny; żaden go nigdy nie opuścił i żaden przed dopełnieniem tego obowiązku, który dla siebie uważał za święty, nie wyjechał z miasta, choć go wakacje wabiły i pieszczoty matki czekały.

Zdarzyło się, że w tym czasie, o którym mówimy, w rzędzie uczniów klęczących przy katafalku, ostatni jako najstarszy, klęczał młodzieniec dorodny, pięknych rysów i wyrazu twarzy, który jawnie mówił o jego głowie i sercu. Nie daleko zaś od niego, na pierwszej ławeczce pod amboną, siedziała przy poważnej i czarno ubranej damie panna piękna, także dorodna i mająca w niebieskich oczach tyle duszy, tyle współczucia dla żalu i żałoby młodzieży, że wszystkich

bliższych oczy na siebie zwróciła. Młodzieniec ów jednak, choć spojrzał na nią i zastanowił się chwilę, skoro się Msza zaczęła, już więcej nie podniósł głowy, modlił się gorąco i często ocierał łzy, które piękne lice jego zalewały. Mógł on mieć wówczas dwadzieścia trzy lat, zdawał się zupełnie dojrzałym i poważnym, a ta pokora jego modlitwy, te łzy dziecka, które wylewał, takie na pannie zrobiły wrażenie, że wzruszona do głębi duszy i jego widokiem i powszechnym smutkiem, sama się rozpłakała. Było to właśnie w tej chwili, kiedy ksiądz Prokop się odezwał. Wszyscy powstali, młodzieniec powstał także, podniósł głowę ku ambonie, spostrzegł znowu patrzącą na siebie pannę i w tem krótkiem mgnieniu promień jej błękitnego i łzą zaszłego oka wpadł do jego duszy i został w niej na zawsze.

Nazajutrz odbywał się obrząd uroczysty rozdania nagród w sali bibljotecznej, która przez swoją wielkość, piękność form, zbiór kosztowny zabytków nauki i genjuszu, wizerunki ludzi znakomitych różnych wieków i narodów, nad każdą szafą umieszczone, silne na wszystkich młodych robiła wrażenie. Ustrojona była tym razem równie świetnie jak i dawniej. Pod wielkim portretem cesarza Aleksandra, w głębi zawieszonym, stał stół czerwonym aksamitem ze złotą frendzlą okryty, na nim leżał dyplom przez wielkiego monarchę szkole tej nadany, tudzież medale, książki i inne nagrody dla uczniów. Na prawo wznosiła się mała mownica, dla czytającego rozprawę profesora, a od niej rzędem szły krzesła, na których pozostali siedzieli. Na lewo, przy stole, siedział bi-

skup Łucki, potem stało próżne krzesło, dalej siedzieli członkowie komisji edukacyjnej, potem obaj zwierzchnicy szkoły, a za nim rząd dam w stosownych i pięknych strojach, z uśmiechem macierzyńskim na ustach, grono panien, upatrujących w tłumie młodzieży braci i krewnych, a za wszystkiemi widne były poważne i zainteresowane twarze ojców, krewnych i masa publiczności przyjezdnej i miejscowej. Nic nie brakowało, tylko na owem próżnem krześle tej wysokiej i giętkiej postaci, z niebieską wstęgą pod rozrzuconym mundurem, tej głowy łysej na tył wygiętej, tej pięknej i wyrazistej twarzy z przymrużonemi oczami, z których jednak bił promień rozumu i dobroci, i tego donośnego głosu, który rzucał perjody krótkie, ucięte, a wrażające się jak połyski prawdy do serc młodych i do umysłu starszych słuchaczów.

Gdy się rozprawa skończyła i ksiądz biskup, przypominając w krótkich słowach ten brak, jaki wszyscy czuli, przemówił; powstał ówczasowy prefekt szkoły, którego poważną postać wszyscy Krzemieńczanie tak dobrze pamiętają, i wezwał ucznia, który w ostatnim kursie nauk na medal złoty zasłużył. Rozstąpiła się młodzież i otworzyła miejsce dygnitarzowi swemu, winszując mu w przechodzie nagrody, której go wszyscy godnym sądzili, i wówczas wystąpił ten sam młodzieniec, który się wczoraj tak pobożnie modlił i może trochę z roztargnieniem kazania słuchał. Szedł on skromnie, jednak nie bojaźliwie przez salę, wśród tego świetnego grona; przechodząc jednak spojrzał w to miejsce, z którego

już dawno nie spuszczał oka, i wtedy dwie twarze, równie młode, równie piękne, okrył rumieniec, którego nikt nie uważał i którego nikt nie rozumiał. Tym młodzieńcem był Franciszek Salezy Karpiński, a tą panną, którą łzy jego rozrzewniły, a jego tryumf okrył rumieńcem szczęścia, była Anna. Serca ich poznały się w chwilach bardzo uroczystych, to też ta miłość, która tam we łzach wdzięczności powszechnej i czci jakiejś wyższej wzięła swoje źródło, nie straciła nigdy charakteru świętości i powagi.

Był także zwyczaj w Krzemieńcu, że celującemi uczniami, którzy otrzymali nagrody, a zwłaszcza w medalach i akcesytach do medalów, wszyscy chętnie się zajmowali. Zapraszano ich do najcelniejszych domów, dopytywano się, kto ich rodzice? jakie widoki nadal? i jeżeli to byli ludzie ubodzy, co się najczęściej zdarzało, chociaż w Krzemieńcu i panicze musieli się dobrze uczyć, jeżeli wielce przykrych a często dowcipnych szykan uniknąć chcieli, wtedy starano się im pomagać, to radą, to rekomendacją, to innemi środkami. Tym sposobem i młody Karpiński zarekomendowany został pani Poźnińskiej, starościnie Lipnickiej, aby bratankowi jej wykładał język polski i uczył go matematyki.

Wszystko złożyło się tak, jak gdyby rzecz tę jaki poczciwy autor romansu układał. Jakoż pani starościna, która nie lubiła Krzemieńca i wygadywała na szkołę Bóg wie co, może tylko dla tego, aby mieć pretekst nie posłać tam siostrzeńca i zachować przy nim guwernera, przyjechała właśnie wtedy, kiedy nasz młodzieniec studja swe kończył, kiedy musiał

w ostatnim rzędzie klęczyć przy katafalku i pierwszy wystąpić publicznie, aby się wszystkie oczy na niego zwróciły, a mianowicie te, co z nim razem miały ochotę uradować się i zapłakać. Taż sama pani starościna, która była przekonana, że dla młodego człowieka, mogącego mieć przeszło sześćkroć, dosyć jest, jeżeli umie doskonale po francusku, ładnie tańczy i nieźle na koniku jeździ — gdy spostrzegła że w Krzemieńcu nawet młodzi hrabiowie i książęta tłómaczyli się wyborną polszczyzną, rozwiązywali zagadnienia matematyczne, robili przed damami doświadczenia fizyczne i chemiczne, i każde umieli gruntownie objaśnić, postanowiła wziąć do domu jednego z lepszych uczniów, aby i synowi jej brata podobnego udzielił światła. Wybór jej padł na młodego Karpińskiego, którego medal złoty przed innymi odznaczył. Nie domyślał się on nawet, jak wielkie los mu przygotował szczęście, gdyż umowa stanęła tego samego dnia, kiedy była uroczystość w domu Józefa Drzewieckiego, najgorliwszego pilnej młodzieży opiekuna, *) i zaraz po świetnym obiedzie, danym przez niego dla uczniów medalowych, na którym między innymi poważnymi gośćmi i pani starościna Lipnicka znajdowała się. Nie miał więc nawet czasu piękny i fetowany młodzian dowiedzieć się, że ta, której błękitne oko zajrzało do jego duszy,

*) Mamy osobisty powód wspomnieć z wdzięcznością szanowne nazwisko tego weterana, którego interesujące Pamiętniki znajdą czytelnicy w Athenaeum na rok 1850.

była właśnie siostrą przyszłego ucznia jego i z nim się razem w domu ciotki wychowała.

Jeszcze tego samego wieczora wyjechał on z kilkoma kolegami do Kalinowa, dla odwiedzenia starego ojca i wypoczynku po pracach szkolnych, a dopiero we trzy tygodnie przybył do okazałego domu pani starościny, znanej w całym Zasławskim powiecie ze swej próżności i dumy, ale przytem niegłupiej i starannie wychowującej dzieci brata, który był od niej daleko uboższy, a i to co miał, znacznie nadszarpał.

Pani ta była od lat dziewiętnastu wdową. Kiedyś piękna, wielka elegantka, mająca wytrzymałość Polki i przebiegłość kobiety bezdzietnej, wyrobiła sobie wcześnie zapis półtoramiljonowego majątku od męża, który ją bardzo kochał i dla jej miłości o wszystkich krewnych zapomniał. Gdy brat jej umarł, a dzieci jego zostały sierotami, wzięła je do siebie, u siebie wychowywała i przeznaczyła im w myśli spadek po sobie, jeśliby jej nie przyszło do głowy pójść za mąż, a zatem własne mieć dzieci. Ale starościna za mąż nie poszła, a dzieci brata podrosły. Anna wychowała się na pannę dziwnie piękną, rozumną, najlepszego serca i najszlachetniejszego sposobu myślenia; brat zaś jej, który podrastał także, robił się dowcipnym, szyderskim i dumnym jak ciotka, a łakomym jak ten Francuz, który go wychowywał. Mimo tę różnicę w obojgu, którą ciotka dobrze widziała, mimo wielkie i wyłączne przywiązanie, jakie do młodego chłopca powzięła, nie miała jednak zamiaru krzywdzić Anny i podzieliwszy cały swój ma-

jątek na dwie równe części, ogłaszała publicznie, że każdemu z nich przeszło po sześćkroć daje.

Taki to był dom, do którego młody Karpiński przybył. Gdy zobaczył tam Annę, gdy się dowiedział, że z nią pod jednym dachem mieszkać będzie, a nawet polskiej literatury uczyć, przeląkł się biedak swojego położenia, zbladł jak ściana przy pierwszem powitaniu; a chociaż ucznia swego znalazł pojętnym i ochotnym, chociaż starościna była dla niego bardzo grzeczną, a nawet Francuz nie bardzo z góry go traktował; chociaż Anna okazywała mu tak naturalną, ale razem tak ostrożną uprzejmość, że mu żadna zuchwała myśl do głowy przyjść nie mogła, czuł się jednak nadzwyczaj nieszczęśliwym. Życie takie, które go niezmiernie męczyło, trwało kilka miesięcy, w ciągu których przekonał się, że dla serca jego nie ma rady, że mu żadne walki i wysilenia nie pomogą, że nie mając żadnego prawa łudzić się jakąkolwiek nadzieją, trzeba uciekać, aby resztki zgruchotanego spokoju i swobody umysłowej ocalić.

W tym czasie zdarzył się pannie Annie konkurent, człowiek już nie pierwszej młodości, ale bogaty i z imieniem. Że miał ze trzy razy tyle, co jej posag wynosił, a przytem imię, które do historyczności miało pretensje, sądził, że bez długich ceremonij i nadskakiwań obejdzie się i pobywawszy parę tygodni oświadczył się prędko o rękę panny, chociaż z nią o tem ani słowa nie mówił, i widział, że go bardzo zimno traktuje.

Ciotka przyjęła oświadczenie jego z wielką radością i uszczęśliwieniem. Uważała ona wprawdzie,

że Anna mizerniała, była często zamyślona, miała nawet niekiedy oczy zapłakane; spostrzegła także kilka razy, że gdy młody Karpiński do pokoju wchodził, czerwieniła się, a nawet złapała ją raz na takiem zapatrzeniu się na młodzieńca, gdy głośno w salonie czytał ciekawy jakiś numer gazety, że ją aż nieznacznie ostrzegła; ale nigdy jej nawet do głowy nie przychodziło, aby serce panny zrobiło już stanowczy wybór i żeby mogła odrzucić partję tak świetną i tak dla wszystkich matek pożądaną.

Wszakże stało się tak, jak się starościna nie spodziewała. Anna odmówiła, prosząc ciotki, aby o żadnem dla niej postanowieniu nie myślała wcale. To ostatnie ubodło ją i rozgniewało. Rzekła więc:

— Czyś już pośpieszyła się i zrobiła wybór bez mojej wiedzy?

— Być może, moja ciociu! — odpowiedziała Anna skromnie — niech cię to nie obraża, gdy powiem, że w tej mierze, jakkolwiek twoja rada i rozkaz jest ważnym, ale głos mego serca, który się w niem odezwał wtedy, gdym się modliła i płakała, uważam za ważniejszy, i poczytuję go za święte natchnienie, przeciwko któremu iść nie śmiem.

— Proszę! — odpowiedziała ironicznie ciotka. — Czy to nie z lekcji literatury polskiej biją do panienki te głosy.

— Zkądkolwiek biją, moja ciociu — odpowiedziała Anna czerwieniąc się — dosyć, że je słyszę i słuchać ich postanowiłam.

— Byłażbyś doprawdy tak głupią! — rzekła rozgniewana starościna — żebyś odrzuciła tak znakomitą

partję dla miłości jakiegoś echa, które się do ciebie może z ławki szkolnej odzywa?

— Odrzucam ją stanowczo — odpowiedziała Anna.

— Nawet wtedy — rzekła starościna, przystępując do niej — gdybym ja przyzwolenie twoje położyła za warunek moich dobrodziejstw i całej po mnie spuścizny?

— Dobrodziejstwa twoje cenię moja ciociu, szczególniej wychowanie, któreś mi dała — odpowiedziała panna, całując ją w rękę — ale za posag, jaki mi możesz naznaczyć, nie sprzedam spokoju całego życia.

— Więc będziesz miała odwagę — mówiła dalej starościna z gniewem i szyderstwem — wyrzec się sześciukroć i zostać tylko przy czterdziestu ośmiu tysiącach, które ci zostawił ojciec?

— Będę ją miała moja ciociu — odpowiedziała Anna — bylem była panią swej woli i mogła oddać rękę moją temu, którego kocham.

— To jest temu studentowi — zawołała szydząc starościna — któremu dobrze natrę tego krzemienieckiego czuba, że nie mając może papierów szlacheckich, i tylko dziesięciu lichych poddanych, śmiał oczy podnieść na ciebie.

— Źle zrobisz, moja ciociu — rzekła Anna ze łzą w oku. — On na żadną wymówkę nie zasłużył, bo o tem nie wie, co dla niego czuję.

— Więc śmiesz przyznać się, że tego żaka kochasz?

— Wiesz dobrze, moja ciociu — odpowiedziała Anna z bolesnym uśmiechem — że to nie żak, ale młody człowiek dojrzały, skromny i pełen przymiotów,

któreś sama oceniła. Że go kocham, tego się nie wstydzę i przyznaję się chętnie.

— Vous êtes libre, mademoiselle! — odpowiedziała, trzęsąc głową ze złości! — Rób jak chcesz. Ale co powiedziałam, dotrzymam! — i poszła trzasnąwszy drzwiami tak, że aż się okna zatrzęsły.

Młody człowiek, o którego szło, i który nie wiedział wcale, jak dalece jest szczęśliwym, myśląc tylko o tem, jak przeniesie cios, który mu zagrażał, jeżeli konkurent przyjętym zostanie, chodził smutny po swoim pokoju i spoglądał na swoje manatki, które wkrótce trzeba będzie zebrać i gdzie indziej szukać ciężkiej pracy, aby ulgę bólowi przyniosła. Wtedy lokaj wezwał go do pani. Gdy przed nią w salonie jej stanął, spostrzegł, że mocno zmieniona, i że coś nadzwyczajnego się stało. Starościna, zmierzywszy go okiem i nieprosząc nawet aby usiadł, rzekła:

— Ładnie się pan Karpiński popisuje; z pięknemi zamiarami pan Karpiński wszedł tu do mego domu, gdzie, jak spodziewam się, znalazł pan Karpiński lepsze przyjęcie i obchodzenie się, niż na to pan Karpiński przez swoje urodzenie i naukę zasłużył. Powinienby pan Karpiński o tem pamiętać, żem pana Karpińskiego z ławki szkolnej wzięła.

Tak napadnięty i tylokrotnie nazwany młodzieniec, zmięszał się cokolwiek; ale że go zabawił ten chwalebny zwyczaj naszych panów, którzy mówiąc do biedniejszych, a zwłaszcza z wymówką lub obrazą, ustawicznie przypominają im ich nazwisko, snać dla tego, aby nie zapomnieli, że jest nagie,

bez żadnego tytułu i brzmi niehistorycznie, uśmiechnął się, i zapytał z zadziwieniem:

— Proszę pani starościny! cóż się to takiego stało?

— Pan Karpiński śmie uśmiechać się! — rzekła, porwawszy się z miejsca, i stanąwszy w imponującej postawie — czy pan Karpiński myśli, że ja nie widzę dobrze, że zamiast uczyć brata, za co panu Karpińskiemu płacą, pan Karpiński zawraca oczy na siostrę i śmie sobie wyobrażać, że ona dla niego! To rzecz niepojęta! — dodała ruszając ramionami. — Co też to za prezumpcje roją się pod temi czubami Krzemienieckiemi *).

— Zkądże pani starościna wnosisz — rzekł oburzony tem ostatniem wyrażeniem młodzieniec — że

*) Czuby Krzemienieckie, był to wyraz techniczny na oznaczenie mniemanej zarozumiałości wychowańców tej szkoły. Powtarzali go bezwzględnie wszyscy nieprzychylni temu instytutowi, lub ci, którzy go nie znali. Do pierwszych należała Starościna, i od niej zapewne z ustnej rozmowy, a może z późniejszej korespondencji, przyswoił to wyrażenie jeden ze znakomitszych pisarzy naszych, użył go w sensie ubliżającym i wydrukował na wieczną dla potomnych czasów pamiątkę. Bardzo zkądinąd szanujemy tego pisarza, jak równie dwóch innych, którzy zdanie jego w tej mierze podzielając, drukiem je ogłosili. Dla tego jak najuprzejmiej przepraszamy tę znakomitą, a niegdyś solidarną trójkę, że czyniąc w niniejszej powieści niektóre wzmianki o szkole Krzemienieckiej, a nadewszystko o życiu studenckiem jej uczniów i ich obyczajach, rozminiemy się w zdaniu, i nie tak pisać będziemy, jak oni pisali, ale tak jak było.

taka prezumpcja i pod moim czubem zrodziła się? Nie sądzę, aby panna Anna skarzyła się na moją zuchwałość. Bo cokolwiek w mojem sercu dzieje się, o tem nikt nie wie, tylko moje serce.

— Tak, ładnie nikt nie wie! — zawołała starościna — kiedy przez to głupstwo, które jej zajechało w głowę, odrzuciła taką partję, jaka się jej zdarza.

— Czy to być może? — krzyknął uradowany młodzieniec, klasnąwszy w ręce.

— Nie ma czego pan Karpiński tak nadzwyczajnie się cieszyć — odpowiedziała starościna. — I proszę bardzo, abym pana Karpińskiego jutro w domu moim nie widziała. Dziś jeszcze odbierze pan Karpiński resztę, co mu się należy, a jutro o siódmej konie będą gotowe, co pana Karpińskiego do jego dóbr odwiozą — dodała szydersko.

— Jedź pan — rzekła wówczas zbliżając się Anna, która od niejakiego czasu we drzwiach otwartych salonu stała. — Jedź pan i w dworku swego ojca przygotuj pokoik dla swojej żony.

— Głupia! będziesz żałować tego romansu, ale po czasie. Ja umywam od tego ręce! — zawołała starościna w największym gniewie i wyszła.

Wtedy młodzieniec, który dotąd stał jak odurzony, upadł przed Anną na kolana, ucałował jej rękę, a ona, uśmiechnąwszy się do niego tym uśmiechem, w którym kobieta kochająca tyle wymowy zamknąć umie, wybiegła z pokoju.

Wieczorem odebrał młody człowiek od niej list, w którym mu opisała rozmowę swą z ciotką, w którym go prosiła, żeby jej tego nie liczył za wielką

bardzo zasługę, że się wyrzekła darów ciotki, gdyż ją mierność wcale nie straszy, a jego mająteczek i jej mały posag wystarczą im na dostateczne utrzymanie.

Takie to okoliczności i takie uczucia skojarzyły tę zacną parę i umieściły w tym dworeczku, któryśmy wyżej opisali. Ani ciotka, ani jej brat nie byli obecni na ślubie Anny, który się odbył w Zasławiu, w obecności oficjalistów starościny, i jednej młodej mężatki, przyjaciółki Anny, która jej nie odstąpiła, i w swojej karecie aż do mieszkania męża do Kalinowa odwiozła. Starościna odesłała jej akuratnie czterdzieści ośm tysięcy, które jej po ojcu pozostały, wszystkie jej książki, rysunki, garderobę i fortepian, za co jej szczególnie była obowiązana. Ale minęło lat kilka, a żadnem słówkiem nie dała jej poznać, że się pragnie zbliżyć, lub da się przeprosić. Anna pisywała do niej co rok na jej imieniny. dziękując za dane jej takie wychowanie, że ją do używania najzupełniejszego szczęścia tak dobrze usposobiła, ale nie prosiła nigdy o przebaczenie tego postępku, który uważała za natchnienie Boże i szczęśliwy dla siebie dar nieba. W takim stanie było wszystko aż do roku 1822. W tym to roku starościna umarła; brat Anny objął trzy części jej fortuny, a z czwartą Francuz wyjechał do Normandji, gdzie sobie *un beau château* kupił. Brat Anny przyszedłszy do lat zupełnych, zrobił się jeszcze łakomszym, niż był dawniej, w rok po śmierci ciotki ożenił się z jakąś hrabianką, i wyjście za mąż siostry uważając za mezalians, wyrzekł się jej zupełnie, nic

ze spadku ciotki nie udzielił i wymawiał zawsze z urąganiem nazwisko Karpińskiego. Sądził pan Edward Linkowski, że lin jest coś lepszego od karpia, i w tem się oczywiście pomylił. Ale, mój Boże! wieluż to u nas jest linów, którzy gardzą karpiami! Wszakże na tem nieludzkiem postępowaniu brata, zacni małżonkowie nic nie stracili. Został im kawał ziemi urodzajnej, kilkanaście rąk pracowitych i czterdzieści ośm tysięcy, co wszystko do ich utrzymania stało się dostatecznem, tem bardziej, że z dworku ojcowskiego wyrugowali najprzód wszelką próżność i pretensję, starali się ozdobić go tylko ochędóstwem i czystością, uprzyjemnić pracą i nauką, upoetyzować miłością i wdziękiem, a uświęcić wiarą i czcią dla obowiązków małżeńskich i rodzicielskich. Czyż to rzecz dziwna, że byli szczęśliwi, choć na małej cząstce Kalinowa i pod murem ubogiego klasztoru księży Reformatów? Mamy nadzieję, że czytelnicy nie wezmą nam za złe, żeśmy się cokolwiek dłużej zatrzymali nad tym obrazem, który stanowi prawą stronę społeczności Wołyńskiej. Pokazując dość często jej stronę lewą, sądziliśmy, iż jest naszym obowiązkiem i tę odsłonić, aby nam kto niesprawiedliwości nie zarzucił i o stronność nas nie posądził. Zrobiliśmy to tem chętniej, żeśmy nie potrzebowali łamać sobie głowy na wykomponowanie czegoś, co nie egzystowało, bo obraz ten był gotowy i żył w naszej pamięci. Tak usprawiedliwiwszy się, wracamy teraz do naszego bohatera.

Tadeuszek we trzy tygodnie po przybyciu swem do klasztoru, lustrując wszystkie jego kąty, zbiegł

raz przed wieczorem do ogrodu, wlazł na stojącą przy samym murze jabłoń i próbował, czy prześliczne, rumiane jabłuszka, któremi była obsypana, już dojrzałe, czy można się niemi uraczyć, i o wynalazku tym księdzu gwardjanowi donieść. Za murem posłyszał dwa miłe głosiki, które między sobą rozmawiały.

— Józiu! — mówił jeden głosik — patrz-no, jakie tam śliczne jabłuszka w ogrodzie księży. Już muszą być dojrzałe, bo ojciec mówił, pamiętasz, że jabłka wtenczas dojrzałe, kiedy z jednej strony żółte, a z drugiej czerwone. A tam już dużo takich żółtych i czerwonych. Widzisz Józiu!

— Widzę — odpowiedział drugi głosik, który jakoś nie tak miło brzmiał w uszach Tadeuszka, jak pierwszy — ale jak ich dostać?

— Żebyś czem rzucił — mówił pierwszy głos — to możeby które tu upadło.

— Jaka ty jesteś swywolna, Sabinko — odpowiedział drugi głos — czyż można rzucać do cudzego ogrodu? Jak przyjdzie do nas ksiądz gwardjan, albo brat Leon na warcaby do dziadunia, wtenczas poprosisz go, to ci da.

— Kiedy to będzie! — odpowiedział pierwszy głosik — a jabym chciała teraz.

W tej samej chwili najpiękniejsze z całego drzewa jabłko, z jednej strony żółte, a z drugiej rumiane, upadło na uliczkę, na której dzieci stały, i potoczyło się pod nogi Sabinki. Krzyknęła dziewczynka z radości, klasnąwszy w dłonie i podejmując je, zawołała:

— Widzisz Józiu! jakie to poczciwe drzewo! le-

psze niż ty; samo rzuciło mi jabłuszko. A jakie śliczne! a jakie słodkie! — I wówczas, jak druga Ewa, sama jadła i dała jeść bratu. Józio skosztowawszy że dobre, rzekł:

— Żeby to twoje poczciwe drzewo i dla mnie rzuciło jabłko! bo bardzo smaczne i już dojrzałe. Patrz, ziarneczka czarne — i oboje patrzyli, czekając; ale drzewo ich nie usłuchało. Wtedy swywolna dziewczynka, podniósłszy rączkę i kiwając nią z prośbą, zawołała:

— Drzewo! drzewo! daj mi jeszcze jedno jabłuszko, proszę cię! — i w tej chwili jeszcze jedno jabłuszko upadło blizko zadziwionej już, i cokolwiek przestraszonej Sabinki.

— To ktoś musi rzucać — rzekł rozsądniejszy Józio. — Chodź Sabinko, żeby się mama nie gniewała.

Podjęła dziewczynka swoje jabłko i poszła za bratem, oglądając się jednak na tę jabłoń, która życzenia jej rozumiała i słyszała jej prośbę. Tadeuszek wówczas, wysunąwszy się, oparł się na murze, i patrzył za odchodzącemi dziećmi, ścigając szczególniej okiem śliczną dziewczynkę, której ciemne pukle trzęsły się, gdy się jeszcze parę razy na dobroczynną jabłoń obejrzała.

Ta scena zabawiła bardzo małego figlarza. Filuterny uśmiech biegał po jego ustach, gdy sobie myślał, jakie musiało być dzieci tych zadziwienie, i jakie teraz między sobą prowadzą rozmowy o tem doskonałem drzewie, co nie tylko dobre jabłka rodzi, ale i samo je rzuca. Nic jednak o wypadku tym nikomu nie powiedział, ale nazajutrz znowu,

o tej samej porze, wlazł na jabłoń, i przyczaiwszy się, czekał. Józio i Sabinka, bojąc się zakazu chodzenia pod drzewo, nic także nie powiedzieli matce, ale postanowili nazajutrz pójść znowu i przekonać się, czy ono doprawdy takie rozumne, że jak go kto poprosi, to samo rzuca jabłka. Gdy przyszli, zastali już jedno jabłko na ziemi, rzucone jakby dla przynęty. Józio pierwszy je spostrzegł i pierwszy uchwycił. A gdy się Sabinka o swoją część dopominała, nie chciał jej dać, mówiąc: że może sobie poprosić, to jej drzewo da, a jego nie rozumie i słuchać nie chce. Wtedy Sabinka przybliżyła się do muru, kilka jabłek najpiękniejszych upadło przy jej nóżkach, a ona zadziwiona podniósłszy główkę, spostrzegła na murze jasną, kędzierzawą główkę, rumianą jak same jabłka twarz i duże błękitne oczy, które na nią śmiejąc się patrzały.

— Józiu! Józiu! — krzyknęła wówczas — patrz, tam ktoś jest. To nie drzewo rzucało jabłka.

— Ja ci zaraz mówiłem — odpowiedział chłopczyk, i zbliżywszy się zapytał: — Kto ty jesteś?

— Ja? — odpowiedział mały figlarz, stając na murze i trzymając się gałęzi — ja jestem Tadeuszek. Przywędrowałem do tego klasztoru z bratem Leonem zdaleka. A wy kto?

— My tu mieszkamy. To nasz ogród.

— Jakże ty się nazywasz? — zapytał Tadeusz.

— Ja nazywam się Józio.

— A ona? — rzekł znowu ciekawy malec, patrząc z uśmiechem na dziewczynkę, która nie spuszczała z niego ciemnego i dużemi rzęsami ocienionego oka.

— To moja siostra, Sabinka — odpowiedział Józio — przyjdź do nas, będziemy się razem bawić.

— Dobrze, jak brat Leon pozwoli — odpowiedział Tadeuszek.

— Ja poproszę sam brata Leona — mówił Józio — jak przyjdzie do dziadunia na warcaby.

Tym sposobem dzieci te poznały się prędko, bez długich ceremonij i rokomendacyj, jak zwyczajnie dzieci. Tadeuszek tego samego dnia opowiedział całe zdarzenie bratu Leonowi, Józio opowiedział je ojcu i matce; Sabinka tylko milczała i myślała czasem o drzewie, które samo rzuca jabłuszka. Pan Franciszek, nie wiedząc co za chłopczyk znajduje się w klasztorze i bojąc się, aby sąsiedztwo tak blizkie nie przyniosło złej kompanji jego dzieciom, poszedł zaraz na drugi dzień do klasztoru, żeby się o wszystkiem dowiedzieć. Odgłos powszechny mówił za bohaterem naszym, a historja jego, opowiedziana przez Leona ze szczegółami, o jakich wiedział, pochwały dane dziecku, które tak szczerze pokochał, świadectwo złożone przez wszystkich, którzy go uczyć zaczęli, o jego nadzwyczajnych zdolnościach i pilności, wreszcie postanowienie biednych zakonników wychowania sieroty i oddania go do Krzemieńca, tak ujęły pana Franciszka, że prosił, aby mu Tadeuszka pokazano. Wyszedł jeden z zakonników i przyprowadził z sobą za rękę chłopca, który dowiedziawszy się, że to ojciec tych ładnych dzieci, z któremi się poznał, przystąpił do niego z uśmiechem i patrzył śmiało w oczy temu, którego później miał tak kochać i szanować. Pan Karpiński wziął chłopca za

rękę, wdał się z nim w rozmowę i przekonawszy się z jego odpowiedzi, że pochwały nie były przesadzone; widząc z ułożenia, że to jest dziecko, o którem widać miano staranie, żywe ale niezepsute, ujęty wreszcie tem wejrzeniem, którem Tadeuszek, nie wiedząc o jego sile, pociągał i rozbrajał wszystkich, którem nawet pastucha ujął, a tylko Radłowskiego i jego żony złagodzić nie mógł, poprosił brata Leona, aby go kiedy z sobą przyprowadził i z dziećmi jego zapoznał.

Tym sposobem bohater nasz wszedł pod tę strzechę, gdzie wszystkie dobre i szlachetne nasiona, które natura i miłość prostej, ale kochającej kobiety w sercu jego złożyły, nabrać miały wzrostu, bujnie zazielenić, obiecując żniwo dorodne i obfite. Anna, równie jak i jej mąż, pokochała ładnego, wesołego chłopczynę, strofując go jednak łagodnie za jego zbyteczną żywość i naganiając każdy ruch, każde słowo, któreby trąciło czemściś prostem i nieokrzesanem.

Ponieważ Józio gotował się w domu, aby na rok następny być przyjętym w Krzemieńcu do klasy trzeciej, pan Franciszek życzył sobie, aby i Tadeuszek według jednego uczył się planu. Przepisał więc cały porządek jego lekcji i zakres każdego przedmiotu, co sam, będąc kilka lat w Krzemieńcu domowym nauczycielem i z tego utrzymując się, dokładnie wiedział, i prosił księży, którzy go uczyli, aby się tego planu trzymali. Sam dawał mu początki niemieckiego języka w tychże godzinach kiedy i synowi, Anna zaś uczyła wszystkie dzieci czytać

i dobrze wymawiać po francuzku, broniąc ich od tej szlacheckiej pronuncjacji, z jaką i dziś jeszcze miłośnicy tego języka radzi popisywać się, a zwłaszcza ci, którzy swojego dobrze nie umieją. Ona także przewodniczyła najczęściej ich zabawom, uśmiechając się nieraz na wymagania Sabinki, która instynktem kobiety mającej prześliczne czarne oczy, o czem wprawdzie jeszcze nie wiedziała, zaczynała już nad malcem przewodzić, i na bezwarunkowe posłuszeństwo Tadeuszka, który już gotów był na jej rozkaz szyby z okna, i kafle z pieca wyjmować.

Przy końcu każdego miesiąca był egzamin w obecności księdza gwardjana, wszystkich zakonników i całego domu pana Franciszka. Na kilka dni przed egzaminem obaj chłopcy pilnie pracowali, szczególniej Tadeuszek nocy nie dosypiał; wiedział bowiem, że się będzie popisywał przed Anną, która się może zmartwić, jak się źle znajdzie, a nadewszystko wiedział, że też sprytna i swawolna Sabinka słuchać go będzie, i pewnie parsknie ze śmiechu, gdy się pomyli, lub stanie jak żak zagapiony i nie odpowie, jak potrzeba.

Tak przeszedł rok cały, na pracy, na zabawkach, przy których rozumna matka, utrzymywała zawsze zgodę i jedność między dziećmi, które się zaprzyjaźniły, przystały do siebie i kochały się, jak dobre rodzeństwo. Gdy nadszedł sierpień 1825 r., zaczęto robić przygotowania do wyprawy dla obu chłopczyków. Anna sama zajęła się bielizną dla nich, przejrzawszy to wszystko, co Tadeuszek już miał, i dopełniając z zapasów przez brata Leona nagromadzo-

nych, czego jeszcze brakowało. Pan Karpiński, porozumiawszy się z jego opiekunami, pojechał do Starego Konstantynowa, nabrał sukna na mundurki i sprowadził do domu żydów krawców, aby je poszyli. Ślicznie oba chłopczyki wyglądali w tych granatowych surducikach, z niebieskiemi kołnierzami i z czerwonemi wypustkami; szczególniej Tadeuszek, gdy się zapiął szczelnie na wszystkie guziki i stanął przed Anną, oglądając się z pod oka, czy Sabinka na niego nie patrzy.

W wigilią wyjazdu, kiedy wszystko już było gotowe, zebrane, spakowane, tak rzeczy, jak i książki, udał się pan Karpiński do klasztoru, dla wzięcia od zakonników części potrzebnej z tego funduszu w gotowiźnie, jaki na utrzymanie Tadeuszka zgromadzili, a Anna, zabrawszy wszystkie dzieci, poszła jeszcze z niemi do ogrodu, aby chłopcy obeszli wszystkie kąty, gdzie im było tak dobrze, aby się z niemi pożegnali i pamiętali o tem zawsze, że oko ojca i matki nieraz ich tam szukać będzie. Gdy przechodzili koło tego drzewa, co znajomości ich dało początek, Tadeuszek, patrząc na nie ze łzą w oku, rzekł do idącej koło niego dziewczynki:

— Sabinko! kto tobie rzuci ztamtąd jabłuszko, kiedy mnie nie będzie?

Spojrzała na niego filuternie, zaśmiała się i odpowiedziała:

— Kto? jak ciebie nie będzie, to drzewo samo rzuci. jak go ładnie poproszę. A może tam znajdzie się kto inny. Brat Leon, albo kto!

Ta jej odpowiedź, a szczególniej śmiech figlarny,

zasmuciły chłopca, chociaż sam nie wiedział dla czego.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu, tak pamiętny dla każdej matki, a zwłaszcza, kiedy pierwszy raz rozdziela się z synem, i pierwszy raz spostrzeże, jak pustym i jak okropnie cichym zrobił się nagle ten dom, po którym brzmi tylko echo jego śmiechów i swawoli. Żeby rzecz tak ważną rozpocząć od Boga, poszli wszyscy o godzinie dziewiątej do kościoła. Ksiądz gwardjan na intencją szczęśliwej drogi i dobrego rozpoczęcia nauk, miał wotywę przed wielkim ołtarzem, do której mu oba chłopczyki w mundurkach i komeżkach służyli. Pozostali zakonnicy rzędem klęczeli po dwóch rogach ołtarza; w środku między niemi klęczał dziadek, modląc się gorąco za powodzenie wnuka i jego towarzysza. Sabinka złożone miała rączki i patrzyła na ołtarz, jak się jej braciszkowie, jeden prawdziwy, a drugi jabłuszkowy, jak go przez swawolę nazywała, krzątali, a z ócz Anny i jej męża padła na kamienną posadzkę kościoła niejedna łza tej świętej miłości, tej najczystszej i najszczerszej prośby, jaka z ziemi podnosi się do nieba.

W parę godzin potem już ojciec i chłopcy wyjeżdżali z bramy cichego dworku i obracając się jeszcze na bryczce, przesełali pożegnania swe do ganku, zkąd Anna powiewała do nich zmoczoną łzami chustką, zkąd Sabinka przesełała im pocałowania obiema rączkami, i zkąd żegnali ich na drogę i błogosławili wszyscy zebrani koło ganku zakonnicy.

W tymże samym czasie podobne sceny odby-

wać się musiały w niejednym domu na Wołyniu i Podolu, bo wszyscy dążyli do Krzemieńca, bo to były lata, w których szkoła ta blizko siedmiuset uczniów liczyła.

V.

Od początku naszego autorskiego zawodu staraliśmy się zawsze sumiennie z czytelnikami naszemi postępować. Pojmujemy więc i teraz tę śmiertelną trwogę, jaka ich zapewne dręczy, gdy pomyślą, że z bohaterem naszym będą musieli pójść do szkół, obaczyć się z gramatyką, od której się dawno już odżegnali i spotykać się co chwila to z arytmetyką, to z geometrją, to z innemi tego rodzaju książkami, na których samo wspomnienie dreszcz ich przechodzi i zimny pot na czoło ich występuje. Tak ciężkiej męki nie zadamy im bez wątpienia, byłoby to bowiem z naszej strony nadużycie tej dobrej wiary, z jaką książkę naszą biorą w rękę, i za które mieliby słuszne prawo ukarać nas wzgardliwem jej odrzuceniem. Względy i życzliwość czytelników są dla nas tak wielkiem dobrem, że dla ich miłości nie wahamy się nawet odsłonić słabą stronę naszą krytyce, która z niej korzystać nie zaniedba, i jakby przez gotowy wyłom wejdzie z całą artylerją żartów i przycinków, rozwodząc się nad brakiem w nas wynalezienia i ustawicznem powtarzaniem się, tak wszelkiej sztuce przeciwnem. Ale my wolimy ucieszyć nieprzyjaciółkę naszą, krytykę, niż znudzić przyjaciół naszych, czytelników i z tego powodu uży-

jemy i tu tego samego środka, jakiegośmy już raz w tej powieści użyli, to jest: przekraczać będziemy wielkiemi krokami cały pięcioletni perjod pobytu Tadeuszka w szkołach. krótką tylko czyniąc wzmiankę o niektórych ważniejszych wypadkach, które w ciągu tego czasu miały miejsce, o ile te do dalszego opowiadania potrzebnemi się staną i wybitniej położenie i rozwinięcie umysłowe i moralne bohatera naszego odmalują.

Tadeuszek, pod opieką zacnego opiekuna swego, przybył szczęśliwie do Krzemieńca, zdał nieźle egzamin do klasy trzeciej, wraz z swym towarzyszem Józiem, i wraz z nim na jednej stancji ulokowanym został, pod dozorem jednego ze starszych uczniów, którego prefekt szkoły na prośbę pana Karpińskiego sam wybrał i za którego pilność i obyczaje ręczył. Szły więc nauki zwykłym trybem: zdolność nagradzała brak gruntowniejszego przygotowania. Tadeuszek dał się poznać nauczycielom, poprzyjaźnił się z kolegami, a gdy się rok skończył, szczęśliwy i wesoły jechał na wakacje do Kalinowa, gdzie go czekały uściski dobrych zakonników, rodzicielskie obchodzenie się z nim pana Karpińskiego i jego żony, żarciki i despotyzm Sabinki, któremu się chętnie poddawał. Z takiemi wspomnieniami wrcał znowu do szkoły z podwojoną ochotą, rósł i rozwijał się, i w miarę tego, jak głowa jego zaczęła się napełniać poważniejszemi wiadomościami, a rozum wprawiał się do działania przez nauki ściśle i porządnie wykładane, stawał się i sam poważniejszym, tracił chęć do swywoli i figlów, i dojrzewał prędzej, niż

inni w równym z nim wieku będący koledzy. W roku 1828, kiedy miał lat 14, był już na pierwszym kursie nauk, które w Krzemieńcu, w zakresie uniwersyteckiego prawie wykładu, na sześć lat i na trzy dwuletnie kursa rozłożone były. Tadeuszek, który prawie najmłodszym był między młodzieżą tego kursu, tem poważniejszego udawał, aby go nie miano za dziecko, i tem pilniej się przykładał, aby pokazać starszym i żartującym sobie czasem z niego kolegom, że choć najmłodszy, prześcignie wszystkich, i brak lat nagrodzi zdolnością i pracą. Usiłowania jego uwieńczone zostały. Celował we wszystkich naukach i przy końcu roku, jednogłośnem zdaniem nauczycieli, miał sobie przyznany medal srebrny. Łatwo sobie wyobrazić naszego bohatera, gdy w tej samej sali, którą już znamy, wystąpił na środek, przybliżył się do zwierzchnika szkoły, i otrzymawszy medal i świadectwo, jak i za co nań zasłużył, powracał nazad w szeregi tychże samych kolegów, co w jego siły i lata nie wierzyli.

Była to chwila pierwszej wielkiej radości dla biednego sieroty, gorąco też dziękował za nią Panu Bogu, gdy po skończonej uroczystości wszyscy poszli do kościoła, dla odśpiewania Te Deum; ale była to także chwila pierwszego smutku, który serce jego dotknął. I niedziw, że się obie zbiegły, bo to są dwie siostry niewidzialne, które zawsze razem towarzyszą człowiekowi i z kolei go dotykają, budząc do życia, to radością, to bólem.

Gdy chłopcy wrócili do domu, zastali konie, które po nich przyszły dla odwiezienia ich na wakacje.

Józio przestraszył się, że ojciec nie przyjechał, którego się spodziewali, ale list para Karpińskiego uspokoił go, że wszyscy w domu zdrowi. Zmartwienie czekało tylko Tadeuszka. Odebrał on osobny list, w którym były te słowa: „Kochany Tadeuszku! przygotuj się na wielkie zmartwienie, może pierwsze w twem życiu, które mocniej uczujesz, niż to wszystko co ci się w dzieciństwie twojem przytrafiło. Nie chciałem ci o tem donosić dawniej, aby ci smutek nie przeszkadzał w naukach, z których zapewne z całym zapałem starałeś się korzystać. Dowiedz się, kochany Tadeuszku, że ksiądz gwardjan przed kilkoma miesiącami umarł; na jego miejscu jest inny, który ani z charakteru, ani z głowy, ani z serca, do zacnego staruszka, co cię tak kochał, niepodobny. Wątpię, abyś tam znalazł już przytułek i pomoc w utrzymaniu. To ostatnie, nie wiele cię zapewne zmartwi, bo sądzę, żeś się już tyle usposobił iż sobie sam dasz radę. Ja byłem tylko o pół roku starszym, niż ty dziś jesteś, a już zostawiony byłem sobie samemu, i Bóg mi dopomógł, bom postanowił ulgę przynieść staremu ojcu i nic od niego nie żądać. Znasz nasze przywiązanie do ciebie, i znasz nasze serca, ale wiesz także, jak nam ciężko, i że ledwie na utrzymanie Józia zdobyć się możemy. Przygotuj się więc do stania na własnych nogach i nie trać odwagi, która ci tem potrzebniejsza, że jeszcze jednę najgorszą mam ci donieść wiadomość. Brat Leon śmiertelnie chory; dla tego nie przyjechałem po was, bo go pilnuję i nie odstępuję, ile mi tylko czas od moich prac gospodarskich pozwala. Poczciwy ten twój przy-

jaciel i opiekun zapadł przed tygodniem na jakąś złą gorączkę, i dotąd bez pamięci leży. Smierć księdza gwardjana znękała go niezmiernie, złe z nim obchodzenie się jego następcy, zmuszenie go do ciężkich robót braciszka. od których się odzwyczaił, odjęcie wszelkich wygód, do których tak przywykł, dobiło go na duchu, tak, że jakiś nawet lekki i nieznaczący powód przyprawił o chorobę jego ciało, już i tak przez wiek i chorobę duszy zniweczone. Wyobrażam sobie, jakim cię bólem ta wiadomość przejmie, ale nie poddawaj mu się, mój drogi Tadeuszku, bo tyle jeszcze dni przed tobą, a nie wiesz, ile ci sił do ich przebycia będzie potrzeba, i jakie jeszcze próby cię czekają. Sciskam cię z serca i wyglądam was obu".

Tadeuszek, przeczytawszy ten smutny list, położył go na kolanach, zakrył twarz rękami i rzewnie płakać zaczął. Gdy się cokolwiek uspokoił, i gdy Józio, dowiedziawszy się o co idzie, pocieszył go jak mógł, zaczęli się wybierać, i tego samego dnia wyjechali. Nie była podróż ta tak wesoła, tak szczęśliwa, jak się spodziewał. Medal wprawdzie leżał na jego sercu; ale w tem sercu był smutek, że już nie zastanie tych, którym chciał pokazać ten owoc ich starań, ten plon ich dobroczynnych usiłowań.

Gdy przybyli do Kalinowa, Tadeuszek wyczytał z twarzy pana Karpińskiego, że brata Leona już nie ma na świecie. Jakoż w wigilią ich przyjazdu pochowano go, i klasztor odtąd stał się dla biednego chłopca pustym i obcym. Rzadko bardzo tam bywał gdyż nowy gwardjan widzieć go nie chciał. Do ko-

ścioła tylko chodził codzień, gdzie modlił się za dusze swych dobroczyńców, myśląc przy tych modlitwach i o Widalskiej, i o Owsikowskim, o których pewnym był, że nie żyją, gdyż mu już kilka razy ich śmierć przyśniła się, a szczególniej Widalsię swoją wyraźnie widział na katafalku, przy którym klęczał i płakał. Pozostała mu więc tylko przyjaźń tej rodziny, gdzie go traktowano, jak dziecko własne, gdzie go tak rozumnie pocieszał i umacniał pan Karpiński, tak czule koiła żal jego Anna; gdzie nawet Sabinka, w czarnych i błyszczących oczach swych znalazła łzę współczucia, gdy patrzyła na jego smutek, gdy spostrzegła, że go dawniejsza opuściła żywość, a jej miejsce jakieś przedwczesne zajmowało zamyślenie.

Raz zastała go na tem samem miejscu, gdzie się poznali. Siedział on tam pod drzewem, z głową opartą na dłoni, i patrzał na piękną jabłoń ogrodu Reformackiego, z której rzucał jabłka ładnej i swywolnej dziewczynce. Sabinka, która już wówczas miała lat trzynaście, była słuszna, i z każdym dniem robiła się piękniejszą, spostrzegłszy Tadeuszka, tak siedzącego, zerwała niedojrzałe jabłko z drzewa, pod którem przechodziła, i zbliżywszy się cicho, rzuciła je tak, że się pod nogi chłopca potoczyło. Chciała, widać, obudzić go z zamyślenia przypomnieniem pierwszej chwili ich znajomości. Podniósł głowę Tadeuszek i zobaczył stojącą niedaleko panienkę. Twarz jej była rumiana i jakby zawstydzona, oczy błyszczały tem bardziej, że w nich połyskała łza współczucia; śliczne jej usteczka złożyły się do uśmiechu,

a gęste i ciemne pukle trzęsły się i połyskiwały, bo kiwała główką, jakby mu ganiła, że się zamyśla. Dziwnie jakoś zrobiło się chłopcu, chociaż sobie sprawy zdać nie umiał z tego, co się w duszy jego działo. Patrzył więc na nią długo, nie ruszając się z miejsca, i wpatrywał się póty, aż Sabinka, zadziwiona tem jego milczeniem i przypatrywaniem się, zbliżyła się i zapytała:

— Czego mi się tak przypatrujesz, Tadeuszku? Czy może na mnie co jest? może gąsienica? to zdejm, proszę cię.

— Nie ma nic, Sabinko — odpowiedział Tadeuszek uśmiechając się, nie przestając jednak przypatrywać się.

— To po cóż tak się przypatrujesz, jak gdybyś mnie pierwszy raz widział? Przecie znamy się od dawna, nieprawdaż? Pamiętasz te jabłuszka? — dodała uśmiechając się i ukazując na drzewo, tak mu dobrze pamiętne.

— A ty pamiętasz? — zapytał chłopiec.

— O, i jak! — odpowiedziała kiwając głową. — Ile razy tędy przechodzę, zawsze mi się chce wyciągnąć rękę i poprosić, żeby mi drzewo rzuciło jabłko.

— Już ci teraz nie rzuci, mnie tam nie ma; już nie mam po co tam chodzić! — dodał smutnie.

— Jak ja ciebie nie lubię, Tadeuszku, kiedyś ty taki smutny i rozmazany — rzekła z nadąsaną niby minką. — Dobrze, że żałujesz tych dobrych ludzi, i mnie ich żal; ale kiedy pomarli, to cóż robić? nie można wiecznie płakać za tymi, których nie ma.

Tadeuszek spojrzał na nią, gdy to mówiła, i

spostrzegł, że łezka, którą dawniej widział, znikła, i oko jej zrobiło się suchem i błyszczącem. Przykro mu to było, choć nie wiedział dla czego i chcąc ukryć wrażenie, jakiego doznawał, schylił się i podniósł jabłko, które mu rzuciła.

— Skosztuj, czy takie dobre jak to, co ty mnie kiedyś dałeś — rzekła dziewczynka, patrząc mu w oczy.

— Niedojrzałe — odpowiedział Tadeuszek.

— To rzuć! — rzekła z minką nieukontentowaną. Tadeuszek schował jabłko, a ona dodała śmiejąc się i klaszcząc w ręce: — A widzisz, że nie rzucasz! Czy to chowasz na pamiątkę, Tadeuszku?

Tadeuszek sam nie wiedział, dla czego je schował i dla tego nie umiał odpowiedzieć. Wtedy Sabinka rzekła:

— Jaki ty zrobiłeś się nudny i nieznośny! Doprawdy, że z tobą nawet pogadać teraz nie można. Chowasz się po kątach, nie bawisz się z nami. Czasem jak mi czego potrzeba, ta nie mam nawet kogo poprosić.

— A czego chcesz? — zapytał Tadeuszek, patrząc na nią, i w oczach jego była gotowość wypełnienia wszelkiego rozkazu.

— Czego? poczekaj, pomyślę — i pochyliła główkę, wsparła twarz na różowych paluszkach swej ręki i po chwili rzekła: — Chcę koniecznie, żebyś poszedł do ogrodu księży i schował się na tej jabłoni. Ja tu stanę i prosić będę: — drzewo! drzewo! daj mi jabłuszko tak jak wtedy, pamiętasz? kiedym była

mała. Potem staniesz na murze, tak jak wtedy stanąłeś i będziemy tak rozmawiać.

Tadeuszek rzucił okiem na jej figlarną twarzyczkę i gotował się dogodzić zachceniu dziewczyny, choć mu to było przykre i wiedział, na co się naraża. Sabinka patrzyła z ukontentowaniem i tryumfem na jego posłuszeństwo, a gdy już odszedł kilkanaście kroków, klasnęła w rączki i zawołała:

— Tadeuszku! Tadeuszku! wróć się. Już nie tego chcę.

— A czegoż? — odpowiedział wracając.

— Nic już nie chcę! — rzekła wówczas śmiejąc się, i pobiegła ku domowi, nie obejrzawszy się nawet na biednego chłopca, który nie wiedząc jeszcze, co się z nim dzieje i nie mogąc i nie umiejąc nazwać uczuć, których doznawał, stał się już ofiarą jej kaprysów i wdzięków.

Sceny podobne często się powtarzały, bo wszystkie dzieci przez czas wakacyj prawie ciągle były razem, razem się bawiły, razem czytały po niemiecku i francuzku, w czem Sabinka mocniejsza była od obudwóch chłopczyków i często się z nich naśmiewała, gdy się który pomylił. Celem tych prześladowań był szczególniej Tadeuszek, z którego żartowała, że mu nie wiedzieć za co dali medal. Nawet raz, po jednej takiej niefortunnej lekcji, odebrała mu go śmiejąc się i schowała u siebie. Wszakże za te wszystkie udręczenia, za które Tadeuszek naturalnie gniewać się nie myślał, wynagradzała go czasem taką dobrocią, takim podziałem jego smutku, tak pilnie i oddzielnie z nim czytała, żeby się lepiej wprawiał,

tak wyraźnie w zabawach i grach dawała mu pierwszeństwo przed bratem, a w czasie krótkiej choroby, której podczas wakacji uległ, taką niekiedy okazywała troskliwość, że Tadeuszek patrzył na nią ze łzą wdzięczności i przywiązania, zapominał o wszystkich przekorach, któremi go trapiła i o całym despotyzmie czującej już władzę swą dziewczyny, któremu poddać się gotów był z rozkoszą i bez szemrania. Tego stosunku między nimi nikt nie uważał. Przy rodzicach postępowała z nim zupełnie tak, jak z Józiem, i choć przewodziła nad obydwoma, za co nieraz od matki była strofowaną, żadnej jednak między niemi nie czyniła różnicy. Ale gdy byli sami, gdy na nich nikt nie patrzył, wtenczas dopiero okazywała mu, lub szczególne łaski, lub szczególne prześladowania, co wszystko zależało od niewyrachowanego w niej kaprysu, a było mu równie pożądane. Biedny Tadeuszek nie wiedział o tem, że to był zaród głębokiej namiętności, która go miała daleko zaprowadzić.

Tak przeszły Tadeuszkowi wakacje, ostatnie w swobodzie i szczęściu tego wieku, z którego człowiek wyrywa się co prędzej, bo nie wie, że mu tam dobrze, bo tego szczęścia nie umie jeszcze porównać z niedolą życia, której nie zna, bo Bóg złożył w jego piersiach tę żądzę poznania dobrego i złego, której zadośćuczynienie każdy z nas utratą raju swego opłacić musi.

Gdy przyszło wyjeżdżać, Tadeuszek był dziwnie wzruszony. Na ganku była Anna, Sabinka i jeden tylko ksiądz Augustyn. Poważnej twarzy starego

gwardjana, wesołego i jowialnego oblicza brata Leona, już nie było. Brak ten zasmucił wdzięczne serce bohatera naszego, a wesołość Sabinki, która ich żegnała ze śmiechem, jakby jutro powrócić mieli, przejęła go jakimś nieznanym bólem. Jadąc już, przypomniał sobie co mu kiedyś w ogrodzie powiedziała: że nie można wiecznie płakać za tymi, których nie ma, i słowa te brzmiały ciągle w jego uszach i później, wiele razy chodził po górach i marzył, zarywały się w jego serce i bolesne tam zostawiały ślady.

Koniec sierpnia był, od czasu założenia szkoły Krzemienieckiej, epoką ważną dla mieszkańców Wołynia i Podola. Z dniem pierwszym września rozpoczynały się akuratnie szkoły i na wszystkich główniejszych traktach widzieć można było wózki i bryczki, budy żydowskie, koczy obywatelskie i pańskie karety, zwożące młodzież do Krzemieńca. Wszędzie w miasteczkach i po lepszych punktach po drodze, gdzie były porządne austerje, gospodynie domów zajezdnych wyglądały niecierpliwie jadących do szkół paniczów, a nadewszystko oczekiwały na te karawany dworskie, składające się często z kilku rozmaitych powozów, a które wiozły panie mieszkające z dziećmi w Krzemieńcu, dla lepszego dopilnowania ich edukacji, a także dla własnej rozrywki i dobornego towarzystwa, jakie się tam stale zbierało. Krzemieniec bowiem, odkąd szkoła w nim egzystująca wzrosła i wsławiła się, co zaraz pierwszych lat jej założenia nastąpiło, stał się głównym punktem zjazdu najcelniejszych familij owych prowincyj. W czasie

karnawału nie było domu i domku, któryby nie był zajętym; żaden ze znakomitych artystów, który odwiedził już Petersburg, Moskwę i Kijowskie kontrakty, nie omijał Krzemieńca i jeśliby kto przyjechał tam w nocy, wszedł niespodziewanie do którego ze znaczniejszych salonów i rzucił okiem na grono poważnych dam, na orszak mężczyzn z wyraźnemi cechami dobrego wychowania, na strojną gromadkę panien wesołych i pięknych, jakby je kto umyślnie dobierał, aniby mu do głowy nie przyszło, że się znajduje w małem miasteczku, ścieśnionem w dole między wysokiemi górami, nie mającem kamienic, nie wszędzie wybrukowanem i złożonem z domów drewnianych, z których ledwie kilkanaście było większych i niekoszlawych. Świetność zgromadzenia, gust i elegancja strojów, powaga i ton rozmowy, wesołość i przyzwoitość zabawy, zadziwiłoby go bez wątpienia i przeniosłoby myśli jego zupełnie gdzie indziej. I nie mogło być inaczej — gdyż te salony, w których młodzież bawiła się pod okiem matek i ojców, do których i ubodzy nawet uczniowie, jeśli się odznaczali pilnością i postępowaniem, byli zapraszani, urobiły się na wzór tego, który założyciel tej szkoły w domu swym otworzył i gdzie zapraszał starszą młodzież nie z imienia, nie z tytułu rodziców, ale z własnej jej zasługi i wartości. O tym ważnym warunku zabaw krzemienieckich nie wiedzieli zapewne ci, co je tak okrzyczeli, a później odrukowali, nazywając je sposobami zepsucia i roztargnienia, kiedy właśnie były one środkami ukształcenia i pobudką do pilności i pracy.

Jednym z traktów, najbardziej wówczas uczęszczanych, był trakt tak zwany Jampolski, który łączył Krzemieniec z najżyzniejszą i najbogatszą częścią Wołynia, z całem Podolem, Pobereżem i Ukrainą. Znane były w owym czasie wszystkim Dębowe karczmy, od pięknego lasu dębowego, wśród którego znajdowały się, nazwane. Stały one w punkcie tak dogodnym, że jadącym z Krzemieńca, lub do Krzemieńca, wypadał tu koniecznie popas, lub nocleg. Ztąd były bardzo uczęszczane, a szczególnie jedna murowana, ogromna i utrzymana dość porządnie. Tam, po zamknięciu rocznego biegu nauk, 30 czerwca, i pierwszych dni lipca, na popasie i noclegu, widzieć można było po kilkanaście najrozmaitszych ekwipażów, a w dwóch wielkich pokojach ścisk młodzieży, zdrowej, wesołej, szczęśliwej, że się rok szkolny dobrze skończył, że jedzie odpocząć, obaczy domowe kąty, odwiedzi krewnych i przyjaciół, pochwali się odebraną nagrodą, popisze się ze zdobytą wiadomością i nauką. Tam wrzała rozmowa, rozlegały się śmiechy i żarty, próbowały się nowe cybuchy i świeżo na wyjezdnem kupione fajki; tam deklamowały się rozmaite wiersze, powtarzały się różne anegdoty szkolne, oceniał się wykład profesorów, a ztąd spory i pierwszeństwo oddawane jednemu przed drugim; rozbierała się wartość uczniów medalowych, szły żarciki z paniczów, którzy się pięli do nagrody i nie otrzymali jej, lub więcej myśleli o kontredansie i koniku, niż o atrakcji, o powinowactwach, albo o rachunku różniczkowym i integralnym. Wszyscy znali się doskonale, a żaden koledze ubliżyć nie śmiał i

nigdy jeden przed drugim nosa zadrzeć nie odważył się. Nikt bowiem nie patrzał na to, czy kto jechał wózkiem, czy koczem, ale czy był zdolnym i pilnym. To jedynie stanowiło herb i tytuł do koleżeństwa i braterstwa z najmożniejszymi z rodu i majątku. Młodzieniec, który fumy pańskie wywiózł z domu i temu prawidłu poddać się nie chciał, przechodził przez takie rózgi i frycówki, że się prędko zreflektował i z najbiedniejszemi, których mu opinia kolegów, jako czoło młodzieży wskazała, wkrótce się pobratał.

Podobne, chociaż nie tak tłumne zjazdy, zdarzały się w Dębowych karczmach przy końcu sierpnia, kiedy młodzież zbierała się do szkół. Wszakże i wówczas nie było tam widać smutnych i zasępionych twarzy. Po dwumiesięcznych wakacjach każdy tęsknił już do pracy i zajęcia, każdy prawie jechał z ukontentowaniem do tego miejsca, gdzie go czekała przyjaźń kolegów, piłka na galerji kolegjum, rozkoszne przechadzki po górach, samotne rozmyślania na zamku królowej Bony, składkowe podwieczorki u Mińczuczki, nowy głos profesora, którego jeszcze nie słuchał, nowe pole wiadomości, na które rad był co najprędzej wstąpić. Tacy nawet, którzy dojeżdżali do Krzemieńca, mając tylko kilka złotych w kieszeni, jechali bez troski i z nadzieją, że tam nie zginą, gdyż fundamentalne prawidło tej szkoły: „że każdy uczeń musiał być lub sam dozorcą domowym, lub mieć dozorcę“, dodawało najbiedniejszym śmiałości i czyniło im otuchę, że znajdą pracę, a zatem utrzymanie.

W takiem położeniu, ale w kłopotliwszem co-

kolwiek usposobieniu, dojeżdżał do Dębowych karczem i Tadeuszek. Jeszcze dziś, jeszcze może jutro i pojutrze, myślał sobie, ojciec Sabinki da mi obiad i śniadanie. Ale on za parę dni wyjedzie i ja zostanę sam o własnych siłach, bez dachu i chleba. Przykro się zrobiło biednemu chłopcu, gdy zaczął rozważać, że tak rzucony w świat, bez stałej pomocy i opieki, że gdy każde dziecko cieszy się pieszczotą matki, miłością i nauką ojca, on nawet nie wie, jak wyglądają te twarze, które go do życia wywołały i jak winowajcę jakiego za próg swego domu wyrzuciły: zaszło chmurami jasne i szerokie czoło szlachetnego chłopca, gdy pomyślał, że nie ma zupełnie nic, że dopiero ma lat czternaście, że być może, iż zwierzchność szkolna nie pozwoli mu zajmować się dozorowaniem młodszych, jako malcowi, który sam jeszcze potrzebuje dozoru; a jeżeli i pozwoli, to może nikt nie zechce powierzyć mu dzieci swoich, nie ufając jego latom, że zatem przyjdzie miesiąc, dwa, a może i rok cały być bez stołu i stancji, tułać się od kolegi do kolegi i żyć okruszynami ich chleba, których mu przez przyjaźń i miłosierdzie udzielą. Ale z drugiej strony, gdy wspomniał, że będąc daleko młodszym i słabszym, w gorszych się jeszcze znajdował okolicznościach, a przecież Pan Bóg zesłał mu tak dobrego przyjaciela i opiekuna; gdy przeszedł myślą kolegów swoich krzemienieckich, mało co od niego starszych, równie jak on biednych, nie mających nawet jego pilności i nie ozdobionych medalem, a żyjących przecież z pracy, którą im zwierzchność szkolna zapewniła, przeżegnał się, pomodlił się w

duchu i znacznie się uspokoił. Z tej trwogi, z tego zwątpienia wyleczył go zupełnie widok kilku żwawych i wesołych uczniów, którzy także w Dębowych karczmach popasali. A gdy wkrótce nadjechała cała bryka pełna studentów, śpiewających wesoło i cieszących się, że jadą uczyć się i pracować, gdy pomiędzy niemi poznał dwóch przyjaciół, z którymi niejednę noc przesiedział, i którzy dowiedziawszy się o jego położeniu, śmiać się zaczęli z jego obawy i kłopotu, odrzucił i on wszelką wątpliwość o dalszym swym kierunku, nabrał odwagi i wesoło wyglądał tej góry zamkowej, która zdaleka już zwiastuje miasto u stóp jej rozłożone.

I wkrótce przekonał się Tadeuszek, że w takich ciężkich chwilach, kiedy człowiekowi zdaje się, że wszystkie jego końce porwały się, zawsze je jakoś zwiąże szczery pacierz i dziecięce w opiece Boskiej zaufanie.

Gdy konie jadły owies, a studenci, których było z dziesięciu, zniósłszy razem zapasy, jakie kto jeszcze miał, otoczyli jeden ze stołów w ogromnej izbie gościnnej i wesoło rozmawiając, przyrządzali posiłek południowy, spostrzegli przez okno zbliżającą się od Jampola bryczkę żółtą na resorach, trzema chudemi końmi ciągnioną, do których przywiązany był czwarty, osiodłany kozackiem siodłem.

— Jeszcze ktoś jedzie — zawołał jeden.

— Zaczekajmy — rzekł drugi — może który kolega. Zaprosimy go do kompanji.

— Obaczymy kto to? — i kilku wybiegło do sieni, między niemi Józio i Tadeuszek.

Z bryczki wysiadła jakaś pani, niewielkiego wzrostu, bardzo otyła, ale twarzy rumianej i przystojnej. Pomagał jej w tej trudnej operacji jakiś kozak wysoki, w jasno-zielonej kurtce, którego włosy i wąsy były już zupełnie siwe. Mimo ten wyraźny znak wieku, twarz jego była jeszcze czerstwa, oko bystre i wszystkie ruchy okazywały zdrowie i siłę. Przy bryczce stało już dwóch chłopczyków od dziesięciu do dwunastu lat, którzy nie mieli jeszcze mundurków i ciekawie przypatrywali się zebranym w kupkę studentom.

— Dziękuję ci, kochanku! — rzekła pani do kozaka, przeciągłym wołyńskim akcentem, który mimo materjalnej sukni, w którą była nawet w drodze ubrana i czepka pretensjonalnie między brodą i tłustym podbródkiem zawiązanego, nie okazywał kokobiety wyższego towarzystwa. — A weź tam, proszę cię, i zawiniątko z kurą pieczoną i bułkami, bo tu pewnie w tej karczmie nic nie ma.

— Woźmu, woźmu — odpowiedział kozak niedbale — zwracając się do swego konia i odwiązując jego cugle.

— A niezapomnij także mój kochaneczku, proszę cię — mówiła jeszcze pani z grzecznością — i butelkę z kawą i imbryczek. Tam one są w siedzeniu. Ta może tu filiżanka i znajdzie się w tej karczmie, a jak nie ma, to się i ze szklanki napijemy.

— Nezabudu. Idit uże, idit — mówił kozak, ukazując ręka na kurytarz, żeby już sobie poszła.

— Ta przywiążże konie w suchem miejscu Hryćku! — rzekła znowu pani do chłopca w białej siermiędze

i słomianym kapeluszu, który ją powoził — a daj im po garncu owsa, tylko z sieczką, żeby się dobrze popasły.

Chłop i kozak uśmiechnęli się do siebie, a pani, poprawiwszy żółtą chustkę, którą na czarnej sukni miała, obmacawszy aksamitny woreczek, czy co nie wyleciało, wzięła za rękę młodszego syna, zwróciła się ku kurytarzowi i patrząc na młodzież tam stojącą rzekła:

— To panowie wszystko studenci?

— Studenci — odpowiedział jeden.

— I panowie wszyscy do Krzemieńca jedziecie? — zapytała.

— Do Krzemieńca — odpowiedział drugi, uśmiechając się z ograniczonej naiwności kobiety.

— Mój Boże! co tam tego musi być — rzekła kiwając głową.

— O! jest dużo! — zawołał trzeci.

— A i ja swoich jeszcze tam wiozę.

— Wieź pani, wieź, zmieszczą się jeszcze — mówił inny śmiejąc się.

— A którędyż mnie tu iść? — zapytała jeszcze.

— Idź pani korytarzem. Tam na lewo pokój gościnny — rzekł inny.

— Dziękuję panom — rzekła pani; obejrzała się jeszcze, czy Hryćko konie wyprzęga i udawszy się korytarzem, weszła do pokoju, gdzie reszta młodzieży znajdowała się.

Chłopcy zostali jeszcze chwilę, śmiejąc się, robiąc różne uwagi nad strojem i mową tej pani, i przypatrując się kozakowi, którego postawa i wyraz

twarzy zastanowił ich, a jego obchodzenie się i odpowiedzi dały im domysł, że to nie musi być jego pani. Tadeuszek, który stał najbliżej kozaka, zapytał go:

— Czy to twoja pani? kozacze.

— Et — odpowiedział kozak, przypatrując się ładnemu chłopakowi — moja pani nie taka, piękny paniczu. To żona naszego komisarza.

— Tadeuszku! Tadeuszku! — zawołał Józio, stojący w bramie od strony Krzemieńca. — Patrzno, dwóch kolegów jedzie z Krzemieńca. Dowiemy się co się tam dzieje.

— Z Krzemieńca? a pocóż oni teraz z Krzemieńca jadą? — odpowiedział Tadeuszek i pobiegł do Józia.

Kozak, usłyszawszy to imię, zastanowił się i zaczął się bohaterowi naszemu przypatrywać; potem, zbliżając się do jednego z uczniów, zapytał:

— Jak się ten panicz nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Bezimienny — odpowiedział zapytany.

— Tadeusz Bezimienny! — powtórzył kozak, zamyślając się — a nie wie panicz, zkąd on?

— Jak to zkąd?

— Cóż, panicz tego nie rozumie? — rzekł kozak — ja pytam się, gdzie mieszka jego ojciec i matka?

— On nie ma ojca i matki — odpowiedział uczeń.

— A z widkiż win wziawsia? — rzekł kozak, uśmiechając się.

— Czy ja wiem — odpowiedział uczeń, którego ciekawość i śmiałość kozaka zastanowiły. — A tobie to na co?

— Niczeho! — rzekł kozak — ja tak spytawsia — i poprowadził konia swego do żłobu, przypatrując się wracającemu prędko od bramy Tadeuszkowi, który był bardzo blady i nie patrząc już na nic, co go otaczało, poszedł prosto do pokoju gościnnego. W tymże samym czasie w bramę karczmy wjechała duża bryczka niekryta, trzema końmi, a w niej siedział jakiś szlachcic z dwoma synami w mundurach szkolnych. Uczniowie, którzy jeszcze pozostali przy wchodzie na korytarz, przypatrzywszy się przyjezdnym, rzekli jeden do drugiego: To jacyś nieznajomi, to nie Krzemieńczanie. Pójdźmy! tam nas będą czekać — i wszyscy poszli do izby gościnnej i otoczywszy stół, wzięli się wesoło, pod prezydencją pana Karpińskiego, do spożywania różnych przysmaków, któremi ich matki opatrzyły.

Przy drugim, równie wielkim stole, siedziała pani komisarzowa, z woreczkiem w ręku i spoglądając na dorodną i wesołą młodzież, z takim zajadającą apetytem, musztrowała swoich chłopców, którzy stojąc oparci o stół łokciami i pootwierawszy gęby, przypatrywali się przyszłym swym kolegom i przysłuchiwali się ich rozmowie. Wtedy wszedł do pokoju szlachcic barczysty, z dużemi wąsami, w słomianym kapeluszu, w chałacie, bez chustki i kamizelki, ale z harapnikiem w ręku; za nim weszło w mundurkach dwóch dużych i niezgrabnych chłopaków, z których wyższy przygarbiony, patrzył zyzem i w nosie dłubał, a drugi mniejszy, niezmiernie piegowaty, zdjął czzapeczkę i drapał się w głowę, obrosłą gęstemi i rudemi włosami.

Szlachcic spojrzał na kompanję studentów, potem rzucił okiem na drugi stół, gdzie siedziała pani komisarzowa i widząc, że tam miejsca dosyć, przybliżył się, na drugim jego końcu położył harapnik, przykrył go kapeluszem i ocierając pot z czoła usiadł.

Studenci spoglądali na nowo przybyłego i jego niezgrabnych synków z uśmiechem, a Tadeuszek przysiadł się w kąciku za panem Karpińskim, żeby go nie bardzo było widać. Apetyt odpadł go i rumieńce znikły z jego twarzy.

— Czemu ty nie jesz, Tadeuszku? i coś blady jesteś! — rzekł jeden z kolegów.

— Cicho! — odpowiedział nasz bohater — jeżeli mnie kochacie, nie gadajcie do mnie i nie nazywajcie mnie po imieniu. Powiem wam potem dla czego. — Poznał biedny chłopiec i ów chałat i ów harapnik, który go raz tylko, ale dobrze dosięgnął. I czytelnicy poznali zapewne, że to nie był kto inny, tylko ów Goljat, któremu nasz mały Dawid oczy i gębę piaskiem zasypał. Po całych czterech latach Tadeuszek wyrósł, zmężniał, odmienił się znacznie i przez mundurek i przez wzrost swój nad wiek i przez wyraz twarzy, której i głowa i serce, przedwcześnie rozwinięte, inny nadały charakter. Nie mógł go więc Radłowski poznać, tem bardziej w kompanji kilkunastu kolegów, którzy i przez strój i ułożenie, prawie wszyscy byli do siebie podobni. Ale Tadeuszek nie dowierzał tej zmianie, jakiej sam w sobie widzieć nie mógł i niespokojny był i trwożny w duchu póty, póki się nie przekonał, że Radłowski, który się im wszystkim przypatrywał, szczególnej uwagi na niego

nie zwracał i chociaż go dobrze widział, ani podziwieniem, ani innym znakiem nie okazał, aby go sobie przypomniał. To dodało odwagi chłopcu i po kwadransie śmiertelnej obawy, wrócił mu humor i apetyt.

Tymczasem Radłowski, wypiwszy kieliszek wódki, który mu służąca z karczmy przyniosła, i rozwijając zawiniątko z zapasami, rzekł do pani komisarzowej, która także krajała już ową pieczoną kurę i rozdzielała jej kawałki pomiędzy swoich chłopców, dopominających się to o pępuszek, to o wątróbkę.

— A to pani swoich chłopców do Krzemieńca wieziesz?

— A do Krzemieńca — odpowiedziała, poprawiając wstążkę od czepka, która się z rowku między brodą i podbródkiem zsunęła. — Ta nie wiem, proszę pana, gdzie ja ich tam ulokuję i czy znajdę dobrego dyrektora.

— Tego tam nie brak — odpowiedział szlachcic mocno odchrząknąwszy — i faktory zrobią pani, ot! taką głowę z rajeniem stancji i dyrektora do dzieci. Tylko każdemu trzeba zapłacić.

— A niech ich djabli wezmą! — rzekła pani w materjalnej sukni — na co mi to? czy to ja sama sobie nie znajdę? Ja muszę na własne oczy widzieć, jaka jest gospodyni i czy będą mieli dobry wikt; bo to dzieci nie lada jakie. Może chcesz Jasiu, kawałek piersi z kury pieczonej — dodała, zwracając się do młodszego syna, ażeby zaraz pokazać, że to w rzeczy samej dzieci nie lada jakie i do dobrego wiktu przyzwyczajone.

— A pan także swoich synów do Krzemieńca wiezie?

— Et, gdzie tam! ja ich wiozę napowrót do domu — odpowiedział szlachcic. — To djabelska jama, ten Krzemieniec.

— Oho! — krzyknął któryś z młodych przy drugim stole, i wszyscy podnieśli głowy jakby się gotowali bronić to miejsce, które każdy z nich, jak własny dom kochał.

— Nie oho! ale tak jest w rzeczy samej — odpowiedział Radłowski odchrząknąwszy tak, że pani komisarzowa aż drgnęła. — Najpierw żydzi mnie tam zdarli, potem faktorzy krwi nie mało napsuli, potem dobrze musiałem się nakrzyczeć, nim odebrałem zadatek, którym już dał na stancji, a na dobitek w tych mądrych szkołach...

— W jakich? w jakich? — przerwało kilka głosów przy drugim stole.

Radłowski spojrzał na nich i jeszcze mocniej chrząknął, a Tadeuszek, który tak dobrze znał tego człowieka, rzekł ciszej do kolegów:

— Dajcie pokój, proszę was, niech sobie gada.

— Cóż to panu stało się w tych szkołach — zapytała pani komisarzowa. — Bo to kiedy człowiek dzieci, a jeszcze takie dzieci tam wiezie, to dobrze wszystko wiedzieć.

— To mi się stało, powiem pani, że cała moja podróż i ekspens na djabła się nie zdały, choć zrobiłem czterdzieści mil drogi — odpowiedział ekonom sapiąc i spoglądając na młodzież, z której jedni okazywali oburzenie, inni, usłuchawszy Tadeuszka, szeptali tylko między sobą i ironicznie uśmiechali się.

— Dla czegoż to? proszę pana — zapytała znowu pani komisarzowa. — Bo to czterdzieści mil drogi! to nie palcem przekiwać. I jaki to ekspens! tem bardziej teraz, kiedy taka drożyzna na owies, i siano nie urodziło. To żal!

— Zapewne, że żal — rzekł Radłowski — ale cóż, kiedy to tam taka wielka mądrość! Chłopcy moi byli już w trzeciej klasie w Niemirowie. Tam, ci durnie nie chcieli im dać promocji. Więc przywiozłem ich tu, żeby ich oddać do klasy czwartej. Ale tu znowu, jak ich wzięli na jakiś egzamin, to nie chcieli ich nawet do pierwszej przyjąć, że czytać dobrze nie umieją.

Młodzież parsknęła ze śmiechu, pani komisarzowa kiwała głową, a Radłowski, odchrząknąwszy silniej, mówił dalej:

— Panowie śmiejecie się, a człowiekowi bieda. Tu nie ma z czego śmiać się.

— A czemużeś pan — rzekł jeden z najstarszych studentów — swoich synów do tej pory czytać nie nauczył? Już im czas, spodziewam się.

— A po jakiegoż djabła — zawołał z gniewem Radłowski — oddawałbym ich do szkół i płacił za nich tyle pieniędzy, gdyby już byli uczeni? Na to szkoła, żeby uczyła; moja rzecz zapłacić za stancją i za stół. Ale to widać panowie profesorowie lubią już do gotowego, żeby darmo pieniądze brali.

— Profesorowie w Krzemieńcu — mówił ten sam młody człowiek — robią to, co do nich należy; a panu daleko od tego, abyś o nich sądził.

— E, mój panie — zawołał zaperzony Radłowski — dalekoż i panu od tego, abyś mnie rozumu uczył.

Wtedy Tadeuszek widząc, że się zanosi na awanturę, mogącą przynieść krzywdę i kolegom i całej szkole, tem bardziej, że znał gwałtowność swego niegdyś prześladowcy, zapomniał o sobie, i rzekł głośno do owego ucznia, który się najmocniej za szkołą ujmował:

— Kaziu! dajżę pokój i nie odzywaj się. Temu panu przykro, że mu dzieci nie przyjęto, i dla tego nie wiedzieć co gada. Niech sobie wygada się: co to nam szkodzi? Krzemieńca nie ubędzie dla tego, że ktoś z niego niekontent.

Pan Karpiński poparł rozumne przemówienie czternastoletniego medjatora i pocałował go za to w głowę. Studenci potwierdzili zdanie kolegi, uśmiechając się z niedorzecznej pretensji nieokrzesanego szlachcica; Radłowski, czy ze wstydu, czy z gniewu, zwinął swoje zawiniątko, nałożył kapelusz na głowę, i wziąwszy harapnik w rękę, plunął i wyszedł wraz z synami; a pani komisarzowa, poprawiając wstążeczkę na podbródku i przypatrując się bohaterowi naszemu, mówiła sama do siebie:

— Proszę, takie to młode, a tak roztropnie odezwało się, aż miło, jakby co starego. Co to jest, edukacja! Niech sobie ten jegomość gada co chce, taki dobrze zrobiłam, żem się uparła, aby dzieci zawieść do Krzemieńca, choć mąż nie chciał i nie chciał.

Gdy młodzież podjadła i rozbiegła się, rozmawiając z sobą o przyszłych swych zajęciach, pani

komisarzowa, zbliżywszy się do pana Karpińskiego, zaczęła z nim rozmowę, wypytując się, jak tam to w Krzemieńcu, czy nie będzie miała trudności w przyjęciu dzieci, czy znajdzie stancję i dobrego dyrektora, szczególnie takiego, żeby umiał po francusku.

— Bo widzi pan, moje dzieci, to nie takie, jak insze. Im trzeba koniecznie dobrego metra, bo już mają dobre początki. Sam pan Francuz, marszałek naszej pani, uczył ich dwa miesiące z okładem; a on rodowity Francuz, to musiał ich przecież tyle nauczyć, czegoby inny za dwa lata nie zrobił.

Pan Karpiński odpowiedział jej, iż bardzo wątpi, aby dostała takiego, coby dobrze umiał po francusku, bo tacy guwernerowie zwykle szukają miejsc tylko u wielkich panów, i każą sobie bardzo drogo płacić.

— Wieleż to naprzykład? Dwieście, trzysta złotych? — zapytała pani komisarzowa, poprawiając wstążeczkę na podbródku. — Na to nas stanie.

— O nie, pani — odpowiedział pan Karpiński — oni biorą po dwieście i po trzysta dukatów.

— A niechże ich djabli wezmą, z ich francuszczyzną razem — rzekła pani w materjalnej sukni. — Ta to byłoby za co wziąść posesją.

— W Krzemieńcu jest zwyczaj — dodał opiekun Tadeuszka — że się do dozoru uczniów młodszych naznacza uczeń starszy, znany z pilności i obyczajów. Zwierzchność szkolna go rekomenduje i czuwa równie nad nim, jak i nad powierzonemi mu dziećmi, a rodzice się z nim umawiają.

— Ach! zawsze to kłopot — mówiła pani komisarzowa. — Nie dosyć, że trzeba się z dziećmi roz-

łączyć i martwić się, czy które nie chore i czy mają dobry wikt, tak jak w domu przyzwyczajone, ale jeszcze za wszystko płacić.

— Za to też potem pociecha — rzekł pan Karpiński — jak chłopiec wyrośnie i patrzy już na człowieka.

— Oj, zapewne — mówiła — jakto i panu musiało być miło, jak ten pański synek, któregoś pan w głowę pocałował, tak rozumnie się odezwał, kiedy ten szlachcic tu głupstwa gadał.

— Rzeczywiście ucieszyłem się — odpowiedział pan Karpiński — jak gdyby był moim synem.

— To to nie pańskie dziecko?

— Nie pani — odpowiedział pan Karpiński — jest to sierota, chłopiec biedny, ale bardzo roztropny i zdolny, najlepszych obyczajów i tak pilny, że przeszłego roku medal srebrny za nauki otrzymał.

— Proszę, proszę! — rzekła, poprawiając wstążeczkę — a że roztropny, to roztropny; już to i sama słyszałam.

— Właśnie to jest jeden z takich — mówił pan Karpiński z intencją — którego władza szkolna do dozoru młodszych od niego uczniów przeznacza.

— Kiedyż bo on taki młodziutki — rzekła, kiwając głową — nie musi mieć więcej jak piętnaście lat.

— Nie ma i tyle — odpowiedział przyjaciel Tadeuszka. — Czternasty rok kończy.

— Ach! szkoda, szkoda, że nie starszy. Jabym go sama wzięła. Bardzo mi się spodobał. Ale kiedyż bo to jeszcze dziecko. A jak się nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Bezimienny.

— Oto! a jakie osobliwe nazwisko. Możnaby sobie

i to i owo pomyśleć — rzekła, uśmiechając się i poprawiając wstążeczkę.

Na tem skończyła się rozmowa. Chłopcy dali znać panu Karpińskiemu, że konie zaprzężone. Ten ukłonił się pani komisarzowej, która mu bardzo uprzejmie dygnęła i obliczywszy się z gospodynią, wyjechał.

W drodze opowiedział Tadeuszkowi treść swojej rozmowy. A gdy go bohater nasz uwiadomił, że tym szlachcicem był niegdyś jego prześladowca, Radłowski, tem bardziej kontent był z odwagi chłopca, która odwróciła zajście, mogące wziąść zły koniec i zjednała mu matkę, mającą dwóch malców do ulokowania. Sądząc zaś, że może pani komisarzowa odstąpi od swojego uprzedzenia co do wieku nauczyciela, i wspomni o nim prefektowi, umacniał go nadzieją znalezienia zaraz miejsca, i radził jutro rano pójść do zwierzchnika szkoły, który go i lubił, z prośbą o zapisanie go na listę kandydatów do dozoru domowego i poleceniem się jego łasce i opiece. Tak więc Tadeuszek niecierpliwie wyglądał Krzemieńca.

Góry, śród których miasteczko to leży, ciągną się ode Lwowa, do największej swej wysokości na Wołyniu dochodzą koło Krzemieńca, potem, spłaszczając się coraz, giną w tej okolicy Polesia, co choć zarosła lasami i nieprzebytemi bagnami okryta, jest jednak punktem tak podniesionym, że od niego jedne rzeki idą na wschód do Dniepru, inne dążą na zachód do Bugu i Narwi. Dzieli się więc Wołyń przez te wzgórza, jakby na dwie połowy. Jedna dochodzi równo do samego ich pasma, jakby do jakiej krawędzi; w całej swej przestrzeni jest na tej samej z

niemi wysokości, zamyka grunta niezmiernie urodzajne, lasy dębowe, i z widoku i pięknych położeń przypomina Podole. Druga poczyna się od tychże wzgórzów, które już z tej strony są strome, i u szczytów swych mają wyraźne ślady, że o nie biła woda. Cała ta część, ciągnąca się do Bugu i dalej, niższa od pierwszej blisko o tysiąc stóp, jest zupełnie płaska, piaszczysta, zarosła lasami sosnowemi, ma rzeki i łąki błotniste, usiana jest okrągłemi i krzemienistemi kamieniami, a bliżej gór odłamkami skał, widocznie przez wodę naniesionemi. Zdaje się ona być dnem morza, które w skutek jakichcis wstrząśnień kuli ziemskiej, ztąd ustąpiło, i którego brzegiem pomienione wzgórza być musiały.

Krzemieniec leży już na tem dnie, w głębokiej i ciasnej dolinie, otoczonej najrozmaiciej pogiętemi górami. Dolina ta, zewsząd zamknięta, musiała stanowić kiedyś niewielką, ale niezmiernie głęboką zatokę, łączącą się z całą masą reszty wód przez jednę tylko długą szyję, tak nazwaną dziś Maćkową dolinę. Właśnie tamtędy idzie teraz droga ku Dubnu, pomiędzy dwoma rzędami gór malowniczo upiętrzonych. W skutek więc takiego położenia wjeżdża się do Krzemieńca od Podola z ogromnej Wiszniowieckiej góry, a wyjeżdża się z niego po drodze zupełnie równej, która idzie płasko i bez żadnego już podnoszenia się, przez zielone błonia ku Ikwie, za którą zaczynają się piaski i ogromne sosnowe lasy.

Jak urozmaiconem jest to położenie, jak bogatem w piękne widoki, rozległe perspektywy, cieniste i urocze przechadzki wśród parowów i wyniosłości,

gdzie niegdzie ogromnemi drzewami zarosłych i schludnemi domkami tu i owdzie zasianych, już z powyższego opisu jakkolwiek niedokładny, czytelnicy wnieść potrafią. Ta piękność położenia była zapewne jedną z przyczyn, które uczniów tej szkoły tak bardzo do miejsca tego przywiązywały. Budziła ona w nich zamiłowanie natury, dając na każdym niemal kroku świadectwo o cudownych jej dziełach i mocy, podnosiła ich myśl i otwierała rozleglejszy niejako na ziemię pogląd, a nadewszystko karmiła to poetyczne uczucie, tak silnie w młodem sercu rozwijające się, kiedy natura całym swym powabem ciągnie je ku sobie, zachęca do rozmyślania i przypatrywania się swoim wdziękom, odrywając od drobnych próżnostek i brudów życia, które człowiek zdaleka pod nogami swojemi zostawia.

Pan Karpiński stanął z chłopcami swymi w tem miejscu na Wiszniowieckiej górze, gdzie się zaczyna zjazd i gdzie bojaźliwsi, lub chcący swobodniej przypatrzeć się pięknemu widokowi, który się nagle odkrywa, wysiadają i idą piechotą. Wszyscy trzej ze wzruszeniem i uczuciem radości spojrzeli na tak dobrze znane sobie miejsce. Przed niemi głęboko leżała zaludniona i okryta budynkami dolina, ograniczona z prawej strony górą Zamkową, najwyższą ze wszystkich, zupełnie nagą, szarą, podnoszącą się w kształcie kolosalnego ostrokręgu, i na którego szczycie wznosił się zamek, nazwany zamkiem królowej Bony. Z po za góry zamkowej wyglądała mało co niższa Czercza, a za nią inne, obrosłe pięknemi drzewami, ciągnące się wzdłuż po nad doliną Maćkową i w

miarę swego oddalenia się, przechodzące w kolor sinawy. Od strony zachodniej występowała naprzód góra Ogrodowa, gładka i zielona, jakby ją kto aksamitem usłał, zaginała się po za ogrodem botanicznym i łączyła z inną górą, nazwaną Wołowicą, wchodzącą w miasto, jak jaki przylądek, i bielejącą od łomów kamieni, które z niej brano. Naprzeciwko góry Zamkowej, na podniesionem cokolwiek miejscu, ukazały się ich oczom ogromne mury pojezuickie, a obok pobazyliańskie, gdzie się ich głowa i serce ocknęły; za kościołem, którego dwie wieże i wielka kopuła rysowały się na zielonem tle wznoszącej się za niemi pochyłości, ukazał się im ogród botaniczny, podnoszący się pod górę, opasany murem, z temi ulicami i drzewami, śród których tyle godzin przepędzili, gotując się na lekcją, lub odpoczywając w ich cieniu. U samych stóp góry zamkowej spostrzegli wijący się potok, który całemu miastu dostarcza wody i nigdy nie wysycha, nad nim kościół niegdyś Franciszkański, a dawniej jeszcze właściwy zamek, gdzie było mieszkanie starostów. Obok tego kościoła ujrzeli ciągnącą się ulicę, tak nazwaną Szeroką, na której bielały zajezdne domy i sklepy, i prostopadle od niej idące w górę dwie inne ulice, po obu bokach jezuickiego gmachu i ogrodu botanicznego, zkąd uśmiechały się do nich większe już i porządniejsze mieszkania z kolumnadą i topolami, a dalej, w różnych zakrętach, najrozmaitsze co do wielkości i formy domki i dworki, właściwe mieszkania studenckie, rozrzucone bez porządku; często bez ulicy, ale najczęściej z ogródkiem, lub przynajmniej z drzewem,

które się przy ganku zieleniło. Wszystko to razem i zdaleka wydało się im pełne rozmaitości, pełne dziwnego powabu, który powiększał się jeszcze przez znajomość szczegółów i przez kontrast wielkich robót natury, jakie tam widoczne, z drobną i złomną pracą człowieka, która jeszcze przy nich zmalała.

Była już godzina ósma. Cała dolina, z bielejącemi w niej budynkami, zaczynała się pokrywać szarością wieczoru. Na żadnej ścianie nie odbijał się już promień światła, krzyż nawet kopuły i krzyże wież wznosiły się posępnie w powietrze. Słońce skryło się dawno za góry, których ciemne i zarosłe grzbiety rysowały się na zachodniej stronie nieba. Jeden tylko zamek oblał się różowem światłem, tak przenosił wysokością swą inne wzgórza. Tadeuszek stanął i długo patrzył na tę kamienną koronę w szkarłacie zachodu pływającą. Wtedy serce się jego umocniło, jakby to było jakieś światło nadziei, umyślnie dla niego zostawione, a oko jego podniosło się ze łzą wdzięczności do Sprawcy tych cudów, któremi w sieroctwie i w opuszczeniu można się pocieszyć i ukrzepić.

O! bo przysłowie, które mówi, że nadzieja matką jest głupich, pod tym jednym względem nieprawdziwe, że nie wszyscy są głupi, którzy na niej polegają. Jeżeli kto siada do zielonego stolika z tą nadzieją, że ogra swoich współkolegów, tego ona oszuka, i ten najpewniej przegra; jeżeli szewc, zazdroszczący powodzenia drugiemu szewcowi, przenosi się na tę samą ulicę, z nadzieją zepsucia targu współzawodnikowi, tego sklep będzie pusty, ten pewnie dozna zawodu; jeżeli elegantka idzie do kościoła w na-

dziei zwrócenia na siebie oka mężczyzn, i z pewnością znalezienia między niemi adoratora, dostanie niewątpliwie miejsce w takim kącie, że jej nikt nie zobaczy; jeżeli autor, po świeżem wyjściu swojego dzieła, wchodzi do kompanii z tą nadzieją, że go wszyscy obstąpią, cytować będą miejsca, które mu się najlepiej udały i admirując całość i szczegóły, oddawać zaczną hołd jego talentowi, wtenczas wszyscy, jak raz przyjmą go obojętnie, będą od niego stronić, nikt mu o dziele jego nie powie ani słówka, albo co gorsza, pani jaka, udająca literatkę, spyta go niby z interesem: czemu to pan teraz nic nie pisze? Ale jeśli biedak, nie mający co jeść, westchnie do Boga o chleb i pracę i spodziewa się, że je otrzyma. taki najczęściej otrzymuje więcej, niż się spodziewał. Bo nadzieja udaje tylko matkę dla łakomych, głupich i próżnych, ale jest prawdziwą matką i pocieszycielką dla sieroty, żądającej od świata tylko tego, co się każdemu stworzeniu boskiemu należy. Tadeuszek właśnie tego tylko żądał. Prosił on o chleb powszedni, o surducik, o buciki, o kącik pod skromnym dachem, o świeczkę łojową, przy której mógłby się uczyć, spodziewał się, że to wszystko otrzyma, bo właściwie prosił tylko o pracę, i nadzieja ta, w uroczystej chwili powzięta, nie zawiodła go wcale. Już na trzeci dzień przyzwany był przez prefekta, który go pani Wołkowskiej, owej komisarzowej z Dębowych kurczem, zarekomendował. Dwie rzeczy skłoniły tę panią, w gruncie kobietę niezłą, ale ograniczoną, próżną, skąpą i trzymającą środek między garderobianą a obywatelką, która była na pensji

— do oddania pierwszeństwa bohaterowi naszemu i do przezwyciężenia obawy, jaką jej wiek dawał; pierwsza, że ją ujął niezmiernie roztropnem znalezieniem się w karczmie, a druga, że wszyscy starsi uczniowie, z któremi się umawiała, żądali większego wynagrodzenia; Tadeuszek zaś chciał tylko mieć stół, stancją i jakiekolwiek oporządzenie. Powiedziała więc sobie niby głośniej: — tego wezmę, bo to roztropny i skromny chłopiec — a w gruncie duszy pomyślała; — temu powierzę dzieci, bo ten będzie mnie najmniej kosztować. — I tak się stało. Wszyscy trzej umieszczeni zostali u jakiejś poczciwej wdowy, która już od lat kilkunastu trudniła się utrzymaniem studentów na stancji i stole, i Tadeuszek wziął się do tej nowej dla siebie pracy uczenia, z właściwą sobie energją. Przebył on zdrowo i szczęśliwie cały rok szkolny tak, że i sam bardzo chlubnie skończył kurs pierwszy drugoletni, i chłopcy pani komisarzowej w klasie pierwszej, listy pochwalne otrzymali. Gdy matka przyjechała dla zabrania dzieci swych na wakacje, uściskała serdecznie piętnastoletniego guwernera i prosiła go usilnie, aby i nadal dzieci jej nie odstępował i z niemi pojechał. Chociaż go więc wspomnienie Anny, obraz Sabinki i przyjaźń Józia ciągnęły do Kalinowa, nie chcąc jednak tracić miejsca, z którego był kontent, dał się namówić prożbami pani komisarzowej i pojechał z uczniami swemi na wakacje do Białobrzyniec.

Koniec tomu drugiego.

Józef Korzeniowski.

Tadeusz Bezimienny

Powieść w 3. tomach.

Tom III.

Gródek 1898.
Nakładem i drukiem J. Czaińskiego.

I.

Zamek hrabiny i jej dwór przykre na Tadeuszku zrobił wrażenie. Przywykły do mierności i serdecznego obejścia się z ludźmi dobrymi i otwartymi, zadziwił się, widząc tę ogromną pustkę, te formy krępujące chód i głos każdego, tę posępność, jaką dawało wszystkim umiarkowanie każdego słowa, mierzenie każdego kroku i tajenie we wszystkiem prawdziwej swej myśli. Spostrzegł on ze smutkiem widoczny wszystkiego upadek, a jednakowoż hardość tych, którzy byli bliżsi niewidzialnej prawie nigdy pani. Widział zniechęcenie oficjalistów, niepłatnych, sarkających, którzy jednak ściskali za rękę kozaka, który patrząc na nich uśmiechał się pod wąsem, i kłaniali się Francuzowi, który ministerjalne przybierał miny i protekcjonalnie na wszystkich spoglądał.

Na potrzebach życia nie zbywało mu wcale, bo pani komisarzowa, dbająca szczególniej o dobry wikt, która lubiła i słowo to często powtarzać i mieć na stole kurę pieczoną, suszyła głowę mężowi, aby przynajmniej ordynarja, jaką pobierali, dochodziła ją akuratnie, jeżeli z pensją nie zawsze się mogła zobaczyć. Stancję także miał niezłą w oficynie zamkowej, tak zwanej komisarji; ale oswoiwszy się prędko

z nowemi dla siebie osobami, z zamkiem, który go zrazu uderzył i z jego położeniem, które mu się podobało, nudził się biedny chłopiec, bo go nikt nie kochał; bo serce jego, otwierające się do ludzi, w których głosie i oczach było życie, była miłość, która jest jego kwiatem i duszą, zamykała się za zbliżeniem tych postaci martwych, jakby wypchanych słomą, i poruszających się za pomocą mechaniki, której pojąć i zrozumieć nie mógł. Gdy więc skończył lekcję z uczniami swemi, odbył z niemi spacer, i zostawiwszy ich z rodzicami, mógł się od ich obecności uwolnić, przechadzał się samotnie pod drzewami na wałach, lub siadał gdzie na wyższem miejscu nad brzegami Słuczy, patrząc na jej wody płynące szybko i pluskające jednostajnie o brzeg nierówny i cichy. Były to najmilsze chwile tego niegdyś swywolnego chłopczyka, któremu sieroctwo i życie wśród obcych dało przedwczesną powagę, a nauka i praca prędko i rozważającą wszystko dojrzałość. Lubił on nadto te fali Słuczy dla tego, że one płynęły do Kalinowa. Powierzał im więc swoje myśli, aby je oddały panu Karpińskiemu lub Annie; rzucił czasem na nie listek lub kwiatek aby go zaniosły na brzeg ich ogrodu i tam u nóg przechadzającej się Sabinki złożyły. Przywiązanie bowiem do niej Tadeuszka przybrało charakter tak mocny i głęboki, że chociaż nie miał pojęcia o miłości i o całem szczęściu i męczarniach, jakie ona zadaje, nie wyobrażał sobie nawet tego stanu, żeby mógł o niej zapomnieć, nie widzieć jej myślą w każdej godzinie dnia i wśród najcięższej pracy, nie marzyć o niej

w każdym śnie i nie odnosić do niej każdej przyjemności, jaka mu się zdarzała, i każdej przykrości, jakaby spotkać go mogła.

Znalazł się wszakże w Białobrzyńcach człowiek, którego bohater nasz mocno zainteresował. Czytelnicy łatwo się domyślą, że to był kozak Maksym. Już go w Dębowych karczmach zastanowiło imię i nazwisko Tadeuszka. Poznał go więc od razu, gdy przybył do zamku z dziećmi pani komisarzowej, często mu się przypatrywał i niekiedy starał się z nim zawiązać rozmowę. Raz wieczorem, gdy Tadeuszek siedział nad brzegiem rzeki i w połysku migających się ciemnych fal widział połyski ciemnych loków Sabinki, które coraz inaczej lśniły się za każdem ślicznej główki poruszeniem, usłyszał kroki idącego ku sobie człowieka. Był to Maksym, który się zwolna, z wędką w ręku przybliżał i na zamyślonego młodzieńca z zajęciem spoglądał.

— Jakuju to dumku hadajesz panyczu! — rzekł kozak, siadając obok Tadeuszka i odkręcając włosień wędki z długiej i giętkiej rączki.

— Zachciałeś kozacze! — odpowiedział Tadeuszek — kiedy kto sam na świecie, to ma o czem myśleć.

— Prawda i to — odpowiedział kozak, założywszy robaczka na haczyk i rzuciwszy go w wodę. — Ale widzisz paniczu, kiedy kto młody, zdrów i umie pacierz, to przejdzie świat, choć sam jeden i wróci się nazad.

— Dobrze mówisz, kozacze! — rzekł Tadeusz, patrząc z ukontentowaniem na ładną twarz starego kozaka i pełen życzliwości dla siebie wyraz jego

siwych oczów. — Tylko widzisz, kiedy kto nie ma domu, nie ma ojca i matki, brata i siostry, to choć idzie w świat śmiało, i wie że go przejdzie, ale jak pomyśli, że nie ma do kogo wracać nazad, to mu smutno i nieraz się zaduma, czy iść dalej, czy nie?

— Albo to nie ma dobrych ludzi — mówił dalej kozak, nie uważając nawet, że się piórko zatrzęsło i zatonęło — do których weźmie ochota powrócić nazad? Albo to nie ma tej matki ziemi, na której człowiek wyrósł, z której i chleb smaczniejszy i woda zdrowsza, żeby nie tęsknił do niej i nie cieszył się, jak ją zobaczy?

— A jak jej nie może zobaczyć? — odpowiedział Tadeuszek ze łzą w oku, przypomniawszy sobie szczęśliwe chwile swego dzieciństwa. — To choć gdzie indziej znajdzie dobrych ludzi, jak i ja znalazłem, zawsze jednak czuje, że sierota, i że mu tam było najlepiej.

— Ja tobie powiem, panyczu, co u nas starzy ludzie mówią: Swoje własne dziecko kołysze matka, a sierotę kołysze anioł Boży, który mu piosnkę spiewa — odpowiedział kozak, patrząc w oczy rozrzewnionemu chłopcu. — I to prawda, mij harnyj panyczu! dodał po chwili, wyciągnąwszy małą rybkę, którą zdjął z haczyka i nazad do wody rzucił. — Ot, niedaleko szukając, powiem ci, co się mnie zdarzyło. Będzie temu z piętnaście lat, znalazłem maleńkie dziecko, jakieś widać paniątko, bo miało cienką bieliznę i jedwabne pierzynki, i śliczne było, jak ty, panyczu, musiałeś być, kiedyś był taki. Zaniosłem je do żony, która miała już swoje, i mówiąc: na

majesz jeszcze odnoho chłopcia. Dziecko było u nas miesiąc. Żona je karmiła, a ja kołysałem, spiewając dumkę o kozaku. Wtedy kazali mi jechać na Podole do jednych państwa bardzo bogatych i którzy nie mieli dzieci i nie spodziewali się ich mieć nigdy, bo ona go podobnoś nie kochała, a on był stary i słabowity. Wtedy ja pomyślałem sobie, choć to paniątko wychowa się u mnie, i podzielę się z nim swoim chlebem, to wychowa się na chłopa, zapiszą go w poddaństwo, będzie kozakiem, tak jak ja, albo może oddadzą go do bydła, albo do jakiej ciężkiej roboty obrócą. Żal mi się zrobiło biednego dziecka! Ot ja, zamiast jechać wierzchem, jak zwykle, zaprzągłem żonie do woza, wyprawiłem ją z obydwoma chłopcami, a potem wziąwszy od pani listy, i wsiadłszy tu na dziedzińcu na swego konia, tak że wszyscy widzieli, pojechałem, dopędziłem żonę o parę mil, i tak już jechaliśmy razem.

— I zawiozłeś to dziecko na Podole Maksymie? — zapytał Tadeuszek, potarłszy ręką swe jesne i szerokie czoło, i patrząc na mówiącego z coraz większem zajęciem.

— Poczekaj, panyczu, powiem ci, jak to było — odpowiedział kozak z uśmiechem i znowu wyciągnąwszy sporego okuńka, który się sprężyście na haczyku trzepotał, zdjął go, rzucił w wodę i tak mówił dalej: — Jakem dopędził żonę, zdjąłem siodło ze swego konia, przyprzągłem go do dwóch dobrych szkap, które były w dyszlu, przyrządziwszy uprząż jeszcze w domu; nadziałem kożuch na swoją kozacką kurtkę i nacisnąwszy na uszy prostą chłop-

ską czapkę, poganiałem żwawo dobrą trójką, żeby mi dzieci nie pomarzły. Czwartego dnia przyjechałem do Hajsyna.

— Do Hajsyna? — zawołał Tadeuszek, przysuwając się do kozaka.

— Tam zajechałem sobie do małej karczemki, i myślałem jak tu zrobić — mówił kozak gładząc wąsy. — Deszcz ze śniegiem padał ustawicznie. Zimno przejmowało do kości. Jak tu, myślę sobie, położyć biedne dziecko na dworze i jak przystąpić pod jakie drzwi, albo pod okno, żeby nie było śladów, kiedy nogi grzęzły w błocie. A tu żydy, bestje ciekawe i z długiemi językami, wypytują się: Czy to twoje dzieci, człowieku? to twoja żona ma bliźnięta? a zkąd ty? a gdzie ty jedziesz? Łgałem przed żydami jak mogłem i udawałem, ze mi koń zakulał, i klałem poczciwą szkapę, która była zdrowa i spokojnie sobie owies jadła. Aż tu trzeciego dnia mróz i słońce. Wtedy przeżegnałem się i podziękowałem Panu Bogu, że mnie z tej biedy wyzwoli, i do dobrego dzieła dopomoże. Rozpłaciwszy się z żydami, otuliłem dobrze żonę i dzieci, i przed wieczorem wyjechałem z miasta. Do tej wsi, gdzie ci państwo mieszkali, którym chciałem ślicznego chłopca podarować, było jeszcze dobre trzy mile. Jechałem żwawo, żeby stanąć przed nocą. Już było dobrze szaro, kiedym zobaczył wieś i pałac, co mi się majaczył, jak we mgle. Wtedy zwróciłem z drogi na małą drożynkę i ujechawszy w bok z dobre pół mili, zobaczyłem wielkie poorane pole, i czarne na około, tak że na niem o trzy kroki nic nie było widać! Ot ja za-

wróciwszy konie na lewo, puściłem się tam polem i tam na środku stanąłem. Wtedy kazałem żonie dobrze nakarmić biedne paniątko, a sam, osiodławszy swego konia, spoglądałem na niebo, patrząc jak daleko już noc. Znajome gwiazdy mrugały do mnie z wysoka, ale na około nas było ciemno i głucho. Czasem tylko koń który chrapnął, gryząc siano, albo w jakiej pasiece pies zaszczekał. Żona popłakiwała i trzęsła się biedna ze strachu, a ja mówiłem Ojcze nasz i czekałem pory. Gdy się chłopczyk nassał dobrze, jak gdyby wiedział, że idzie już w świat na niepewne, czy gdzie dadzą jeść, czy nie, wtedy ja i żona przeżegnaliśmy sierotkę, popłakaliśmy się oboje, ułożyli dziecko w tymże koszyku, w którym je znalazłem, otuliliśmy tak, żeby mu nie było zimno, i ja, wsiadłszy na konia i wziąwszy przed siebie koszyk, zostawiłem żonę i własnego syna na czystem polu, a sam w Imię Boże pojechałem do wsi, myśląc, jakby się dostać pod pałac żeby mnie gdzie nie złapali, i jak złodzieja w dyby nie zamknęli. Nie szło mi o siebie! mnieby się może nic złego nie stało. Ale coby się zrobiło z biednem dzieckiem, które wiozłem? co z żoną i z moim własnym synkiem, których zostawiłem w nocy samych i bez grosza przy duszy. nie widzących którędy się obrócić? Oj! wtedy, panyczu, markotno mi się zrobiło. Ale nie było rady, pojechałem. Już było po północy, kiedym przyjechał pod ogród, który z jednej strony przypiera do jakiegoś błotka, zarosłego łoziną. Tam w łozinie przywiązałem konia i postawiwszy zdaleka koszyk, poszedłem zobaczyć, którędy przeleźć przez

parkan; miejsce takie znalazłem prędko, gdzie deski się nadpsuły, i gruby dyl, który się kładzie na wierzchu, odpadł i z tamtej strony leżał. Ot, ja przyniosłem tam dziecko, które na moje szczęście spało, przywiązałem sznurek do koszyka, i postawiwszy pod parkanem, po tym dylu, jak po drabinie, wlazłem na parkan. Potem wciągnąłem koszyk i spuściwszy w ogród, sam za nim wskoczyłem. Ogród i pałac były mi dobrze znajome, bo tam raz z panią siedzieliśmy cały tydzień. Wiedziałem nawet, które okna tego pokoju, gdzie państwo spali. Tam podkradłem się cicho, postawiłem pod samem oknem chłopczyka i rozbudziwszy go, żeby płakać zaczął, sam schowałem się z boku i naszykowałem pistolet, gotów nawet skaleczyć tego, ktoby mnie chciał łapać. Oj! paniczu! — dodał kozak, obcierając pot z czoła — nigdy nie zapomnę tej złej godziny, którą tam w krzakach przesiedziałem, czekając, czy wyjdą, czy mojego aniołka wezmą i utulą; a on tymczasem głośno płakał, a mnie się serce krajało i choć to ja prosty kozak, płakałem także, tak mi go było żal, jak swego własnego syna.

Tu kozak zatrzymał się i łza spadła na jego siwe wąsy. W oczach Tadeuszka, który na niego z natężeniem patrzał, stanęły także łzy, i drżenie jakieś przejęło wszystkie jego członki. Spostrzegł to kozak i dodał z uśmiechem:

— Nie płacz, harny paniczu! bo wszystko dobrze się skończyło, bo co u nas ludzie mówią, to prawda: sierotę kołysze anioł Boży i piosnkę mu spiewa. Ot, nie wyszło pół godziny, jak wybiegła ze drzwi, co

tam od garderoby wychodzą, jakaś służąca, a za nią druga jakaś imość gruba i już stara. Obie przyszły do koszyka, przyklęknęły i zaczęły się przypatrywać. Wtedy stara, obaczywszy widać tak maleńkie dziecko, załamała ręce, potem nachyliła się nad dzieckiem, zaczęła je otulać, całować i mówiła tak, że ja usłyszałem: — chodź mój robaku! chodź mój aniołku! tu ci krzywdy nie zrobią. — I potem wzięli koszyk i prędko ponieśli. Ale co tobie, paniczu?

Tadeuszek, słysząc te ostatnie słowa i poznawszy, że to jego historja i jego Widalsia, klasnął w ręce, potem zakrywszy dłońmi twarz, rzewnie płakać zaczął. Kozak patrzał na niego spokojnie, gładził wąs, i także łza z ócz jego kapała. Gdy się Tadeuszek cokolwiek uspokoił, podniósł głowę, i patrząc bystro na kozaka, który się do niego uśmiechał, choć miał oczy pełne łez, wziął jego rękę i tuląc ją do ust, zawołał:

— Dobry, dobry Maksymie! O! dziękuję ci, dziękuję!

— Tak to ty, paniczu! Nu! Sława Bohu! szczo ja dobre dohadawsia! — odpowiedział kozak, obejmując go silnem ramieniem i położywszy dłoń drugiej ręki na jego twarzy, przyciągnął ją do swojej, i całować zaczął. Potem otarłszy oczy obiema rękami, odchylił się, i przypatrując się bohaterowi naszemu, dodał: — a harnyjże ty, harnyj! aż lubo na tebe pohladity!

— Maksymie! — rzekł wówczas Tadeuszek, patrząc nań proszącym wzrokiem — ty musisz wszystko wiedzieć! — Gdy kozak spuścił oczy i nic nie odpowiadał, młodzieniec złożył ręce i dodał: — Ojcze Maksymie! ty wiesz i nie chcesz mówić!

— Cóż ci powiem, paniczu, kiedy nie wiem? — odpowiedział Maksym.

— Tylko mi powiedz imię mojej matki — mówił dalej Tadeuszek.

— Jaki ty śmieszny, paniczu! — rzekł kozak powstając — żebym wiedział imię twojej matki, tobym wiedział wszystko. A zkąd-że mogę co wiedzieć, kiedym ciebie znalazł? Ale daj temu pokój! Jak przyjdzie czas, to się może dowiesz. A teraz chodź, zaprowadzę cię do żony i pokażę ci swego chłopca, z którym jednę pierś ssałeś. Tylko jego nie pytaj o nic, bo on o niczem nie wie i o tobie nawet nie słyszał.

Tadeuszek porwał się z miejsca z ochotą i poszli na wieś do chaty Maksyma. Była ona trochę porządniejsza do innych, miała jedno większe okno, przede drzwiami była ławeczka i parę drzew kaliny, na których czerwieniały jagody. Niewielki dziedziniec obwiedziony był orynowym płotem, a po za komorą chaty, stanowiącą połowę domku, prowadziła ulica na drugi dziedziniec, gdzie znajdowała się obora na kilka krów i stajenka na parę koni. Innych zabudowań gospodarskich nie było, bo Maksym, jako sługa dworski, nie robił w polu i pobierał gotową ordynarją. Ogród tylko miał spory, który leżał po prawej stronie jego domku i zasadzony był różnemi warzywami. Na ławeczce przy progu, siedziała kobieta dorodna i przystojna, w czystej koszuli, w chustce kolorowej na głowie, i przędła. Spostrzegłszy na dziedzińcu męża, idącego z jakimśćiś paniczem słusznym i ładnym, położyła wrzeciono na kolanach i przypatrywać mu się zaczęła, Wtedy Maksym przy-

bliżywszy się, rzekł:

— Nu! Tatjana! hlady na toho panycza i piznaj jego.

— Deż meni jehó piznawaty — odpowiedziała powstawszy i założywszy ręce — koły ja jehó nikogda nebaczyła.

— Ta neprawda, durna babo! — odpowiedział Masym — baczyła, taj swoim mołokom kormyła.

— Toż win! — krzyknęła wówczas dobra kobieta, klasnąwszy w ręce. — Ach! mij hołubczyk! jakij-że win choroszeńkij! — i wyciągnęła ręce do Tadeuszka, który rzucił się w jej objęcie, i cisnąc się do tego łona, które go najpierw ogrzało i otuliło, podziękował w duszy Panu Bogu, że już nie jest sam na świecie. Gdy tak wszystko troje siedzieli i rozmawiali, przyjechał Zacharek, syn Maksyma, który wodził konie poić do rzeki. Był on trochę niższy od Tadeuszka, ale pleczystszy, zdrów, twarzy rumianej i przystojnej. W jednej koszuli i bez kapelusza siedział oklep na koniu, i trzymał się śmiało i dziarsko, jako syn kozacki. Wjechawszy kłusem na dziedziniec, stanął raptem i zaczął się przypatrywać paniczowi, który obok matki jego siedział i za rękę ją trzymał. Wtedy ojciec rzekł mu:

— Puskaj koni, ta chody siudy. — Chłopak zeskoczył z konia, uderzył go po grzbiecie, i puścił oba na drugi dziedziniec, a sam przystąpił bliżej ławeczki, i objąwszy ręką kalinę, co tam stała, przypatrywał się Tadeuszkowi, jakby się chciał domyśleć, kto to taki, i czemu tak poufale rękę matki trzyma; wtedy Maksym rzekł: — To ten sam paniczu, co się z tobą dzielił mlekiem matczynem. Bądź dla

niego dobrym, jak ci będzie służył. Bo ja już dawno o tem myślę, żeby on tobie służył, a nie komu inszemu. A będzie z niego kozak żwawy i wierny, bo to mój rodzony syn, paniczu!

— O poczciwy Maksymie! — zawołał Tadeuszek powstawszy, i biorąc rękę starego kozaka, który rzekł do chłopca.

— Zachar! pociłuj ruku panicza, a jeśli jemu budesz służyty, to służy tak, jak twyj bat'ko panam swoim służyt.

— Budu bat'ku! — rzekł chłopak, i przystąpił śmiało do Tadeuszka, który nie pozwolił pocałować się w rękę, ale objął jego szyję i serdecznie go uściskał.

Tadeuszek znalazłszy tak przychylne serca w tem miejscu, które go zrazu takim smutkiem i melancholją przejęło, zrobił się weselszym, spokojniejszym, i nie czując już tak mocno swego opuszczenia, znajdował nawet życie tego zamku daleko znośniejszem, niż dotąd. Gdy skończył swoje zatrudnienia, gdy uczniów swych mógł odstąpić, lub jeździł w pole na koniu Maksyma, który dla niego co wieczór był osiodłany, lub siedział z kozakiem nad rzeką, biegł do Tatjany i z nią przesiadywał na tej ławeczce, gdzie się poznali, i gdzie się na chwilę przynajmniej biciem serca macierzyńskiego mógł złudzić. Ale i żona Maksyma o pochodzeniu jego nic mu powiedzieć nie mogła. Mówiła to samo, co mąż jej, że Maksym znalazł koszyk z dzieckiem i przyniósł do domu. Tadeuszek pewnym był prawie, że jeżeli nie okoje, to przynajmniej kozak wie daleko więcej, niż mówi. Ale jakkolwiek pragnął się dowiedzieć, kto

mu dał życie, kto go tak dobremu człowiekowi powierzył, jak wygląda twarz tej, co była zapewne przymuszoną od łona swego dziecię swe oderwać, nie nalegał jednak,' sądząc, że człowiek, który mu tyle okazuje przywiązania, jeżeli wszystko wie a milczy, to musi mieć ważne powody nie odkrywać tajemnicy, od której jego szczęście i pokój zależy. Zostawił więc tę rzecz czasowi, jakkolwiek boleśnie nieraz i błagającym wzrokiem na dobrego kozaka poglądał.

W tydzień potem, gdy pan Wołkowski był u hrabiny z jakiemiś papierami, rzekła mu, niby nawiasowo i z przypadku:

— Jakiego to acan, panie Wołkowski, masz chłopczyka przy dzieciach?

— Moja żona — odpowiedział komisarz — wzięła go w Krzemieńcu. Był przy nich cały rok. Młody to chłopiec, ma dopiero lat piętnaście.

— Ale bardzo roztropny — odezwała się panna Konwencka, która czasem spotykała się z bohaterem naszym na wałach, i wdawała się z nim w rozmowę. — Ma rozum i statek nad lata.

— Po cóż acanna odzywasz się, panno Konwencka, kiedy acanny nikt o to nie pyta — rzekła hrabina, a biedna panna respektowa, poprawiwszy chusteczkę, którą była zawsze podwiązana, choć na głowę już osiwiałą przybył czepek, westchnęła i wzięła się do swej roboty. Hrabina, uderzywszy parę razy tabakierką o dłoń, dodała: — O czem że to mówiłam? zapomniałam. Przerwała mi swojem wtrącaniem się panna Konwencka.

— O tym młodzieńcu z Krzemieńca — rzekł komisarz, kłaniając się.

— A! tak. Jakże się on nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Bezimienny — odpowiedział uśmiechając się pan Wołkowski, jak gdyby potwierdzał zdanie swojej żony, że przy tem nazwisku i to i owo możnaby pomyśleć.

— Czegóż się acan uśmiechasz, panie Wołkowski? — rzekła hrabina serjo do zmięszanego jej spojrzeniem komisarza. — Jest to nazwisko tak dobre, jak i inne wasze szlacheckie i półszlacheckie nazwiska. A że się nie kończy na *ski*, to nie ma w tem nic dziwnego. Chłopczyk ten musi być z Litwy. — Pan Wołkowski ukłonił się na znak, iż potwierdza domysł hrabiny, że Tadeuszek jest z Litwy, a stara matrona, oparłszy głowę o środek kanapy i posiedziawszy tak przez chwilę z otwartą gębą, dodała: — więc acan mówisz, że on się edukował w Krzemieńcu.

— Tak jest, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział z ukłonem.

— Znałam pana starostę Nowogrodzkiego bardzo dobrze — mówiła hrabina, dając ruch zwyczajny swojej tabakierce. Płacimy nawet podobno coś na utrzymanie tej szkoły.

— A płacimy, jaśnie wielmożna pani. Komisja edukacyjna przysądziła na dobra jaśnie wielmożnej pani kwotę...

— No, mniejsza tam o to, ile — przerwała hrabina. — Ale ciekawa jestem, jak po dwudziestu kilku latach rozwinęło się dzieło pana starosty Nowogrodz-

kiego, i jak też teraz idzie. Mając tak dobrą sposobność z okazji tego chłopczyka, mogłabym się o tem przekonać i pragnęłabym go zobaczyć i z nim pogadać Każ-że mu acan przyjść tu do mnie kiedy.

Tu kiwnęła głową komisarzowi, który się ukłonił i wyszedł; hrabina oparła głowę o kanapę, podniosła oczy w sufit, otwarła gębę i zamyśliła się, a Stanisław August zaczął tymczasem zwyczajną swą i regularną oscylację od prawej ręki do lewej.

Że ta rozmowa hrabiny z panem Wołkowskim i ta jej raptowna ciekawość, jak też rozwinęło się i prosperuje dzieło Czackiego, była skutkiem relacji jaką jej Maksym o znajdowaniu się Tadeuszka w zamku zrobić musiał, tego się czytelnicy bez wątpienia domyślają. Nazajutrz, po godzinie trzeciej, stanął Tadeusz w sieni zamkowej. Maksym już go czekał na progu i przeprowadziwszy przez pokój hetmanów, przez salę Mojżesza, w pokoju zegarowym go zostawił. François, który go widywał u państwa Wołkowskich, gdzie dosyć często bywał i na kanapie siadał, ukazując mu krzesło, aby usiadł, poszedł do pani. Wszystko to odbyło się w cichości i milczeniu. Tadeuszek nie widział jeszcze nigdy tak pańskiego pomieszkania, i takiego ceremoniału. Chociaż tam wszystko było całe i czyste, wyraźny jednak ślad dawnego blasku i znaczenia, charakter poważnej przeszłości, który się odbijał w formie rzeczy, co go otaczały, i w wymiarach komnat, jakby nie dla dzisiejszych ludzi zbudowanych, przejęły go drżeniem i napełniły serce jego mimowolnem uszanowaniem. Nie odważywszy się więc usiąść, stał o-

party o ścianę, i nieśmiało patrząc w około, oczekiwał przyjścia hrabiny, i przemyśliwał, po co go wezwała i co mu powie. Po niejakim dopiero czasie otwarły się drzwi od gabinetu, wszedł Francuz i ukazał mu z powagą, że może wejść dalej. Wszedł więc nasz bohater do tego miejsca, które już dobrze znamy; Francuz szepnął mu, że pani zaraz wyjdzie i zostawiwszy go znowu samego, drzwi za sobą zamknął.

Tadeuszek nie mógł sobie zdać sprawy, z tego uczucia trwogi i poszanowania, które go przejęło. Stanąwszy przy tych drzwiach, przez które wszedł, spoglądał niespokojnie to na drzwi przeciwległe, które prowadziły do apartamentów zwykle zamkniętych, to na drzwi naprzeciw okien będące, które wiodły do sypialnych pokojów hrabiny. Nie wiedział on, które się otworzą i w których ukaże się ta poważna pani, której jeszcze nie widział, której wszyscy we dworze tak się bali, a przed którą stawał z jakąś czcią, jakiej sobie wytłumaczyć nie mógł, i z trwogą, która we wszystkich zdarzeniach życia była mu zupełnie obcą. Ale gdy przeszło z pół kwadransa, a drzwi się nie otwierały i żaden głos nie objawiał, że się tam ktokolwiek znajduje, oswoił się i ze swojem położeniem, i z tą uroczystością, co go otaczała, postąpił parę kroków ku środkowi, i zaczął się oglądać po pokoju i przypatrywać rzeczom, które się tam znajdowały. Przedewszystkiem uderzył go portret hrabiny, wiszący naprzeciw kanapy, na której siadała. Zbliżył się więc do tego malowidła, podniósł głowę i założywszy ręce, zaczął mu się przypatry-

wać. Rysy tej pięknej i dumnej twarzy, zastanowiły go niezmiernie. Zdawało mu się widzieć w niej jakieś podobieństwo do kobiety, którą kiedyś znał; przechodził myślą różne osoby, które w życiu swojem spotykał, ale nic wyraźnego we wspomnieniach swych wyszukać nie mógł. Gdyby nie ten strój tak zupełnie odmienny, gdyby nie ten wyraz oczów i ust, taki zimny i hardy, byłaby ta twarz i cała postać najpodobniejsza do twarzy i postaci tej pani, co go kazała podjąć z przed swego okna, co mu dała przytułek, powierzyła opiece Widalsi, i przez dziesięć lat odziewała i karmiła. Wspomnienie to rozrzewniło go, przeniosło do dni szczęśliwego dzieciństwa i pogrążyło w takiem zamyśleniu, że zapomniał zupełnie, gdzie jest i na kogo oczekuje. Dopiero gdy zegar w przyległym pokoju uderzył czwartą i głos jego rozległ się po ogromnych i pustych komnatach tem właściwem brzmieniem, które zdaje się być echem z dawnych czasów dochodzącem, wstrząsł się młodzieniec, i zwróciwszy głowę na prawo, spostrzegł we drzwiach stojącą hrabinę. Na widok tej imponującej postaci cofnął się parę kroków, patrzył na postępującą z powagą, jakiej sobie nawet nie wyobrażał, i dopiero, gdy się zbliżyła do kanapy i orzuciła go wzrokiem, przypomniał sobie, że się trzeba ukłonić. Schylił więc głowę z uszanowaniem, i wyprostowawszy się stał i czekał co powie, z wyrazem skromnym ale nie bojaźliwym.

Hrabina, otworzywszy drzwi i spostrzegłszy pięknego młodzieńca, którego kształtną kibić, czysty i spięty szczelnie surducik dobrze wydawał, którego

wzrost okazywał dorodne rozwinięcie ciała, a zamyślenie na jasnem i szerokiem czole dojrzałość głowy i serca, uśmiechnęła się i patrzała nań jakby z ukontentowaniem i zajęciem. Czy ją ujęła powierzchowność Tadeuszka, rzeczywiście pełna powabu i tej męzkiej gracji, jakiej zwykle nie mają studenci, czy to, że się jej portretowi tak pilnie przypatrywał, tego z pewnością nie wiemy; dosyć, że twarz jej miała wyraz daleko łagodniejszy, niż zwykle, i choć przez to nie straciła przejmującej uszanowaniem powagi, nie spostrzegł jednak Tadeuszek w jej osobie nic tak strasznego i odrażającego, jak go o tem pani komisarzowa pod sekretem uprzedzała. Hrabina usiadłszy, rzekła:

— Przybliż się acan. Dla czegożeś się z taką uwagą temu portretowi przypatrywał? Jest to rzeczywiście robota bardzo piękna, ale nie wiem, czy się acan tak dobrze znasz, żebyś mógł ją ocenić?

— Nie widziałem nigdy piękniejszego obrazu i dla tego mnie tak zajął wyrazem życia i zapewne wiernego podobieństwa — odpowiedział Tadeuszek, i nieznacznie rzucił okiem na portret i na twarz hrabiny. Ten mimowolny komplement siedmdziesięcioletniej staruszce zrobiony, a o którym zmięszany cokolwiek chłopiec nie myślał, nie zmniejszył dobrego wyobrażenia, jakie o nim powzięła.

— Czyś się acan uczył rysować w Krzemieńcu? — zapytała jeszcze łagodniej.

— Uczyłem się, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział, ośmielając się jej głosem i wejrzeniem, które nie miały tej surowości, jakiej się spodziewał,

— I korzystałeś acan? Macie tam nauczyciela, którego kilka niezłych robót widziałam — zapytała hrabina.

— Mógłbym był daleko więcej korzystać — odpowiedział Tadeuszek, spuszczając oczy. — Ale inne nauki zajmowały mi wiele czasu, a przytem musiałem pracować i w domu, żeby zarobić na chleb i utrzymanie.

— Dobrze, że acan wcześnie zacząłeś myśleć o sobie — rzekła, marszcząc czoło i przerzuciwszy parę razy tabakierkę od jednej ręki do drugiej. Tadeuszek spojrzał z zadziwieniem na wyraz jej twarzy nagle zmieniony, a hrabina po chwili dodała: — Musisz acan mieć ubogich rodziców, że nie mogą acanu do skończenia edukacji pomagać.

— Rodziców moich nie znam — odpowiedział Tadeuszek czerwieniąc się — jestem sam jeden i na nikogo spuszczać się nie mogę. Póki byłem dzieckiem, karmiła mnie łaska jednych państwa na Podolu, co mnie pod swojem oknem znaleźli. Gdy mnie ze swego domu wypędzili, znalazłem pomoc w opiece biednych zakonników z Kalinowa. Ale ci pomarli — dodał drżącym głosem i łza błysnęła w jego błękitnem oku — zostałem sam i teraz od Boga tylko i mojej pracy spodziewam się pomocy.

— Na cóż mi acan to wszystko mówisz? nie pytałam o to — rzekła hrabina, i twarz jej przybrała zwykły wyraz twardości i dumy, na którego widok zadrżał Tadeuszek, ale ani odpowiedzieć, ani się ruszyć nie śmiał. Hrabina przechyliła na tył głowę już zupełnie siwą, otwarła gębę, i bawiąc się jak

zwykle tabakierką, siedziała tak przez niejaki czas w milczeniu. Po chwili rzekła: — uczyłeś się acan prawa?

— Nie, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział Tadeuszek. Dopiero na przyszły rok zacznę słuchać prawa natury i prawa rzymskiego.

— Na cóż się to acanu przyda? — rzekła hrabina. — Lepiej ucz się prawa krajowego, żebyś umiał bronić siebie i drugich od napaści złych ludzi, których mamy dosyć. — I w tej chwili blada twarz pana Hipolita Złotówki musiała jej mignąć przed myślą.

— Przyjdzie i na to kolej, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział Tadeuszek — chociaż dla mnie samego wiadomość ta nie będzie zapewne potrzebna. Rodzice moi puścili mnie w świat bez żadnych praw i nie dali mi nic do bronienia.

— I acan zupełnie nie znasz swojego pochodzenia? — zapytała hrabina, której czoło zmarszczyło się.

— Tyle wiem — odpowiedział — że mnie tu gdzieś w okolicy tego zamku znaleziono.

— Idź acan — rzekła — a sprawuj się dobrze i ucz się dobrze, to wyjdziesz na człowieka. — Tadeuszek ukłonił się, spojrzał jeszcze raz na portret i wyszedł. Gdy się obaczył w pokoju, w którym Maksym siedział, przybliżył się do niego, oparł głowę na jego piersiach i zaczął płakać.

— Co tobie, paniczu? — zapytał Maksym.

— Nie wiem, nie wiem; ale wolałbym był tam nie być — odpowiedział, mocując się z sobą i ocierając łzy, których utrzymać nie mógł.

— Czy ci pani co przykrego powiedziała? — rzekł kozak.

— Nie, nie. Zresztą ona taka stara, taka poważna. Od niej zniósłbym wszystko. O! to nie to zupełnie! Maksymie, powiedz mi, czyj to portret wisi w jej gabinecie, ta kobieta piękna i biała.

— Hm! — rzekł Maksym — to nasza pani taka była, jak była młoda.

— Dla czegoż — mówił Tadeuszek z mocą i czuciem — przypomniała mi tamtę na Podolu, co mnie przyjęła u siebie, dziesięć lat odziewała i karmiła, czasem okazywała się tak dobrą, raz mnie nawet przytuliła do siebie, jak matka musi tulić dziecko, które kocha, a potem pozwoliła, że mnie jak szczenię znalezione pod płotem, za płot wyrzucili.

— Et, przyśniło ci się, paniczu, — odpowiedział Maksym — tamta nie taka i nie umywała się do tej.

W tej chwili wszedł Francuz i zawołał Maksyma do pani. Kozak uśmiechnął się i poszedł, a Tadeuszek, unikając spotkania z kimkolwiek, pobiegł prosto nad rzekę, tam usiadł i dumał o tej starej i poważnej pani, z którą rozmawiał, o pięknym portrecie, którego zapomnieć nie mógł, o Rozalii, do której myśl jego mimowolnie się zwracała, o tem drzewie, na którem się przed nią chował, i tym kiosku, gdzie raz płakał na jej łonie. Nie mogąc tego wszystkiego skombinować, i zmęczony domysłami, które mu dawały i radość i smutek, wlewały w serce jego i miłość i oburzenie, odsunął od siebie te obrazy, i uciekł od nich pod cichy i skromny dach Kalinowskiego dworku. Tam się tulił z dziecinnem przy-

wiązaniem, tam skołatane myśli swe starał się przyprowadzić do harmonji, do zgody, stawiąc przed nimi z kolei, to poważne lice pana Karpińskiego, to piękną postać Anny, to poczciwy uśmiech dobrego Józia, to nareszcie obraz tej ślicznej Sabinki, której twarz i wejrzenie towarzyszyły każdemu ruchowi jego głowy i wiązały się z każdem silniejszem serca jego uderzeniem.

Skończyły się wakacje. Tadeuszek nie widział już więcej hrabiny, ale mając nazajutrz wyjechać, prosił Maksyma, żeby go rano, gdy pani jeszcze spać będzie, do jej gabinetu zaprowadził. Gdy tam obaj cichuteńko przyszli, stanął przed portretem, wlepił w niego wzrok i myślami w twarzy jej utonął. Kozak stał za nim, naciągał siwe swe wąsy i głową kiwał. Po niejakim czasie Tadeuszek obrócił się i wziąwszy go za rękę, proszącym głosem zapytał:

— Maksymie! i ty mi nic nie powiesz?

— Jaki ty śmieszny, paniczu! — odpowiedział kozak ciszej, oglądając się na drzwi hrabiny. — Cóż ci mam powiedzieć, kiedy nie wiem.

— No! to chodźmy już! — rzekł Tadeuszek, i rzuciwszy jeszcze ostatnie wejrzenie na malowidło, z którem już więcej nie miał się obaczyć, poszedł ze schyloną głową.

Gdy przybył do Krzemieńca, dowiedział się, że Józio już jest i o niego się pytał. Pobiegł więc co prędzej do stancji przyjaciela, i jakaż była jego radość i podziwienie, gdy w oknie otwartem obaczył twarz Sabinki. Klasnęła ona w dłonie, poznawszy go, zaczerwieniła się jak róża i zwróciła się ku drzwiom,

żeby go powitać. Nigdy siostra nie przyjęła serdeczniej brata, którego długo nie widziała, jak ta swawolna i despotyczna dziewczyna powitała zachwyconego widokiem jej Tadeuszka. O! bo też Sabinka zrobiła się przez ten czas dziwnie piękną i powabną. Zaczęła ona rok piętnasty, wyrosła, uformowała się, przywdziała suknię dojrzałej już panny, a choć ciemne jej włosy nie związane były w warkocz, ale jak dawniej otaczały jej głowę w lśniących lokach i spadały na ramiona, tem piękniej z pomiędzy nich wyglądała jej rozumna twarzyczka, a to połączenie stroju dorosłej już osoby i swawolnego dziecka. nadawało jej coś oryginalnego i powiększało jej wdzięki. Anna, która umyślnie dla tego odwiozła Józia sama żeby Tadeuszka obaczyć, przywitała go sercem matki, i przypatrywała się z ukontentowaniem, jak wyrósł, zmężniał, wyrozumiał. Wszakże oko jej dostrzegło na czole młodzieńca jakąś głębszą troskę i zamyślenie. Tego samego więc dnia, wziąwszy go na bok, zaczęła wypytywać. Tadeuszek opowiedział jej wszystko, co mu kozak mówił; zdał jej sprawę ze swej rozmowy z hrabiną, opisał wrażenie, jakie na nim sprawiła ona i jej portret, i dał jej poznać domysły, jakie go tajemnie dręczyły. Anna starała się go uspokoić, umocnić i pocieszała go jak mogła, odwracając od trapienia się próżnem zgadywaniem i wmawiając odwagę do przejścia drogi życia własnemi siłami, i wyjednania sobie szacunku i miłości ludzkiej własną zasługą. Tadeuszek, nie zważając na obecnych, rzucił się jej do nóg, całował jej ręce i kolana i wołał rozrzewniony:

— O dobra, nieoceniona pani! czemu ty nie jesteś moją matką? jakżebym ja był szczęśliwym i dumnym!

— A mnie za siostrę nie chcesz, Tadeuszku? — rzekła Sabinka, zbliżając się z Józiem, usłyszawszy te ostatnie słowa bohatera naszego.

Tadeuszek porwał się, spojrzał na nią z miłością, a widząc, że choć usta śmieją się, oczy są łez pełne, wziął jej rękę i Józia, który stał obok i tuląc obie do swych piersi rzekł z rozczuleniem:

— O siostro! bracie drogi! kochajcie mnie, bo ja mam tylko was na świecie!

Nazajutrz było otwarcie roku szkolnego. Anna poszła z córką do kościoła, usiadła na tej samej ławeczce, gdzie kilkanaście lat temu siedziała, a gdy po skończeniu Mszy młodzież zaczęła się skupiać, na środku kościoła gromadzić, w ściśnionych szeregach na przeciwko ambony stanęła, usłyszała Anna ten sam głos, który od owej tak ważnej w życiu jej chwili, został na zawsze w jej duszy. Brzmienie to łagodne i przenikające, słowa pełne uczucia i wiary, obudziły w niej słodkie wspomnienia. Czuła się odmłodzoną, równie jak wówczas szczęśliwą, a jednak tyle czasu ubiegło! W szeregach tej młodzieży stał jej syn, obok niej siedziała dorosła córka, a na ambonie był wprawdzie ten sam zakonnik, ale broda jego pobielała, poważna głowa srebrnym okryła się włosem. Anna podziękowała Bogu za natchnienie, jakie jej wówczas w tymże samym kościele zesłał, a gdy się kazanie skończyło, upadła na kolana i prosiła Stwórcy, aby i córce jej dał życie równie proste,

równie ciche, równie wolne od wszelkich więzów i próżności światowych, jakie sama dotąd przebyła. Wtedy to przyszedł jej na myśl Tadeuszek, i w tej samej modlitwie połączywszy ich oboje, odtąd w myśli i sercu nie rozłączała ich od siebie nigdy, i jedno dla drugiego przeznaczyła.

Anna została jeszcze w Krzemieńcu przez kilka dni, a chłopcy, którzy nie odstępowali na krok matki i córki, oprowadzali ich po gmachu szkolnym i różne pokazywali osobliwości. W milczeniu przeszli przez bibljotekę, którą Anna tak pełną ludzi widziała, a która dziś w poważnej swej ciszy, zaludniona tylko marmurowemi twarzami wielkich mężów, którzy na nią z góry patrzyli, wydała się jej tem większa, tem bardziej wrażająca cześć i uszanowanie. Tam skłoniwszy się przed biustem założyciela szkoły, w głębi umieszczonym, obejrzeli bogaty gabinet medalów, przeszło dwadzieścia tysięcy sztuk zawierający, a przeszedłszy potem przez wielką galerję, przed kościołem znajdującą się, na której młodzież zbierała się w wieczorach letnich, gdzie równie starsi, jak i młodsi grali w piłkę, gdzie dawniej i Czacki z niemi bawił się, do ruchu ciała i wprawy sił zachęcał, przeszli do drugiej połowy gmachu, gdzie obejrzeli gabinet fizyczny, z kosztownych narzędzi złożony, gabinet mineralogiczny i chemiczne laboratorjum, które im sam profesor, miłujący przedmiot swój nad wszystko, pokazywał, i figlarną a ciekawą Sabinkę różnemi cudownemi doświadczeniami ucieszył. Obejrzawszy obserwatorjum astronomiczne i gabinet machin, do szkoły mechaników należący, skończyli u-

czoną wędrówkę swą na ogrodzie botanicznym, ciesząc się jego porządkiem i widokami, dziwiąc się oraz tylu tysiącom roślin i kwiatów, z różnych stref pod jeden dach zgromadzonych. W całej tej przechadzce Sabinka zwracała się zawsze z pytaniami swemi do Tadeuszka, jego tylko objaśnień i słów z uwagą słuchała, dziękując mu uśmiechem, gdy co pojęła, ale łając go oraz, gdy czego nie wiedział. W oranżerji zerwała ładny jeden kwiatek, a gdy nikt nie uważał, rzuciła go w czapeczkę Tadeuszkowi, mówiąc z uśmiechem: — schowaj to braciszku dla mnie, potem mi kiedy oddasz. — W ciągu następnych dni chodzili po górach, odwiedzając najpiękniejsze miejsca, zwykłe przechadzki studentów, zwykłe punkta, gdzie się podziwiając razem naturę i rozmawiając o swoich zbierali, pracach, dalszym kierunku w życiu i odległych, a opromienionych tyloma złudzeniami nadziejach. Gdy stanęli nad skałą, którą uczniowie, przez wygórowaną erudycję, Tarpejską nazwali, Anna i Sabinka zachwycone zostały widokiem, który się im odkrył. Z urwiska tego, okrytego zieloną i piękną murawą, ujrzeli pod nogami swemi przepaść mocno wgłębioną i kilkadziesiąt stóp wynoszącą; dalej zaczynała się nadzwyczaj stroma pochyłość, obrosła ogromnemi drzewami, których tylko korony można było widzieć, pochyłość ta ciągnęła się aż do parowu, którego oba boki, znacznie od siebie odchylone i zarosłe najpiękniejszemi drzewami, podnosiły się na kilkaset stóp w górę. Przez ten parów otwierał się widok na pola, na zielone sianożęci i błonia; widać było zdaleka Ikwę, wijącą się jak świetna jaka wstęga, a

za nią bory sosnowe, wsie okoliczne, białe mury w Podberezcach i samotną górę Podbereziecką, od wieków tam patrzącą na szereg sióstr swoich skupionych, od których ją widać wody odniosły i do których wrócić nie może.

— Tadeuszku! — rzekła Sabinka ciszej, stając na samym brzegu skały — skoczyłbyś tam za mną, gdybym upadła?

Tadeuszek pobladł, w głowie się jego zakręciło i od tych słów, i od widoku dziewczynki swywolnej, nad przepaścią nachylającej się. Wziął więc silnie obie jej ręce i odsunął ją od brzegu, a ona śmiejąc się, dodała:

— Nie bój się, nie upadnę ja, chociaż wiem, żebyś za mną skoczył prędzej, niż Józio.

Smutno się zrobiło Tadeuszkowi, gdy Anna wyjechała. Ale słowa pociechy, któremi go umocnić starała się, zrobiły skutek. Nie dręczył się już dochodzeniem tajemnicy, której dojść nie mógł, a wspomniawszy, że ma w niej matkę, że ma w jej dzieciach rodzeństwo, pewny że go wszyscy razem kochają, a Sabinka przed wszystkiemi, o co mu podobno najbardziej chodziło, zapomniał że jest podrzutkiem, że sierotą, i z nową energją wziąwszy się do pracy, dawną pewność siebie i dawną wesołość odzyskał.

Tak przeszedł rok jednostajnego i regularnego życia studenta, które tem dla niego chlubniejsze, tem lepszy wydaje owoc, gdy nic się nie wydarza, coby zamąciło jego głowę lub serce, gdy godzina za godziną przechodzi tak, jak to wypisano na rozkładzie tygodniowym, który na drzwiach jego stan-

cyjki, lub nad łóżeczkiem jego przybity. Dwie wszakże okoliczności zasługują na wzmiankę. Pierwsza, że Tadeuszek wkrótce po wyjeździe Anny, i potem co kwartał, odbierał przez pocztę Odeską 100 rubli srebrem bez żadnego listu, z napisem tylko we środku: na utrzymanie kwartałowe Tadeuszka Bezimiennego, ucznia w liceum Wołyńskiem. Druga, że Józio, którego głowa później cokolwiek otworzyła się i zdolności się rozwinęły, stał się równie jak Tadeuszek uczniem celującym na kursie drugim i z nim razem o medal srebrny starać się zaczął. Pierwsza z tych okoliczności ucieszyła go, ale razem podała mu smutne rozwagi. Domyślał się on, że to nie kto inny go obdarza tylko matka, która widać teraz dopiero dowiedziała się o jego egzystencji i kierunku. Ucieszył się więc, że ta co mu dała życie, którą myślami swemi ściga, której twarz kochającą i zasmuconą stara się w duszy odmalować, żyje i żyje zapewne w dostatku, kiedy go tak zasilać może. Ale z drugiej strony gorzkiemi zalewał się łzami, ile razy pieniądze te odbierał, pomyślawszy, że jest dzieckiem grzechu, że ta matka odepchnęła go od swego łona, cudzym oddała rękom i teraz, zasilając go nawet, tai się przed nim, unika jego miłości, jego widoku, kiedy on czuł, iż ani głową swą, ani sercem wstydu jej by nie przyniósł. Myśli te czyniły mu odebrany zasiłek niemiłym; nie rzucał więc miejsca, które miał, pracował z cudzemi dziećmi na swoje utrzymanie, a pieniądze te opieczętowawszy, chował aż do tego czasu, gdy się dowie, zkąd i od kogo pochodzą.

Druga okoliczność, to jest, że Józio stał się jego współzawodnikiem, napełniła go najczystszą radością. Nie tylko że mu w niczem nie przeszkadzał, ale owszem, pracował z nim wespół, każdą trudność ułatwiał, i równie namową, jak przykładem do nieustąpienia żadnemu ze współkolegów zachęcał. Romansowemu trochę Tadeuszkowi przychodziło nawet na myśl heroiczne ustąpienie pierwszeństwa, umyślne zaniedbywanie się, aby przyjacielowi swego dzieciństwa i bratu Sabinki ułatwić drogę, na którą wstąpił. Jeżeliby bowiem sam nie dostał nagrody, o którą się starał, uszczęśliwienie rodziców przyjaciela miało mu to opłacić, a w wejrzeniu i uśmiechu tej, którą nazywał siostrą, a która w duszy jego była zupełnie czem innem, stokroć słodszą otrzymać miał zapłatę. Ale wkrótce spostrzegł, że to im obu może wyjść na złe. Józio bowiem sam nie mógł sobie dać rady i czego się z nim nie uczył, tego nie umiał tak, jak umieć był powinien, aby być pierwszym. Szli więc obydwaj razem i w rzeczywistym postępie i w opinji nauczycieli, a skutek przy końcu roku pokazał, że obaj są zupełnie równi, i że pierwszeństwa jednemu przed drugim dać niepodobna.

Był zwyczaj w Krzemieńcu, że w takim razie, gdy się zdarzało dwóch lub trzech uczniów ubiegających się o tęż samą nagrodę, a zupełnie równych, przyzywano ich na sesją zgromadzenia nauczycielskiego. Wówczas dyrektor objawiał im, że jednogłośnem zdaniem zwierzchności szkolnej i wszystkich profesorów, uznani zostali za równych, tak co do

postępu w naukach, jak i co do obyczajów, że rada w przyznaniu im nagrody sama decydować nie może, ale zostawia to losowi, aby jednego z nich wybrał. Sesje te o nagrody odbywały się zwykle 28 czerwca wieczorem Wszyscy uczniowie wiedzieli, że się ich los rozstrzyga, i wszyscy znajdowali się przez cały czas jej trwania na galerji kolegjum, przechadzając się i oczekując z niecierpliwością wypadku. Miło było patrzeć na tę dorodną młodzież, w rozmaitych grupach snującą się, rozbierającą poważnie zasługę, wartość i zdolności każdego z kandydatów, których mogła najprzód już ukazać, a jednak niepewną, czy się nie pomyli, ciekawą, jak trudność między kilkoma równymi rozstrzygniętą zostanie i zainteresowaną tak, jak gdyby szło o los dalszego życia, o wyjednanie jakiegoś przeważnego wpływu w jakiej izbie prawodawczej, lub o wyznaczenie władzy, w której ręku kierunek spraw krajowych miał być złożony.

W takiem właśnie położeniu znalazła się Rada Liceum na ostatniej swej tego rodzaju sesji 28 czerwca 1830 roku. Tadeusz Bezimienny i Józef Karpiński okazali się zupełnie równymi: nikt nie mógł żadnej między niemi znaleźć różnicy, żadnego zrobić zarzutu, coby szalę jednego z nich podniósł, a drugiego przeważył. Postanowiono więc wezwać ich, aby medal srebrny, przeznaczony dla obu, jeden z nich ciągnął losem. Posłany szwajcar wyszedł na galerję, młodzież w ten moment otoczyła go, a on zawołał głośno: — Czy są tu między pana-

mi pan Tadeusz Bezimienny i pan Józef Karpiński?

— Są, są! — odezwali się koledzy, i kilka głosów w różnych stronach krzyknęło: — Tadziu, Tadziu! — a z innej strony: — Józiu! Karpiński! wzywają was!

— Ja mówiłem — rzekł któryś z powagą — że na tem się skończy. Będą ciągnąć losy. — I wynalazłszy obudwóch, sprawiedliwa młodzież kontenta, że się zdanie jej potwierdza, otoczyła ich, i ściskając i winszując, odprowadziła z tryumfem do drzwi sali. Gdy weszli, dyrektor objawił im o co idzie, powinszował tak chlubnego świadectwa wszystkich uczących, i wezwał do wyciągnienia losem nagrody przyznanej obudwom. Wtedy wejrzenie i uśmiech Sabinki mignęły przed myślą bohatera naszego, heroiczne w nim obudziło się uczucie, wystąpił więc i rzekł:

— Mam już jednę nagrodę, on nie ma żadnej. Jeżeli panowie dozwolicie, to proszę o akcesyt, a on niech zawiezie medal, na który równie zasłużył, ojcu i matce. Gdybym miał rodziców — dodał ze łzą w oku — możebym mu nie ustąpił, choć go kocham jak brata.

Wszyscy spojrzeli po sobie, i uśmiech ukontentowania pokazał się na ustach tych poważnych ludzi, którzy w statku i szlachetnem znalezieniu się szesnastoletniego wychowańca swego, ujrzeli owoc swej pracy. Wszyscy więc skłonili się do prośby, a chociaż Józio z początku się opierał, gdy mu jednak zaczęto perswadować, że w tem nie ma żadnego faworu, że mu się medal należy, że Tadeusz dostanie

świadectwo, w którem będzie wyrażone, że nie otrzymał medalu dlatego jedynie, że ustawa jeden tylko przeznaczyła, rzucił się rozrzewniowy w objęcia Tadeuszka i ustępstwo jego przyjął.

Wypadek ten rozgłosił się nazajutrz w całem miasteczku, gdzie wszystko, co się tyczyło szkoły, najżywszy obudzało interes i bohaterowi naszemu ogromną zjednał reputację. Wszyscy koledzy ściskali go i wychwalali jego znalezienie się, wszyscy obywatele starali się go widzieć i z nim pomówić; a gdy w czasie uroczystego aktu wezwano ich obu razem i wręczono jednemu medal, drugiemu świadectwo na medal, z krótkiem całej okoliczności objaśnieniem, wszystkie oczy zwróciły się na pięknego młodzieńca, a chociaż nie wiedzieć zkąd pochodził, i żadnego nie miał nazwiska, tę bezimienność swoję tak uszlachetnił i uzacnił. Na wieczorze, danym tego samego dnia u księżnej W*, znajdował się i Tadeuszek, wraz z innemi kolegami swymi zaproszony. Księżna prezentowała go różnym damom, które z nim uprzejmie rozmawiały i dziwiły się potem, że chłopiec tak młody, a nadewszystko bezimienny, nie tracił głowy w tak znakomitej kompanji, i łącząc skromność z przytomnością, w odpowiedziach nie okazywał zalęknienia i niezgrabności, właściwej studentom. Księżnie samej podobał się Tadeuszek. Zacna ta staruszka zapowiedziała mu, że jej dom jest dla niego zawsze otwarty, że go prosi, aby za powrotem swym z wakacji u niej bywał, śmiałym był w razie potrzeby, jak do matki i żadnego zgromadzenia, na które go wezwie, nie opuszczał. Tadeuszek

podziękował i przyrzekł; nie wiedział biedny, bo i któż to mógł wiedzieć? że w tym samym salonie, do którego go zasługa i wartość moralna zaprowadziły, spotka go najboleśniejszy cios, jakiego w życiu swoim doznał.

II.

Wakacje przebył bohater nasz w Kalinowie. Potrzebował odpocząć po całorocznej usilnej pracy; potrzebował nakarmić serce miłością ludzi dobrych i widokiem ich szczęścia, do którego się przyczynił; potrzebował przez niejaki czas przynajmniej oddychać pod tym samym dachem, gdzie się urodziła, wychowała i rozwinęła, jak cudny kwiat, ta dziwna istota, do której obrazu zbiegały się wszystkie jego myśli, którą z dniem każdym mniej pojmował, a przecież z każdym dniem więcej czcił i kochał.

Sabinka przy rodzicach traktowała go jak brata, dziękowała mu za jego przyjaźń dla Józia, okazywała mu tyle przywiązania, tak była naturalną i miłą, że się chłopcu w oczach ćmiło, i gdyby się był nie wstydził, byłby jej czasem przy ojcu i przy matce do nóg upadł i wypowiedział wszystko, co się w sercu jego dzieje. Gdy przypadkiem byli sami, co się już teraz bardzo rzadko zdarzało, zmieniała się zupełnie tak, że jej nie poznawał i bał się tej chwili, której inny w jego położeniu szukałby z upragnieniem. Wtedy bowiem kapryśna dziewczyna była albo nadąsaną i milczącą, albo śmiała się z tego, o czem Tadeuszek mówił z zapałem, chwaliła to co on ga-

nił, dając poznać, jakby była szczęśliwą, gdyby kiedy miała pałac, piękne konie i ładną karetę. Chociaż biedny Tadeuszek czuł, że nie zupełnie szczerze to mówi, ale jedynie dla sprzeciwiania się udaje zamiłowanie tego wszystkiego, czego prawie nie widziała i nie zna, nieraz jednak z tego powodu przebył kilka dni w smutnych rozwagach — marzył, zamyślał się, prawie był nieszczęśliwym, póki znowu Sabinka, spostrzegłszy taki jego stan, nie zmiłowała się nad nim, słodkiem i przyjacielskiem słówkiem nie przeniosła go w inny świat, jakim rozkazem, który mu dawała z przymileniem, z uśmiechem, nie obudziła w nim życia i dawnej energji służenia jej i dogadzania wszystkim jej zachceniom. W wigilją wyjazdu poszli obydwaj przyjaciele do ogrodu; Tadeuszek szczególniej był jakiś smutny i znękany, jakby przeczuwał, że ostatni raz widzi to miejsce, tak pełne dla niego drogich pamiątek. Anna zajęta była ich wyprawą, a pan Karpiński także robił rachunki i oddzielał fundusz potrzebny na utrzymanie syna. Wtedy do obu chłopców przybiegła Sabinka. Wzięła pod rękę Józia, wymawiając, że ją porzucają, kiedy będą mieli czasu dosyć nacieszyć się sobą i w Krzemieńcu. Tak wszystko troje chodzili i rozmawiali. Po niejakim czasie ojciec zawołał syna, aby mu oddać do rąk. co dla niego przeznaczył. Józio pobiegł i zostawił siostrę z Tadeuszkiem. Wówczas Sabinka zapłoniła się, spojrzała w oczy młodzieńca, pełne miłości i żalu, że ją opuszcza, i rzekła drżącym głosem:

— Tadeuszku! chodźmy, bo mama nie wie, gdziem się podziała — i wziąwszy jego rękę, idąc zwolna

ku domowi, dodała: — Józio oddał mi swój medal do schowania i twój jest u mnie dotąd; czy o nim zapomniałeś?

— O! nie zapomniałem wcale — odpowiedział, tuląc mimowolnie rękę jej do piersi.

— A czemużeś się nie upomniał dotąd? — spytała rzucając na niego wzrok pełen wyrazu.

— Alboż ci zawadza? — zapytał Tadeuszek.

— Nie zawadza mi, ale mnie niepokoi — rzekła, patrząc nań z przymileniem. — Tak się boję, żeby mi gdzie nie przepadł, lub się nie zarzucił, że co dzień patrzę, czy jest, zwłaszcza gdy ciebie tu nie ma.

Tadeuszek znowu przycisnął jej rękę, i nie był w stanie nic odpowiedzieć, a ona mówiła dalej:

— A jak dostaniesz złoty medal, to mi go także oddasz?

— Czy ja cię wtenczas obaczę? — rzekł z westchnieniem — czy wtedy wspomnisz, że ja żyję?

— A prędkoż to być może? — zapytała z uśmiechem.

— Dopiero za trzy lata, kiedy ty już będziesz słuszną panną — odpowiedział, spuszczając oczy.

— Wieleż ty wtenczas będziesz miał lat, Tadeuszku?

— Dwudziesty — odpowiedział, patrząc na nią z zajęciem i ciekawością, do czego zmierza.

— I zawsze będziesz jeszcze studentem? — zapytała śmiejąc się.

— Czy ja wiem, czem będę? — odpowiedział dotknięty tem słowem, jakby zimnem żelazem — ja, co nie mam ani imienia, ani przyszłości, tylko własne

siły, które mogą się złamać w pół drogi i nie doprowadzić mnie tam, gdziebym dojść pragnął.

— A jakby ci siostrzyczka powiedziała, idź! idź! coraz dalej, niech się siły twoje nie łamią? — rzekła, patrząc nań okiem, w którem raptem łza zabłysła.

— O siostro moja! — zawołał, a w sercu jego zabrzmiał inny zupełnie wyraz. — Wtedy pójdę, pójdę śmiało, i nie złamią się pewnie!

— Przynieś-że mi najprzód złoty medal, Tadeuszku, a potem zobaczymy. Obiecujesz?

— Przysięgam ci! — rzekł, tuląc do serca jej rękę — jeżeli żyć będę, nikt go nie otrzyma, tylko ja.

— Pamiętajże, Tadeuszku — odpowiedziała, i dobywając z za gorsu kokardę z błękitnej wstążeczki, z którą zawsze medal rozdawano uczniom, dodała — ażebyś nie zapomniał swojej obietnicy, oto masz kokardę od swojego srebrnego medalu, który jest u mnie. Bądź zdrów, braciszku! bądź zdrów, Tadziu! — I przesławszy mu rączką pocałowanie, pobiegła.

Tadeuszek, oparty o drzewo, stał długo, nie wiedząc prawie gdzie się znajduje. Dopiero Józio, gdy wrócił, wyrwał go z koła tych marzeń, w których tyle obrazów szczęścia, tyle heroicznych postanowień przesunęło się przed jego myślą.

Że się to wszystko roiło w głowie szesnastoletniego chłopca, że uczucie, którego nigdy jeszcze nazwać nie śmiał, powstało tak wcześnie w jego sercu, opanowało wszystkie jego władze, i stało się bodźcem do wielkich i szlachetnych dążeń, temu się nikt nie zadziwi; i każdy z ludzi zdolniejszych, z organizacją szczęśliwą i nie skrzywioną wychowa-

niem, jeżeli się cofnie do lat młodzieńczych, znajdzie, że tam w duszy jego świeciła gwiazdka, zdobiąca niebo jego rojeń i rzucająca cudne swe światło na wszystkie jego drogi. Ale że w córce Anny, szlachetnej, prostej, zdolnej do bezwarunkowego poświęcenia się swoim obowiązkom i przedmiotom swojej miłości, uformowała się główka rojąca plany próżności świata, którego prawie nie znała, i chęć samowładztwa nad tymi, co się jej poddawali: że od dzieciństwa objawiały się w niej zarody kokieterji i serce jakby zimne, którego popędami umiała już tak wcześnie według układu swej głowy kierować — to rzecz cokolwiek trudniejsza do objaśnienia i mogłaby nas daleko zaprowadzić, gdybyśmy ją rozbierać chcieli. Jest to jednak fakt, powtarzający się tak często, że go zaprzeczyć nie można. Bóg, dla przeznaczeń jemu tylko wiadomych, formuje duszę i ciało, które rodzice wywołują do życia. Myli się więc, kto bezwarunkowo obwinia rodziców, że dzieci nie są takiemi, jak oni, lub się dziwi, że często z brudnego gniazda wychodzą istoty czyste, opromienione wyższą jasnością, i których nie powalało źródło, z którego wyszli, i nie pokalał przykład, na który codzień patrzyli.

Rok szkolny 1830 zaczął się świetnie; młodzież zebrała się w większej liczbie, niż dawniej, i wzięła się do pracy z dziwną energią i zamiłowaniem. Tadeuszek, znany już powszechnie, otrzymał miejsce przy dzieciach majętnych rodziców, które mu zapewniało wygodne utrzymanie, postawiło go w konieczności uczęszczania z uczniami swymi do cel-

niejszych domów, ale zostawiało mu dosyć czasu do pracowania nad sobą. Zasiłek kwartałowy z Odessy odbierał on jak zwykle, ale i tych pieniędzy, równie jak i dawniej otrzymanych, nie używał, składając wszystkie starannie i oczekując chwili, któraby i tę okoliczność, tak dla serca jego ważną, objaśniła. Tak przeszło parę miesięcy. Wówczas horyzont zaczął się zachmurzać. Jakaś tajemna i niewidzialna trwoga zasępiała czoła ludzkie. Cholera przybliżała się ze wschodu wielkiemi krokami, w postaci strasznej, jeszcze mało znanej, a zatem działającej potężnie na imaginacją. Od Dniepru, od Pobereża i Podola wiele rodzin przenosiło się ku krańcom Wołynia, a kto mógł, starał się nawet za granicę wyjechać. Na początku jesieni kilka bogatych familij udało się do Włoch, a każda, przejeżdżając przez Krzemieniec, zatrzymywała się tu na kilka dni, dla pożegnania znajomych i przyjaciół. Z tego powodu bywały w tym czasie liczne wieczory, na których starano się dawniejszą wesołość przywołać, aby niejako potłumić w sobie niepokojące myśli, które wszystkich trapiły.

Dnia 11 listopada odebrał Tadeuszek od księżnej W* bilecik, w którym go prosiła, aby z dwoma uczniami swymi, którzy z nią jakiemśćiś dalekiem pokrewieństwem połączeni byli, przybył o godzinie ósmej na herbatę. Przytem księżna uprzedzała go, że będzie wielka kompanja, że przybyłym znakomitym osobom z Podola chciałaby dzieci te zaprezentować, prosiła zatem, aby były starannie ubrane, i żeby wiedziały, jak się znaleźć mają.

Tadeuszek, wymusztrowawszy dobrze swoich chłop-

ców, o naznaczonej porze przybył. W salonie rzęsisto oświeconym i przybranym niezwykłym sposobem, zastał już wiele osób; uważał jednak, że gospodyni za każdem otwarciem drzwi głównych zbliżała się ku nim z zajęciem, a i goście zaglądali ciekawie, kto przybywał. Z tego wniósł, że chociaż salon napełniał się stopniowo, i pomiędzy zwyczajnemi gośćmi znajdowały się i obce osoby, które pierwszy raz widział, jeszcze przecież kogoś oczekiwano. Z tych ostatnich uderzyła go najmocniej pewna dama, już stara, z siwemi lokami, ale wyróżowana, z poczernionemi brwiami, w stroju pełnym elegancji i pretensji, bardzo żywa i wiele gadająca. Sama gospodyni domu i inne poważniejsze kobiety unikały jej widocznie; ona jednak zdawała się tego nie uważać, i przysiadała się co moment, to do tej, to do innej, zakrywając często twarz pierzastym wachlarzem, który miała w ręku, i szepcząc i śmiejąc się z wyrazem konfidencji i sekretu. Tadeuszek, otoczony kolegami swymi, spoglądał na nią z jakimś wstrętem, którego sobie wytłumaczyć nie mógł; z zadziwieniem jednak spostrzegł, że o niego jakąś damę wypytywać zdawała się i często go lornetowała. Odwrócił się więc umyślnie, i zbliżył się ku drzwiom. Wtedy kamerdyner otworzył je nagle, i wszedłszy do sali, powiedział kilka słów swojej pani. Księżna przystąpiła spiesznie, a we drzwiach sali pokazała się kompanja, powitana ze szczególną uprzejmością i na którą widać oczekiwano. Wszyscy obecni zwrócili uwagę na wchodzących, i zdawali się im ciekawie przypatrywać. Weszły najprzód dwie damy,

obie słuszne, poważne, ale różnego wieku. Jedna zdawała się mieć lat przeszło siedmdziesiąt, była w koronkowym czepku na głowie zupełnie siwej i po mężku przystrzyżonej, miała dumny wyraz w twarzy pomarszczonej przez wiek, ale okazującej jeszcze ślady dawnej piękności; druga mogła mieć około czterdziestu lat, w stroju bogatym i pełnym elegancji, jeszcze zupełnie piękna i patrząca spokojnie i z powagą na zbliżające się coraz i witające ją z uszanowaniem osoby. Za damami szedł mężczyzna średniego wzrostu, brzydki, schorowany, z głową białym już prawie włosem okrytą, którego siwe i bystre oczy przenikliwie całą kompanję przebiegały. Przy nim był piętnastoletni młodzieniec, cienki, wysmukły, zgrabnej postaci, ładnych rysów, ale twarzy bladej, ponurej, i patrzący ze zmarszczeniem i jakby wzgardliwie na towarzystwo, do którego wchodził. Ostatnim był człowiek niewielkiego wzrostu, przemacerowanej i ułożonej twarzy, z dużym orlim nosem, ze spuszczonemi w ziemię oczami i z włosami przyczesanemi na czoło. Gdy wszyscy postąpili naprzód, ten wszedł w kierunku ukośnym, robiąc jedną nogą krok szerszy, niż drugą.

Tadeuszek poznał od razu wszystkie te osoby. Pochlebiamy sobie, że i czytelnicy poznali równie tych, co teraz weszli, jak i ową starą elegantkę, która bohaterowi naszemu przypatrywać zdawała się. W rzeczy samej, była to znajoma nasza, pani Pokrzywicka, do kompanji zaś, z takiemi względami przyjętej, należała hrabina P*, Rozalia, pan Klemens, Hipolitek i jego guwerner.

Że pani Pokrzywicka tu się znalazła, w tem nie ma nic dziwnego, wyrastała ona wszędzie, gdzie jej nie posiano. Co do innych osób, rzecz się tak miała: pan Klemens liczył już 69 lat. Chociaż życie domowe nie narażało zdrowia jego na żadne gwałtowne wstrząśnienia, a postępowanie Bozalii, po zatarciu się przykrych wrażeń, jakie na niej ostatnie sceny z powodu Tadeuszka sprawiły, było równie poważnem, równie jednostajnem, jak i dawniej, wszelako wiek wziął swoje, i pan Klemens, poczuwszy upadające siły, postanowił na parę lat wyjechać z familią do Włoch, aby go klimat pokrzepił i dni jego przedłużył. Do tego postanowienia przyczyniła się i obawa zbliżającej się cholery, która, jak słyszał, sprzątała szczególnie starców zużytych i dzieci chorowite i skrofuliczne. Przestraszył się więc pan Klemens o siebie, ale bardziej jeszcze przestraszył się o syna, którego chciał przed wpływem zarazy usunąć. Mając na parę lat opuścić kraj z całą rodziną, przezwyciężył on wstręt, jaki czuł do matki swej żony, i pojechał do Białobrzyniec, aby staruszkę pożegnać. Hrabina jeszcze zupełnie zdrowa, i nie czująca jeszcze ciężaru tylu lat, które przebyła — bo nic tak życia nie zużywa, jak serce, a serce odbywało w niej funkcją krążenia krwi, nic więcej — postanowiła za grzeczność odpłacić grzecznością i odprowadziła ich aż do Krzemieńca, gdzie mieli parę dni zabawić. Tym tedy sposobem cała ta kompania znalazła się u księżnej W*, która, korzystając z okazji, całe miasto na wieczór sprosiła.

Łatwo sobie wyobrazić uczucia biednego Tadeuszka,

widzącego się w obecności tylu osób, z któremi życie jego tak ściśle było splecione. Cała przeszłość stanęła mu przed oczami. Zrozumiał teraz wrażenie, jakie na nim sprawił portret hrabiny, i nie pytając się nawet, odgadł, że jego matką jest Rozalia. Widział teraz dobrze, że hrabina, przyzywając go do siebie, mogła mieć ważniejszy powód, niż prostą ciekawość widzenia studenta, który jej nie mógł interesować, że Maksym, może za jej wiedzą, a nawet rozkazem, wiózł go tak daleko, aby go postawić pod oknem tej, co mu dała przytułek i Widalsię, i która może teraz, dowiedziawszy się o jego egzystencji, opatruje go tym tajemniczym zasiłkiem, jakiego on użyć nie śmie. Wszystkie te myśli tłumem cisnęły się do jego głowy i czoło jego okryły zamyśleniem. Zamyślenie to podniosło jeszcze piękny wyraz jego twarzy, tak foremnej i z daleka uderzającej charakterem przedwczesnych przygód i rozumu, rozwiniętego doświadczeniem starszem, niż jego lata.

Hrabina spostrzegła go zdaleka i nie okazując najmniejszego znaku, że go kiedykolwiek widziała, po niejakim czasie szepnęła kilka słów siedzącej obok niej Rozalii. Tadeuszek, chociaż stał w oddaleniu, i nie nastręczał się wcale, mógł jednak być dobrze widzianym. Spostrzegł on, że Rozalia zwróciła na niego oczy, że twarz jej z początku pobladła, ale potem rozlał się na niej taki wyraz szczęścia, tak cudny rumieniec okrył jej lica, takim blaskiem zajaśniały jej oczy, że biedny chłopiec, porwany niewysłowionem uczuciem wdzięczności i przywiązania, postanowił zbliżyć się do niej, skoro wyjdzie z koła

poważnych dam, w które wstąpić nie śmiał, i szepnać jej nieznacznie: — Powiedz, czyś ty moja matka? czy ciebie mam czcić i kochać? — Ale wkrótce spostrzegł, że się twarz hrabiny zmarszczyła, że usta jej wymówiły znowu parę słów, zapewne twardych, że wzrok jej surowy padł na córkę, która wpatrując się w Tadeuszka, zdawała się zapominać o wszystkich, co ją otaczali. I pod lodem tego wejrzenia, pod wrażeniem tylko kilku słów, zmieniła się zupełnie twarz Rozalii. Powaga zajęła miejsce uczucia, uśmiech przymuszony spędził z ust jej wyraz przywiązania; odwróciła się od niego, zaczęła rozmawiać z tymi, co do niej przystępowali; i choć potem powstała z miejsca i przechodziła przez salę, to z jaką damą, to z jakim mężczyzną, choć zbliżała się do Tadeuszka, który stawał umyślnie tak, aby wzrok jej wyminąć go nie mógł, zdawała się go nie uważać, a nawet nie widzieć tych oczu, zachodzących łzami, które ją wszędzie ścigały.

Przejęty więc goryczą i zwątpiwszy, aby domysły jego mogły być prawdziwe, spojrzał z młodzieńczem oburzeniem na ten świat, tak wykwintny, tak piękny z pozoru, tak wyrobiony we wszystkich formach, a pokrywający porywy serca wypolerowanem i zimnem szkłem przyzwoitości, co jak lśniąca szyba lodu, która ucisza fale rzeki, nie daje świętemu nawet uczuciu z brzegów swych wystąpić. W tak smutnem usposobieniu usunął się na stronę i usiadł za grupą młodzieży, wesołą zajętej rozmową. Nie uważał Tadeuszek, o czem rozmawiali. Zbyt on był zatrudniony tem, co widział i czego doznał. Uczuł nadto, że mu

krew gwałtownie do serca napłynęła i pulsa skronie rozrywać zaczęły. Chciał nawet powierzyć komu uczniów swoich i wyjść, gdy zła gwiazda, która od tej chwili zeszła nad głową bohatera naszego, zatrzymała go na miejscu. W tej grupie rozmawiających było kilku jego kolegów, a między nimi Józio i dwóch paniczów, celujących nauką, i starających się o przychylność i przyjaźń współtowarzyszów. Do nich przystąpił Hipolitek, który od innych, nieznajomego nazwiska stronił.

— Powiedz mi — rzekł do jednego z nich — kto był ten student, blondyn, z kręcącemi się cokolwiek włosami, który tam stał i tak śmiało przypatrywał się mojej babce i matce?

— Nie uważałem — odpowiedział zapytany — ale dla czego się o niego pytasz!

— Bo mi się zdaje — rzekł, zsunąwszy brwi, posępny panicz — że mi ta twarz dobrze znajoma.

— Blondyn, który tam stał? — rzekł drugi — to Tadeusz Bezimienny.

— A, Tadeusz? i Bezimienny. Więc to on. Poznałem go — rzekł Hipolitek, i w oczach jego błysnęła nienawiść i szyderstwo. — Ale dla czegoż nazwał się Bezimiennym?

— Bo nie ma żadnego innego nazwiska — rzekł Józio, który stał blisko — chociaż jego głowa i serce ozdobiłyby każde, jakiekolwiekby nosił.

— Nie do pana mówię — odezwał się hardy panicz.

— Mówisz pan głośno o moim przyjacielu i o naszym koledze — odpowiedział Józio — i proszę o tem pamiętać.

— Winszuję panom takiego kolegi — rzekł z nienawiścią Hipolitek — i dziwię się mocno, że go w takiej kompanji widzę.

— Dziwisz się? — zawołał wówczas Tadeuszek, przybliżając się, i stając przed zmięszanym cokolwiek Hipolitem, który wszakże wkrótce opamiętał się, i rzuciwszy wzrok pełen pogardy na swego antagonistę, rzekł z ironią i podniesionym głosem:

— Wiesz dobrze, że mam powód dziwić się. Tego co się wychował z furmanami mego ojca i pasł jego cielęta, spodziewałem się zastać nie w salonie, ale w przedpokoju, z płaszczem na ręku.

Zaledwie wymówił te słowa mściwy i uniesiony namiętnością chłopiec, gdy silna ręka Tadeuszka podniosła się, padła na twarz jego, i odgłos policzka rozległ się po całej sali. Rzucił się zapalczywy i skrzywdzony tak publicznie Hipolit na swego przeciwnika, ale studenci przegrodzili ich, nie dali im do siebie zbliżyć się, i zawstydzeni tak gorszącym wypadkiem, starali się uciszyć wrzawę i wytłumaczyć kolegę. Ale usiłowania ich były daremne. Burda była zbyt jawną, aby się utaić mogła. W całej sali powstał krzyk i oburzenie na biednego bohatera naszego. Przystąpił pan Klemens. Rozalia, usłyszawszy podniesiony głos syna, spiesznie przybliżyła się, w mgnieniu oka dowiedziała się o co idzie; a gdy jej ukazano tego, co taką krzywdę dziecku jej zadał, krzyknęła boleśnie, chwyciła się ręką za czoło, i poczuwszy pod palcami bliznę, której czas zetrzeć nie mógł, stanęła tak w odrętwieniu. Tadeuszek usłyszał ten krzyk, zwrócił ku tej stronie wzrok jakby

obłąkany, i gdy ją spostrzegł bladą i stojącą bez ruchu, jak posąg, jęknął głęboko, załamał ręce i dał się bez oporu i czucia wyprowadzić kolegom. W tejże samej chwili i ztąd i zowąd dał się słyszeć głos: — Wypchnąć go, precz! precz! za drzwi, za drzwi! za drzwi! — Tadeuszek jak przez sen słyszał te wyrazy, któremi go policzkowano, i szedł ze schyloną głową do przedpokoju. Tam już byli lokaje księżnej, gotowi wypełnić rozkaz, który do nich dochodził z sali. Jeden nawet gorliwszy, przybliżył się zuchwalej do biednego sieroty, ale nagle poczuł się odtrąconym silną i żylastą ręką. Ten co tak popchnął służalca, był Maksym, który strwożony widokiem zupełnie zmienionej twarzy Tadeuszka, przystąpił do niego, i łagodnie zapytał:

— Paniczu! co tobie?

Uderzony tym głosem Tadeuszek, podniósł oczy, patrzył długo na starego kozaka, tarł ręką czoło, jakby sobie chciał przypomnieć, co się z nim stało, i po chwili, pochwiawszy się, upadł na ręce kolegów, którzy go nie odstąpili. Starano się go otrzeźwić, ale wszelkie usiłowania nie pomogły. Przestraszeni uczniowie, sami nie wiedzieli co robić. Gdy księżnie, zmartwionej wypadkiem, który pomięszał i popsuł jej zabawę, dał ktoś znać, że Tadeusz zemdlał, i że go otrzeźwić nie mogą, porwała się zacna staruszka z miejsca przy Rozalii, którą pocieszyć i przed którą tłumaczyć się chciała, wzięła za rękę doktora, który znajdował się w kompanii, i poszła z nim razem do przedpokoju. Doktor obejrzał zemdlonego, posłał Józia po cyrulika, aby z nim przy-

szedł natychmiast do stancji Tadeuszka, gdzie go odwieźć kazał, i dokąd sam z drugim uczniem udał się. Wtedy Maksym oddał jednemu z lokajów pana Klemensa salopę hrabiny, wziął na ręce młodzieńca, którego dzieckiem tyle razy w objęciu swem trzymał, zaniósł go do karety hrabiny i do stancji odwiózł. I w kwadrans potem, Tadeuszek leżał w łóżku swem bez przytomności; przy nim siedział doktor i trzymał jego rękę coraz mocniej płonącą, a w nogach jego stał stary kozak z założonemi rękami, i łzy kropliste na białe wąsy jego spadały.

Tymczasem w sali pierwsze wzburzenie cokolwiek ucichło i uspokoiło się. Wyjaśnione okoliczności kłótni, tak nieszlachetna zaczepka ze strony Hipolita, i tak mocny żal Tadeuszka, skłoniły nawet opinię na stronę tego ostatniego, i usprawiedliwiły go w oczach większej liczby. Każdy unikał Hipolita; pan Klemens tylko perswadował rozzłoszczonemu i odgrażającemu się synowi, że krzywda z takiej ręki nie hańbi go; ale w sercu jego wrzał gniew i chęć przykładnego ukarania zuchwalca, którego wykarmił, a który go tyle zdrowia kosztował i tylu i tak rozmaitych męczarni stał się powodem. Rozalia siedziała blada, znękana, ale milcząca, by nie dać poznać bólu, który rozrywał jej piersi, bo z jednej strony była przy niej matka, trzymała ją za rękę i wzrok jej surowy, zimny i przenikający kontrolował każde jej poruszenie i czuwał nad każdem jej słowem; z drugiej strony był mąż, który wlepiał w nią wzrok przenikliwy, a przy nim i przy niej kręciła się pani Pokrzywicka, niby pocieszając, niby ubolewając nad

jej zmartwieniem, a tymczasem czyhać zdawała się na jej łzy, i przysłuchiwać, czy jakim tajemnym jękiem nie zdradzi się i nie wyda. Położenie biednej Rozalji stało się tem okropniejszem, gdy dano znać, że Tadeuszek zemdlał i że go otrzeźwić nie mogą. A jednak nie ruszyła się z miejsca; zdobywała się na odpowiedź w kilku słowach tym wszystkim, co do niej przystępywali, a choć czuła, że w niej serce zastyga, tyle na sobie przemogła, że gdy hrabina, na usilne prośby gospodyni domu, przyzwoliła na pozostanie jeszcze czas niejaki na wieczorze, Rozalia nie sprzeciwiała się, i dopiero w godzinę potem wraz matką wyjechała.

Na drugi dzień pan Klemens był u zwierzchnika szkoły, żądając, aby zuchwały młodzieniec, którego niewdzięczność dobitnie odmalował, ukarany został relegacją ze szkół, na które postępkiem swoim taką plamę rzucił. Dyrektor Liceum, sam mocno tym wypadkiem zmartwiony, objawił zagniewanemu ojcu, że i bez jego w tej mierze żądania, Tadeusz Bezimienny, chociaż jest uczniem celującym w naukach, i wzorowym co do obyczajów, byłby rzeczywiście relegowanym, gdyby stan jego zdrowia nie okazywał, że już nie miał zupełnej przytomności umysłu, gdy się zuchwalstwa takiego dopuścił.

— Obecnie, ani pan — dodał ze wzruszeniem — nie możesz żądać dla niego kary, ani ja nie mogę jej wymierzać. Właśnie teraz od niego wracam, gdziem go z drugim jeszcze lekarzem odwiedzał. Biedny ten chłopiec leży bez przytomności. Ma o-

kropne zapalenie mózgu, i obaj lekarze, którzy koło niego chodzą, nie ręczą za jego życie.

Pan Klemens zamyślił się, pożegnał zwierzchnika szkoły, nie zrobiwszy żadnej więcej uwagi, i tego samego dnia z żoną i synem wyjechał do Włoch. Rozalia przed wyjazdem miała jeszcze długą konferencję z hrabiną, a gdy nazajutrz i hrabina wyjechała, siadł na tłomoku za jej karetą inny jakiś świeżo najęty lokaj, a Maksym został w Krzemieńcu, i wszystkie następne nocy przy łóżku Tadeuszka, nie zmrużywszy oka, przesiadywał.

We trzy blisko lata potem, to jest na początku czerwca 1833 roku, w tym wielkim lesie, który między Radziwiłłowem i Dubnem leży, i na kilka mil po nad granicą ciągnie się, szło dwóch ludzi wązką ścieżeczką, która w coraz większą gęstwinę prowadzić zdawała się. Wieczór już się przybliżał, jednak można jeszcze było rozróżnić rysy ich twarzy i wiek każdego oznaczyć. Obaj byli słusznego wzrostu, silnie zbudowani i nie ukazywali ani upadku sił, ani upadku ducha. Najprzód szedł młodzieniec, w białej, krótkiej siermiędze, w kapeluszu słomianym, z pod którego wychodziły pukle włosów jasnych i naturalnie zwijających się. Twarz miał cokolwiek opaloną, ale dziwnie foremną i piękną; oko błękitne, czarną obwiedzione rzęsą, wąsiki blond okrywały wierzchnią wargę, z pod otwartej siermięgi widać było cienką koszulę, a ruchy, chód i trzymanie się młodzieńca okazywały i lepsze pierwiastkowe wychowanie i późniejszą służbę wojskową, która ostatecznie i ciało jego urobiła, i całej fizjognomji nadała

wyraz śmiały i charakterystyczny. Za nim szedł człowiek już stary, podobnież ubrany, ale choć wąsy jego były zupełnie białe, a z pod kapelusza wychodziły włosy, które wiek posrebrzył, widać jednak było energię w jego siwych oczach, które zdawały się przenikać puszczę, co ich otaczała, a chód jego wyraźnie okazywał, że lata i trudy nie złamały jego sił i żelaznej budowy nie ugięły.

Po niejakim czasie młodzieniec, widząc kończącą się prawie ścieżkę, obrócił się do oglądającego się na prawo i na lewo starca, i rzekł z uśmiechem:

— A co, Maksymie, podobno zbłądziliśmy?

— A podobnoś, panie wachmistrzu! — odpowiedział z uśmiechem wierny kozak, którego zapewne czytelnicy poznali, jak równie i bohatera naszego, chociaż trzy ubiegłe lata dały mu wąsiki, a okoliczności, w których się znajdował, w chłopską odziały go siermięgę. Tadeusz położył rękę na ramieniu starego przyjaciela swego i rzekł:

— Daj pokój, kochany Maksymie, temu co było. Wszak ja twój syn Zacharko. Tak mnie nazywaj; pamiętaj, żeśmy już przeszli granicę.

— Niechaj i tak bude — odpowiedział Maksym, patrząc z przywiązaniem na pięknego młodzieńca. — Żeby to nam już dostać się do mojego Zacharka, ta i do mojej biednej Tatjany, która nie wiem czy żywa — dodał z westchnieniem — toby nam jakoś było lepiej. Ale tu w tym czortowskim lesie coś mi nie bardzo raźno i wesoło.

— Tam mówili, że tu gdzieś ciągnie się druga

linia kozackiej straży — rzekł Tadeusz, przysłuchując się.

— Toż-bo i to — odpowiedział Maksym, i także nadstawiając ucha, dodał: — Cicho, paniczu! chodźmy w gęstwinę; mnie się zdaje, że słyszę kopyta końskie, Ktoś jide worchóm!

— I ja słyszę także — rzekł Tadeusz, i obaj, lekko stąpając i wybierając takie miejsca, gdzieby nogi ich nie następowały na suche gałęzie, coby ich trzaskiem swym i łamaniem się zdradziły, usunęli się na kilkadziesiąt kroków, przedarli się przez gęste zarośle, i tam w ich głębi usiedli. W parę minut potem tentent konia, idącego stępo, dał się słyszeć wyraźnie, i wkrótce pokazał się kozak przygarbiony na siodle, trzymający horyzontalnie swą pikę, aby o gałęzie nie zawadzała, i patrzący to przed siebie, którędy szła ścieżka, to podnoszący głowę do góry, aby mu gałąź niewlazła w oczy, lub czapeczki na ziemię nie zrzuciła. Gdy przyjechał do tego miejsca, gdzie nasi podróżni zatrzymali się byli, a koń jego także stanął, wsadził głowę w krzaki leszczyny i liście oskubywać zaczął, wtedy kozak podniósł się na strzemionach, zajrzał na prawo i na lewo, i splunąwszy, zawołał:

— Czort woźmi! niet uże dalsze doroh!

— Wże i ja toje baczyw! - rzekł cicho Maksym, uśmiechając się, i gładząc białe swe wąsy. Tadeusz ścisnął za rękę towarzysza swego żeby milczał, a tymczasem kozak, pozwoliwszy koniowi gryźć liście, zatknął pikę swą w ziemię, dobył fajeczkę, nałożył ją, i trzymając w zębach, ogień krzesać zaczął. Za

każdem uderzeniem krzesiwka sypały się gęste iskry i oświecały gęstwinę. Podróżni nasi siedzieli nie ruszając się, i widzieć mogli dobrze barczystego dońca, z ogorzałą twarzą, z gęstą czarną brodą, niecierpliwiącego się na złą hupkę, która zapalać się nie chciała. Operacja ta trwała z parę minut, nareszcie zatliła się hupka, kozak zaczął kiwać lewą ręką, żeby się lepiej rozżarzyła, zsunął ją z krzemienia na fajkę, potem przybił paznogciem wielkiego palca, i wziąwszy pikę w rękę, zawrócił konia, i napowrót pojechał.

— Szczasływa doroha, pane kozacze! — rzekł znowu Maksym, gdy stąpanie kozackiego konia coraz mniej słyszeć się dawało. Nareszcie, gdy zupełnie ucichło, dodał: — Nu, paniczu! chodźmy dalej. Nam będzie dobrze iść tędy, którędy kozak nie mógł jechać. Przebierzemy się może środkiem między dwiema ich stójkami.

— A nie masz tam czego w torbie, Maksymie? — rzekł Tadeusz, połykając ślinkę — dobrzeby tu posilić się, tobyśmy już szli nie odpoczywając całą noc. Możebyśmy się przededniem dostali do gór Krzemienieckich. Tam już bylibyśmy jak w domu.

— Ba! to to i bieda — odpowiedział Maksym spluwając — nie ma już nic, a i mnie jeść się chce i w brzuchu coś gada.

— Ha! cóż robić? — rzekł Tadeusz powstając — może znajdzie się tam dalej jaka chłopska chałupa, to podjemy i potem! A do ranka jeszcze wytrzymasz?

— Alboż to mnie nowina dwa dni nic nie jeść, paniczu? — odpowiedział stary.

— Biedny Maksymie! — rzekł Tadeusz, ściskając

jego rękę — tyle dla mnie wycierpiałeś! a ja nie mam czem zapłacić ci za twoje przywiązanie. O moja matko! moja matko! — dodał, klasnąwszy w dłonie i oparłszy głowę na ramieniu kozaka, cicho zapłakał.

— Daj pokój, paniczu! — mówił po chwili Maksym — jak znajdziesz swoją rodzoną matkę, to obaczysz jak ona ciebie kochać będzie; nie tak jak my, co tobie tylko wiernie służyć możemy. A teraz chodźmy!

Tadeusz westchnął głęboko, uściskał poczciwego starca, i poszli dalej. Ciemno się już zrobiło zupełnie. Szli więc z trudnością i powoli, raz z obawy, żeby nie wleźć na stójkę kozacką — a drugi raz, że las był gęsty, zarosły krzakami i co chwila postęp ich tamował. Po godzinie może takiego darcia się omackiem, weszli na niewielkie półko, z wykarczowanego widać lasu powstałe, obwiedzione z dwóch stron orynowym płotem i zasiane żytem, które już dobrze podrosło. Podszedłszy brzegiem tego pola z paręset kroków, obaczyli wgłębioną w las zagrodę, do której widno pole to należało.

— Tu widać jakiś chłop mieszka — rzekł Maksym — zostań tu paniczu, a ja pójdę sam, i zmiarkuję; może to jaki dobry człowiek co nas przeprowadzi przez linię, i przeda mleka i kawałek chleba... Tadeusz usiadł pod sosną, a stary kozak, wyłamawszy dobry drążek, poszedł ku izbie. Wkrótce odezwało się szczekanie kilku niewielkich piesków, później drzwi w izbie skrzypnęły, a wnet i światło błysnęło w okienku. Tadeusz powstał, oparł się o drzewo, i tak czekał, aż Maksym wróci. Przeszedł może kwadrans w zupełnem milczeniu i w przykrem ocze-

kiwaniu. Po upływie tego czasu usłyszał młody człowiek tentnienie, jakby kto biegł, i w parę minut obaczył wyrostka, ze czternaście lat mającego, który się do niego zbliżał, o kilka kroków od drzewa zatrzymał się, i przypatrywał, jakby kogo szukał.

— Zachar! a de ty? — zawołał wreszcie chłopak.

— Tut — odezwał się Tadeusz, występując i domyślając się, że to chłopiec po niego przysłany.

— Chody, tam bat'ko tebe kłycze — rzekł chłopiec, przypatrując się ciekawie bohaterowi naszemu. Poszli więc. Gdy weszli do chaty, Maksym siedział za stołem, baba zaspana i drapiąca się, stała przy piecu i dokładała łuczywa do ognia, a na środku izby był chłop z rudawą niewielką brodą, z kołtunem na głowie, i niósł w jednej ręce garnek z mlekiem, a w drugiej sporą bułkę razowego chleba.

— Zdorowy dobryje lude! — rzekł śmiało Tadeusz, naśladując akcent chłopski.

— Spasi Bih! — odpowiedział chłop, przypatrując się dobrej minie i szlachetnym rysom młodzieńca. — Ot siad' koło swoho bat'ka, ta pojiżte szczo Bih daw, koły zabłudyły ta wyhołodyły sia.

Tadeusz usiadł, a chociaż fizjognomja chłopa nie podobała mu się wcale, nie okazując jednak żadnego podejrzenia i nieufności, wziął łyżkę, a gdy Maksym wylał na podaną sobie misę mleko kwaśne wraz ze śmietaną, ukroił spory kawał chleba, i z apetytem zajadać zaczął. Chłop zachęcał ich, żeby sobie nie żałowali, był wesołym i uprzejmym. Po niejakim czasie, widząc, że chłopiec jego stoi przy piecu, i

poprawiając niby ogień przypatruje się podróżnym, rzekł do niego z ofuknieniem:

— Czoho stoisz, ta pryhladujesz sia? ne baczyw ludej, czy szczo? idy, durniu, spaty, ta zawtra raneńko wstawaj i żeny w lis korowy.

Chłopiec odwrócił się i poszedł, a podróżni usłyszeli, że drzwi od sieni skrzypnęły i Tadeuszowi nawet zdało się, że coś po pod okna pobiegło.

— Chodźmy ztąd, Maksymie — szepnął do towarzysza swego, gdy się chłop odwrócił i do baby coś mówił.

— Cicho, paniczu! — odpowiedział Maksym, i kończył spokojnie swój posiłek. A gdy baba wyszła do komory, powstał, podziękował gospodarzowi i zabierali się do wyjścia. Wtedy chłop poskrobał się w głowę i zaczął im perswadować, żeby nie szli, że noc ciemna, linja kozacka niedaleko: teraz takie czasy, że bezpieczniej iść dniem, jak nocą, a tymczasem, ot przespaliby się i wypoczęli. Ani Maksym, ani Tadeusz przystać na to nie chcieli, udając, że im pilno, że do domu niedaleko, że byleby wyszli z tego lasu, to już omackiem trafią. Wprawdzie, dodali, że woleliby nie spotkać się z kozakami, bo by ich musieli zatrzymać i aż do swego oficera prowadzić, coby im dużo czasu zmarnowało, choć potrafiliby się wytłumaczyć i dowodnie okazać, że są ze Szpikołosów i tamtejsi poddani.

— Ot! — dodał Maksym — jakbyś ty był dobry i uczynny, tobyś nas przeprowadził tak, żeby nikt nie widział.

— Ta ono to prawda, można — odpowiedział chłop

skrobiąc się w głowę — ja tu jedno takie miejsce znam. Tamtędy i koniom można przejechać, nie tylko piechotą przejść, a i djabeł nie obaczy, nie dopieroż kozak.

— To chodź z nami — mówił Maksym, podając mu rękę — a jak wyjdziemy za las, do traktu, gdzie karczemka, to napijemy się, i to, coby trzeba było dać komu, to lepiej tobie damy.

Cała ta rozmowa prowadziła się po rusku. Szczególnie Tadeusz przybrał najwykwintniejszy chłopski akcent, i we wszystkich ruchach prawdziwego parobka udawał. Temi namowami chłop niby skłaniał się. Zaczął się namyślać, kiwać głową, podskrobywać kołtun, nareszcie po długiem wahaniu się, w ciągu którego stanął czasem tak, jakby się czemuś ze dworu przysłuchiwał, rzekł:

— No, no, siądźcież i zaczekajcie, a ja pójdę odziać się trochę, to może nam się i uda.

Usiedli więc i czekali, ale przeszedł kwadrans, a chłop nie wracał. Zwłoka ta zaczęła ich serjo niepokoić, szczególniej Tadeusza, który radził, aby wyjść co prędzej, zagłębić się w las i potem, zdawszy się na wolę Bożą, iść omackiem, gdzie się zdawać będzie lepiej. Maksym, więcej o niego jak o siebie niespokojny, zgodził się, i tylko co wyjść mieli, gdy we drzwiach izby pokazał się chłop odziany w czarną siermięgę, w słomianym kapeluszu i z długą laską w ręku.

— No, chodim teper — rzekł, a potem, zreflektowawszy się, dodał — a może macie jaką broń, to lepiej rzucić, albo przynajmniej wykręcić, żeby była

nienabita. Bo jeżeli złapią was z nabitą bronią, to Boże uchowaj, przepadniecie!

— To ty tak chcesz prowadzić, żeby nas złapali! — krzyknął Tadeusz. Chłop spojrzał na niego z podełba, potem nachylił się do okna, jakby się przysłuchiwał i tylko co Maksym wyciągnął rękę, chcąc go uchwycić za piersi, zwinął się jak wąż i wymknął się z izby. Rzucili się za nim obydwaj, ale w tejże chwili posłyszeli tentent kilkunastu koni w galopie, i nim wyszli na próg sieni, już kozacy byli przededrzwiami a jeden z nich zrzucił z przed siebie, jakby jaki wór sieczki, tego samego chłopca, który im widać drogę pokazywał i tu ich sprowadził. Tadeusz tyle tylko miał czasu, że podwójną krócicę, którą trzymał już w ręku dla ścigania nią zdrajcy, rzucił w kąt ciemnej sieni, a widząc, że ucieczka niepodobna chwycił za rękę rozzłoszczonego Maksyma, i tak czekali już spokojnie, co im kozacy powiedzą i jak z nimi postąpią.

Uradnik zakomenderował z koni. Kazał podróżnym naszym wejść na powrót do izby, i sam wszedł w towarzystwie kilku kozaków. Indagacja była krótka. Opatrzono ich, wzięto kilka listów, które Tadeusz miał przy sobie, cokolwiek pieniędzy, które im pozostały; a starszy kozacki, kazawszy ich dobrze związać, oddał pod straż i pod konwojem odprowadzić kazał do Dubna. Gdy przechodzili mimo okienka izby, światło ztamtąd bijące padało na chytrą twarz chłopa, który tam stał skuliwszy się, i w głowę się skrobał.

— Pożdy, suczy synu! najdu ja tebe, chyba umru — rzekł Maksym, rzucając nań groźne wejrzenie.

Chłop skulił się jeszcze mocniej i chyłkiem poszedł do izby, a kozak, trąciwszy tylcem piki zagniewanego i związanego starca, krzyknął:

— Paszoł! paszoł — w perod i mołczat! — I w kilkanaście minut potem światło w izbie zgasło, chłop spał na pościeli, więźniowie z konwojem swym poszli, i głucha cisza zaległa ten bór głęboki i ciemny.

W pierwszej, dużej i brudnej izbie, przy kancelarji policji Dubieńskiej znajdującej się, siedział Tadeuszek ze związanemi z tyłu rękami; przy nim był Maksym, a dalej jeszcze kilku więźniów różnego stanu i wieku. Dwóch żołnierzy z bronią stało przy drzwiach, a kozacy, którzy z różnych stron sprowadzali, to prostych włóczęgów, to podejrzanych o tajemny powrót do kraju z Galicji, stali w kącie i rozmawiali ze sobą, opowiadając zapewne, jak się któremu udało. Wszyscy oczekiwali na policmajstra, który najprzód rozbierał, za co który przyprowadzony; włóczęgów prostych, obwinionych o kradzież i t. p., brał pod swoją juryzdykcję, a innych oddawał władzy wojskowej, która ich do komisji śledczej, dla wybadania stopnia winy każdego, w Dubnie ustanowionej, odsyłała.

Po niejakim czasie wszedł pan policmajster. Był to człowiek słusznego wzrostu, wyprostowany, szczelnie zapięty, twarzy uczciwej, i na której jakby widać było przybraną surowość. Włosy miał już zupełnie siwe, chociaż dość czerstwo jeszcze wyglądał. Za jego wejściem wszyscy powstali, a on z kolei zapytywał więźniów, zkąd? i odbierał od kozaka objaśnienie ustne, lub na piśmie, gdzie który schwy-

tanym został. Nim przyszła kolej na Tadeusza, Maksym przypatrywał się pilnie twarzy policmajstra, i poznawszy go równie z rysów, jak po ruchach i głosie, szepnął stojącemu obok młodzieńcowi:

— Nu, sława Bohu! Nie bój się, paniczu! nie będzie nic bardzo złego.

Był to rzeczywiście nasz zacny horodniczy, pan Bazyli Smirnicki, który nauczywszy się doświadczeniem, że im genialniejszą jest żona, tem ją bardziej trzymać należy na wodzy, wziął i swoję we właściwe kluby, dał się poznać swej władzy, jako człowiek uczciwy, oddany tylko służbie, i straconą opinję całkowicie odzyskał. Po kilku latach ciężkiej próby, sądząc że już może prosić o zapomnienie nadużyć, nie z jego winy dopuszczonych, napisał do znanego nam radcy stanu Grodnickiego, i za jego wpływem, wsparty przeważną protekcją generała C*, przywrócony został do stopnia policmajstra, i w 1831 r. do Dubna translokowany.

Z tych wszystkich okoliczności pokazuje się jawnie, jak najczęściej niesłusznym jest zarzut krytyki, która pisarzom powieści wymawia, że naciągają fakta tak, jak im to do sklecenia ladajakiej całości najdogodniej. Cóż winien opowiadacz tych codziennych dziejów życia ludzkiego, że Opatrzność tak urządziła ziemię, iż ludzie podlegli jej kierunkowi, zbiegają się niespodziewanie z różnych punktów i stają lub obok siebie, lub przeciwko sobie, jak figury drewniane na szachownicy, aby jedni drugich bili lub zasłaniali? Wtenczas tylko zarzut jest słusznym, kiedy kto nie zna prawideł tej gry odwiecznej, która

nami po drogach życia suwa; kiedy jak żak nieumiejętny i probujący małpować dobrych graczów, mięsza i popycha na oślep te postacie, z których każda ma przepisaną kolej i odległość, którędy się ruszać i gdzie inną zasłonić lub obalić może.

Jak użytecznym był bohaterowi naszemu zacny pan Bazyli, czytelnicy łatwo się domyślą. Poznał on Maksyma, a przez niego dowiedział się, że ten młody człowiek, którego zrazu sfukał, jest ten sam Tadeuszek, którego do chrztu trzymał, który przyjściem swem na świat zjednał żonie jego brylantowe kolczyki, a jemu protekcję znakomitej i przeważnej w kraju osoby. Trudno więc opisać zmartwienie dobrego w gruncie człowieka, że nie mógł w żaden sposób złagodzić winy swojego chrzestnego syna, i musiał go koniecznie władzy wojskowej oddać. Od pierwszego bowiem zapytania bohater nasz zdradził się i giestem i głosem i wszyscy obecni poznali, że to nie chłop, choć w chłopskiej siermiędze, ale młodzieniec ukształcony, który się pod prostą suknią utaił.

Z Maksymem poszło mu lepiej. Przebiegły kozak od razu ułożył sobie plan ratowania miłego mu młodzieńca, którego przez cały czas pobytu ich za granicą nie odstępował, którego nieraz piersią swą zasłonił i do powrotu do kraju namówił. Maksym przybrał chłopską, głupowatą minę, udał się za bojara hrabiny, posłanego z jej listami do Horochowa; zmyślił, że mu koń w powrocie zdechł, że idąc pieszo, młodego tego parobczaka spotkał, że razem sobie szli, że szukając krótszej drogi do Poberezież

przez las, tam zbłądzili, do chłopa owego zaszli w nocy, aby się posilić i odpocząć, i że przez niego zdradzeni, tam obaj pojmani zostali. Ponieważ nie znaleźli przy nim ani broni, ani żadnego podejrzanego pisma, i Tadeusz, widząc konieczność, zaparł się także znajomości tak wiernego przyjaciela swego, i o spotkaniu się z nim to samo mówił, mógł więc śmiało pan Smirnicki uwierzyć, że tak jest istotnie, i Maksyma wziąść pod swoją juryzdykcję. W skutek takiego zeznania, uwolniono starego, głupowatego chłopa, który się kłaniał, w głowę skrobał i prosił panów, aby go długo nie zatrzymywali, bo jemu tam będzie w domu bieda od żony, że konia stracił, a od pana komisarza, że się tak długo zabawił. Wszystko to jednak zabrało dni kilka i dopiero piątego dnia od przybycia swego do Dubna, odetchnął stary kozak, gdy się obaczył za rogatkami miasta, ze świadectwem policji za pazuchą, na szerokiej drodze i na dobrym koniu, którego mu pan Bazyli dostarczył. Nie oglądając się więc za siebie, puścił się silnym kłusem ku Krzemieńcowi, a z tamtąd na Teofilpol, Latyczów i t. d. na Pobereże, gdzie spodziewał się znaleźć dla swego ulubieńca skuteczny ratunek i potężną protekcję. Wszyscy przechodzący i przejeżdżający dziwili się, że prosty chłop w siermiędze i słomianym kapeluszu, tak się trzyma na koniu, a starzec z białemi wąsami tak sił natęża i fatygi nie żałuje. Ale bo też to był szczególny człowiek, z żelaznem zdrowiem, z duszą panującą nad ciałem zahartowanem i posłusznem, z sercem, które umiało być wiernem i kochać, i w którem tkwiła

śmiertelna trwoga o los młodzieńca, zostawionego w więzieniu, i nad którym wisiał wyrok surowy i nikomu niewiadomy. A chociaż Maksym wiedział, że nad nim czuwa człowiek uczciwy, dobry i mający tyle powodów do opiekowania się nim, ale wiedział także, że prawo było wyraźne, a wina tak jawna i wcale nie tajona. Śpieszył więc po skuteczniejszą pomoc, ile sił stało koniowi i póty nie spoczął, póki nie stanął na Poberežu i przed bramą pałacu, gdzie była główna kwatera hrabiego C*, który już teraz innym korpusem, do I-szej armji należącym, komenderował. I dziesiątego dnia po wyjeździe jego z Dubna, bryczka pocztowa całym pędem koni kurjerskich dojeżdżała do tego miasta, przy zwoszczyku siedział Maksym i słowem i ręką zachęcał woźnicę, aby pośpieszał, a w bryczce był znajomy nam radca stanu Grodnicki, w podobnym jak dawniej płaszczu, z takąż zieloną czapeczką na głowie, tylko że z pod tej czapki wyglądały włosy już prawie białe, a na twarzy jego, równie jak i dawniej poważnej i szlachetnej, były liczne zmarszczki, któremi czas przejście swe oznaczył, i dwudziestoletni perjod biegu swego wypisał.

Wpływ i wstawienie się takiej osoby, jak hrabia C*, wzięło swój skutek. W Dubnie, przy niezmordowanych staraniach pana Grodnickiego, zapadł wyrok dość przychylny, ale który miał jeszcze pójść do Kijowa na zatwierdzenie. Wyrok ten brzmiał: że chociaż Tadeusz Bezimienny okazał się winnym należenia do wojsk powstańców i sam to zeznaje, że jednak wtedy, gdy wyszedł z kraju, miał dopiero

16 lat skończonych, a zatem nie był pełnoletnim, a teraz wróciwszy, okazuje żal za postępek, przez niedoświadczenie i zbyt młody wiek natchniony, przeto sąd wojenny zwalnia go od rygoru prawa kodeksem karnym przepisanego, i skazuje go na służenie szeregowym w korpusie kawalerji, pod komendą generała jazdy hrabiego C* zostającym, z wolnością wybrania sobie pułku, i z awansem za wysługę lat i odznaczenie się w służbie.

Trudno było czegoś łaskawszego spodziewać się; szło tylko o to, aby decyzja ta w Kijowie zatwierdzoną została. Że hrabia C* przewidywał, że Tadeusz do jego korpusu przeznaczonym zostanie, gdyż o to prosił, dał panu Grodnickiemu na wszelki przypadek piśmienną rękojmię, że obwinionego bierze na swoję odpowiedzialność, za niego ręczy i gdziekolwiek zawezwanym zostanie, dostawi. Na mocy więc takiego poręczenia uwolniono Tadeusza; ale musiał podpisać zobowiązanie, że najprzód w przeciągu czterech tygodni w głównej kwaterze korpusu, do którego przeznaczonym został, stawi się, a ztamtąd, poddając się rygorowi prawa, wszędzie pójdzie, gdzie go wyrok zapadły w Kijowie ostatecznie przeznaczy.

Tym tedy sposobem wyszedł nasz bohater z ciężkiego położenia. Obaczywszy się swobodnym, odetchnął całą piersią i podziękował Bogu, że mu tyle jeszcze zostawiono czasu, iż będzie mógł zajrzeć tam, gdzie go myśli i serce ciągnęło. Pan Smirnicki wziął go na parę dni do siebie; genialna Magdusia, już dziś stara i przygarbiona, płakała z radości, widząc tak pięknego młodzieńca, z którego łaski miała nie-

gdyś brylantowe kolczyki, w których jej było tak ładnie. Maksym ściskał swego kochanego panicza, a pan Grodnicki, powinszowawszy mu serdecznie, że się tak skończyło, tejże samej godziny, gdy Tadeusz uwolniony został i wprzód jeszcze, nim ośmielił się zapytać, dla czego hrabia C* tak się nim interesuje, wyjechał do Kijowa, chcąc i tam staraniami swemi poprzeć wyrok sądu wojennego Dubieńskiego i zatwierdzenie jego przyspieszyć. Doktor Grodnicki, wyjeżdżając, zostawił w rękach policmajstra pieniądze na tymczasowe oporządzenie młodzieńca i na drogę jego do głównej kwatery korpusu. Bolało to szlachetnego i dumnego Tadeuszka, że obnażony ze wszelkich środków, musiał przyjąć wsparcie od przyszłego wodza swego; ale gdy się dowiedział, że zostawiona suma była znaczną i na pańską nawet podróż wystarczającą, niezmiernie się zdziwił i zastanowił. Dochodząc więc powodów tak ważnej okoliczności, przypomniał sobie, że go w dzieciństwie swem u pana Klemensa widywał, że ten okazały generał, tyloma gwiazdami okryty, gdy go czasem złapał w ogrodzie, bawił się z nim, głaskał go i całował. Wspomnienia te rozrzewniły go, a świetna postać hrabiego stanęła żywo przed imaginacją, kombinował on obecne jego interesowanie się z dawniejszemi pieszczotami, robił wnioski, do których i piękna twarz Rozalii i doznane od niej oznaki przywiązania mięszały się, i dręczony niepewnością, pozwalając jednak unosić się słodkiemu przeczuciu, które go do obojga porywało, kładł głowę skołataną na piersiach Maksyma, błagając go aby mu tę tajemnicę odkrył.

Ale Maksym spuszczał oczy i odpowiadał zawsze: — Nie wiem, paniczu! nic nie wiem! — Tadeusz przywykł do tych odpowiedzi dobrego starca i nie nalegał. Zdawszy więc przyszłość swą Bogu i spodziewając się, że gdy stanie przed tym człowiekiem, dla którego czuł coś więcej niż wdzięczność, rozwiązanie zagadki pochodzenia swego w oczach jego wyczyta, rzucił swoję siermięgę, przyodział się w suknie, za staraniem policmajstra prędko i dobrze wygotowane, i pożegnawszy czule swego ojca chrzestnego i jego żonę, wsiadł na perekładną, i wraz z Maksymem wrócił do Kalinowa.

III.

Od lat trzech nic bohater nasz nie wiedział, co się działo w tem miejscu, gdzie go ciągnęło tyle uczuć wdzięczności i przywiązania. Gdy więc obaczył z daleka mury Reformackiego klasztoru, wpatrywał się w nie z bijącem sercem, zmówił najprzód modlitwę za duszę dwóch najlepszych ludzi, swoich niegdyś opiekunów i dobroczyńców, a potem z gorącem westchnieniem prosił Boga, aby pod tym skromnym dachem, gdzie był jego skarb, a zatem i jego dusza, znalazł zdrowie, spokój, a dla siebie dawną uprzejmość, dawne przywiązanie. Zwoszczyk leciał szybko; Tadeusz popędzać kazał póty, póki wyraźnie nie spostrzegł budynku klasztornego, i tego okna w stancji księdza gwardjana, z którego tak często patrzał na te same pola, do których teraz pospieszał. Wtedy strach go jakiś ogarnął. A chociaż pragnął

jak najprędzej zobaczyć Sabinkę, jaką jest teraz, w osiemnastym roku życia, w kwiecie wieku i w pełności rozwiniętej duszy i wdzięków ciała, wyobraziło mu się jednak, że zamiast uśmiechu miłości, zamiast spojrzenia przenikającego duszę, zamiast słówka, któreby serce jego zalało rozkoszą, zastanie ją nadąsaną, niekontentą z jego przybycia, lodowatem wejrzeniem wnoszącą zimno do jego łona, i rzucającą do jego piersi słowa suche i szeleszczące jak liście jesieni. Kazał więc jechać stępo, aby miał czas utulić serce strwożone i lękające się gorzkiego zawodu.

Tak więc noga za nogą zbliżył się, i na rogu klasztornego muru bryczce swej stanąć kazał. Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w kochającem i wdzięcznem sercu młodzieńca, gdy się przed nim odkryła zagroda, do której tyle słodkich przywiązywało go wspomnień. Łza stanęła w jego oczach, gdy zobaczył że wszystko stało na dawnem miejscu, równie cicho i spokojnie, jak niegdyś — że dworek był równie biały, jak i pierwej, dziedziniec równie zielony — że taki sam dym podnosił się z komina — że te same czyste okna świeciły z daleka, i zdawały się patrzeć na wieś dawniejszym spokojem i umiarkowaniem. Uniesiony radością Tadeuszek, szczęśliwy jak dziecko wracające ze szkół, przebiegł dziedziniec i wpadł do pokoju. Tam zastał tylko Sabinkę. Siedziała przy fortepianie, patrzyła na belki niskiego pułapu, a palce jej wydobywały z instrumentu tony jakiejś tęsknej piosenki. Śliczną była, jak kwiat w pełności rozwicia. Włosy jej były już gładko zaczesane, zwinięte w warkocz, za którym tkwiła róża,

Szlafroczek miała lekki i jasny; wyrosła, wyrobiła się we wszystkich kształtach, i nic nie brakowało, tylko głosu, tylko uśmiechu, aby uzupełnić ideał, który bohater nasz tak długo w sercu swem nosił. Gdy drzwi skrzypnęły, młodzieniec oniemiały od wielkiego wzruszenia stanął przy nich, i ani ruszyć się nie śmiał, ani słowa wymówić nie mógł. Sabinka przestała grać, nachyliła się przypatrując się nowemu gościowi, potem powstawszy, prędko zbliżyła się ku drzwiom. Wtedy Tadeusz, przychodząc do siebie, powitał ją okiem miłości i uśmiechem szczęścia, a Sabinka poznawszy go, podniosła ręce, krzyknęła: — O! to ty! Tadeuszku! — i rzuciła się w jego objęcie.

Są chwile, zawierające w krótkiem swem mgnieniu tyle nieskończonej radości, tyle boli bez granic, że gdyby byt nasz kończył się na ziemi, i doczesnem tylko życiem się ograniczał, byłyby czemściś nielogicznem i mądrości Bożej przeciwnem. Są więc one początkiem, są odłamem innego życia, są promieniem innego, nieziemskiego światła, są dowodem nieśmiertelności naszej daleko mocniejszym, niż wszystkie metafizyczne traktaty, które rzecz tę rozbierały. Takiej chwili doznał Tadeuszek, gdy pierwszy raz do serca swego przycisnął piękną swą kochankę. Ale chwila ta była krótka. Sabinka, oblana rumieńcem, wyrwawszy się z rąk jego, stanęła z daleka, zaczęła mu się na nowo przypatrywać, i ze łzą w oku, a uśmiechem przywiązania na ustach, zawołała: — O! Tadeuszku! o! braciszku drogi! jakżem ja szczęśliwa, że ciebie widzę! jakże ty ładnie wyrosłeś.

Teraz doprawdy jesteś dziesięć razy piękniejszym, niż byłeś.

Tadeuszek widział to dobrze, że i ona jest stokroć piękniejszą niż była, ale jej tego powiedzieć nie śmiał, tylko się wpatrywał i milcząc wielbił. Wtedy Sabinka klasnęła raptem w ręce i dodała:

— Ale patrzaj, jaka ze mnie egoistka! Sama się tobie przypatruję, sama nacieszyć się tobą nie mogę, a mama nic nie wie, a ojciec, a Józio ani się domyślają, że ty żyjesz, że tak piękny bohater pod ich dachem. O! bo ty nie wiesz, ileśmy tu łez za tobą wyleli, kochany, kochany Tadeuszku!

— Więc oni wszyscy zdrowi, Sabinko? — zawołał Tadeusz.

— O! zdrowi, dzięki Bogu! zdrowi — odpowiedziała — ale zaraz, stój tu, poważnie pokręcaj wąsa, a ja zwołam wszystkich, czy cię poznają. Mamo! mamo! Ojcze! Józiu! — zaczęła wołać, pobiegłszy na około domu przez pokój sypialny matki.

Tadeusz został. Smutek jakiś mignął przed nim i chłodnym odiechem czoła jego dotknął. On spodziewał się innego przyjęcia. Wyobrażał sobie, że Sabinka, która już dla niego siostrą być przestała, zapłoni się na jego widok, zalęknie się, przyjmie go tylko wstydliwem spuszczeniem oczu, tajemnem westchnieniem, lekkiem ściśnieniem ręki; a ona tymczasem rzuciła mu się na szyję, pocałowała go, a razem nazwała bratem, zaczęła go chwalić, i wąsikami jego i dobrą miną radować się. — Tak witają, tak kochają siostry, ale nie kochanki — pomyślał Tadeusz, i westchnął, i niekontent był z na-

iwnego uniesienia dziewczyny, której widać czas i dojrzałość nie zmieniły. Ale wkrótce romansowe te jego pretensje znikły, zapomniał tej decepcji, jaką sobie uroił, gdy się rzucił w objęcia pana Karpińskiego, gdy ściskał kolana Anny, gdy tulił na swem łonie poczciwego Józefa, który także wyrósł, zmężniał, któremu także wysypały się czarne wąsiki, ale którego serce nie ostygło w przyjaźni i w prawdziwie braterskiem dla bohatera naszego przywiązaniu.

Powrót Tadeusza był wielkiem dla całej rodziny świętem. Domyślał się pan Karpiński, gdzie się siedmnastoletni chłopiec podział, nie spuszczał także z oka i swojego syna, ale od zbiegłego wraz z kilkoma kolegami młodzieńca żadnej nie odebrał wiadomości. Dopiero, gdy klęski jedna za drugą powtarzać się zaczęły, ktoś doniósł panu Karpińskiemu, że był w tej bitwie, w której Tadeusz Bezimienny obok niego kulą przeszytym został. Było to oczywiście kłamstwo, i ten jegomość dopuścił się go dla tej jedynie przyczyny, aby pokazać, że i on tam znajdował się, gdzie kule latały. Był to jeden z tych naocznych świadków, których wszystkie kule szanowały i żaden pałasz dotknąć nie śmiał. Doniesienie to, jakkolwiek kłamliwe, ale że podobne do prawdy napełniło długo żałobą dom cały. Wszakże czas ukoił pierwszą boleść, zostawiwszy tylko słodkie wspomnienie młodzieńca, o którym często rozmawiano tu, gdzie się wychował, gdzie każdy cenił i jego głowę i serce. Radość tedy była niewypowiedziana, gdy go nagle obaczyli, i dzień ten aż do późnej nocy przeszedł na opowiadaniu wzajemnem.

Maksym, jako wierny przyjaciel i towarzysz Tadeusza, siedział wraz ze wszystkiemi przy wspólnym stole, i patrząc na panicza swego i na tę piękną pannę, która go z taką uwagą słuchała, w której bystrem oku błysnęła czasem łza na obraz niebezpieczeństwa, co mu zagrażało, kiwnął głową, gładził siwe wąsy i myślał sobie: nie dziwota, że on tu tak rwał się.

Ojciec pana Karpińskiego już nie żył. W jego niegdyś pokoju mieszkał teraz Józio, i tam obu przyjaciół ulokowano. Odprowadzili ich rodzice i Sabinka, która wyręczając już matkę w zakręcie domowym, sama urządziła ten pokoik, aby im było najdogodniej. Widział Tadeuszek, jak była gorliwą, jak zajętą, aby spał wygodnie, aby mu nic nie przeszkadzało, i serce jego rozrywało się od radości, notując każdy krok, który dla niego zrobiła, aby go jej poświęceniem bez granic odpłacić. Gdy wszyscy wyszli, a ona ostatnia wychodząc, obróciwszy się jeszcze i przesłała mu od ust dobranoc, Tadeusz rzucił się płacząc na piersi przyjaciela i wołał:

— O! dla czego ja jestem niczem, i nic nie mam, nawet nazwiska! Dla czego czas płynie dla mnie tak leniwo, a dla niej tak prędko!

Poczciwy Józio, który oddawna widział, co się w sercu przyjaciela jego działo, który się domyślał, że ta miłość przedwczesna i bez nadziei, była jedną z pobudek, które bohatera naszego z kraju wygnały, utulił go serdecznie na swem łonie, radził, aby się położył i wypoczął, ale na to, co Tadeuszek z takim

żalem wymówił, nic nie odpowiedział. Już było prawie widno, gdy sen skleił powieki obudwóch.

Na drugi dzień rano, Maksym wziąwszy na bok Tadeusza, rzekł mu:

— Paniczu! tobie tu dobrze, to jacyś ludzie serdeczni, których nie darmo kochasz; może ty jeszcze tu zostaniesz. Bądź-że zdrów, paniczu! mnie pilno zobaczyć, czy moja Tatjana żywa, i czy mój Zacharko chodzi jeszcze po tym świecie.

— Zaczekaj, Maksymie! — odpowiedział Tadeusz — ja pojadę z tobą. Mnie tu długo siedzieć nie można. I ja chciałbym jeszcze twoją Tatjanę uściskać i podziękować jej i za to, że mi była matką, i że pozwoliła tobie, Maksymie, żeś mi tyle lat był przyjacielem i ojcem.

Kozak strzepnął z wąsa łzę, która nań spadła, otarł oczy i rzekł:

— Dobrze robisz, paniczu, że ztąd chcesz uciec. Żebyś był starszy, żebyś był bogatszy, żebyś już wiedział, kto twój ojciec i matka, tobym ci sam radził: zostań i kochaj, bo to kwiatek taki, jaki tylko w najpiękniejszym ogrodzie rośnie. Ale przed tobą służba, paniczu, koń i szabla. Tam za ciebie poręczono, że na czas staniesz, i stanąć trzeba. Uciekaj więc zawczasu, bo co dzień to będzie trudniej i ciężej.

Tadeusz westchnął głęboko i przyrzekł Maksymowi, że jutro już pojadą. Przed śniadaniem poszedł jeszcze do ogrodu, zbliżył się do tego miejsca, gdzie była jabłoń za murem Reformackim, i patrzał na rozrosłe drzewo, uginające się pod masą owoców. Wiele razy i dawniej tamtędy przechodził, nie mi-

jał nigdy tego miejsca, aby nie stanął, nie popatrzył przez chwilę, aby mu się nie przypomniały dziecinne lata, i znajomość tu zawiązana i na resztę życia stanowcza. I teraz także stał tam i patrzał i marzył. Nagle poczuł, że lekka gałązka na jego twarz upadła i liśćmi go swemi nakryła. Obrócił się ockniony z zamyślenia. Sabinka stała niedaleko i groziła zadumanemu młodzieńcowi.

— Nie możesz Tadeuszku, tego miejsca zapomnieć — rzekła przystępując i biorąc go pod rękę — a już czas, braciszku. Człowiek dojrzały, który ma wąsy który miał szlify, nie powinien myśleć o swywoli chłopca, co łaził po drzewach i małym dziewczętom jabłuszka rzucał.

— Żegnam to miejsce — odpowiedział młodzieniec — i może na zawsze, dla tegom się tak zamyślił.

— Dla czegoż na zawsze? — rzekła Sabinka — jak zostaniesz oficerem, weźmiesz urlop i przyjedziesz.

— Któż to wie, kiedy zostanę oficerem? — odpowiedział Tadeusz — skazani na służbę za karę, nieprędko awansują. A potem, na cóżby mi się zdał ten pospiech? Dla mnie już wszystko jedno, czy służyć we froncie, czy przed frontem. Znam jedno i drugie.

— Ale urlop? — rzekła, patrząc mu w oczy i odprowadzając ku domowi.

— Tak, urlop i rany — odpowiedział, podnosząc oczy w niebo. — Wolałbym rany na polu bitwy, te mniej bolą.

— Czyż cię tu kto rani, Tadeuszku? — zapytała ze współczuciem. — Jeżeliś sobie co uroił i cierpisz,

to nikt temu nie winien, tylko ty. Ojciec i mama kochają cię jak syna — Józio i ja, jak brata. Czegóż chcesz więcej.

Tadeuszek nic nie odpowiedział, tylko ścisnął ją mocno za rękę. Sabinka wyrwała rękę i krzyknęła. Przestraszony młodzieniec złożył dłonie i zaczął ją przepraszać, że jej ból sprawił. Ona, zdejmując rękawiczkę, uśmiechnęła się i rzekła:

— Nie gniewam się, braciszku, choć mnie mocno zabolało. I nie mogło nie zaboleć, zwłaszcza żeś to ty mię tak mocno ścisnął. Patrz, Tadeuszku!

To mówiąc, pokazała mu rękę, na której czwartym palcu, była złota obrączka. Biedny bohater nasz zbladł jak ściana, postał tak przez chwilę, potem, zdobywając się na siłę, któraby każdemu, najdojrzalszemu mężczyźnie honor przyniosła, wziął jej rękę i całując z uczuciem, rzekł:

— Daruj mi... siostro; nie wiedziałem o tem.

— Więc Józio nie mówił ci, żem zaręczona? — zapytała go drżącym głosem i twarz jej pobladła także. — O! niedobry Józio! a prosiłam go o to.

— Nie dziw się, siostro — odpowiedział Tadeusz z westchnieniem — on mnie kocha!

— A ja, która ci to mówię, nie kocham cię? — rzekła wzruszona, zakryła rękami oczy i łzy przeciskały się przez palce i oblewały tę obrączkę, która dziwnym jakimś blaskiem do ócz młodzieńca rzucała się. Potem, wstrząsnąwszy główką, obtarła oczy i dodała: — Dwa lata temu widziałam jednego pana, który się zaklinał, że cię przy boku jego kula ugodziła. Wierzysz temu, Tadeuszku?

— Mówili mi to twój ojciec i matka — odpowiedział Tadeusz.

— I dla tego wierzysz — rzekła prędko — a gdybym tylko ja mówiła, tobyś mi ten pierścień ukazał i powiedziałbyś: kłamiesz!

— Powiedziałbym: bądź szczęśliwą, Sabinko! — rzekł Tadeusz coraz mocniej blednąc. — To samo i teraz mówię. Bądź szczęśliwą i zapomnij o biednym podrzutku, któremu świat nic nie mógł dać, bo mu rodzice jego nic, nic nie dali, nawet imienia, którem mógłby okryć kochającą go kobietę. A teraz, bądź zdrowa, siostro droga! w duszy mojej oddawna, nawet wtedy, gdym był jeszcze małym chłopakiem, były insze, daleko słodsze brzmienia, któremi cię nazywałem. One napełniały moje serce zapałem do nauki, do pracy; słyszałem je w huku dział, w odgłosie bębnów, w brzmieniu trąby; czytałem je na ścianach więzienia, gdzie mi nakazywały cierpliwość i rezygnacją; teraz wysyłam je naprzód, przed sobą tam, zkąd one pochodzą, gdzie wszystko święte ma źródło i początek. W sercu mojem i na ustach zostaje dziś jedno tylko słowo, mniej powabne, mniej słodkie, ale może jeszcze czystsze i świętsze od tamtych. Tem słowem żegnam cię — wyciągając do niej ręce, zawołał głosem, w którym przebijała się rozpacz i ból nieskończony — siostro! siostro najmilsza! bądź zdrowa na zawsze!

Sabinka położyła głowę na jego piersiach i tak płakała. On pocałował kilka razy jej czoło, i tuląc do siebie, patrzył w niebo, jakby się modlił. Po kilku minutach rozłączyli się. Ona odstąpiła od niego

i zakrywszy oczy chusteczką poszła cicho ku rzece, a Tadeusz, w którego oczach ani jedna łza nie postała, patrzył jeszcze za nią długo i poszedł ku domowi.

Po śniadaniu, na którem Tadeuszek nic w usta nie wziął i do którego Sabinka nie przyszła, Józio opowiedział bohaterowi naszemu, że przed pół rokiem zacny jeden obywatel obaczył siostrę jego na odpuście, poznał się z rodzicami i bywać zaczął; że to człowiek nie pierwszej już młodości, dość majętny, przystojny, bardzo uczciwy i miły. Po trzech miesiącach oświadczył się. Rodzice nie mogli nic mieć przeciwko niemu, chociaż matka, niewiadomo dla czego, długo zwlekała decyzję. Ale nareszcie odebrała jakiś list z Galicji, którego nikomu pokazać nie chciała, nawet mężowi, płakała długo, i nareszcie, gdy ten pan nalegał, pozwoliła.

— I Sabinka kocha go? — zapytał Tadeusz.

— Okazuje mu wiele przyjaźni — odpowiedział Józio — bo inaczej być nie może. Jest to człowiek tak ujmujący w obejściu, tak gruntownego charakteru, tak rozsądny i dobry, że go nie można nie kochać.

Tadeuszek nic na to nie odpowiedział, zdawał się spokojnym, nawet wesołym. Przy obiedzie i potem do późnej nocy rozmawiali w kółku rodzinnem. Sam nawet wszczął rozmowę o panu marszałku, wypytywał się o niego Anny; cieszył się, że taki się człowiek znalazł, a chociaż Anna uważała, że oczy jego nagle zapadły i jakby schudł przez te kilka godzin, tak dziwnie jakoś wyglądał, nie mogła jednak

wpaść na myśl, że w sercu jego jest ból tak wielki, tak głęboki, który z takiem męztwem i wielkością duszy umiał ukryć i utaić. Gdy się już rozłączyć mieli, powiedział wszystkim dobranoc, dłużej jednak niżby trzeba było, zwłaszcza, mając jutro obaczyć się, trzymał przy ustach rękę Anny, silniej przycisnął się do piersi pana Karpińskiego, Sabinkę pożegnał niby tylko podaniem jej ręki; tymczasem cisnął mocno i konwulsyjnie jej palce, obejrzał się raz jeszcze na wszystkich, i wziąwszy Józia pod rękę rzekł:

— No! do jutra, kochani państwo. Tamtę noc przegawędziliśmy całą. Tę trzeba przespać. A jak ja tu nieraz słodko spałem pod tym dachem!

Gdy się nazajutrz wszyscy obudzili, już Tadeusza nie było, a trzeciego dnia odebrała Anna list następujący:

„Najdroższa pani! Uciekłem z pod tego dachu, gdzieście mnie przyjęli rodzicielskiem sercem, gdzie dzieci wasze wyciągnęły do mnie braterskie dłonie; gdziem się nauczył szanować wszystko co uczciwe i święte, gdziem widział przykłady wszystkich cnót domowych i przekonał się, że ludzie sami sobie winni, jeżeli ziemia nie daje im tyle szczęścia, tyle pociechy, aby serce ich zaspokoiło się i przygotowało do kosztowania tych radości, jakie Bóg nieśmiertelnemu duchowi naszemu przeznaczył. Nie mogłem zostać z wami, bo na głowie mojej cięży grzech moich rodziców i nieprzeparta konieczność unosi mnie na fale tego świata, na które mnie rzucili, niepomyślawszy o tem, czy się z nich własną

siłą wydobędę, czy w głębi ich zatonę. Idę więc, gdzie mnie ciągnie moje przeznaczenie, i darujcie, że wychodzę od was jak z portu, potrzebując tyle sił do tej długiej i niepewnej wędrówki, oszczędziłem je, i wyszedłem bez pożegnania, które byłoby połowę ich wyczerpało. Temi więc kilkoma słowami was żegnam i żegnam z daleka dla tego, że to jest pożegnanie długie, na całe ziemskie życie, na zawsze; że już ani waszej cichej zagrody, ni waszych poczciwych i kochających twarzy nie obaczę. Serce twoje, najdroższa pani, serce kobiety i matki odgadnie, zkąd we mnie to postanowienie Widziałem to bowiem w twoich oczach pełnych miłości, czytałem w twoim drżącym głosie, żeś mi może inne w domu swym, w kole twej rodziny naznaczyła miejsce. Miałżem prawo o nie się upomnieć? Mógłżebym bez zadrżenia i wyrzutu przywiązywać do nędzy i tułactwa mego żywota dni pełne nadziei, na które powinne koniecznie spłynąć pogoda i spokój z całej waszej przeszłości, z waszego życia tak pełnego najżywszej zasługi? Inaczej, na cóżby się przydały cnoty rodziców? Czemże byłby ich grzech i zapomnienie najświętszej powinności? Twoja córka powinna być szczęśliwą, a na mojem czole jest i być powinno, piętno mojego pochodzenia, którem z nikim dzielić się nie mogę i nie chcę. Niech więc spełnia się wszystko tak, jak odwieczne prawo wymaga. W krótkiem mojem życiu dosyć już doznałem radości, która mi się nawet nie należała: poznałem was, kochałem was, wyście mnie kochali; nie zapomniecie mnie i pobłogosławicie pewnie tej drodze, która jeszcze

przedemną, a która prowadzi tylko naprzód, a ku wam napowrót zwrócić się już nie może i niepowinna. Bądź więc zdrowa na zawsze, najdroższa pani! Uściskaj odemnie rękę twojego męża, ucałuj mego poczciwego Józia, a tę najmilszą istotę, co była duszą mego życia, oddaj temu zacnemu człowiekowi, którego wam niebo, w nagrodę waszych cnót i waszej miłości dla biednego sieroty zesłało. Nic mu nie wam do zazdroszczenia, bo ona zachowa dla mnie serce siostry, a prawa nazywania cię matką nic i nikt odebrać mi nie może.

Tadeusz".

Jeszcze Anna nie skończyła tego listu, gdy weszła do pokoju Sabinka i widząc, że matka czyta i płacze, usiadła z boku, patrzyła na nią suchem okiem i nieprzerywała czytania. Od czasu zniknienia Tadeusza była ona milczącą, smutną, zawsze samotną, i widać było wyraźne wysilenie, gdy co ojcu i matce odpowiedzieć musiała. Zacni ci ludzie rozmawiali z sobą często o tym stanie córki, ale postanowili przez czas niejaki zostawić ją spokojną, oczekując z perswazją i pociechą, aby się pierwsze bolesne wrażenie zatarło. Domyślili się oni wszystkiego, i choć wiedzieli dobrze, że Sabinka nie jest romansowa, że nie wyegzaltuje sobie głowy do tego stopnia, aby rzeczy nadzwyczajnej i niepodobnej zapragnąć, że w tym jej stanie więcej jest przywiązania siostry i litości nad położeniem biednego młodzieńca, niż takiej bezwarunkowej miłości, któraby aż do rozpaczy doprowadzić mogła, zawsze jednak przejęci byli trwogą, i z niepokojem na córkę swą spoglądali. Gdy Anna

skończyła list, i załamawszy ręce usiadła milcząc, przystąpiła do niej Sabinka i rzekła:

— Mamo! to zapewne list od Tadeuszka, bo dowiedziałam się, że posłaniec z Białobrzyniec, i ty płaczesz czytając.

— Zgadłaś moje dziecię — odpowiedziała Anna — biedny! biedny chłopiec!

— Pozwól mi to mamo przeczytać — mówiła dalej Sabinka — a tymczaszem przejrzyj to, com tu do pana Kazimierza napisała.

— Do pana Kazimierza? — zapytała Anna, patrząc na nią z niepokojem.

— Do niego, droga mamo — odpowiedziała spokojnie, ale z postanowieniem. — Odsełam mu jego pierścionek i proszę go, aby przestał o mnie myśleć. Przejrzyj to mamo, czy dobrze napisano i czy nie ma czego, coby serce jego zranić i obrazić mogło. Bo tegobym przedewszystkiem nie chciała. Radabym owszem, aby został moim przyjacielem, jak ja zachowam dla niego na zawsze przyjaźń i szacunek.

— Wiesz, moje dziecię — rzekła Anna, biorąc list z rąk córki — żem nigdy gwałtu twojej woli czynić nie myślała. Uważając nawet, żeś przyjmowała obojętnie, zwłaszcza w początku, zabiegi pana Kazimierza, długom się ociągała, nim ostatecznie pozwoliłam ci dać słowo. Teraz także sprzeciwiać się życzeniu twemu nie mogę, wchodząc w powody, jakie cię skłaniają. Jednak przeczytaj wprzódy, co Tadeuszek pisze, a potem postąpisz, jak ci się zdawać będzie.

Sabinka wzięła list z rąk matki i zaczęła czytać.

Ręka jej drżała i wzruszenie było coraz widoczniejsze. Przy końcu ciche łzy spłynęły po jej twarzy. Gdy skończyła, położywszy list na stole, rzekła:

— Proszę cię, droga mamo, odeślij mój list panu Kazimierzowi.

— Dobrze, moje dziecię, odeślę — rzekła Anna cichszym głosem. Sabinka uściskała jej rękę, nastawiła jej swoje czoło do pocałowania, i spokojnie, zwolna wyszła. Anna naturalnie nie posłała Kazimierzowi listu córki, ale prosiła go, aby przyjechał. Gdy przybył, opowiedziała mu wszystko, dała do przeczytania list Tadeusza i list Sabinki, i nie tając przed nim, ani swoich uczuć dla sieroty, którego prawie wychowali, ani zamiarów jakie miała, jeśliby mu los do wyrobienia sobie jakiegokolwiek sposobu do życia dopomógł, prosiła go, ażeby został na zawsze ich przyjacielem, aby nie przestał ich czasem odwiedzać, aby był pewnym, że uczucia jej córki dla Tadeusza nie są wyłączną i wygórowaną namiętnością, ale więcej przywiązaniem siostry niż kochanki, że zatem czas może to wszystko uregulować i zrządzenie Opatrzności wskaże, któremu z nich dwóch dziecię jej ma się dostać.

Pan Kazimierz zasmucił się serdecznie tym wypadkiem, którego się bynajmniej nie spodziewał. Ale że to był człowiek pełen rozumu i szlachetności, pojął i ocenił skrupuły matki i córki, i nie tracąc zupełnie nadziei, postanowił być cierpliwym i niczem nie okazać, że pierwszeństwo, jakie przed nim młodemu człowiekowi dawać zdawali się, wpłynęłoby najmniej na zmianę jego szacunku dla całego domu,

i jego uczuć dla panny, która była już jego narzeczoną. Pan Kazimierz miał już trzydzieści siedm lat; długo był obojętnym na wdzięki kobiet i słodycze stanu małżeńskiego. Sabinkę pokochał on całem sercem, prawie nowem i przez czcze miłostki niezużytem. Wszystko więc to, co się stało, podniosło jeszcze w jego oczach wartość rodziców i cenę tego serca, któremu życie swe poświęcił.

Na takim stopniu zostały rzeczy w Kalinowie. Sabinka zdawała się spokojną, czasem nawet wesołą, znacznie jednak spoważniała, zaczęła się brać z większą gorliwością do czytania, do muzyki, do rysunku, mówiąc wszystkim, którzy się dziwili jej pilności, że kobieta, która jest kandydatką na starą pannę, powinna starać się o przysporzenie sobie rozmaitych środków rozrywki, aby się nie stała nieznośną sobie i drugim. Pan Kazimierz bywał czasem w Kalinowie, dostarczał książek Sabince, okazywał jej najszczerszą przyjaźń i współczucie, mówił z nią o rozmaitych rzeczach, nawet o Tadeuszku, ale nigdy o sobie.

Tymczasem dwaj młodzi jeźdźcy dążyli traktem ku Poberezowi. Jeden okryty lekkim płaszczem, w czapeczce, z pod której wychodziły jasne włosy, na dzielnym gniadym koniu, jechał cokolwiek naprzód i zdawał się w głębokich pogrążony myślach; drugi równie młody, twarzy rumianej i wesołej, w ubraniu kozackiem i w czapce, z której zielony zwieszał się worek, siedział dziarsko na dobrym, wilczatym stępaku, i ciekawie w około się oglądał. Czytelnicy domyślają się zapewne, że to był nasz bohater, dą-

żący do miejsca swego przeznaczenia, i jego towarzysz, Zacharko. Umówiwszy się jeszcze z wieczora z Maksymem, po rozmowie z Sabinką i dowiedzeniu się od Józia o okolicznościach jej zaręczenia, pożegnawszy łzą wdzięczności cichy pana Karpińskiego dworek, i cichsze jeszcze groby w podziemiach klasztoru, w których spoczywały prochy jego dobroczyńców, wyjechał on w nocy z Kalinowa, i puścił się do Białobrzyniec. Ztamtąd napisał ów list, któryśmy czytali. Do zamku nie poszedł, przesiedział tylko parę dni u Tatjany, póki mu Maksym nie wystarał się konia i dobrego siodła; gdyż mając jeszcze dosyć czasu do stawienia się w głównej kwaterze, pragnął resztę drogi odbyć konno, aby mógł swobodnie marzyć i napatrzyć się na tę ziemię, którą na zawsze opuszczał. Gdy już wszystko było do podróży gotowe i koń osiodłany stał przede drzwiami, wtedy wszedł do izby Maksym. a za nim Zacharko pierwszy raz po kozacku ubrany, i patrzący na bohatera naszego tem wejrzeniem śmiałem i wiernem które zdawało się tylko oczekiwać rozkazu.

— Paniczu — rzekł Maksym — jam już za stary, żony samej zostawić nie mogę, ale i ciebie samego nie puszczę. Pan Bóg, który mi ciebie dał, ciężkoby mnie ukarał, gdyby ci się co złego stało, a nie było nikogo przy tobie, coby ciebie kochał i w jakiej biedzie rękę ci podał. Weź z sobą mego chłopca, paniczu! On mój syn, i jeśli będzie trzeba, zasłoni cię swojemi piersiami.

Tadeuszek stał długo oniemiały, tylko łzy ciche spłynęły po jego twarzy. Cenił on wysoko ten dar

serc prostych, bezwarunkowo mu oddanych, i chciał perswadować; ale widząc w oczach Maksyma mocne postanowienie, w oczach jego żony miłość i rezygnację, a w twarzy chłopca ochotę i gotowość, rzucił się najprzód w objęcia Tatjany, i utuliwszy się z wdzięcznością przy tem sercu, które pewnie najwięcej bolało, przyjął ofiarę dobrych ludzi, aby ich szlachetnych uczuć niewczesną ceremonją nie obrazić. Postanowił jednak w duszy nie długo trzymać przy sobie Zacharka, i przy pierwszej zręczności wrócić go rodzicom. Stary kozak i jego żona pożegnali obu młodzieńców równie serdecznem uściśnieniem, stojąc przed progiem chaty, dali im krzyż na drogę, gdy obaj już byli na koniu, i długo jeszcze patrzyli na kurzawę, co się za niemi wznosiła, gdy ci już wyjechali za wrota i znikli im z oczu.

Jednego poranku, o godzinie siódmej, przybyli podróżni nasi do tego samego mostku, gdzie Tadeuszek nazwisko swoje otrzymał, gdzie mu Bóg dał posiłek i przyjaciela, który dalszą drogę jego sprostował. Nic się tam nie zmieniło: taż drożyna prowadziła do wsi, trawa była równie jak i pierwej zielona, woda równie szybko biegła do Mleczkowiec nawet ta sama kłoda wierzbowa, na której siedział z bratem Leonem, i gdzie mu dzieje życia swego opowiadał, leżała jeszcze nad brzegiem. Zjechał więc na dół, i oddawszy konia w ręce Zacharka, usiadł na tem samem miejscu, gdzie dziewięć lat temu siedział, nie wiedząc, co dalej począć, i dokąd błędne kroki swe skierować. Tu wszystko stanęło mu w myśli, co w krótkiem, ale tak pełnem życiu swem

doznał. Każda twarz, którą kochał, odrysowała się wyraźnie; każde słowo, które niegdyś do serca jego trafiło, powtórzyło się, zabrzmiało słodkiem echem dni upłynionych, całą obudziło przeszłość i każdej chwili, znikłej już bez powrotu, niewysłowiony nadało powab. Po długiem rozmyślaniu opuszczając miejsce to, bohater postanowił postawić tam na pamiątkę krzyż, aby upadający na duchu podróżny ukrzepił się jego widokiem, aby opuszczony od całego świata sierota, znalazł pod nim wytchnienie i nadzieję. Mając zamiar oddalić się na zawsze z tej ziemi, gdzie się wychował, chciał jeszcze jednego dopełnić obowiązku, który mu oddawna ciężył na sercu. Wiedział Tadeuszek, że Widalsia umarła, ale jakże mógł przenieść na sobie, aby nie odwiedził tego miejca, gdzie był tak szczęśliwem dzieckiem, gdzie znalazł tak wylane dla siebie serce, aby się nie modlił na grobie drogiej swej opiekunki, i nie położył na nim kamienia, którego kilka słów świadczyłyby o jego niewygasłej dla niej wdzięczności. Niewiele mu już zostawało czasu do tego terminu, na które go dane słowo powoływało; udał się więc prosto do wsi Z*, aby uściskać starego przyjaciela Owsikowskiego i obowiązać go, aby i krzyż nad rzeczką postawić kazał i kamień na grobie Widalskiej położył. On jeden, jeżeli żyje, spełniłby wiernie te święte dla niego obietnice. Gdy się w pierwszej karczmie na trakcie dobrze rozpytał, pokazało się, że miał jeszcze sześć mil drogi. Ale koń jego był dzielny, towarzysz ochoczy; ruszał więc Tadeusz szybko, aby stanąć przed nocą, i dziś jeszcze miejsce

to, tak pełne dla niego wspomnień, obaczyć. A im był bliżej, tem mocniej serce jego biło, tembardziej usuwały się z pamięci wszystkie późniejsze życia jego okoliczności, a wszystkie władze jego duszy skupiały się na powtórzenie chwil dzieciństwa, na wyobrażenie Widalskiej w jej czystych pokoikach, całego dworu pana Klemensa, i tej stajni, gdzie władał Owsikowski — ogrodu, wszystkich jego ścieżek i tego kiosku, gdzie się tulił do płaczącej Rozalii, której łzy czuł i teraz na swojej twarzy, której oddech ogrzewał jeszcze jego serce, i do której pięknego oblicza myśli jego ustawicznie wracały.

Już było po dziewiątej wieczorem, gdy piękny młodzian przebiegł szybkim kłusem całą wieś, gdzie każdy zakąt był mu tak dobrze znajomy, i gdzie tyle wspomnień wlewało się strumieniem do jego serca. Minąwszy dziedziniec folwarczny, wpadł on na podwórze stajenne, i mimo tej pamiętnej mu rajtszuli, prosto do czystego domu koniuszego dążył. Owsikowski siedział na ławeczce przededrzwiami i palił spokojnie fajkę. Gdy obaczył jadącego ku sobie młodego człowieka, z kozakiem z tyłu, równie młodym i dziarskim, poprawił czerwoną krymkę, którą miał na głowie, pogładził siwe już zupełnie wąsy, i rzekł sam do siebie:

— Co to u licha! żwawe chłopaki, ale i konie dobre. Kłus wyśmienity! — Gdy Tadeuszek przed samym progiem konia osadził, a Zacharko już był na ziemi i za cugle uchwycił wprzód jeszcze, nim pan jego zsiąść zdążył, Owsikowski powstał, i dodał

z uśmiechem ukontentowania: — Dalibóg! jaki pan, taki sługa; wart Pac pałaca, a pałac Paca!

Tymczasem młodzieniec zbliżył się, wziął za rękę starego przyjaciela swego, i podniósłszy nań błękitne swe, dziś znacznie zapadłe, ale zawsze wymowne oczy, patrzył w tę twarz kościstą, trochę pomarszczoną, ale poczciwą i szlachetną.

— Co to? co to? — mówił Owsikowski przypatrując się. — Kto pan jesteś? Dalibóg, że sam nie wiem, dla czego mi się ręce trzęsą. O! o! poczekaj — dodał, i przetarł oczy, a potem obaczywszy uśmiech na ustach młodzieńca, krzyknął: — A! to ty, mój złoty chłopcze... Tadeuszku mój drogi! — i wyciągnął do niego ręce; a gdy Tadeusz, przenikniony najżywszem uczuciem, schylił się do jego kolan, stary usiadł na ławeczce, objął głowę jego obiema rękami i położywszy na niej twarz swoją, głośno i rzewnie płakał.

Gdy pierwsze wzruszenie przeszło, i Owsikowski uszczęśliwiony dowiedział się, że Tadeuszek na parę dni do niego tylko przybył, zajął się jego ulokowaniem, chodził jak zagorzały, kręcił się z kąta w kąt, jedno brał, drugie kładł, tak był kontent, tak pragnął, aby łóżko jego było wygodne, aby mu na niczem nie zbywało, aby takiego gościa, którego już tyloma łzami opłakał, uczcić w domu swym, jak jakiego królewicza. Wśród tego zakrętu, w czem mu żona i dwie córki, już słuszne i przystojne panny, całem sercem pomagały, nie zapomniał Owsikowski i o koniach Tadeuszka; obejrzał je zbliska, zadecydował, jakiej który rasy, miał nawet czas zajrzeć w zęby

obydwom i dowiedzieć się, czy którego nie trzeba przekuć lub sprawić. Samo przez się rozumie się, że podwójną wyznaczył im porcję. O Zacharku pamiętał także, gdyż zręczny i przytomny kozak od razu nadzwyczajnie mu się podobał.

Już od pani Owsikowskiej dowiedział się Tadeuszek o wszystkich szczegółach śmierci Widalskiej. We dwa lata po zniknieniu swojego chłopczyka, w żalu nieutulonym, nie dając się niczem pocieszyć, nie przyjmując żadnej perswazji, umarła biedna Widalsia w tym samym pokoiku, gdzie lat dziesięć była tak szczęśliwą, tak zajętą, tak nieraz zakłopotaną. Pani kazała jej sprawić przystojny pogrzeb i pochować na cmentarzu kościółka, który jest od nich o milę w małem miasteczku, gdzie ich parafia. Dowiedział się także, że pan Klemens przed półtora rokiem umarł we Włoszech, a rok temu, jak pani wróciła, i dotąd nie zdejmuje żałoby, i siedzi sama jedna, smutna, nigdzie nie bywa i nikogo nie przyjmuje; że panicza nie ma, został za granicą, i tam mu dużo dosyłają pieniędzy, ale, że co chwila spodziewają się go. — I Pan Bóg wie, co to u nas będzie, jak powróci — dodała pani Owsikowska z ciężkiem westchnieniem — bo to nowy pan, to zaraz i nowe sitko powiesi na kołku. A tem bardziej taki, co to, Panie odpuść, niepodobny ani do ojca, ani do matki, takie to złe, zawzięte i harde.

Wśród tego opowiadania, które często było przerywane, to szukaniem kluczów, to dyspozycją jeszcze jakiegoś dodatku do wieczerzy, to szeptem której córki, zasięgającej rady matki względem przeszewek

lub prześcieradła do łóżka gościa, to nareszcie gniewem pana Owsikowskiego, że się guzdrzą z kolacją, jak gdyby jakie marcypany lub francuzkie ciasta robili, miał czas nasz bohater i uronić łzę pobożną za duszę tej co z żalu za nim umarła, i westchnąć z przebaczeniem krzywdy za duszę człowieka, w którego domu przeszły mu najszczęśliwsze chwile jego życia. Te uczucia wdzięczności tak go usposobiły, że zapragnął obaczyć Rozalię i upaść jej do nóg, i byłby nawet rękę podał Hipolitowi, zapominając mu wszystkich cierpień, jakich stał się powodem.

Już była jedenasta, gdy się wieczerza skończyła. Pan Owsikowski zjadł prawda swoje jeszcze przed ósmą; ale, że cygan daje się wieszać dla kompanji, a Polak je dla kompanji tyle razy, ile razy się kompanja zdarza; że przytem pan Owsikowski doznanem gwałtownem wzruszeniem, hałasowaniem i krętaniną około przyjęcia swojego gościa, wygłodził się na nowo, usiadł więc do stołu, i całego kurczaka z sałatą, i talerz kopiasty pierożków z serem i z doskonałą śmietaną sprzątnął, jeszcze czyściej niż Tadeuszek, który kłusował od rana i prawie cały dzień nic nie jadł.

— No, idźcież wy teraz spać — rzekł Owsikowski do żony i do córek — a my z moim chłopcem jeszcze pogadamy.

Oddawszy więc dobranoc kobietom, poszli obaj do pokoiku, który mgnieniu oka całem ochędóstwem ubogich, ale serdecznie przyjmujących ludzi, był ozdobiony i przybrany. Tam gdy usiedli, rzekł stary,

gładząc wąsy i przypatrując się jeszcze pięknemu młodzieńcowi:

— Mój kochany Tadeuszku! co się tyczy nas, to mniej więcej wiesz; bo uważałem, że moja żona nie żałowała języka, i co wiedzieć mogła, powiedziała ci pewnie wszystko. Czego ci nie domówiła, to ja przy okazji dopowiem. Ale ty, ty mój drogi chłopcze, powiedz mi wszystko o sobie; gdzieś się podział od tego szelmy Radłowskiego? kto ci dopomógł dostać się do Krzemieńca, bo to tylko wiem, żeś tam się uczył? dokąd teraz jedziesz, i dla czego tak schudłeś, i twoje oczy, o których Widalska nagadać się nie mogła, tak jakoś jakby zapadły i od wielkiego smutku zagłębiły się? Pewnie rodzony ojciec nie kochałby cię więcej, jak ja cię kocham. Mów więc wszystko od szczerego serca.

Tadeusz ścisnął rękę poczciwego starca i zaczął opowiadanie swoich przygód od tej chwili, kiedy rządca wziął go za rękę, na folwark zaprowadził i do Mleczkowiec odesłał. W wielu miejscach tego opowiadania Owsikowski przerywał to westchnieniem i podniesieniem ócz do nieba, jakby dla pokazania, ile wierzy w Opatrzność, czuwającą nad każdą ludzką istotą; to uśmiechem, którym objawiał, że wie niektóre okoliczności, których niewiadomość trapiła młodzieńca; to wyrazem oburzenia i gniewu, gdy przyszło do sceny u księżny W*; to nareszcie oznaką czułości i wdzięczności dla tak dobrych i poświęconych ludzi, jak Maksym i jego rodzina. Gdy Tadeuszek opowiedział mu, dokąd jedzie, i jakie jego przeznaczenie, zafrasował się stary niezmiernie, zaczął

się przechadzać, naciągając siwe swe wąsy, i nareszcie rzekł:

— Ha! cóż robić! Mogło być daleko gorzej! Służba cię nie zastraszy, a kiedy będziesz miał opiekę generała, to ci powinno być dobrze. Zkąd jednak mu się wzięło, że się za tobą wstawił, i dał ci pieniędzy na drogę? Coś to w tem jest, to nie bez kozery. Bo choć to dobry człowiek, a już jaki dobry, to ci powiadam, że takich mało, żeby tak który jeździł, tak się znał na koniach, i tak lubił poczciwe stworzenia; ale nie idzie za tem, żeby zupełnie obcego chłopca w biedzie ratować, a jeszcze z tak daleka. — Aj! poczekaj! jestem w domu! — dodał Owsikowski, klasnąwszy w palce — już to nie inna musi być przyczyna, jak ta; rychtyk ta, że ciebie tu widział, kiedyś był dzieckiem, i że mu nasza pani musiała coś o tobie szepnąć. Bo on był szczególnym przyjacielem naszych państwa, a szczególniej pani, którą szanował, tak jak i wszyscy ją szanują, którzy ją znają, bo to święta kobieta. Trzeba, Tadeuszku, żebyś jutro do niej poszedł; ona ciebie bardzo żałowała, kiedyś przepadł tak, żem cię znaleźć nie mógł; a najeździłem się z jej rozkazu dosyć.

— Z jej rozkazu? — zapytał Tadeuszek ze ściśnionem sercem. Tu Owsikowski opowiedział mu całą wyprawę, nie zapomniawszy dodać, że pieniądze, które mu dała, użyte zostały na edukację jego syna, że mu pani co roku w tem dopomagała, i teraz wysłała go zupełnie swoim kosztem do Kijowa, do otwierającego się właśnie uniwersytetu.

— I wszystko to — dodał stary z rozrzewnieniem

i biorąc za rękę bohatera naszego — nie za moje zasługi; bo jaka tam u licha moja zasługa może być w jej oczach, kiedy nawet nie wie, ile koni mamy w stajni, ale za to jedynie, żem ciebie kochał.

Młody człowiek zamyślił się, potarł ręką szerokie swe czoło, potem zapytał:

— Panie Cyprjanie! gdym wspomniał o tem, żem odbierał co kwartał w Krzemieńcu sto rubli z Odessy, uśmiechnąłeś się. Musisz wiedzieć, od kogo pochodził ten zasiłek.

— Alboż się nie domyślasz? — odpowiedział stary — od niej, od niej, mój kochany Tadeuszku! Przyjechał tu raz Maksym z listami od hrabiny, roku... ot, do djabła zapomniałem!

— Czy nie 1829? — poddał mu Tadeuszek.

— Rychtyk 29go, tak jakoś po żniwach — mówił dalej Owsikowski. — Wieczorem pani zawołała mnie i z taką twarzą uszczęśliwioną, jak gdyby jej kto sto tysięcy darował... tylko tfu! co dla niej sto tysięcy! Dość, że jak gdyby nie wiem co się stało. mówi mi, że się dowiedziała, żeś ty się znalazł, wyrósł, i uczysz się w Krzemieńcu. Ja naturalnie krzyknąłem z radości, nie zważając, że to przy pani. Ona kazała mi być cicho, i nikomu, co się zowie, ani słowa o tem nie pisnąć. Potem dała mi list do Odessy, w którym było sto rubli, kazała odwieźć na pocztę do Hajsyna, i ztamtąd wyprawić, Dla tego — mówiła mi — proszę cię, Owsikosiu, żeby ś to sam załatwił i aż przez Odessę posyłam te pieniądze Tadeuszkowi, żeby się pan nie dowiedział, który na niego ciągle zagniewany, i mógłby mi zakazać

wspierać tego biednego sierotę, a i na ciebieby się rozgniewał, że mi w tem pomagasz. — Ja naturalnie zrobiłem wszystko pod największym sekretem, i potem przez pięć kwartałów woziłem jeszcze dla ciebie po sto rubli, aż póki się wszystko nie urwało! — dodał stary, machnąwszy ręką i z ciężkiem westchnieniem.

Tadeusz najrozmaitszemi uczuciami miotany, przechadzał się po pokoju, tarł ręką czoło, wzdychał, zatrzymywał się pogrążając się w myślach, to znowu zaczynał prędko chodzić, mrucząc: — Nie, nie, to być nie może! — Stary patrzył na niego długo w milczeniu; nareszcie, przystępując do zdziwionego i jakby wychodzącego ze snu młodzieńca, zapytał:

— Co tobie, Tadeuszku?

— Nic, nic, panie Cyprjanie — odpowiedział młodzieniec, biorąc jego rękę — dziękuję ci za te wszystkie wiadomości, których mi udzieliłeś. Niemało już trudziłeś się dla mnie, a chciałem cię jeszcze o jednę łaskę prosić.

— Czyż wątpisz, że zrobię wszystko co tylko zechcesz?

— O bynajmniej — odpowiedział młodzieniec. — I nie jest to rzecz tak bardzo trudna. Trochę fatygi, kilka mil drogi, nic więcej. Zrobiłem dwie obietnice, które dla serca mego są święte, a sam nie mam czasu przyprowadzić ich do skutku. Od razu pomyślałem, że nie kto inny je dokona, jak ty panie Cyprjanie, którego serce znam i od którego tyle dowodów przywiązania odebrałem.

— Przyrzekam ci najsolenniej — odpowiedział stary, patrząc w oczy młodzieńcowi, którego ton mowy i

postać cała były dziwnie uroczyste i przenikające. — Tylko nie mów takim tonem, bo jużciż nie żegnamy się na wieki. Niechże Bóg uchowa, żebym cię już nie miał obaczyć! Bo wprawdzieć jam już stary, ale mam nadzieję, że sobie wyproszę jeszcze tyle lat, żebym cię widział z oficerską szlifą, i z wolnością wyjścia ze służby i wrócenia do nas.

Młody człowiek uśmiechnął się melancholicznie na te słowa, kiwnął nieznacznie ręką, jak gdyby chciał powiedzieć, że to niepodobna, i rzekł:

— W kilku słowach powiem ci, o co cię proszę. Najprzód chciałbym, abyś na tej dolinie, gdziem siedział i rozmawiał z bratem Leonem, postawił krzyż na pamiątkę; a powtóre, abyś na grobie mojej drogiej Widalsi kazał położyć kamień, którego pewno nie ma. Pieniądze na to wszystko i napisy, jakie mają być na kamieniu i na krzyżu, zostawię ci. Także proszę cię, abyś jutro o godzinie szóstej rano kazał zaprządz do wózka i pojechał ze mną do miasteczka. Chciałbym Mszy wysłuchać i pomodlić się tam, gdzie spoczywa to serce, co mnie tak kochało i dla mnie pękło.

To powiedziawszy usiadł, zakrył oczy i rzewnie zapłakał. Owsikowski patrzył na niego rozrzewniony kiwając głową, ale milczeniem uszanował te łzy pobożne, które z ócz jego płynęły. Po niejakim czasie Tadeusz powstał, uściskał starego przyjaciela swego prosząc, aby szedł już spać. Poszedł więc Owsikowski, ścisnąwszy rękę młodzieńca, ale smutny i oglądając się, jakby coś złego przeczuwał, a Tadeusz rzucił się na łóżko, jak był ubrany, i tak leżał pogrążony

w myślach, aż póki dzień nie błysnął w oknie i nie wszedł koniuszy, dając znać, że bryczka już gotowa. W godzinę potem stanęli przed kościółkiem parafji. Był to budynek drewniany, już cokolwiek pochylony i mały. Zdobiły go tylko wielkie lipy, wśród których się wznosił i które ocieniały krzyże i mogiły na otaczającym go cmentarzu. Gdy dojeżdżali, sygnaturka ogłaszała Prymarję na którą zbierali się pobożni w małej bardzo liczbie. Tadeusz wszedł prosto do kościółka, ukląkł w tem samem miejscu, gdzie tyle razy obok Widalsi klęczał i gorąco się modlił. Po Mszy prosił Owsikowskiego, aby go do mogiły kochanej opiekunki jego zaprowadził, dodając, że mu właśnie wśród Mszy przyszedł napis bardzo krótki i prosty, ale malujący jego stan i uczucia. Owsikowski uśmiechnął się i szedł przodem, wśród grobów zarosłych trawą i chwastem, wśród pochylonych krzyżów drewnianych i sterczących gdzie niegdzie skromnych pomników kamiennych. Nareszcie przyszli do jednego miejsca, gdzie się kilka drzew grupowało, formując jakby wysokie sklepienie przez wiążące się w górze gałęzie. Tam stał ładny marmurowy grobowiec, prosty co do form, ale mający na swych bokach napisy, które zwróciły uwagę Tadeuszka i jeszcze bardziej otwarły mu oczy. Był to grób Widalskiej. Świadczyły to napisy. Jeden oznaczał jej imię i nazwisko, datę urodzenia i śmierci; drugi, złoconemi literami na przeciwnej stronie wyryty, zamykał słowa następujące: „Dobra, prosta, pobożna. Cudze dziecię kochała sercem matki. Straciwszy je, umarła z żalu. Boże! zbaw jej duszę i

nagrodź miłość niezmierną". Na frontowej stronie podłużnego grobowca, wznoszącego się na trzech: schodach marmurowych, był krzyż prosty z emblematami śmierci, a na stronie przeciwległej napis: „Pomnik ten niewygasłej wdzięczności postawiła R. G. r. 1832".

Tadeusz zdziwił się najprzód niezmiernie, znalazłszy na grobie prostej i biednej kobiety pomnik tak kosztowny co do materjału i tak piękny co do wyrobienia. Gdy go obszedł w milczaniu i wszystkie napisy przeczytał, ukląkł pobożnie i długo się modlił. Owsikowski, zmówiwszy pacierz klęczący, powstał. oparł się o drzewo, i patrzył z rozrzewnieniem na wdzięcznego młodzieńca. Po niejakim czasie Tadeuszek wstał także, obszedł jeszcze raz grobowiec, wszystkie napisy przeczytał na nowo, i stanąwszy przed ostatnim, który zawierał cyfrę tej, co pomnik postawiła, długo się w niego wpatrywał. Wtedy przystąpił Owsikowski i rzekł:

— Widzisz tedy, że kamień już niepotrzebny.

— Tak — odpowiedział młody człowiek z melancholicznym uśmiechem — uprzedzono mnie. Poczciwa moja Widalsia nie spodziewała się, że pod tak pięknemi marmurami spoczywać będzie. Jabym się na taką okazałość nie zdobył. Mój kamień byłby prosty. ale wyrażałby miłość dla niej samej. Te marmury świadczą o innej miłości, o innym żalu, a może wyrażają niewczesny wstyd, który chowa się tu na cichym cmentarzu biednego kościółka, do którego nikt taki nie zajdzie. przed którym niepięknie byłoby okazać miłość, lub żal objawić. O! mój ka-

mień byłby stosowniejszym. Pod nim byłoby lżej sercu, co mnie tak kochało. Te marmury ciężą pewnie tym poczciwym prochom, a może je nawet gniewają.

— Tadeuszku! co się tobie stało? — zawołał zadziwiony Owsikowski — dla czego mówisz z taką goryczą o tej najlepszej pani, co taką pamiątką uczciła pamięć wiernej i poczciwej sługi? Czyby to druga zrobiła? pewnie żadna. A choć może w części ty jesteś przyczyną, że postawić kazała ten grobowiec, jak i tego, że łoży na edukację mego chłopca, ale czyż to tobie może być przykrem, że ona pamięta o tych, którzy ciebie kochali?

— Nie zrozumiałeś mnie, kochany panie Cyprjanie — rzekł Tadeusz czerwieniąc się i biorąc rękę zasmuconego starca. — Myślałem zupełnie co innego i nie mogę ci nawet wytłumaczyć, co mi przyszło do głowy, gdym to mówił. Ale chodźmy. Ja muszę spieszyć. Chciałbym dziś jeszcze wyjechać.

— Dziś! — zawołał stary z żalem — obiecałeś przecie dwa dni zabawić. O! Tadeuszku! gdyby ona tam pod ziemią słyszała, że się tak odemnie wyrywasz, wierz mi, żeby się proch jej poruszył. Ona wiedziała dobrze, jak cię kochałem.

Tknięty do głębi serca młodzieniec, rzucił się na szyję Owsikowskiego i wołał płacząc:

— Zostanę, zostanę!

Wracali jednak milcząc. Owsikowski nie mógł skombinować, jakim sposobem z ust tak dobrego młodzieńca mogły być słowa tak dojmujące i prawie niewdzięczne; a bohater nasz, im bliżej był tej chwili,

którą w życiu swem za stanowczą uważał, tem bardziej się jej obawiał i w tem głębszem pogrążał się zamyśleniu. Wszystko to, czego się dowiedział o interesowaniu się Rozalii, o jej zamiarach wykradzenia go i ulokowania, o jej dobroci i szczodrem uposażeniu syna Owsikowskiego, potwierdzało jego domysły, że nie komu innemu winien życie, tylko jej, i że przeczucie, które go do niej tyle razy ciągnęło, nie było daremnem i kłamliwem. Widok grobowca Widalskiej prawie go przekonał, że tak jest, a nie inaczej, że matka tylko i matka grzeszna, która dla bojaźni świata zaparła się swego dziecka, mogła odpłacać tym sposobem popiołom dobrej sługi tę miłość, jakiej sama okazać nie śmiała. Biedny młodzieniec znalazł się wokropnem położeniu. Nieprzezwyciężony głos natury ciągnął go do nóg tej kobiety, pod której sercem leżał, a wspomnienie tylu okoliczności, w których zdawała się obojętną na jego krzywdę, na jego tułactwo, w których, zapierając się go, chybiała najświętszemu dostojeństwu kobiety, i obrażała majestat macierzyństwa, napełniało go goryczą i odpychało od niej jego serce. W takich walkach przebył całą drogę od kościoła do domu. Gdy się bryczka przed drzwiami zatrzymała, wybiegła pani Owsikowska, uwiadamiając męża, że pani, dowiedziawszy się, że Tadeuszek przyjechał, że sześć razy przysełała, aby do niej zaraz z nim przyszedł. Owsikowski widząc, że młody człowiek ma oczy spuszczone, zasępione czoło, jakby nie miał ochoty stanąć na to wezwanie, wziął go pod rękę i poprowadził z sobą do pałacu. Tadeuszek nie opierał się, ale był blady, drżący, le-

niwo postępował, tak mu widać było ciężko wyrzec się tego szczęścia, które przeczuwał, i stanąć przed tą kobietą, która mogła jednem słowem je zniszczyć, jednem spojrzeniem wtrącić go napowrót w tę mgłę niepewności, z której zdawał się wychodzić.

Zastali Rozalię w gabinecie, od którego drzwi do jej sypialnego pokoju były otwarte. Była w czarnej sukni, w czarnym czepeczku na głowie. Siedziała przy biurku, nad którem wisiał portret pana Klemensa, i pisała; ale widać, że pisała coś takiego, co ją mocno zajmowało i wzruszało, bo nie słyszała jak weszli; w lewej ręce jej była chustka, którą co moment przytykała do oczu. Dopiero gdy Owsikowski chrząknął, obejrzała się prędko, rzuciła pióro, zasunęła pismo swe pod papiery i powstawszy, chciała postąpić naprzód; ale gdy uczuła, że jej sił zabraknie, zatrzymała się na miejscu oparła się o stół i tak przypatrywała się młodemu człowiekowi, na którego bladem licu wybiły się wszystkie jego nadzieje i trwogi. Rozalia była niezmiernie blada, oczy jej zachodziły łzami, a ręce widocznie drżały. Tadeusz drżał jak liść, patrząc na tę postać pełną powagi i świętości, na tę piękną twarz, na której widział wyraz przywiązania, dobroci i jakby niemą prośbę, aby jej przebaczył, że się z całą miłością swą wydać nie śmiała. Chwila ta przeszła na milczeniu, bo wszystko co w sobie zawierała, skupiwszy się razem w sercu, zatamowało ich głos i w żadnym słowie zmieścić się nie mogło. Przenikniony do głębi duszy młodzieniec, zapomniał o wszystkich wymówkach, jakie miał już na ustach, gdy na próg tego domu wstę-

pował; ciągniony nieprzepartą siłą, ośmielony potężnym głosem, który w sercu jego przemawiał, chciał uprzedzić pierwsze jej słowo, pierwsze poruszenie, i rzucając się jej do nóg, zawołać: — Matko! nie odpychaj mnie! — Ale Rozalia przyłożyła nagle chustkę do oczu, z których rzewne łzy trysnęły, chwyciła go za rękę i pociągnęła do swego pokoju drzwi za sobą zatrzasnęła. Owsikowski został sam, dziwiąc się temu co widział, i kombinując wszystkie okoliczności, które mu były wiadome. Po niejakim czasie zdało mu się, że usłyszał mocniejszy głos Tadeuszka, a potem płacz i jakby szlochanie Rozalii. Potarł więc czoło stary koniuszy, pokiwał głową, spojrzał na portret pana Klemensa i machnąwszy ręką, wyszedł.

W parę godzin potem wrócił Tadeusz. Na twarzy jego nie było już zasępienia, nie było smutku; jakiś tylko melancholiczny wyraz, który okazywał wewnętrzne uszczęśliwienie z obecnej chwili, ale mało nadziei na przyszłość. O rozmowie swojej z Rozalią nie mówił ani słowa, i poczciwy koniuszy, widząc oczy jego zapuchłe od płaczu, zapytać go nieśmiał. Wieczorem znowu bohater nasz widział się z Rozalią i przebył u niej do późnej nocy. A gdy wrócił i zastał Owsikowskiego na ławeczce, w oczekiwaniu jego powrotu, rzucił mu się na szyją, i z synowską miłością uściskawszy, oddał mu tylko dobranoc. Rozłączyli się więc znowu bez żadnej rozmowy, a nazajutrz koło godziny szóstej rano, stał Owsikowski na trakcie wiodącym do Humania; dzielny koń na którym siedział, niecierpliwił się i grzebał ziemię

kopytem, a stary kawalerzysta, to pociągając wąsy, to ocierając oczy, zabiegające łzami, patrzył ciągle na dwóch jeźdźców, którzy już byli dość daleko i szybkim oddalali się krokiem. Wkrótce już tylko słup kurzawy, wzbity kopytami koni, oznaczał, w którem znajdowali się miejscu. Po niejakim czasie znikł i ten tuman i na polu zrobiło się pusto i głucho. Wtedy łzy puściły się z ócz starca strumieniem. Zawołał on głośno: — Bądź zdrów! bądź zdrów mój drogi chłopcze! — i zwróciwszy nagle konia, spiął go silnie i puścił się takim pędem, iż się zdawało, że o sędziwych swych latach zapomniawszy, śmiertelnego wroga ścigał lub przed jakiem nieszczęściem uciekał.

IV.

W tydzień po rozstaniu się z przyjacielem swego dzieciństwa i miejscem swego wychowania, bohater nasz znajdował się w sali audjencjonalnej, poprzedzającej pokoje generała, gdzie go oficer ze sztabu przyprowadził i szepnąwszy parę słów adjutantowi, czekać rozkazał. Już więcej jak godzinę siedział tam Tadeusz, to rozmyślając o dalszem swem przeznaczeniu, to wyglądając, aż się otworzą drzwi i hrabia się ukaże, to rzucając wzrok obojętny na rozmaite figury, które się już w sali znajdowały, lub co chwila wchodziły, oczekując także audjencji. Chociaż sala stawała się coraz pełniejszą, panowała tam prawie zupełna cisza. Czasem tylko dało się słyszeć chrząknienie szlachcica, który przyszedł ze skargą,

lub kaszel starego oficera nizkiej rangi, który miał prośbę za mundurem, lub westchnienie żyda podradczyka, któremu się zdawało, że jeszcze mało zyskał, lub szept urzędnika z komisarjatu, który przed sąsiadem usprawiedliwiał się z niesłusznych zarzutów, lub poziewania adjutanta który się bawił żmudną swą służbą. W ciągu tego czasu głośniej i śmielej weszło do sali dwóch oficerów ze sztabu, jeden z portfelem pełnym papierów, a drugi z kartami geograficznemi. Ale i ci dowiedziawszy się, że generał nie ma czasu, pogadali przez chwilę z adjutantami cichym basem i usiadłszy, czekali w milczeniu, jak i inni. Potem głośniej jeszcze i jakby poufałej, wszedł w pełnym mundurze jakiś przejezdny generał, dla zameldowania się, powiedział z pewną impozycją parę słów adjutantowi, który natychmiast doniósł o jego przybyciu, i powróciwszy, wprowadził go do pokoju hrabiego. I potem znowu zrobiło się cicho. Każdy stał lub siedział, każdy myślał tylko o sobie, na sąsiada nie zważał, nikt się nie przechadzał i nie poruszał; sala zdawała się zaludnioną przez woskowe figury bez życia, tylko zegar głośnym taktem oznaczał pulsa uchodzącego dnia i ostrzegał wszystkich, że czas żyje i postępuje.

Godziny przedaudjencjonalne mają właściwą swoję fizjognomję i bardzo wyraźną artystyczno-moralną stronę. Potrafi ją uchwycić i zdoła się nią zabawić, ale tylko ten, kto nie przyszedł dla podania prośby, lub się nie spodziewa, że mu porządnie zmyją głowę. W takich bowiem razach, wszelkie filozoficzne usposobienie odpada i najbieglejszy obserwator opuszcza

uszy i radby jak ślimak wciągnąć swe różki i w swoją własną schować się skorupę. Bohater nasz z innych zupełnie powodów nie był usposobiony do robienia uwag. Serce jego było ściśnione i myśli jego były na przenian to w Kalinowie, to w domu Rozalii. A chociaż i on stawał tu jako żołnierz, naznaczony pod dowództwo tego, którego wszyscy oczekiwali, nie interesował go wszakże generał, komenderujący korpusem, ale człowiek, którego oblicze pragnął obaczyć, którego rękę do ust swoich chciał przycisnąć.

Nareszcie otwarły się drzwi i wyszedł hrabia. Był w surducie, rozpięty, bez szlif. tylko na szyi jego błyskał wysoki znak łaski i dostojeństwa, kosztownemi obsypany brylantami. Na twarzy jego nie było już tej czerstwości, którąśmy przed ośmiu laty widzieli. Cokolwiek wyłysiał, zupełnie osiwiał, wąsy jego straciły dawną barwę i przeszły w białorudawy kolor; ale czoło było równie jasne i gładkie, zęby zdrowe, usta z dawniejszym wyrazem pełnym uprzejmości i dobroci; słowem, całej tej postaci, jeszcze pięknej i silnej, nie ubyło nic z dawnej swobody i wytworności ułożenia; przybyło tylko więcej powagi i impozycji, którą wiek i siwa głowa koniecznie nadają.

Skoro hrabia wszedł i zatrzymał się przy swoich drzwiach, wszyscy powstali z uszanowaniem i uszykowali się tak, aby każdego mógł widzieć. Pożegnawszy najprzód generała, który mu się meldował, i który skłoniwszy się wyszedł, rzucił hrabia okiem po obecnych i dawszy znak jednemu z adjutantów,

który był przy nim, poszedł z kolei do wszystkich osób, mających różne żądania, zaczynając od dwóch starych oficerów, którzy wyprostowani przy drzwiach stali i których uprzejmem skinieniem głowy i łagodnym uśmiechem ośmielił. Audjencja trwała dość długo, gdyż hrabia z dziwną cierpliwością i wyrozumiałością słuchał próśb, zażaleń i usprawiedliwień się. A chociaż tam byli ludzie różnych stanów i nie wszyscy tłomaczyli się zwięźle i jasno, okazał się dla każdego sprawiedliwym, ludzkim i uprzejmym. Tadeusz napatrzeć się na niego nie mógł; serce jego biło gwałtownie i pociągało go ku szlachetnemu i pełnemu godności człowiekowi, z którym tak święty łączył go związek. I gdy się hrabia do niego zbliżył, podniósł on ku niemu oczy z tym wyrazem, który malował wszystkie uczucia, jakich w tej chwili doświadczał. Zastanowiło to hrabiego, przyglądał się dorodnemu i pięknemu młodzieńcowi, jakby sobie chciał przypomnieć, że go kiedyś widział. Po chwili dopiero obrócił się do adjutanta z miną zapytującą. Ten przystąpił z uszanowaniem, objaśniając, że to jest młodzieniec skazany przez sąd wojenny Dubieński do służby wojskowej z awansem, którego jaśnie wielmożny generał za przybyciem do głównej kwatery, kazał sobie przedstawić.

— A! — odpowiedział hrabia, kiwnąwszy głową na znak, że już wie o co idzie, i spojrzawszy raz jeszcze na zdziwionego takiem przyjęciem Tadeusza, przystąpił do innych osób, które za nim stały. Zaspokoiwszy żądanie każdej, chociaż z widocznem już słuchał ich roztargnieniem, dał znak oficerom ze

sztabu, z których jeden trzymał w ręku portfel, a drugi karty geograficzne, aby się za nim udali i powrócił do swego gabinetu, cokolwiek zamyślony i trąc palcami szerokie swe czoło.

I znowu w sali zrobiło się pusto i cicho; adjutanci tylko ziewając, rozsiedli się wygodnie na kanapie, zegar oznaczał głośno każdą sekundę, a bohater nasz czekał. W godzinę dopiero, której trwanie rozmierzy każdy z czytelników, jeśliśmy go losem i położeniem biednego Tadeuszka zająć zdołali, wyszli obaj oficerowie z gabinetu swego naczelnika, a jeden z nich, kiwnąwszy na oczekującego młodzieńca, uwiadomił go, że mu generał wejść rozkazał.

Z biciem serca, które łatwo pojąć, obaczył się on w okazałym salonie, z którego drzwi do gabinetu były otwarte. Tam ujrzał generała, siedzącego przy wielkim stole, który stał na środku pokoju. Po bogatym kobiercu salonu i zielonem suknie, którem cały gabinet był wyłożony, przybliżył się Tadeusz cicho i drżąc od wzruszenia. Po chwili hrabia odsunął papiery, które odczytywał, odwrócił krzesło i wziąwszy w rękę długi antypkowy cybuch z ogromnym bursztynem, wsparł lewą rękę na poręczy krzesła, łokieć prawej na stole, i puszczając delikatnie wonny dym doskonałego sułtańskiego tytuniu, przypatrywać mu się zaczął. Młody człowiek, który słuchając natchnienia serca, chciał zacząć od rzucenia mu się do nóg, tak się zmięszał tą postawą obojętną i niespodziewaną, że spuściwszy oczy stanął w milczeniu, oczekując co mu powie. Po niejakim czasie generał, nie przestając palić fajki, ale głosem

łagodnym i jakby żartobliwym, rzekł wyborną i dźwięczną polszczyzną:

— Cóż, młodzieńcze! nabroiłeś, teraz musisz pokutować. Jeszcze to twoje szczęście, żem się w porę o twojem położeniu dowiedział, i zdołał moim wpływem i staraniem los twój złagodzić. A choć nie wszystko zatwierdzono tak, jakem sobie życzył, potrafię jednak i zdaleka nad tobą czuwać, byleś tylko umiał zasłużyć na względy tych, pod czyją komendą będziesz. Czegożeś się zasępił? — dodał, puszczając dymek — czyś niekontent z tego co mówię? Gdybym się był w tę rzecz nie wdał, byłoby daleko gorzej.

— Panie generale! — odpowiedział Tadeusz, jakby z jakiego snu ocucony — wiem o tem, że wyrok mój byłby zupełnie inny, gdyby nie wstawienie się i łaska pana generała, którą umiem czuć i ocenić. Darujesz jednak, panie generale, że nie przestając na tych dobrodziejstwach, które odebrałem, śmiem zaraz prosić o nowe.

— Czy nie chcesz naprzykład — rzekł hrabia uśmiechając się — abym cię od razu zrobił swoim adjutantem? Mój kochany! tego nie mogę, choćbym chciał.

— Nie, panie generale! — odpowiedział młody człowiek ze ściśnionem sercem. — Chociaż mam dopiero dwudziesty rok życia, ale puszczony od dzieciństwa na los szczęścia i o własnych siłach, nabyłem więcej doświadczenia, niż inni w tym wieku mieć go mogą. Dla tego wiem dobrze, że pan generał zro-

bić tego nie możesz, a nawet choćbyś mógł, tobyś nie chciał.

Generał spojrzał na niego bystro, ale w tem spojrzeniu nie było ani gniewu, ani obrazy.

— O cóż tedy prosisz? — zapytał po krótkiej przerwie głosem, który widocznie zadrżał.

— Wiem, że w pierwiastkowym dekrecie — odpowiedział Tadeusz, ochłonąwszy już z pierwszego wzruszenia — przeznaczony byłem do korpusu, który ma szczęście mieć pana generała swoim wodzem. Pan generał raczyłeś wspomnieć, że wyrok ten cokolwiek zmienionym został, i że mam służyć gdzieindziej. Nie wiem dokąd mnie naznaczono, ale będę to uważał za dobrodziejstwo ze strony pana generała, jeżeli mi pozwolonem będzie służyć na Kaukazie.

Generał postawił fajkę, spojrzał na bohatera naszego z ukontentowaniem i dumą, i rzekł:

— Dla pewnych względów, o których ci nie potrzeba wiedzieć, interesuję się tobą, młodzieńcze; dla tego chciałem cię mieć pod swoją komendą. Gdy mi się to nie udało, pozwoliłem ci stanąć przed sobą, aby ci oznajmić twój wyrok i ze sposobu jakim go przyjmiesz, wnieść, czyś wart był mego interesowania się. Teraz widzę, żeś kilkanaście lat przeżył nie napróżno, że masz głowę, serce i odwagę. Cieszę się z tego i uwiadamiam cię, żeś przeznaczony na Kaukaz.

To powiedziawszy, wyciągnął do niego rękę, którą Tadeusz z uczuciem ucałował. Hrabia wstrząsł się od tego dotknięcia ust pięknego młodzieńca, usunął rękę, jakby się bał okazać mu więcej współ-

czucia i wziąwszy znowu cybuch, który mu widać dla kontenansu służył, mówił dalej z powagą:

— Masz więc przed sobą zawód chlubny, który cię prędko pokierować może, tem bardziej, że ci awans pozwolonym został. Ale musisz i to wiedzieć, że tam kule latają gradem, że Czerkiesi strzelają bardzo trafnie. Jakiż miałeś powód prosić o to sam, od czego się inni wypraszają?

— Pan generał wiesz bardzo dobrze — odpowiedział Tadeusz z mocą i przyciskiem — że nie mam nazwiska, nie mam żadnego stanu, żadnej przyszłości mieć nie będę, jeżeli jej sobie sam nie wyrobię. Obowiązkiem jest moim, choćby kosztem życia, starać się i otrzymać to, o czem mój ojciec nie pomyślał wcale. Bezimienność jest gorszym ciężarem niż nędza. Kładzie ona piętno odrzucenia na licu biednej istoty, wywołanej do życia bez świętego upoważnienia i pisze na jej czole wstyd rodziców, który wszyscy szydząc czytają. A wstyd rodziców, panie generale, gorzej boli niż kula Czerkiesa.

— Czy znasz swoją matkę? — zapytał wówczas generał, spuszczając oczy, jakby nie śmiał ich podnieść na młodzieńca, którego słowa przeniknęły go do gruntu duszy.

— Znam i mego ojca, panie generale! — odpowiedział Tadeusz — a ten list mojej biednej matki, której żywot męczeński tyle łez mi wycisnął, poświadczy zapewne, żem na to zasłużył, aby i mój ojciec inaczej się ze mną obszedł.

Generał porwał się z miejsca, rumieniec okrył jego twarz, w oczach jego błysnęło uczucie, wziął

list Rozalii z rąk drżącego młodzieńca i tylko co go chciał rozpieczętować, gdy nagle za ścianą dał się słyszeć silny i piękny sopran, który wyciągał jakąś arję Rossiniego. Dźwięk ten zmienił postanowienie i wyraz twarzy generała. Położył list na stole, zaambarasował się, zdawało się, że się zawstydził w obliczu młodzieńca, który z niego nie spuszczał oka i obejrzawszy się niespokojnie na zasłonę, która widać zakrywała drzwi do dalszych jego pokojów, rzekł prędko:

— Idź teraz, idź. Jeszcze się obaczymy. Za parę dni pojedziesz. Wyprawię cię sam, opatrzę twoje potrzeby i dam ci listy rekomendacyjne. Spodziewam się, że tę bezimienność, którą mi z taką goryczą postawiłeś przed oczy, uzacnisz męztwem i walecznemi czynami uszlachetnisz. Ze wszystkiego widzę, że tej nadziei mojej nie zawiedziesz. Jak zostaniesz oficerem, będziesz miał i nazwisko, o które prosić będę monarchę, i który mi tej łaski nie odmówi, jeżeli do moich zasług przyłączysz i własne. A teraz uściskaj mnie, drogi chłopcze! kontent z ciebie jestem!

— Ojcze mój! — krzyknął Tadeusz w uniesieniu i rzucił się w otwarte ramiona generała. Hrabia przycisnął go silnie do swoich piersi, potem schylonego do swoich kolan pobłogosławił, a gdy młodzieniec rozmarzony i nie wiedzący prawie, co się z nim dzieje, powstał, spostrzegł we drzwiach gabinetu poważną postać pana Grodnickiego, który o każdej porze do generała bez meldowania się wcho-

dził, a teraz na ojca i na syna z rozrzewnieniem spoglądał.

— Kochany Grodnicki! — rzekł wówczas hrabia, ocierając oczy z łez, których się przy przyjacielu nie wstydził. — Dobrze, żeś nas tu zszedł. Patrz, zwalczył mnie ten młodzik, zgromił, zawstydził i do łez przyprowadził. Weź go do siebie, nim go wyprawimy. Ja tam jeszcze dziś do was przyjdę, bo mi się spodobały jego reprymendy, które mi tu dawał. Dziękuję ci serdecznie przyjacielu, za to wszystko coś dla mnie i dla niego zrobił. Ale idźcie już. Słyszałem głos księżnej, nie chciałbym żeby go widziała.

Doktor uśmiechnął się, wziął za rękę Tadeusza, którego ojciec jeszcze raz pocałował w czoło, i wyszli.

We dwa dni potem, przed kwaterą doktora Grodnickiego stała wygodna i porządna bryczka; rzeczy już były upakowane, wszystkie papiery, listy i pieniądze na dalsze swe utrzymanie miał już Tadeusz przy sobie; pieniądze na drogę były w torbie podróżnej podoficera od żandarmerji, który miał bohaterowi naszemu towarzyszyć, i któremu generał sam dał instrukcje i polecenie, aby nad młodym człowiekiem czuwał, jako nad jego krewnym, i we wszystkiem był mu pomocnym i posłusznym. Zacharko, który w żaden sposób nie chciał pana swego odstąpić i którego generał widział, za wierność i przywiązanie pochwalił i szczodrze obdarzył, stał już także przy bryczce: czekano tylko na konie pocztowe, które za pół godziny przyjść miały. Tymczasem Ta-

deusz, pożegnawszy ojca, chodził sam po pokoju, i oczekując, aż zadzwoni chwila udania się tak daleko, na długo, a może i na zawsze, od tych wszystkich, których kochał, tłumił łzy, które mu się do ócz naciskały, i ostatnie jeszcze pożegnanie do Kalinowa przesełał. Wtedy wszedł pan Grodnicki, i oddał mu list, który pod swoim adresem z poczty odebrał. Rzucił okiem młody człowiek na adres i krzyknął uradowany. Rozpieczętował prędko i czytał drżąc, a łzy potokiem z ócz jego płynęły. Był to list Anny i w nim drugi od Józia. Pierwszy zamykał następujące słowa:

„Kochany Tadeuszku! piszę na los szczęścia i w wielkiej niepewności, czy cię list mój dojdzie i kiedy cię dojdzie. Nie mogłam jednak przemódz na sobie, aby cię zostawić w tym stanie rozpaczy, której ślad wyraźny w liście twym, z Białobrzyniec pisanym, wyczytałam. Nie niosę ci wprawdzie stanowczej pociechy, bo los twój, tyloma okolicznościami skrępowany, zależy od tak powikłanych trudności, że ciężko spodziewać się prędkiego ich rozwiązania; ale przynajmniej poznasz, żeś słusznie nas ocenił, iż pokochałeś serca takie, które umieją odpłacać miłością, żeś się poświęcił dla istoty, która poświęcenia twego była godną. Od dawna już, drogi Tadeuszku, przeznaczyłam was w duszy mej dla siebie. Ale byliście oboje zanadto młodzi, abym mogła była dawać wam poznać moją myśl i gorące serca mego życzenie. Kochałam cię zawsze jak matka, i im więcej rosłeś i rozwijałeś się, im więcej znajdowałam w tobie podobieństwa do mego drogiego męża,

któremu winnam szczęście całego życia, tem mocniej byłam przekonana, że ty tylko zapewnisz mojej córce taki spokój, taki byt błogosławiony, jakiego ja kosztowałam, i jaki jest dotąd moim udziałem. Los chciał inaczej; wyrwał cię z naszego łona, pogłoską o twojej śmierci skrzywił nasze zamiary, zaplątał cię w trudności, z których niech cię Bóg wyprowadzi, aby się one znowu sprostowały, aby wszystko wróciło do tego planu, jaki ja w ciszy macierzyńskiego serca, w kościele i przed Bogiem układałam. Bo to wszystko jeszcze być może, mój drogi Tadeuszku; bo dowiedz się, że Sabinka, chociaż czuje serdeczną przyjaźń dla zacnego człowieka, którego już była narzeczoną, odesłała mu jego obrączkę, prosiła aby o niej przestał myśleć, że dla ważnych powodów, od których przeznaczenie życia jej zależy, żoną jego być nie może. To są jej własne słowa, które zdają się dowodzić, że w sercu jej jest coś więcej dla ciebie, niż przywiązanie siostry. Nie oddawaj się więc rozpaczy, dopełnij przeznaczenia swego tam, gdzie cię teraz okoliczności postawiły; dopełnij go z takiem męztwem, z taką odwagą i wytrwałością, jakiej dałeś dowody, gdyś był dzieckiem, opuszczonem od wszystkich i w Bogu tylko i we własnych siłach ufającem. Błogosławię cię jak matka; daj Boże! abym cię wkrótce do serca mego przycisnęła zdrowym, z zapewnioną przyszłością, z przekonaniem, że i dla ciebie Bóg nie zamknął wszystkich dróg do życia i szczęścia ziemi, na które sercem szlachetnem i kochającą duszą zasługujesz. Mój mąż ściska cię z całej duszy i potwierdza wszystkie moje słowa, Józio pisze

list osobny, a Sabinka, która teraz znacznie spoważniała, pilniej pracuje i częściej zamyśla się, nic nie wie, że do ciebie piszemy. Pojmujesz to, mój drogi Tadeuszku, dla czego jej o tem nie wspominaliśmy. Możemyż wpływać na jej postanowienie? tybyś sam tego nie chciał. Niech Bóg rządzi jej sercem i daje mu natchnienia, z wolą jego świętą zgodne! Bywaj zdrów raz jeszcze! jeżeli list ten otrzymasz, donieś którędy i jak do ciebie pisywać? Nie zdaje mi się, abym i później miała coś takiego do doniesienia, coby cię mogło zasmucić, odebrać energję, jakiej potrzebujesz i przyprowadzić do takiego stanu w jakim cichy domek nasz, gdzie cię wszyscy z miłością wspominają, opuściłeś".

List Józia był jeszcze dłuższy; zamykał więcej szczegółów o rodzicach, o Sabince, o jej zajęciach i sposobie, jakim o nim mówi, i jak go wspomina, o ich życiu w ogólności i tęsknem oczekiwaniu najprzód jego listu, a potem powrotu. Serce i przyjaźń poczciwego chłopca malowały się w każdem słowie i ze wszystkiego Tadeuszek mógł wnieść, że chociaż to była partja, dla tak ubogiej panienki, jak Sabinka, prawie świetna i pod wszystkiemi względami, i rozumu, i charakteru, i majątku pożądana, nie żałują jej jednak, i wszyscy z serdeczną radością Tadeuszka powitają, gdy do nich wróci i świętszemi jeszcze węzłami, niż dotąd, z domem ich połączonym zostanie.

Łatwo wnieść, co się działo w sercu bohatera naszego, gdy te listy odczytał. On, niedawno sierota opuszczony, szukający myślami po świecie daw-

ców swego życia, znalazł ojca i matkę, do których całą duszą przylgnął, wszystkiemi zasobami miłości, które się w sercu jego przez dwadzieścia lat zbierały, pokochał; on, przed którym niedawno dzień i noc stał obraz kochanki, w ślubnej sukni, z wieńcem na głowie, podającej rękę innemu; który dla tego prosił się na Kaukaz i w tej myśli tam dążył, aby szukać niebezpieczeństwa i w zaciętym boju znaleść nie chwałę, nie awans, ale koniec swej męczarni, dziś pojedzie tam z nadzieją, że śmiałość i męztwo dadzą mu nazwisko, że tem nazwiskiem zdobytem wśród gradu kul i szczęku oręża, będzie mógł okryć tę, co czeka na niego z miłością, co go uśmiechem szczęścia powita, i ziści wszystkie marzenia, któremi się w snach młodzieńczych kołysał. Podziękowawszy Bogu za te wszystkie dobrodziejstwa krótką, ale gorącą modlitwą, usiadł Tadeuszek i odpisał Annie te słowa:

„Najdroższa pani! matko i opiekunko moich lat dziecinnych! dziękuję ci ze łzami w oczach za te słowa pociechy, przez które wróciłaś mnie do życia. Twoje serce zgadło, że rozpacz była w mej duszy i pędziła mnie tam, gdziem miał znaleść prędki koniec dni, które mi się zdały niepotrzebnemi na ziemi. Dziś czuję, żem nie zasłużył na tyle radości, ile jej Bóg wlewa w to serce, co zgrzeszyło zwątpieniem. Dowiedz się, najdroższa pani, żem znalazł matkę i ojca. Domysły moje sprawdziły się. Znasz je, bośmy o tem mówili; ale tego nie wiesz, że czczę i kocham tę biedną męczennicę, co mi dała życie, a o której przywiązaniu wątpiłem; że kocham

i pysznię się tym ojcem, pod którego skrzydłem i opieką jadę teraz na Kaukaz, aby prędzej wysłużyć szlify, a z niemi nazwisko, któregom nie miał. i stan, który mi da prawo rządzić swoją osobą. A potem będę mógł wrócić pod waszą szczęśliwą strzechę, wrócić z miłością syna i zyskać tam, u nóg waszych, wszystkie do tego tytułu prawa. O! Bóg dobry, i świat ten piękny i cudny! Daruj mi, droga pani, jeżeli czego nie zrozumiesz, com tu napisał. Bóg widzi, ile uczuć zalewa moje serce, jak tłumnie zbiły się wszystkie myśli w to jedno wyobrażenie, że ta, którą od dzieciństwa kochałem, dla której chciałem umrzeć i byłbym pewnie umarł, może być jeszcze moją. Klękam teraz przed tobą, droga pani, i przysięgam ci, że się stanę godnym tego skarbu, któryś mi przeznaczyła. Z tem postanowieniem ruszam w dalekie strony, i z odwagą, jaką we mnie słowa twoje wlały, zaczynam zawód, który mnie ma do nóg waszych doprowadzić, i da Pan Bóg! doprowadzi niezawodnie. A teraz żegnam cię, najdroższa opiekunko moja! Całuj odemnie ręce swego męża, uściskaj Józia, do którego napiszę już z miejsca. Córkę twoją żegnam tylko myślą, bo błagam cię na wszystko, nie mów jej o mnie; nie kieruj jej wolą, nie broń jej słuchać natchnienia serca. A jeśli ci powie: — matko! przyzwij tego, któremu raz już byłam przeznaczoną — przyzwij go, zaklinam cię na najświętsze obowiązki, jakie matka ma dla swego dziecka! O mnie wówczas nie myśl; dla mnie dość szczęścia, jakiego teraz doznaję, i w które zaledwie wierzyć mogę, tak jest wielkie, tak niespodziewane!

Listy wasze przysełajcie pod tym samym adresem, pod jakim ten odebrałem, a dojdą mnie, gdziekolwiek będę. Wszystko o was interesować mnie będzie. A nawet... Ale nie, o tem tylko jednem, droga pani, gdyby się stało, nie pisz! Z milczenia waszego dosyć się dowiem".

I w pół godziny potem dzwonek rozlegał się po ukraińskim stepie. Żandarm, z sumką na piersiach, z pistoletami za pasem, z surową, ale poczciwą i pełną rozgarnienia twarzą, siedział w milczeniu; Zacharko wesoło spoglądał po obcej mu krainie, a bohater nasz, oddychając pełną piersią, szczęśliwy i swobodny, wyciągał ręce do tej szerokiej ziemi, która mu się wydała tak zieloną, tak piękną, i podnosił oczy i ducha do tego nieba, którego błękit pierwszy raz w życiu tak mu świetnie zajaśniał.

Nic nie ma trudniejszego, jak w porę skończyć czy wizytę, czy obiad, czy jakie opowiadanie, czy jaki zawód publiczny, czy nawet życie. Jedna chwilka nadto w odwiedzinach, a można się wyrwać z jakiemśćiś głupstwem, które cofnąć się nie da; jedna chwilka dłużej przy stole, a chorobliwe łakomstwo zastąpi miejsce zdrowego apetytu i zaprowadzi do apteki, a czasem i na cmentarz; jedna ćwiarteczka w powieści więcej, niż trzeba, a całe zajęcie za nic; zamiast ciekawości przechodzi nuda, a miejsce łez i śmiechu zajmuje poziewanie. Tak i w zawodzie publicznym, tak i w życiu. Zręcznie i w miejscu umrzeć, jest to wielką sztuką, którą mało kto posiada. Mając na względzie te niezaprzeczone prawdy, spieszymy i my do końca, zwłaszcza, że niesłycha-

nym u nas przykładem, pozwoliwszy sobie zacząć od kolebki bohatera, zbyt może polegaliśmy na pobłażliwości i łasce czytelników naszych, której nadużywać nie śmiemy, aby nas o zarozumiałość i zuchwalstwo nie posądzili.

Kończymy tedy, uwiadamiając tych, co będą mieli cierpliwość przerzucić jeszcze te kilka kartek, które pozostały, że Tadeuszek zdrów, wesół i pełen najpiękniejszych nadziei dojechał szczęśliwie do miejsca swego przeznaczenia, i że przyjętym był przez swych nowych naczelników z tą względnością, jakiej tam nie mógł nie doznać młody człowiek tak urodziwy, tak ochoczy, obdarzony od natury tak magnetyzującem wejrzeniem, i opatrzony przez ojca w tak poważne i prawie gorące rekomendacje. Ogromna armia, która wówczas na Kaukazie działała, rozdzielona była na dwa wielkie korpusa. Pierwszy znajdował się w Gruzji, i operacje jego koncentrowały się mianowicie w Mingrelji i Imerecji; drugi zajmował tak nazwany Kaukazki Obszar, rozciągający się z tej strony gór od ziemi czarnomorskich kozaków, aż do morza Kaspijskiego, i działał mianowicie nad rzekami Kubanią i Terekiem. Główna jego kwatera była wówczas w Gieorgiewsku, miasteczku leżącem u podnóża gór. Było ono jeszcze wtedy powiatowem, nim rząd, chcąc podnieść niedaleki ztamtąd Piatihorsk, gdzie natura, oprócz najcudniejszego położenia i widoków czarujących oko, zgromadziła jeszcze tyle rozmaitych wód mineralnych, do tego ostatniego miasteczka wszystkie władze przeniósł, i mieszkańcom tam przesiedlającym

się znaczne dał przywileje. Do tego to korpusu należał pułk Niżegrodzkich dragonów, do którego Tadeuszek przeznaczonym został. Był to największy fawor, jakiego mógł doznać, gdyż ten pułk, najcelniejszy z całego korpusu, składał się z doboru żołnierzy i oficerów, i był pod komendą znakomitego ze swej waleczności wodza, który niegdyś w gwardji korpusu litewskiego już miał reputację, i później do wysokich doszedł dostojeństw. Tam, między oficerami znalazł Tadeuszek wielu rodaków. Potrzeby jego były aż nadto opatrzone; oprócz bowiem znacznej sumy, którą mu dał ojciec przy rozstaniu, odbierał jeszcze od niego hojne zasiłki. a od matki co miesiąc miał list długi, pełen wylania i czułości, a przy każdym był datek jej serca, któryby nawet na pańskie utrzymanie wystarczył i mógłby był kogo innego zepsuć i na zdrożne naprowadzić ścieżki. Zdawało się, że biedna Rozalia chciała sobie nagrodzić te wszystkie lata walki macierzyństwa z opinią, i troskliwością bez granic pragnęła przebłagać syna i naturę, aby jej dawniejsze opuszczenie i zapomnienie przebaczyli. Miał więc czem bohater nasz szafować dla biednych kolegów swych. Reputacja jego wspaniałomyślności nietylko w jego pułku, ale i w innych była prędko wiadoma; nieraz jej nawet nadużywano, ale to nie zrażało szlachetnego młodzieńca, który sam żył jak żołnierz, a jak pan rozdawał. Niedziw więc, że takie postępowanie, takie użycie darów fortuny, że postać pełna wdzięku i świadcząca o rozumie i sercu, że humor szczęśliwy, który mu całkiem powrócił, że nareszcie determinacja, nie-

słychana odwaga i wielka znajomość służby, czego już w kilku potyczkach dał dowody, zjednały mu prędko szacunek oficerów, dały poznać wyższym zwierzchnikom, i zrobiły go kochankiem całego pułku. Tak przeszła jesień i dalej zima, na różnych stanowiskach, na wyprawach mniej więcej niebezpiecznych, w których Tadeuszek, jako już podoficer, miewał sobie poruczane małe komendy, nieraz hazardowne posterunki, nieraz konwoje znakomitych osób, które przyjeżdżały do Tyflisu, i przebywać miały tę drogę malowniczą i niebezpieczną, jaką rozpoczyna Darielski parów, ze sterczącemi nad nim skałami, z zamkiem Madziarskim wieńczącym ich granity, z widokiem śnieżnych szczytów Kazbeku i dalej wiecznym lodem okrytego Elbrusa, który z pasma ciemnych gór wysunął najwyżej podwójną i lśniącą swą głowę, jakby się chciał razem Europie i Azji przypatrzyć. W jednej takiej przeprawie, miał szczęście dać się poznać główno-komenderującemu całą armią, którego uwagę na siebie zwrócił dzielnością postawy i przytomnością w wykonaniu rozporządzeń, jakie mu były poruczone. Naczelny wódz mówił z nim, zapytał o nazwisko, przypomniał sobie, że miał o nim list od generała, i obiecał protekcję i prędki awans.

Gdy przyszła wiosna, i śniegi z dwóch niższych gradusów gór znikły, a zostały tylko na najwyższym, wiecznie śnieżnym; gdy się zazieleniły ogromne lasy podgórza, i dalszego nad nim piętra, a ścieżki, parowy i nieprzejrzane kryjówki, dały wszędzie bezpieczne schronienie; gdy śmiałość gorców do tego doszła, że zaczęli spuszczać się licznemi tłumami, i

przekraczali wody Kubani, powiększyła się praca wojska i wzrosły niebezpieczeństwa. Tadeuszek, w ciągu kwietnia i maja był w jedenastu drobnych potyczkach, wszędzie się narażał prawie zuchwale, i z każdej wychodził nie draśnięty ani szaszką, ani kulą, tak, że wszyscy żołnierze, którzy, jako ludzie w ustawicznych żyjący niebezpieczeństwach, są przesądni, zaczynali wierzyć w jego gwiazdę i nabywali przekonania, że go jakieś wysokie czeka przeznaczenie.

Te cząstkowe i drobne rozprawy, z różnem szczęściem staczane, ośmieliły tak Zakubanów, że postanowili znaczniejszą przedsięwziąć wyprawę i zebrali się w kilkotysięczną gromadę. Ucieszyła ta wiadomość i wodzów i wojsko, gdyż ustawiczne czuwanie i ciągłe utarczki, z których żaden ważny nie wynikał rezultat, znużyły ich niezmiernie. Ściągnięto więc znaczne siły, przedsięwzięte zostały skuteczne środki ataku i obrony, i wszystko przyszykowano tak, aby wypadek był pomyślny, i drogi odwrotu zwyciężonym przecięte. Jakoż rzeczywiście, ostatnich dni maja przyszło do znaczniejszej bitwy na tym lesistym i nierównym łuku, który się znajduje między Kabanią i rzeką Łabą, wpadającą do niej przy twierdzy Ust-Łabińskiej. Górale, wsparci pozycją, zdołali długo opierać się przemagającej sile. Razili okropnie ścieśnione szeregi piechoty z za drzew, z parowów i kryjówek im tylko wiadomych; gdzie na otwartsze wypadli miejsce, bili się z wściekłością i szalonym impetem. Nic to wszakże nie pomogło. Sztuka, przeważna i dobrze uorganizowana siła, niezłomna wy-

trzymałość i męztwo, wzięły górę. Zostali odparci z wielką stratą i zdawało się, że zuchwałość ich na długo uskromioną została. Pułk dragonów, który oprócz kozaków, był tam jedynym pułkiem regularnej kawalerji, gdzie tylko zdarzyła się sposobność, gdzie tylko odkryło się miejsce, dokazywał; cudów waleczności i w jednem zdarzeniu bohater nasz, pod okiem naczelnego wodza tak się odznaczył, że po skończonej bitwie generał wyzwał go przed front, publiczną oddał mu pochwałę, i zaraz nazajutrz do krzyża i rangi porucznika przedstawić kazał.

Tak więc w połowie lipca 1834 roku, miał już Tadeuszek krzyż, miał porucznikowskie szlify, i gdy po raz pierwszy w nowiuteńkim mundurze, na dzielnym koniu, prześliczny oficer pokazał się w szwadronie swoim, wszyscy żołnierze krzyknęli uradowani, a oficerowie ściskali go i winszowali sobie takiego kolegi.

O tych wszystkich powodzeniach doniósł matce i ojcu. List jego do Rozalii kończył się temi słowy: „Tak więc widzisz, najmilsza matko, że błogosławieństwo, którem od ciebie wyjeżdżając otrzymał, wydało owoce. Bóg wejrzał na męczarnie całego życia twego, przyjął już je, jako ekspijacje za twoje winy, i teraz daje ci tę wielką radość, jakiej zapewne doznajesz, gdy czytasz o powodzeniach twego dziecka, gdy widzisz, że ludzie cenią więcej jego zasługę, niż warta, kochają je więcej, niż na to zasłużyć może. Czemuż nie mogę teraz upaść do nóg twoich, oblać łzami wdzięczności twoje ręce, otoczyć cię wszystkiemi staraniami, jakich potrze-

bujesz w twem życiu samotnem i pustelniczem, ucieszyć oczy twoje widokiem syna, który teraz wcale inaczej wygląda, niż w tej chwili błogiej i okrutnej, gdy płakał na twojem łonie, gdy ty, zstępując z godności matki, stałaś przed nim, jak przed sędzią twego życia, i tuląc do ust jego rękę, błagałaś go, aby ci przebaczył i cię uniewinnił? O, najmilsza matko! teraz dopiero czuję, jak krótko byłem z tobą, jak do wszelkiego szczęścia, które mnie otacza, jak do miłości tych dobrych ludzi, z którymi żyję, z którymi idę na śmierć, i z których każdy gotów mnie piersiami swemi zasłonić, nie dostaje mi twojej drogiej twarzy, twego wejrzenia, twego uśmiechu, twego słodkiego głosu, któryby mi powiedział: — synu! kocham cię, i zawsze cię kochałam! — Ciągniony do ciebie tą tęsknotą, której niczem ukoić nie mogę, chciałem wziąść urlop, i przelecieć z bijącem sercem tę ogromną przestrzeń, która nas rozdziela. Ale, choć mam do tego prawo, jako oficer, dwie ważne wstrzymują mnie okoliczności. Hipolit już musi być w domu. Biedna matko! znasz go dobrze, wiesz że jego charakter i serce jest przyczyną całej twej męczarni i mojego tułactwa. Ja podałbym mu rękę; ale czyż on przyzna mnie za brata, czy zapomni mojego słusznego uniesienia, którem zhańbiłem go publicznie? Serce jego nie podniesie się tak wysoko, i boję się aby zejście się nasze, zamiast radości, nie uderzyło serca twego śmiertelnym ciosem. Daruj, droga matko, że to piszę. Nie jest to wymówka, nie! Bóg widzi, że w moich oczach jesteś oczyszczoną, że cię uważam za ofiarę,

że gdyby świat i egoizm tej kobiety, której ani kochać, ani szanować nie mogę, nie nałożył byłśna ciebie tych kajdan, któreś całe życie nosiła, byłabyś zawsze taką jedyną i nieocenioną matką, jaką teraz dla mnie jesteś. Druga okoliczność jest ta, żeśmy nieprzyjaciół naszych nie pokonali, ale tylko rozdrażnili tą wielką stratą, jaką w ostatniej bitwie ponieśli. Zbierają się teraz w trzy razy większym tłumie, ozuchwalili się do tego stopnia, że o kilka mil za Kubań przebiegają, roznosząc w siedzibach kozackich i ormiańskich rabunek i pożogę. Za kilka tygodni uderzymy na nich całą siłą, i pójdziemy ich szukać w góry, niosąc straszliwy odwet. Nie wypada mi uciekać przed tą wielką wyprawą, która się gotuje. Jeżeli z niej wyjdę szczęśliwie, jeżeli Bóg przeznaczył mi jeszcze, abym zobaczył i ciebie, najmilsza matko, i tę ziemię, na której urodziłem się, i tych ludzi, którzy przyjęli i ukochali sierotę, wtedy uwolnię się, pospieszę do was; wtedy zjedziemy się, droga matko, pod tą szczęśliwą strzechą, gdziem znalazł drugich rodziców, gdzie mnie czeka najwyższe na ziemi szczęście, gdzie nie tylko ty mnie przyciśniesz do twego serca, ale i ta, której obraz obok twego w piersiach mych noszę i której imię brzmi w duszy mojej równie słodko, jak twoje. A teraz, bądź zdrowa, najmilsza matko! Smutno mi, tęskno, że nie jestem przy nogach twoich, że z tak daleka przesełam ci te słowa, które nie wiem, czy ci całą miłość moją wytłumaczą".

Właśnie wtedy, gdy Tadeuszek list ten pisał, przyjechał z zagranicy Hipolit. W niczem się on

nie zmienił. Zapomniał tylko jeszcze bardziej języka, którego nigdy dobrze nie umiał, nauczył się z politowaniem patrzeć na wszystko, co go otaczało, dumnie traktował oficjalistów, którzy, jako przyszłemu panu, nadskakiwać mu zaczęli, i z matką nawet obchodził się niemal zimno; a chociaż jej nie uchybiał, nie okazywał wszakże ani serdecznego uszanowania, ani tej wylanej miłości, jakiej biedna Rozalia potrzebowała, a do jakiej sarkastyczny i hardy młodzian nie był wcale zdolnym. Że się zaczął wdawać do interesów, wszystko znajdował złem, wszędzie widział polską nieudolność i niedbalstwo, które to słowo ciągle miał na ustach; że Rozalia, chociaż widziała to wtrącanie się jego i wzgardliwe pomiatanie wszystkiem swojem, starała się tylko łagodnością i perswazją przyprowadzić go do pobłażliwszego zapatrywania się na zaprowadzony u nas z dawna tryb życia i gospodarowania, zdało się niektórym oficjalistom, że pani nie śmie już w nic wdać się przy synu, że on wkrótce obejmie sam majątek, a matkę od rządzenia dobrami usunie. Znając jego charakter, pewni byli, że do tego bardzo prędko przyjdzie. Zaczęli więc pochlebiać się młodemu panu i z ploteczkami się do niego podsuwać. Tym sposobem doszła go wiadomość, że Tadeuszek rok temu był we dworze, że z panią kilka godzin był zamknięty, że pani po jego wyjeździe ciągle płakała, że Owsikowski co miesiąc wozi do niego listy i wielkie przesełа mu pieniądze. Zły, ale niegłupi młodzieniec, skombinował prędko wszystkie okoliczności, a wspomniawszy dawniejsze z nim obchodzenie się matki,

wszystkie mniemane krzywdy, jakie od niego odbierał, a szczególnie ów policzek, którego śladów jeszcze nie zmył i który dotąd go palił, wszedł zachmurzony, z zasuniętemi brwiami, i bledszy niż zwykle, do matki, i rzekł:

— Dowiedziałem się też, że ten urwisz Bezimienny śmiał tu być przeszłego lata, i że go mama przyjęła.

Rozalia zbladła i jakby zalękniona wpatrzyła się w niego, ale serce jej tak się raptownie ścisnęło, że głos uwiązł w jej gardle i słowa wymówić nie mogła. Mściwy młodzieniec, patrząc na ten stan matki bezbożnem okiem, i znajdując w nim potwierdzenie swoich domysłów, zamiast ulitować się i umilknąć, dodał z przyciskiem:

— Wchodzę ja w to, że on mamę interesować może; nie dziwię się tym łzom, które tu mama za nim wylewała, nie mam nawet nic przeciwko tej korespondencji, która się z nim prowadzi i przeciwko tym wielkim sumom, które mu się co miesiąc posełają; ale zapowiadam mamie, że jeżeli ten mój bezimienny braciszek tu się kiedy zjawi, to go każę w dyby zakuć i jak włóczęgę do sądu odstawię.

— O! niegodziwe dziecko! — krzyknęła wówczas Rozalia, takim głosem, że krew zastygła w sercu zuchwalca, który śmiał temi słowy uderzyć w pierś własnej matki. Przeląkł się on sam siebie i uciekł, jakby go mściwe furje ścigały, a nieszczęśliwa kobieta, widząc we własnym synu wcielenie tej kary bożej, która się jej za wykłamaną u świata cześć należała, upadła na kolana, i ledwie w parę godzin zdjęły ją z tego miejsca sługi, i prawie martwą i

zaklęsłą ocuciły i położyły do łóżka. Od tej chwili nie widziała go już, a chociaż Hipolit prosił o pozwolenie wejścia, i pisał tłumacząc się i błagając o przebaczenie, nie mogła znieść jego widoku, i listy jego odsełała mu nietknięte.

W takim stanie znajdowała się Rozalia, gdy ją doszedł list Tadeuszka. Słowa te serdeczne, były jakby echem z wyższego i lepszego świata, gdzie jest ulga, gdzie jest miłość, gdzie jest przebaczenie winy, gdzie wycierpiane męczarnie liczą się biednej grzesznicy, i łzy jej idą na wagę. Przeczytawszy je, zbolała matka porwała się z łóżka, wyzdrowiała pod urokiem tego głosu kochanego dziecka, przed którem stokroć więcej zawiniła; obraz cudnego młodzieńca stanął przed nią jak żywy, niebezpieczeństwa walki zawziętej, która się gotowała, wyobrażały się jej w całej zgrozie, i niewypowiedziana tęsknota widzenia go i wypłakania się jeszcze na jego męzkiej i szlachetnej piersi, ogarnęła jej duszę. Zrobiwszy więc co prędzej wszystkie rozporządzenia, wzięła z sobą Owsikowskiego, kazała zabrać wszystkie pieniądze, jakie były w kasie, spaliła całą swą korespondencję z generałem, zabrała z sobą wszystkie swe klejnoty i nie widziawszy się nawet z synem, któremu wyznaczyła pensję i który nie wiedział, co te przygotowania znaczą, na drugi dzień po odebraniu listu Tadeuszka, pojechała na Kaukaz.

Chociaż pora była prześliczna, kareta lekka i wygodna, i droga w tych stepowych krajach doskonała, przecież dziesiątego dopiero dnia stanęła Rozalia w Stawropolu, głównem mieście kaukazkiego

kraju, z tej strony gór leżącego. Czuła się niezmiernie sfatygowaną, gdyż im bliższą była miejsca, tem cięższa dręczyła ją tęsknota. tem groźniejsze przewidzenia opadały macierzyńskie jej serce, i tem prędzej i ciąglej jechać kazała. Napróżno Owsikowski błagał ją, aby sobie wypoczęła, aby nocowała. Na te jego prośby i perswazje odpowiadała stale: On tam może już poszedł w góry, może go już nie zobaczę. Nie śmiał nalegać poczciwy starzec, którego niecierpliwość zobaczenia drogiego chłopca była niemniejsza, i którego serce niemniejszym dręczone było niepokojem.

Gdy stanęli przed domem pocztowym w Stawropolu, i Rozalia weszła do pokoju pasażerów, zastała tam przechadzającego się oficera, którego obejście, ułożenie i mundur zwróciły jej uwagę. Spostrzegłszy wchodzącą damę w czarnem ubraniu, poważnej i pięknej jeszcze twarzy, i w której całej osobie było coś wrażającego uszanowanie, zdjął natychmiast swój kaszkiet, położył fajkę, którą palił, i podawszy jej z grzecznością krzesło, prosił, aby usiadła i odpoczęła. Gdy po chwili wszedł Owsikowski, i zapytał ją, jak długo tu zabawią i czy nie każe sobie co przynieść do posilenia się, oficer przystępując z grzecznością, zapytał, dobrą francuczyzną: — czy jest Polką? i czy jedzie do wód do Piatyhorska?

— Jestem Polka — odpowiedziała Rozalia — ale nie do wód jadę. Mam tu krewnego w korpusie kaukazkim, którym się opiekuję i którego pragnę widzieć.

— W jakim pułku, jeżeli wolno zapytać — rzekł oficer.

— Był w drugim szwadronie Niżegrodzkiego dragońskiego pułku — rzekła Rozalia, patrząc niespokojnie w oczy oficera. — Teraz pisze mi, że awansował na porucznika, ale nie dodał, w którym szwadronie umieszczony.

— Czy nie nasz piękny bohater, Tadeusz Bezimienny? — zapytał oficer.

Rozalii puściły się łzy strumieniem; usiadła, zakryła oczy chustką i słowa wymówić nie mogła. Oficer sądząc, że ją jaką złą wieścią strwożono, przystąpił ze współczuciem i dodał:

— Niech się pani o niego nie trwoży, jest to mój kochany kolega i podkomendny; wczoraj rano zostawiłem go w twierdzy Grygoryopolis, ztąd o 85 wiorst odległej, i zdałem mu szwadron, którym komenderować będzie do mego powrotu. Mogę panią upewnić, żem go zostawił zdrowym i w najlepszem usposobieniu zdobycia szlif generalskich, które go pewnie nie miną, jeżeli jeszcze dziesięć lat pożyje i pójdzie mu służba równie szczęśliwie, jak dotąd.

Rozalia podała mu rękę, ścisnęła jego dłoń z uczuciem za taką pochwałę i wiadomość, prosząc aby usiadł, i dał jej o Tadeuszku więcej szczegółów.

Rotmistrz Ustinow polubił bohatera naszego od pierwszego wstąpienia do jego pułku. Nie mógł znaleźć dość słów na pochwałę jego postępowania, jego odwagi i tej miłości, jaką ma u wszystkich swoich kolegów i u swoich zwierzchników. Uwiadomił on Rozalią, że teraz kwatera szwadronu jest w tejże twierdzy, gdzie go zostawił i do której już tak niedaleko. Zakubańscy górale — mówił — pomimo klęski

poniesionej w maju, niesłychanych dopuszczają się ekscesów, do tego stopnia, że niedawno jednego z wyższych oficerów, mającego polecenie zwiedzać Nadkubańskie twierdze, odbili od konwoju i w niewolę zabrali. Z tego powodu, dla wzmocnienia straży granicznej i utrzymania w czujności wojennej linji Kozackiej, odkomenderowane są dwa szwadrony naszego pułku i rozlokowane w całej długości tej linji, począwszy od głównej kwatery, aż na Ust-Łabińską twierdzę. Mój ma obowiązek czuwać na przestrzeni 60-ciu wiorst, od twierdzy Kaukazkiej, aż do tak nazwanego Silnego-Okopu. Po tej odległości przejeżdżamy w kilkadziesiąt koni, i rzadko nam się zdarza spotykać z góralami, bo nas nie lubią — dodał z uśmiechem.

Wiadomość ta nie uspokoiła stroskanej matki, a bliskość syna podała jej nieopisaną chęć zobaczyć go jak najprędzej. Zapytała więc rotmistrza, kiedy wraca do pułku. Odpowiedział jej, że jedzie do Woroneża i że dopiero za parę tygodni wracać będzie.

— Bardzo żałuję — dodał — że tak się stało, bo tym sposobem Tadeusz nie będzie mógł się uwolnić, żeby tu do pani przyjechał, aż do mego powrotu.

— O! to ja pojadę do niego — odpowiedziała z odwagą i czuciem, które młodego oficera zastanowiło.

— Trochę to droga niebezpieczna dla kobiety — odpowiedział oficer — wszakże, gdybyś pani ztąd wzięła silny konwój, przynajmniej do naszej linji, tam mogłabyś pani spotkać moich dragonów, a ci dowiedziawszy się że jesteś krewną ich faworyta, zasłoniliby panią pewnie swemi piersiami. Mam jeszcze

godzinkę czasu — dodał, patrząc na zegarek — i jeśli pani pozwolisz mi się tem zająć, mógłbym pani wyjednać u tutejszych władz konwój dostateczny i pewny.

Rozalia ze łzą w oku podziękowała za tę usłużność, w owych stronach zupełnie nie dziwną, zwłaszcza dla dam w tak niebezpieczne okolice puszczających się, a oficer popatrzywszy na nią ze współczuciem, i jakby z domyślnością, ukłonił się i wyszedł. W godzinę wrócił z asawułą kozackim, który z polecenia starszych miał ją konwojować z dwudziestoma kozakami do Silnego Okopu, a ztamtąd, wzmacniając konwój na stacjach wojennej linji, nie odstępować, aż do spotkania z oddziałem dragonów, linję tę lustrujących. Na wszelki przypadek, dał rotmistrz asawule kartę do oficera lub wachmistrza, któryby oddział prowadził, polecając ich pieczy damę, udającą się do Grygoryopolis, dla widzenia się z Tadeuszem Bezimiennym. Z serdecznem uczuciem, podziękowała jeszcze raz Rozalia pełnemu grzeczności oficerowi za jego interesowanie się, a on, przykazawszy asawule baczność i obiecawszy w jej imieniu sowitą nagrodę jemu i jego ludziom, pożegnał ją i w dalszą puścił się drogę.

Ponieważ do pomienionej twierdzy jest ze Stawropola pięćdziesięt pięć wiorst, równie kozak jak i Owsikowski, radzili Rozalii przenocować i wyruszyć dopiero o świcie. Tak się też i stało. Stary koniuszy dopilnował pocztyljonów, konwój przybył w porę kozakom, którzy zdawali się dzielni i pełni ochoty; dano na wsiadanem każdemu po parę rubli, Owsi-

kowski położył krzyż przed końmi, a Rozalia westchnąwszy do Boga, aby jej pozwolił dopełnić tak świętej, powinności i za dawniejsze zaniedbanie tak drogiego dziecka nie karał, wsiadła do powozu i równo ze dniem wyjechała.

Droga ta dziwne na niej robiła wrażenie i najrozmaitszemi napełniała ją uczuciami. Prędko stanęła przed jej okiem zdumionem ta olbrzymia przegroda, którą przyroda między Europą a Azją położyła. Kraj żyzny, ale dziki i pusty, rozlegał się na około niej: dalej, na podgórzu czerniały zdala te ogromne puszcze, gdzie odwieczne dęby, olbrzymie buki i jawory, jesiony i brzozy, wiążąc z sobą cieniste swe głowy, nieprzejrzanym cieniem okrywają ziemię i tworzą nieprzebyte kryjówki. Wyżej i wyżej, za falami szumiącej Kubani, podnoszą się boki rozległego Kaukazu, czarne, posępne, głębokie, a w miarę podnoszenia się i oddalania coraz siwieją, mięszają się z chmurami, które się po ich szczytach przechodzą, sterczą tu i owdzie nagim granitem, aż póki nie podejdą do granicy nieba, gdzie błyszczą wiecznie śnieżnem nakryciem i lodowe głowy nad cały obszar podnoszą.

Chociaż dręczona niepokojem i licząca minuty, które ją do syna zbliżały, nie mogła jednak oderwać oczu od tak wspaniałego widoku. Mimowolna modlitwa wyrywała się z jej duszy, a ogarniała ją razem nadzieja i trwoga. Trwoga ta powiększała się coraz, im bardziej się zagłębiali to w parowy, to w lasy — im dzikszym stawał się kraj, im posępniejsze postacie przesuwały się kiedy niekiedy konno i do

okien jej powozu zaglądały. Wtedy Rozalia, z tym naturalnym instynktem kobiety, która w podobnych okolicznościach szuka odwagi w twarzy mężczyzny, obracała oczy na Owsikowskiego, jakby prosząc, aby ją umacniał i utrzymywał. Owsikowski był odważny, jawne niebezpieczeństwo i jemu tylko grożące, niezdolneby go było ustraszyć; ale tu, gdzie wszystko zdawało się mu tak obcem, tak dzikiem, gdzie nic nie można było przewidzieć, na nic się przygotować, nie mogąc wlać w nią ufności, której sam nie miał, milczał i patrząc tylko w okno karety, szarpał siwe swe wąsy i mruczał na kozaków, z któremi nie mógł się dobrze rozmówić, że zostawali z tyłu, to wyprzedzali powóz, to który odzywał się jakiemś podejrzanem gwizdnieniem, lub wdawał się w rozmowę z jakim przejeżdżającym, którego twarz ogorzała, kosmata czapka, burka na plecach i strzelba z tyłu wisząca, nie wrażały zaufania.

Tak przyjechali do stacji, leżącej o kilkanaście wiorst przed twierdzą, do której dążyli. Tu kozacy popaśli ewe konie; z wielkim trudem i za znaczną sumę znalazły się inne konie do karety, i Rozalia wyruszywszy o południu, bez żadnej przygody, w półtory godziny potem pod Silnym Okopem stanęła. Ztąd już szła droga linją wojenną, ciągnącą się wzdłuż z brzegiem rzeki na parę wiorst od jej koryta. Kiedy niekiedy jechało się tam po równej płaszczyźnie, czasem wśród szumiącego nad brzegiem lasu, czasem na zakrętach rzeki widzieć można było jej fale i słyszeć ich jednostajne pluskanie o brzeg wysoki i zwykle w tych miejscach urwisty. A z tamtej strony

pokazywały się wszędzie, to strome skały, to głębokie puszcze, to wyniosłości malowniczo zaginające się, lub śmiało wyskakujące do zastraszającej oko wysokości. Ale wszelka piękność potrzebuje bezpieczeństwa, potrzebuje spokoju duszy, aby mogła być dostrzeżoną, uznaną i uczutą. Podróżni nasi zbyt byli zajęci obecnem położeniem swojem; miny kozaków, których orszak wzmocnionym jeszcze został dziesięcioma ludźmi, odkomenderowanymi aż do Carycyńskiej twierdzy, były zbyt zafrasowane i jakby okazujące trwogę — aby wszystkie cuda, które tu natura szczodrą rozrzuciła ręką, mogły ucieszyć ich wzrok i podnieść ducha. Jedna tylko okoliczność dodawała odwagi Rozalii i Owsikowskiemu, i tę biedną matkę, którą przeznaczenie w tak dalekie zagnało strony, i jakąś gorączkową napełniły niecierpliwością posuwania się naprzód, ożywiła nadzieją prędszego jeszcze obaczenia syna, do którego serce jej gwałtownie się wyrywało. Kozacy konwojujący ją od Stawropola, dowiedzieli się od straży pod twierdzą czuwającej, że oddział dragonów z kilkudziesięciu ludzi złożony, pod komendą oficera, był tu niedawno, i dobrze odpocząwszy, napowrót pojechał. Ucieszeni tą wiadomością, pragnący co najprędziej zbyć się ciężaru, który na nich włożono, zdać według rozkazu konwojowanie osoby oddziałowi dragońskiemu, postanowili wybrać z pomiędzy siebie trzech najśmielszych kozaków i puścić ich w pogoń za dragonami, z kartą ich rotmistrza, aby się przynajmniej zatrzymali na miejscu, jeśliby powrócić nie chcieli. Oddzielił więc asawuła trzech, mających najlepsze ko-

nie, i ci, uderzywszy w nahajki z piskiem i świstem, puścili się co konie mogły wyskoczyć.

Owsikowski zmięszał się tym podejrzanym manewrem, ale gdy się dowiedział, o co idzie, i gdy wiadomości tej Rozalii udzielił, uniesiona radością i pewna, że tym oficerem nie jest kto inny tylko Tadeusz, rozdała pieniądze pomiędzy kozaków, sowicie udarowała zwoszczyka i kazała śpieszyć, ile tylko można było po drodze złej i nierównej. W takich uczuciach, w takim pośpiechu, z biciem serca jadąc, i zapomniawszy prawie o niebezpieczeństwie, na pół drogi między dwiema twierdzami, wjechali w mejsce krzaczyste i przez deszczowe potoki poprzerzynane. Raptem spostrzegł Owsikowski, że dwóch kozaków, którzy przodem jechali, nazad spiesznie się wrócili. Ci co otaczali powóz zmieszali się, zaczęli coraz głośniej między sobą rozmawiać, szykować strzelby, wydobywać z olstr pistolety, i wołając na woźnicę, aby zawracał, zacinali sami konie, chcąc coprędzej wyjść z zarośli i zdążyć na otwartsze miejsce, które je poprzedzało. Owsikowski wziął za rękę pobladłą i strwożoną Rozalię i tylko co chciał wymówić parę słów uspokojenia, gdy się rozległ huk wystrzału; zwoszczyk zabity na miejscu upadł, a w tejże chwili, kilkanaście kul z za krzaków i z parowów puszczonych ośmiu kozaków zwaliło z koni. Krzyk okropny powstał między obrońcami biednej kobiety, która wpół żywa leżała w kącie powozu, modląc się i oczekując swego przeznaczenia. Wkrótce ukryty nieprzyjaciel ponowił strzały, a kozacy zmniejszeni do trzeciej części, nie widząc wroga, który ich raził,

w różne rozbiegli się strony. Kilku puściwszy konie całym pędem, z szablą w jednej ręce, z pistoletem w drugiej, puściło się naprzód dla przyzwania na ratunek oddziału dragońskiego; dwóch poleciało napowrót do stacji, aby tam rzucić alarm, a kilkunastu którzy pozostali przy powozie, zaczęli śmiertelną walkę z góralami, którzy z dziką i szyderską fizjognomją, w mgnieniu oka wyrośli z gęstwiny, i na dzielnych i szybkich swych koniach otoczywszy piorunem powóz i konwój, w sile znacznie przemagającej, wszelki opór uczynili daremnym i bezskutecznym.

— O mój Boże! nie karz mnie tak! — jęknęła Rozalia. Owsikowski załamał ręce milcząc, jakby skamieniały, patrząc tylko boleśnie na nieszczęśliwą kobietę, a Zakubańcy, powiązawszy kozaków, którym kazali zsiąść z koni, wyciągnąwszy z karety Owsikowskiego i skrępowawszy go także, zwrócili konie, a śmiejąc się i szydząc, że tak łatwo im się udało, poprowadzili jeńców swych na otwarte miejsce z zarośli, którędy łatwiej karetę mogli sprowadzić do brzegu rzeki. Tam mieli ją obedrzeć i popsuć, a z jeńcami przeprawić się przez bród, który im tylko był wiadomy. Ośmieleni tem, że oddział regularnej kawalerji, którego się bali, przeszedł już i nie tak prędko powróci, szli śmiało i żartując z swoich jeńców, dążyli zwolna do brzegu. Już niezbyt dalekim był wielki las, nad samą rzeką sterczący, gdzie ostateczny rabunek miał się dokonać, gdy nagle dał się słyszeć z dala jakby huk oddalonej chmury, która grozi piorunem. Huk ten coraz wyraźniejszy, zbliżał

się z nadzwyczajną szybkością, i wkrótce można było poznać, że to jest tentent koni, unoszący zbrojnych jeźdźców i całym pędem puszczonych. Nie upłynęła chwila, a pokazał się tuman kurzawy wzbitej kopytami, zbliżający się z szybkością uraganu. Górale domyślili się co to znaczy. Że ich było z ośmdziesięciu, usunęli na stronę karetę, wyciągnęli z niej na pół umarłą Rozalię, i jedni zaczęli odrzynać pakunki, odbijać kuferki i wyrzucać rzeczy, inni uprowadzali jeńców ku lasowi. Kilkudziesięciu najśmielszych uszykowało się, wymierzywszy wierne strzelby, i mając w pogotowiu te śmiertelne szaszki, których cięcie tak straszliwe i pewne. Ale postawa ta nie ustraszyła nadbiegających dragonów, pęd ich nie zmniejszył się, mimo strzałów z obojej strony puszczonych. Uderzyli oni z pałaszami w ręku na pędzących także do ataku górali. Na czele ich leciał młody oficer, z twarzą cudnie piękną i straszliwie groźną. Rzucił się on w sam środek szyku, który w mgnieniu oka złamał się i zmięszał. Górale, straszniejsi w pojedyńczych walkach i w rozsypce, uchodząc w bok i uginając się, jak węże. powracali co chwila do ataku na szybkich swych, ale silnego natarcia nie mogących wytrzymać koniach. Wszakże ani męztwo, ani zręczność nie zdołały ocalić tych, co wpadli pod pałasz rozjuszonych żołnierzy, idących ślepo za swym nieustraszonym przywódzcą. Tym sposobem doszli dragoni aż do tego miejsca, gdzie byli jeńcy. Tam zbiegli się także wszyscy górale, chcąc bądź co bądź łup swój uprowadzić. Przyskoczył tam pierwszy ów młody oficer, spostrzegł ko-

bietę, którą góral ciągnął za rękę, a obejrzawszy się na swoich, i ukazując im ją pałaszem, krzyknął przeraźliwie: — To matka moja! — I nie wyszło parę minut, a zuchwalec szarpiący nieszczęśliwą Rozalię, leżał już bez życia; napastnicy złamani i rozproszeni uciekli do lasu, obracając się jeszcze i puszczając za goniącymi ich żołnierzami niepewne już strzały. Zwycięztwo było niewątpliwe, radość kozaków nadzwyczajna, ale gdy bohater nasz, rzuciwszy zakrwawiony pałasz, wyciągał ręce do klęczącej o kilka kroków Rozalii, świsnęła ostatnia kula i uderzyła w tę pierś heroiczną, tak pełną miłości i odwagi. Pochwiał się młodzieniec, krzyknęli żołnierze, którzy go w mgnieniu oka otoczyli i na ręce swe przyjęli, a Rozalia, wydawszy ten jęk, który tylko z serca matki wyjść może, upadła na ziemię bez zmysłów. Gdy w pół godziny potem otarła oczy, leżał przy niej Tadeusz na łożu, z płaszczów żołnierskich usłanem, w głowach jego klęczał Owsikowski ze złożonemi do modlitwy rękami, w około stali dragoni z pochyloną głową i łzy płynęły po ich ogorzałych i zarosłych twarzach, za niemi byli kozacy, uwolnieni z więzów i trzymając ich konie, a dalej straż kozacka, która przybiegła z Silnego Okopu, lustrowała to nieszczęśliwe miejsce, i zbierała trupy i rannych. Na całą tę scenę padał promień zachodzącego słońca, boki Kaukazu oświeciły się dziwnie urozmaiconem światłem, śniegi na szczytach wydały się bielsze, a daleki Elbrus okrył się żywą i wyrazistą tęczą, która lodowatą głowę jego, jakby różnokolorową wstęgą obwiodła.

Tadeusz żył jeszcze. Rozalia, spojrzawszy na jego twarz, nawet pod tą śmiertelną bladością tak cudnie piękną, nachyliła się nad nim, i jękiem wymówiła jego imię. Młodzieniec otworzył oczy, spojrzał na matkę łagodnym i jakby ucieszonym wzrokiem, uśmiechnął się jeszcze, jakby chciał jej powiedzieć, jak mu słodko za nią umierać i gdy Rozalia objęła jego głowę i na twarz jego upadła, podniósł jeszcze ręce, przycisnął ją do siebie i w jej objęciu skonał.

Tak skończył Tadeusz Bezimienny krótki swój, ale pełen znaczenia zawód. Jeżeli czytelnicy ciekawi co się stało z innymi osobami, któremi ich tak długo zajmowaliśmy, niech raczą jeszcze przerzucić te ostatnie karty, a znajdą bez wątpienia, że społeczność ludzka idzie niezmiennie tą drogą, jaką jej Opatrzność wytknęła; że na tej tylko drodze leży prawda i szczęście ziemskiego życia; a żadne wysilenie, ani rozumu, ani woli, nie zdoła wybawić tego, kto z niej schodzi i bez praw bożych szuka grzesznej uciechy, a bez prawdy o cześć ludzką się dobija.

Zwłoki młodzieńca, tak przedwcześnie zgasłego, odprowadzone zostały do Grygoryopolis, gdzie była kwatera szwadronu. O parę wiorst od twierdzy, wybrano piękne miejsce, na niewielkim, zielonym i foremnym pagórku, zkąd odkrywał się czarujący widok na kraj przyległy i na olbrzymie boki Kaukazu. Tam zebrał się cały szwadron, i z honorami wojskowemi młodego bohatera swego pochował. Oficerowie i żołnierze uczcili obrzęd ten szczerym żalem i łzami przyjaźni i uwielbienia, które tak zdobią męzkie twarze i tak zaszczycają serca, gardzące śmiercią i

niebezpieczeństwem. Gdy go schowano i zarzucono ziemią, wszyscy rzucili się do roboty i na szczycie pagórka podnieśli jeszcze własnemi rękami wysoką mogiłę, odarniowali ją, dali sobie słowo, że ją na pamiątkę utrzymywać będą w tym stanie porządku i całości, póki tylko pułk ten na Kaukazie służyć będzie, a wszyscy bliżsi przyjaciele, którzy się tam znajdowali, kazawszy przygotować i wnieść na wierzch mogiły wielki kamień, wyryli na nim własnemi rękami te słowa: *Tadeusz Bezimienny*.

Nie będziemy opisywać stanu Rozalii. Uszanowanie, należące się każdej wielkiej boleści, nie dozwala nam podnieść tej świętej zasłony, pod jaką spełnia się tajemnicza ofiara serca, które wszystkie swe nadzieje, wszystkie miłości ziemskie, składa na ołtarzu pokuty i w miłość karzącego i sprawiedliwego Boga zamienia. Jak zwykle w takich razach, znalazła ona w sobie więcej mocy, niż się sama spodziewała. Obecna była całemu obrzędowi, i pożegnawszy drogą mogiłę, pod którą zamknęło się wszystko, co mogła kochać i czego żałować na ziemi, udała się napowrót do Stawropola, a ztamtąd przybywszy do Rostowa, wsiadła na okręt, i po długiej a przykrej żegludze przypłynęła do Odessy. Tam zrobiła rozporządzenia tyczące się majątku, który się jej dostał po mężu. Ogólną plenipotencję do rządzenia nim i dysponowania dochodami, według oddzielnej instrukcji, dała Owsikowskiemu. Synowi wyznaczywszy 25 tysięcy rocznie, aż do swojej śmierci, wzbroniła zupełnie wtrącać się do gospodarstwa, i nic nad wyznaczoną sumę brać nie pozwoliła. Dla

siebie kazała przysełać niewielką część dochodu, resztę zaś obracać na edukację sierót, których wybór miał zależeć od Owsikowskiego i Anny, a których imiona i ilość wydanych na nie pieniędzy, miał jej Owsikowski corocznie przesełać. Na przypadek, gdyby śmierć starego koniuszego uprzedziła jej zgon, wszystkie jego obowiązki i prawa przelewała na pana Karpińskiego. Jednę najmniejszą, ale do utrzymania familji dostateczną wieś, darowała żonie Owsikowskiego i jego dzieciom, sporządziwszy urzędowy akt, którym zupełnie dziedzictwo tej wsi po jej śmierci miało im być przysądzone. Te były najpierwsze i najświętsze obowiązki, których po przybyciu swem do Odessy dopełniła. Owsikowski płakał jak bóbr, patrząc na tę kobietę poważną, niby spokojną, i z przytomnością umysłu, która go przerażała, rozbierającą wszystkie okoliczności tych rozporządzeń, które jej święcie wypełniać na cienie zgasłego młodzieńca przysiągł. Gdy wszystko to było ułożone, spisane, wszelkiemi formalnościami prawomocnie stwierdzone, wtedy Rozalia wzięła się do pisania listów. Generał znajdował się wówczas w Odessie. Przyjechał on tam na rozkaz księżny Castiani, wdowy po owym niegdyś adjutancie swym i przyjacielu, której nadzwyczajna piękność, zimne serce i świetne talenta, zawróciły do tego stopnia głowę tego znakomitego starca, że się stał jej niewolnikiem i nawet ożenić się z nią zamierzał. Związki hrabiego z Rozalią dawno się już przerwały, ale został stosunek przyjaźni, który, zwłaszcza ze strony Rozalii, był tem gorętszy, że go kochała wyłącznie, jedynie, i chociaż tylko

kilkanaście razy w życiu widzieli się z sobą, miłość jej nie zmniejszała się oddaleniem i nie ostygła ani na chwilę. Dopiero przed wyjazdem swym do Włoch, dowiedziała się ona o związkach jego z księżną Castiani, i o tym despotyzmie, z jakim ta sławna kokietka, owładnąwszy starym Lowelasem, afiszowała jego dla siebie słabość. Od tej chwili ustała wszelka korespondencja i serce jej, obrażone w tem jedynem uczuciu, które, chociaż zrobiło ją występną i życie jej zamieniło na ciągłą męczarnię, było jej jednak tak drogiem, starało się wyrzec wszelkiej o niem wzmianki. Po czterech latach zupełnego milczenia, był to pierwszy list, który Rozalia wręczyła Tadeuszowi, aby go ojcu oddał. Teraz napisała do niego drugi. W nim podziękowała mu za opiekę nad drogiem ich dzieckiem, za zasiłki, jakie mu posełał; odmalowała całą wartość tego złotego serca, które teraz przyciska mogiła na dalekiej ziemi; opisała okoliczności jego śmierci, powód, jaki ją na Kaukaz zaprowadził, a nareszcie zrobiła krótką, ale pełną bólu wzmiankę o złem sercu i niewdzięczności drugiego swojego syna, nad którym tak troskliwie czuwała, którego uczucia starała się pielęgnować, a który przecież stał się narzędziem tej zasłużonej kary, jakiej się z pokorą poddaje. Kończąc, opisała generałowi przywiązanie, jakiego Tadeuszek za życia i po zgonie od swoich kolegów doznawał, i przesławszy mu nazwiska wszystkich oficerów jego szwadronu i niektórych żołnierzy, prosiła go usilnie, aby swoim wpływem starał się im odpłacić ich przychylność i do promocji i awansów pomógł. Generał, odebrawszy

ten list, przejęty niewymownym żalem, przyjechał do Rozalii, ale go nie przyjęła, i mimo kilkakrotnie powtórzonych odwiedzin i chęci podzielenia się wspólną boleścią, widzieć się z nim nie chciała. Następnie, napisawszy krótki list do syna, i długi, pełen czucia, pełen czci i wdzięczności do Anny, której serce, której życie, której zamiary poznała z notat Tadeusza, z jej listu i listu Józia, co się wszystko pomiędzy papierami jego znalazło; pożegnawszy Owsikowskiego, który rzucił się jej do nóg z takim bólem, iż go ledwie po kwadransie podnieść zdołano; obdarzywszy szczodrze poczciwego Zacharka, Maksyma i jego żonę, wsiadła na okręt i pojechała do Rzymu. Tam osiadła w surowym klasztorze zakonnic Santa Francesca Romana, który się posępnie wznosi na drodze do Kolizeum. I odtąd przez wiele lat, widziano co sobotę poważną kobietę, w czarnej grubej sukni, z odkrytą twarzą, idącą boso do kościoła Dominikanów, znanego pod nazwiskiem Santa Maria Sopra Minerva, rozdającą przy wyjściu szczodre jałmużny, klęczącą przez całe nieszpory przed pomnikiem marmurowym, na którym był napis: Klemens C*, a gdy się nieszpory skończyły, zamiatającą ten kościół wraz z innemi biednemi kobietami, które wszystkie, po skończeniu roboty, otaczały ją, odbierały od niej zasiłek tygodniowy, i prosząc Boga, aby dobrej grzesznicy przebaczył, odprowadzały ją do domu.

List jej do syna zamykał tylko te słowa: — „Byłeś zawsze źródłem mego zmartwienia. Nie dałeś mi nigdy żadnej pociechy, jakiej matka po dziecku

słowem spodziewać się może. Bezbożnem słowem zraniłeś to serce, któremu od ciebie należała się miłość i wdzięczność. Nie obwiniam cię, bo widzę w tem karzącą rękę Bożą, która, mimo wszelkie moje starania, tajemne łzy i modlitwy, zostawiła ci złe i niewdzięczne serce. Nie zobaczysz mnie więcej, i nie staraj się do mnie przybliżyć, ale staraj się żyć dobrze i szanować moje rozporządzenia. Póki mnie Bóg zostawi przy życiu, nie będziesz władał majątkiem, jaki posiadam z łaski męża, któremu cię narzuciłam. Pamiętaj o tem i ucz się pokory. Jeżeli ośmielisz się podnieść głowę i powstać przeciwko mojej woli, opierając się na tych prawach, którem dla ciebie kosztem spokoju i sumienia przywłaszczyła, zniszczę je odkryciem publicznem mojego wstydu, i całą tę ogromną spuściznę człowieka, któregom oszukała, oddam jego familji. Com ci naznaczyła aż do mojej śmierci, to ci wystarczy. O każdym kroku twoim wiedzieć będę. Pamiętajże, abym umierając przebaczyć ci mogła. Inaczej, zniweczyłbyś cały owoc mojej pokuty i wówczas byłbyś podwójnie występnym".

Hipolit, przeczytawszy ten list, zamknął się, i całe dwa dni nie spał i nie jadł, tak go przeraziły słowa matki, a szczególnie odkrycie, jakie zrobiła i ta groźba, którą jej rozpacz podyktowała. Trzeciego dopiero dnia, przywoławszy Owsikowskiego i dowiedziawszy się o wszystkich szczegółach jej podróży i o powodach, które ją do opuszczenia kraju skłoniły, gdy się przekonał, że wszystkie papiery, które mu stary pokazał, są formalne, że sprzeciwienie byłoby

niedorzecznością, udał, że szanuje wolę matki, kazał sobie wypłacić część swojej pensji, pałac zamknąć i wybrawszy najlepszą czwórkę, najporządniejszy powóz i najzręczniejszych dwóch ludzi, czego mu Owsikowski nie bronił, do Białobrzyniec pojechał.

Gdy się hrabina o wszystkiem dowiedziała, gdy przeczytała list Rozalii do syna, usiadła na kanapie, oparła ubieloną przez siedemdziesiąt kilka lat głowę o jej poręcze, i podniósłszy oczy w sufit, z otwartą gębą i z tabakierką w ręku, tak przez kilka godzin siedziała. Ocknąwszy się z tego odrętwienia, zadzwoniła i rzekła do wchodzącego Francuza:

— J'écrirai une lettre.

— C'est bien, madame la comtesse — odpowiedział i przyrządziwszy jej wszystko do pisania, wziął lichtarzyk ze świecą. Hrabina chciała się podnieść i nie mogła. Pomógł jej Francuz i z wielkim trudem do fotelu doprowadziwszy, posadził i wyszedł. Gdy w pół godziny potem, sądząc że list już gotowy, wrócił z zapaloną świecą, zastał w krześle trupa, z głową opartą o poręcz, z otworzoną gębą i z tabakierką w ręku Na papierze zaś przygotowanym na list, były tylko te słowa: „Moja córko! zrobiłaś wielkie głupstwo. Kobieta, jak ty urodzona, powinna pamiętać...“ dalej były znaki nieczytelne, które już omdlewająca ręka nakreśliła.

Hipolit sprawił babce wspaniały pogrzeb, kazał jej postawić pomnik pełen okazałości i przepychu, i wszedłszy w posiadanie Białobrzyniec, jako jedyny dóbr tych dziedzic, mieszkał odtąd w starożytnym

przodków swych zamku, który co roku oporządzać i od ruiny bronić usiłował.

A w Kalinowie? — Tam po przeczytaniu listu Rozalii, który Owsikowski sam zawiózł, łzy serdeczne zalały wszystkie oczy, i poczciwe serca długa zaległa żałoba; tam codziennie rozmawiano o Tadeuszku i jego biednej matce; tam często odczytywano jej słowa pełne wdzięczności, i rozważano jej gorące prośby, aby w rodzinie tej imię sieroty, któremu dali przytułek i wychowanie, nie zaginęło. Jakoż, gdy we dwa lata potem Sabinka oddała rękę panu Kazimierzowi, a w rok później urodził się synek z jasnemi włoskami i błękitnem jak niebo okiem, dano znać staremu Owsikowskiemu, sprowadzono Maksyma i Tatjanę, i ci byli rodzicami chrzestnemi chłopczyka, któremu dano imię Tadeusz.

Koniec tomu trzeciego i ostatniego.

Biblioteka Główna Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach

45.000

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
225569